

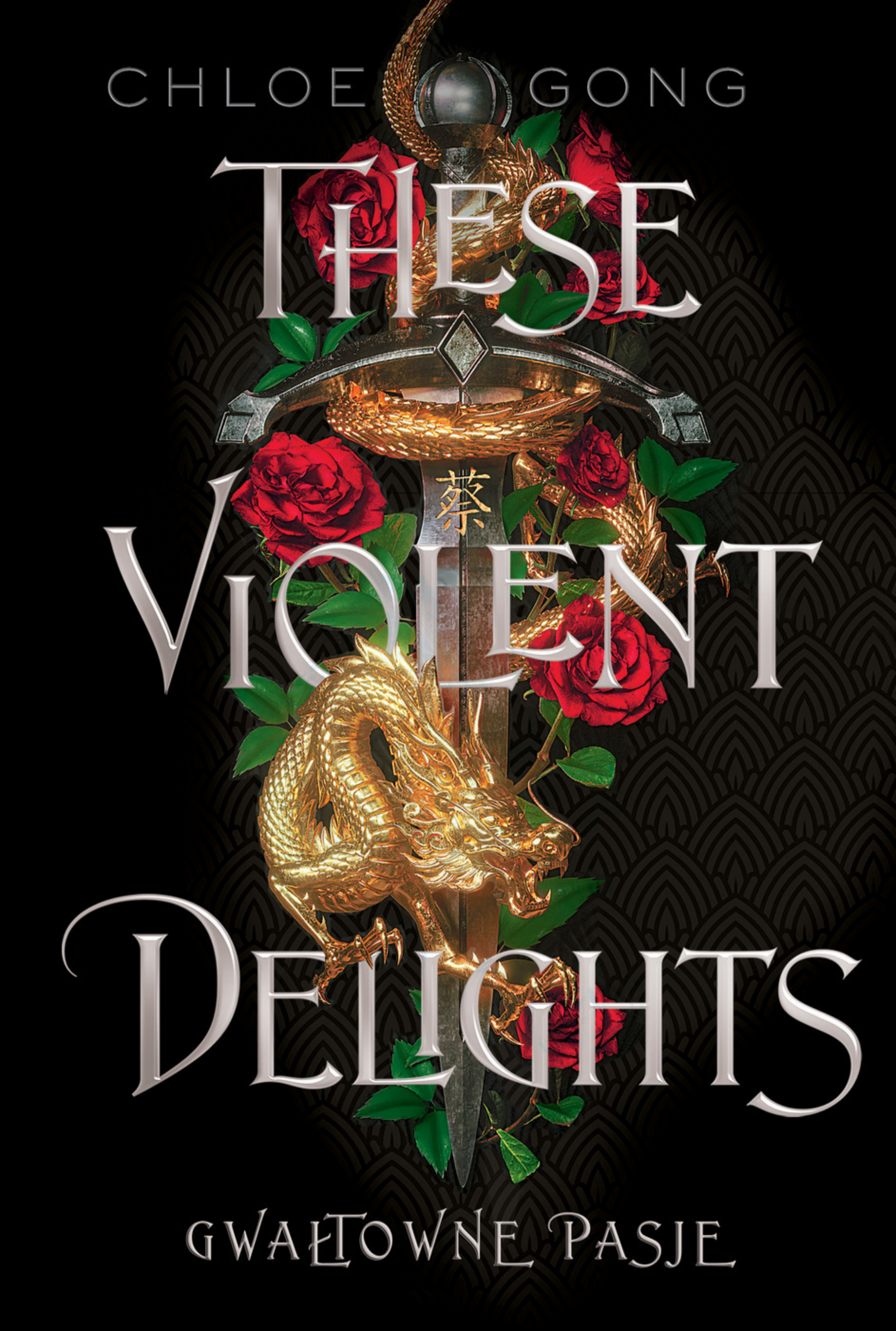
CHLOE GONG

THESE

VIOLENT

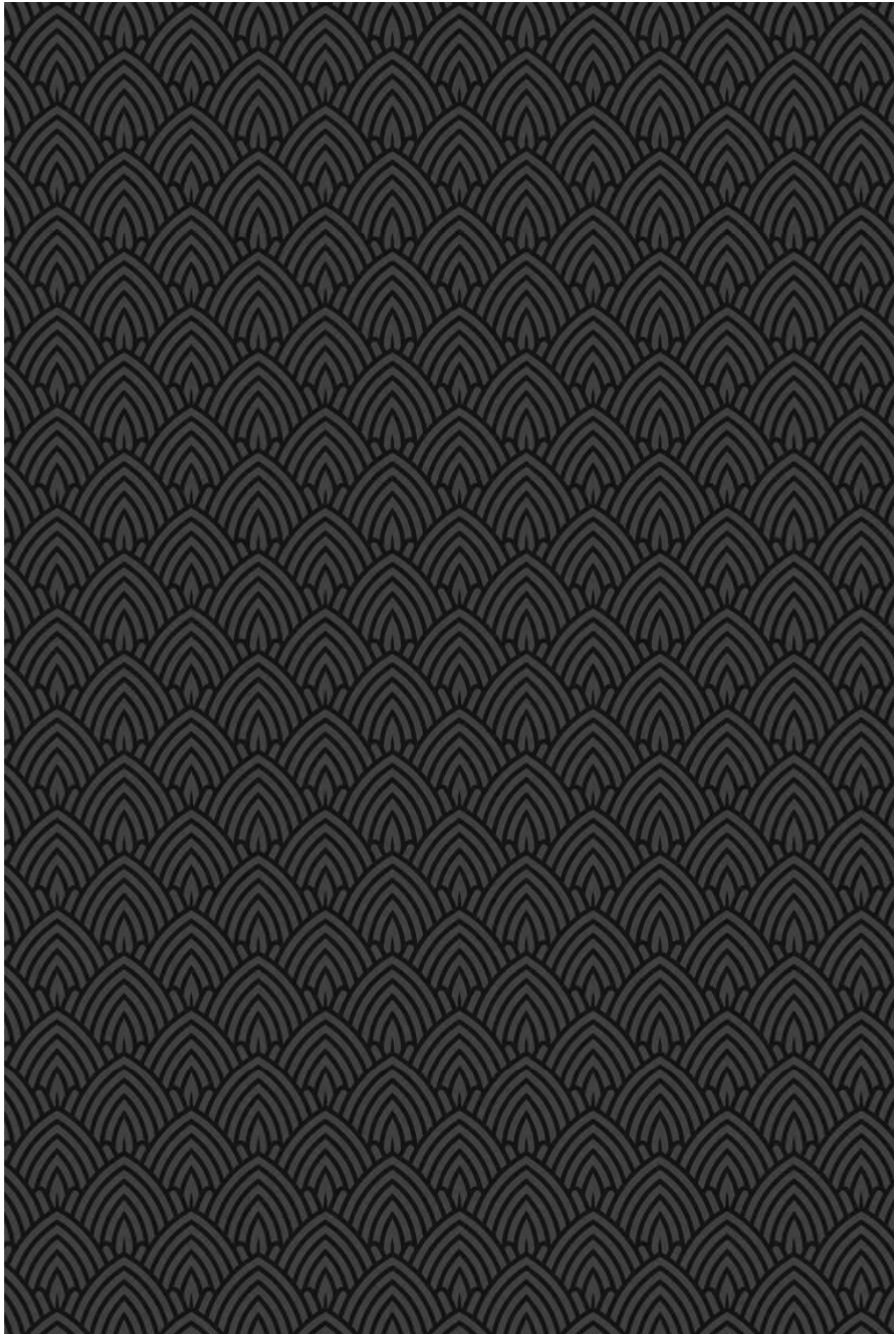
DELIGHTS

GWAŁTOWNE PASJE




THESE
VIOLENT
DELIGHTS





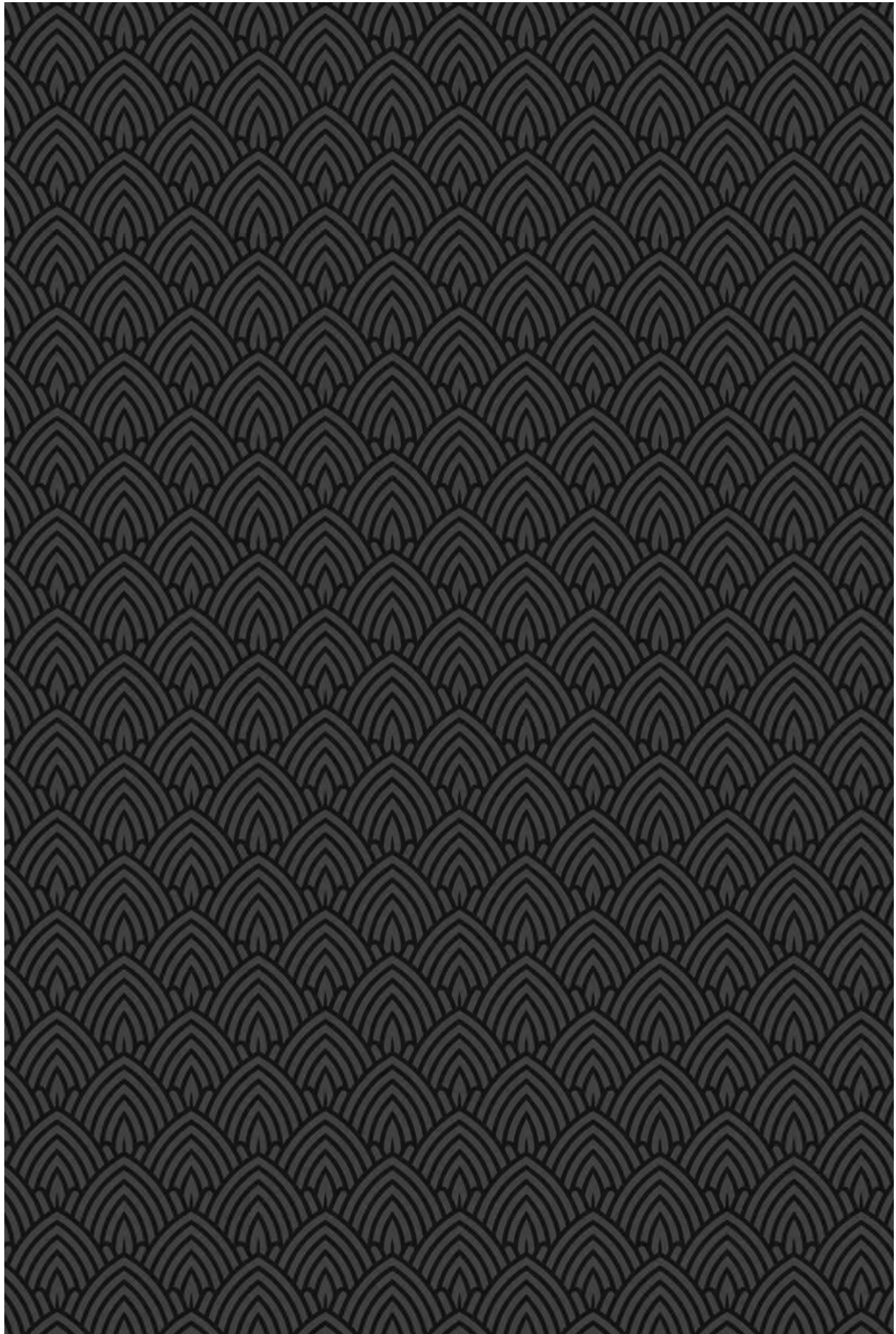
CHLOE GONG

THESE
VIOLENT

DELIGHTS

GWAŁTOWNE PASJE

DLA WAS,
DRODZY CZYTELNICY

*Gwałtowna rozkosz gwałtownie się kończy,
W tryumfie kona, jako proch i ogień
Giną w całunku.*
W. Shakespeare, *Romeo i Julia*
(przekł. Leon Ulrich)



THESE
VIOLENT
DELIGHTS

PROLOG

W migotliwym Szanghaju budzi się monstrum.

Otwiera oczy w głębinach rzeki Huangpu i rozwiera paszczę, by posmakować cuchnącej krwi, która sączy się do wody. Smugi czerwieni ślizgają się po nowoczesnych ulicach starożytnego miasta; oplatają bruk jak sieć naczyń krwionośnych, a z naczyń tych kropla po kropli esencja życia miasta ścieka do paszczy z innego świata.

Gdy noc staje się jeszcze ciemniejsza, potwór wznosi się na powierzchnię i leniwie wynurza się z fal niczym jakieś zapomniane bóstwo. Podnosi łeb i widzi wiszący nisko, opasły księżyc.

Oddycha. Prześlizguje się bliżej.

Pierwszy oddech przekształca się w zimną bryzę, która wdziera się w głąb ulic i muska kostki tych, którzy mają pecha chwiejnym krokiem wracać do domu o tej diabelskiej godzinie. Wszystko tu nuci melodię zepsucia. Miasto jest brudne i pogrążone w wiecznym grzechu, tak przesycone pocałunkami dekadencji, że samo niebo grozi, że spadnie i zmiążdży za karę wszystkich żyjących pod nim pełnią życia.

Ale nie spada żadna kara – jeszcze nie teraz. To swobodna dekada jeszcze swobodniejszych obyczajów. Podczas gdy Zachód tańczy na niekończącym się balu, a w Państwie Środka podstarzali watażkowie walczą o władzę z potomkami cesarza, Szanghaj lśni w swej bańce świetności: Paryż Wschodu, Nowy Jork Zachodu.

Mimo trucizny sączącej się z każdego ślepego zaułka miasto tak mocno tętni życiem, że aż przebudziło monstrum.

Tymczasem mieszkańcy Szanghaju, nieświadomi czyhającego gdzieś zła, zajmują się swoimi sprawami. Dwóch mężczyzn, ledwo trzymając się na nogach, wychodzi z ulubionego burdelu. Śmieją się głośno i przeraźliwie. Cisza późnej godziny kontrastuje z hałasem wnętrza, z którego się wynurzyli, uszy z trudem dostosowują się do przemiany i ogłuszają ich uporczywym dzwonieniem.

Jeden z mężczyzn jest niski i krępy, wydaje się, że mógłby położyć się na ziemi i potoczyć po chodniku niczym szklana kulka; drugi jest wysoki i chudy, ze sterczącymi kanciasto kończynami. Obejmując się ramionami, idą w stronę nabrzeża, tam, gdzie rzeka łączy się z morzem, w kierunku portu, do którego kupcy dniem i nocą przywożą wciąż nowe towary.

Dwaj mężczyźni doskonale znają tę portową dzielnicę, bo nawet jeśli bawią się w klubie jazzowym albo piją wino z najnowszej dostawy z jakiegoś odległego kraju, to przy okazji przenoszą w obie strony wszelakie wiadomości, mają oko na kupców, transportują towary w różne miejsca. A wszystko to dla Szkarłatnego Gangu. Znają tę promenadę jak własną kieszeń, choć czują się tu teraz nieswojo, bo pogrążona jest w ciszy pod nieobecność tysięcy języków rozbrzmiewających donośnie pod tysiącami flag.

O tej porze słychać tu już tylko przytłumioną muzykę dobiegającą z pobliskich barów i delikatny łopot wiszących nad sklepami banerów, poruszających się z każdym powiewem wiatru.

Oraz głosy pięciu członków gangu Białych Kwiatów, rozmawiających z ożywieniem po rosyjsku.

– Powinniśmy iść dalej – szepnął niski Szkarłatny do swojego towarzysza. – Wiesz, co lord Cai mówi o wdawaniu się w kolejną bójkę z Białymi Kwiatami.

Chudszy tylko przygryzł policzki od środka, zasysając je, aż zaczął wyglądać jak zadowolony z siebie, pijany ghul.

– Powiedział, że mamy nie zaczynać. Nigdy nie mówił, że nie możemy wdawać się w bójkę.

Szkarłatni rozmawiali w dialekcie rodzinnego miasta, układającym się płasko na języku i ściskającym dźwięki. Chociaż mówili głośno, z pewnością siebie, jaką dawało im bycie na własnym terytorium, czuli się także trochę niepewnie, ponieważ rzadko się teraz zdarzało, by Białe Kwiaty nie znały ich języka, a często ich akcent był nieodróżnialny od akcentu rodowitych mieszkańców Szanghaju.

Potwierdziło się to, gdy jeden z Białych Kwiatów uśmiechnął się szeroko i krzyknął:

– To co, zaczynacie walkę?

Wyższy Szkarłatny burknął coś gardłowo i splunął celnie w stronę Białych Kwiatów. Jego ślina wylądowała na bucie mężczyzny stojącego najbliższej.

W jednej chwili pojawiły się pistolety, ręce uniosły się i wyciągnęły pewnie, palce świerzbiły do naciśnięcia spustu. Scenki takie jak ta były w Szanghaju na porządku dziennym, natrafić na nie można było równie często, co na opiumistów buchających dymem ze swych grubych fajek.

– Hej! Hej!

Pełną napięcia ciszę przerwał policyjny gwizdek. Znieruchomiła nagle grupka mężczyzn z bronią w rękach nie zrobiła na funkcjonariuszu większego wrażenia. Identyczny obrazek widział już trzy razy w tym tygodniu. Wrzucał zwaśnione strony do cel w areszcie i wzywał ekipę sprzątającą, by zabrała z ulicy kolejne martwe, naszpikowane kulami ciało. Był dzisiaj zmęczony, chciał tylko wrócić do domu, wymoczyć stopy w gorącej wodzie i zjeść zimny posiłek, który żona zostawiła dla niego na stole. Chętnie by sięgnął po pałkę i wbił tym ludziom do głowy trochę zdrowego rozsądku, by przypomnieć im, że nie żywią do siebie żadnej osobistej urazy. Że kieruje nimi wyłącznie ślepa lojalność wobec rodzin Cai i Montagow. I ta właśnie lojalność miała doprowadzić ich do zguby.

– Zamierzacie przerwać to i wrócić do domów? – zapytał policjant. – Czy chcecie iść ze mną i...

Nagle urwał.

Od strony wody rozległ się ryk.

Nocne powietrze zelektryzowała prawdziwa groza, bez porównania silniejsza od strachu, jaki paraliżuje cię, gdy masz wrażenie, że jesteś śledzony gdzieś w opustoszałej uliczce w jakiejś szemranej dzielnicy. To uczucie było rzeczywiste, namacalne: niemalże parowało wilgocią osiadającą ciężko na nagiej skórze. Wszyscy znieruchomieli, czas jakby się zatrzymał, a nieuchronne zdawało się wisieć nad nimi niczym zatrzymany w pół drogi topór katedry. Niski i krępy Szkarłatny złamał się pierwszy i zerknął na brzeg promenady. Pochylił się, by lepiej przyjrzeć się mulistej głębinie. Zmrużył oczy, śledząc drobne, rozchodzące się szybko kręgi fal.

Był akurat odpowiedniej wysokości, żeby jego towarzysz mógł rzucić go na ziemię brutalnym uderzeniem łokcia w czoło, kiedy coś wystrzeliło z rzeki.

Masa drobnych czarnych kropek.

Niski mężczyzna jęknął z bólu, padając na ziemię, a świat wokół niego przesłonił deszcz mikroskopijnych stworów, których nie widział wyraźnie, ponieważ wirowało mu w głowie, a gardło ścisnęły mu mdłości. Czuł tylko swędzące ukłucia na rękach, nogach i szyi, słyszał krzyk swojego towarzysza i Białe Kwiaty ryczące coś w niezrozumiałym rosyjskim, a potem dobiegł go głos policjanta, wrzeszczącego po angielsku:

– Zabierzcie je! Zabierzcie je ode mnie!

Serce mężczyzny leżącego na ziemi waliło jak młotem. Sparaliżowany przez własny puls, przyciskał czoło do desek promenady, nie chcąc spojrzeć na to, co wywołało te straszliwe wrzaski. Bicie serca tłumiło wszystkie zmysły i dopiero gdy coś gęstego i mokrego chlusnęło mu na nogę, mężczyzna zerwał się z przerażeniem, przy czym zachwiał się tak gwałtownie, że aż zgubił but, po który nie zamierzał wracać.

Pędził na oślep, nie oglądając się za siebie. Wymachiwał ramionami, jakby oganiał się od atakujących szerszeni i otrzepywał się z tego, co na niego spadło, zachłystując się w desperackich próbach zaczerpnięcia oddechu.

Nie oglądał się, żeby sprawdzić, co kryło się pod wodą. Nie oglądał się, żeby sprawdzić, czy jego towarzysz nie potrzebuje pomocy, a już z pewnością nie oglądał się, żeby sprawdzić, co wilgotnego i lepkiego wylądowało na jego nodze. Mężczyzna tylko biegł i biegł przed siebie, mijając mrugające neony kin, wyświetlających niezbyt grzeczne filmy, mijając szepty rozkoszy wypływające spod drzwi burdeli, mijając domy, w których kupcy spali słodkim snem na stosach ukrytych pod materacami pieniędzy.

Tymczasem na portowym nabrzeżu pozostali już tylko martwi ludzie z rozerwanymi gardłami, wpatrujący się w nocne niebo szklistymi oczami, w których odbijał się księżyc.

ROZDZIAŁ 1

WRZESIEN 1926

W samym sercu terytorium Szkarłatnego Gangu znajdował się kabaret, w którym wypadało bywać. Kalendarz zwiastował koniec sezonu, a jego zerwane kartki odlatywały szybciej niż żółknące liście drzew. Czas jednocześnie spieszył się i włókł jak żółw, dni pozostawało coraz mniej, ale każdy ciągnął się o wiele za długo. Robotnicy zawsze się gdzieś spieszyli, niezależnie od tego, czy rzeczywiście mieli cel, do którego mogliby dążyć. W tle wciąż słychać było gwizdki, bezustannie rozbrzmiewał głuchy turkot tramwaju wlokącego się po podniszczonych torach, zagłębionych w ulicznej nawierzchni. Wokół czuć było odór zadawnionych urazów, przesiąkał całe dzielnice i wżerał się w pranie powiewające na wietrze niczym sklepowe banery przed stłoczonymi gęsto oknami mieszkań.

Dzisiaj było inaczej.

Kalendarz zatrzymał się na Święcie Środka Jesieni – dwudziestym drugim dniu miesiąca według zachodniej metody liczenia dni w roku. Kiedyś, zgodnie z tradycją, zapalano tego dnia lampiony i opowiadano szeptem o dawnych tragediach, aby uczcić to, co czcili przodkowie, z blaskiem księżycy odbijającym się w czarkach trzymanyh w dłoniach. Teraz nastała nowa epoka, która uważała się za lepszą od swoich poprzedniczek. Niezależnie od tego, na którym terytorium się znajdowali, mieszkańcy Szanghaju świętowali w nowoczesny sposób od bladego świtu, a gdy dzwony wybijały dziewiątą, święto zaczynało rozkręcać się na dobre.

Juliette Cai rozglądała się po wnętrzu klubu, wypatrując zarzewia kłopotów. Wokół panował półmrok i mimo migoczących pod sufitem żyrandoli nastrój był ponury, a powietrze gęste, przepełnione wilgocią. Zapach stęchlizny przyplływał do Juliette falami. Kiepski stan lokalu nie psuł jednak humoru gościom, siedzącym przy rozlicznych okrągłych stolikach rozstawionych po sali w nieregularnych odstępach. Ludzie nie zwracali uwagi na niedogodności, byli zbyt pochłonięci bezustannym ruchem. Pary szeptały ponad taliami tarota, mężczyźni potrząsali z wigorem dłońmi towarzyszy, kobiety przechylały głowy i wzdychały, chichotały lub piszczały, reagując na historię opowiadaną w migoczącym blasku gazowych lamp.

– Wydajesz się przygnębiona.

Juliette nie odwróciła się w pośpiechu, aby rozpoznać osobę, która wypowiedziała te słowa. Nie musiała tego robić. Niewiele osób odezwałoby się do niej po angielsku, a co dopiero z płaskim akcentem macierzystego chińskiego i naleciałościami wpojonego w dzieciństwie francuskiego.

– Jestem przygnębiona. Przygnębienie to moja natura. – Dopiero teraz odwróciła głowę i uniosła kąciki warg, spoglądając na kuzynkę zmrużonymi oczami. – Czy ty nie wchodzisz zaraz na scenę?

Rosalind Lang wzruszyła ramionami i splótła ręce, a jadeitowe bransolety na jej szczupłych brązowych nadgarstkach zagrały dzwoneczkami, uderzając jedna o drugą.

– Nie złącz przedstawię beze mnie – prychnęła. – Nie mam się o co martwić.

Juliette rozejrzała się po klubie, tym razem w konkretnym celu. Zauważyła Kathleen, bliźniaczą siostrę Rosalind, przy stoliku w głębi sali. Jej druga kuzynka trzymała tacę pełną talerzy i wpatrywała się w brytyjskiego kupca, który próbował zamówić alkohol, pomagając sobie zamaszystymi gestami. Rosalind miała podpisany stały kontrakt na taniec w klubie, Kathleen zaś pojawiała się, kiedy była znudzona, żeby popracować trochę w charakterze kelnerki i w zasadzie dla rozrywki przyjąć jako wynagrodzenie nędzne grosze.

Juliette z westchnieniem wyciągnęła zapalniczkę, żeby zająć czymś dłonie. Zapalała i gasiła płomyk w rytm muzyki kołyszącej salą. Zamachała niedużym srebrnym przedmiotem pod nosem kuzynki.

– Chcesz?

Rosalind w odpowiedzi wyciągnęła papierosa, ukrytego gdzieś w fałdach ubrania.

– Przecież ty nie palisz – powiedziała, kiedy Juliette przechyliła zapalniczkę w dół. – Po co nosisz coś takiego?

– Znasz mnie – odparła z kamienną twarzą Juliette. – Zawsze w ruchu. Żyję pełnią życia. Podpalam, co się da.

Rosalind wciągnęła porcję dymu i przewróciła oczami.

– Jasne.

Strój, w którym Juliette ukrywała zapalniczkę, był nietuzinkowy. Podobnie jak Rosalind i większość dziewczyn w klubie – zarówno tancerek, jak i gości – miała na sobie eleganckie qipao zgodnie z modą, która szerzyła się w Szanghaju z prędkością pożaru. Ze skandalicznymi rozcięciami po bokach, odsłaniającymi nogę od kostki do połowy uda, oraz wysoką stójką kojarzącą się z obrozą, sukienki noszone przez współczesne kobiety łączyły zachodnią ekstrawagancję ze wschodnimi korzeniami.

Juliette znakomicie wpisywała się w nową modę. Drobne paciorki na pozbawionej kieszonek sukience kołysały się z każdym jej ruchem, podkreślając jej starannie wypracowany wizerunek flapperki. Wyróżniała się wyglądem, to pewne. Była jasną, płonąącą gwiazdą, symbolem żywotności Szkarłatnego Gangu.

Juliette i Rosalind spojrzały w milczeniu na scenę, na której artystka nuciła piosenkę w języku, jakiego żadna z nich nie znała. Śpiewaczka miała prześliczny głos, a jej suknia migotała, kontrastując z ciemną skórą. Nie był to jednak rodzaj widowiska, z jakiego słynął ten kabaret, więc nie słuchał jej nikt oprócz dwóch dziewczyn z tyłu sali.

– Nie powiedziałaś mi, że dzisiaj tu będziesz – odezwała się po chwili Rosalind, wydmuchując przy tym potężne kłęby papierosowego dymu. W jej głosie kryła się uraza, jakby fakt, że Juliette nie poinformowała jej wcześniej o swoich planach, był do niej niepodobny. Juliette, która wróciła do Szanghaju tydzień temu, nie była tą samą dziewczyną, którą jej kuzynka zegnała cztery lata wcześniej. Zmiany zaszły jednak po obu stronach. Zanim jeszcze przestąpiła próg domu, Juliette już usłyszała plotki o kwiecistym sposobie wypowiedzianiu się Rosalind oraz jej naturalnej klasie. Po czterech latach spędzonych z dala od domu Juliette musiała zrewidować swoje wspomnienia. Nic, co zapamiętała, nie wytrzymało próby czasu. Miasto odmieniło siebie, a każdy, kto w nim pozostawał, bezustannie podążał naprzód, także bez Juliette. W szczególności jej kuzynka Rosalind.

– To była decyzja podjęta w ostatniej chwili. – Na drugim końcu klubu brytyjski kupiec, gestykulując zawzięcie, próbował wyjaśnić Kathleen, o co mu chodzi. Juliette wskazała Rosalind tę scenkę. – *Bàba* ma już dosyć kupca Waltera Dextera, który natarczywie domaga się spotkania, więc jestem tutaj, żeby się dowiedzieć, czego chce.

– To nudne – stwierdziła Rosalind. Jej ton zawsze był odrobinę uszczypliwy, nawet gdy mówiła z pozoru monotannie. Na ustach Juliette zagościł lekki uśmiech. Nawet jeśli Rosalind wydawała się kimś obcym, choć jednocześnie znajomym, to przynajmniej brzmiała tak samo jak kiedyś. Juliette przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że znowu są małymi dziewczynkami, docinającymi sobie co i raz najbardziej obraźliwymi obelgami.

Pociągnęła wyniośle nosem i udała, że jest urażona.

– Nie wszystkie możemy być paryskimi tancerkami.

– Wiesz co, możesz przejąć mój numer, a ja w zamian za to zostanę dziedziczką szanghajskiego podziemia.

Juliette parsknęła śmiechem, krótkim i donośnym. Jej kuzynka się zmieniła. Wszystko się zmieniło. Ale Juliette szybko nadrabiała stracony czas.

Westchnęła cicho i odepchnęła się od ściany, o którą się opierała.

– No dobra – powiedziała, zatrzymując spojrzenie na Kathleen. – Obowiązki wzywają. Do zobaczenia w domu.

Rosalind pomachała jej na pożegnanie, rzuciła papierosa na ziemię i zgmiotła niedopałek pantoflem na szpilce. Juliette powinna skarcić ją za to, ale podłoga i tak już była koszmarnie brudna, więc jaki to miało sens? Od momentu, kiedy Juliette weszła do kabaretu, na jej podeszwach rozsmarowało się prawdopodobnie pięć rodzajów opium. Pozostawało jej tylko stąpać ostrożnie i mieć nadzieję, że pokojówki nie uszkodzą skóry pantofli, kiedy będą je czyścić wieczorem.

– Ja się tym zajmę.

Kathleen z zaskoczeniem uniosła głowę, a jadeitowy wisior na jej szyi zaśnił w blasku lamp. Rosalind zawsze powtarzała siostrze, że ktoś kiedyś spróbuje zerwać jej ten cenny kamień noszony tak ostentacyjnie, ale Kathleen go lubiła. Mówiła, że jeśli ludzie mają się gapić na jej szyję, to woli, żeby robili to z powodu wisiora, a nie widocznego ponad nim jabłka Adama.

Zdziwienie na jej twarzy szybko przemieniło się w uśmiech, kiedy rozpoznała Juliette, która zajęła miejsce naprzeciwko brytyjskiego kupca.

– Proszę mnie zawołać, jeśli będę mogła czymś służyć – odezwała się słodko Kathleen nienaganną angielszczyzną z francuskim akcentem.

Kiedy się oddalała, Walter Dexter patrzył za nią z otwartymi ustami.

– Ona mnie od początku rozumiała?

– Niech się pan nauczy, panie Dexter – zaczęła Juliette, podnosząc stojącą na środku stolika świecę, żeby powąchać wonny воск – że jeśli będzie pan zakładał, że ktoś nie potrafi mówić po angielsku, narazi się pan na śmieszność.

Walter zamrugał i przechylił głowę, jakby zastanawiając się nad tym, kto przed nim stoi. Przeanalizował krój sukienki dziewczyny, jej amerykański akcent i znajomość jego nazwiska.

– Juliette Cai – doszedł do wniosku. – Spodziewałem się pani ojca.

Szkarłatny Gang był w pewnym sensie przedsiębiorstwem rodzinnym, chociaż nie wszyscy jego członkowie należeli do rodziny. Rodzina Cai stanowiła jego bijące serce, sam gang składał się z sieci gangsterów, kurierów oraz najróżniejszych handlarzy i pośredników, z których każdy podlegał lordowi Cai. Cudzoziemcy nazywali Szkarłatnych tajnym stowarzyszeniem.

– Mój ojciec nie ma czasu dla kupców o wątpliwej przeszłości – odparła Juliette. – Jeśli to ważne, przekażę mu wiadomość.

Niestety wszystko wskazywało na to, że Walter Dexter jest bardziej zainteresowany towarzyskimi pogawędkami niż robieniem interesów.

– Słyszałem swego czasu, że postanowiła pani zamieszkać w Nowym Jorku.

Juliette odstawiała świecę na stolik. Płomyk zamigotał, rzucając upiorne cienie na twarz kupca w średnim wieku. Blask ognia pogłębiał tylko bruzdy na jego wiecznie zmarszczonym czole.

– Niestety zostałam wysłana na Zachód tylko po to, aby odebrać wykształcenie – powiedziała Juliette, siadając wygodnie na kanapie z wygiętym oparciem. – W pewnym momencie uznano, że jestem dość dorosła, aby zacząć pomagać w rodzinnym interesie, i zostałam przywleczone jak kurczak na rzeź.

Kupiec nie roześmiał się, jak oczekiwała Juliette. Postukał się tylko palcem w skroń, wichrząc przetykane siwizną włosy.

– Wydawało mi się, że wróciła tu już pani na krótko kilka lat temu.

Juliette pobladła, słysząc te słowa. Goście przy jednym ze stolików za jej plecami wybuchnęli donośnym śmiechem w reakcji na komentarz rzucony przez jednego z nich. Dźwięk załaskotał Juliette w szyję, gorący pot pokrył jej skórę. Poczekala, aż mężczyźni się uciszą, wykorzystując ten czas na zastanowienie, co odpowiedzieć brytyjskiemu kupcowi.

– Tylko raz – odparła ostrożnie. – Nowy Jork nie był zbyt bezpiecznym miejscem podczas Wielkiej Wojny. Rodzina martwiła się o mnie.

Kupiec nie zamierzał porzucać rozpoczętego tematu.

– Wojna zakończyła się osiem lat temu. Pani zaś wróciła do Szanghaju przed czterema laty – stwierdził zaczepnym tonem.

Uprzejmy uśmiech zniknął z twarzy Juliette. Odgarnęła przycięte na boba włosy.

– Panie Dexter, czy jesteśmy tutaj, aby omawiać pańską obszerną znajomość mojego życia prywatnego, czy też to spotkanie ma jakiś konkretny cel? Walter pobladł.

– Przepraszam, panno Cai. Mój syn jest w pani wieku, więc tak się składa, że wiem... – Urwał w pół zdania, zauważając spojrzenie Juliette.

Odchrząknął. – Chciałem umówić się na spotkanie z pani ojcem w sprawie nowego produktu.

Mimo tak niejasnego sformułowania w jednej chwili stało się oczywiste, o co chodziło Walterowi Dexterowi. Szkarłatny Gang był organizacją przestępczą, a gangsterzy – aktywnymi graczami na czarnym rynku. A ponieważ Szkarłatni dominowali w Szanghaju, nie powinno nikogo dziwić, że dominowali także na czarnym rynku: decydowali o tym, kto się pojawiał, a kto zniknął, komu pozwalano prosperować, a kto musiał paść trupem.

W dzielnicach miasta, nadal należących do Chińczyków, Szkarłatny Gang nie tylko stał ponad prawem, ale też stanowił prawo. Bez gangsterów nikt nie chroniłby kupców. Bez kupców gangsterzy nie mieliby celu ani stałego zajęcia. I byłoby to partnerstwo idealne, gdyby nie zagrożenie ze strony rosnących w potęgę Białych Kwiatów, jedyne go gangu w Szanghaju, który miał realną szansę przełamać monopol Szkarłatnych na czarnym rynku. W końcu pracowali na to od pokoleń.

– Produkt, hm? – powtórzyła Juliette. Machinalnie przesunęła wzrok na estrady, gdzie zaczął się kolejny numer. Reflektor przygasł, gdy rozległy się pierwsze dźwięki saksofonu. Na scenę wkroczyła dumnie Rosalind w nowym olśniewającym kostiumie. – Pamięta pan, co się wydarzyło, kiedy poprzednim razem Brytyjczycy postanowili sprzedawać w Szanghaju „nowy produkt”?

Walter zmarszczył brwi.

– Czy ma pani na myśli wojny opiumowe?

Juliette przyjrzała się swoim paznokciom.

– Zaiste, czy to właśnie mam na myśli?

– Nie może mnie przecież pani obwiniać o coś, za co odpowiada mój kraj.

– Och, czyli to tak nie działa?

Tym razem to Walter spojrzął na nią z grymasem niezadowolenia. Tymczasem na scenie zaszeleściły fałdy spódnicy i błysnęło odsłonięte ciało.

– Niezależnie od wszystkiego zamierzam uzyskać wsparcie Szkarłatnego Gangu. Mam hurtowe ilości lernikromu, których chciałbym się pozbyć, a to z pewnością będzie kolejny najbardziej poszukiwany opioid na rynku. – Walter odchrząknął. – O ile wiem, poszukujecie obecnie czegoś, co da wam przewagę.

Juliette pochyliła się do przodu, a paciorki na jej sukience, poruszone gwałtownie, zadzwoniły chaotycznie, zakłócając jazzową melodię w tle.

– A pan naprawdę uważa, że właśnie pan mógłby dać nam tę przewagę?

Bezustanna próba sił pomiędzy Szkarłatnym Gangiem a Białymi Kwiatami nie stanowiła dla nikogo tajemnicy. Wręcz przeciwnie, ponieważ wojna gangów nie ograniczała się do tych, którzy nosili nazwisko Cai lub Montagow. Była sprawą, którą szeregowi członkowie, lojalni wobec jednego z gangów, traktowali osobiście, z nadnaturalną wręcz żarliwością. Cudzoziemcy, którzy po raz pierwszy przybywali do Szanghaju w interesach, na samym początku zostawali ostrzeżeni: muszą obrać stronę i zrobić to szybko. Jeśli raz sprzedadzą coś Szkarłatnemu Gangowi, staną się Szkarłatni do szpiku kości. Będą mile widzianymi gośćmi na terytorium Szkarłatnych i zostaną zamordowani, jeśli zabłądzą do dzielnic, w których dominują Białe Kwiaty.

– Myślę – odezwał się cicho Walter – że Szkarłatny Gang traci kontrolę nad własnym miastem.

Juliette usiadła prosto. Zacisnęła pod stolikiem pięści, aż krew odpłynęła ze skóry na kłykciach. Cztery lata temu spoglądała na Szanghaj rozgwieżdżonymi oczami i patrzyła z nadzieją na Szkarłatny Gang. Nie rozumiała tego, że miasto było w pewnym sensie obce we własnym kraju. Teraz już to wiedziała. Brytyjczycy rządili jedną jego częścią, Francuzi inną, a rosyjskie Białe Kwiaty przejmowały te dzielnice, które teoretycznie pozostawały pod władaniem Chińczyków. Od dawna spodziewano się utraty kontroli, ale Juliette prędzej odgryzłaby sobie język, niż przyznała rację kupcowi, który niczego nie rozumiał.

– Skontaktujemy się z panem w sprawie pańskiego produktu, panie Dexter – powiedziała po dłuższej chwili i uśmiechnęła się swobodnie. Odetchnęła niedostrzegalnie, aby złagodzić napięcie, które zacisnęło jej żołądek do progu bólu. – Proszę mi teraz wybaczyć...

We wnętrzu klubu zapanowała cisza, więc głos Juliette nagle stał się zbyt donośny. Walter wybałuszył oczy na coś, co zobaczył za jej plecami.

– A niech mnie – stwierdził. – Toż to jeden z tych bolszewików.

Słowa kupca sprawiły, że Juliette przeszło lodowate zimno. Odwróciła się powoli, żeby zobaczyć to, co ujrział Walter Dexter. Najpierw dostrzegła tylko w dym i cienie tańczące przy wejściu do klubu.

Proszę, byle nie on, błagała w myślach. *Każdy, byle nie...*

W oczach jej się zaćmiło. Przez jedną przerażającą sekundę oś świata przechyliła się, a Juliette ledwie utrzymywała się na powierzchni ziemi, czując, że zaraz runie gdzieś w dół. Potem podłoga wróciła do właściwej pozycji, a Juliette mogła znowu oddychać. Wstała, odchrząknęła i skoncentrowała wszystkie siły na tym, żeby jej głos wydawał się możliwie najbardziej znudzony.

– Montagowowie wyemigrowali z Rosji na długo przed rewolucją październikową, panie Dexter – oznajmiła.

Zanim ktokolwiek zdążył ją zauważyć, Juliette wycofała się w cień, gdzie ciemność ścian przyćmiła błyskotki na jej sukience, a zawilgocone deski stłumiły stukot obcasów. Te środki ostrożności były zbędne. Wszyscy zgromadzeni nie odrywali wzroku od Romy Montagowa, który wkroczył w głąb sali. Ten jeden raz nikt nie zwracał uwagi na występ Rosalind.

Na pierwszy rzut oka można było pomyśleć, że szok, unoszący się ponad okrągłymi stolikami, spowodowało pojawienie się nowego cudzoziemca. Ale w tym kabarecie bywało wielu cudzoziemców, zaś Roma, z ciemnymi włosami, ciemnymi oczami i bladą skórą, mógł wtopić się pomiędzy Chińczyków tak naturalnie, jak pomalowana na czerwono biała róża pomiędzy maki. Nie chodziło o to, że Roma Montagow był cudzoziemcem. Chodziło o to, że następca bossa Białych Kwiatów był doskonale rozpoznawalny jako wróg na terytorium Szkarłatnego Gangu. Juliette kątem oka dostrzegała już poruszenie – pistolety wyciągane z kieszeni, sterczące ostrza noży, ciała stężełe w nienawiści.

Juliette wyłoniła się z cienia i uniosła rękę, dając znak najbliższemu stolikowi. Przekaz był prosty: *czekać*.

Gangsterzy znieruchomieli, spoglądając niepewnie po sobie. Czekali, udając, że wciąż są pogrążeni w rozmowie, podczas gdy Roma Montagow mijał kolejne stoliki, rozglądając się po ludziach z uwagą, z przymrużonymi oczami.

Juliette zaczęła powoli wyłaniać się z cienia. Przycisnęła dłoń do gardła i zmusiła się, by przełknąć tkwiącą w nim kulę i oddychać równo, aż w końcu pokonała panikę i przywołała na twarz olśniewający uśmiech. Kiedyś Roma potrafił przejrzeć ją na wylot, ale od tego czasu minęły cztery lata. Zmienił się. Podobnie jak ona.

Juliette wyciągnęła dłoń i dotknęła od tyłu jego marynarkę.

– Witaj, nieznamy.

Roma odwrócił się. Wydawało się, że przez moment nie wiedział, na kogo patrzy. Wpatrywał się w nią oczami pustymi jak przejrzyste szkło, całkowicie nierozumiejącymi.

Aż w końcu widok dziedziczki Szkarłatnych spadł na niego jak wiadro lodowatej wody. Odetchnął głęboko.

Ostatni raz widział ją, gdy mieli po piętnaście lat.

– Juliette! – zawołał odruchowo, ale przecież nie byli już tak blisko, aby mówić sobie po imieniu. Od dawna już nie byli tak blisko.

Roma odchrząknął.

– Panno Cai. Kiedy wróciła pani do Szanghaju?

„Nigdy stąd nie wyjeżdżałam” – miała ochotę odpowiedzieć Juliette, ale to nie byłaby prawda. Jej serce i duch pozostały tutaj, a myśli wciąż obracały się wokół chaosu, niesprawiedliwości i płonącej furii, która zrodziła się na ulicach jej rodzinnego miasta. Za to jej ciało zostało wyprawione za ocean

dwukrotnie, dla jej bezpieczeństwa. Nienawidziła tego, nienawidziła bycia daleko z taką intensywnością, że to uczucie przepalało ją jak gorączka każdego wieczoru, gdy opuszczała przyjęcia i podziemne bary. Szanghaj ciążył jej jak przybita do głowy stalowa korona. W innym świecie, gdyby miała wybór, być może odeszłaby, odrzuciła rolę dziedziczki imperium gangsterów i handlarzy. Ale od początku nie miała wyboru. To było jej życie, jej miasto, jej ludzie, a ponieważ ich kochała, dawno już poprzysięgła sobie, że będzie doskonała w roli tej, którą musiała być, ponieważ nie mogła być nikim innym.

„To wszystko twoja wina” – chciała powiedzieć. „Ty jesteś powodem, dla którego zostałam zmuszona do życia z dala od tego miasta. Od moich ludzi i mojej krwi”.

– Wróciłam jakiś czas temu – skłamała gładko, opierając się biodrem o niezajęty stolik po lewej stronie. – Panie Montagow, proszę mi wybaczyć ciekawość, ale co pan tutaj robi?

Zauważyła, jak Roma ledwie dostrzegalnie przesuwając dłońmi po spodniach i domyśliła się, że sprawdza swoją ukrytą broń. Obserwowała, jak się jej przygląda, poszukując właściwych słów. Juliette miała czas, żeby się przygotować: siedem dni i siedem nocy od przyjazdu do tego miasta, żeby wymazać z głowy wszystko, co się tutaj między nimi wydarzyło. Nie wiedziała, czego szukał Roma w kabarecie, w którym postanowił się pojawić tego wieczoru, ale z pewnością nie była to ona.

– Muszę porozmawiać z lordem Cai – powiedział w końcu Roma, splatając dłonie za plecami. – To ważne.

Juliette zrobiła krok w jego stronę. Jej palce znowu natrafiły na zapalniczkę ukrytą w zakamarku sukienki. Gładziła kciukiem kółko, a myśli huczały jej w głowie. Roma wymówił „Cai” jak cudzoziemski kupiec, otwierając szeroko usta. Chińczycy i Rosjanie wymawiali „Cai” z miękkim „C”, brzmiącym jak zapalana zapałka. Ta zniekształcona wymowa była celowym działaniem ze względu na sytuację. Juliette mówiła płynnie po rosyjsku, Roma mówił płynnie w odrębnym dialekcie szanghajskim, a mimo to rozmawiali teraz po angielsku z różnymi akcentami jak dwójka zwyczajnych kupców. Przejście na jeden z ich ojczystych języków byłoby swego rodzaju oddaniem pola, więc woleli spotkać się na neutralnym gruncie.

– Domyślam się, że to ważne, skoro przyszedł pan aż tutaj. – Juliette wzruszyła ramionami i wypuściła zapalniczkę. – Proszę zamiast tego porozmawiać ze mną, a ja przekażę wiadomość. Jak dziedzic z dziedziczką, panie Montagow. Może mi pan chyba zaufać, prawda?

To pytanie budziło pusty śmiech. Jej słowa mogły mówić co innego, ale zimne, nieustępliwe spojrzenie miało własny przekaz: „Jeden fałszywy ruch na moim terytorium, a zabiję cię gołymi rękami”. Była ostatnią osobą, której on by zaufał, i vice versa.

Czegokolwiek jednak potrzebował Roma, sprawa musiała być poważna. Nie próbował się z nią spierać.

– Czy możemy...?

Machnął ręką w bok, wskazując cienie i słabo oświetlony kąt, gdzie mniej gapiów mogłoby ich obserwować. Juliette zacisnęła wargi, okręciła się na pięcie i skierowała w głąb klubu. Poszedł za nią bez wahania, jego szybkie i równe kroki rozlegały się tuż za nią. Zdawało się, że paciorki sukienki Juliette podzwaniają w gniewnym poruszeniu.

Nie wiedziała, dlaczego zawraca sobie nim głowę. Mogła zostawić go swoim Szkarłatnym i pozwolić, żeby się nim zajęli.

Nie, zdecydowała. To ja się nim zajmę. To ja go zniszczę.

Juliette się zatrzymała. Tylko ona i Roma Montagow byli tu i teraz, wszystkie dźwięki stały się przytłumione, a obrazy przyćmione. Potarła nadgarstek, starając się zmusić puls, żeby zwolnił, jakby to było coś, nad czym miała kontrolę.

– Proszę mówić – rzuciła.

Roma rozejrzał się ukradkiem na boki. Pochylił głowę, zanim się odezwał głosem tak ściszym, że Juliette z trudem go słyszała. Musiała wysilić słuch, ale nie zamierzała się do niego zbliżać.

– Zeszłej nocy pięciu członków Białych Kwiatów zginęło w porcie. Mieli rozerwane gardła.

Juliette zamruła.

– No i?

Nie chciała zabrzmieć bezdusznie, ale członkowie obu gangów zabijali się nawzajem każdego tygodnia, czasem każdego dnia. Sama Juliette przyczyniła się do zwiększenia liczby ofiar. Jeśli zamierzał oskarżać jej Szkarłatnych, to tracił czas.

– Oprócz nich – powiedział przez zaciśnięte zęby Roma, wyraźnie przetykając „daj mi skończyć” – był tam także jeden z waszych. I municypalny policjant. Brytyjczyk.

Teraz Juliette zmarszczyła lekko brwi i spróbowała przypomnieć sobie, czy poprzedniego wieczoru w domu słyszała kogoś mówiącego coś o śmierci Szkarłatnego. Rzadko się zdarzało, by oba gangi pozostawiły ciała na ulicy, ponieważ większa liczba trupów oznaczała zazwyczaj zasadzkę. Prawie nigdy ofiarą nie był policjant. Nie nazwałaby tego jednak czymś niespotykanym. Uniosła więc lekko brwi i spojrzała obojętnie na Romę, który kontynuując relację, oznajmił:

– Wszystkie rany były wynikiem samookaleczenia. To nie wygląda na zwykły zatarg terytorialny.

Juliette potrząsnęła głową, pochylając ją na bok, żeby upewnić się, że dobrze go usłyszała. Kiedy sprawdziła już, że nic nie utkwilo jej w uchu, zapytała:

– Siedem trupów ze śladami po samookaleczeniu?!

Roma skinął głową. Ponownie rzucił spojrzenie na to, co znajdowało się za jej plecami, jakby sam fakt, że miał oko na gangsterów przy stolikach, mógł ich powstrzymać przed zaatakowaniem go. Być może starał się unikać patrzenia prosto na Juliette.

– Jestem tutaj w poszukiwaniu wyjaśnień. Czy pani ojciec nic o tym nie wie?

Juliette prychnęła z pogardą i nienawiścią. Czy on chciał jej powiedzieć, że pięciu z Białych Kwiatów, jeden Szkarłatny oraz policjant spotkali się w porcie i rozerwali sobie gardła? To brzmiało jak wstęp do okropnego żartu pozbawionego puenty.

– Nie możemy panu pomóc – oznajmiła Juliette.

– Każda informacja może być kluczowa w ustaleniu, co się stało, panno Cai – nalegał Roma. Kiedy był zirytowany, pomiędzy jego brwiami tworzyła się niewielka bruzda przypominająca sierp księżycy. Pojawiła się i teraz. W tych śmierciach musiało chodzić o coś więcej, niż powiedział. Zwyczajna zasadzka tak by go nie wytrąciła z równowagi. – Wśród zabitych był jeden z waszych...

– Nie będziemy współpracować z Białymi Kwiatami – ucięła Juliette. Wszelkie udawane rozbawienie już dawno zniknęło z jej twarzy. – Proszę pozwolić, że wyrażę się całkowicie jasno. Niezależnie od tego, czy mój ojciec wie coś o tych ofiarach, nie będziemy dzielić się tymi informacjami z wami i nie będziemy nawiązywać żadnych kontaktów, które mogłyby stanowić przeszkodę w prowadzonych przez nas interesach. Życzę panu dobrego dnia.

Roma został jednoznacznie odprawiony, ale mimo to nie ruszył się z miejsca i wpatrywał się w Juliette z taką złością, jakby właśnie zjadł cytrynę. Ona zaś odwróciła się na pięcie i już zamierzała odejść, kiedy Roma wyszeptał z wściekłością:

– Co się z tobą stało?

Mogła udzielić wielu różnych odpowiedzi. Mogła zawrzeć w słowach całą śmiercionośną truciznę, jaka nagromadziła się w niej podczas lat nieobecności tutaj, i wypluć ją na niego. Mogła przypomnieć mu, co zrobił cztery lata temu, wbić w niego ostrze poczucia winy aż do krwi. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, w klubie rozległ się wrzask, tłumiąc wszystkie inne dźwięki, jakby został wydany na jakiejś nieludzkiej częstotliwości.

Tancerki na scenie zamarły, muzyka umilkła w pół taktu.

– Co się dzieje? – mruknęła do siebie Juliette. Kiedy chciała to sprawdzić, Roma syknął ostro i złapał ją za łokieć.

– Juliette, nie idź tam.

Jego dotyk wstrząsnął nią jak bolesne oparzenie. Wyrwała rękę szybciej, niż gdyby naprawdę dotknęła płomienia, i spojrzała na mężczyznę oczami pełnymi furii. Nie miał prawa. Utracił prawo do tego, by udawać, że kiedykolwiek chciał ją chronić.

Juliette pomaszzerowała na drugi koniec klubu, ignorując Romę, który podążył jej śladem. Odgłosy paniki stawały się coraz głośniejsze, chociaż Juliette nie mogła zrozumieć, co wywołuje taką reakcję, dopóki nie przedostała się do centrum całego zamieszania, przepchnąwszy się brutalnie przez tłum gapiów.

Zobaczyła mężczyznę, który miotał się na podłodze, drapiąc się gwałtownie po grubej szyi.

– Co on wyprawia?! – wrzasnęła Juliette i postąpiła krok do przodu. – Niech ktoś go powstrzyma!

Ale paznokcie mężczyzny zdążyły się już zagłębić w mięśniach. Nieszczęśnik szarpał swoje gardło ze zwierzęcą siłą, jakby coś tkwiło w środku, jakby coś niewidocznego dla innych pełzało pod jego skórą. Coraz głębiej i głębiej, aż zanurzył w ciele całe palce i zaczął wyszarpywać ścięgna, żyły i tętnice.

W klubie zapanowała całkowita cisza. Słychać było tylko szczątki oddechu niskiego, krępego mężczyzny, który leżał na podłodze z gardłem rozszarpanym na strzępy i dłońmi ociekającymi krwią.

ROZDZIAŁ 2

Cisza przemieniła się we wrzaski, wrzaski przemieniły się w chaos, a Juliette zwinęła błyszczące rękawy, zacisnęła usta i zmarszczyła brwi.

– Panie Montagow! – powiedziała, przekrzykując zgiełk. – Powinien pan już iść.

Juliette skinęła na stojących najbliżej Szkarłatnych, żeby podeszli do niej. Posłuchali, ale z dziwnym wyrazem twarzy, który uznała niemal za obraźliwy, dopóki – dwa uderzenia serca później – nie zamrugała i nie obejrzała się przez ramię. Roma nadal tkwił za jej plecami, nie zamierzając wyjść. Wręcz przeciwnie, wyminął ją, jakby to miejsce należało do niego, przykucnął przy umierającym mężczyźnie i z niewiadomych powodów zaczął się przyglądać jego butom.

– Na litość boską – mruknęła Juliette półgłosem. Wskazała Romę dwójce Szkarłatnych. – Wyprowadźcie go.

Tylko na to czekali. Jeden z nich natychmiast brutalnie popchnął następcę bossa Białych Kwiatów, zmuszając go, żeby się podniósł z klęczek. Roma syknął, starając się uniknąć upadku na zakrwawioną podłogę.

– Powiedziałam: „wyprowadźcie go” – warknęła Juliette do podwładnego. – Dzisiaj jest Święto Środka Jesieni. Nie zachowuj się jak barbarzyńca.

– Ale, panno Cai... – bąknął jeden ze Szkarłatnych.

– Sama pani widzi – wtrącił Roma zimno, wskazując umierającego mężczyznę. Odwrócił się i zaczął się w nią wpatrywać. Zupełnie jakby w zasięgu jego wzroku nie było nikogo oprócz Juliette, jakby dwaj gangsterzy nie przyglądali mu się z wściekłością, jakby cały klub nie rozbrzmiewał panicznymi krzykami, a ludzie nie miotali się chaotycznie, omijając rosnącą kałużę krwi. – Właśnie to wydarzyło się zeszłej nocy. To nie jest pojedynczy wypadek, to szaleństwo...

Juliette westchnęła i machnęła ręką. Dwaj Szkarłatni ujęli Romę mocno pod ramiona, co sprawiło, że ten ze słyszalnym stuknięciem zacisnął zęby i przełknął dalsze słowa. Nie mógł zrobić sceny na terytorium Szkarłatnych. I tak miał szczęście, że mógł odejść bez kulki wpakowanej w plecy. Wiedział o tym. Tylko dlatego tolerował przytrzymujących go gangsterów, których zabiłby, gdyby spróbowali tego na ulicy.

– Dziękuję panu za wyrozumiałość – syknęła Juliette.

Roma bez słowa pozwolił się wywlec na zewnątrz. Juliette patrzyła za nim zmrużonymi oczami i dopiero gdy miała już pewność, że został wypchnięty za drzwi kabaretu, skoncentrowała się na tym, co miała przed sobą. Z westchnieniem zrobiła jeszcze krok i przyklękła ostrożnie przy umierającym mężczyźnie.

Przy takiej ranie nie było szans na ratunek. Nadal sączyła się z niej krew, powiększając pulsującymi falami czerwoną kałużę na podłodze. Poplamiła także z pewnością sukienkę Juliette, ale ona niemal nie zwróciła na to uwagi. Mężczyzna próbował coś powiedzieć. Juliette go nie słyszała.

– Najlepiej pani robi, skracając jego cierpienia.

Walter Dexter zbliżył się i spoglądał teraz przez ramię Juliette z zagadkowym wyrazem twarzy. Nie ruszył się o krok nawet wtedy, gdy kelnerki zaczęły odsuwać tłum, by jakoś odgrodzić miejsce tragedii, pokrzykując przy tym na gapiów, żeby się rozeszli. Ku irytacji Juliette, żaden ze Szkarłatnych nie spróbował odciągnąć Waltera: kupiec wyglądał jak ktoś, kto ma absolutne prawo tu być. Juliette spotkała w Ameryce wielu podobnych do niego mężczyzn. Mężczyzn, którzy uważali, że mogą iść, dokąd tylko zechcą, ponieważ świat został stworzony po to, aby traktować priorytetowo ich cywilizowaną etykietę. Ten rodzaj pewności siebie nie znał granic.

– Cisza – warknęła Juliette i nachyliła się bliżej do umierającego mężczyzny. Gdyby chciał wypowiedzieć jakieś ostatnie słowa, z pewnością zasługuwały na to, by ich wysłuchać.

– Widziałem to już wcześniej. To delirium z uzależnienia. Być może spowodowane metamfetaminą lub...

– Cisza!

Juliette wyteżyła słuch, aż dotarły do niej dźwięki płynące z ust umierającego, a otaczająca ją histeria przycichła, stając się pogłosem w tle.

– *Guài. Guài. Guài.*

Guài?

Juliette czuła, że kręci jej się w głowie, kiedy gorączkowo poszukiwała słów przypominających to, co powtarzał mężczyzna. Jedyne, które mogłoby mieć sens...

– Potwór? – zapytała, ściskając jego ramię. – Czy to chcesz powiedzieć?

Mężczyzna znieruchomiał, a jego spojrzenie na moment stało się zaskakująco przytomne. Połykając słowa, powiedział szybko:

– *Huò bù dān xíng.*

Po tym jednym wdechu, wydechu i ostrzeżeniu jego oczy się zaszklily.

Juliette machinalnie wyciągnęła rękę i zamknęła mu powieki. Zanim zdążyła się zastanowić nad słowami martwego mężczyzny, podeszła do nich Kathleen i przykryła ciało obrusem. Wystawały spod niego tylko stopy w zniszczonych butach, w które wcześniej wpatrywał się Roma.

Są nie do pary, zauważyła nagle Juliette. Jeden but był gładki i wypolerowany, nadal lśniący po wypastowaniu, drugi o wiele za mały i zupełnie innego koloru, z tkaniny przytrzymywanej cienkim kawałkiem sznurka, owiniętym wokół palców.

Dziwne.

– O co chodziło? Co on powiedział?

Walter nadal stał jej nad głową. Najwyraźniej nie rozumiał, że to właściwy moment, żeby się pożegnać. Nie obchodziło go, że Juliette patrzy przed siebie, oszołomiona, i zastanawia się, w jaki sposób Roma zaplanował swoją wizytę, żeby zbiegła się w czasie z tą śmiercią.

– Nieszczęścia przychodzą zazwyczaj jednocześnie. – Juliette przetłumaczyła słowa konającego, gdy w końcu powróciła do pełnej zgiełku rzeczywistości.

Walter Dexter popatrzył na nią z zaskoczeniem, usiłując zrozumieć, dlaczego umierający człowiek miałby powiedzieć coś tak skomplikowanego. Nie rozumiał Chińczyków i ich umiłowania do przysłów. Otworzył usta, szykując się do nowej przemowy o swojej obszernej wiedzy dotyczącej narkotyków lub złośliwego przypomnienia o ryzyku wiążącym się z kupowaniem produktów od tych, których uznawał za niegodnych zaufania, ale Juliette uniosła

palec, żeby go powstrzymać. W tym momencie miała pewność, że to nie były ostatnie słowa człowieka, który zażył zbyt wiele narkotyków. To było przedśmiertne ostrzeżenie człowieka, który zobaczył coś, czego nigdy nie powinien zobaczyć.

– Proszę pozwolić, że się poprawię. Macie już własną wersję tego powiedzenia – oznajmiła. – Nieszczęścia chodzą parami.

Wysoko ponad przeciekającymi rurami i przesiąkniętymi wilgocią dywanami w domu Białych Kwiatów Alisa Montagow siedziała na drewnianej belce stropowej i opierała podbródek na kolanach, podsłuchując spotkanie, które odbywało się poniżej.

Montagowowie nie mieszkali w wielkiej, wystawnej rezydencji, na jaką mogliby sobie pozwolić dzięki swoim workom pieniędzy. Woleli pozostać w sercu miasta, być takimi, jak pokryci brudem ludzie, zbierający na ulicy śmieci. Ich kwatery z zewnątrz nie różniły się od innych kamienic stojących przy ruchliwej ulicy. W środku zaś zwyczajny układ mieszkań właściciele zamienili w labirynt połączonych schodami niezliczonych pokoi i gabinetów.

A zarządzali nimi nie przy pomocy pokojówek i służących, ale dzięki przestrzeganej skrupulatnie hierarchii. Mieszkali tutaj nie tylko Montagowowie, ale też każdy Biały Kwiat, który pełnił jakąś funkcję w gangu, jednak wśród przybywających i opuszczających ten dom ludzi panował określony porządek. Lord Montagow rządził ze szczytu, zaś Roma, przynajmniej formalnie, był drugi w hierarchii, dalej role stały się zmieniały, a decydowały o tym nie więzy krwi, lecz wola szefostwa. Szkarłatny Gang z kolei cenił pochodzenie i pokrewieństwo – to, czyja rodzina miała korzenie sięgające najdalej w przeszłość, zanim kraj stoczył się z cesarskiego tronu.

Dla porównania struktura Białych Kwiatów oparta była na chaosie, charakteryzowała się ciągłymi zmianami. Sięgnięcie po władzę było możliwe dla każdego, kto tego chciał. Ci, którzy pozostawali nisko w hierarchii gangu, robili to z własnej woli. Białym Kwiatem zostawało się nie po to, żeby zdobyć władzę i bogactwa. Ludzie wiedzieli, że mogą odejść w dowolnym momencie, jeśli nie spodoba im się rozkazy wydawane przez Montagowów.

Wystarczyła pięść przyciśnięta do piersi, porozumiewawcze spojrzenie i skinienie głową – to sprawiało, że rosyjscy emigranci, którzy przybywali do Szanghaju, byli gotowi zrobić wszystko, by dołączyć do Białych Kwiatów. Wszystko, aby znowu poczuć, że mają własne miejsce, które utracili, kiedy do ich drzwi zapukali bolszewicy.

Przynajmniej mężczyźni mieli taką opcję. Rosjanki, które miały pecha nie urodzić się w rodzinie Białych Kwiatów, szukały zatrudnienia jako tancerki i kochanki. Zaledwie w zeszłym tygodniu Alisa podsłuchiwała Brytyjkę narzekającą na stan zagrożenia w Osiedlu Międzynarodowym – na to, że rodziny rozpadają się z powodu ślicznotek przybyłych z Syberii, pozbawionych pieniędzy i mających tylko twarz, figurę i wolę przeżycia. Uchodźcy robili to, co konieczne. Kompas moralny przestawał się liczyć w obliczu głodu.

Alisa drgnęła. Mężczyźni, których podsłuchiwała, nagle zaczęli szeptać, a ta zmiana natężenia dźwięku zwróciła jej uwagę na odbywające się w dole spotkanie.

– Frakcje polityczne pozwalają sobie na zbyt wiele kąśliwych uwag – mruknął ponury głos. – Jest prawie pewne, że za szaleństwem stoją politycy, ale w tym momencie trudno powiedzieć, czy odpowiedzialność ponosi Kuomintang, czy komuniści. Wiele źródeł wskazuje na Zhang Gutaia, ale... cóż, trudno mi w to uwierzyć.

Inny głos uzupełnił kwaśno:

– Zhang Gutai jest tak nieudolnym sekretarzem generalnym Partii Komunistycznej, że wydrukował na jednym z plakatów złą datę wiecu.

Alisa widziała trzech mężczyzn siedzących naprzeciwko jej ojca poprzez cienką siateczkę zastępującą sufit. Nie mogła przyjrzeć się ich twarzom, nie ryzykując upadku z belki, ale zdradzał ich akcent, z jakim mówili po rosyjsku. Chińscy szpiecy.

– Co wiemy o ich metodach? Jak rozprzestrzenia się to szaleństwo?

To głos jej ojca, powolne słowa doskonale odróżnialne jak gwoździe drapiące tablicę. Lord Montagow mówił w tak władczy sposób, że wydawało się grzechem nie poświęcać mu pełnej uwagi.

Jeden z Chińczyków odchrząknął i zaczął gwałtownie wycierać dłonie o koszulę. Alisa wychyliła się i przyjrzała mu się poprzez siatkę, żeby mieć pewność, że dobrze interpretuje ten ruch.

– Potwór.

Dziewczynaomal nie spadła na ziemię. Chwyciła się belki w ostatniej chwili, żeby złapać równowagę, i odetchnęła z ulgą.

– Słucham?

– Nie udało nam się potwierdzić niczego w kwestii źródła szaleństwa poza jedną rzeczą – powiedział trzeci i ostatni z mężczyzn. – Jest powiązane z pojawieniami się potwora. Widziałem go. Widziałem srebrne oczy w rzece Huangpu, mrugające jak żaden człowiek nie...

– Wystarczy, dosyć! – przerwał lord Montagow. Mówił szorstko, wyraźnie poirytowany kierunkiem, w jakim zmierzała ta rozmowa. – Nie interesują mnie bzdury o jakimś wymyślanym potworze. Jeśli to wszystko, czekam na dalsze wieści na następnym spotkaniu.

Alisa zmarszczyła brwi i przesunęła się po belce, żeby towarzyszyć wychodzącym mężczyznom. Miała już dwanaście lat, ale była bardzo drobna i potrafiła przemykać w cieniu jak małe zwierzątko. Kiedy na dole zamknęły się drzwi, zaczęła przeskakiwać z belki na belkę, aż w końcu zaległa płasko, dokładnie nad głowami mężczyzn.

– Wydawał się przestraszony – powiedział cicho jeden z nich.

Mężczyzna pośrodku uciszył go, ale te słowa już wyrwały się na świat jak ostre strzały, wypuszczone bez żadnego celu, po to tylko, żeby niszczyć. Mężczyźni owinęli się ciasno płaszczami i opuścili pełen dusznego chaosu dom Montagowów.

Alisa pozostała w swojej kryjówce pod stropem.

Strach. Nie przypuszczała, że jej ojciec jest jeszcze zdolny do takiego uczucia. Strach był czymś, co należało do ludzi bez pistoletów. Strach był zarezerwowany dla osób takich jak Alisa, małych, delikatnych i wiecznie oglądających się przez ramię.

Jeśli lord Montagow czuł się przestraszony, to oznaczało to, że czasy się zmieniają.

Alisa zeskoczyła z belki i popędziła przed siebie.

ROZDZIAŁ 3

Juliette wypadła na korytarz, wsuwając ostatnie szpilki we włosy, ale wiedziała już, że się spóźniła.

To była po części wina pokojówki, która nie obudziła jej na czas, a po części samej Juliette, która nie wstała o wschodzie słońca, tak jak starała się to robić od powrotu do Szanghaju. Te krótkie chwile, kiedy niebo dopiero jaśniało – a reszta domu jeszcze się nie obudziła – były najspokojniejszymi momentami, na jakie można było tutaj liczyć. Juliette najbardziej lubiła te dni, kiedy wstawała dostatecznie wcześnie, aby zaczerpnąć chłodnego powietrza oraz pociągnąć łyk ciszy na swoim balkonie. Mogła przejść przez dom, niezaczepiana przez nikogo, zajrzeć do kuchni i podebrać kucharzom to, na co miała ochotę, a potem zająć dowolne miejsce przy pustym stole w jadalni. W zależności od tego, jak szybko jadła, mogła nawet spędzić trochę czasu w salonie z szeroko otwartymi oknami, przez które wpadały poranne ptasie pieśni. W dni, w które nie zwlekała się z łóżka dostatecznie wcześnie, musiała siedzieć przez cały poranny posiłek wraz z resztą smętnych domowników.

Juliette zatrzymała się pod drzwiami gabinetu ojca i zaklęła półgłosem. Dzisiaj nie chodziło tylko o uniknięcie spotkania z dalekimi krewnymi. Dziś zamierzała uczestniczyć w jednym ze spotkań lorda Cai.

Drzwi otworzyły się nagle. Juliette cofnęła się o krok, starając się wyglądać jak najbardziej naturalnie. Zdecydowanie się spóźniła.

– Juliette. – Lord Cai popatrzył na nią i zmarszczył brwi. – Jest bardzo wcześnie. Dlaczego nie śpisz?

Juliette splotła dłonie pod brodą, przybierając pozę istnego wcielenia niewinności.

– Słyszałam, że odwiedził nas niezwykle szanowany gość. Pomyślałam, że powinnam się z nim przywitać.

Wspomniany gość uniósł ironicznie brwi. Był z Partii Nacjonalistycznej, ale kwestia, czy naprawdę zasługiwał na szacunek, pozostawała nierozstrzygnięta, ponieważ miał na sobie zwykły zachodni garnitur pozbawiony insygniów, jakie jego mundur mógł mieć naszyte na kołnierzu. Szkarłatny Gang pozostawał w przyjaznych stosunkach z nacjonalistami – partią polityczną Kuomintang – od momentu jej założenia. Ostatnio te stosunki jeszcze bardziej się zacieśniły w celu przeciwstawienia się wzrastającej popularności ich komunistycznych „koalicjantów”. Juliette była w domu zaledwie od tygodnia, a już zauważyła, że jej ojciec spotkał się przez ten czas z co najmniej pięcioma znękanymi nacjonalistami, którzy zabiegali o wsparcie gangsterów. Za każdym razem spóźniała się na tyle, że nie mogła wejść na spotkanie, nie kompromitując się przy tym, więc musiała kręcić się pod drzwiami i starać się uchwycić fragmenty rozmów.

Nacjonałiści się bali – tyle wiedziała na pewno. Niedawno założona Komunistyczna Partia Chin zachęcała swoich członków, aby dołączali do Kuomintangu, by zademonstrować gotowość do współpracy z nacjonalistami. Ale tu nie chodziło o żadną gotowość do współpracy: wzrastająca liczba komunistów w szeregach Kuomintangu zaczynała stanowić dla nacjonalistów zagrożenie. O tym skandalu mówił cały kraj, ale szczególnie głośno było o nim w Szanghaju, mieście bezprawia, gdzie władze równie szybko rodziły się, co umierały.

– To niezwykle miło z twojej strony, Juliette, ale pan Qiao musi się spieszyć na kolejne spotkanie.

Lord Cai skinął na służącego, żeby wyprowadził nacjonalistę. Pan Qiao grzecznie uchylił kapelusza, a Juliette uśmiechnęła się sztywno i przełknęła westchnienie.

– Nie zaszkodziłoby, gdybyś pozwolił mi uczestniczyć w jednym z tych spotkań, *Bàba* – powiedziała Juliette, kiedy tylko pan Qiao zniknął im z oczu. – Miałeś mnie przecież uczyć.

– Mogę cię uczyć powoli. – Lord Cai pokręcił głową. – Nie chciałabyś już teraz angażować się w politykę. To nudne sprawy.

Ale były to także ważne sprawy, zwłaszcza jeśli Szkarłatny Gang poświęcał tyle czasu na spotkania z tymi frakcjami. Szczególnie w sytuacji, gdy lord Cai niemal bez mrugnięcia okiem wysłuchał wczoraj relacji Juliette o tym, że następca bossa Białych Kwiatów pojawił się w kabarecie w samym sercu ich terytorium. Juliette usłyszała tylko, że jej ojciec już o tym wie i że porozmawiają rano.

– Chodźmy w takim razie na śniadanie – oznajmił lord Cai, położył dłoń na ramieniu Juliette i pokierował ją na parter, jakby mogła mu uciec. – Możemy porozmawiać także o tym, co wydarzyło się wczoraj.

– Marzę o śniadaniu – mruknęła Juliette. W rzeczywistości zgiełk porannych posiłków sprawiał, że dostawała migreny. Szczególnie w porankach w tym domu było coś nieprzyjemnego. Niezależnie od tego, o czym dyskutowali jej krewni, jak przyziemny był to temat – na przykład rozważania o wzrastających cenach ryżu – w ich rozmowach zawsze kryły się intrygi i niekończące się docinki. To były konwersacje, jakie należy prowadzić późnym wieczorem, kiedy pokojówki wrócą już do swoich kwater, a ciemność zacznie pełzać po podłogach z wypolerowanego drewna.

– Juliette, skarbie – zaskrzeczała jedna z ciotek, kiedy tylko podeszła do stołu. – Czy dobrze spałaś?

– Tak, *Ā yí* – Juliette i zajęła miejsce. – Spałam bardzo dobrze...

– Czy znowu obciąłaś włosy? Na pewno tak. Nie pamiętam, żeby były tak krótkie.

Jakby jej krewni i bez tego nie byli dostatecznie irytujący, zbyt wielu przybywało do domu rodziny Cai i opuszczało go, żeby Juliette mogła się wyjątkowo przywiązać do któregokolwiek z nich. Rosalind i Kathleen były jednocześnie jej najbliższymi kuzynkami i jedynymi przyjaciółkami, i to jej wystarczało. Wszyscy inni pozostawali tylko imionami i stopniem pokrewieństwa, który musiała zapamiętać na wypadek, gdyby kiedyś czegoś od nich potrzebowała. Ta ciotka, trajkocząca jej teraz do ucha, była zbyt odległą krewną, żeby mogła okazać się przydatna kiedykolwiek w przyszłości. Tak odległą, że Juliette zaczęła się zastanawiać, co ona w ogóle robi przy tym stole.

– *Dá jiě*, na litość boską, daj tej małej trochę odetchnąć.

Juliette szybko podniosła głowę i uśmiechnęła się, słysząc głos mężczyzny, który wtrącił się z końca stołu. To był jedyny wyjątek od tej ogólnej apatii: pan Li, jej ulubiony wuj.

– *Xiè xiè* – powiedziała bezgłośnie.

Pan Li z błyskiem w oku podniósł tylko czarkę herbaty. Ciotka prychnęła gniewnie, ale umilkła. Juliette odwróciła się do ojca.

– Dobrze, *Bàba*, wróćmy do poprzedniej nocy – rzuciła. – Jeśli wierzyć plotkom, jeden z naszych natknął się w porcie na pięciu z Białych Kwiatów, po czym rozerwał sobie gardło. Co o tym myślisz?

Lord Cai, zasiadający u szczytu długiego stołu, wydał pomruk namysłu, potarł grzbiet nosa i westchnął ciężko. Juliette zastanawiała się, kiedy jej ojciec ostatnio przespał noc, bez zmartwień i niepokoju przed czekającymi go spotkaniami. Jego znużenie byłoby niewidoczne dla niewprawnego oka, ale Juliette wiedziała swoje. Zawsze wiedziała swoje.

A może po prostu był zmęczony siedzeniem u szczytu stołu i wysłuchiowaniem rodzinnych plotek od samego rana. Przed wyjazdem Juliette stół w jadalni był okrągły jak przystało chińskim stołom. Podejrzała, że został wymieniony ze względu na zachodnich gości, którzy odwiedzali dom rodziny Cai, ale efekt był okropny. Członkowie rodziny nie mogli już rozmawiać z każdym swobodnie, tak jak wtedy, kiedy siedzieli w kręgu.

– *Bàba* – ponagliła ojca Juliette, chociaż wiedziała, że ten wciąż się zastanawia nad odpowiedzią. Lord Cai był z natury małowówny, zaś Juliette nie znosiła milczenia. Mimo panującego wokół zamieszania – służba kursowała pomiędzy jadalnią a kuchnią, trwał posiłek, a przy stole toczyło się wiele rozmów o zmiennej głośności – nie mogła wytrzymać tego, że jej ojciec odwleka odpowiedź, zamiast udzielić jej natychmiast.

Chodziło o to, że nawet jeśli lord Cai teraz z nią rozmawiał, w rzeczywistości tylko udawał, że obchodzi go domniemane szaleństwo. Juliette widziała to wyraźnie – to było dla niego banalne głupstwo w porównaniu z gigantyczną listą spraw, którym jej ojciec poświęcał uwagę. Kogo obchodziły plotki o dziwnej istocie zamieszkującej odmęty rzeki, gdy nacjonałiści i komuniści stanowili realne zagrożenie: od tygodni gromadzili broń, przygotowując swoje armie do starcia?

– Tylko tyle powiedział Roma Montagow? – zapytał w końcu lord Cai.

Juliette wzdygnęła się bezwiednie. Przez cztery lata sama myśl o Romie budziła w niej taką odrazę, że jego imię – w dodatku padające z ust jej ojca – wydało się słowem wręcz wulgarnym.

– Tak.

Ojciec powoli postukał palcami w stół.

– Przypuszczam, że on wie coś więcej – ciągnęła Juliette. – Ale był ostrożny.

Lord Cai milczał, podczas gdy gwar wokół niego cichł, rozbrzmiewał po raz kolejny i znowu przygasał. Juliette zastanawiała się, czy on w ogóle myśli teraz o tej sprawie. Ostatecznie wiadomość o następcy bossa Białych Kwiatów wkraczającym na ich terytorium przyjął z wyjątkową obojętnością. Dowodziło to biorąc pod uwagę, jak ważna dla Szkarłatnego Gangu była wojna gangów – o ile istotniejsze stały się dla niego rozgrywki polityczne.

Zanim jednak lord Cai zdążył coś jeszcze powiedzieć, drzwi kuchni otworzyły się na oścież z takim trzaskiem, że siedząca obok Juliette ciotka przewróciła swoją czarnekę herbaty.

– Skoro podejrzewamy, że Białe Kwiaty mają więcej informacji od nas, to dlaczego siedzimy tu i o tym rozmawiamy?

Juliette zgrzytnęła zębami i strzepnęła herbatę z sukienki. To tylko Tyler Cai, najbardziej irytujący z jej braci stryjecznych, wszedł do jadalni. Chociaż byli rówieśnikami, Juliette miała wrażenie, że przez te cztery lata, które ona spędziła za granicą, on nie dorósł ani trochę. Nadal rzucał niewyszukanymi żartami i oczekiwał, że wszyscy będą przed nim klękać. Gdyby mógł, zażądałby od Ziemi, żeby zaczęła się obracać w drugą stronę tylko dlatego, że on uważałby to za lepsze rozwiązanie, nieważne jak bardzo nierealistyczne.

– Czyżbyś nabrał zwyczaju podsłuchiwania pod drzwiami, zamiast wejść do środka? – warknęła Juliette, ale jej złośliwa uwaga przeszła niezauważona. Krewni zerwali się z miejsc na widok Tylera, żeby pospiesznie przynieść mu krzesło, podać herbatę, podsunąć talerz, najlepiej z poślacanym brzegiem, ozdobiony kryształem. Jej nigdy nie starano się w ten sposób przypochlebiać, chociaż to Juliette była dziedziczką Szkarłatnego Gangu. Była dziewczyną. A co za tym idzie, w ich oczach, nawet będąc prawowitą następczynią, nigdy nie stanie się dość dobra.

– Jak dla mnie to proste – odezwał się Tyler. Zajął krzesło i rozparł się na nim jak na tronie. – Najwyższy czas, żebyśmy pokazali Białym Kwiatom, kto naprawdę sprawuje władzę w mieście. Zażądajmy, żeby przekazali nam wszystko, co wiedzą.

– Mamy nad nimi przewagę liczebną i przewagę uzbrojenia – wtrącił jakiś nieistotny wuj, kiwając głową i gładząc brodę.

– Politycy staną po naszej stronie – dodała ciotka obok Juliette. – Z całą pewnością. Nie znoszą Białych Kwiatów.

– Wojna o terytorium nie jest dobrym pomysłem...

Nareszcie, pomyślała Juliette i popatrzyła na starszego kuzyna. *Jakiś głos rozsądku przy tym stole.*

– ...ale z twoją wiedzą, Tyler, być może zdołalibyśmy znacząco rozszerzyć nasze wpływy.

Juliette zacisnęła pięści. *Przepraszam, pomyłka.*

– Powiem wam, co powinniśmy zrobić – zaczął Tyler z ożywieniem.

Juliette rzuciła spojrzenie swojemu ojcu, ale on wydawał się całkowicie pochłonięty posiłkiem. Od powrotu Juliette Tyler wykorzystywał każdą okazję, żeby ją przyćmić, zarówno w bezpośredniej rozmowie, jak i rzucanych obojętnie uwagach. Za każdym razem jednak lord Cai wtrącał się, żeby go uciszyć i w krótkich słowach przypomnieć wszystkim ciotkom i wujom, kto jest prawdziwym dziedzicem, żeby pamiętali, że okazywane Tylerowi względy niczego im nie dadzą.

Tym razem jednak lord Cai milczał. Juliette nie była pewna, czy jego powściągliwość wynikała z tego, że taktyka bratanka wydawała mu się śmieszna, czy też z tego, że traktował jego słowa poważnie. Jej żołądek zacisnął się i zagotował od kwasu na samą myśl o tym.

– ...poza tym cudzoziemcy nie mogą protestować – mówił Tyler. – Skoro te zgony są wynikiem samookaleczenia, jest to coś, co może dotknąć każdego. To sprawa dotycząca naszych ludzi, którzy potrzebują naszej pomocy. Jeśli nie zaczniemy działać teraz i nie odzyskamy miasta dla ich dobra, jak to będzie o nas świadczyć? Czy mamy znosić upokorzenia przez kolejnych sto lat?

Zgromadzeni przy stole wyrażali poparcie. Pomruki aprobaty, pomarszczone i pokryte bliznami kciuki unoszone w powietrze, pełne szacunku poklepywanie Tylera po ramionach. Tylko pan Li oraz lord Cai milczeli, zachowując obojętność. Ale to nie wystarczało. Juliette cisnęła swoimi pałeczkami o stół, aż delikatna porcelana roztrzaskała się na cztery części.

– Chcesz dostarczyć się w prezencie na terytorium Białych Kwiatów? – Wstała i wygładziła sukienkę. – Nie będę przeszkadzać. Poproszę pokojówkę, żeby rozplątała twoje flaki, kiedy odeślą cię w trumnie.

Zanim jej zaszokowani krewni zdążyli zaprotestować, Juliette wymaszerowała z jadalni. Mimo udawanego spokoju serce biło jej mocno w obawie, że może tym razem naprawdę posunęła się za daleko. Kiedy tylko znalazła się na korytarzu, obejrzała się przez ramię na zamykające się drzwi jadalni. Były zrobione z drewna importowanego z jakiegoś dalekiego kraju i wyrzeźbione w znaki tradycyjnej chińskiej kaligrafii. Pokrywały je poematy, które Juliette od dawna znała na pamięć. Ten dom stanowił odbicie całego miasta: był fuzją Wschodu i Zachodu, nie potrafił zrezygnować ze starego, ale rozpaczliwie starał się naśladować nowe. I podobnie jak w przypadku miasta, architektura tego domu sprawiała wrażenie chaotycznej.

Piękne, ale niepasujące do reszty wnętrza drzwi jadalni po raz kolejny otworzyły się gwałtownie. Juliette spodziewała się tego.

– Juliette, pozwól na słowo.

To tylko Tyler wyszedł za nią z grymasem niezadowolenia na twarzy. Miał taki sam szpiczasty podbródek jak Juliette, taki sam pojedynczy dołeczek w lewym kąciku ust, który pojawiał się w momencie zdenerwowania. Juliette nie mogła uwierzyć, że są do siebie aż tak podobni. Do każdego zdjęcia rodzinnego ona i Tyler byli sadzani obok siebie i wszyscy zachwycali się, że wyglądają jak bliźniaki, a nie jak rodzeństwo stryjeczne. Ale Juliette i Tyler nigdy się nie przyjaźnili. Nawet w najwcześniejszym dzieciństwie, kiedy bawili się pistoletami-zabawkami, a nie prawdziwymi, Tyler nie przepuścił żadnej okazji, żeby trafić ją w głowę drewnianą kulką.

– O co chodzi?

Tyler zatrzymał się i splótł ramiona.

– Co ci się nie podoba?

Juliette przewróciła oczami.

– Mnie się nie podoba?

– Tak, tobie się nie podoba. To nie jest zabawne, kiedy negujesz wszystkie moje pomysły...

– Nie jesteś głupi, Tyler, więc nie zachowuj się, jakbyś był – przerwała mu Juliette. – Nienawidzę Montagowów tak samo jak ty. Wszyscy ich nienawidzimy tak bardzo, że aż krwawimy tą nienawiścią. Ale to nie jest pora na wojny terytorialne. Nie w momencie, kiedy cudzoziemcy już wykroili sobie z naszego miasta spore kawałki.

Minęła chwila.

– Głupi?

Tyler kompletnie nie zrozumiał, o co jej chodzi, a mimo to czuł się urażony. Kuzyn Juliette był chłopakiem o stalowej skórze i szklanym sercu. Od kiedy zbyt wcześnie stracił oboje rodziców, stał się udawanym anarchistą w szeregach Szkarłatnych, bez żadnego powodu pretensjonalnym i brutalnym, nawet wobec członków gangu. Ponieważ podobieństwa się przyciągały, jego jedynymi przyjaciółmi byli ci, którzy trzymali się w pobliżu z nadzieją, że uda im się nawiązać na skróty relacje z rodziną Cai. Wszyscy oni obchodzili się z nim jak z jajkiem i udawali, że walczą, pozwalając mu myśleć, że jest taki silny, że ich zamarkowane ciosy odbijają się od niego. Wystarczyłby jeden nieoczekiwany kopniak w brzuch, a Tyler by się rozsypał.

– Nie wydaje mi się, żeby bronienie tego, od czego zależy nasz dobrobyt, było głupie – ciągnął Tyler. – Nie wydaje mi się, żeby wyrwanie naszego kraju z rąk tych Rosjan...

Problem z Tylerem polegał na tym, że według niego wyłącznie jego sposób mógł być dobry. Juliette wiedziała, że nie powinna go za to obwiniać. Ostatecznie Tyler był taki sam jak ona – chciał dla Szkarłatnego Gangu tego, co najlepsze. Tyle że we własnym mniemaniu to on był tym, co najlepsze dla Szkarłatnego Gangu.

Juliette nie miała ochoty dalej go słuchać. Okręciła się na pięcie, żeby odejść.

Ale kuzyn chwycił ją za nadgarstek.

– Co z ciebie za dziedziczka?

Tyler błyskawicznym ruchem pchnął Juliette na ścianę. Zaciskał dłoń na lewym rękawie jej sukienki, jednocześnie przedramieniem przygniatając jej obojczyk do ściany.

– Puszczaj mnie – syknęła Juliette, wrywając się. – Natychmiast.

Tyler nie puścił.

– Szkarłatny Gang powinien być dla ciebie na pierwszym miejscu. Nasi ludzie powinni być dla ciebie na pierwszym miejscu.

– Uważaj na słowa...

– Wiesz, co myślę? – zapytał cicho Tyler. Jego nozdrza rozdęły się, a twarz pobruździła w grymasie całkowitej odrazy. – Słyszałem plotki. Myślę, że wcale nie czujesz nienawiści do Montagowów. Myślę, że chcesz chronić Romę Montagowa.

Juliette zastygła bez ruchu. To nie przerażenie ją ogarnęło, nie poddała się próbującemu ją zastraszyć Tylerowi. Poczowała oburzenie, a potem gorącą, palącą wściekłość. Raczej rozerwałaby Romę Montagowa na strzępy, niżby jej przyszło do głowy, żeby go chronić.

Jej prawa dłoń wystrzeliła w górę, zaciśnięta w pięść, z usztywnionym nadgarstkiem i przygotowanymi kłykciami. Precyzyjnym ciosem trafiła prosto w policzek kuzyna. Przez moment nie mógł zareagować. Przez moment tylko mrugał oczami, a jego pobladała twarz drżała w szoku. Potem cofnął się chwiejnie, wypuścił Juliette i obrócił głowę, żeby spojrzeć na nią oczami przepętlionymi nienawiścią. Na jego policzku została czerwona kreska po lśniącym pierścionku Juliette, który zadrapał mu skórę.

To nie wystarczyło.

– Chcę chronić Romę Montagowa? – powtórzyła Juliette.

Tyler zamarł. Nie zdążył się ruszyć, zrobił tylko krok do tyłu, gdy Juliette wyciągnęła z kieszeni nóż. Przycisnęła go do skaleczenia na twarzy kuzyna i syknęła:

– Nie jesteśmy już dziećmi, Tyler. Jeśli spróbujesz grozić mi absurdalnymi oskarżeniami, będziesz musiał za to zapłacić.

Rozległ się cichy śmiech.

– Bo co? – wykrztusił ochryple Tyler. – Zabijesz mnie tutaj, na korytarzu? Dziesięć kroków od jadalni?

Juliette mocniej przycisnęła nóż. Strużka krwi spłynęła po policzku kuzyna, a potem po jej dłoni i zaczęła ściekać wzdłuż jej ramienia.

Tyler przestał się śmiać.

– Jestem dziedziczką Szkarłatnego Gangu – powiedziała Juliette głosem tak ostrym, jak jej broń. – I możesz mi wierzyć, *tángdì*, że prędzej cię zabiję, niż pozwolę, żebyś mi go odebrał.

Odepchnęła Tylera nożem i cofnęła lśniące czerwienią ostrze. Kuzyn nie powiedział nic więcej, rzucił jej tylko ponure spojrzenie.

Juliette obróciła się, wwiercając się wysokimi obcasami w dywan, i odeszła.

ROZDZIAŁ 4

Nic tu nie ma.

Poirytowany Roma Montagow kontynuował poszukiwania, wciskając palce w szczeliny desek na promenadzie.

– Zamknij się. Szukaj dalej.

To prawda, na razie nie znaleźli niczego godnego uwagi, ale słońce było jeszcze wysoko. Rozpalone do białości promienie odbijały się w falach pluszczących cicho pod promenadą i oslepiały każdego, kto patrzyłby na nie zbyt długo. Roma odwracał się plecami do mętnej, zielonkawożółtej wody. Mógł z łatwością unikać jasnego słońca w swoim polu widzenia, ale znacznie trudniej było odizolować się od irytującego głosu, który bez chwili przerwy rozbrzmiewał za nim.

– Roma. Romaaaa. Roma...

– Na litość boską, *mudak*, czego? O co chodzi?

Do końca dnia zostało jeszcze wiele godzin, a Roma nie miał szczególnej ochoty wracać do domu, zanim nie znajdzie czegoś dla swojego ojca. Wzdrygnął się na myśl o tym, wyobrażając sobie dezaprobatę, która będzie wylewać się z każdego słowa lorda Montagowa.

– Możesz się tym zająć, prawda? – zapytał boss tego dnia rano, kładąc dłoń na ramieniu Romy. Dla postronnego obserwatora wyglądało to jak pokrzepiający ojcowski gest. W rzeczywistości jego dłoń zacisnęła się tak mocno, że Roma nadal miał czerwony ślad na ramieniu. – Nie zawieź mnie tym razem, synu – dodał.

Zawsze powtarzał to słowo. „Syn”. Zupełnie jakby miało jakiegokolwiek znaczenie. Jak gdyby miejsca Romy nie zajął Dimitrij Woronin – nie formalnie, ale jako rzeczywisty faworyt – podczas gdy Roma został skazany na zajmowanie się sprawami, na które Dimitrijowi brakowało czasu. Roma nie otrzymał tego zadania, ponieważ ojciec obdarzał go wyjątkowym zaufaniem. Otrzymał je, ponieważ Szkarłatny Gang nie był już jedyną przeszkodą w ich interesach – cudzoziemcy, którzy przybyli do Szanghaju, starali się wyprzeć Białe Kwiaty i stworzyć w ich miejscu nową siłę przeciwstawiającą się Szkarłatnym, zaś komuniści bezustannie dawali się im we znaki, próbując co i raz zwerbować jakiegoś szeregowego członka gangu.

I tak, podczas gdy Roma wypatrywał kolejnych krwawych plam, lord Montagow i Dimitrij byli zajęci ubijaniem interesów z politykami. Odpierali niezmordowane ataki Brytyjczyków, Amerykanów i Francuzów, którzy ślinili się na myśl o zdobyciu kawałka tortu, jakim było Państwo Środka – a w szczególności Szanghaj, port morski.

Kiedy to ostatnio ojciec wydał mu bezpośredni rozkaz wejścia na terytorium Szkarłatnego Gangu, tak jak poprzedniego wieczoru, jak swojemu prawdziwemu następcy, który powinien poznać wroga? I nie chodziło bynajmniej o to, że lord Montagow chciał go ochronić przed wojną gangów. To już dawno należało do przeszłości. Chodziło o to, że ojciec nie ufał mu ani odrobinę. Skierowanie Romy do tego zadania było ostatecznością.

Kolejny poirytowany jęk sprawił, że Roma otrząsnął się z zamyślenia.

– Wiesz – warknął, odwracając się i osłaniając oczy przed odblaskami na rzece – jesteś tutaj z własnej woli.

Marshall Seo tylko się uśmiechnął, zadowolony, że w końcu zwrócił uwagę Romy. Zamiast odciąć się złośliwie, wsunął dłonie w kieszenie nienagannie wyprasowanych spodni i swobodnie zmienił temat, przeskakując z rosyjskiego na szybki, potoczny koreański. Roma wychwytywał pojedyncze słowa: „krew”, „nieprzyjemność”, „policja”, ale reszta mu umykała, tonąc w otchłani lekcji, z których uciekał w dzieciństwie.

– Mars – przerwał mu Roma. – Zmień język. Nie mam dzisiaj głowy do tłumaczenia.

Marshall w odpowiedzi kontynuował tylko swoją tyradę. Gestykulował przy tym ze zwykłym wigorem i entuzjazmem; jego dłonie poruszały się w rytm słów, sylaby piętrzyły się na sylabach, aż w końcu Roma nie był już pewien, czy Marshall nadal mówi w ojczystym języku, czy wydaje jedynie przypadkowe dźwięki, żeby wyrazić swoją frustrację.

– Ogólnie chodzi o to, że śmierdzi tu rybą – odezwał się z westchnieniem trzeci, spokojniejszy i bardziej zmęczony głos kilka kroków od nich. – Ale nie chcesz wiedzieć, jakich analogii używa do porównania.

Tłumaczeniem posłużył Benedikt Montagow, kuzyn Romy i ostatni członek ich tria w szeregach Białych Kwiatów. Jego jasna głowa zazwyczaj pochylała się ku ciemnej głowie Marshalla, kiedy zgodnie naradzali się, jak pomóc Romie w kolejnym zadaniu. Teraz patrzył w dół, koncentrując całą uwagę na stosie skrzynek, dorównującym mu niemal wysokością. Był tak skupiony, że stał jak zastygły, poruszając tylko oczami.

Roma splótł ramiona.

– Niech się cieszy, że śmierdzi tu rybą, a nie trupem.

Kuzyn prychnął z rozbawieniem, ale to była jedyna reakcja. Benedikt taki właśnie był. Zawsze wydawało się, że coś burzy się w nim pod powierzchnią, ale nic nigdy nie wypływało na wierzch, niezależnie od tego, jak niewiele brakowało. Szeregowi członkowie gangu uważali go za słabszą wersję Romy, zaś Benedikt nie sprzeciwiał się temu, ponieważ skojarzenie z Romą, nawet obraźliwe, dawało mu pewne wpływy. Ci, którzy znali go lepiej, twierdzili, że ma dwa mózgi i dwa serca. Zawsze odczuwał zbyt wiele, ale myślał dwa razy szybciej: był jak średnich rozmiarów naładowany granat, zdolny wcisnąć na miejsce własną zawleczkę, gdy ktoś stara się ją wyciągnąć.

Marshall nie miał podobnej samokontroli. Marshall Seo był niepowstrzymanym dwutonowym ładunkiem wybuchowym.

Przynajmniej na razie darował sobie dalsze rybnie porównania i nagle przykucnął nad wodą. Marshall zawsze poruszał się w taki sposób, jakby świat miał się zaraz skończyć, a on musiał zdążyć wykonać tyle ruchów, ile tylko możliwe. Od kiedy stał się bohaterem skandalu związanego z pewnym chłopakiem i ciemnym schowkiem, nauczył się uderzać szybko i z wyprzedzeniem, odpierając ciągnące się za nim plotki z uśmiechem Kota z Cheshire. Jeśli był twardszy od innych, nie mógł zostać pobity. Jeśli był bardziej brutalny od innych, nikt nie ośmielał się go osądzać, ponieważ ryzykowałby nóż przytknięty do gardła.

– Roma.

Benedikt machnął ręką, więc Roma podszedł do niego z nadzieją, że kuzyn zdołał coś znaleźć. Pozostawione poprzedniej nocy ciała zabrano do kostnicy w lokalnym szpitalu, ale zbryzgane krwią miejsce tragedii pozostało nietknięte. Roma, Marshall i Benedikt mieli ustalić, dlaczego pięciu ich ludzi,

jeden Szkarłatny oraz brytyjski policjant rozerwali sobie gardła, ale z powodu braku jakichkolwiek poszlak znalezienie odpowiedzi wydawało się nierealne.

– O co chodzi? – zapytał Roma. – Coś znalazłeś?

Benedikt podniósł wzrok.

– Nie.

Roma stracił nadzieję.

– Już drugi raz przeszukujemy to miejsce centymetr po centymetrze – powiedział Benedikt. – Myślę, że zrobiliśmy tyle, ile się dało. To niemożliwe, żeby coś nam umknęło.

Co jednak mogli zrobić, poza oglądaniem miejsca tragedii, żeby zrozumieć przyczyny tego szaleństwa? Nie było nikogo, komu mogliby zadać pytania, żadnych świadków do przesłuchania, żadnej historii, która doprowadziła do tych wydarzeń. Skoro zbrodnia nie miała sprawcy, skoro ofiary same zadały sobie tak straszne rany, jak można było w ogóle szukać odpowiedzi?

Pochylający się nad wodą Marshall westchnął ciężko, oparł łokieć na kolanie i głowę na dłoni.

– Słyszałeś, że wczoraj wieczorem był podobno drugi incydent? – zapytał, przerzucając się teraz na chiński. – Ludzie gadają, ale nie doszło do mnie nic konkretnego.

Roma udał, że znalazł coś niezwykle interesującego w szczelinie pomiędzy deskami. Nie potrafił powstrzymać uśmiechu, kiedy rzucił:

– W tym gadaniu jest sporo prawdy. Tak się składa, że byłem przy tym.

– O, to wspaniale! – Marshall wyprostował się gwałtownie i klasnął w dłoń. – To znaczy, może nie wspaniale dla nieboszczyka, ale wspaniale!

Przeszukajmy to drugie miejsce. Mam nadzieję, że znajdziemy tam więcej informacji niż w tym cuchnącym...

– Nie możemy – przerwał mu Roma. – To było na terytorium Szkarłatnych.

Marshall, z którego nagle uszło powietrze, przestał wymachiwać pięścią. Benedikt natomiast popatrzył na kuzyna z zainteresowaniem.

– A jak to się „złożyło”, że byłeś na terytorium Szkarłatnych? – zapytał. „I to bez nas” brzmiał niewypowiedziany dodatek do tego pytania.

– Ojciec wysłał mnie tam, żebym dowiedział się czegoś od Szkarłatnych – odparł Roma. Częściowo minął się z prawdą. Lord Montagow rzeczywiście wydał Romie polecenie, żeby ustalił, co wiedzą Szkarłatni. Wizyta w kabarecie była pomysłem Romy.

Benedikt uniósł brew.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Nie. – Roma odwrócił wzrok. – Juliette nic nie wie.

Głośny łoskot odbił się echem w stosunkowo spokojnym porcie. Benedikt, zaskoczony, potrącił łokciem skrzynki, aż ta na szczycie stosu spadła na ziemię i roztrzaskała się na grube drzazgi.

– Juliette?! – zawołał Benedikt.

– Juliette wróciła?! – zawtórował mu Marshall.

Roma milczał, przesuając wzrokiem po powierzchni wody przy nabrzeżu. Zaczynała go boleć głowa, czuł ostre ukłucie za każdym razem, kiedy sięgał do swoich wspomnień. Samo wypowiedzenie jej imienia na głos było bolesne. Juliette.

Tutaj właśnie poznali się bliżej. Podczas gdy robotnicy krążyli wokół nieustannie, z brudnymi ścierkami w kieszeniach, które co jakiś czas wyciągali, żeby obetrzeć smar z dłoni, dwoje dziedziców gangów siedziało tu niemal codziennie na widoku, ze śmiechem grając w kulki.

Roma zepchnął te obrazy na dno pamięci. Jego dwaj przyjaciele nie wiedzieli, co się wydarzyło, ale wiedzieli, że coś się wydarzyło. Wiedzieli, że jednego dnia ojciec ufał Romie tak, jak się ufa synowi, a następnego patrzył na niego podejrzliwie jak na wroga. Roma pamiętał spojrzenia posyłane mu i wymieniane pomiędzy obserwatorami, gdy lord Montagow ignorował go, obrażał i dawał mu w ucho za najmniejszy drobiazg. Wszyscy w gangu Białych Kwiatów zauważyli tę zmianę, ale nikt nie ośmielił się zapytać o nią na głos. Stała się czymś, co zaakceptowano w milczeniu, zastanawiano się nad tym, ale o tym nie rozmawiano. Także Roma nigdy nie poruszał tego tematu. Musiał pogodzić się z nową napiętą sytuacją lub ryzykować, że straci jeszcze więcej podczas konfrontacji. Od czterech lat stąpał ostrożnie jak po linie. Dopóki nie próbował biec przed siebie prędzej, niż od niego wymagano, nie tracił swojej pozycji ponad resztą Białych Kwiatów.

– Juliette wróciła – potwierdził cicho Roma. Jego pięści i gardło zacisnęły się. Zacerpnął powietrza i ledwie zdołał je wypuścić, walcząc z dreszczem, który nagle go ogarnął.

Wszystkie te odrażające opowieści, które słyszał, wszystkie historie spowijające Szanghaj jak ciężkie opary terroru, uderzające do głowy tym, którzy pozbawieni byli ochrony Szkarłatnych – Roma miał nadzieję, że to kłamstwa. Miał nadzieję, że to tylko propaganda, mająca zachwiać pewnością siebie tych, którzy chcieliby skrzywdzić Juliette Cai. Ale zeszłego wieczoru zobaczył ją po raz pierwszy po czterech latach. Spojrzał Juliette w oczy i w jednej chwili poczuł, że wszystkie te historie były prawdziwe, zupełnie jakby jakaś siła wyższa otworzyła mu głowę i ułożyła w niej nowe myśli.

Morderczyni. Brutalna. Bezwzględna. Wszystko to i jeszcze więcej – kimś takim właśnie się stała.

On zaś był pogrążony w żałobie po niej, chociaż wcale tego nie chciał. Bolało go, że łagodność towarzysząca ich młodości zniknęła, że Juliette, jaką pamiętał, od dawna nie żyła. Jeszcze bardziej bolała go świadomość, że to on zadał jej śmiertelny cios. Przez te cztery lata nadal mu się śniła tamta Juliette, której śmiech rozbrzmiewał nad rzeką. To wspomnienie go prześladowało. Pochował Juliette w swoich myślach jak ciało pod podłogą i uznał, że wystarczy mu duch, który szeptał do niego we śnie. Kiedy znowu ją zobaczył, miał wrażenie, że ukryte pod podłogą ciało nie tylko ożyło, ale wycelowało mu w głowę pistolet.

– Hej, co to jest?

Benedikt odsunął kawałek rozbitej skrzynki i zgarnął coś leżącego na ziemi. Przysunął dłonie do nosa i przyjrzał się im, a potem z jękiem obrzydzenia strzepnął z nich pylistą substancję. Zaintrygowany Roma przyklęknął na jedno kolano, a Marshall doskoczył do towarzyszy i zaczął przyglądać się ze zdumieniem temu, co znalazł Benedikt. Minęła minuta, zanim któryś z nich się odezwał.

– Czy to... martwe owady? – zapytał Marshall. Potarł podbródek, nie znajdując wyjaśnienia dla obecności tych drobnych istot, rozsypanych między szczątkami skrzynki. Nie przypominały żadnych owadów, jakie którykolwiek z nich widział wcześniej. Z pewnością miały trzyczęściowe ciało i sześć nóg, ale były dziwnie niekształtne, wielkości dziecięcego paznokcia i czarne jak smoła.

– Mars, sprawdź pozostałe skrzynki – polecił Roma. – Benedikt, daj mi swoją torbę.

Benedikt skrzywił się, ale podał Romie swoją torbę i patrzył z obrzydzeniem, jak jego kuzyn zgarnia kilka owadów i wkłada je pomiędzy notesy i ołówki. Nie było innego wyjścia, Roma musiał je zabrać do dokładniejszej analizy.

– Nic tam nie ma – oznajmił Marshall, który wyłamał wieko z drugiej skrzynki. Obserwowali, jak przeglądał pozostałe. Potrząsnął mocno każdą z nich i opukał każdą energicznie, ale więcej owadów nie znalazł.

Roma popatrzył w górę.

– Ta skrzynka na samej górze była chyba otwarta, zanim ją strąciłeś, prawda? – zapytał.

Benedikt zmarszczył brwi.

– Chyba tak – odpowiedział. – Owady mogły wejść do środka...

Zza rogu rozbrzmiały nagle chińskie głosy, zaskakując Romę na tyle, że upuścił torbę Benedikta. Okręcił się na pięcie i spojrzał w szeroko otwarte oczy kuzyna. Marshall zdążył już przyjąć pozycję gotowości do walki.

– Szkarłatni? – zapytał Marshall.

– Nie musimy czekać, żeby się o tym przekonać – powiedział szybko Benedikt. Zanim Marshall zdążył zareagować, Benedikt popchnął mocno przyjaciela. Tylko elementowi zaskoczenia zawdzięczał to, że Marshall zachwiał się na krawędzi promenady, rozpaczliwie próbując złapać równowagę, aż w końcu stracił ją na dobre i z cichym pluskiem wpadł do wody. Roma nie zdążył zaprotestować ani słowem, gdy kuzyn pochwycił go i wciągnął do rzeki Huangpu, zanim właściciele rozbawionych głosów zdążyli wyłonić się zza rogu ulicy.

Mętna ciemność i przebliski płynnego światła słonecznego otaczały Romę. Wpadł do wody cicho, dzięki pomocy Benedikta, ale teraz był tak samo głośny jak oszalałe bicie jego serca. Młócił rękami, starając się jak najszybciej odzyskać orientację pod wodą. Czy zanurzał się głębiej, czy też kierował ku powierzchni? Czy znajdował się w wodzie głową w górę, czy w dół, zbliżając się do mulistego dna, które miało go pochłonąć bez śladu?

Czyjaś dłoń trafiła go w twarz. Roma gwałtownie otworzył oczy.

Benedikt unosił się nad nim, z twarzą otoczoną krótkimi puklami włosów. Ze złością przycisnął palec do ust, a potem pociągnął Romę za ramię i popłynął przed siebie, aż znaleźli się pod promenadą. Był tam już Marshall, który wynurzył twarz, żeby wykorzystać kilkanaście centymetrów umożliwiającej oddychanie przestrzeni pomiędzy spodem desek promenady a falującą wodą. Roma i Benedikt zrobili to samo, chwytając powietrze tak cicho, jak to możliwe, i starając się uspokoić oddech. Potem przysunęli się bliżej do desek promenady. Słyszeli nad sobą głosy Szkarłatnych rozmawiających o kimś z Białych Kwiatów, kogo właśnie pobili prawie na śmierć, i uciekli tylko dlatego, że pojawił się patrol policji. Szkarłatni nie zauważyli porzuconej przez Romę torby. Byli zbyt nabuzowani, odurzeni pomniejszym zwycięstwem w wojnie gangów jak narkotykiem. Ich głosy stały się nieznośnie hałaśliwe, a potem przycichły i zniknęły w oddali, gdy gangsterzy poszli w swoją stronę, nieświadomi trójki Białych Kwiatów ukrywających się w wodzie tuż pod nimi.

Kiedy tylko wyszli, Marshall wyciągnął rękę i trzepnął Benedikta w głowę.

– Nie musiałeś mnie popychać – burknął. – Słyszałeś, o czym oni gadali? Mogliśmy z nimi walczyć. Teraz jestem mokry w miejscach, w których żaden facet nie powinien być mokry.

Podczas gdy Benedikt i Marshall zaczęli się sprzeczać, Roma rozglądał się bez specjalnego celu pod promenadą. Jasne promienie słońca wpadały przez szczeliny w deskach, ujawniając nagromadzone tutaj wielobarwne plamy pleśni i brud. Sprawily także, że Roma zwrócił uwagę... na coś, co wyglądało jak but, unoszący się w wodzie i uderzający o nabrzeże.

Roma rozpoznał go.

– A niech mnie! – zawołał. Podpłynął do buta i wyciągnął go z wody, podnosząc w górę jak trofeum. – Czy wiecie, co to znaczy?

Marshall popatrzył na but, a potem rzucił Romie wymowne spojrzenie.

– Że rzeka Huangpu staje się coraz brudniejsza?

W tym momencie Benedikt uznał, że ma dość unoszenia się w brudnej wodzie pod promenadą i wypłynął na zewnątrz. Marshall czym prędzej poszedł w jego ślady, zaś Roma – który z zaskoczeniem uświadomił sobie, że rzeczywiście mogą się już bezpiecznie wynurzyć – pospiesznie dołączył do nich. Po wyjściu oparł się dłońmi o suchą poręcz promenady i wytrząsnął wodę ze spodni.

– To własność człowieka, który umarł na terytorium Szkarłatnych – wyjaśnił Roma, wskazując but. – On także tutaj był. – Roma podniósł torbę Benedikta i wsunął go do niej. – Chodźmy. Wiem, gdzie...

– Hej – przerwał mu Marshall, wciąż ociekający wodą. Wpatrywał się w powierzchnię rzeki. – Czy... czy wy to widzieliście?

Roma spojrzał na rzekę i zobaczył tylko oślepiające odbłaski słońca.

– Yyy... – powiedział. – Czy to miało być śmieszne?

Marshall popatrzył na niego. W jego śmiertelnie poważnej twarzy było coś takiego, co sprawiło, że Roma przełknął kolejny kwaśny docinek, który już cisnął mu się na język.

– Wydawało mi się, że widziałem pod wodą oczy.

Kwaśny smak niewypowiedzianego docinka stał się silniejszy. Zelektryzowane powietrze nabrało metalicznie miedzanego posmaku. Roma mocniej zacisnął dłoń na torbie kuzyna.

– Gdzie? – zapytał.

– To był moment. – Marshall przeczesał palcami włosy, starając się pozbyć z nich wody. – Nie wiem... może to tylko słońce odbijało się w rzece.

– Brzmiałeś, jakbyś był pewien, że widziałeś oczy.

– Ale dlaczego jakieś oczy...

Benedikt, który sam właśnie skończył wytrząsnąć wodę z nogawek, odchrząknął. Roma i Marshall popatrzyli na niego.

– Słyszeliście na pewno, co mówią ludzie?

Odpowiedzieli natychmiast.

– *Goe-mul* – wyszeptał Marshall, a Roma jednocześnie rzucił:

– *Czudowiszczce*.

Benedikt potwierdził to pomrukiem. To sprawiło, że Roma w końcu wyrwał się z odrętwienia i machnął na przyjaciół, żeby się pospieszili i oddalili od rzeki.

– Dajcie spokój, nie wierzcie w te plotki o potworze – powiedział. – Chodźcie ze mną.

Roma się spieszył. Szedł szybkim krokiem przez ulice, lawirował pomiędzy straganami i poświęcał zaledwie przelotne spojrzenia mijanym handlarzom, nawet gdy próbowali złapać go za rękaw, żeby zachwalać jakiś dziwny nowy owoc, który przyplłynął tutaj z innego świata. Benedikt i Marshall, zadyszani z wysiłku, z trudem dotrzymywali mu kroku, wymieniając od czasu do czasu porozumiewawcze spojrzenia i zastanawiając się, dokąd Roma prowadzi ich w takim tempie, niosąc torbę z martwymi owadami przyciśniętą do piersi.

– Tutaj – oznajmił Roma, ciężko dysząc, żeby złapać oddech. Zatrzymał się przed laboratorium należącym do Białych Kwiatów, a Benedikt i Marshall wpadli na siebie i omal się nie przewrócili.

– Auć – poskarżył się Marshall.

– Przepraszam – powiedział Benedikt. – Poślizgnąłem się na tym. – Cofnął stopę i podniósł kartkę cienkiego papieru, która okazała się ulotką, która zleciała ze słupa. Podobne ulotki reklamowały zazwyczaj usługi przewozu towarów i ludzi albo zawierały ofertę wynajmu mieszkania, ale na tej ogromne litery krzyczały: UNIKNIJ SZALEŃSTWA. ZASZCZEP SIĘ!

– Daj mi to – zażądał Roma. Benedikt podał mu kartkę, którą Roma złożył w małą kostkę i wsunął do kieszeni, żeby się jej później przyjrzeć. – Za mną.

Roma wszedł pewnie do budynku i zagłębił się w długi korytarz, po czym bez pukania wkroczył do laboratorium. Po wejściu do środka powinien założyć fartuch laboratoryjny, ale nikt nie ośmielił się zwrócić mu na to uwagi. Młodzi naukowcy zatrudnieni przez Białe Kwiaty pracowali przy swoich stanowiskach i nie zwrócili uwagi na Romę, którego obecność nie stanowiła niczego wyjątkowego, bo pojawiał się tutaj raz na miesiąc. Byli na tyle oswojeni z jego obecnością, że mógł robić, co chciał, a szef laboratorium, Lourens, na tyle dobrze znał Romę, żeby nie zwracać mu uwagi. Poza tym kto skarżyłby się na zachowanie następcy bossa Białych Kwiatów? Roma był osobą, od której zależały ich pensje.

– Lourens?! – zawołał Roma, rozglądając się po laboratorium. – Lourens, gdzie jesteś?

– Na górze – zagrzmiął głęboki głos Lourensa, mówiącego po rosyjsku z wyraźnym akcentem. Naukowiec pomachał z piętra. Roma pokonał schody, przeskakując po dwa stopnie, a Marshall i Benedikt pobiegli za nim jak entuzjastyczne szczeniaki.

Lourens podniósł głowę, żeby się im przyjrzeć, a potem zmarszczył krzaczaste brwi. Nie był przyzwyczajony do gości. Roma zazwyczaj odwiedzał laboratorium w pojedynkę i przechodził przez nie z pochyloną głową. Przemykał między stanowiskami, kuląc się, jakby chciał się osłonić przed brudem nielegalnego handlu. Jakby chciał się pozbyć poczucia winy, kiedy oglądał comiesięczne raporty z postępów w badaniach nad substancjami, które trafiały do tego laboratorium i je opuszczały.

Oficjalnie miejsce to było sponsorowaną przez Białe Kwiaty placówką badawczą, zajmującą się nowościami w dziedzinie farmaceutyki i doskonalącą leki na potrzeby szpitali, działających na terytorium gangu. W rzeczywistości stoły na zapleczu były wiecznie wysmarowane opium i śmierdziały wonią smoły, zaś naukowcy dodawali do mieszanek rzadkie substancje, wzmagające właściwości uzależniające narkotyków.

Dopiero po procesie ulepszenia Białe Kwiaty wysyłały towar na rynek. Następnie zgarniały swoje pieniądze i życie toczyło się dalej. To nie była działalność humanitarna. To był biznes, który czynił życie biednych jeszcze biedniejszym i pozwalał, by bogaci od dostatku pękali w szwach.

– Nie spodziewałem się ciebie dzisiaj – oznajmił Lourens, gładząc poplątaną brodę. Opierał się na balustradzie, żeby patrzeć z góry na parter, ale jego przygarbione plecy sprawiały, że ta pozycja wydawała się niebezpieczna. – Obecna partia nie jest jeszcze gotowa.

Roma skrzywił się. Prędzej czy później przywyknie do zblazowania, z jakim ci ludzie traktowali swoje zajęcie. W końcu praca to praca.

– Nie przychodzę w sprawie narkotyków. Potrzebna mi pomoc eksperta.

Roma podszedł pospiesznie do stołu laboratoryjnego Lourensa i odsunął papiery na bok, żeby zrobić trochę miejsca. Marshall wykorzystał tę okazję, by skoczyć do przodu i przedstawić się z teatralnym rozmachem. Cała jego twarz się rozjaśniła, jak zawsze, kiedy mógł dodać nowe nazwisko do nieskończonej listy ludzi, z którymi zawarł przelotną znajomość.

– Marshall Seo, cała przyjemność po mojej stronie. – Wyciągnął dłoń i skłonił się lekko.

Lourens, który poruszał się powoli i z trudem, ostrożnie potrząsnął wyciągniętymi palcami Marshalla. Potem skierował pytający wzrok na Benedikta, który z ledwie zauważalnym westchnieniem także wyciągnął rękę, nie usztywniając nadgarstka.

– Benedikt Iwanowicz Montagow – powiedział. Jeśli ktoś nie dosłyszałby niecierpliwości w jego słowach, dostrzegłby ją w jego spojrzeniu. Benedikt całą uwagę skoncentrował na owadach, które Roma rozłożył na stole Lourensa. Roma krzywił się i osłaniał dłoń rękawem, kiedy starał oddzielić od siebie drobne insekty.

Lourens chrząknął z namysłem i wskazał wyciągniętym palcem Romę.

– Czy twoje *otczestwo* nie brzmi Iwanowicz?

Roma odwrócił wzrok od owadów i popatrzył na naukowca, mrużąc oczy.

– Lourensie, mój ojciec nie ma na imię Iwan. Wiesz o tym.

– Naprawdę, na starość pamięć zaczyna mnie zawodzić, skoro za skarby świata nie mogę sobie przypomnieć twojego – mruknął Lourens. – Nikołajewicz? Sergiejewicz? Mich...

– Czy możemy się temu teraz przyjrzeć? – przerwał mu Roma.

– Ach. – Lourens odwrócił się do swojego stołu. Bez zwracania sobie głowy tak kluczowymi sprawami jak higiena szturchnął palcem insekty, po czym zamrugał zaskoczony. – A czemu mam się przyglądać?

– Znaleźliśmy je na miejscu zbrodni. – Roma schował drżące dłonie pod marynarkę. – Tam, gdzie siedmiu ludzi postradało zmysły i rozerwało sobie własne gardła.

Lourens nie zareagował na nieprawdopodobieństwo takiego stwierdzenia. Pociągnął się tylko kilka razy za brodę i zmarszczył czoło tak, że jego brwi się spotkały, tworząc pojedynczy kosmaty kształt.

– Czy sądzisz, że to owady sprawiły, iż ci ludzie rozerwali sobie gardła?

Roma wymienił spojrzenia z Benediktem i Marshalllem. Przyjaciele wzruszyli ramionami.

– Nie wiem – przyznał. – Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, z jakiego innego powodu moglibyśmy znaleźć tam te owady. Inną teorią może być to, że z rzeki Huangpu wynurza się potwór, który wywołuje u ludzi szaleństwo.

Lourens westchnął. Gdyby to był ktokolwiek inny, Roma poczułby ukłucie irytacji i doszedłby do wniosku, że mimo powagi swojej prośby nie został potraktowany serio. Ale Lourens wzdychał, kiedy parzył sobie herbatę i kiedy otwierał listy. Roma na tyle poznał już charakter Lourensa van Dijka, żeby wiedzieć, że to po prostu jego naturalny stan.

Lourens znowu szturchnął owada. Tym razem szybko cofnął palec.

– Ach... Och. To interesujące.

– Co takiego? – zapytał szybko Roma. – Co jest interesujące?

Lourens oddalił się bez słowa, szurając butami po podłodze. Rozejrzał się po swoich półkach i wymamrotał coś po niderlandzku. Odpowiedział dopiero wtedy, kiedy wziął do ręki małą zapalniczkę w kolorze czerwonym.

– Pokażę ci.

Benedikt zrobił minę i bez słowa zamachał ręką.

Dlaczego on tak się zachowuje?, zapytał bezgłośnie.

Daj mu się pobawić, odparł równie bezgłośnie Marshall.

Lourens przykuśtykał z powrotem do stołu. Wyciągnął z szuflady pod stołem szalkę Petriego, ostrożnie podniósł trzy martwe owady i położył je, jednego po drugim, na szklanej płytce.

– Powinien pan chyba włożyć rękawiczki – powiedział Benedikt.

– Cicho tam – odparł Lourens. – Nie zauważyliście, prawda?

Benedikt znowu się skrzywił, tym razem tak, jakby ugryzł cytrynę. Roma stłumił najbłedszy cień uśmiechu, który pchał mu się na usta, i szybko położył ostrzegawczo dłoń na przedramieniu kuzyna.

– Co mieliśmy zauważyć? – zapytał, kiedy miał już pewność, że Benedikt będzie cicho.

Lourens cofnął się od stołu i oddalił od niego na jakieś dziesięć kroków.

– Podejdźcie tutaj.

Roma, Benedikt i Marshall posłuchali. Patrzyli, jak Lourens zapala zapalniczkę, przysuwa żółtawy płomyk do owada na samym środku szalki Petriego i przytrzymuje go. W końcu insekt zaczął się skręcać, gdy jego szkielet nawet po śmierci zareagował na bodziec.

Zdarzyło się jednak coś przedziwnego: pozostałe dwa owady także zaczęły się spalać, kurcząc się i lśnić od żaru. Kiedy ten pośrodku skręcał się coraz bardziej, spalając się w ogniu, te po bokach robiły dokładnie to samo.

– Ta zapalniczka daje naprawdę mocny ogień – zauważył Marshall.

Lourens zgasił płomień i podszedł do stołu krokiem szybszym, niż Roma się po nim spodziewał. Przytrzymał szalkę Petriego nad tuzinami owadów leżących na drewnianym blacie.

– To nie zasługa zapalniczki, chłopcze.

Przysunął płomyk do owada. Kiedy przypalany insekt poczerwieniał i skręcił się, to samo zrobiły wszystkie inne rozłożone na stole – szybko i gwałtownie, w taki sposób, że Roma omal nie uwierzył, że nagle ożyły.

Benedikt cofnął się o krok. Marshall przycisnął dłoń do ust.

– Jak to się stało? – zapytał ostro Roma. – Jak to możliwe?

– Odległość jest w tym przypadku determinantem – powiedział Lourens. – Nawet po śmierci zachowanie każdego owada zależy od zachowania innych w jego pobliżu. Możliwe, że w ogóle nie są odrębnymi bytami. Możliwe, że wszystkie działają jak jedna istota.

– Co to znaczy? – naciskał Roma. – Czy spowodowały śmierć tych ludzi?

– Być może, ale trudno to będzie stwierdzić. – Lourens odstawił szalkę Petriego i przetarł oczy. Wydawało się, że się waha, co było kompletnie nieoczekiwane i z jakiegoś powodu sprawiło, że okropne przecucie Romy zaczęło się jeszcze pogłębiać. Przez te wszystkie lata, odkąd poznał starego naukowca, Lourens zawsze mówił, co myślał, nie przejmując się konwenansami.

– Proszę kontynuować – ponaglił go Benedikt.

Rozległo się bardzo, bardzo ciężkie westchnienie.

– Te istoty nie są organiczne – powiedział Lourens. – Czymkolwiek są, nie zostały stworzone przez Boga.

Kiedy Lourens się przeżegnał, do Romy dotarło, że mają do czynienia z jakąś niezmierną sprawą.

ROZDZIAŁ 5

Południowe słońce wpadało przez okno sypialni Juliette. Pomimo blasku promieni dzień był rześki, a chłód sprawiał, że róże w ogrodzie wydawały się prostować, jakby obawiały się stracić choćby sekundę ciepła spływającego spomiędzy chmur.

– Co ten Tyler sobie myśli? – wściekała się Juliette, krążąc po pokoju. – Za kogo on się uważa? Czy on próbował zastraszać tak wszystkich wokół przez ostatnie cztery lata?

Rosalind i Kathleen skrzywiły się zgodnie. Siedziały na łóżku Juliette, gdzie Rosalind splatała włosy Kathleen w warkocze. To wystarczyło jako potwierdzenie.

– Wiesz, że Tyler nie ma żadnych realnych wpływów w tym gangu – powiedziała uspokajająco Kathleen. – Nie musisz się... Auć, Rosalind!

– Przestań się wiercić, to nie będę musiała tak mocno ciągnąć – odparła spokojnie Rosalind. – Chcesz mieć dwa równe warkocze czy dwa krzywe?

Kathleen splotła ramiona i prychnęła, wyraźnie zapominając o tym, co zamierzała powiedzieć Juliette.

– Poczekaj tylko, aż nauczę się sama zaplatać sobie włosy. Wtedy nie będziesz już mieć nade mną władzy.

– Zapuszczasz włosy od pięciu lat, *mèimei*. Przyznaj w końcu, że zwyczajnie jestem lepsza w tej sztuce.

Za drzwiami sypialni coś się poruszyło. Juliette zmarszczyła brwi i zaczęła nasłuchiwać, podczas gdy Kathleen i Rosalind sprzeczały się dalej, najwyraźniej nie zwróciwszy uwagi na ten odgłos.

– To oczywiste, że jesteś lepsza w tej sztuce. Podczas kiedy ciebie uczono, jak dbać o siebie i być damą, mnie uczono, jak machać kijem golfowym i mocno ścisnąć dłoń na powitanie.

– Wiem, że twoi nauczyciele byli świętoszkowatymi draniami. Mówię tylko, żebyś przestała się wiercić...

– Hej, cicho tam – szepnęła Juliette i przycisnęła palec do ust. To były kroki. Kroki, które się zatrzymały, zapewne z nadzieją, że pochwyć jakiś okruczeństwo. Większość posiadłości należących do szanghajskich grubych ryb była zlokalizowana wzdłuż Bubbling Well Road w centrum miasta, ale rezydencja rodziny Cai umościła się spokojnie na obrzeżach Szanghaju. Wybrano to miejsce, aby uniknąć czujnych oczu cudzoziemców rządzących w mieście, ale pomimo tej nietypowej lokalizacji było ono punktem spotkań Szkarłatnego Gang. Każdy, kto coś w nim znaczył, pukał do drzwi tego domu, jeśli tylko miał trochę wolnego czasu, choć do rodziny Cai należały niezliczone mniejsze posiadłości w sercu miasta.

W ciszy kroki rozległy się znowu, oddalając się. Prawdopodobnie nie miało większego znaczenia to, że pokojówki, ciotki i wujowie, przechodzący pod drzwiami w każdej minucie, próbowali podsłuchiwać – Juliette, Rosalind i Kathleen zawsze rozmawiały między sobą po angielsku i na dodatek bardzo szybko, a niewiele osób w tym domu znało ten język na tyle, żeby móc cokolwiek zrozumieć. Mimo wszystko było to irytujące.

– Chyba już poszli – powiedziała Kathleen po chwili. – Właśnie, zanim Rosalind mi przerwała – dla podkreślenia rzuciła siostrze spojrzenie pełne udawanej urazy – chciałam ci powiedzieć, że Tyler jest irytujący i nic więcej. Niech sobie gada, co tylko chce. Szkarłatny Gang jest dość silny, żeby się go pozbyć.

Juliette westchnęła ciężko.

– Ale i tak się martwię. – Podeszła do drzwi balkonu. Kiedy przycisnęła palce do szkła, ciepło jej skóry sprawiło, że powierzchnia natychmiast zaparowała. Utworzyły się kropki: pięć identycznych punktów, w których zostawiła ślady. – Nie zwracamy na to uwagi, ale liczba ofiar vendetty stale się zwiększa. Teraz doszło jeszcze to dziwne szaleństwo. Co jeszcze musi się wydarzyć, żebyśmy zaczęli działać?

– Mamy Szanghaj w garści... – zapewniła ją Rosalind, kończąc zaplatać warkocze.

– Mieliśmy Szanghaj w garści – przerwała jej siostra. Kathleen pociągnęła nosem i wskazała mapę miasta, którą Juliette rozwinęła na swoim biurku. – Teraz Francuzi kontrolują Koncesję Francuską, a Brytyjczycy, Amerykanie i Japończycy mają Osiedle Międzynarodowe. My natomiast walczymy z Białymi Kwiatami o przeważające wpływy w reszcie miasta, co samo w sobie stanowi wyzwanie, biorąc pod uwagę, jak niewiele dzielnic należy obecnie do Chińczyków...

– Och, przestań – jęknęła Rosalind i udała, że omdlewa. Juliette stłumiła chichot, kiedy Rosalind zasłoniła ramieniem czoło i upadła plecami na łóżko. – Nasłuchałaś się za dużo komunistycznej propagandy.

Kathleen zmarszczyła brwi.

– Wcale nie.

– No dalej, przyznaj chociaż, że sympatyzujesz z komunistami.

– Oni mają trochę racji – odparła Kathleen. – To miasto nie jest już chińskie.

– A kogo to obchodzi? – Rosalind kopnęła nogą w powietrze, wykorzystując ten impet, żeby usiąść tak szybko, że ułożone kunsztownie włosy spadły jej na oczy. – Każda siła zbrojna w tym mieście jest lojalna wobec Szkarłatnego Gang albo wobec Białych Kwiatów. To właśnie jest prawdziwa władza. Niezależnie od tego, ile ziemi zaborą nam obcy, to gangsterzy pozostają największą siłą w tym mieście, a nie biali cudzoziemcy.

– Dopóki biali cudzoziemcy nie sprowadzą tu własnych armat – mruknęła Juliette. Oddaliła się od drzwi balkonowych i podeszła do swojej toaletki, zatrzymując się nad długim taborem. Niemal machinalnie wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po krawędzi ceramicznego wazonu, który stał przy jej kosmetykach. Dawniej to miejsce zajmowała błękitno-biała chińska waza, ale czerwone róże nie pasowały do wzorów na porcelanie, więc została wymieniona na model zachodni.

Byłoby znacznie łatwiej, gdyby Szkarłatni wygonili stąd cudzoziemców, kiedy ich statki z luksusowymi towarami przybiły do nabrzeża Bundu. Nawet teraz gangsterzy mogliby połączyć siły ze zmęczonymi robotnikami fabrycznymi i wesprzeć ich protesty. Razem zdołaliby pozbyć się cudzoziemców, gdyby tylko Szkarłatny Gang tego zapragnął... ale nie zapragnął. Szkarłatny Gang czerpał z obecnej sytuacji zbyt duże zyski. Potrzebował tych inwestycji, tego rozwoju ekonomicznego, tych piętujących się stosów pieniędzy, wpływających do jego członków i utrzymujących ich na powierzchni.

Juliette bolała sama myśl o tym. Pierwszego dnia po powrocie zatrzymała się przed wejściem do parku, zobaczyła tabliczkę CHIŃCZYKOM WSTĘP WZBRONIONY i wybuchnęła śmiechem. Kto przy zdrowych zmysłach zabraniałby Chińczykowi wstępu w jakieś miejsce we własnym kraju? Dopiero chwilę później uświadomiła sobie, że to nie jest dowcip. Cudzoziemcy naprawdę uważali się za dostatecznie potężnych, aby wyznaczać przestrzenie

„zarezerwowane dla Społeczności Międzynarodowej”, twierdząc, że zagraniczne środki finansowe, jakie zostały włożone w nowo budowane parki i nowo otwierane lokale rozrywkowe, usprawiedliwiały ich przejęcie.

Dla chwilowego bogactwa Chińczycy pozwalali cudzoziemcom pozostawiać trwałe ślady na chińskiej ziemi, zaś cudzoziemcy zaczęli czuć się tutaj jak w domu. Juliette obawiała się, że pewnego dnia polityczny wiatr zmieni kierunek i Szkarłatny Gang przekona się nagle, że stoi przed zamkniętymi drzwiami.

– Co się z tobą dzieje?

Juliette otrząsnęła się z zamyślenia i spojrzała na odbicie Rosalind w lustrze na toaletce.

– O co chodzi?

– Wyglądasz, jakbyś planowała morderstwo.

Zanim Juliette zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi, więc musiała się odwrócić. Ali, jedna z pokojówek, otworzyła drzwi i weszła do środka, ale pozostała tuż za progiem, obawiając się wkroczyć do wnętrza. Nikt z domowej służby nie wiedział, jak należy traktować Juliette. Była zbyt bezczelna, zbyt bezpośrednia, zbyt zachodnia, podczas gdy oni wszyscy byli zbyt nowi, zbyt niespokojni i nigdy nie czuli się pewnie. Służba ze względów praktycznych zmieniała się co miesiąc. W ten sposób rodzina Cai nie miała okazji poznać ich historii, dowiedzieć się czegoś o ich życiu ani przeszłości. Miesiąc mijał w mgnieniu oka, a oni dla własnego bezpieczeństwa byli odprawiani, co przecinało więzy, które mogłyby łączyć ich z lordem i lady Cai.

– *Xiàojiě*, na dole czeka gość – powiedziała cicho Ali.

Nie zawsze tak było. Dawniej mieli stałą grupę służących, którzy towarzyszyli Juliette przez pierwszych piętnaście lat jej życia. Dawniej Juliette miała Nianię, zaś Niania kładła ją do łóżka i opowiadała najbardziej poruszające historie o odległych pustyniach i bujnych leśnych gęstwinach.

Juliette wyjęła z wazonu czerwoną różę. Kiedy zamknęła dłoń na łodydze, ciernie ukłuły ją, ale ledwie to poczuła przez chroniące skórę odciski, utworzone przez te wszystkie lata, które spędziła, niszcząc każdą część siebie, którą dałoby się nazwać „delikatną”.

Cztery lata temu, kiedy klęczała w ogrodzie i przycinała w grubych rękawicach krzewy różane, nie od razu zrozumiała, co się stało. Dlaczego temperatura wokół wzrosła tak gwałtownie, dlaczego wydawało się, że cała ziemia w posiadłości rodziny Cai zadrżała od... eksplozji.

W uszach jej dzwoniło, najpierw od echa tamtego straszliwego, głośniego huku, a potem od krzyków, paniki i płaczu dobiegających od strony, gdzie stał budynek przeznaczony na mieszkania dla służby. Kiedy tam podbiegła, zobaczyła gruzy. Zobaczyła nogę. Kałużę krwi. Ktoś stał dokładnie na progu drzwi frontowych, kiedy zawalił się sufit. Ktoś w sukience przypominającej te, które nosiła Niania, z takiego samego materiału, za który Juliette zawsze ciągnęła jako małe dziecko, ponieważ tylko tyle mogła dosięgnąć.

Na ścieżce prowadzącej do domu dla służby leżał pojedynczy biały kwiat. Kiedy Juliette strząsnęła rękawice i podniosła go, z dzwonieniem w uszach i całkowitym zamętem w głowie, jej palce natrafiły na przypiętą do niego karteczkę. Gdy ją rozwinęła, zobaczyła wiadomość wypisaną rosyjską cyrylicą, rozmazującym się atramentem.

„Mój syn przesyła pozdrowienia”.

Tamtego dnia odwieźli do szpitala tyle ciał. Całe stosy zwłok. Rodzina Cai postanowiła zachowywać się cywilizowanie i załagodzić zadawnioną nienawiść, której przyczyny zniknęły w pomroce dziejów – i patrzcie, jaka spotkała ich nagroda: śmierć z dostawą do domu. Od tamtego incydentu członkowie Szkarłatnego Gangu i Białych Kwiatów strzelali do siebie bez uprzedzenia, broniąc i pilnując granic swoich terytoriów, jakby od tego zależały ich honor i reputacja.

– *Xiàojiě*?

Juliette zacisnęła oczy, upuściła różę i potarła zimną dłonią twarz, aż zdołała stłamsić każde wspomnienie, które starało się wyrwać na powierzchnię. Kiedy znowu uniosła powieki, jej wzrok był całkowicie obojętny. Bez pośpiechu obejrzała swoje paznokcie.

– Co z tego? – zapytała. – Ja się nie zajmuję gośćmi. Idź do moich rodziców.

Ali odchrząknęła i zaczęła miętosić w dłoniach brzeg swojej bluzki z szorstkiego materiału.

– Rodzice paniarki wyszli. Mogę pójść po pana Cai Tailleia...

– Nie – warknęła Juliette. Natychmiast pożałowała swojego tonu, kiedy na twarzy pokojówki odmalowało się przerażenie. Spośród wszystkich służących to właśnie Ali traktowała ją z najmniejszą dozą ostrożności. Nie zasługiwała, żeby się na niej wyładowywać.

Juliette spróbowała się uśmiechnąć.

– Zostaw Tylera w spokoju. To pewnie tylko Walter Dexter. Pójdę do niego.

Ali z szacunkiem pochyliła głowę i uciekła, zanim Juliette znowu zdążyła dać upust złemu humorowi. Juliette przypuszczała, że cała służba źle ją rozumie. Zrobiłaby wszystko dla Szkarłatnego Gangu. Obchodził ją ich dobrobyt, ich polityka, ich koalicje i sojusze z firmami kupieckimi i inwestorami.

Nie obchodziły jej natomiast płotki takie jak Walter Dexter; ludzie, którzy uważali się za niezwykle ważnych, nie mając nic na poparcie takiego poczucia. Nie miała ochoty zajmować się drobiazgami, do których nie zamierzał zniżyć się jej ojciec. To było kompletnie inne od bezwzględnych interesów, którymi zgodnie ze swoimi oczekiwaniami miała się zajmować, gdy wreszcie została wezwana z powrotem do domu. Gdyby wiedziała, że lord Cai będzie starał się trzymać ją z dala od wojny gangów i od równoległych działań obu grup przestępczych na scenie politycznej, być może nie spieszyłaby się tak, żeby pakować walizki, wylewając przy okazji całą zawartość swojego nowojorskiego barku.

Po ataku, w którym zginęła Niania, Juliette dla bezpieczeństwa została wysłana z powrotem do Nowego Jorku. Przez cztery lata musiała gotować się we własnej furii. To nie było do niej podobne. Ona wolałaby zostać i stanąć pewnie na własnych nogach, walczyć z wysoko podniesioną głową. Juliette Cai została nauczona nie uciekać, ale jej rodzice, jak wielu rodziców, okazali się hipokrytami i sami zmusili ją do ucieczki, do wyplątania się z wojny gangów i prowadzenia życia z dala od czyhających w Szanghaju zagrożeń.

Teraz jednak wróciła.

Rosalind mruknęła coś gardłowo, kiedy Juliette narzuciła żakiet na paciorkową sukienkę.

– Znowu to robisz.

– Co takiego?

– Minę morderczyni – odparła Kathleen, nie podnosząc wzroku znad czytanego magazynu.

Juliette przewróciła oczami.

– Myślę, że to po prostu mój naturalny wyraz twarzy.

– Nie. To jest twój naturalny wyraz twarzy.

Rosalind zrobiła najbardziej idiotyczną minę, jaką zdołała, otwierając szeroko usta i oczy. Dla wzmocnienia efektu zaczęła kiwać się na łożku. Juliette w odpowiedzi rzuciła w nią kapciem, co sprawiło, że Kathleen zachichotała.

– Sio! – skarciła ją Rosalind, odrzucając kapeć na bok i tłumiąc śmiech. – Idź do swoich obowiązków.

Juliette była już w drzwiach, ale zrobiła jeszcze wulgarny gest przez ramię. Przeszła korytarzem na piętrze, skubiąc łuszczący się na paznokciach lakier, i zatrzymała się przed drzwiami gabinetu ojca, żeby poprawić pantofel, który nie leżał zbyt dobrze od momentu, kiedy zaczęła nim o pokrywę studzienki ściekowej.

Nagle zamarła z dłonią przy kostce. Usłyszała głosy dobiegające z gabinetu.

– O przepraszam! – krzyknęła donośnie Juliette, otwierając drzwi kopniakiem pantofla na szpilce. – Pokojówka powiedziała, że nie ma was w domu. Jej rodzice jednocześnie podnieśli głowy i zamrugali z zaskoczeniem. Matka stała za plecami ojca, opierając się jedną ręką o biurko, a w drugiej trzymając jakiś dokument.

– Służba mówi to, co chcemy, żeby mówiła, *qīn'ài de* – odparła z godnością lady Cai. Strzepnięciem palców odprawiła Juliette. – Czy nie czeka na ciebie gość na dole?

Juliette z gniewnym prychnięciem spiorunowała rodziców wzrokiem i zamknęła za sobą drzwi. Nie zwrócili na to uwagi. Kontynuowali przerwana rozmowę, oczekując, że Juliette się im podporządkuje.

– Straciliśmy już przez to dwóch ludzi, a jeśli plotki są prawdziwe, stracimy kolejnych, zanim uda nam się ustalić przyczynę. – Matka Juliette przyciszonym głosem podjęła przerwany wątek. Lady Cai, mówiąc w dialekcie szanghajskim, emanowała spokojem, nawet jeśli temat rozmowy był nacechowany gwałtownymi emocjami. Juliette pomyślała, że to zapewne wiąże się z posługiwaniem się językiem ojczystym.

Juliette nie była pewna, jaki język jest dla niej ojczysty.

– Komuniści nie posiadają się z radości. Zhang Gutai nie będzie już potrzebował megafonu, żeby prowadzić rekrutację. – Ojciec Juliette stanowił całkowite przeciwieństwo żony. Mówił szybko i ostro. Chociaż dźwięki dialektu szanghajskiego pochodziły wyłącznie z ust, nie z gardła, potrafił jakoś sprawić, że rozbrzmiewały dziesięć razy głośniej niż u innych. – Ludzie umierają jak muchy, więc kapitalistyczne przedsiębiorstwa popadają w stagnację, a w fabrykach chętnie słucha się o rewolucji. Rozwój ekonomiczny Szanghaju gwałtownie się zatrzymał.

Juliette skrzywiła się i wyszła na korytarz. Niezależnie od tego, ile wiedzy ojciec starał się jej przekazać w listach, Juliette nigdy nie obchodziło, kto jest u władzy, o ile machinacje polityczne nie miały bezpośredniego wpływu na interesy Szkarłatnych. Obchodził ją tylko Szkarłatny Gang, bezpośrednie zagrożenia i trudności, z jakimi borykali się na co dzień. To sprawiało, że jeśli chodziło o intrygi, Juliette w pierwszej kolejności na myśl przychodzili członkowie Białych Kwiatów, a nie komuniści. Ale jeśli to rzeczywiście komuniści wypuścili szaleństwo na miasto, tak jak podejrzewał ojciec, to znaczyło, że oni także mordują jej ludzi, a ona będzie musiała się z nimi policzyć. Ostatecznie dzisiaj rano lord Cai nie zlekceważył tych zgonów ze względu na politykę. Być może chodziło o to samo.

To ma sens, że komuniści są odpowiedzialni za szaleństwo, pomyślała Juliette, schodząc po schodach na parter.

Ale jak niby miałoby tego dokonać? Wojna domowa nie była niczym nowym. Okresy politycznej zawieruchy w tym kraju trwały dłużej niż czasy pokoju. Jednak to, co sprawiało, że niewinni ludzie rozszarpywali sobie własne gardła, nie przywodziło Juliette na myśl żadnej broni biologicznej, o jakiej czytała.

Zbiegła kilka ostatnich stopni.

– Dzień dobry! – zawołała. – Już przyszedłem! Możecie się pokłonić!

Weszła do salonu i ujrzała nieznanego, siedzącego na jednej z kanap. Nie był to irytujący brytyjski kupiec, ale ktoś niezwykle do niego podobny, tylko znacznie młodszy, mniej więcej w wieku Juliette.

– Nie będę się kłaniać, jeśli pani pozwoli – oznajmił nieznanomy, lekko krzywiąc usta. Podniósł się i wyciągnął rękę. – Nazywam się Paul, Paul Dexter. Mój ojciec nie mógł się dzisiaj pojawić, dlatego przysłał mnie w zastępstwie.

Juliette zignorowała wyciągniętą dłoń. *Jest źle wychowany*, pomyślała natychmiast. Zgodnie z zasadami brytyjskiej socjety to dama zawsze miała przywilej podawania ręki jako pierwsza. Oczywiście Juliette nie przejmowała się etykietą ani tym, jak ich dobrze urodzone brytyjskie towarzystwo definiowało „damę”, ale takie braki ogłady zdradzały brak odpowiedniego obycia.

Poza tym naprawdę powinien się jej uklonić.

– Zakładam, że przychodzi pan w tej samej sprawie co uprzednio pański ojciec? – zapytała, wyglądając rękawy.

– Zaiste. – Paul Dexter bez cienia złości cofnął dłoń. Jego uśmiech przypominał skrzyżowanie hollywoodzkiego gwiazdora ze zdesperowanym klaunem. – Mój ojciec zapewnia, że mamy więcej lernikromu niż każdy inny kupiec w tym mieście. Nie znajdziecie nikogo, kto da wam lepszą cenę.

Juliette westchnęła, ale ponieważ do salonu weszło kilkoro kuzynów oraz wujów, zaczekała, aż pójdą dalej. Kiedy grupka mijała Juliette, pan Li zyczliwym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

– Powodzenia, mała.

Juliette pokazała mu język. Pan Li uśmiechnął się, aż zmarszczki pokryły mu twarz, a potem wyciągnął mały cukierek w papierku i podał go Juliette na wyciągniętej dłoni. Nie była już nadmiernie energiczną czterolatką, która mogła objadać się słodyczami do bólu zębów, ale mimo to wzięła cukierek, odwinęła z papierka i wsunęła ze smakiem do ust, patrząc za odchodzącym wujem.

– Proszę usiąść, panie Dexter...

– Proszę mówić do mnie Paul – przerwał jej i znowu przysiadł na długiej kanapie. – Jesteśmy nowym pokoleniem nowoczesnych ludzi, a pan Dexter to mój ojciec.

Juliette omal nie zakrztusiła się z odrazy. Zaciśnęła zęby na landrynce, a potem opadła na fotel stojący prostopadle do kanapy.

– Od jakiegoś czasu bardzo podziwiamy Szkarłatnych – ciągnął Paul. – Mój ojciec wiąże z naszą współpracą ogromne nadzieje.

Juliette aż się zatrzęsała ze złości, słysząc swobodę, z jaką Paul mówił o Szkarłatnych. Nazwa Szkarłatnego Gangu brzmiała zdecydowanie lepiej po chińsku. Nazywali się *hóng bāng*, dwie sylaby uderzające szybko samogłoskami. Ta nazwa skręcała się i padała z ust Szkarłatnych jak uderzenie bata, zaś ci, którzy nie wiedzieli, jak należy ich traktować, mogli tym bitem dostać.

Tak jak teraz Paul Dexter.

– Odpowiem panu to samo, co powiedział mój ojciec. – Juliette podciągnęła nogi na poręcz fotela, pozwalając, żeby zsunęły się z nich warstwy sukienki. To poruszenie przyciągnęło wzrok Paula. Juliette widziała, że jego brwi zadrgały na skandaliczny widok jej odsłoniętej, długiej i jasnej nogi. – Nie wchodzimy obecnie w nowe interesy. Jesteśmy dostatecznie zajęci dotychczasowymi klientami.

Paul udał rozczarowanie. Pochylił się do przodu, jakby mógł ją przekonać dzięki kontaktowi wzrokowemu. Osiągnął tylko tyle, że Juliette zauważyła grudę pomady, której nie wyczesał do końca z ciemnoblonde włosów.

– Proszę tak nie mówić – powiedział. – Słyszałem o rywalizującej z wami grupie, która może z większym entuzjazmem podejść do tej oferty...

– W takim razie proszę im złożyć propozycję – oznajmiła Juliette. Wyprostowała się szybkim ruchem. Starła się ją nakłonić do współpracy, sugerując, że zamierza pójść do Białych Kwiatów, ale to nie miało znaczenia. Walter Dexter był klientem, którego Szkarłatni chcieli się pozbyć. – Cieszę się, że tak szybko wyjaśniliśmy wątpliwości.

– Proszę poczekać, ja nie...

– Do widzenia, panie... – Juliette udała, że się zastanawia. – Peterze? Parisie?

– Paulu – podpowiedział Paul, marszcząc brwi.

Juliette przywołała na twarz uśmiech przypominający idiotyczny grymas, jaki wcześniej, przedrzeźniając ją, prezentowała Rosalind.

– Ach, tak. Żegnam!

Zerwała się i przebiegła przez salon do drzwi frontowych. Błyskawicznie zacisnęła palce na ciężkiej klamce i otworzyła je na oścież, nie mogąc się doczekać, aż pozbędzie się brytyjskiego gościa.

Trzeba było przyznać, że Paul szybko zorientował się w sytuacji. Podeszedł do drzwi i skłonił się. *W końcu okazał jakieś maniery.*

– Niech tak będzie. – Wyszedł na zewnątrz, ale zatrzymał się na stopniach i odwrócił jeszcze raz do Juliette. – Czy mógłbym mieć prośbę, panno Cai?

– Mówiłam już panu...

Paul uśmiechnął się.

– Czy mógłbym się jeszcze kiedyś z panią spotkać?

Juliette zatrzasnęła drzwi.

– Nie ma mowy.

ROZDZIAŁ 6

Roma nie miał udanego dnia.

W ciągu pierwszej godziny po obudzeniu potknął się podczas wchodzenia na schody, stłukł ulubiony kubek z ulubioną herbatą ziołową i zawadził biodrem o stół kuchenny z takim impetem, że w miejscu uderzenia utworzył się ogromny fioletowy siniak. Potem został zmuszony do oględzin miejsca zbrodni. A na koniec musiał przyjąć do wiadomości, że za tę zbrodnię mogą odpowiadać czynniki nadnaturalne.

Kiedy pod wczesnopołudniowym słońcem wracał ociężałe do centrum miasta, czuł, że jego cierpliwość jest już na absolutnym wyczerpaniu. Każdy świst uchodzącej pary brzmiał jak dźwięk, który wydawał jego ojciec, kiedy się złościł, a każdy trzask toporka rzeźniczego o kawałek mięsa przypominał Romie wystrzał z pistoletu.

Zazwyczaj uwielbiał zamieszanie, które otaczało jego dom. Celowo wybierał okrężną drogę, żeby przejść między straganami i popatrzeć na stosy przywiezionych ze wsi warzyw, wyższe od samych sprzedawców. Robił głupie miny do ryb i przyglądał się warunkom panującym w ich małych, brudnych akwariach. Jeśli miał trochę czasu do zabicia, kupował po drodze słodycze od każdego, kto nimi handlował, wrzucał je na bieżąco do ust i opuszczał targowisko z bolącymi zębami i pustką w kieszeniach.

Targowisko było jednym z jego najulubieńszych miejsc. Dzisiaj jednak drażniło go jak szorstki materiał skórę pokrytą wysypką.

Roma zanurkował pod sznurami z praniem rozwieszonym w poprzek wąskiego zaułka prowadzącego do głównego domu Montagowów. Czysta i brudna woda kapały zawzięcie na chodnik, powiększając kałużę – przejrzysta, jeśli spływała z ociekającej sukienki, czarna i szlamowata, jeśli pochodziła z nieuszczelnionej rury.

To była rzecz, która rzucała się w oczy każdemu, kto postanowił zagłębić się w labirynt ulic Szanghaju. Odnosiło się wrażenie, że miasto zaprojektował leniwy artysta – dachy i parapety wyginały się i zakrzywiały, tworząc fantastyczne kąty i łuki, a potem nieoczekiwanie kończyły się lub znikwały w przeciwnym budynku. W najbiedniejszych częściach miasta wiecznie brakowało przestrzeni. Środki wyczerpywały się zawsze tuż przed ukończeniem prac budowlanych. Wszystkie rury były odrobinę za krótkie, studzienki ściekowe miały pokrywy zasłaniające je w połowie, chodniki wyginały się i opierały o siebie nawzajem. Gdyby Roma tylko zechciał, mógłby wyciągnąć ręce przez okno swojej sypialni na trzecim piętrze i z łatwością dosięgnąć zewnętrznych okiennic pokoju w budynku po drugiej stronie zaułka. Gdyby wyciągnął przez okno wyprostowane nogi, mógłby bez trudu przeskoczyć nad ulicą i przerazić mieszkającego naprzeciw starszego pana.

W gruncie rzeczy przestrzeni wcale nie brakowało. Wokół miasta było pod dostatkiem terenów umożliwiających rozbudowę – nietkniętych przez wpływy Osiedla Międzynarodowego ani Koncesji Francuskiej. Jednakże kwatera główna Białych Kwiatów znajdowała się właśnie tuż przy granicy Koncesji Francuskiej i gang zamierzał tam pozostać.

Montagowowie mieszkali tutaj, odkąd dziadek Romy przybył do Szanghaju. Inni cudzoziemcy zajęli pobliską dzielnicę całkiem niedawno, kiedy stali się bardziej bezczelni dzięki swojej władzy prawnej. Co pewien czas sprawiali Białym Kwiatom poważne problemy, próbując uzyskać wpływ na działalność gangu, ale układy polityczne zawsze były korzystne dla Rosjan. Francuzi ich potrzebowali, oni nie potrzebowali Francuzów. Białe Kwiaty pozwalały cudzoziemcom egzekwować swoje prawa w miejscach, które do nich nie należały, zaś nadęci kupcy w haftowanych w kwiaty płaszczach i polerowanych butach usuwali się na bok, gdy gangsterzy szaleli po ulicach.

To był kompromis, który wraz z upływem czasu stawał się coraz słabszy. Takie miejsca same w sobie były duszne. Nie pomagało, jeśli na poduszkach przyciśniętych do twarzy pojawiał się dodatkowy ciężar.

Roma przesunął torbę Benedikta wyżej na ramieniu. Benedikt nie był zadowolony, że Roma zabiera mu jego przybory rysunkowe, ale wtedy Roma udał, że chce oddać torbę. Benedikt rzucił tylko okiem do wnętrza – na martwe owady, których Lourens nie chciał zatrzymać, oraz but nieboszczyka, który Roma wsadził do środka – i szybko ją odsunął, prosząc kuzyna, żeby zwrócił torbę, kiedy ją dobrze wyszoruje.

Roma otworzył drzwi i wślizgnął się do domu. Kiedy akurat mijał salon, po prawej trzasnęły drzwi i do środka wszedł także Dimitrij Woronin.

Nieudany dzień Romy stał się w tym momencie jeszcze gorszy.

– Roma! – krzyknął Dimitrij. – Gdzie się podziewałeś przez cały poranek?

Dimitrij był tylko o kilka lat starszy od Romy, ale zachowywał się, jakby znajdował się kilka poziomów wyżej od niego. Kiedy Roma go mijał, Dimitrij z uśmiechem wyciągnął rękę, żeby poczochrąć mu włosy.

Roma zrobił unik i zmrużył oczy. Miał dziewiętnaście lat, był następcą bossa jednej z dwóch najpotężniejszych organizacji przestępczych w mieście, ale kiedy tylko Dimitrij pojawiał się w tym samym pokoju, znowu stawał się małym chłopcem.

– Byłem na mieście – odparł wymijająco. Gdyby powiedział, że miało to jakiś związek z działaniami Białych Kwiatów, Dimitrij naciskałby i naciskał, aż w końcu dowiedziałby się, o co chodzi. Dimitrij nie był tak pozbawiony inteligencji, żeby kiedykolwiek otwarcie obrazić Romę, ale w każdej aluzji do jego młodego wieku i fałszywie współczującym cmoknięciu słyhać było protekcjonalność. To z powodu Dimitrija Roma nie mógł sobie pozwolić na żadną słabość. To z powodu Dimitrija Roma nauczył się tego zimnego, brutalnego wyrazu twarzy, za który nienawidził się za każdym razem, kiedy patrzył w lustro. – Czego chcesz? – zapytał Roma i nalał sobie szklanek wody.

– Nie martw się. – Dimitrij wszedł za nim do kuchni i sięgnął po leżący najbliżej nóż, który wbił w kawałek pieczeni, leżącej na jakimś talerzu. Podniósł mięso i zaczął je ogryzać z szerokiego ostrza, nie przejmując się tym, kto zostawił talerz ani jak długo jedzenie na nim leżało. – Ja też zaraz wychodzę.

Roma zmarszczył brwi, ale Dimitrij już wyszedł, zabierając ze sobą ciężką woń piżma i dymu. Pozostawiony sam sobie Roma odetchnął głęboko i odwrócił się, żeby odstawić szklanek do zlewu.

Nieoczekiwanie przekonał się, że obserwują go wielkie brązowe oczy osadzone w drobnej buzi chochlika.

Omal nie wrzasnął.

– Alisa! – syknął na swoją siostrę i otworzył szerzej drzwiczki szafki kuchennej. Nie miał pojęcia, jak długo obserwowała go, zanim ją zauważył, ani jak w ogóle zmieściła się pomiędzy tymi wszystkimi przyprawami i workami cukru, ale nauczył się, że nie warto zadawać takich pytań.

– Ostrożnie – pisnęła, kiedy Roma wyjął ją z szafki. Gdy postawił ją na podłodze, wskazała rękaw, na którym zacisnął dłoń. – To jest nowe.

Ubranie z pewnością nie było nowe. Wiązana bluza, którą narzuciła na drobniutkie ramiona, przypominała strój wieśniaków z czasów przed upadkiem cesarskich dynastii w Chinach i była podarta w sposób, w jaki mogła się podrzeć tylko przy okazji wciskania się w najciaśniejsze kąty. Alisa mówiła czasem absurdalne rzeczy tylko po to, żeby zbić rozmówcę z tropu, co sprawiało, że w opinii wielu ludzi balansowała na cienkiej granicy między obłąkaniem a całkowitą niedojrzałością.

– Cicho – powiedział do niej Roma. Wygładził kołnierz jej bluzki, ale jego ręka znieruchomiała, kiedy dotknął łańcuszka, który Alisa powiesiła sobie na szyi. Ten łańcuszek należał do jego matki, był pamiątką przywiezioną z Moskwy. Roma po raz ostatni widział go na jej zwłokach, kiedy została zamordowana przez Szkarłatny Gang. Lśniący srebrem kontrastował ostro z krwią sączącą się z jej poderżniętego gardła.

Lady Montagowa zaczęła chorować niedługo po urodzeniu Alisy. Roma widywał ją raz na miesiąc, kiedy lord Montagow zabierał go ze sobą do tajnej kryjówki w jednym z zapomnianych zakamarków Szanghaju. We wspomnieniach zachował obraz matki posiwialej i wychudzonej, ale zawsze uśmiechniętej, gdy podchodził do jej łóżka.

Lady Montagowa przebywała w kryjówce, aby nie trzeba było zostawiać przy niej strażników. To miało być bezpieczne miejsce. Jednakże cztery lata temu Szkarłatny Gang mimo wszystko zdołał ją znaleźć i poderznął jej gardło w odwecie za atak, do którego doszło wcześniej w tym samym tygodniu. Mordercy pozostawili jedną zwiędłą czerwoną różę zaciśniętą w jej rękach. Kiedy ją chowano, w jej dłoniach nadal tkwiły ciernie.

Roma powinien nienawidzić Szkarłatnego Gangu na długo przed tym, zanim jego członkowie zamordowali mu matkę, a po śmierci lady Montagowej powinien nienawidzić ich jeszcze bardziej. Ale tak się nie stało. To było po prostu prawo talionu: oko za oko. Tak właśnie działała wojna gangów. Gdyby nie przeprowadził tamtego ataku, oni nie wzięliby odwetu na jego matce. W zatargu na taką skalę nie było sensu szukać winnych. Jeśli kogoś należało winić, to tylko jego. Jeśli kogoś miał nienawidzić z powodu śmierci matki, to tylko siebie samego.

Alisa pomachała mu dłonią przed twarzą.

– Widzę oczy, ale nie widzę mózgu.

Roma otrząsnął się z zamyślenia. Położył delikatnie palec pod jej brodą i potrząsnął nią lekko.

– Skąd to wzięłaś? – zapytał cicho.

– Był na strychu – odpowiedziała Alisa. Jej oczy się rozjaśniły. – Śliczny jest, prawda?

Alisa miała wtedy tylko osiem lat. Nie powiedziano jej o morderstwie, jedynie o tym, że lady Montagowa przegrała w końcu walkę z chorobą.

– Bardzo ładny – powiedział ochryple Roma. Jego oczy poruszyły się szybko, kiedy usłyszał kroki na piętrze. Ojciec był w swoim gabinecie. – Uciekaj już. Zawołam cię na obiad.

Alisa zasalutowała mu żartobliwie i wybiegła z kuchni, a potem pobiegła na górę po schodach, a cienkie jasne włosy powiewały za nią jak welon. Kiedy Roma usłyszał, że zamknęły się za nią drzwi sypialni na trzecim piętrze, także wszedł na górę, kierując się do gabinetu ojca. Potrząsnął gwałtownie głową, żeby oczyścić trochę myśli, a potem zapukał.

– Wejść.

Roma nabrał powietrza w płuca. Otworzył drzwi.

– Słucham? – powiedział lord Montagow zamiast powitania. Nie podniósł wzroku. Całą jego uwagę pochłaniał trzymany w dłoni list, który przejrzał szybko, po czym odłożył na bok i wziął następny ze stosu. – Mam nadzieję, że coś znalazłeś.

Roma ostrożnie podszedł bliżej i postawił torbę na podłodze. Sięgnął do niej, zawahał się przez moment, ale wyjął but i położył go na biurku ojca. Splótł dłonie za plecami, wstrzymując oddech.

Lord Montagow popatrzył ponad butem, jakby Roma umieścił przed nim wściekłego psa. Często spoglądał na swojego syna w taki sposób.

– Co to jest?

– Znalazłem to w miejscu, gdzie zginęło siedmiu ludzi – wyjaśnił ostrożnie Roma. – To własność człowieka, który umarł w kabarecie Szkarłatnych. Myślę, że był także obecny na miejscu pierwszej tragedii, a jeśli tak, w grę może wchodzić zakażenie...

Lord Montagow rąbnął dłonią w blat biurka. Roma drgnął, ale zmusił się, żeby nie zamknąć oczu i patrzeć spokojnie przed siebie.

– Zakażenie! Szaleństwo! Potwory! Co się dzieje z tym miastem? – zagrzemiał lord Montagow. – Kazałem ci znaleźć odpowiedzi, a ty przynosisz mi coś takiego?

– Znalazłem dokładnie to, o co ci chodziło – odparł Roma, ale bardzo cichym, ledwie słyszalnym głosem. Przez ostatnie cztery lata zawsze robił to, co mu polecono, nawet jeśli zadanie było albo trywialne, albo wstrętne. Gdyby nie wykonywał rozkazów, ryzykowałby konsekwencje, a chociaż nienawidził swojej przynależności do Białych Kwiatów, jeszcze bardziej nienawidził myśli, że mógłby przestać być jednym z nich. Tytuł dawał mu władzę. Władza dawała mu bezpieczeństwo. Dawała mu pewność, odstraszała tych, którzy mogliby mu zagrozić, i pozwalała mu chronić Alisę oraz wszystkich jego przyjaciół.

– Zabierz mi to z oczu – polecił lord Montagow, wskazując but machnięciem ręki.

Roma zacisnął wargi, ale podniósł but i schował go z powrotem do torby.

– To jest mimo wszystko dowód, tato. – Potrząsnął torbą, żeby but zniknął w niej do końca. – Ośmiu ludzi spotkało się w porcie w Szanghaju, siedmiu z nich rozerwało sobie gardła, a ósmy uciekł. Skoro ten jeden ocalały rozerwał sobie gardło następnego dnia, to czy nie brzmi to jak opis choroby zakaźnej?

Lord Montagow przez długą chwilę nie odpowiadał. Obrócił się na fotelu twarzą do małego okna, wychodzącego na ruchliwą uliczkę. Roma obserwował ojca, jego dłonie zaciśnięte na poręczach wielkiego fotela, ledwie widoczne kropelki potu pomiędzy króciutko przystrzyżonymi włosami. Stos listów został na razie zapomniany. Chińskie nazwiska na wielu z nich były znajome: Chen Duxiu, Li Dazhao, Zhang Gutai.

Komuniści.

Kiedy rewolucja bolszewicka pochłonęła Moskwę, fala politycznego przypływu dotarła także tutaj, do Szanghaju. Nowe frakcje, które narodziły się w ostatnich latach, niezmordowanie starały się pozyskać wsparcie Białych Kwiatów, całkowicie ignorując to, że ostatnią rzeczą, jakiej chcieliby członkowie gangu, byłaby „redystrybucja społeczna”. Nie w sytuacji, gdy Montagowowie poświęcili całe pokolenia, aby dotrzeć na szczyt. Nie w sytuacji, kiedy większość szeregowych członków gangu uciekła do Szanghaju właśnie przed bolszewikami.

Nawet jeśli komuniści widzieli w Białych Kwiatkach potencjalnych sojuszników, członkowie Białych Kwiatów widzieli w komunistach wyłącznie wrogów.

Lord Montagow w końcu odwrócił się od okna z pomrukiem niezadowolenia.

– Nie życzę sobie poświęcać uwagi temu tak zwanemu szaleństwu – zdecydował. – Przekazuję to zadanie tobie. Ustal, co się dzieje.

Roma powoli skinął głową. Zastanawiał się, czy napięcie w głosie ojca było oznaką irytacji, ponieważ cała ta sprawa z szaleństwem była poniżej jego godności, czy też ojciec sam się bał, że dotknie go zaraza. Roma się nie bał. Bał się tylko władzy innych ludzi. Potwory i istoty przemykające nocą były silne, ale nie miały władzy. Na tym polegała różnica.

– Dowiem się, czego się da, o tym człowieku – stwierdził Roma, mając na myśli ostatnią ofiarę.

Lord Montagow przesunął fotel kawałek w bok i oparł stopy na biurku.

– Nie działaj w pośpiechu. Musisz najpierw potwierdzić, że ten but naprawdę należał do człowieka, który zginął wczoraj.

Roma zmarszczył brwi.

– Ostatnia ofiara jest w kostnicy, w szpitalu Szkarłatnych. Zastrzelą mnie, kiedy tylko się tam pojawię.

– Znajdź sposób, żeby się tam dostać – odparł po prostu lord Montagow. – Kiedy nakazałem ci pozyskać informacje od Szkarłatnych, skontaktowałeś się z nimi z wyjątkową łatwością.

Roma zeszywniał. To nie było fair. Jedynym powodem, dla którego ojciec wysłał go na terytorium Szkarłatnych, było to, że konfrontacja szefów dwóch gangów miałaby zbyt poważne konsekwencje. Gdyby lord Cai i ojciec Romy spotkali się, a to spotkanie zakończyłoby się spokojnie, obaj straciliby twarz. Ustępstwa Romy wobec Szkarłatnego Gangu nie miałyby znaczenia dla członków Białych Kwiatów. On był tylko następcą bossa wysłanym z ważnym zadaniem.

– O czym ty mówisz? – zapytał Roma. – To, że miałem powód, żeby wejść do ich kabaretu, nie znaczy, że mogę paradować po ich szpitalu...

– Znajdź kogoś, kto cię tam wprowadzi. Słyszałem plotki, że dziedziczka Szkarłatnych powróciła.

Roma poczuł, że coś w jego piersi zaciska się i nie zamierza odpuścić. Nie ośmielił się zareagować.

– Nie rozśmieszaj mnie, tato.

Lord Montagow wzruszył obojętnie ramionami, ale w jego oczach było coś, co się Romie nie spodobało.

– To nie jest całkowicie absurdalny pomysł – oznajmił. – Z pewnością mógłbyś ją poprosić o jedną przysługę. Była przecież kiedyś twoją kochanką.

ROZDZIAŁ 7

Wystarczyło zaledwie kilka dni, żeby ludzie w mieście zaczęli o tym mówić. Początkowo były to tylko plotki: podejrzenia, że to szaleństwo nie jest sprawką wroga ani sił naturalnych, ale samego diabła, który nocą puka do drzwi i jednym spojrzeniem wywołuje w ofierze obłąd.

Potem pojawili się świadkowie.

Kobiety, które rozwieszały pranie na nabrzeżu, twierdziły, że widziały macki prześlizgujące się w mroku, kiedy późnym wieczorem wychodziły po wysuszone rzeczy. Kilku pracujących dla Szkarłatnych robotników, którzy szli spóźnieni na swoją zmianę, przeraziło się, słysząc warkot, a potem błysk srebrnych oczu spoglądających na nich z przeciwległego końca uliczki. Najbardziej przerażającym świadectwem była zaś opowieść właściciela położonego nad rzeką burdelu o skulonym pomiędzy workami śmieci stworzeniu, które zobaczył, kiedy wyszedł, żeby zaryglować drzwi. Twierdził, że dyszało tak, jakby cierpiało, jak gdyby walczyło samo ze sobą. Pozostawało częściowo ukryte w cieniu, ale bez wątplenia było nienaturalną, dziwaczną istotą.

– Miało ostrza wzdłuż całego grzbietu. – Juliette usłyszała ten szept przed sobą. Opowieść była właśnie przekazywana przez synka matce w kolejce przed okienkiem ulicznej restauracji. Mały chłopczyk podskakiwał z ekscytacji, powtarzając słowa swojego szkolnego kolegi lub przyjaciela z sąsiedztwa. Im więcej było zgonów – a od czasu mężczyzny w kabarecie pojawiły się kolejne ofiary – tym więcej osób snuło przypuszczenia, jakby po rozważeniu wszystkich możliwości, można było dojść do prawdy. Ale im więcej ludzie o tym mówili, tym bardziej prawda wyslizgiwała im się z rąk.

W innych okolicznościach Juliette zignorowałaby takie historie uznając je za pospolite plotki, ale strach sączący się na ulice był bardzo, bardzo realny. Realny do tego stopnia, że wątpiła, aby mógł stać się tak silny bez namacalnych powodów.

Co to takiego mogło być? „Potwory” nie były prawdziwe, niezależnie od tego, w ilu chińskich baśniach się do tej pory pojawiały. To był nowy wiek nauki i przemian. Tak zwany potwór musiał zostać przez kogoś stworzony – ale przez kogo?

– Cicho już – spróbowała uspokoić malca matka. Palcami lewej dłoni nerwowo przesuwając koraliki na prawym nadgarstku. To był buddyjski sznur modlitewny używany do odliczania mantr, ale mantra powtarzana w tym momencie przez kobietę nie dawała rady przezwyciężyć bezgranicznego entuzjazmu jej dziecka.

– Mówią, że ma szpony długości przedramienia! – ciągnął chłopiec. – Skrada się w ciemnościach w poszukiwaniu gangsterów, a kiedy wyczuje ich skażoną krew, rzuca się na nich!

– Nie tylko gangsterzy umierają, *qīn'ài de* – odparła cicho jego matka. Zaciśnęła dłoń na karku chłopca, żeby przytrzymać go w posuwającej się powoli kolejce.

Chłopiec znieruchomiał. W jego jasnym głosie pojawiło się drzenie.

– Mamo, czy ja też umrę?

– Co takiego? – zapytała szybko matka. – Oczywiście, że nie. Nie gadaj bzdur. – Podniosła głowę, ponieważ znalazła się na początku kolejki. – Dwa. Sprzedawca podał im przez okno papierową torbę, a matka z synem pospiesznie się oddalili. Juliette patrzyła za nimi i myślała o nagłym lęku w głosie dziecka. W tym króciutkim momencie ten chłopiec, najwyżej pięcioletni, zrozumiał, że on także może dołączyć do wszystkich umarłych w Szanghaju, ponieważ kto zdołałby się zabezpieczyć przed szaleństwem?

– Na koszt firmy, panienko.

Juliette podniosła głowę i ujrzała papierową torbę tuż przed swoją twarzą.

– Wszystko, co najlepsze, dla księżniczki Szanghaju – powiedział stary sprzedawca, opierając się łokciami na parapecie okna, przez które obsługiwał klientów.

Juliette przywołała na oblicze olśniewający uśmiech.

– Dziękuję panu – powiedziała i wzięła torbę. Te dwa słowa dostarczą sprzedawcy mnóstwa powodów do przechwalania się, kiedy jutro spotka się z przyjaciółmi na partyjkę mahjonga.

Juliette odwróciła się i wyszła z kolejki, po czym sięgnęła do torby, żeby oderwać kawałek bułeczki i wsadzić go do ust. Jej uśmiech zniknął, gdy tylko znalazła się poza zasięgiem wzroku sprzedawcy. Było już późno, a ona powinna niedługo wracać do domu, ale zwlekała, spacerując w tłoku pomiędzy sklepami w Chenghuangmiao – jedna poruszająca się dziewczyna w ogólnym zamęcie. Rzadko kiedy miała okazję zapuszczać się w takie miejsca, ale dzisiaj była tu oficjalnie. Lord Cai wysłał ją, żeby sprawdziła, jak idą interesy w jednym z centrów dystrybucji opium, ale niestety nie okazało się to tak ekscytujące, jak się spodziewała. W sortowni zwyczajnie śmierdziało, a gdy w końcu znalazła właściciela i zażądała papierów, których zażyczył sobie jej ojciec, właściciel przekazał je z sennym wyrazem twarzy. Nawet się nie przywitał ani nie sprawdził, czy Juliette ma prawo żądać od niego tak poufnych informacji. Juliette nie rozumiała, jak ktoś taki mógł zarządzać pięćdziesięcioma pracownikami.

– Przepraszam – mruknęła, przepychając się przez wyjątkowo zbity tłum zgromadzony przed sklepem z rysunkami i szkicami. Chociaż różowe niebo nasączało się już ciemnością, Chenghuangmiao nadal było pełne ludzi. Zakochani spacerowali powoli wśród ogólnego chaosu, dziadkowie kupowali *xīāolóngbāo* dla swoich wnuków, cudzoziemcy po prostu podziwiali widoki. Sama nazwa Chenghuangmiao przynależała do świątyni, ale mieszkańcy Szanghaju określali nią także całą pełną ruchu dzielnicę handlową. Armia brytyjska niemal sto lat temu ulokowała swoją kwaterę główną w ogrodzie Yuyuan, który Juliette właśnie mijiała. Od tamtej pory, nawet po wyjściu stąd wojska, cudzoziemcy uwielbiali to miejsce. Zawsze było ich tu pełno, twarzy, na których malował się zachwyt lub rozbawienie.

– Nadchodzi koniec! Szukajcie lekarstwa! Jest tylko jedno lekarstwo!

Czasem było tu także pełno miejscowych dziwaków.

Juliette skrzywiła się i pochyliła głowę, żeby nie nawiązać kontaktu wzrokowego ze starcem przemawiającym z werwą na zygzakowatym moście Jiuqu. Jednakże pomimo jej wysiłków staruch wyprostował się na jej widok i podbiegł do niej. Jego kroki sprawiały, że deski wydawały odgłosy zdecydowanie zbyt niepokojące, jak na tak starą konstrukcję. Staruch zatrzymał się przed Juliette, zanim zdążyła się bezpiecznie oddalić.

– Ocalenie! – zaskrzeczał. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się, aż oczy zniknęły całkowicie w obwisłych fałdach skóry. Z trudem prostował trwale przygarbione plecy, ale poruszał się z szybkością szczura, biegnącego do jedzenia. – Musisz głosić nowinę ocalenia. *Lā-gespu* nas ocali!

Juliette zamrugała i uniosła brwi. Wiedziała, że nie powinna wdawać się rozmowy z wariatami na ulicy, ale w tym mężczyźnie było coś, co sprawiło, że włoski na karku jej się zjeżyły. Mimo wiejskiego akcentu rozumiała słowa w dialekcie szanghajskim padające z jego ust – wszystkie, z wyjątkiem tego nonsensownego fragmentu.

Lā-gespu? Czy „s” było tylko efektem sepleniącej wymowy typowej dla jego pokolenia?

– *Lāge bo?* – spróbowała zgadnąć Juliette. – Ropucha ma nas ocalić?

Popatrzył na nią z najgłębszą urazą. Potrząsnął głową tak gwałtownie, że jego cienkie siwe włosy uniosły się w powietrze, a wąty warkoczek poruszył się szybko. Staruch był jednym z nielicznych, którzy nadal ubierali się, jakby kraj żył w epoce cesarstwa.

– Matka powtórzyła mi mądre przysłowie, kiedy byłam mała – ciągnęła Juliette, bawiąc się teraz tą rozmową. – *Lā gē bō xiāng qiē tī u nǚ.*

Staruch patrzył na nią bez słowa. Czy nie rozumiał jej dialektu szanghajskiego? Za granicą bezustannie się obawiała, że utraci swój akcent, zapomni, jak się wymawia te uporczywie płaskie tony, jakich nie miał żaden inny dialekt w tym kraju.

– Marny dowcip? – zapytała Juliette. Powtórzyła swoje słowa w bardziej rozpowszechnionym dialekcie, tym razem wolniej: – *Lài háma xiàng chī tiān é ròu?* Tak? No proszę, wydaje mi się, że to zasługuje chociaż na uśmiech.

Staruch tupnął nogą, aż dygocząc z oburzenia, że nie jest traktowany poważnie. Być może Juliette wybrała niewłaściwe przysłowie, żeby sobie zażartować. „Brzydka ropucha pragnie skosztować łabędziego mięsa”. Może staruch nie słyszał w dzieciństwie bajki o żabim księciu i jego przyrodnim bracie, brzydkim ropuchu. Może nie spodobało mu się, że żartobliwie porównała mającego ich ocalić *lā-gespu* do brzydkiej, podstępnej istoty z przypowieści, która pragnęła ukochanego łabędzia swojego brata, żabiego księcia.

– *Lā-gespu* to człowiek – warknął staruch piskliwie, przybliżając twarz do twarzy Juliette. – Potężny człowiek. Dał mi lekarstwo. Dał mi zastrzyk! Powinienem być umrzeć, kiedy sąsiad przewrócił się na mnie, szarpiąc sobie gardło. Och! Było tyle krwi! Krew zalewała mi oczy i ściekała po mojej piersi! Ale ja nie umarłem. Zostałem ocalony. *Lā-gespu* mnie ocalił.

Juliette zrobiła długi krok do tyłu, jaki powinna była zrobić pięć minut temu, zanim wdała się w tę rozmowę.

– Mhm, bardzo mi było miło – powiedziała. – Ale naprawdę muszę już iść.

Zanim staruch zdążył ją złapać za rękaw, wyminęła go i ruszyła szybko przed siebie.

– Ocalenie! – wrzasnął za nią. – Tylko *lā-gespu* może nas ocalić!

Juliette skręciła ostro, znikając mu całkowicie z oczu. Teraz, gdy znalazła się na mniej zatłoczonej ulicy, odetchnęła głęboko i bez pośpiechu zaczęła przyglądać się wystawom sklepowym, oglądając się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt za nią nie idzie. Gdy upewniła się, że nie jest śledzona, westchnęła z żalu na myśl o tym, że musi opuścić Chenghuangmiao i wydostać się z labiryntu ciasno zbitych sklepików, wrócić na szersze ulice miasta i skierować się do domu. Mogła zatrzymać riksę albo zaczepić któregoś z Szkarłatnych kręcących się przy kabaretach i zażądać, żeby sprowadził dla niej samochód. Każda inna dziewczyna w jej wieku tak by zrobiła, szczególnie gdyby nosiła naszyjnik tak lśniący jak ten, który Juliette miała na sobie, a jej kroki odbijałyby się echem słyszalnym na odległość dwóch przecznic. Porwania były dochodowym interesem. Handel żywym towarem rozkwitał jak nigdy wcześniej, a przestępczość napędzała ekonomię.

Jednakże Juliette szła dalej. Mijała mężczyzn stłoczonych w duże grupy i mężczyzn siedzących pod burdelami i spoglądających tak pożądliwie, jakby ktoś im za to płacił. Mijała gangsterów rzucających nożami przed kasynami, do ochrony których zostali zatrudnieni, a także pokątnych handlarzy czyszczących pistolety i żujących wykałaczki. Juliette nie wahała się. Niebo stawało się coraz czerwieniejsze, a jej oczy coraz jaśniejsze. Gdziekolwiek by poszła, jak daleko w najmroczniejsze zakamarki miasta by się zapędziła, dopóki pozostawała na swoim terytorium, była tu władzą najwyższą.

Zatrzymała się i poruszyła nogą w kostce, żeby poprawić trochę przyciasny but. Pięciu Szkarłatnych, którzy czekali pod restauracją, znieruchomiało na ten widok w oczekiwaniu, czy nie zostaną wezwani. Morderstwa, wymuszenia i niepohamowana przemoc były ich chlebem powszednim, ale krążyły plotki, że Juliette Cai to dziewczyna, która udusiła swojego amerykańskiego kochanka sznurem pereł. Juliette Cai to dziedziczka gangu, która na drugi dzień po powrocie do Szanghaju wmieszała się w walkę pomiędzy czterema Białymi Kwiatami i dwoma Szkarłatnymi i zabiła wszystkich czterech członków Białych Kwiatów zaledwie trzema kulami.

Tylko jedna z tych plotek była prawdziwa.

Juliette uśmiechnęła się i pomachała do Szkarłatnych. Jeden z nich odpowiedział tym samym, a pozostali czterej zaśmiali się nerwowo. Obawiali się gniewu lorda Cai, gdyby coś jej się stało, ale jeszcze bardziej obawiali się jej gniewu, gdyby próbowali sprawdzić prawdziwość tych pogłosek.

To właśnie ta reputacja zapewniała jej bezpieczeństwo. Bez niej byłaby nikim.

Dlatego właśnie, kiedy Juliette weszła w wąską uliczkę i została zatrzymana czymś, co wydawało się pistoletem przyciśniętym do jej pleców, wiedziała, że to nie ktoś ze Szkarłatnych ośmielił się ją zaatakować.

Zamarła.

W ułamku sekundy rozważyła dostępne możliwości: urażony kupiec pragnący zemsty, chciwy cudzoziemiec chcący okupu, zdezorientowany uliczny narkoman, który nie rozpoznał jej po migoczących paciorkach na zachodniej sukience...

Wtedy usłyszała znajomy głos, z niewiadomych powodów mówiący po angielsku.

– Nie wołaj o pomoc. Idź dalej, słuchaj moich poleceń, a ja nie strzelę.

Lód w jej żyłach stopniał w jednej chwili zastąpiony piekielnym żarem wściekłości. On czekał, aż Juliette znajdzie się w odosobnionym miejscu, aż nie będzie wokół nikogo, kto mógłby przyjąć jej z pomocą, ponieważ uznał, że będzie zbyt przestraszona, żeby zareagować? Czy naprawdę myślał, że to zadziała?

– W rzeczywistości w ogóle mnie już nie znasz – powiedziała cicho Juliette. Może Roma Montagow sądził, że zna ją dobrze. Może uważał się za eksperta, lekceważył pogłoski, które sama o sobie rozsiewała, i był przekonany, że nie ma mowy, żeby została tak bezlitosną morderczynią, za jaką się podawała.

Po raz pierwszy zabiła człowieka, gdy miała czternaście lat.

Znała wtedy Romę zaledwie od miesiąca, ale przysięgła sobie, że nie będzie kontynuować wojny gangów, że będzie lepszym człowiekiem. Aż pewnego wieczoru, w drodze do restauracji, ich auto wpadło w zasadzkę Białych Kwiatów. Matka krzyknęła do niej, żeby się nie wychylała, żeby wraz z Tylerem zostali za samochodem i użyli pistoletu, który dano im do rąk, tylko w ostateczności. Walka dobiegała już końca. Szkarłatni zabili niemal wszystkich członków Białych Kwiatów.

Wtedy ostatni z pozostałych przy życiu Białych Kwiatów skoczył w stronę Juliette i Tylera. W jego oczach płonęła desperacka wściekłość, a chociaż było pewne, że to właśnie jest ostateczność, Juliette zamarła jak sparaliżowana. To Tyler strzelił do tego mężczyzny. Jego kula trafiła członka Białych Kwiatów w brzuch i sprawiła, że mężczyzna padł na ziemię. Juliette odwróciła ze zgrozą głowę i spojrzała na swoich rodziców.

Na ich twarzach nie zobaczyła ulgi, tylko zdziwienie. Zdziwienie, dlaczego Juliette zamarła. Zdziwienie, dlaczego Tyler okazał się skuteczniejszy. Juliette uniosła pistolet i także wystrzeliła, kończąc dzieło kuzyna.

Juliette Cai obawiała się dezaprobaty bardziej niż brudu na swojej duszy. Tamto zabójstwo stanowiło jeden z kilku sekretów, jakie ukrywała przed Romą. Teraz wiedziała, że powinna była mu o nim powiedzieć, choćby tylko po to, żeby udowodnić mu, że jest tak złowieszcza, jak twierdził cały Szanghaj.

– Ruszaj – polecił Roma.

Juliette ani drgnęła. Tak jak się spodziewała, Roma uznał jej bezruch za oznakę strachu i ledwie dostrzegalnie się zawahał, a nacisk lufy na jej plecach odrobinę zelżał.

Juliette okręciła się na pięcie. Zanim Roma zdążył choćby mrugnąć, jej prawa dłoń uderzyła jego prawy nadgarstek, wykręcając rękę trzymającą pistolet na zewnątrz, aż palce wygięły się nienaturalnie. Lewą ręką trzepnęła pistolet, który poleciał na ziemię. Juliette zacisnęła zęby, szykując się do upadku, przesunęła stopę do przodu i kopnęła Romę od tyłu w kostki, aż poleciał na ziemię, a ona za nim, jedną ręką chwytając go za gardło, a drugą wyciągając z kieszeni sukienki cienki jak igła nóż.

– No dobrze – syknęła Juliette, oddychając ciężko. Roma leżał płasko na plecach, a ona przytrzymała jego biodra po bokach kolanami i przyciskała mu ostrze do gardła. – Teraz może porozmawiamy jak cywilizowani ludzie.

Puls Romy przyspieszył pod jej palcami, szyja napięła się, kiedy starał się uniknąć dotyku ostrza. Patrzył na nią oczami o rozszerzonych źrenicach, dostosowującymi się do cieni, które o zachodzie słońca zatopiły zaułek w barwach zgaszonego fioletu. Byli dostatecznie blisko, żeby wiedzieć, że oboje oddychają tak samo, szybko i krótko, chociaż oboje starali się nie dać po sobie poznać zmęczenia walką.

– Cywilizowani? – powtórzył Roma. Miał lekko ochryply głos. – Trzymasz mi nóż na gardle.

– Ty trzymałeś mi pistolet przy plecach.

– Jestem na twoim terytorium, nie miałem wyboru.

Juliette zmarszczyła brwi i przycisnęła nóż, aż na jego czubku pojawiła się kropelka krwi.

– Dobrze, przestań już. – Roma skrzywił się boleśnie. – Rozumiem.

Jedno drgnięcie ręki i podcięłaby mu gardło. Niemal korciło ją, żeby tego spróbować. Każda ich interakcja wydawała się zbyt poufała, domyślnie intymna. Miała ochotę pozbyć się tego uczucia, odciąć je, jakby było złośliwym guzem.

Roma nadal pachniał tak jak dawniej: prochem, miętą i łagodną bryzą. Juliette wiedziała, że zmieniło się wszystko. Ale tak naprawdę nic się nie zmieniło.

– No dalej – ponagliła, marszcząc nos. – Czekam na wyjaśnienia.

Roma przewrócił z irytacją oczami. Zachowywał się nonszalancko, ale Juliette czuła jego przyspieszony puls, dygoczący pod jej palcami. Opierając się na trzymanym ostrzu, czuła każde drgnienie jego strachu.

– Potrzebuję informacji – wyjaśnił Roma.

– Jestem wstrząśnięta.

Roma uniósł brwi.

– Jeśli mnie puścisz, wszystko wyjaśnię.

– Wolę, żebyś wyjaśnił już teraz.

– Och, Juliette.

Klik.

Szczęk odbezpieczanego pistoletu odbił się echem w zaułku. Zaskoczona Juliette spojrzała w lewo, gdzie wytrącony przez nią pistolet leżał nadal spokojnie na ziemi. Przeniosła spojrzenie z powrotem na Romę i przekonała się, że się uśmiecha: kąciki jego ślicznych, złośliwych ust unosiły się kpiąco.

– O co chodzi? – zapytał Roma. Jego głos brzmiał niemal tak, jakby się z nią drażnił. – Myślałaś, że mam tylko jeden?

Zimny metal przycisnął się do jej talii. Chłód przeniknął przez tkaninę sukienki i odcisnął swój kształt na skórze Juliette. Niechętnie i powoli cofnęła nóż i uniosła rękę. Wypuściła go z morderczego uścisku tak powoli, jak tylko mogła, i wstała, żeby cofnąć się o dwa kroki od wymierzonej w nią broni.

Jednocześnie, nie mając innej możliwości uniknięcia walki na śmierć i życie, schowali broń.

– Ten człowiek, który wczoraj zginął w twoim klubie... – zaczął Roma. – Czy pamiętasz, że nosił buty nie do pary?

Juliette przygryzła od środka policzek i skinęła głową.

– Znalazłem drugi taki sam but nad rzeką Huangpu, w miejscu, gdzie w noc poprzedzającą Święto Środka Jesieni zginęło siedmiu mężczyzn – mówił dalej Roma. – Myślę, że udało mu się uciec z tamtej jatki, ale zabrał szaleństwo ze sobą, a dzień później poszedł do kabaretu i temu szaleństwu uległ.

– To niemożliwe – warknęła natychmiast Juliette. – Jakie naukowe...

Roma przerwał jej:

– Nauka tu nie wystarczy, Juliette.

Juliette zacisnęła dłoń w pięści, czując piekące ją w gardle oburzenie. Miała ochotę nazwać słowa Romy paranoicznymi i irracjonalnymi, ale niestety wiedziała, jaki był skrupulatny, kiedy znalazł coś, co przykuło jego uwagę. Jeśli uważał, że istnieje taka możliwość, to była to bardzo prawdopodobna możliwość.

– Co chcesz powiedzieć?

Roma skrzyżował ramiona.

– Chcę powiedzieć, że muszę mieć pewność, czy to rzeczywiście był ten sam człowiek. Muszę zobaczyć drugi but na jego zwłokach. Jeśli będzie pasować do pary, to oznacza, że to szaleństwo może być zaraźliwe.

Juliette czuła, że potrzeba odrzucenia tej teorii wlewa się w jej kości jak ołów. Ofiara umarła w jej klubie, ochlapując krwią salę pełną jej Szkarłatnych, kaszląc śliną na jej stłoczonych ludzi. Jeśli to rzeczywiście była atakująca mózg choroba, zakaźna choroba umysłowa, to Szkarłatny Gang znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

– To mógł być układ samobójczy – podsunęła bez specjalnego przekonania. – Być może ten człowiek wycofał się, ale potem zmienił zdanie. – Patrzyła jednak w oczy umierającemu mężczyźnie. Jediną emocją, jaką w nich widziała, było przerażenie.

Boże. Patrzyła w oczy umierającemu mężczyźnie. Jeśli to było zaraźliwe, jakie istniało ryzyko, że ona to złapała?

– Wyczuwasz to tak samo jak ja – powiedział Roma. – Coś tutaj jest nie tak. Zanim ktokolwiek zajmie się oficjalnie tą sprawą, wielu niewinnych ludzi umrze z powodu tego dziwnego szaleństwa. Muszę wiedzieć, czy to się może rozprzestrzeniać.

Roma umilkł i patrzył prosto na Juliette. Odwzajemniła spojrzenie, czując głęboki chłód, ogarniający ją od środka.

– Jakby cię obchodziło – powiedziała cicho, nie mrugając, bo oczy mogłyby zacząć jej łzawić – że umierają niewinni ludzie.

Wszystkie mięśnie wokół szczęki Romy napięły się.

– Niech będzie – rzucił ostro. – Chodzi o moich ludzi.

Juliette odwróciła wzrok. Minęły dwie długie sekundy. W końcu obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

– Pospiesz się! – zawołała przez ramię. Pomoże mu tylko ten raz i nigdy więcej. Tylko dlatego, że ona także potrzebowała tych samych odpowiedzi co on. – Niedługo zamykają kostnicę.

ROZDZIAŁ 8

Szli w pełnej wyczuwalnego napięcia ciszy.

Nie chodziło o to, że czuli się skrępowani – szczerze mówiąc, to już by było lepsze. Raczej o to, że ta bliskość, kiedy Juliette szła przodem, a Roma towarzyszył jej trzy kroki z tyłu, żeby nie wyglądało, jakby byli razem, wydawała się przerażająco znajoma. Naprawdę, ostatnią rzeczą, jaką Juliette chciała czuć do Romy Montagowa, była nostalgia.

Juliette odważyła się obejrzeć, kiedy wędrowali długimi, krętymi ulicami Koncesji Francuskiej. Ponieważ tak wielu cudzoziemców starało się wyszarpać dla siebie kawałek miasta, ulice w Koncesji Francuskiej odzwierciedlały ich chciwość i pośpiech. Domy w poszczególnych kwartałach wyginały się w taki sposób, że widziane z lotu ptaka tworzyłyby niemal okręgi, jakby kuliły się, żeby ochronić swoje podbrzusze.

Ulice były tutaj zatłoczone tak samo jak w chińskiej części miasta, jednak we wszystkim panował większy porządek. Fryzjerzy jak zwykle wykonywali swój zawód na ulicy, ale co kilka sekund zamiatali stopą obcięte kłaczki włosów do rynsztoka. Sprzedawcy zachwalali towary z umiarkowanym natężeniem, zamiast krzyczeć tak jak w zachodnich dzielnicach Szanghaju. Nie tylko zmiany w zachowaniu ludzi powodowały, że Koncesja Francuska sprawiała osobliwe wrażenie – także budynki wydawały się trochę bardziej wyprostowane, woda trochę czystsza, a szczebiot ptaków nieco głośniejszy.

Być może wszystko wyczuwało obecność Romy Montagowa i najeżało się ostrzegawczo.

Roma także był najeżony, kiedy przyglądał się domom oczami przymrużonymi pomimo wieczornej pory.

Bolało widzenie go takim: nieostrożnym, przepelnionym ciekawością.

– Uważaj, bo się potkniesz – rzucił Roma.

Juliette spiorunowała go wzrokiem. Powinna była wiedzieć, że jakkolwiek niefrasobliwość Romy Montagowa jest tylko udawana. Kiedyś знаła go lepiej niż samą siebie. Potrafiła przewidzieć każdy jego ruch... z wyjątkiem jednej sytuacji, gdy naprawdę miało to znaczenie.

Roma i Juliette poznali się podobnego wieczoru cztery lata temu, tuż przed tym, jak miasto zostało przygniecione ciężarem nowej reputacji.

Był rok 1922 i wszystko wydawało się możliwe. Samoloty kołowały i nurkowały w niebo, sprzątano ostatnie pozostałości Wielkiej Wojny. Ludzkość nie chciała już więcej zabijania, nienawiści i rzemiosła wojennego, które niedawno przelały czarę powszechnej goryczy. Wszyscy czekali, aż ukryte na dnie dobre rzeczy powoli wyłonią się na powierzchnię. Nawet wojna gangów w Szanghaju przemieniła się w nieformalne zawieszenie broni, w trakcie którego Szkarłatni i Białe Kwiaty, spotykając się na ulicy, mogli raczej skinąć sobie chłodno głowami, niż wdać się w bójkę.

Ta atmosfera nadziei powitała Juliette, która zeszła z pokładu parowca na nogach miękkich po miesięcznym rejsie przez ocean. W połowie października powietrze było ciepłe, ale rześkie; na nabrzeżu tragarze przrzucali się docinkami, przenosząc bagaże pasażerów i wszelakie towary na pokłady czekających statków.

Juliette miała piętnaście lat i powróciła do domu pełna planów na przyszłość. Zamierzała dokonać czegoś godnego poważania, godnego upamiętnienia, rozjaśnić życie, o które warto zawalczyć. Nie znała tego uczucia, kiedy w wieku pięciu lat opuszczała Szanghaj, wysłana za granicę z walizką ubrań, ozdobnym wiecznym piórem i zdjęciem, dzięki któremu miała nie zapomnieć twarzy rodziców.

Właśnie ta upojna atmosfera sprawiła, że zbliżyła się wówczas do Romy Montagowa.

Juliette odetchnęła głęboko wieczornym powietrzem, czując, że cała jej pierś zadrżała. Oczy ją zapiekły, więc szybko otarła pojedynczą łzę, która spłynęła jej po policzku, i zacisnęła mocno zęby.

– Daleko jeszcze?

– Spokojnie – powiedziała, nie odwracając się. Nie odważyła się tego zrobić, bo jej oczy mogły lśnić wilgocią w słabym świetle latarni. – Nie zgubimy się tutaj.

Wtedy nie wiedziała, kim on jest, ale Roma ją znał. Kilka miesięcy później przyznał, że celowo potoczył do niej tę szklaną kulkę, żeby sprawdzić, jak zareaguje. Kulka zatrzymała się koło jej buta, gdy Juliette czekała w porcie. Amerykańskie buty kontrastowały z obuwiem z materiału i na grubych podeszwach, otaczającym je ze wszystkich stron.

– To moje.

Pamiętała, jak szybko uniosła głowę, kiedy sięgnęła po kulkę, myśląc, że ten głos należy do prostego chińskiego handlarza. Zamiast tego zobaczyła bladą, młodą twarz o cudzoziemskich rysach: ostre linie i szerokie, zaniepokojone oczy. Jego akcent w lokalnym dialekcie był jeszcze lepszy niż jej, chociaż nauczyciel Juliette mówił do niej tylko w dialekcie szanghajskim, żeby go nie zapomniała.

Juliette przetoczyła kulkę po dłoni i zacisnęła na niej palce.

– Teraz jest moja.

W tamtym momencie wydawało jej się zabawne, jak bardzo Roma był zaskoczony, słysząc jej rosyjski: nienaganny, chociaż trochę niepewny z powodu braku praktyki. Zmarszczył brwi.

– To nie w porządku – oznajmił, nadal w dialekcie szanghajskim.

– Znalezione nie kradzione. – Juliette uparła się przy rosyjskim.

– Niech będzie – powiedział Roma, w końcu przechodząc na ojczysty język, żeby mówić tak samo jak ona. – Zagraj ze mną. Jeśli wygrasz, zatrzymasz kulkę. Jeśli ja wygram, oddasz mi ją.

Juliette przegrała i z dużą niechęcią oddała kulkę. Ale Roma nie zaproponował tej gry tylko dla zabawy i nie zamierzał pozwolić, by Juliette tak łatwo mu się wymknęła. Kiedy odwróciła się, żeby odejść, wyciągnął do niej rękę.

– Jestem tutaj co tydzień o tej porze – powiedział otwarcie. – Możemy znowu zagrać.

Juliette roześmiała się i wysunęła palce z jego dłoni.

– Poczekaj tylko! – zawołała przez ramię. – Wygram od ciebie wszystkie.

Później się dowiedziała, że ten chłopak to Roma Montagow, syn jej największego wroga. Ale mimo to wróciła, aby go odszukać, uważając, że jest sprytna i przebiegła. Przez całe miesiące flirtowali, udawali i stąpali po cienkiej linii dzielącej wroga od przyjaciela. Oboje wiedzieli, kim jest to drugie,

jednak żadne się do tego nie przyznawało. Oboje starali się coś na tej znajomości zyskać, lecz nie zachowali ostrożności, nieświadomie wpadli zbyt głęboko.

Kiedy turlali kulki po nierównej ziemi, byli po prostu Romą i Juliette, a nie Romą Montagowem i Juliette Cai, dziedzicami wrogich gangów. Byli rozbawionymi dziećmi, które znalazły kogoś, komu się mogą zwierzać – przyjaciela, który rozumiał, że potrzebują być kimś innym, choćby przez chwilę w ciągu dnia.

Zakochali się w sobie.

Przynajmniej tak się wydawało Juliette.

– Juliette!

Juliette zatrzymała się gwałtownie. Przez to zamyślenie brakowało dwóch uderzeń serca, a wpadłaby na zaparkowaną riksę. Roma pociągnął ją do tyłu, a ona spojrzała na niego i zobaczyła w jego czystych, zimnych oczach pewność siebie i ostrożność.

– Puść mnie – syknęła, wrywając mu rękę. – Jesteśmy już prawie na miejscu. Nie ociągaj się.

Ruszyła dalej szybkim krokiem, czując pieczenie w miejscu, gdzie dotknął jej łokcia. Roma bez trudu dotrzymywał jej tempa tak jak zawsze, tak jak się nauczył, idąc kawałek za nią w sposób, który postronnemu obserwatorowi wydałby się całkowicie naturalny. Nawet gdyby jakiś ciekawski przechodzień rozpoznał ich oboje, wydawałoby się całkowitym przypadkiem, że Roma Montagow i Juliette Cai idą w tę samą stronę.

Przed nimi pojawił się okazały budynek pod numerem siedemnaście przy Arsenal Road.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła zimno Juliette.

Do tego samego szpitala przywieźli wszystkie ciała po eksplozji.

– Nie podnoś głowy.

Roma przyjrzał się budynkowi szpitala tylko po to, żeby się jej sprzeciwić. Zmarszczył brwi, jakby jakieś drżenie w głosie Juliette mogło mu zdradzić, że ona zna dobrze to miejsce. Ale na pewno nie mogło, to nie wchodziło w grę. Juliette patrzyła, jak Roma stoi swobodnie, zadowolony z siebie, i czuła, że dłonie palą ją z furii. Przypuszczała, że wiedział, jak głębokie piętno odcisnęło na tym mieście to, co zrobił. Wojna gangów nigdy nie była tak krwawa, jak w miesiącach po tym ataku. Gdyby Juliette pochyliła się, żeby powąchać listy, które Rosalind i Kathleen wysyłały do niej przez Pacyfik, i chuchnęła na atrament, którego niestaranne zawijasy na grubym białym papierze opisywały kolejne ofiary, mogłaby chyba poczuć zapach masakry i przemocy, od której ulice sływały czerwienią.

Wierzyła, że Roma jest po tej samej stronie co ona. Wierzyła, że zdołają stworzyć własny świat, wolny od wojny gangów.

Same kłamstwa. Eksplozja w domu służby była najpoważniejszym ciosem, jaki Białe Kwiaty miały szansę zadać. Zauważono by ich, gdyby spróbowali podłożyć ładunki wybuchowe w głównym domu, ale dom dla służby nie był pilnowany ani obserwowany, był całkowicie zlekceważony.

Tyle Szkarłatnych istnień zakończyło się w jednej chwili. To równało się wypowiedzeniu wojny.

Coś takiego nie udałoby się bez pomocy Romy. To, jak zamachowcy wślizgnęli się do środka, wykorzystując otwartą bramę, było efektem informacji, które mógł znać tylko Roma po całych tygodniach spędzonych w towarzystwie Juliette.

Juliette została zdradzona i teraz, cztery lata później, nadal cierpiała z tego powodu. Stała tutaj, czując grudę nienawiści pulsującą w jej wnętrzu, rozpalającą się coraz gorętszym płomieniem przez te wszystkie lata, które musiała spędzić bez możliwości konfrontacji, uzyskania wyjaśnienia. A mimo to nadal nie miała odwagi, żeby zatopić nóż w piersi Romy i zemścić się w jedyny sposób, jaki знаła.

Jestem słaba, pomyślała. Nawet ta pochłaniająca ją nienawiść nie wystarczyła, aby wypalić jej instynktowną chęć wyciągnięcia do niego ręki, ochrony go przed niebezpieczeństwem.

Być może siła potrzebna, żeby go zniszczyć, przyjdzie z czasem. Juliette musiała po prostu poczekać.

– Opuść głowę – przypomniawszy mu ponownie i popchnęła podwójne drzwi, żeby wejść do holu szpitala.

– Panno Cai – powitał ją lekarz, kiedy tylko podeszła do recepcji. – Czym mógłbym pani służyć?

– Tym. – Juliette przesunęła dłonią wzdłuż ust, jakby zapinała je na zamek. Pochyliła się nad ladą i drugą ręką zabrała klucz do kostnicy. Oczy lekarza rozszerzyły się, ale zaraz odwrócił głowę. Juliette ruszyła w głąb szpitala, z zimnym kluczem w dłoni, starając się oddychać jak najpłycej. Zawsze pachniało tutaj rozkładem.

Po chwili znaleźli się na tyłach szpitala, a Juliette z westchnieniem niezadowolenia zatrzymała się przed drzwiami kostnicy. Odwróciła się do Romy, który zgodnie z jej poleceniem szedł za nią ze wzrokiem wbitym we własne buty. Mimo wszelkich starań to udawanie przez niego niewiniątka nie wypadało przekonująco. Przygarbiona sylwetka nie pasowała do niego. Urodził się z dumą przyfastrygowaną do kręgosłupa.

– Tutaj? – zapytał. W jego głosie zabrzmiało wahanie, jakby Juliette prowadziła go w pułapkę.

Juliette bez słowa wsunęła klucz w zamek, otworzyła drzwi i nacisnęła włącznik światła, żeby zademonstrować znajdujące się w środku ciało. Leżało na metalowym stole zajmującym połowę pomieszczenia. Niebieskobiałe światło sprawiało, że przykryty prawie w całości prześcieradłem trup wyglądał, jakby już się zaczął rozkładać.

Roma wszedł do środka za Juliette i rozejrzał się po ciasnej salce. Zbliżył się do ciała, podwijając rękawy. Zawahał się jednak, zanim uniósł przykrycie.

– To mały szpital i w ciągu godziny pewnie umrze kolejna osoba – ponagliła go Juliette. – Pospiesz się, zanim zabiorą go do domu pogrzebowego.

Roma rzucił jej pytające spojrzenie.

– Masz coś lepszego do roboty?

– Tak – odparła Juliette bez namysłu. – Ruszaj się.

Nieufny i ostrożny, Roma ściągnął prześcieradło ze zwłok. Wyraźnie zaskoczył go widok bosych stóp.

Juliette odepchnęła się od ściany.

– Na litość boską. – Podeszła do niego, przykucnęła przy półkach pod metalowym stołem, wyciągnęła duże pudło ze spakowanymi rzeczami i wysypała jego zawartość. Po odrzuceniu na bok lekko zakrwawionej obrączki ślubnej, bardzo zakrwawionego naszyjnika oraz tupeciku, znalazła niedopasowane buty, które mężczyzna miał na sobie w chwili śmierci. Otworzyła torbę i wyciągnęła elegantszy. – Ten?

Roma zacisnął usta w wąską kreskę i napiął szczękę.

– Ten.

– Czyli możemy się zgodzić, że ten mężczyzna rzeczywiście był na miejscu pierwszej tragedii? – upewniła się Juliette.

Roma skinął głową.

To było wszystko. Nie rozmawiali, kiedy Juliette chowała rzeczy z powrotem, zwinnie poruszając palcami. Roma ponuro wpatrywał się w jeden punkt na ścianie. Uznała, że widocznie nie może się doczekać, aż się stąd wydostanie, aż rozciągnie dzielący ich dystans tak daleko, jak to możliwe, i każde będzie mogło udawać, że to drugie nie istnieje. Przynajmniej do momentu, kiedy ciało kolejnej ofiary wojny gangów zostanie przerzucone przez granicę terytorium.

Juliette wsunęła pudło na miejsce i zauważyła, że drżą jej ręce. Zwinęła je w pięści i zacisnęła tak mocno, jak tylko mogła, po czym wstała i spojrzała prosto na Romę.

– Pani przodem – powiedział, wskazując drzwi.

Cztery lata. To powinno wystarczyć. Wraz z mijającymi porami roku i pełną nieubłaganie czasem Roma powinien stać się dla niej obcy. Powinien dorosnąć, uśmiechać się inaczej, jak Rosalind, albo chodzić inaczej, jak Kathleen. Powinien stać się bardziej arogancki, jak Tyler, albo chociażby bardziej zmęczony życiem, jak matka Juliette. Ale teraz patrzył na nią i stał się tylko... starszy. Patrzył na nią, a Juliette widziała te same oczy z tym samym wyrazem – nieprzeniknione, dopóki się przed nią nie odstąpił, niewzruszone, dopóki nie pozwolił sobie okazać emocji.

Roma Montagow nie zmienił się. Roma, który ją kochał. Roma, który ją zdradził.

Juliette zmusiła się, żeby rozprostować palce, które aż bolały z napięcia, z jakim je zaciskała. Ledwie dostrzegalnie skinęła Romie głową, dając znak, że się zgadza, wyszła na korytarz, sięgnęła do klamki i machnięciem ręki kazała mu wyjść. Potem zamknęła kostnicę z poczuciem ciężkiej ostateczności i otworzyła usta, aby pożegnać się chłodno z Romą.

Zanim jednak zdążyła się odezwać, przerwał jej wybuch kompletnego, obłąkanego chaosu w szpitalu. Na końcu korytarza lekarze i pielęgniarki pchali wózki szpitalne, krzyżąc do siebie nawzajem, żeby poinformować się o sytuacji lub zapytać o wolne miejsce w sali. Roma i Juliette wrócili biegiem do holu. Domyślali się, że doszło do tragedii, ale to, co zobaczyli, przekraczało granice wyobraźni.

Podłoga była śliska od krwi. Powietrze było gęste.

Wszędzie, gdzie spojrzeli, umierali Szkarłatni, krwawiąc z rozerwanych gardeł i krzyżąc w agonii. Było ich tu dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu, martwych lub umierających, nieruchomych lub nadal próbujących zacisnąć palce na własnych żyłach.

– Boże – szepnął Roma. – Zaczęło się.

ROZDZIAŁ 9

Kiedy do niego zajrzałem, spał jak zabity, aż się przestraszyłem, czy nie umarł w nocy – powiedział Marshall, szturchając trupa butem. – Myślę, że udawał.

Benedikt przewrócił oczami i odsunął stopę Marshalla od ciała.

– Nie mógłbyś trochę w niego wierzyć?

– Wierzę, że Roma to patologiczny kłamca – odparł Marshall i wzruszył ramionami. – Po prostu nie chciało mu się iść z nami i oglądać nieboszczyków. Świt wstał zaledwie godzinę wcześniej, ale ulice były już pełne życia. Szum fal rozbijających się o promenadę był ledwie słyszalny w tym zaułku, ponieważ zagłuszał go gwar z pobliskiej ulicy. Poranne światło spowijało chłodne miasto mglistą aureolą. Para z portu i dym z fabryk unosiły się bez ustanku w górę, gęste, ciężkie i pełne sadzy.

– Cicho tam – powiedział Benedikt. – Przeszkadzasz mi w oglądaniu nieboszczyków. – Zmarszczył brwi i przykląkł przy ciele, które Marshall przesunął pod ścianę. Po raz kolejny Benedikt i Marshall zostali wysłani do sprzątanía, co obejmowało nie tylko usunięcie zakrwawionych ciał, ale też wyczyszczenie pamięci wszelkich policjantów w pobliżu i opłacenie każdej służby porządkowej, która mogłaby zainteresować się losami martwych gangsterów.

– Ja przeszkadzam? – Marshall przykucnął, żeby znaleźć się na jednej wysokości z Benediktem. – Jeśli już, powinieneś mi podziękować, że odwracam twoją uwagę od tej makabry.

– Podziękuję ci, jeśli mi pomożesz – mruknął Benedikt. – Musimy zidentyfikować tych ludzi przed południem. Na razie udało nam się ustalić tylko ich liczbę... – Przewrócił oczami, kiedy Marshall rozejrzał się i zaczął liczyć. – Sześciu, Mars.

– Sześciu – powtórzył Marshall. – Sześciu nieboszczyków. Sześciocyfrowa kwota. Sześć księżyców okrążających świat. – Marshall uwielbiał dźwięk własnego głosu. Jeśli tylko zapadała cisza, starał się oddać światu przysługę i ją wypełnić.

– Nie zaczynaj...

Protesty Benedikta zostały zignorowane.

– Czy mam porównać cię do nocy zimowej? – zadeklamował Marshall. – Tyś bardziej oszałamiający i bardziej surowy. Poryw burzy nie szarpie tak gwałtownie...

– Widziałeś obcego człowieka przez dwie sekundy na ulicy – przerwał znudzonym tonem Benedikt. – Uspokój się.

– Z oczami jak belladonna, ustami jak świeże owoce. Na jego policzku plamka jak... – Marshall umilkł i nagle zerwał się na nogi. – Jak ten dziwny kształt na ziemi.

Benedikt znieruchomiał i zmarszczył czoło. Także wstał, żeby przyjrzeć się omawianemu obiektowi na ziemi. To nie była tylko plamka w osobliwym kształcie.

– To kolejny owad.

Marshall uniósł nogę i oparł ją na wystającej ze ściany cegle.

– Błagam, tylko nie to.

Cement w szczelinach chodnika był upstrzony czarnymi plamkami, na pierwszy rzut oka całkowicie zwyczajnymi. Ale tak jak artysta potrafi dostrzec przypadkowe poruszenie pędzla pomiędzy mnogością przemyślanych pociągnięć, Benedikt, kiedy tylko spojrzał na tę plamkę, poczuł zimny dreszcz podpowiadający, że i tu pojawił się jakiś błąd. Tej istoty nie powinno tutaj być.

– Jest taki sam – powiedział, ostrożnie przytrzymując owada palcami. – Taki sam jak te, które znaleźliśmy w porcie i zabraliśmy do laboratorium.

Kiedy Benedikt podniósł pojedyncze truchło insekta i pokazał swojemu kapryśnemu przyjacielowi, spodziewał się, że Marshall skomentuje to wulgarnie lub zaimprovizuje wiersz o kruchości życia. Zamiast tego Marshall zmarszczył brwi.

– Pamiętasz Carycę? – zapytał nagle.

Nawet jak na Marshalla, z jego zaskakującymi skojarzeniami i przepełnionymi dygresjami wywodami, ta zmiana tematu była dziwaczna. Benedikt postanowił jednak zrobić mu przyjemność.

– Oczywiście – odpowiedział.

Ich golden retriever odszedł zaledwie w zeszłym roku. Benedikt pamiętał ten dziwny, żałobny dzień, zarówno z powodu przywiązania do ich futrzastej towarzyszki, jak i z powodu osobliwości śmierci, której ten jeden raz nie towarzyszył dźwięk wystrzałów i tryskająca krew.

– Pamiętasz, jak lord Montagow ją tu przywiózł? – ciągnął Marshall. – Jak biegała po ulicach i starała się zaprzyjaźnić z każdym napotkanym zwierzęciem, łącznie z kotami i szczurami?

Marshall do czegoś zmierzał, ale Benedikt nie wiedział jeszcze, o co może mu chodzić. Nie rozumiał sposobu mówienia ludzi takich jak Marshall, krążenia wokół tematu, aż wątek zamieniał się w węza połykającego własny ogon.

– Tak, oczywiście. – Benedikt znowu zmarszczył brwi. – Tak często łapała pchły, że skakały po niej jak...

Wąż nagle wypluł swój ogon.

– Nóż. – Benedikt skinął na Marshalla, który zaczął grzebać w kieszeniach. – Daj mi swój nóż.

Bez chwili ociągania Marshall otworzył i rzucił składany nóż. Rękojeść wylądowała pewnie w dłoni Benedikta, który skierował ostrze w dół i najrówniej, jak zdołał, ogolił pasmo włosów martwego mężczyzny. Kiedy upadły na ziemię, Benedikt i Marshall jednocześnie pochylili się, żeby obejrzeć skórę na głowie trupa.

Benedikt omal nie zwymiotował.

– To obrzydliwe – oznajmił z kamiennym spokojem Marshall.

Odsłoniły się może dwa centymetry ziemistej skóry, pomiędzy dwoma kępkami czarnych włosów. Ale na tej przestrzeni znalazł się jakiś tuzin bąbli rozmiarów paznokcia małego palca, będących domami martwych insektów, które zamieszkały tuż pod skórą. Benedikt poczuł, że na ten widok zaczyna mrowić go skóra na głowie. Pod cienką błoną widać było skrócone egzoszkielety owadów, nieruchome nogi, czułki i tułowia, jak zamrożone w czasie.

Benedikt zacisnął dłoń na nożu. Przeklinając się za swoją ciekawość, ostrożnie odsunął kępy włosów nieboszczyka, żeby nie zachodziły na nagą skórę. Potem, zaciskając mocno zęby i starając się nie skrzywić, wbił czubek ostrza w jeden z bąbli.

Nie towarzyszył temu żaden dźwięk ani wytrysk płynu, których Benedikt spodziewał się po tak odrażającym widoku. W pełnej napięcia ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu trąbieniem samochodu sapiącego po najbliższej ulicy, Benedikt nożem ściał cienką warstwę skóry nad jednym z martwych owadów.

– No dalej – powiedział, kiedy poprzednio ukryty w bąblu owad został do połowy odsłonięty. – Wyciągnij go.

Marshall popatrzył na przyjaciela, jakby zaproponował mu, żeby wspólnie zamordowali i zjedli niemowlaka.

– Chyba żartujesz.

– Ja mam zajęte ręce, Mars.

– Nienawidzę cię.

Marshall odetchnął głęboko, po czym ostrożnie wsunął dwa palce w rozcięcie i wyjął martwego owada.

Insekt wyłonił się wraz z przyczepionymi do jego tułowia naczyniami i kapilarami. Zupełnie jakby to on był prawdziwą jednostką, a zmarły wyrósł z niego: cienkie jak włosy biało-różowe nitki łączyły go z mózgiem mężczyzny. Można by się było nabrać.

Nitki zadrżały w przypadkowym podmuchu bryzy znad rzeki.

– I co ty na to? – zapytał Benedikt. – Chyba właśnie odkryliśmy, co powoduje szaleństwo.

ROZDZIAŁ 10

Kilka dni później Juliette wkroczyła na wojenną ścieżkę w poszukiwaniu jakichkolwiek tropów.

– Zachowajcie czujność – powiedziała cicho do Rosalind i Kathleen, gdy stały naprzeciwko przysadzistego budynku mieszczącego palarnię opium. Po drugiej stronie ulicy widziały dwoje drzwi, do których przyczepiono czerwone róże: w teorii wizytówkę Szkarłatnych, w praktyce jednoznaczne, donośne ostrzeżenie. Plotka głosiła, że Szkarłatni zaczęli używać czerwonych róż, żeby zdrwić z Białych Kwiatów, których członkowie przyczepiali różne zwiędłe białe kwiaty do drzwi budynków, które zajęli w trakcie wojny o terytorium. Ale czerwone róże pojawiły się tak dawno, że Juliette nie miała pewności, czy jest w tym choćby ziarno prawdy. Pewne było tylko to, że czerwona róża na drzwiach stanowiła ostatnie ostrzeżenie: należy się poddać, otworzyć, zapłacić lub zrobić każdą rzecz, której żądał Szkarłatny Gang, albo liczyć się z konsekwencjami.

Cała ulica znajdowała się na terytorium Szkarłatnych, ale każdy gang miał swoje niebezpieczne miejsca.

– Trzymajcie się blisko mnie – dodała Juliette i machnęła ręką, dając kuzynkom znać, że mogą ruszać. Kiedy tylko weszły do palarni opium i stanęły na zawilgoconych, nierównych deskach podłogi, wszystkie trzy odruchowo przycisnęły dłonie do bioder lub talii, potwierdzając obecność broni ukrytej pod kosztowną tkaniną ubrań. – Gdzieś tutaj mogą czyhać zawodowi mordercy.

– Mordercy? – powtórzyła Kathleen podniesionym głosem. – Myślałam, że przyszliśmy, żeby odebrać niezapłacony czynsz dla twojego ojca.

– Owszem. – Juliette rozchyliła zrobioną z koralików zasłonę i przeszła przez próg do głównego salonu, przesyconego zapachem istnień, które zeszyły na złą drogę, oraz wymuszonych uzależnień. Woń, która wierciła ją w nosie, kojarzyła jej się z płonąca różą, z perfumami wymieszanymi z benzyną, a następnie podpalonymi, by otrzymać wonny popiół i wykorzystać go jako ciężki, uderzający do głowy kosmetyk. – Ale plotki wśród Szkarłatnych mówią, że to także miejsce spotkań komunistów.

Zatrzymały się na środku salonu. Tutaj widać było więcej pozostałości starych Chin, wymieszanych z różnymi akcesoriami – fajkami i lampami olejnymi – które przywieziono tu sprzed przełomu wieków. Także wystrój wnętrza nie dotrzymywał kroku współczesności, bo chociaż żyrandole na suficie były tak samo złote i lśniące, jak w każdym kabarecie w Szanghaju, ich żarówki pokrywała cienka warstwa tłustawego brudu.

– Uważajcie – ostrzegła Juliette. Przyjrzała się ciałom, opartym o ściany salonu. – Wątpię, by ci ludzie byli tak spokojni, jak na to wyglądają.

Wieki temu, kiedy ten budynek należał do jakiegoś członka rodziny cesarskiej lub generała, z pewnością był bogaty i luksusowy. Teraz pozostał tylko cieniem dawnej świetności, z brakującymi deskami w podłodze i sufitem uginającym się pod własnym ciężarem. Teraz na kanapach zrobiły się dziury tam, gdzie goście kładli nogi, oraz przetarcia na poręczach w miejscach, o które goście wycierali brudne ręce, zanim rzucili kilka monet i pospiesznie wyszli. O ile nie zostali skuszeni, by najpierw odwiedzić pokoje na zapleczu.

Juliette wyciągnęła szyję i rozejrzała się za właścicielką. Z głębi korytarza dobiegały chichoty, a chwilę później wypadła stamtąd grupka młodych kobiet ubranych w *hanfu* w jasnych kolorach, co zapewne miało obrazować nostalgię za dawnymi Chinami. Gdyby tylko ich spódnice nie były tak przybrudzone, a szpilek we włosach od wypadnięcia nie dzielił jeden gwałtowniejszy ruch. Gdyby tylko ich chichotanie nie było nieprawdopodobnie sztuczne nawet dla niewprawionego ucha. Czerwone wargi kobiet wyginały się z ożywieniem, ale oczy pozostawały martwe.

Juliette westchnęła. W Szanghaju łatwiej byłoby policzyć lokale, które nie pełniły jednocześnie funkcji burdelu, niż te, które ją pełniły.

– W czym mogę paniom pomóc?

Juliette odwróciła się w poszukiwaniu źródła głosu, który odezwał się pogodnie za jej plecami. Madame, bo tak się kazała nazywać, siedziała rozparta na jednej z kanap, obok zapalanej lampy, z fajką opartą swobodnie na piersi. Kiedy Juliette zmarszczyła nos, Madame wstała i przyjrzała się jej równie dokładnie, jak Juliette przyglądała się czarnym plamom na dłoniach starszej kobiety.

– A niech mnie – odezwała się Madame. – Juliette Cai. Ostatnio widziałam cię, jak miałaś cztery lata.

Juliette uniosła brwi.

– Nie wiedziałam, że już się spotkałyśmy.

Madame wyduła blade wargi.

– Ty oczywiście nie możesz tego pamiętać. Dla mnie zawsze będziesz tamtym maleństwem, które biegało po ogrodach, nie przejmując się całym światem.

– Mhm – stwierdziła Juliette. Wzruszyła obojętnie ramionami. – Ojciec zapomniał mi o tym powiedzieć.

Wzrok Madame pozostał spokojny, ale jej ramiona drgnęły, dając ledwie widoczny znak, że poczuła się urażona.

– Byłam dobrą przyjaciółką twojej matki – oznajmiła z godnością. – Aż do czasu, kiedy... Cóż, jestem pewna, że słyszałaś, jak ktoś oskarżył mnie, że dekadę temu odnosiłam się zbyt przyjaźnie do Białych Kwiatów. Oczywiście to wszystko bzdury. Wiesz, że nienawidzę ich tak samo jak ty.

– Ja nie nienawidzę Białych Kwiatów – odparowała natychmiast Juliette. – Nienawidzę tych, którzy krzywdzą moich bliskich. Najczęściej okazuje się, że są to Białe Kwiaty. Ale to różnica.

Madame pociągnęła nosem. Każda jej próba nawiązania nici porozumienia z Juliette była odpierana. Juliette mogła się tak bawić przez cały dzień. Uwielbiała znajdować luki w rozumowaniu innych ludzi.

– Być może, ale lepiej, żeby nie usłyszano, że tak mówisz – mruknęła Madame. Odwróciła wzrok od Juliette i zmieniła taktykę. Złapała Rosalind za nadgarstek. – Och, ciebie także znam – zaszczebiotała. – Rosalind Lang. Znałam oczywiście twojego ojca. Takie prześliczne dzieci. Bardzo mnie zabolalo, kiedy wysłał was do Francji. Nie uwierzyłybyś, jak często twój ojciec wychwalał wyższość zachodniej edukacji. – Przeniosła spojrzenie na Kathleen. Zapadła chwila ciszy.

Juliette odchrząknęła.

– *Bàba* przysłał nas tutaj po należność – wyjaśniła, mając nadzieję, że odwróci tym uwagę Madame. – W sumie...

– Ale kim ty jesteś? – zapytała Madame, nie dając Juliette skończyć.

Kathleen przymrużyła oczy.

– Jestem Kathleen – odparła dość sztywno.

Madame ostentacyjnie zaczęła się zastanawiać, jakby szukała czegoś w pamięci.

– Ach, Kathleen. Teraz sobie przypominam – ucieszyła się, strzelając palcami. – Byłaś taka niegrzeczna, zawsze pokazywałaś mi język.

– Cóż, byłam dzieckiem, więc proszę wybaczyć mi te dawne występki – rzuciła sucho Kathleen.

Madame wskazała jej czoło.

– Miałaś znamię w kształcie konstelacji Strzelca. Wydawało mi się, że je pamiętam...

– Kto? – zapytała Kathleen. W jej głosie pojawiła się wyzywająca nuta. – Kto miał takie znamię?

– Cóż. – Madame była zakłopotana. – Była was trójka rodzeństwa, prawda? Miałyście jeszcze brata.

Juliette zacisnęła wargi. Rosalind syknęła przez zęby. Ale Kathleen tylko zmierzyła Madame lodowatym wzrokiem i oznajmiła:

– Nasz brat nie żyje. Z pewnością słyszała pani o tym.

– Tak, rzeczywiście, bardzo mi przykro – powiedziała Madame tonem wskazującym, że wcale nie jest jej przykro. – Ja także straciłam brata. Czasem sobie myślę...

– Dostyc – przerwała Juliette. To już trwało za długo. – Czy możemy porozmawiać gdzie indziej?

Madame skrzyżowała ramiona i okręciła się na pięcie. Nie powiedziała trójce dziewcząt, że mają za nią iść, ale zrobiły to, dotrzymując jej kroku i przyciskając się do ścian, żeby wymijać kobiety o twarzach pastelowych jak lalki, kręcące się po wąskich korytarzach. Madame zaprowadziła Juliette i jej kuzynki do sypialni, której wewnątrz było utrzymane w różnych odcieniach czerwieni. W pokoju znajdowało się drugie wyjście, prosto na ulicę. Juliette zastanawiała się, czy miało ułatwiać dostęp do środka, czy też ucieczkę.

– Mam ten wasz czynsz.

Patrzyły, jak Madame depcze po porzuconych na podłodze ubraniach i sięga pod zastępujący łóżko materac, żeby wyciągnąć gotówkę. Mamrocząc coś pod nosem, odliczyła monety, które spadały na jej dłoń, brzęcząc do wtóru poskrzypujących belek sufitowych.

Madame wyciągnęła rękę, żeby podać Juliette garść pieniędzy.

– Tak właściwie... – Juliette zamknęła dłoń na dłoni Madame i odsunęła od siebie pieniądze. – Proszę to zatrzymać. Wolałabym dostać coś innego.

Uprzejmy wyraz twarzy Madame zniknął na krótki moment. Kobieta spojrzała szybko na drugie drzwi.

– A co takiego?

Juliette uśmiechnęła się.

– Informacje. Chcę wszystkiego, co wiesz o komunistach.

Uprzejmy wyraz twarzy Madame zniknął bez śladu.

– Przepraszam bardzo?

– Wiem, że udostępniasz im to miejsce na spotkania. – Juliette skinęła głową najpierw Kathleen, a potem Rosalind. Siostry opuściły swoje pozycje u jej boku i rozeszły się, zajmując miejsca przy obu wyjściach. – Wiem, że w jednym z tych pokoi na zapleczu zamiast dziewczyny oferującej nieskończone rozkosze znajduje się stół i kominek, żeby członkowie Komunistycznej Partii Chin nie zmarzli. Dlatego powiedz mi, czy słyszałaś może, jaka jest ich rola w szaleństwie, które ostatnio ogarnęło miasto?

Madame roześmiała się krótko. Wykrzywiła wargi w zbyt szerokim uśmiechu. Juliette widziała znaczną szczelinę między jej przednimi zębami.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedziała Madame. – Nie wtrącam się w ich sprawy.

Co nie pozwala jej mówić: strach czy lojalność?, zastanawiała się Juliette. Madame współpracowała ze Szkarłatnymi, ale nie należała do gangu. Była lojalna wobec ich sprawy, ale nie zamierzała za nią umierać.

– Oczywiście. Zachowałam się bardzo niegrzecznie, kierując się uprzedzeniami. – Juliette pogrzebała w kieszeni, a jej uśmiech stał się bardziej promienny niż brylanty na cienkim naszyjniku, który zakołysał się na jej palcach. – Czy mogę ci to podarować jako zadośćuczynienie za tę zniewagę?

Juliette stanęła za Madame, zanim ta zdążyła zaprotestować, ale kobieta nie ruszyła się z miejsca. Ostatecznie, jak mogłoby jej zaszkodzić przyjęcie brylantowego naszyjnika?

To jednak nie był brylantowy naszyjnik.

Madame skrzeknęła, kiedy Juliette zacisnęła drut garoty. Madame próbowała się bronić, ale w tym momencie drut owijał się już wokół jej szyi, a miniaturowe ostrza wbijały się w skórę.

– Ci, którzy są lojalni wobec Szkarłatnego Gangu, padają jak muchy – syknęła Juliette. – Ci, którzy brudzą sobie dla nas ręce, padają ofiarą szaleństwa, podczas gdy ludzie tacy jak ty milczą, nie potrafiąc zdecydować, czy ich krew jest szkarłatna, czy wolą walczyć za czerwoną robotniczą szmatę. – Na gładkiej skórze Madame pojawiły się kropelki krwi. Gdyby Juliette zacisnęła drut odrobinę mocniej, ostrza wbiłyby się na tyle głęboko, że po ranach pozostałyby blizny. – Jaki odcień ma twoja krew, Madame? Szkarłatny czy czerwony?

– Przestań! Przestań! – wyrzęziła kobieta. – Będę mówić! Będę mówić!

Juliette ledwie dostrzegalnie poluzowała garotę.

– W takim razie mów. Jaką rolę w tym szaleństwie odgrywają komuniści?

– Oni nie twierdzą, że są odpowiedzialni za szaleństwo – wykrztusiła Madame. – Jako grupa utrzymują, że to nie jest efekt ich działań politycznych.

Prywatnie snują różne spekulacje.

– Jakie? – zapytała ostro Juliette.

– Uważają, że wymyślił to jeden geniusz należący do partii. – Madame znowu spróbowała wcisnąć palce między drut a szyję, ale nie dała rady. Drapała tylko paznokciami skórę, jakby przedrzeźniając ofiary szaleństwa. – Szepczą, że widzieli notatki pewnego człowieka, który to wszystko zaplanował.

– Kogo?

Madame zawahała się, próbując przełknąć ślinę, ale Juliette zacisnęła mocniej drut. Stojąca przy drzwiach Rosalind odchrząknęła, bez słowa dając znać kuzynce, żeby nie przesadzała i uważała, co robi, ale Juliette nawet nie drgnęła. Powiedziała tylko głosem spokojnym jak poranny przypływ:

– Czekam na nazwisko.

– Zhang Gutai – wykrztusiła Madame. – Sekretarz generalny komunistów.

Juliette błyskawicznie poluzowała drut, ściągnęła go i strzepnęła. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i przetarła garotę, aż znowu zaślniła srebrem. Kiedy schowała drut, podała Madame chusteczkę z tym samym olśniewającym uśmiechem, który rezerwowała na wieczory na dansingu do czarowania starszych panów.

Madame była blada i drżała na całym ciele. Nie protestowała, kiedy Juliette obwiązała jej szyję chusteczką i ostrożnie poprawiła materiał, żeby wchłonął krwawą linię.

– Przepraszam za kłopot – powiedziała Juliette. – Zachowasz to dla siebie, prawda?

Madame, oszołomiona, pokiwała głową. Nie ruszyła się, kiedy Juliette ponownie przywołała do siebie Rosalind i Kathleen. Nie protestowała, kiedy Juliette rzuciła całą gotówkę, jaką miała w kieszeni, na stół, by zapłacić za uzyskane informacje.

Juliette wyszła z pokoju, a obcasy jej pantofli stuknęły głośno, kiedy wraz z kuzynkami opuszczała palarnię. Zapomniała już, jak pewnie jej dłonie trzymały garotę, jak bardzo była zdeterminowana, by skrzywdzić Madame i usłyszeć to, co chciała usłyszeć. Myślała tylko o nazwisku, które padło z ust Madame – Zhang Gutai – i o tym, co powinna zrobić w następnej kolejności.

Kathleen obserwowała ją przez całą drogę, kiedy wracały samochodem do domu. Juliette odczuwała to jak kosmyk włosów przyklejony do spoconego czoła – coś, co przeszkadzało, ale było nieszkodliwe.

– O co chodzi? – zapytała w końcu, kiedy auto zatrzymało się, żeby wypuścić Rosalind. Rosalind zamknęła za sobą drzwi, poprawiła boa na ramionach i dumnym krokiem wkroczyła do kabaretu na popołudniową zmianę. Juliette zaś przesunęła się na siedzeniu, żeby zająć miejsce naprzeciwko Kathleen, która obserwowała ją, oparta na poduszkach. – Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

Kathleen zamrugnęła.

– O, nie podejrzewałam, że zauważysz.

Juliette przewróciła oczami i oparła stopy na miękkim siedzeniu obok Kathleen. Żwir zachrzącał głośno pod kołami ruszającego samochodu.

– *Bìāojiě*, nie doceniasz tego, że mam oczy wszędzie. – Machnęła ręką przed sobą. – Czy coś cię uraziło?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała Kathleen. Powoli usiadła prosto i wskazała dłonie Juliette. Ta spojrzała w dół. Pozostała na nich smuga krwi, której nie zdołała wytrzeć, w miękkim wgłębieniu pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. – Chyba spodziewałam się, że raczej pomachasz pistoletem. Nie myślałam, że naprawdę będziesz jej grozić.

Kathleen od zawsze była pacyfistką. W listach, które wraz z Rosalind wysyłały do Ameryki, kiedy Juliette wyjechała – zawsze w jednej kopercie – od razu widać było różnicę pomiędzy siostrami. Oczywiście, po części odpowiadał za to ich różny charakter pisma. Rosalind pisała po angielsku i francusku, stawiając zamaszyste litery, a kreski w jej znakach chińskich były oddalone od siebie, jakby próbowały uciekać. Kathleen natomiast zawsze pisała tak, jakby zaraz miało jej zabraknąć miejsca. Ścisnęła litery i znaki, aż poszczególne kreski zaczynały na siebie zachodzić, czasem łącząc ostatnią część poprzedniej litery z kolejną. Ale nawet gdyby napisały listy na maszynie, Juliette potrafiłaby je odróżnić. Rosalind pisała o sprawach ogólnych, o jakich wiedziałby każdy w mieście. Jej listy wypełniały błyskotliwość i dowcip nabyte przez lata edukacji w literaturze klasycznej. Karty zalewała słodycz płynąca z jej słów, kiedy rozpaczała nad nieobecnością Juliette i zapewniała, że Juliette zrywałaby boki ze śmiechu, gdyby zobaczyła, jak w zeszłym tygodniu panu Pingowi pękły spodnie na całej długości. Nie chodziło o to, że Kathleen nie była równie odczytana – Kathleen po prostu spoglądała głębiej. Ona nie opisywałaby najnowszej ofiary wojny gangów, żeby spuentować to powiedzeniem o zaklętym kręgu przemocy. Ona rozpisałaby na kolejne kroki procedurę pozwalającą uniknąć dalszych ofiar, żeby wszyscy mogli żyć w pokoju, a potem zaczęłaby się zastanawiać, dlaczego nikt w Szkarłatnym Gangu nie jest zdolny do czegoś takiego.

Juliette znała odpowiedź, jednak nie miała serca, by rozmawiać o tym z Kathleen.

Prawda była taka, że nikt nie chciał nawet myśleć o przerwaniu wojny gangów.

– Madame na co dzień ma do czynienia z najgorszą hołotą. – Juliette oparła podbródek na dłoni. – Myślisz, że przestraszyłby ją sam widok pistoletu?

Kathleen westchnęła z irytacją i wygładziła włosy.

– Mimo wszystko, Juliette, nie sądzę...

– Uczestniczyłaś w spotkaniach mojego ojca w interesach, prawda? – przerwała jej Juliette. – *Māma* mówiła, że *Jiùjiu* zabierał ze sobą ciebie i Rosalind kilka lat temu, dopóki nie okazało się, że nie wytrzymujecie nieprzyjemnego widoku.

– Tylko Rosalind go nie wytrzymała – odparowała spokojnie Kathleen. – Owszem, ojciec zabierał nas czasem na negocjacje.

– „Negocjacje” – zakpiła Juliette, rozpierając się na siedzeniu. W jej głosie przebijała drwina, ale ta pogarda nie była skierowana pod adresem Kathleen, tylko członków Szkarłatnego Gangu, którzy naginali swoje słowa, jakby nikt nie znał prawdy. Powinni nazywać rzeczy po imieniu: wymuszenia, szantaż.

Dojechały na miejsce, a samochód zatrzymał się na jałowym biegu pod bramą domu. Otaczające posiadłość ogrodzenie było nowe, wymienione zaraz po wyjeździe Juliette. Pilnowanie wejścia należało do dość uciążliwych zajęć dla oddelegowanych do tego ludzi, ponieważ co kilka minut pojawiał się jakiś krewny z nadzieją, że zostanie wpuszczony. Teraz dwóch mężczyzn pospiesznie otwarło bramę z grubych metalowych prętów, zanim Juliette zdążyła na nich krzyknąć, żeby się nie ociągali.

Taka była cena bezpieczeństwa w obliczu permanentnego zagrożenia.

– Pamiętasz to, prawda? – zapytała Juliette. – Taktykę mojego ojca? – Sama widziała to wiele razy w ciągu tych kilku krótkich miesięcy po pierwszym powrocie do domu. Jeszcze wcześniej, kiedy Juliette była całkiem mała, w najbardziej odległych wspomnieniach wyciągała rączki, żeby ojciec podniósł ją do góry, i czuła przy tym od niego zapach krwi.

Szkarłatny Gang nie tolerował słabości.

– Tak – powiedziała Kathleen.

– Skoro on może to robić – ciągnęła Juliette – to dlaczego nie ja?

Kathleen nic nie odpowiedziała. Westchnęła tylko cicho i rozłożyła ręce, przyznając się do porażki.

Samochód się zatrzymał. Pokojówka czekała już, żeby otworzyć drzwi, a chociaż Juliette ujęła jej dłoń, żeby wysiąść z auta, zrobiła to tylko z grzeczności. W swojej wygodnej, naszywanej paciorkami sukience mogła z łatwością wysunąć się z wysokiego wnętrza i zeskoczyć na ziemię. Kathleen natomiast potrzebowała kilku sekund, żeby wysiąść elegancko, ponieważ spowalniało ją krępujące ruchy qipao. Kiedy stopy kuzynki dotknęły z chrzęstem żwiru na podjeździe, Juliette szła już do drzwi frontowych, wystawiając zmarzniętą twarz do słońca, żeby trochę ją ogrzać.

Wszystko się poukłada. Nie musiała się martwić. Znała nazwisko. Jutro z samego rana pojawi się w pracy u tego całego Zhang Gutaia i skonfrontuje się z nim. W taki czy inny sposób powstrzyma to idiotyczne szaleństwo, zanim jej ludzie ucierpią jeszcze bardziej.

W tym momencie w głębi ogrodu rozległ się wrzask.

– Ali, co z tobą?!

Juliette odwróciła się błyskawicznie, bez namysłu reagując na panikę brzmiącą w tym głosie. Serce zamarło jej z przerażenia.

Już za późno.

Szaleństwo zapukało do jej drzwi.

– Nie, nie, nie – syknęła Juliette, biegnąc przez rabaty z kwiatami. Ali na pewno wracała do domu, opierając na biodrze kosz pełny wysuszonego prania. Teraz kosz leżał wśród róż, przygniatanych bezlitośnie rozsypanymi ubraniami.

Ali rozszarpała sobie gardło.

– Połóżcie ją na ziemi! – krzyknęła Juliette do najbliższego ogrodnika, którego krzyk przyciągnął wcześniej jej uwagę. – Kathleen, biegnij po pomoc!

Juliette złapała Ali za jedno ramię, ogrodnik za drugie. Z całej siły starali się położyć pokojówkę, ale kiedy głowa Ali uderzyła o miękką ziemię na różanej rabacie, jej palce były już zanurzone po kłykcie w mięśniach i ścięgnach szyi. Rozległ się koszmarnie wilgotny odgłos rozdieranego mięsa, któremu towarzyszył wytrysk krwi – a w następnej chwili Juliette zobaczyła kość, eleganckie pasmo białych segmentów w głębi różowoczerwonego gardła.

Oczy Ali się zaszklily. Jej dłonie zwiotczały, wyrwane kawałki ciała wysunęły się spośród palców na ziemię.

Juliette miała ochotę zwymiotować. Krew z gardła Ali płynęła i płynęła, wsiąkając w ziemię, aż ciemna plama stała się na tyle duża, że sięgała niemal do miejsca, w którym dawniej stał dom dla służby, gdzie zakończyło się życie Niani.

Właśnie dlatego, pomyślała w odrętwieniu Juliette. Właśnie dlatego nie powinniśmy kochać mocniej, niż to konieczne. Kiedyś po każdego przychodzi śmierć...

Z domu rozległ się krzyk przerażenia.

Kathleen.

Juliette zerwała się na równe nogi.

– Kathleen! – wrzasnęła. – Kathleen, gdzie jesteś?

– Juliette, chodź tutaj!

Juliette wpadła przez drzwi frontowe i przebiegła przez salon, witana zdumionymi okrzykami kilku zaskoczonych ciotek, które wstały właśnie z kanap, na których plotkowały. Bez namysłu pobiegła do kuchni, gdzie ujrzała Kathleen stojącą przy długim blacie, zastygłą z przerażenia, z dłońmi przyciśniętymi do ust, aby stłumić krzyk.

Kucharz związał się na podłodze, a po jego przedramionach już ciekła krew. Dwa metry dalej, w drzwiach do głównego korytarza, inna pokojówka osuwała się właśnie na ziemię, opierając się o framugę i tłukąc się pięścią w próbie oparcia się szaleństwu.

– Odsuń się...

Pokojówka upadła na ziemię. Pierwsza struga krwi z jej gardła poleciała szerokim łukiem, plamiąc misternie rzeźbioną framugę i malując beżowe ściany abstrakcyjnym wzorem. Juliette odlegle zaczęła się zastanawiać, czy te plamy da się w ogóle wyczyścić, czy też zostaną w tym domu na zawsze. Nawet jeśli zostaną zamalowane lub zdrapane brutalnie z framugi, ich obecność przetrwa, zatruwając wewnątrz wspomnieniem życia, którego Szkarłatni nie zdołali ochronić.

Pokojówka znieruchomiła. To w końcu zmobilizowało do działania Kathleen, która ze zdławionym jękiem ruszyła się z miejsca. Jej długie włosy kołysały się w pośpiechu.

„To szaleństwo może być zaraźliwe”.

– Stój! – wrzasnęła Juliette.

Kathleen znieruchomiła w pół kroku. W ciszy słychać było tylko ciężki oddech Juliette.

Juliette odwróciła się i zobaczyła dwie ciotki, które ostrożnie weszły do kuchni. Zasłaniały usta ze zgrozą, ale nie dała im czasu na przerażenie.

– Wezwijcie kilku ludzi sprzed domu, żeby to posprząkali – powiedziała. – Przykażcie im, żeby włożyli rękawiczki.

ROZDZIAŁ 11

Juliette zatrzasnęła bagażnik samochodu i zamknęła zamek z taką energią, że pojazd się zakołysał.

– Gotowe! – zawołała do szofera. – Można jechać.

Szofer, obserwujący ją we wstecznym lusterku, skinął ponuro głową. Samochód ruszył po żwirowym podjeździe i z warkotem skierował się do głównej bramy, a potem do najbliższego szpitala. Kiedy dotrze na miejsce, ciała w bagażniku przestaną stanowić dla Juliette problem. Miała nadzieję, że szpital doceni, jak ostrożnie Szkarłatni zawinęli zwłoki w grube prześcieradła.

– Panno Cai?

Juliette odwróciła się i zobaczyła zbliżającego się gońca.

– Słucham?

Goniec wskazał dom za swoimi plecami.

– Pani rodzice zeszli na dół. Pytają, co się wydarzyło.

– O, teraz to zeszli na dół – mruknęła półgłosem Juliette. Nie wtedy, kiedy na korytarzach rozbrzmiewały wrzaski. Nie wtedy, kiedy Juliette, używając wulgarnych słów, krzyczała na gangsterów, żeby pospieszyli się z prześcieradłami, i na służące, żeby przyniosły wody i spróbowały wyszorować plamy na podłodze.

Będą musieli zatrudnić wykwalifikowanych sprzątaczy.

– Pójdę z nimi porozmawiać – westchnęła Juliette. Minęła posłańca, czując, że jej ramiona robią się cięższe na myśl o konfrontacji. Rodzice mogli uczestniczyć w jakimś spotkaniu na piętrze, ale tuziny krewnych były świadkami tych okropnych zgonów i cały dom huczał od złych wieści.

Kiedy jednak Juliette weszła do salonu, zaskoczył ją widok niemal całej rodziny.

– Czyżbyśmy organizowali jakieś przyjęcie, na które nie zostałam zaproszona? – zapytała drwiąco, zatrzymując się na progu. W kuchni pozostały jeszcze krwawe plamy, a jej krewni postanowili zgromadzić się tutaj razem? Czy chcieli się zarazić i umrzeć?

Lord Cai wstał, żeby nie dopuścić nikogo do głosu.

– Juliette – powiedział i ruchem głowy wskazał schody. Trzymał coś w dłoni. Kilka kartek kremowego papieru. Kosztownego papieru. – Chodź.

W ten sposób jednoznacznie odprawił resztę rodziny. Podczas gdy inni rozproszyli się po domu, Tyler pozostał na kanapie, z rękami splecionymi za głową, jakby dysponował całym czasem świata. Przekrzywił głowę, kiedy Juliette spiorunowała go wzrokiem, i udał, że nie wie, o co jej chodzi.

Juliette przygryzła język i wbiegła po schodach za ojcem.

– Co zrobimy z plamami krwi? – spytała, kiedy weszli do gabinetu. Matka już tam czekała, siedząc po drugiej stronie biurka ojca i przeglądając raporty.

– Zatrudnimy kogoś, żeby je wyczyścił – odparła lady Cai. Uniosła głowę i strzepnęła niewidoczny pyłek z rękawa swojego qipao. – Bardziej niepokoi mnie, dlaczego ludzie w tym domu zaczęli nagle rozrywać sobie gardła...

– To szaleństwo – przerwała jej Juliette. – Jest tutaj i możliwe, że to choroba zakaźna. Musimy polecić służącym, które miały kontakt z ofiarami, żeby przez kilka dni pozostały w swoich pokojach.

Ojciec usiadł w ogromnym fotelu i splótł dłonie na brzuchu. Matka pytająco przechyliła głowę.

– Skąd wiesz, że to jest zaraźliwe? – zapytał lord Cai. Chociaż Juliette zamarła, słysząc to pytanie, ponieważ poniewczasie uświadomiła sobie, że przekazała informację, której dowiedziała się od Romy, głos jej ojca nie brzmiał podejrzliwie. To było zwyczajne pytanie, jak w codziennej rozmowie. Powiedziała sobie, że musi się uspokoić. Jeśli jej ojciec coś podejrzewał, miał zwyczaj mówić o tym głośno i wyraźnie.

– Tak mówią na mieście – odparła Juliette. – Później może być jeszcze gorzej.

Lady Cai zacisnęła palce na nasadzie nosa. Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić jakąś myśl.

– Troje zmarłych w jednym domu to wciąż nie do porównania z tysiącami poruszonymi przez prądy polityki.

Juliette zamrugała.

– Ale mammo...

– Nie chciałybyś się dowiedzieć, dlaczego wszyscy zgromadzili się nagle na dole? – przerwał jej lord Cai. Położył kartkę na biurku i przesunął ją tak, żeby Juliette mogła się dobrze przyjrzeć. Rozmowa skręciła na nowy temat. Szaleństwo stanowiło dla nich wyłącznie ułamek problemów politycznych.

Niech tak będzie, pomyślała Juliette. Jeśli ona była jedyną osobą, rozpoznającą w chwili obecnej priorytety, to poradzi sobie z rozwiązaniem tej przeklętej zagadki na własną rękę.

Podniosła niewielką karteczkę. Jej uwagę natychmiast przykuło jej imię.

„Panno Cai, mam ogromną nadzieję, że Panią tam zobaczę. Paul”.

– Co to takiego? – zapytała Juliette.

– Zaproszenie – wyjaśniła lady Cai. – Na maskaradę, która odbędzie się w przyszłym tygodniu w Koncesji Francuskiej.

Juliette zacmokała z niezadowolaniem i pochyliła się, żeby przeczytać treść większej kartki. Nie podobało jej się to. Jeśli cudzoziemcy wysyłali zaproszenie, to mogło tylko oznaczać żądania i oczekiwania.

– Czy to Francuzi nas tam wzywają? – zapytała.

– Za organizację tego przyjęcia odpowiadają różne potęgi zagraniczne – odparł cicho jej ojciec, po czym dodał drwiącym tonem: – Francuzi, Brytyjczycy, Amerykanie i wszyscy inni zamierzają się spotkać, aby „uczcić rodzime potęgi Szanghaju” – zacytował tekst zaproszenia w momencie, kiedy Juliette przesuwiała po nim wzrokiem.

„Nasze zaproszenie dotyczy wszystkich znajdujących się pod opieką lorda Cai” – napisano. Na to przyjęcie zapraszano każdego członka Szkarłatnego Gangu.

Lady Cai skrzywiła się.

– Jeśli cudzoziemcy chcą nas uczcić, mogliby zacząć od przypomnienia sobie, że to nasz kraj, a nie ich.

Juliette z ciekawością spojrzała na matkę. Rysy twarzy lady Cai mącił niesmak, pogłębiający zmarszczki, które co rano pokrywała pracownicę warstwą drobnego pudru.

– Mimo wszystko – ciągnął lord Cai, jakby jego żona nie wygłosiła właśnie miażdżącej uwagi – to Francuzi chcą się z nami spotkać. Jest tutaj jeszcze jedna wiadomość.

Juliette przez chwilę szukała jej bezskutecznie, ale kiedy podniosła większą kartkę, znalazła pod nią trzecią i ostatnią, takiego samego formatu jak liścik od Paula. Ta była zaadresowana do jej ojca i wysłana przez konsula generalnego Francji w Szanghaju. Składała się z zaledwie dwóch wierszy. Konsul prosił o spotkanie podczas przyjęcia w celu omówienia sytuacji w Szanghaju – cokolwiek miało to znaczyć.

– Cóż – powiedziała Juliette. – Czy to oznacza dla nas kłopoty?

– Być może nie. – Lord Cai wzruszył ramionami. – Trzeba się będzie przekonać.

Juliette zmrużyła oczy. Nie podobała jej się pełna oczekiwania cisza, którą otoczyli się rodzice, zupełnie jakby czekali na coś... na coś...

– Mam nadzieję, że nie zamierzacie mnie zmuszać do pójścia na tę maskaradę – odezwała się Juliette z niezadowolaniem.

– Nie zamierzam cię „zmuszać” jak jakiś tyran – odparł jej ojciec. – Ale zdecydowanie wolałbym, gdybyś poszła tam razem ze mną.

– *Bàba* – jęknęła Juliette. – W Nowym Jorku byłam na tyłu przyjęciach, że wystarczy mi to do końca życia. Francuzi mogą twierdzić, że chcą omówić sprawy bieżące Szanghaju, ale wiemy przecież, że to nie ma sensu.

– Juliette – skarciła ją matka.

– No co? – oburzyła się Juliette.

– Ona ma absolutną rację – przyznał lord Cai. – Francuzi chcą się z nami spotkać tylko po to, żeby omówić możliwości siłowe Szkarłatnych. Chcieliby wiedzieć, ilu ludzi mam pod swoją kontrolą, i uzyskać ode mnie zapewnienie współpracy na wypadek rewolty komunistów. To wszystko prawda.

Ojciec pochylił się i wbił wzrok w Juliette, która nagle pożałowała swojego narzekania, ponieważ poczuła się jak dziecko skarcone za to, że marudzi na zbyt wczesną porę pójścia do łóżka.

– Mimo to jednak potrzebujemy sprzymierzeńców. Potrzebujemy wpływów, potrzebujemy klientów i potrzebujemy ich wsparcia. Natomiast ja chciałbym, żebyś była moją tłumaczką, kiedy będą mamrotać pomiędzy sobą po francusku, myśląc, że ich nie rozumiem.

Juliette wydała z głębi gardła pomruk niezadowolenia.

– Niech będzie – zgodziła się. Zabrała zaproszenie i wsadziła je do kieszeni z zamiarem przyjrzenia się mu w wolnej chwili. – *Pójdę, mais ce n'est pas de bon gré!*¹

Podeszła do drzwi, chcąc opuścić gabinet. Była już tak blisko – rękę miała na klamce, a jej ciało znalazło się w połowie kroku – kiedy matka zawołała:

– Zaczekaj!

Juliette zatrzymała się.

– Ten... Paul – odezwała się lady Cai. – Dlaczego do ciebie pisze?

Lady Cai wymówiła to imię, jakby było magicznym zaklęciem przywoływania. Jakby kryło w sobie znaczenie wielkiej wagi, a nie było tylko pojedynczą sylabą oznaczającą bezbarwne źródło irytacji.

– To syn Waltera Dextera – wyjaśniła obojętnie Juliette. – Nadal stara się przekonać nas, żebyśmy zostali pośrednikami w handlu ich narkotykiem.

Lady Cai zastanawiała się nad tym przez długą chwilę.

– Czy jest przystojny? – zapytała w końcu.

– Daj spokój, proszę. – Juliette zrobiła krok do przodu. – On chce mnie wykorzystać, mamó. To proste. Pozwolicie, że się pożegnám. Mam sprawy do... Co ty tu robisz?!

Ta ostatnia część była skierowana do Tylera, który kręcił się tuż pod drzwiami, tak że Juliette uderzyła go w ramię, kiedy je otworzyła.

– Spokojnie – powiedział Tyler. – Szedłem do łazienki.

Oboje wiedzieli, że było to bezczelne kłamstwo, tak bezczelne, jak szeroki uśmiech Tylera i tak wielkie, jak długa była lista jego występów.

Juliette zamknęła za sobą drzwi gabinetu z głośnym trzaskiem. Patrzyła na kuzyna w oczekiwaniu, ale on tylko odwzajemniał jej spojrzenie. Na policzku nadal miał czerwoną kreskę, która jeszcze nie zdążyła się wygoić.

– Masz mi coś do powiedzenia, Tyler? – zapytała Juliette.

– Tylko jedną rzecz – odparł. Przesunął szybko wzrok na drzwi, sugerując, że jej rodzice przecież słyszą tę rozmowę. – Nie mogę się doczekać tego przyjęcia. *Le moment où tu n'es plus utile, je serai prêt à prendre ta place.*

Juliette zeszytniała. Zadowolony z wywołanej reakcji, Tyler uśmiechnął się znowu i radośnie okręcił na pięcie, żeby pomaszerować w głąb korytarza z rękami w kieszeniach, pogwizdując cicho.

„Kiedy tylko przestaniesz być użyteczna, zajmę twoje miejsce”.

– *Va te faire foutre!*² – mruknęła Juliette. Zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie, spojrzała gniewnie na krewnych, wciąż plotkujących na kanapach, i poszła prosto do kuchni. Znalazła tam Kathleen nadal wpatrującą się tępo w plamy na kafelkach podłogi. Kuzynka gryzła jabłko, chociaż Juliette nie mogła pojąć, jak mogła mieć w tych okolicznościach apetyt.

– Coś się udało zrobić? – zapytała Juliette.

– O, jakieś dziesięć minut temu darowałam sobie dalsze próby wyczyszczenia tych plam – odparła Kathleen. – Patrzę na tę, ponieważ kształtem przypomina kota.

Juliette zamrugnęła.

Kathleen odgryzła kolejny kęs jabłka.

– Za szybko?

– O wiele za szybko – powiedziała Juliette. – Jesteś teraz zajęta? Potrzebuję twoich powiązań z komunistami.

– Powtarzam po raz ostatni... – Kathleen wrzuciła ogryzek do kosza na śmieci. – To, że znam naszych szpiegów w partii, nie znaczy, że jestem komunistką. Czego mam się dowiedzieć?

Juliette położyła ręce na biodrach.

– Prywatnego adresu Zhang Gutaia.

Kathleen zmarszczyła brwi, próbując przyporządkować to nazwisko do osoby.

– Nie możesz go znaleźć w pracy? Jest redaktorem gazety.

– Mogę się rozejrzeć także u niego w pracy – potwierdziła Juliette. – Ale potrzebuję alternatywy.

„Alternatywa” była osobliwym sposobem ujęcia tej kwestii. Juliette chciała poznać jego adres prywatny, żeby się tam włamać i przeszukać rzeczy osobiste, jeśli odpowiedzi udzielone przez Zhang Gutaia okażą się niewystarczające.

Nie musiała wyjaśniać tego Kathleen. Kathleen wiedziała. Udała, że saltuje, a kącki jej ust zadrgały.

– Tak jest.

* * *

– Wszy?! – zapytał ze zgrozą Roma.

– Coś przypominającego zachowaniem wszy – sprostował z naciskiem Lourens, kwitując to westchnieniem. Wskazał pasek skóry wyciętej z trupa, gdzie pod grubą błoną znajdowały się pęcherzyki z martwymi owadami. Benedikt był lekko zielonkawy, a Marshall przyciskał palce do ust.

– Przeskakują z gospodarza na gospodarza przez włosy, a potem wgryzają się w skórę głowy – ciągnął Lourens. Nacisnął owada palcem. Obserwował ich jeden z naukowców, blady jak ściana, niezdolny pohamować swojej ciekawości na widok niekonwencjonalnej autopsji przeprowadzanej bezpośrednio na stole laboratoryjnym. To nie miało znaczenia: członkowie Białych Kwiatów widzieli dziwniejsze rzeczy.

– Dobry Boże – mruknął Marshall. – Mogliśmy się zarazić.

Benedikt prychnął z urazą.

– One są już martwe – odparł, podkreślając to machnięciem ręki.

– A ty kazałeś mi jednego wyciągnąć – ciągnął Marshall. Wzdrygnął się tak, że całe jego ciało zawibrowało. – To obrzydliwe...

Roma stukał palcami o blat stołu. W laboratorium zdecydowanie brakowało świeżego powietrza, a on zeszłej nocy prawie nie zmrużył oka. Głowa zaczynała mu pulsować drapieżnym bólem.

– Panowie – napomniał Benedikta i Marshalla, starając się skierować ich uwagę z powrotem na Lourensa. Bezskutecznie.

– Przyszłe pokolenia Białych Kwiatów podziękują ci za tę ofiarę – powiedział Benedikt.

– Myślisz, że się dowiedzą o moim bohaterstwie? – burknął wciąż nadąsany Marshall.

Roma wymienił spojrzenie z Lourensem i potrząsnął głową. Kiedy Benedikt i Marshall tak zaczynali, nie było sensu się wtrącać. Jeśli nie spiskowali razem, kłócili się. Niemal zawsze chodziło o absurdalne sprawy, które nie zasługiwały na wielogodzinne debaty, ale mimo to dwaj przyjaciele Romy prowadzili takie dyskusje, czasem zaperzając się tak, że ich twarze robiły się czerwone. Roma nie był pewien, czy ich przeznaczeniem jest się w końcu pozabijać, czy też pocałować.

– Tak jak mówiłem – Lourens odchrząknął, kiedy kłótnia na moment przycichła – nasze wyposażenie może być nowocześniejsze od tego, czym dysponują szanghajskie szpitale. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym się zastanowić nad opracowaniem lekarstwa.

– Tak. – Głos Romy był niemalże błagalny. – Byłoby wspaniale. Dziękuję, Lourensie...

– Nie spiesz się z podziękowaniami. – Lourens zacmokał językiem. – Nie uda mi się znaleźć lekarstwa na tę dziwną plagę, jeśli wy, młodzi, mi nie pomożecie.

Marshall uniósł brew. Benedikt wbił mu łokieć pod żebro, żeby powstrzymać sarkastyczny komentarz na temat ich młodości.

– Zrobimy wszystko – zapewnił Roma.

– Muszę przeprowadzić eksperymenty – powiedział Lourens. Pokiwał głową sam do siebie. – A wy musicie mi znaleźć żywą ofiarę.

– Żywą...

Tym razem to Roma brutalnie szturchnął Marshalla łokciem.

– Zajmiemy się tym – powiedział szybko. – Dziękuję, Lourensie. Z całego serca.

Kiedy Lourens skinął głową, niechętnie akceptując ten wyraz wdzięczności, Roma odsunął się od stołu i skinął na Benedikta i Marshalla, żeby wraz z nimi skierować się do wyjścia. Był pod dużym wrażeniem tego, że Marshall zdołał utrzymać język za zębami, dopóki nie znaleźli się na zewnątrz.

Dopiero kiedy stali na chodniku, pod grubymi chmurami spowijającymi miasto, Marshall wybuchnął:

– Jak, do diabła, twoim zdaniem mamy mu sprowadzić żywą ofiarę?!

Roma westchnął i wsunął dłonie głębiej do kieszeni. Ruszył w stronę siedziby Białych Kwiatów, a kuzyn poszedł w jego ślady. Marshall, będący jak zwykle kłębkim niespożytej energii, szedł przed nimi tyłem, podskakując lekko.

– Przewróć się na jakimś kamieniu – ostrzegł go Benedikt.

– Głowa mnie przez ciebie zaczyna boleć – dodał Roma.

– Nie wiemy, kto padnie ofiarą szaleństwa, dopóki nie zostanie nim ogarnięty – mówił Marshall, ignorując ich obu. – A kiedy kogoś ogarnia szaleństwo, jak mamy utrzymać go przy życiu dostatecznie długo, żeby zabrać go do laboratorium?

Roma na moment zamknął oczy. Kiedy znowu je otworzył, miał wrażenie, że jego powieki ważą tysiąc ton.

– Nie wiem.

Bolesne pulsowanie w głowie stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Roma prawie nie uczestniczył w rozmowie w drodze do domu, a kiedy skręcili w uliczkę, przy której stał główny budynek, mruknął tylko coś na pożegnanie i zniknął w środku. Benedikt i Marshall popatrzyli za nim, zanim wrócili do swojego mieszkania. Wiedział, że przyjaciele mu wybaczą. Roma zapadał w milczenie, kiedy musiał się nad czymś zastanowić, a miasto stawało się zbyt głośnie, że przestawał słyszeć własne myśli.

Ostrożnie zamknął drzwi frontowe. Potrzebował tylko chwili ciszy, a wtedy wymyślenie wspaniałego planu dla Lourensa będzie naprawdę proste...

– Roma.

Roma podniósł błyskawicznie głowę, a jego stopa znieruchomiała na pierwszym stopniu schodów. Na piętrze stał jego ojciec i spoglądał na niego z góry.

– Tak?

Lord Montagow bez żadnego wstępu wyciągnął rękę, w której trzymał kartkę papieru. Roma myślał, że ojciec spotka się z nim w pół drogi, kiedy zacznie wchodzić po schodach, ale lord Montagow pozostał tam, gdzie był, zmuszając Romę do pośpiechu, żeby ON nie musiał czekać. Wbiegłszy po schodach, Roma wziął od ojca kartkę.

Nazwisko i adres były zapisane zamaszystym, krzywym pismem.

– Znajdź go – warknął lord Montagow, a Roma spojrział na niego, oczekując wyjaśnienia. – Moje źródła mówią, że komuniści mogą być odpowiedzialni za to głupie szaleństwo.

Roma zacisnął palce na karteczce.

– Jak to? – zapytał. – Komuniści od lat zabiegają o naszą pomoc...

– A skoro stale im jej odmawiamy, postanowili zmienić taktykę – przerwał mu ojciec. – Zamierzają przeprowadzić rewolucję, miażdżąc nasze siły, zanim zdążymy przeciwstawić się ich planom. Powstrzymaj ich.

Czy motywem mogło być coś tak oczywistego jak polityka? Zabić gangsterów, żeby nie stawiali oporu. Zarazić robotników, żeby byli na tyle gniewni i zdesperowani, by posłuchać rewolucyjnych wrzasków. Łatwo, prosto i przyjemnie.

– Jak mam powstrzymać całą frakcję polityczną? – mruknął Roma, zastanawiając się po prostu na głos. – Jak mam...

Poczuł mocne uderzenie w czaszkę. Drgnął i odsunął się od ojca, żeby uniknąć drugiego ciosu pięścią. Powinien mieć dość rozumu, żeby nie snuć takich rozważań w zasięgu słuchu lorda Montagowa.

– Dałem ci adres, prawda? – warknął ojciec. – Idź tam. Sprawdź, ile prawdy jest w tych twierdzeniach.

Po tych słowach lord Montagow odwrócił się i zniknął w swoim gabinecie, zatraskując za sobą drzwi. Roma został na schodach, trzymając karteczkę, z głową pulsującą jeszcze boleśniej niż przedtem.

– Proszę bardzo – mruknął z goryczą.

Kathleen szła powoli nabrzeżem, a jej kroki niosły się echem po twardym granicie. Daleko we wschodniej części miasta było prawie cicho, uporczywe krzyki słyszalne w rejonie Bundu zastępował tu szcęk budujących statki stoczni oraz dudniących tartaków. Prawie cicho, ale nie spokojnie. W Szanghaju nie było miejsca, które dałoby się nazwać spokojnym.

– Muszę się spieszyć – mruknęła do siebie Kathleen, rzucając okiem na zegarek na nadgarstku. Słońce chyliło się ku zachodowi i niedługo nad rzeką Huangpu zrobi się zimno.

Kathleen szybszym krokiem pokonała resztę drogi do przedziałni, ale weszła nie przez drzwi frontowe, a przez okno na tyłach, bezpośrednio do pomieszczenia socjalnego. Robotnicy nie mieli zbyt wielu przerw w pracy, kiedy jednak zbliżał się koniec zmiany, większość przychodziła tu, żeby chwilę odpocząć. Gdy Kathleen dostała się do środka przez okno, ostrożnie przerzucając nogi przez parapet, zobaczyła kobietę jedzącą ryż z pudełka.

Kobieta omal nie wypluła ryżu nosem.

– Przepraszam, bardzo przepraszam, nie chciałam pani przestraszyć – odezwała się szybko Kathleen. – Czy zechciałaby pani poprosić tutaj Da Nao? Ważne sprawy Szkarłatnych. Szef nie będzie miał nic przeciwko.

– Sprawy Szkarłatnych? – powtórzyła kobieta, odstawiając pudełko. Nosila czerwoną bransoletkę, co oznaczało, że ma związki ze Szkarłatnymi, ale jej głos brzmiał mimo to sceptycznie. Kiedy wstała, zatrzymała się jeszcze na chwilę, żeby przyjrzeć się Kathleen.

Kathleen odruchowo dotknęła włosów, jakby chciała upewnić się, że kosmyki grzywki znajdują się tuż nad łukowatymi brwiami, które starannie modelowała. Zawsze pilnowała się, żeby nie dotykać za często twarzy: zbyt wiele czasu zajmowało jej poranne nakładanie kosmetyków, aby jej skóra była gładka, a podbródek zaostrzony, żeby popsuć to w środku dnia.

Minęła dłuższa chwila. W końcu kobieta skinęła głową.

– Chwileczkę – powiedziała.

Kathleen odetchnęła głęboko, kiedy tylko została sama. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była spięta, jak niemal spodziewała się, że kobieta powie to, co myśli, i zapyta, jakie prawo ma Kathleen, żeby być tutaj i wtykać nos w sprawy Szkarłatnych. Ale ostatecznie to Kathleen nosiła jedwabne qipao, a kobieta miała na sobie bawełniany uniform, prawdopodobnie ten sam od wielu lat. Nie ośmieliłaby się na coś takiego.

Jedyną osobą, która ośmieliła się kwestionować prawo Kathleen do istnienia, był jej własny ojciec.

– Nie myśl o tym – mruknęła do siebie Kathleen. – Przestań o tym myśleć.

Już o tym myślała. O pierwszej kłótni z ojcem, kiedy przyjechał do Paryża, ponieważ jedno z jego dzieci poważnie zachorowało.

„To influenza”, powiedzieli lekarze. „Może z tego nie wyjść”.

Cierpliwość ojca była już i tak na wyczerpaniu, a jego znajomość francuskiego zbyt powierzchowna, żeby mógł zrozumieć lekarzy. Kiedy Kathleen chciała mu pomóc i wyciągnęła go na korytarz po wyjściu lekarzy, żeby mieć pewność, że ojciec rozumie proponowane przez nich opcje...

– Nie mam zamiaru cię teraz słuchać – warknął. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, z najgłębszym obrzydzeniem przyglądając się jej sukience. – Dopóki nie przestaniesz nosić takich...

– Dość – przerwała Kathleen.

Ojciec cofnął się o krok. Być może przerwanie mu w pół słowa było jeszcze gorszym kamieniem obrazy. Być może chodziło o jej ton, rozkazujący, pewny i nieustępliwy

– Czego cię tutaj uczą? – warknął. – Nie będziesz mi pyskować...

– Albo co, *Bàba*? – zapytała spokojnie. – Co zrobisz?

Od tysięcy lat w Chinach najgorszą zbrodnią był brak uczuć dzieci wobec rodziców. Posiadanie dzieci pozbawionych *xiàoshùn* oznaczało los gorszy od śmierci. Oznaczało, że człowiek na tamtym świecie zostanie zapomniany, będzie się błąkał jako głodny duch, ponieważ nie otrzyma ofiar od swoich niewdzięcznych potomków.

Ale to właśnie ojciec wysłał córki do Paryża, osłabił więzy, jakimi Chiny spętały ich dłonie. Na Zachodzie nauczono je innego myślenia, opowiedziano o innym życiu wiecznym, które nie ma nic wspólnego z paleniem papierowych pieniędzy. Zachód je skaził, ale czyja to była wina?

Ojciec nie miał nic więcej do powiedzenia.

– Idź już – rzucił. – Wracaj do pokoju, do swoich sióstr. Ja porozmawiam z lekarzami.

Kathleen nie protestowała. Zastanawiała się wtedy, oglądając się przez ramię na stojącego bez ruchu ojca, czy kiedykolwiek przeklinał wszechświat za to, że odebrał mu żonę podczas porodu. Czy żałował, że stracił ją na rzecz trójki obcych. Na rzecz Kathleen, Rosalind i Celi.

Dziewczynki, która chorowała przez całe życie.

Dziewczynki, która szkoliła się, by zostać najjaśniejszą gwiazdą Szanghaju.

I dziewczynki, która chciała po prostu spokojnie żyć swoim własnym życiem.

Kathleen zacisnęła mocno pięści i zęby, odpychając z całej siły te wspomnienia. Gdyby to od niego zależało, ojciec prędzej by ją wydziedziczył, niż pozwolił wrócić do Szanghaju ubranej w qipao. Z kolei Kathleen prędzej spakowałaby walizki i wyruszyła w głąb Europy, niż pozostała dłużej marnotrawną córką swojego ojca.

Należało chyba uznać za szczęśliwy zbieg okoliczności, że Kathleen Lang – prawdziwa Kathleen – zmarła po dwóch tygodniach choroby na influencję, a w swoim czternastoletnim życiu nie znalazła żadnych przyjaciół i nie zbliżyła się do swoich sióstr. Jak można było opłakiwać kogoś, kogo się prawie nie znało? Twarze pod czarnymi woalkami pozostawały obojętne, a spojrzenia na urnę z prochami chłodne. Nawet najgęstsza krew w końcu stanie się jak woda, jeśli będzie miała tyle pustej przestrzeni, w którą może wyciekać.

– Nie będę nazywać cię Celią – oznajmił ojciec w porcie, zabierając ich walizki. – Nie takie imię ci dałem. – Rzucił jej spojrzenie z ukosa. – Ale będę nazywać cię Kathleen. A ty, poza Rosalind, nie możesz nikomu o tym powiedzieć. To dla twojego własnego bezpieczeństwa. Na pewno to rozumiesz.

Rozumiała. Przez całe życie walczyła z całych sił, aby móc być nazywana Celią, teraz zaś ojciec chciał dać jej inne imię, a ona... się zgodziła. Trojaczki rodziny Lang wyjechały z Szanghaju na tak długo, że kiedy siostry w końcu powróciły, nikt nie zwrócił uwagi na zmienione rysy twarzy Kathleen. Poza Juliette – Juliette zauważała wszystko, ale potrafiła błyskawicznie dostosować się do sytuacji i przestała nazywać Kathleen Celią równie gładko, jak wcześniej zaczęła używać tego imienia.

Teraz Kathleen reagowała na narzucone imię jak na swoje własne, jakby było jedynym imieniem, jakie kiedykolwiek nosiła. Czerpała z tego nawet pewną pociechę, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało.

– Dobry wieczór.

Kathleen podskoczyła i przycisnęła dłoń do serca, kiedy Da Nao pojawił się nieoczekiwanie w pokoju socjalnym.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał Da Nao.

– Oczywiście – westchnęła Kathleen. Ściągnęła ramiona i skoncentrowała się na sprawie, z którą tu przyszła. – Potrzebuję przysługi. Interesuje mnie prywatny adres Zhang Gutaia.

Chociaż Juliette nie wiedziała o tym, także znała Da Nao, którego imię można było przetłumaczyć dosłownie jako „Wielki Mózg”. Pracował trochę w przędzalni, a trochę na łodzi rybackiej w Bundzie, gdzie zajmował się zaopatrzeniem dla Szkarłatnego Gangu. Kręcił się w pobliżu od czasów ich dzieciństwa, a od powrotu Juliette co najmniej trzy razy odwiedził rezydencję rodziny Cai. Szkarłatni cenili świeże ryby. Nie wiedzieli jednak, że ich główny dostawca jest jednocześnie ich oczami i uszami w partii komunistycznej.

– Zhang Gutaia – powtórzył Da Nao. – Chcesz... prywatny adres sekretarza generalnego.

– Właśnie tak.

Da Nao skrzywił się w sposób mówiący jasno: „A po co ci, do diabła, ta informacja”. Ale nie zapytał, a Kathleen nie wyjaśniła. Rybak postukał się w podbródek i oznajmił:

– Mogę się tego dowiedzieć. Ale spotkamy się dopiero w sobotę. Może mi się nie udać wcześniej.

Kathleen skinęła głową.

– To wystarczy. Dziękuję.

Da Nao bez dalszych ceregieli wyszedł z pokoju socjalnego. Kathleen wykonała swoją misję, więc podeszła do okna, ale tym razem, kiedy usiadła na parapecie, jej dłoń natrafiła na odwróconą ulotkę, przybrudzoną i zatłuszczoną.

Kathleen odwróciła kartkę.

RZĄDY GANGSTERÓW TO PRZESZŁOŚĆ. CZAS ZAKŁADAĆ ZWIĄZKI.

Uniosła wysoko brwi. Zastanawiała się, czy to robota Da Nao, ale nie potrafiła sobie tego wyobrazić. A jednak na dole ulotki drobny, równy druk układał się w lekko spłowiały napis: „Rozpowszechniane przez Komunistyczną Partię Chin”.

Najwidoczniej Da Nao nie był tutaj jedynym pracownikiem mającym powiązania z komunistami.

Głośny plusk przy nabrzeżu zaskoczył Kathleen i wyrwał ją z zamyślenia. Pospiesznie zeskoczyła z parapetu na ulicę koło przędzalni. Kiedy spojrzała w wodę, wydawało jej się, że zobaczyła w głębi błysk czegoś lśniącego.

– To dziwne – mruknęła i ruszyła pospiesznie do domu.

ROZDZIAŁ 12

Mówią, że Szanghaj stoi wyprostowany dumnie jak brzydka córka cesarza, rozpościerając ulice w pogardliwym geście gniewnej księżniczki. Nie urodził się taki. Dawniej był piękny. Rozpływano się nad nim z zachwytem, oglądano linie jego ciała, pomrukując z aprobatą, kiwając głową i stwierdzając, że jest doskonały do rodzenia dzieci. Potem miasto z szerokim uśmiechem okaleczyło samo siebie. Przejechało sobie nożem po policzku i chlasnęło się ostrzem przez pierś, a teraz nie przejmowało się już szukaniem zalotników, ale bawiło się szaleńczo, pijane własną niezniszczalnością, którą zawdzięczało pożyczonej od innych sile. Teraz nadawało się doskonale tylko do zarabiania, ucztowania, tańczenia i uprawiania rozpusty.

Teraz mogło być brzydkie, ale było wspaniałe.

Noc zawsze spadała na miasto z cichym plaśnięciem. Kiedy mrugające latarnie budziły się do życia dzięki podziwianej przez wszystkich elektryczności, która brzęczała w kablach oplatających ulice jak czarne naczynia krwionośne, łatwo było zapomnieć, że naturalnym stanem nocy jest ciemność. Noc w Szanghaju pełna była barw i neonów, a także lamp gazowych, których blask rozświetlał trójkątne proporce łopoczące w podmuchach bryzy.

Z najbardziej zatłoczonego kabaretu w tej części miasta wyszła tancerka, wyciągając z włosów kolorowe wstążki. Pozostawiła tylko jedną, czerwoną serpentynę oznaczającą jej przynależność do Szkarłatnego Gangu, dzięki której mogła bezpiecznie wrócić do domu przez terytorium Szkarłatnych. To był znak dla gangsterów kręcących się w zaułkach przy Bundzie i czyszczących zęby ostrzami noży, że nie należy jej zaczepiać – że jest po ich stronie.

Tancerka zadrżała. Nie zatrzymując się, upuściła cygaretkę na ziemię i zdeptała ją obcasem. Teraz miała wolne ręce, więc mogła objąć pokryte gęsią skórą ramiona. Denerwowała się. Nikt nie szedł za nią, nie było też nikogo przed nią. Mimo to z jakiegoś powodu była całkiem pewna, że ktoś ją obserwuje.

Nie mogła tego wykluczyć. Skoro nawet miasto nie znało samego siebie. Nie poczułoby pasożytów rozwijających się pod jego skórą, dopóki nie byłoby za późno. To miasto stanowiło mozaikę terytoriów funkcjonujących jak jeden kolektyw, ale gdyby przyłożyć mu pistolet do głowy, roześmiałoby się tylko pusto, nie rozumiejąc groźby takiego gestu.

Nazywano Szanghaj brzydką córką, ale w miarę upływu lat nie można było już traktować miasta jak jednego organizmu. Kipiało zachodnim idealizmem i wschodnią pracowitością, nienawidziło swojego rozdarcia, a zarazem nie potrafiło bez niego istnieć. Różne światy walczyły i przepychały się w nieustającej waśni. Połowa należała do Szkarłatnych, połowa do Białych Kwiatów. Połowa tarzała się w bogactwie, połowa pogrążona była w ubóstwie. Połowa ziemi i połowa wody napływającej z Morza Wschodniochińskiego. Na wschód od Szanghaju rozpościerała się tylko woda. Być może dlatego przybyli tu Rosjanie, stada wygnańców uciekających przed rewolucją bolszewicką, a jeszcze wcześniej tych, którzy opuścili ojczyznę, kiedy ich dom przestał już być ich domem. Jeśli się ucieka, można uciekać tak długo, aż dotrze się na kraniec świata.

Tym właśnie był Szanghaj. Balem na końcu świata.

Jego najsylniejsza tancerka zatrzymała się teraz, nasłuchując ciszy dzwoniącej w uszach i próbując określić, co takiego sprawiało, że jej nerwy były tak napięte. Im dłużej słuchała, tym więcej odgłosów do niej docierało, takich jak miarowe kapanie z pobliskiej rury czy rozmowy robotników na nocnej zmianie.

Tu właśnie tkwił haczyk: to nie ktoś ją obserwował. To było coś.

Coś, co wypłynęło na powierzchnię. Coś z rzędem kolców wyrastających z wygiętego w łuk grzbietu i lśniących w wodzie niczym dziesięć złowieszczych sztyletów. Coś, co uniosło łeb i zamrugało matowymi srebrnymi oczami.

Tancerka rzuciła się do ucieczki. W panice, chcąc jak najszybciej oddalić się od tego przerażającego widoku, podbiegła do statku w nieodpowiednich kolorach.

Zauważył ją członek Białych Kwiatów pracujący przy rozładunku.

– Przepraszam! – krzyknął z góry. – Czy pani zabłądziła?

Pomylił bezruch tancerki z niepewnością. Zeskoczył z dziobu statku i chciał do niej podejść, ale zatrzymał się jak wryty, gdy zauważył czerwoną wstążkę.

Jego przyjazna twarz w jednej chwili wykrzywiła się wściekłością. Tancerka zacisnęła wargi w grymasie rezygnacji i uniosła ręce, próbując rozładować napięcie.

– Przepraszam! – zawołała. – Przepraszam! Nie zauważyłam, że jestem za granicą terytorium!

Jednakże członek Białych Kwiatów już wyciągnął pistolet i wycelował, przymykając leniwie jedno oko.

– Przeklęci Szkarłatni – mruknął. – Myślisz, że możesz łązić, gdzie tylko zechcesz, tak?

Tancerka bez przekonania sięgnęła po swoją jedyną broń, damski pistolecik przypięty do podwiązki na udzie.

– Proszę poczekać! – zawołała uspokajająco. – Nie jestem wrogiem... Tam coś jest. To się zbliża...

Rozległo się pluśnięcie. Kropelka wody wylądowała w miękkim zagłębieniu pod kolanem tancerki i spłynęła po jej nodze. Kiedy tancerka spojrzała w dół, zobaczyła, że woda jest całkowicie czarna.

Skoczyła w prawo, zanurkowała w zaułku i przycisnęła się do ściany za najbliższym rogiem. Ciszę nocy zakłócił huk wystrzałów, kiedy członek Białych Kwiatów uznał jej szybki manewr za akt agresji. Tancerka zdążyła jednak już zniknąć mu z oczu i drżała teraz na całym ciele, niewidoczna z nabrzeża.

Wtedy coś wyskoczyło z rzeki Huangpu.

W ciemności zabrzmiał wrzask.

Trudno było powiedzieć, co wydarzyło się w porcie Szanghaju. Usta tancerki poruszały się w bezgłośnej modlitwie; przyciskała dłonie do piersi i kuliała się, aż przytuliła czoło do kolan tak mocno, że pozostały na nim ślady. Członek Białych Kwiatów i jego towarzysze ze statku znajdowali się w centrum chaosu. Miotali się, krzyczeli i stawiali opór, ale zaraza dosięgła ich i nie można już było jej powstrzymać.

Kiedy wrzaski ucichły, tancerka wyszła na palcach z zaułka, zachowując ostrożność na wypadek, gdyby nad rzeką nadal czaiło się zagrożenie.

Zamiast tego zobaczyła owady.

Całe tysiące drobnych, ohydnych insektów pełzających po ziemi. Wpadały na siebie i krążyły chaotycznie, ale wszystkie poruszały się w jedną stronę – do wody.

Po raz pierwszy miasto mogło poczuć lufę przyciśniętą do jego skroni, jak zatrutą piesszczotę.

Nad rzeką Huangpu narodziła się druga fala szaleństwa, zapoczątkowana przez siedem martwych ciał leżących na pokładzie rosyjskiego statku.

ROZDZIAŁ 13

Juliette wygładziła qipao, rozprostowując zagniecenia tkaniny, tworzące się pod płaszczem. Przełknęła energicznie swój dyskomfort, jakby był tylko gorzką pigułką z lekarstwem. Wydawało się w jakiś sposób oszustwem, że włożyła ubranie w stylu, jakiego nie nosiła od lat. Miała wrażenie, że okłamuje samą siebie, zaprzecza wizerunkowi, jaki zaczęła tworzyć, zanim na powrót postawiła stopę w tym mieście.

Jeśli jednak chciała nie rzucać się w oczy w oficjalnym miejscu pracy Zhang Gutaia, musiała wyglądać jak każda nastolatka z dobrego domu, postukująca bucikami po ulicach Szanghaju, w perłowych kolczykach kołyszących się pomiędzy rozpuszczonymi, nietkniętymi żelem włosami.

Juliette odetchnęła głęboko, zacisnęła palce na rękawach płaszcza i weszła pewnym krokiem do budynku.

Zhang Gutai – ważna figura w relatywnie nowej i niestabilnej partii politycznej – był skrytym człowiekiem. Pełnił także funkcję redaktora naczelnego gazety „Labor Daily”, której adres był publicznie znany. Juliette spodziewała się niewielkiej redakcji na industrialnych obrzeżach chińskiej części miasta, ale wnętrza „Labor Daily” kipiały życiem. Ludzie biegali tam i z powrotem, nosząc sterty papierów i maszyny do pisania, krzykiem domagając się najświeższych materiałów, które miały iść do druku.

Juliette zmarszczyła nos i minęła recepcję, unosząc wysoko głowę. To byli komuniści, prawda? Skoro tak, powinni wierzyć w równość. To oznaczało, że powinni również pozwolić Juliette rozejrzeć się tutaj na własną rękę, dopóki nie natrafi na gabinet Zhang Gutaia. Nie potrzebuje nikogo, żeby ją oprowadzał.

Juliette uśmiechnęła się do siebie.

Ośrodkiem wszelkiej aktywności wydawały się wąskie schody biegnące do piwnicy, więc Juliette poszła tam, po drodze zabierając z jakiegoś biurka podkładkę do pisania, żeby wyglądać na zajętą. Do piwnicy nie docierało światło dzienne. Juliette minęła coś, co mogło być tylnymi drzwiami, a potem skręciła w lewo, weszła do głównego pomieszczenia i rozejrzała się. Jedyne źródłem światła było kilka kinkietów na ścianach, co wydawało się okropnie niewygodne dla wszystkich tych ludzi, którzy pochylali się w półmroku nad swoimi biurkami.

Kojarzyło jej się to z wyobrażeniem więzienia w czasie Wielkiej Wojny. Juliette nie byłaby wcale zaskoczona, gdyby się okazało, że ten budynek naprawdę służył dawniej do przetrzymywania więźniów.

Szła dalej przed siebie, zagłębiając się w przypominającą więzienie przestrzeń biurową i zaglądając w każdy zakamarek. Jej obcasy stuknęły głośno po podłodze, ale tutaj także panował taki chaos, że na razie nikt nie zwracał uwagi na jej obecność. Znękani dziennikarze – starzy i młodzi – byli zajęci robieniem notatek, błyskawicznym stukaniem w maszyny lub odbieraniem telefonów. Kable umożliwiające komunikację z tym podziemnym poziomem tworzyły splątany kłęb na tyłach obszernego pomieszczenia. Juliette przyglądała się mijanym biurkom w poszukiwaniu czegoś interesującego, gdy jej uwagę zwróciło jedno z nich, które wyglądało na niezajęte.

To wydawało się dziwne, biorąc pod uwagę gorączkową aktywność wokoło. Juliette poczuła się jeszcze bardziej zaintrygowana, kiedy wyciągnęła szyję, żeby przeczytać napisy na teczkach leżących przy telefonie, i zobaczyła chiński tytuł NOTATKI DLA ZHANG GUTAIA.

Juliette pospiesznie skuliła się pod biurkiem, przytrzymując podkładkę pod pachą, żeby przeszukać tę teczkę. W raportach dotyczących spraw politycznych nie było nic ciekawego, ale kiedy przykucnęła pod biurkiem, zobaczyła na podłodze rysunki.

Skoro wszyscy są tak zajęci, to dlaczego to biurko stoi puste?, zastanawiała się. Do kogo należało? Z pewnością nie do Zhang Gutaia, który musiał mieć własny gabinet. Juliette potrząsnęła głową, sięgnęła do stosu rysunków i wyciągnęła kilka, postanawiając nie roztrząsać tej kwestii.

Kiedy jednak spojrzała na pierwszy rysunek, oblał ją zimny pot, od wysokiego kołnierzyka na szyi do brzegu qipao muskającego jej kostki.

Jeden z nich przedstawiał szeroko rozstawione, jakby gadzie oczy. Inny: pięć pazurów uciepionych deski i łuski, które wydawały się połyskiwać nawet w rozmazanym gdzieś tuszu na kartce. Palce Juliette zamarły, z oszołomieniem przyglądała się tuzinom szkiców, pokazujących różne aspekty tej samej istoty.

– *Guài wù* – westchnęła Juliette.

„Potwór”.

Zanim zdążyła zmienić zdanie, zabrała ze stosu jeden rysunek – ten przedstawiający rozmazaną, stojącą istotę w całej okazałości – złożyła go i schowała maleńki kwadracik papieru do kieszeni płaszcza. Dołączył do zaproszenia na maskaradę, które włożyła tam wczoraj i zapomniała wyjąć.

Rzuciła szybko okiem dokoła, żeby się upewnić, że nadal nikt nie zwraca na nią uwagi, po czym wstała i otarła dłonie z potu. Ruszyła szybkim krokiem do wąskich schodów na parter, zaciskając mocno pięści.

Nagle zatrzymała się ze stopą uniesioną nad pierwszym stopniem. Po lewej stronie widziała tylne drzwi.

Które drżały.

Nie potrafiła myśleć o niczym poza rysunkiem w kieszeni. Wyobrażała sobie, że potwór stoi tuż za tymi drzwiami, dysząc ciężko i oczekując właściwego momentu, aby wpaść do środka i dokonać rzezi niewinnych ludzi.

Juliette z wahaniem zrobiła krok w kierunku drzwi. Położyła dłoń na okrągłej gałce.

– Halo?! – zawołała. – Czy jest tam...

– Co pani tu robi?

Juliette podskoczyła i błyskawicznie cofnęła dłoń, po czym odwróciła się szybko. Framuga przestała dygotać.

– Kto, ja?

Mężczyzna, który stał przed nią, nosił na głowie fedorę, a garnitur nadawał mu bardziej zachodni wygląd. Musiał być kimś ważnym, bliżej rangi Zhang Gutaia, na pewno nie zwykłym asystentem odbierającym telefony.

– Jestem tutaj, żeby spotkać się w ważnej sprawie z redaktorem naczelnym – oznajmiła Juliette. – Trochę się zgubiłam.

– Tam jest wyjście – powiedział mężczyzna, pokazując palcem.

Uśmiech Juliette stał się chłodniejszy.

– W ważnej sprawie związanej ze Szkarłatnymi – uzupełniła. – Przysłała mnie mój ojciec, lord Cai.

Mężczyzna znieruchomiał na moment, analizując jej słowa. Na jego twarzy odmalowała się ostrożność. Juliette była mistrzynią sztuki maskowania: ukrywała swoją tożsamość, kiedy zachodziła taka konieczność, a gdy przyszła odpowiednia chwila, używała jej jako broni. Ku jej niezadowoleniu obserwujący ją mężczyzna wydawał się lekko rozbawiony. Skinął jednak głową i dał znak, żeby szła za nim.

Nad parterem wznosiło się jedno piętro, a mężczyzna bezceremonialnie dawał do zrozumienia, że mu się spieszy. Wbiegł po skromnych brązowych schodach po trzy stopnie, podczas gdy Juliette stuknęła obcasami o wiele wolniej i rozglądała się po drodze. Te schody, z grubą poręczą i długimi, wypolerowanymi deskami, mogłyby wyglądać okazale i dekadentcko, gdyby tylko komuniści nie upierali się tak bardzo przy swoim wizerunku prostych ludzi. Wszystko w tym budynku mogłoby być wspaniałe. Ale teraz już nie chodziło o wspaniałość.

Juliette z westchnieniem wychyliła się przez poręcz na piętrze, żeby spojrzeć na pracujące w dole maszyny do pisania. Kiedy idący przodem mężczyzna skinął na nią niecierpliwie, skrzywiła się i ruszyła dalej.

Mężczyzna skręcił za róg korytarza i przepuścił ją do obszernej poczekalni. Dwa rzędy krzeseł ustawiono przy przeciwległych ścianach przed zamkniętymi drzwiami gabinetu. Juliette w mgnieniu oka zrozumiała rozbawienie swego przewodnika. Na jednym z żółtych krzeseł już ktoś siedział, swobodnie wyciągając przed siebie nogi.

Roma zerwał się z miejsca.

– Co ty tu robisz? – zapytali oboje jednocześnie.

Mężczyzna w fedorze wycofał się bez słowa. Kiedy tylko zniknął im z oczu, Roma chwycił Juliette za ramię. Była tak oburzona tym, że ośmielił się jej dotknąć, że nie zareagowała przez kluczową chwilę, co pozwoliło Romie przesunąć ją do kąta poczekalni i przycisnąć plecami do zimnej ściany.

– Puść mnie – syknęła, wyrywając rękę z jego uścisku. Roma musiał zdobyć te same informacje co ona. Chciał wiedzieć, jaki związek ma Zhang Gutai z tym szaleństwem.

Juliette zmeła w ustach przekleństwo. Jeśli Białe Kwiaty zdobędą odpowiedzi przed nią, najprawdopodobniej potraktują je tak samo jak czarny rynek. Zrobią wszystko, żeby zabezpieczyć swój monopol na informacje, przekupując i zabijając informatorów, aż Szkarłatni stracą możliwość, aby dowiedzieć się tego samego. Wtedy Białe Kwiaty zapewnią bezpieczeństwo tylko swoim członkom, zakładając oczywiście, że istnieje jakaś metoda na powstrzymanie szaleństwa. W mieście będzie przybywać ciał ich wrogów, a ludzie zaczną przechodzić na ich stronę.

Właśnie w ten sposób Białe Kwiaty odniosą zwycięstwo. Szkarłatni zaś będą cierpieć.

– Posłuchaj – warknął Roma. – Musisz stąd iść.

Juliette zamrugnęła szybko i uniosła głowę.

– Ja muszę stąd iść?!

– Tak. – Roma z szyderczym uśmiechem wyciągnął rękę i trącił kolczyk zwisający z ucha Juliette. Perła odbiła się od jej skóry i musnęła szczękę. Juliette ledwie stłumiła syknięcie, które chciało jej się wyrwać. Z trudem stłumiła płomień, którym miała ochotę zionąć.

– Idź gdzie indziej – ciągnął Roma. – Ja tu byłem pierwszy.

– To terytorium Szkarłatnych.

– Ci ludzie to komuniści. Nie macie na nich wpływu.

Juliette gwałtownie zgrzytnęła zębami. Rzeczywiście, Szkarłatny Gang nie miał nad tym miejscem żadnej kontroli. Jej jedyną pociechą było to, że Roma także nie sprawiał wrażeń uszczęśliwionego, co oznaczało, że Białe Kwiaty również nie mają wpływu na komunistów. Na razie ta neutralność była dobrą wiadomością. Mężczyzna w fedorze przestał się odzywać, kiedy tylko poznał tożsamość Juliette, właśnie dlatego, żeby uniknąć niepotrzebnego narażania się Szkarłatnemu Gangowi. Ale stąpanie po cienkim lodzie nie będzie udawało się w nieskończoność. Model postępu wyznawany przez komunistów zakładał przecież obalenie panującego w Szanghaju porządku – pozwalającego gangom rozkwitać, pełnego grzechu i żądzy zysków. Gdyby komuniści mieli wybór pomiędzy zabiciem wszystkich kapitalistów a zabiciem wszystkich gangsterów, zdecydowaliby się na jedno i drugie.

– Nasze relacje z komunistami to, podobnie jak wszystko inne, nie twoja sprawa – oznajmiła Juliette. – A teraz bądź tak dobry i uwolnij mnie od swojej osoby.

Roma przymrużył oczy. Potraktował jej polecenie jak groźbę. Być może taki właśnie miała zamiar.

– Nigdzie nie idę.

Ależ on ma tupet. Juliette wyprostowała się na całą wysokość. Dzieląca ich różnica wzrostu nie była taka duża: górowałby nad nią może jeden centymetr, gdyby włożyła szpilki.

– Nie będę powtarzać – syknęła. – Odsuń się. Natychmiast.

Roma zacisnął wargi. Powoli i z najwyższą niechęcią ustąpił przed jej naciskiem. Zrobił spokojnie krok do tyłu i spiorunował Juliette wzrokiem, po czym potarł dłonią oczy. Gdyby Juliette nie znała go tak dobrze, pomyślałaby, że jest zawstydzony. Ale nie, to było tylko wyczerpanie. Cienie pod jego oczami wydawały się niemalże czarne, jakby zanurzył w sadzy dolne rzęsy.

– Żle śpisz ostatnio? – zapytała Juliette całkowicie wbrew sobie. Istniała bezpośrednia korelacja między dzielącą ich odległością a jej zdolnością podtrzymywania cywilizowanej rozmowy. Kiedy Roma oddalił się na kilka kroków, trochę straciła ochotę na popełnienie morderstwa.

Roma opuścił rękę.

– Chciałbym cię poinformować – odpowiedział – że mieszkam się doskonale, dziękuję za troskę.

– Nie pytałam o to, jak się miewasz.

– Och, daj spokój, Juliette.

Juliette z namysłem splotła ramiona. Wczoraj wieczorem usłyszała o nagłym wzroście liczby ofiar wśród członków Białych Kwiatów, wszystko z powodu szaleństwa. To była największa dotychczas liczba jednoczesnych zgonów. Co oznaczało, że Roma nie wyjdzie stąd tylko dlatego, że ona wygłosi kilka kąśliwych uwag. Był tutaj teraz, ponieważ to dziwne szaleństwo czaiło się w pobliżu jego domu.

Juliette wskazała ruchem podbródka zamknięte drzwi.

– To jego gabinet?

Roma nie musiał pytać, kogo ma na myśli. Skinął głową.

– Zhang Gutai zacznie przyjmować gości dopiero za godzinę. Nie próbuj niczego.

Niby czego?, pomyślała ze złością Juliette. Nie mogła przecież siłą przepędzić stąd Romy, nie robiąc przy tym sceny i nie narażając się komunistom, a z pewnością nie zamierzała sama wychodzić, dopóki nie porozmawia z Zhang Gutaiem. Jeśli chciała uzyskać odpowiedź, nic innego jej nie pozostawało.

Juliette podeszła do krzesła i usiadła. Odchyliła głowę, żeby patrzeć na sufit, zdecydowana nie spoglądać w inną stronę. Aby skierować gdzie indziej także myśli, sięgnęła do kieszeni i dotknęła palcami ukrytego szkicu. Nie była pewna, czy te przerażające rysunki potwierdzały związek komunistów z obecnymi kłopotami, ale z pewnością coś potwierdzały. Zamierzała przyjrzeć się szkicowi dokładniej, ponieważ wydawało jej się, że rozpoznaje w tle Bund. To było zaledwie kilka nakreślonych niestarannie linii, ale w przypadku czegoś tak charakterystycznego jak Bund, kilka nakreślonych niestarannie linii mogło wystarczyć.

Tymczasem Roma zajął znowu swoje miejsce w przeciwległym rzędzie krzesel, postukując palcami do rytmu tykania zegara na ścianie. Nie odrywał spojrzenia od Juliette, ku jej głębokiej irytacji. Odbierała jego badawczy wzrok jak fizyczny dotyk, jakby znajdował się kilka centymetrów od niej, a nie po drugiej stronie pomieszczenia. Miała wrażenie, że każdym drgnieniem oczu rozcinał ją mechanicznie po kawałku, aż jej wnętrzności znalazły się na widoku. Czowała, że jej dekolt pokrywa się rumieńcem, a potem także szyja się czerwieni, aż wreszcie policzki zaczęły ją palić jak ogień.

Miała ochotę obedrzeć się ze skóry własnym przekłętym nożem. Komórki jej ciała zdradzały ją na najbardziej podstawowym poziomie. Na litość boską, on tylko patrzył. To nie kwalifikowało się jako atak. Juliette nie zamierzała dać się sprowokować. Będzie tutaj siedzieć, aż Zhang Gutai będzie gotowy, żeby się z nią spotkać, a potem...

– O co chodzi? – warknęła, niezdolna wytrzymać ani chwili dłużej. Przesunęła spojrzenie w dół, odpowiadając własną bronią na atakujący ją wzrok Romy.

Roma wydał pytający pomruk. Powoli wydał wargi i przechylił głowę.

– Co cię tak zdenerwowało?

Juliette spojrzała w tę samą stronę co on. Pospiesznie wyjęła rękę z kieszeni.

– Powtarzam, że to nie twoja sprawa.

– Jeśli to coś mającego związek z szale...

– Dlaczego tak zakładasz?

Twarz Romy gwałtownie spochmurniała.

– Może dasz mi dokończyć zdanie...

Drzwi gabinetu otworzyły się, przerywając mu w pół słowa. Ze środka wyłoniła się zmęczona asystentka, która zaprosiła Romę do wnętrza i szybko zniknęła. Roma westchnął z irytacją, rzucił Juliette spojrzenie mówiące, że jeszcze z nią nie skończył, i wszedł do gabinetu.

Juliette czekała niecierpliwie, postukując czubkami butów w nierównym rytmie o twarde deski podłogi i wyłamując sobie palce. Przez dziesięć minut doprowadzała samą siebie do obłędu, wyobrażając sobie, jak Roma robi, co w jego mocy, żeby przekonać Zhang Gutaia, aby udzielił mu wszystkich odpowiedzi i zlekceważył Juliette. Roma był urodzonym kłamcą, a w taktyce perswazji nie miał sobie równych.

Kiedy jednak Roma wyszedł, jego pochylona głowa mówiła jasno, że nie dostał tego, czego chciał.

– Nie bądź taka zadowolona – szepnął, kiedy Juliette go mijała.

– Zawsze tak wyglądam – syknęła w odpowiedzi.

Z wysoko uniesionym podbródkiem Juliette weszła do gabinetu Zhanga Gutaia.

– Proszę, to musi być mój szczęśliwy dzień – oznajmił pan Zhang na jej widok i odłożył wieczne pióro. Z pogodnym tonem jego głosu kontrastowały zmarszczone brwi. – Najpierw dziedzic Białych Kwiatów, a teraz Szkarłatna księżniczka. Czym mogę pani służyć, panno Cai?

Juliette bez zaproszenia usiadła na jednym z dwóch wielkich krzesel stojących przed ogromnym mahoniowym biurkiem pana Zhanga. W kilka sekund ogarnęła wzrokiem wszystko, co miała przed sobą: czarno-białe fotografie jego zgrzybiałych rodziców, flagę z sierpem i młotem wiszącą obok szafy na akta, kolorowy czerwony kalendarz na ścianie z zaznaczonymi codziennymi spotkaniami. Kiedy znowu spojrzała na siedzącego przed nią komunistę, odprężyła się i pozwoliła mu zobaczyć to, co chciała, żeby zobaczył. Roześmiała się lekko, niefrasobliwie i pusto.

– Na pewno wie pan, jak działają plotki w tym mieście – powiedziała. Wyprostowała przed sobą dłonie i przyjrzała się odpryśniętemu lakierowi na paznokciu małego palca. – Przychodzą do mnie, a ja sprawdzam ich pochodzenie. Wie pan, co niedawno do mnie dotarło?

Zhang Gutai wydawał się lekko rozbawiony.

– Słucham uważnie.

– Mówią – Juliette pochyliła się – że pan wie, dlaczego Szanghaj dręczy szaleństwo.

Przez długą chwilę Zhang Gutai nie odzywał się. W końcu zamrugał szybko.

– Panno Cai, nie mam pojęcia, dlaczego miałyby pani tak uważać – powiedział.

– Nie? – zapytała lekko Juliette. – Nie wymyślił pan tego szaleństwa, żeby rozprzestrzeniać je po mieście? Nie snuł pan żadnych planów spowodowania tyłu zgonów, żeby osłabić gangsterów i zastraszyć robotników, żeby fabryki stały się idealnym gruntem, na który komuniści będą mogli wkroczyć, aby wywołać rewolucję?

Smakowała jego zaskoczenie, zdumienie tak bezpośrednią konfrontacją. Roma widocznie nie zapytał go o szaleństwo wprost: musiał wybrać bardziej okrężną drogę, sondując grunt, żeby wyciągnąć wnioski, zamiast powiedzieć po prostu, o co mu chodzi. Tego należało się spodziewać. Bezpośrednie podejście znajdowało się raczej w repertuarze Juliette.

– Panno Cai – oznajmił stanowczo Zhang Gutai. – To absurd.

Juliette widziała, że w ten sposób do niczego nie dojdzie. Wyprostowała się na krześle, z jej twarzy zniknął uśmiech, a dłonie zacisnęły się na poręczach. Zniknęła gdzieś swobodna flapperka, a jej miejsce zajęła dziedziczka najbardziej brutalnego gangu w Szanghaju.

– Dowiem się prawdy w taki lub inny sposób – zapowiedziała. – Dlatego proszę mówić, jeśli chce pan liczyć na moją łaskę. Inaczej wyrwę odpowiedzi kończyzna po kończyźnie...

– Panno Cai, naprawdę nie mam pojęcia, o czym pani mówi – przerwał jej Zhang Gutai. – Proszę już iść. To moje miejsce pracy, a ja nie mogę marnować czasu na tak nonsensowne oskarżenia.

Juliette rozważyła dostępne opcje. Słowa Zhanga Gutaia brzmiały przekonująco, ale był wyraźnie niespokojny. O ile nie miał naprawdę bardzo, bardzo dobrych umiejętności aktorskich, mówił prawdę, ale mimo to spoglądał na drzwi, postukiwał palcami o blat biurka. Dlaczego? Co takiego wiedział, czego ona nie wiedziała? Nawet jeśli nie zaplanował tego szaleństwa, to jaki był w tym jego udział?

Juliette odchyliła się na krześle i oparła wygodnie z fałszywą swobodą.

– A gdybym miała pytania na temat Partii Komunistycznej? – zapytała. – Jest pan jej sekretarzem generalnym, prawda?

– Zapraszam na nasze spotkania, jeśli chce się pani dowiedzieć więcej na temat partii – odparł sztywno pan Zhang. – Tak czy inaczej, panno Cai, proszę się już pożegnać.

Juliette wstała, bez najmniejszego pośpiechu przeciągając się i poruszając głową, żeby rozluźnić mięśnie szyi. Potem dygnęła głęboko i z przesadą.

– Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas – syknęła i wyszła z gabinetu.

Co teraz?, zastanawiała się, zamykając za sobą drzwi z cichym szcęknięciem. Ruszyła przed siebie. *Skoro on...*

– Uf! – Juliette cofnęła się chwiejnie o krok. W głowie jej zawirowało, ponieważ gdy skręciła za róg, wpadła na kogoś z całym impetem. Kiedy spojrzała w górę, żeby sprawdzić, kto ośmielił się stanąć jej na drodze, w oczach jej poczerwieniało.

Roma chwycił ją za nadgarstek, zanim zdążyła się na niego zamachnąć. Przytrzymał ją w połowie ruchu, a ich skrzyżowane ręce wyglądały, jakby wymieniali ciosy mieczami.

– Ostrożnie – powiedział cicho. Jego głos był zbyt łagodny jak na furię gotującą się pod skórą Juliette. To był podstęp. Roma starał się odwrócić jej uwagę, skierować ją na jego usta, oddech i spokój, zamiast na mocny uścisk, pozostawiający ślady na jej nadgarstku. To działało. Już za samo to Juliette miała ochotę go zabić.

Roma uśmiechnął się kpiąco, jakby wiedział, o czym ona myśli.

– Nie chciałybyś chyba zrobić sceny w bastionie komunistów, prawda?

Juliette spróbowała wyrwać rękę, ale Roma trzymał mocno. Jeśli nie puści jej w ciągu trzech sekund, ona sięgnie po pistolet. *Raz, dwa...*

Puścił.

Juliette potarła nadgarstek, czując pod przesuwaną się dłonią gwałtowny puls, i mruknęła coś niezrozumiałego pod nosem. Ponieważ Roma po prostu stał bez ruchu, zapytała gniewnie:

– Co ty tu jeszcze robisz?

Roma niewinnie wskazał krzesła.

– Zapomniałem kapelusza.

– W ogóle nie miałeś kapelusza.

Ale rzeczywiście, na krzesle obok tego, na którym wcześniej siedział Roma, leżał kapelusz. Roma wzruszył ramionami i spokojnie podszedł, żeby go zabrać. Juliette okręciła się na pięcie i oddaliła się pospiesznym krokiem, żeby jak najszybciej opuścić budynek.

Dopiero w połowie ulicy, kiedy owinęła się ciasno płaszczem, stanęła jak wryta i zaklęła.

– On chyba nie...

Wsadziła dłoń do kieszeni i wyciągnęła tylko jedną kartkę. Kiedy jednak ją rozłożyła, przekonała się, że znowu spogląda na nią potwór, nieco rozmazany od wielokrotnego składania i rozkładania papieru.

Juliette prychnęła. Roma zabrał zamiast tego zaproszenie na maskaradę.

– Dureń – mruknęła.

Kiedy Juliette wróciła do domu, znalazła Kathleen rozpartą na jednej z kanap w salonie. Dołączyła do kuzynki, żeby trochę ponarzekać.

– Co się stało? – zapytała z roztargnieniem Kathleen, przewracając kartki czasopisma.

– Mnóstwo rzeczy – burknęła Juliette. – Masz ten adres?

Kathleen poruszyła głową, jakby częściowo nią kiwała.

– Tak jakby. Będę miała za kilka dni.

– To wystarczy – stwierdziła Juliette. – Na razie i tak muszę się zająć tą całą maskaradą.

Gdzieś za jej uszami zaczął pulsować ból głowy. Próbowała zaplanować swój następny ruch, ale trudno było zdecydować, gdzie powinna szukać. Musiał istnieć powód, dla którego Madame usłyszała to, co usłyszała. Oraz powód, dla którego komuniści mówili to, co mówili. Nawet jeśli były to tylko bezpodstawne plotki, Juliette mogła uspokoić swoją podejrzliwość dopiero wtedy, kiedy sprawdzi wszystkie tropy powiązane z Zhang Gutaiem.

Trochę się rozpogodziła. Znowu wsunęła dłoń do kieszeni i dotknęła rysunku. Miała co robić.

Od drzwi frontowych rozległo się gwizdnięcie, wyrrywając Juliette z milczących rozważań. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła czekającego w holu gońca Szkarłatnych. Skinął na nią jedną ręką, a drugą poprawił sobie but.

– Podaj mi tę paczkę obok ciebie.

Juliette spojrzała w bok. Rzeczywiście, na okrągłym stoliku obok kanapy, na którą opadła, leżała jakaś paczka, ale co też takiego myślał sobie goniec, każąc jej coś przynieść, zamiast po prostu podejść i ją zabrać?

Nagle zrozumiała. Qipao. Szkarłatni gangsterzy przywykli kojarzyć ją z błyszczącymi, naszywanymi paciorkami sukienkami oraz włosami ułożonymi w fale trzymające się na żelu. Kiedy tylko ubrała się w chiński strój, przestała być dla nich widoczna.

Juliette odetchnęła, czując, że jej płuca stały się okropnie sztywne. Czy nigdy nie będzie mogła być sobą? Czy była skazana na wybór jednego z dwóch krajów? Czy mogła być tylko amerykańską dziewczyną albo nikiem?

Goniec znowu zagwizdał.

– Hej...

Juliette wyrwała nóż z pochwy, którą nosiła na udzie, tuż nad rozcięciem qipao, i rzuciła. Ostrze wbiło się idealnie w drzwi frontowe z donośnym, rezonującym stuknięciem. Wytoczyło także pojedynczą kroplę krwi z ucha gońca, które drasnęło.

– Ty na mnie nie gwizdziesz – powiedziała zimno Juliette. – Ja gwizdzę na ciebie. Czy to jasne?

Goniec spojrzał na nią: teraz dopiero naprawdę na nią spojrzał. Dotknął ręką swojego ucha. Już przestało krwawić, ale mężczyzna skinął głową z szeroko otwartymi oczami.

Juliette wzięła paczkę i wstała. Podeszła do gońca, żeby podać mu paczkę tak spokojnie, jakby podawała przyjacielce drugie śniadanie.

– Skoro już tu jesteś – powiedziała – chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił. Idź do Bundu i porozmawiaj z bankierami, którzy pracują przy głównej promenadzie. Zapytaj, czy nie widzieli w okolicy niczego dziwnego.

Goniec otworzył i zamknął usta.

– Wszystkich?

– Tak. Wszystkich.

– Ale...

– Zaczekaj, Juliette – odezwała się Kathleen, także podnosząc się z kanapy. – Ja się tym zajmę.

Juliette uniosła brwi. Kathleen machnęła na gońca, jakby chciała go przepędzić, więc mężczyzna skorzystał z okazji, żeby uciec. Zamknął za sobą drzwi, w których nadal tkwił nóż.

– Chcesz tracić swój czas na coś takiego? – zapytała Juliette.

– Jeśli to przydatne informacje, których potrzebujesz, to nie będzie strata czasu. – Kathleen podeszła do wieszaka na płaszcze przy drzwiach. – Dlaczego cię to interesuje?

– Mogę wysłać dowolnego z gońców – mówiła dalej Juliette, marszcząc brwi. Nie podobało jej się wydawanie rozkazów własnej kuzynce. Czym innym było konkretne zadanie z konkretnym celem, szczególnie gdy Kathleen miała kontakty przydatne w danej misji. Czym innym wysyłanie jej w pogoń za błędnym ognikiem.

– Juliette...

– Chodziło mi głównie o nastraszenie tego gońca. Naprawdę nie ma sprawy...

Kathleen chwyciła kuzynkę za nadgarstek i ścisnęła, nie tak mocno, żeby zabolęło, ale dostatecznie mocno, żeby do Juliette dotarło, że mówi poważnie.

– Nie robię tego tylko z dobroci serca – oznajmiła stanowczo. – Za kilka lat ten gang znajdzie się albo w twoich rękach, albo czyichś innych. A biorąc pod uwagę kandydatów...

Kathleen zawiesiła głos. Obie pomyślały o tych samych osobach, w pierwszej kolejności o Tylerze, a dalej o rozmaitych kuzynach, którzy mogliby stanąć w szranki, gdyby Tyler tajemniczo zniknął. Wszyscy byli okropni, bezwzględni i pełni nienawiści; Juliette także taka była. Minimalna różnica polegała na tym, że Juliette zachowywała także ostrożność. Obsesyjnie pilnowała, ile nienawiści może uwolnić i na ile może się nią kierować.

– Może także znaleźć się w twoich rękach – powiedziała Juliette lekko. – Nie wiemy, co będzie za kilka lat.

Kathleen przewróciła oczami.

– Nie noszę nazwiska Cai. To w ogóle nie wchodzi w grę.

Trudno było się z tym spierać. Kathleen łączyło pokrewieństwo z rodziną z lady Cai. Ponieważ to lord Cai był twarzą Szkarłatnego Gangu, trudno było się dziwić, że tylko osoby noszące jego nazwisko uważano za prawowitych krewnych. Wystarczyło spojrzeć, z jaką łatwością jego kuzyni wślizgiwali się do wewnętrznego kręgu, podczas gdy pan Lang, brat lady Cai, nie zasłużył na żadne względy pomimo dwóch dekad starań.

– To musisz być ty – powiedziała Kathleen tonem niedopuszczającym żadnego sprzeciwu. – Wszyscy, którzy mogliby sięgnąć po twoją koronę, są niebezpieczni. Ty także, ale... – zawahała się, szukając odpowiednich słów – ale ty przynajmniej nigdy nie będziesz narażać nas na niebezpieczeństwo tylko po to, aby dogodzić swojej dumie. Tylko tobie ufam, że będziesz trzymać ten gang w całości niczym stalową konstrukcję, a nie chwiejną hierarchię opartą na kaprysach. Jeśli nie uda ci się być godną następczynią, jeśli upadniesz, runie cały nasz styl życia. Pozwól, że zrobię to dla ciebie.

Juliette otworzyła usta, a potem je zamknęła. Kathleen narzuciła płaszc.

– Więc co takiego chcesz wiedzieć o bankierach pracujących w Bundzie?

Juliette nadal zastanawiała się nad słowami kuzynki. Zawsze myślała o sobie jako o dziedziczce Szkarłatnego Gangu, ale zawierało się w tym coś więcej. Była dziedziczką wizji swojego ojca.

Tylko czy ta wizja była taka wspaniała? Szkarłatny Gang rozlatywał się. Być może kto inny zdołałby zwyciężyć w wojnie gangów z Białymi Kwiatami całe pokolenia temu. I powstrzymać szaleństwo.

– Chodzi mi o pogłoski o potworze – powiedziała na głos i potrząsnęła głową, żeby w niej rozjaśnić. Było tyle niedopasowanych kawałków układanki: potwór, szaleństwo, komuniści, a ona musiała skoncentrować się na poszukiwaniu w nich sensu, a nie na wątpieniu w siebie. – Mam powody podejrzewać, że mogli coś widzieć. Nie mam wielkich nadziei, ale istnieje przynajmniej cień szansy.

Kathleen skinęła głową.

– Potem powiem ci, czego się dowiedziałam.

Kuzynka pomachała na pożegnanie i zamknęła za sobą drzwi z trzaskiem, który odbił się echem we wnętrzu salonu. Nóż poruszający się wraz z drzwiami wyglądał teraz przede wszystkim komicznie. Juliette westchnęła i wyciągnęła go, schowała pod sukienkę i weszła powoli po schodach. Rodzice będą zgorzeleni, kiedy się dowiedzą, że oszpeciła drzwi. Uśmiechnęła się na tę myśl i nadal czuła się lekko rozbawiona, dopóki nie weszła do swojego pokoju i nie zobaczyła samotnej sylwetki na łóżku.

Omal nie skoczyła wysoko do góry.

– Ależ mnie nastraszyłaś! – westchnęła zaraz potem. Siostry rzadko kiedy odwiedzały ją pojedynczo, więc nie od razu rozpoznała Rosalind, szczególnie gdy kuzynka wystawiała twarz na promienie popołudniowego słońca wpadające przez okno. – Czy ty i twoja siostra uparłyście się, żeby dzisiaj mnie zaskakiwać?

Rosalind popatrzyła na Juliette z lekką urazą.

– Byłaś teraz z Kathleen? Czekam tu na ciebie całe godziny.

Juliette zamrugała. Nie była pewna, co odpowiedzieć.

– Przepraszam – zdecydowała w końcu, chociaż zaskoczenie w jej głosie sprawiało, że przeprosiny nie zabrzmiały szczerze. – Nie wiedziałam.

Rosalind potrząsnęła głową.

– Nieważne – mruknęła.

To był jeden z tych szczegółów, które Juliette pamiętała z dzieciństwa, zanim którakolwiek z nich wyprawiła się na Zachód. Rosalind pamiętała urazy, jakby ktoś jej za to płacił. Była zapalczywa, uparta i miała nerwy ze stali, ale jeśli przejrzało się jej starannie dobierane, powierzchowne i gładkie słówka, widać było, że potrafiła także żywić pretensje na długo po tym, jak ich przyczyna przestała mieć znaczenie.

– Nie nadymaj się – skarciła ją Juliette. Musiała rozwiązać problem teraz albo obawiać się, że wybuchnie w nieokreślonej przyszłości. Znała swoją kuzynkę, była świadkiem jej powoli narastającej nienawiści do ludzi, którzy zrobili jej przykrość. Takich jak ciotki ze strony matki, które starały się zająć miejsce jej zmarłej matki; jak jej ojciec, który większą wagę przywiązywał do wzmocnienia swojego *guānxi* w Szkarłatnym Gangu niż do zajmowania się

własnymi dziećmi; nawet jak inne tancerki w kabarecie, które tak bardzo zazdrościły Rosalind coraz większej sławy, że próbowały wykluczyć ją ze swojego grona.

Czasem Juliette zastanawiała się, jak Rosalind w ogóle radziła sobie z taką pustką w swoim życiu. Ogarniało ją poczucie winy, że za rzadko rozmawia z kuzynką, chociaż sama stosunkowo niedawno wróciła do miasta. Wszyscy w rodzinie Cai mieli zawsze ważniejsze sprawy na głowie. Kathleen została przynajmniej obdarzona optymistyczną naturą. Rosalind nie. Ale bezustanna troska i dbanie o potrzeby kuzynki znajdują się stosunkowo nisko na liście priorytetów, kiedy ludzie na ulicach rozrywają własne gardła.

– Co się stało? – zapytała Juliette wbrew sobie. Mogła poświęcić przynajmniej minutę, skoro Rosalind czekała tu na nią kilka godzin.

Rosalind nie odpowiedziała. Przez moment Juliette zaczęła się niemal obawiać, że nie zdoła uzyskać przebaczenia za tę pęczniącą urazę.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Rosalind ukryła twarz w dłoniach.

W tym geście było coś przejmującego, coś z zagubionego dziecka, co sprawiło, że Juliette poczuła się poruszona do głębi.

– Owady – wyszeptła Rosalind głosem stłumionym przez jej własne palce. W pokoju zrobiło się nagle zimno. Juliette poczuła, że włoski na karku najeżają się jak stalowe igiełki, aż jej skóra staje się wrażliwa na dotyk, niemal obolała.

– Mnóstwo owadów – mówiła dalej Rosalind. Jej łamiący się głos sprawiał, że po plecach Juliette przeszły dreszcze. – Tyle owadów, wychodzących z morza, wracających do morza.

Juliette zmusiła się, żeby przykłęknąć powoli na dywanie. Przechyliła głowę, żeby spojrzeć w przerażone oczy kuzynki.

– Co takiego? – zapytała miękko. – Jakie owady?

Rosalind potrząsnęła głową.

– Wydaje mi się, że to widziałam. Widziałam to w wodzie.

To nadal nie stanowiło odpowiedzi.

– Co widziałaś? – spróbowała dowiedzieć się Juliette. Ponieważ Rosalind milczała, Juliette ujęła ją za ramiona i zapytała bardziej stanowczo: – Rosalind, co takiego widziałaś?

Rosalind gwałtownie wciągnęła powietrze. Zupełnie jakby chciała wessać cały tlen z pokoju, poznać wszystkie możliwości, że to, co widziała, da się wyjaśnić w jakiś normalny prosty sposób. Uderzenia serca odbijały się echem pod czaszką Juliette, zwiększając wewnętrzną presję, żeby słuchać, nastawić się, przygotować. Z jakiegoś powodu wiedziała, że to, co teraz usłyszy, zmieni wszystko.

– Rosalind – ponagliła kuzynkę po raz kolejny.

– Srebrne oczy – wykrztusiła w końcu Rosalind. Wstrząsnął nią dreszcz. Teraz, kiedy zaczęła mówić, słowa tłoczyły się w gorączkowym pośpiechu. Jej oddech stawał się coraz płytszy, a uścisk palców Juliette na jej ramionach coraz mocniejszy. Kuzynka prawie tego nie zauważała. – Miało srebrne oczy. I łukowaty grzbiet. I ostre kolce na nim. I łuski, i pazury, i... nie wiem, Juliette. Nie wiem, co to było. Może *guài wù*. Potwór.

Szum krwi w uszach Juliette zaczął się zamieniać w ryk. Starannie, panując nad ruchami, wypuściła ramiona kuzynki i sięgnęła do kieszeni, żeby wyjąć ukradziony rysunek. Rozłożyła podniszczoną kartkę i wygładziła ją, rozprostowując zagięcia, w których rozmazał się tusz.

– Rosalind – powiedziała powoli. – Popatrz na ten szkic.

Rosalind sięgnęła po cienką kartkę. Jej palce zacisnęły się na papierze. Jej oczy napełniły się łzami.

– Czy to właśnie widziałaś? – szepnęła Juliette.

Rosalind nieskończenie powoli skinęła głową.

ROZDZIAŁ 14

Gdyby ktoś zapytał Benedikta Montagowa o jedną rzecz, jaką chciałby otrzymać od losu, udzieliłby bardzo prostej odpowiedzi: chciałby namalować idealną kulę.

Gdyby to samo pytanie zadać dowolnemu członkowi Białych Kwiatów, padłyby najróżniejsze odpowiedzi: pragnęliby fortuny, miłości, zemsty. Benedikt również nie wzgardziłby takimi marzeniami, a nawet dołożył do nich kolejne. Ale wszystkie blakły, kiedy malował i skupiał się wyłącznie na ruchach nadgarstka i łuku zataczanym przez pędzel. To było zadanie wymagające najwyższej uwagi, pracowite i piękne.

Tak bardzo pragnął stworzyć idealną kulę, że stało się to niemal jego obsesją. To było jedno ze złudzeń, które pozostały mu jeszcze z dzieciństwa. Uformowało się w jego umyśle bez dających się uchwycić przyczyn, choć być może po prostu przyszedł już z tym pragnieniem na świat. To było zresztą kompletnie irracjonalne – przeświadczenie, że jeśli udałoby mu się dokonać tej jednej niemożliwej rzeczy, być może wszystkie inne niemożliwe rzeczy w jego życiu powiodłyby się, niezależnie od tego, czy miały ze sobą jakikolwiek związek.

Kiedy Benedikt miał pięć lat, myślał, że jeśli zdoła przeczytać na głos całą Biblię od początku do końca, jego ojciec pokona chorobę. Przeczytał, ale ojciec umarł, a sześć miesięcy później zmarła również matka, trafiona w pierś zbłąkaną kulą.

Kiedy Benedikt miał osiem lat, przekonał sam siebie, że co rano musi przebiec ze swojej sypialni do drzwi frontowych w ciągu najwyżej dziesięciu sekund, bo inaczej dzień będzie nieudany. To było wtedy, kiedy jeszcze mieszkał w głównym budynku, na czwartym piętrze, w pokoju obok Romy. Tamte dni zawsze były okropne i trudne – ale nie wiedział, jaki wpływ miało to, że nie potrafił biegać dostatecznie szybko.

Teraz miał lat dziewiętnaście, a stare nawyki nie zniknęły; zostały tylko oczyszczone i skumulowane w jednym jedynym życzeniu, które spoczywało na wierzchołku piramidy innych niemożliwych pragnień.

– Szlag – mruknął Benedikt. – Szlag, szlag.

Zerwał płachtę papieru ze sztalugi, zgniółł ją w kulę i cisnął z całej siły o ścianę atelier. Daremność wysiłków zaczynała go męczyć, pulsowała mu w skroniach i piekła w głębi wysuszonych, zmęczonych oczu. Podskórnie wiedział, że to, czego pragnie, jest niemożliwe. Czym bowiem była kula? Trójwymiarowym okręgiem, a okręgi nie istniały. Wszystkie punkty okręgu znajdowały się w tej samej odległości od środka, a żeby tak było, musiałby on zostać narysowany z większą precyzją. Jak musiałby patrzeć Benedikt, żeby zauważyć perfekcję? Na pociągnięcia pędzla? Na cząsteczki? Atomy? Jeśli w całym wszechświecie nie istniało coś takiego jak prawdziwy okrąg, to jak on miałby go namalować?

Benedikt odłożył pędzel, przecesał palcami włosy i wyszedł z atelier.

Zatrzymał się dopiero na korytarzu, kiedy z pokoju obok dobiegł go głos, znudzony, cichy i ironiczny.

– Po cholere tak klniesz?

Teraz on i Marshall mieszkali razem w zaniedbanym domu oddalonym o jedną przecznicę od kwatery głównej rodziny Montagów, chociaż w dokumentach najmu widniało tylko nazwisko Benedikta. Technicznie rzecz biorąc, Marshall rezydował jako nielegalny sublokator, ale Benediktowi to nie przeszkadzało. Marshall był kompletnie pomyłony, ale także doskonale gotował i lepiej niż ktokolwiek potrafił naprawić pękniętą rurę. Być może zyskał wprawę po wielokrotnym nastawianiu własnych połamanych kości. A być może zawdzięczał tę umiejętność wczesnemu dzieciństwu, które spędził na ulicy, walcząc zawzięcie o przetrwanie, zanim przygarnęli go członkowie Białych Kwiatów. Do tej pory nikt nie był pewien, co dokładnie stało się z rodziną Marshalla. Benedikt wiedział tylko jedno: wszyscy nie żyli.

Marshall wyszedł ze swojego pokoju w podziurawionych przez mole spodniach od piżamy, zsuniętych nisko na biodrach. Kiedy podniósł ręce, żeby spleść je na piersi, obszarpana koszulka podciągnęła się do góry i odsłoniła krzyżujące się na brzuchu blizny od noża.

Benedikt patrzył na niego w milczeniu. Jego puls przyspieszył na moment, kiedy to sobie uświadomił, a potem na drugi moment na myśl, że może zostać na tym przyłapany.

– Masz nowe ślady. – Błyskawicznie zapanował nad sobą i ledwie się zająknął, chociaż czuł, że piecze go szyja. Ta chwila prawdopodobnie wróci do niego, kiedy będzie się starał zasnąć, a on na to wspomnienie wzdrygnie się tak, że niemal zapadnie się w sobie, zamieni w wywróconą na lewą stronę skorupę. Odchrząknął i mówił dalej: – Skąd one się biorą?

– Miasto to niebezpieczne miejsce – odpowiedział z szerokim uśmiechem Marshall.

Wydawało się, że sobie żartuje, popisuje się swoją brawurą. Benedikt zmarszczył brwi. W jego głowie zawsze kotłowało się jednocześnie i domagało uwagi pięć tysięcy różnych myśli, ale jeśli jedna z nich rozbrzmiewała wyjątkowo głośno, zaczynał ją rozważać. Marshall powędrował w głąb korytarza i zniknął w kuchni, gdzie zaczął grzebać w szafkach, zaś Benedikt, pogrążony w myślach, stał nadal przed swoim atelier.

– Czy to nie jest interesujące?

– Dalej mówisz do mnie?

Benedikt przewrócił oczami i dołączył do swojego współlokatora, który w kuchni wyciągał garnki i patelnie, pogryzając łydęgę selera. Benedikt nie chciał nawet pytać dlaczego. Marshall był osobą, która potrafiła bez żadnego powodu jeść surowy seler.

– Do kogo innego miałbym mówić? – odparł Benedikt i podciągnął się na rękach, żeby usiąść na blacie. – Chodzi mi o miasto. Naprawdę robi się coraz niebezpieczniejsze.

Marshall wyciągnął łydęgę z ust i pomachał nią w kierunku Benedikta. Benedikt rzucił mu tylko spojrzenie, nie spiesząc się, żeby otworzyć usta i ugryźć kęs, więc Marshall wzruszył ramionami i wyrzucił seler do śmieci.

– Ben, skarbenku, ja tylko sobie żartowałem. – Marshall zapalił zapałkę i przysunął do gazowego palnika. Pod jego palcami ożyła gorąca, płomienna, miniaturowa gwiazda. – To miasto zawsze było niebezpieczne. To istota ludzkich słabości, puls...

– Chodzi mi o to, co się dzieje ostatnio – przerwał mu Benedikt. Odchylił się do tyłu i oparł dłońmi o granitowy blat. – Nie zauważyłeś tłumów w kabaretach? Częstotliwości, z jaką mężczyźni wskazują na scenę, żeby zaczepiać tancerki? Wrzasków na ulicach, kiedy nie starcza rikszy dla wszystkich klientów? Można by się spodziewać, że liczba gości w klubach zacznie topnieć przez to całe szaleństwo. Tymczasem nocne lokale to chyba jedyne przedsiębiorstwa, które w terminie płacą czynsz mojemu wujowi.

Tym razem Marshall potrzebował chwili na odpowiedź, ponieważ nie miał jej przygotowanej i czekającej na języku. Na jego ustach błąkał się lekki uśmiech, ale kryło się w nim coś smutnego i bolesnego.

– Ben – powtórzył. Umilkł. Możliwe, że miał trudności ze znalezieniem rosyjskich słów, kilka razy zaczynał i urywał, nie mogąc zbudować spójnego zdania. W końcu przerzucił się na swój język ojczysty. – Nie chodzi o to, że miasto stało się niebezpieczniejsze. Chodzi o to, że się zmieniło.

– Zmieniło? – zapytał jak echo Ben, także przechodząc na koreański. Jego lekcje nie poszły na marne. Mówił z okropnym akcentem, ale przynajmniej płynnie.

– Szaleństwo sięga wszędzie. – Marshall wyciągnął ze stojącej na ziemi torby pęczek kolendry. Wsunął sobie jedną łydkę do ust. – Rozprzestrzenia się jak zaraza. Najpierw ofiary pochodziły z okolic rzeki, potem pojawiły się w głębi miasta i w koncesjach, a teraz coraz więcej posiadłości na przedmieściach wysyła ofiary do kostnic. Zastanów się. Ci, którzy chcą się uchronić przed zarazą, będą siedzieć w domach, zaryglują drzwi i pozamykają okna. Ci, których to nie obchodzi, którzy są nieobliczalni, którzy czerpią rozkosz z rzeczy strasznych... – Marshall zamachał rękami, szukając właściwych słów. – Oni będą rozkwitać. Zaczną wychodzić na zewnątrz. Miasto nie stało się brutalniejsze. To kwestia zmiany w ludziach.

Jak na dany znak w mieszkaniu rozległ się brzęk tłuczonego szkła, sprawiając, że zaskoczony Marshall drgnął. Benedikt tylko odwrócił się i zmarszczył brwi. Obaj nasłuchiwali, żeby zlokalizować zagrożenie. Kiedy usłyszeli krzyki dobiegające z ulicy obok, stało się jasne, że nie muszą się martwić.

Benedikt zeskoczył z blatu. Podwinął rękawy, wyszedł znowu na korytarz i skręcił do pokoju Marshalla, żeby złapać pierwsze lepsze ubranie, jakie wpadło mu w ręce.

– No dobrze, idziemy – oznajmił, kiedy wrócił do kuchni.

– Jak to? – zapytał z oburzeniem Marshall. – Robię jedzenie.

– Kupię ci coś na mieście. – Benedikt rzucił mu kurtkę. – Musimy dzisiaj znaleźć żywą ofiarę.

Marshall i Benedikt całymi godzinami bezskutecznie przeszukiwali terytorium Białych Kwiatów. Wiedzieli, w których uliczkach najczęściej lęgnie się szaleństwo, więc wybierali właśnie te zaułki, zagłębiając się co chwila w ich labiryncie, który znali jak własną kieszeń. Kiedy tylko słyszeli najcichszy szelest, któremu towarzyszył niedający się z niczym pomylić metaliczny zapach, rzucali się w stronę, skąd dochodził dźwięk jedynie po to, aby przekonać się, że źródłem odgłosów były gryzonie myszkujące wokół zakrwawionego, od dawna zimnego, trupa.

Jeśli nie natrafiali na zwłoki, witała ich cisza. Uliczki przypominały statyczny, niezakłócony niczym obraz; z przepelnionych worków i połamanych skrzyń unosił się smród, ponieważ ludzie byli zbyt wystraszeni, żeby zapuścić się dalej od swoich domów i wyrzucić śmieci we właściwe miejsca. Benedikt poczuł ulgę, kiedy w końcu wyszli znowu na główną ulicę i powrócili do świata, w którym dryfowały wokół niego strzępy i okruchy rozmów pomiędzy sprzedawcami a kupującymi. Tutaj było prawdziwe miasto. Tamte zaułki przypominały nawiedzoną wersję Szanghaju, jego trzewia przemienione w martwą skorupę.

– Czyli kolejna strata czasu – stwierdził Marshall. Spojrzał na kieszonkowy zegarek. – Masz ochotę powiedzieć Romie o naszej totalnej porażce, czy ja mam to zrobić?

Benedikt skrzywił się i chuchnął w zeszywniałe dłonie. Nie było jeszcze tak zimno, żeby nosić rękawiczki, ale chłód popołudnia stał się już odczuwalny.

– Gdzie w ogóle jest Roma? – zapytał. – On też miał się tym zajmować.

– On jest następcą bossa Białych Kwiatów. – Marshall schował zegarek. – Może robić, co mu się podoba.

– Wiesz, że to nieprawda.

Brwi Marshalla uniosły się błyskawicznie do góry, znikając w ciemnej burzy włosów spadających mu na czoło. Obaj milczeli przez chwilę, wpatrując się w siebie nawzajem ze zmieszaniem.

– Chodzi mi o to, że mimo wszystko musi słuchać poleceń ojca – poprawił się pośpiesznie Benedikt.

– Aha – odparł krótko Marshall. Na jego twarzy malował się dziwny wyraz, który sprawiał, że Benedikt także poczuł się niepewnie. Nagłe ściskanie w żołądku sprawiło, że miał ochotę pochwycić słowa, które właśnie wypowiedział, i połknąć je z powrotem, żeby tylko Marshall stał się taki jak zwykle odprężony i wyluzowany.

– Aha? – powtórzył Benedikt pytająco.

Marshall potrząsnął głową i roześmiał się. Ten dźwięk sprawił, że Benedikt natychmiast się uspokoił.

– Przez sekundę myślałem, że chodzi ci o to, że nie jest następcą.

Benedikt spojrział w szare chmury.

– Nie – powiedział. – Nie o to mi chodziło.

W głębi duszy jednak obaj to wiedzieli. Benedikt Montagow i Marshall Seo byli jedynymi członkami Białych Kwiatów, którzy publicznie przyznawali się do swojej lojalności wobec Romy. Pozostali milczeli, czekając, czy Roma zdoła z powodzeniem sięgnąć po to, co mu się należało z racji urodzenia, czy też zostanie pokonany przez najnowszego faworyta lorda Montagowa.

– Chcesz już wracać do domu?

Benedikt westchnął i skinął głową.

– Właściwie tak.

Na ulicy równoległej do tej, którą Benedikt i Marshall zmiierzali na południe, Kathleen wędrowała na północ, zaglądając po kolei do banków mieszczących się wzdłuż Bundu.

Bund, zastanawiała się z roztargnieniem. *Co za dziwna nazwa*. Po chińsku ta część miasta nazywała się *wàitān*, co oznaczało brzeg rzeki po zewnętrznej stronie zakrętu. Ta nazwa odpowiadała prawdzie – był to skrawek ziemi, który graniczył z fragmentem dolnego biegu rzeki Huangpu. Kiedy Anglicy nazwali go Bundem, stał się „nabrzeżem”. Czyli miejscem, w które się przychodzi. Tam statki tłoczyły się w poszukiwaniu lepszego życia ukrytego w bankach, a kantory i konsulaty pulsowały potęgą.

Tu właśnie można było znaleźć najbardziej skoncentrowane bogactwo, ukryte w dekadentkich budynkach. Inspirowane architekturą secesji, wzniesione za zachodnie pieniądze, były miejscami, w których mnożyły się fortuny. Wiele konstrukcji nie zostało jeszcze ukończonych, morską bryza omiatała belki rusztowań. Stukot młotków rozbrzmiewał w gorączkowym rytmie nawet o tak późnej godzinie. W tym rejonie obowiązywały restrykcje dotyczące wysokości budynków, więc nie wolno im było piąć się nadmiernie w górę, mogły tylko być stawiane jak najlepiej.

Nawet niedokończone, zabudowania były prześliczne. Wydawało się, że każdy projekt bierze udział w konkursie, starając się przyćmić swoje sąsiedztwo. Kathleen szczególnie lubiła budynek HSBC – ogromny, sześciopiętrowy gmach w stylu neoklasycyżnym, w którym mieściła się The Hongkong and Shanghai Banking Corporation. Ta budowla lśniła na zewnątrz tak samo jak w środku – trudno było uwierzyć, że osiągnięto tak spektakularny efekt, korzystając wyłącznie z gigantycznych ilości marmuru i monelu. Kolumny, kratownice w oknach i pojedyncza wyniosła kopia sprawiały, że budynek wyglądał bardziej jak starożytna grecka świątynia niż epicentrum złotego wieku szanghajskiej finansjery.

Ogromna szkoda, że ludzie pracujący w tak zachęcającym urodę budynku byli równie zachęcający jak miska spleśniałego ryżu.

Kathleen niechętnie wyszła z HSBC. Wydała długie, poirytowane westchnienie i z uczuciem głębokiego zmęczenia oparła się o jeden z łuków na zewnątrz, żeby zastanowić się, co ma zrobić dalej.

„Nie mam pojęcia, o czym pani mówi” – było zdaniem, które najczęściej dzisiaj słyszała, a Kathleen nie cierpiała porażek. Kiedy tylko bankierzy orientowali się, że pytania Kathleen nie są związane z jej kontem i kredytem, za to interesuje ją, czy po drodze do pracy widzieli jakieś potwory, natychmiast stawali się nieprzyjaźni, przewracali oczami i prosili, żeby zechciała przepuścić następnego klienta. Miała wrażenie, że ludzie, którzy spędzali dzień za dniem wśród tych granitowych ścian i grubych, bezdennych sejfów, czuli się zabezpieczeni przed szaleństwem i odporni na plotki o potworze, który je sprowadzał.

Widziała to w cierpliwym machnięciu dłoni, którym zapraszali następnego klienta, w leniwym wzruszeniu ramion, kiedy zbywali jej pytania, jakby były po prostu poniżej ich godności. Bogaci i cudzoziemcy tak naprawdę nie wierzyli w to, co się dzieje. Dla nich to całe „szaleństwo” ogarniające miasto było tylko jakimś chińskim nonsensem. Dotykało wyłącznie skazanych na zagładę biedaków, ludzi łatwowiernych i zaplątanych we własną tradycję. Uważali, że polerowany marmur zdoła zatrzymać zarazę, ponieważ ta zaraza była tylko histerią szerzącą się wśród dzikusów.

Kiedy szaleństwo wpadnie pomiędzy te kolumny, pomyślała Kathleen, ci ludzie nie będą nawet wiedzieli, co ich spotkało.

Potem, niemal z okrucieństwem, pomyślała jeszcze: *Dobrze im tak.*

– Proszę pani! *Xiǎo gūniáng!*

Kathleen odwróciła się ze wzbierającą w sercu nadzieją, że jeden z bankierów wyszedł za nią, żeby powiedzieć, że coś sobie przypomniał. Zobaczyła jednak starszą kobietę z gęstymi siwymi włosami, która powłócząc nogami, podeszła bliżej. Obiema rękami ścisnęła dużą torebkę.

– Słucham? – zapytała Kathleen.

Kobieta zatrzymała się przed nią i przesunęła wzrokiem po jodełkowym wisiorku. Kathleen poczuła gęsią skórę na ramionach. Oparła się pokusie, żeby poprawić włosy.

– Słyszałam, że pani pytała – kobieta pochyliła się i zaczęła mówić konspiracyjnym szeptem – o potwora.

Kathleen skrzywiła się lekko i odetchnęła, żeby pozbyć się gęsiej skóry.

– Przykro mi – powiedziała. – Ja także niczego nie wiem...

– O, ale ja wiem – przerwała jej kobieta. – Nie dowie się pani niczego od tych bankierów. Oni rzadko kiedy podnoszą głowy znad swoich ksiąg i biurka. Ale ja byłam tutaj trzy dni temu. Widziałam go.

– Pani... – Kathleen obejrzała się przez ramię, a potem nachyliła i także zniżyła głos. – Widziała go pani tutaj? Na własne oczy?

Kobieta skinęła na Kathleen, żeby za nią poszła, więc Kathleen posłuchała, rozglądając się na wszystkie strony, zanim przeszła przez ulicę. Stały nad wodą, niedaleko pomostów wcinających się w rzekę. Starsza kobieta zatrzymała się i położyła torebkę na ziemi, żeby móc gestykulować obiema rękami.

– Właśnie tutaj – powiedziała. – Wychodziłam z banku z moim synem, kochany chłopak, ale kompletny *bèndàn*, jeśli chodzi o pieniądze. On poszedł po riksę, a ja czekałam tutaj, na brzegu, i wtedy z tamtej ulicy – wskazała machnięciem ręki jedną z ulic prowadzących w głąb miasta – wybiegło... to coś.

– To coś – powtórzyła Kathleen. – Chodzi pani o potwora?

– Tak... – urwała. Zaczęła swoją opowieść z werwą i energią, jaką odczuwają osoby, które znalazły zafascynowanych ich słowami słuchaczy. Teraz to uczucie osłabło, a kobieta nagle przypominała sobie, co tak naprawdę widziała. – Potwora. Straszliwą, nieumarłą istotę.

– Jest pani pewna? – naciskała Kathleen. Z jednej strony chciała jak najszybciej biec do domu z tą informacją i powtórzyć ją Juliette, żeby kuzynka mogła zgromadzić i wysłać do boju siły Szkarłatnych. Z drugiej, rozsądniejszej strony, wiedziała, że to za mało. Potrzebowały czegoś więcej. – Jest pani pewna, że to był potwór, a nie cień albo...

– Jestem pewna – oznajmiła stanowczo kobieta. – Jestem pewna, ponieważ rybak cumujący swoją łódź, próbował do tego strzelać, kiedy biegło tamtym pomostem. – Wskazała pomost wcinający się w szeroką rzekę, obecnie przepełniony ludźmi z przycumowanych łodzi. – Jestem pewna, ponieważ kule tylko odbiły się od grzbietu tego czegoś i spadły na ziemię, jakby to nie było zwykłe stworzenie na dwóch nogach, ale bóg. To był potwór. Jestem tego pewna.

– I co się stało? – zapytała szeptem Kathleen. Zimny dreszcz przeszedł po jej szyi i ramionach. Nie wydawało się, żeby to była wina wiatru, ale czegoś upiorniejszego. – Co się stało potem?

Kobieta zamruwała. Tak jakby obudziła się z lekkiego oszołomienia, jakby nie zauważyła, do jakiego stopnia zagłębiła się w swoim wspomnieniu.

– No cóż, widzi pani... – odparła, marszcząc brwi. – Oczy nie służą mi już tak jak dawniej. Zobaczyłam, że to stworzenie wskakuje do wody, a potem...

Kathleen pochyliła się do niej.

– A potem?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Nie jestem do końca pewna. Wydawało mi się, że słyszę chrobotanie. Wyglądało, jakby ta ciemność tam – wskazała – zaczęła się poruszać. Jakby maleńkie istoty wskakiwały w tę ciemność. – Znowu potrząsnęła głową, tym razem energiczniej. To niewiele pomogło, ponieważ z jej głosu zniknął cały początkowy zapach. – Syn wrócił wtedy z riksą. Powiedziałam mu, żeby poszedł sprawdzić, bo wydawało mi się, że widziałam w wodzie potwora. Wybiegł na pomost, żeby go złapać.

Kathleen zachłysnęła się.

– I... udało mu się?

– Nie. – Kobieta zmarszczyła brwi i spojrzała na rzekę Huangpu. – Powiedział, że gadam bzdury i że widział tylko pływającego człowieka. Był przekonany, że widziałam po prostu rybaka, który wypadł z łodzi.

Człowiek. Jak człowiek mógł być w wodzie, w której ukrył się potwór? Jak udało mu się przeżyć?

Chyba że...

Starsza kobieta wzdrygnęła się, z ciężkim westchnieniem pochyliła się, żeby podnieść torbę, ale zamiast tego, jakby nagle sobie o czymś przypomniała, ścisnęła mocno dłoń Kathleen.

– Znam panią ze Szkarłatnego Gangu – powiedziała cicho. – W wodach tego miasta coś budzi się do życia. Tak jak i w wielu miejscach, których nie możemy zobaczyć. – Palce starszej pani zaciskały się, aż dłoń Kathleen zaczęła drętwieć z powodu odcięcia dopływu krwi. – Proszę – wyszeptała kobieta. – Ochronicie nas.

ROZDZIAŁ 15

Kilka dni później myśli Juliette zaprzętało niemal wyłącznie szaleństwo. Niemal przestała reagować na własne imię, nasłuchiwała tylko krzyków, a za każdym razem, gdy na ulicach rozbrzmiewał taki wrzask, wzdrygała się. Chciałaby coś z tym zrobić, cokolwiek.

Potwór, myślała Juliette, opierając się o balustradę schodów i czekając. Jej myśli krążyły bezustannie, bez chwili spokoju. *Istnieje potwór, który rozsiewa szaleństwo na ulicach Szanghaju.*

– Jesteś gotowa?! – zawołał z góry lord Cai. Przystanął na szczycie schodów, żeby poprawić kołnierz płaszcza.

Juliette zmusiła się, żeby wrócić do teraźniejszości. Westchnęła i obróciła w dłoniach niewielką kopertówkę.

– Tak jak zawsze.

Lord Cai zszedł po schodach i zatrzymał się przed córką, marszcząc brwi. Juliette spojrzała po sobie, żeby zgadnąć, co wywołało jego dezaprobatę. Miała na sobie jak zwykle amerykańską sukienkę, tym razem nieco bardziej elegancką, stosownie do okazji, z marszczonym tiulem na ramionach, który przechodził w rękawy. Czy dekolty był za głęboki? Czy – choć raz – była to ojcowska troska, która nie miała nic wspólnego z tym, czy Juliette w razie potrzeby umie zabić człowieka z zimną krwią?

– Gdzie twoja maseczka?

Prawie, prawie. Niech będzie.

– Ale po co? – westchnęła Juliette. – Ty nie nakładasz maski.

Lord Cai potarł oczy. Juliette nie była pewna, czy jest po prostu zmęczony przygotowaniami do spotkania z Francuzami, czy poirytowany jej dziecinny zachowaniem.

– Nie, ponieważ jestem pięćdziesięcioletnim mężczyzną – odparł. – Wyglądałbym w niej idiotycznie.

Juliette wzruszyła ramionami i podeszła do drzwi.

– Ty to powiedziałeś, nie ja.

Wieczór był chłodny, więc kiedy wyszli na podjazd, Juliette zadrżała lekko i potarła nagie ramiona. Trudno, było już za późno, żeby wracać po płaszczy. Z pomocą szofera wsiadła do samochodu i przesunęła się w głąb, żeby zrobić miejsce dla ojca. Wyruszyli ostatni, ci z rodziny Montagów, którzy postanowili wybrać się na bal maskowy, już odjechali. Juliette nie miała najmniejszej ochoty tam iść, więc czekała, aż lord Cai bez pośpiechu skończy swoją pracę. Uznał, że można ruszać, dopiero kiedy niebo stało się różowe, a płonące pomarańczem słońce dotknęło horyzontu.

Kiedy zajął miejsce, złożył dłonie na kolanach i spojrzał na Juliette. Na jego czole znowu pojawiła się zmarszczka. Tym razem przyglądał się naszyjnikowi otaczającemu ciasno jej szyję.

– To nie jest naszyjnik, prawda?

– Nie, *Bàba*.

– To garota, prawda?

– Prawda, *Bàba*.

– Ile jeszcze broni masz ukrytych przy sobie?

– Pięć, *Bàba*.

Lord Cai ścisnął palcami grzbiet nosa.

– *Wòde māyā*, miej nade mną litość – mruknął.

Juliette uśmiechnęła się, jakby usłyszała komplement.

Samochód ruszył i potoczył się gładko przez spokojne, podmiejskie drogi, a potem przez miasto, co trzy sekundy trąbiąc na robotników i riksarzy, żeby zeszli na bok. Juliette zwykle pilnowała się i nie wyglądała przez okno, aby uniknąć przypadkowego kontaktu wzrokowego i nie zachęcić jakiegoś żebraka do podejsia. Dzisiaj jednak z niewyjaśnionego powodu spojrzała na zewnątrz.

W samą porę, żeby zobaczyć kobietę zanoszącą się płaczem na chodniku i tulącą do siebie ciało.

Ciało było okaleczone, z pomazanymi czerwienią dłońmi i gardłem tak zmasakrowanym, że głowa trzymała się tylko na kręgosłupie. Płacząc, kobieta tuliła do siebie tę głowę i przyciskała policzek do śmiertelnie bladej twarzy.

Samochód pojechał dalej. Juliette zaczęła patrzeć przed siebie, na zamazane kształty widoczne za przednią szybą. Gwałtownie przełknęła ślinę.

Dlaczego to się dzieje?, zastanawiała się rozpaczliwie. *Czy to miasto popełniło tak okropne grzechy, że zasłużyliśmy na coś takiego?*

Odpowiedź brzmiała: tak. Ale to nie była wyłącznie ich wina. Chińczycy wprawdzie wykopali dół, napełnili go drewnem i zapalili zapałkę, ale to cudzoziemcy przyszli i zalali wszystko, co się dało, benzyną, aż Szanghaj zaczął pochłaniać niepohamowany pożar zepsucia.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił szofer, zatrzymując samochód.

Juliette wysiadła, zaciskając zęby. W Koncesji Francuskiej wszystko wydawało się odrobinę bardziej błyszczące, nawet trawa pod jej stopami. Ten ogród był zazwyczaj zamknięty, ale dzisiaj wszystkie bramy stały otworem. Kiedy Juliette weszła do środka, miała wrażenie, że wkracza do innego świata, odległego od brudnych ulic i stłoczonych zaułków, przez które przed chwilą jechała. Tu była tylko zieleń, pnąca i nieczyste zamiary. Niewielkie altanki czekały cierpliwie w urokliwych zakątkach, a pełzająca ciemność wyciągała cień wysokiego parkanu z kutego żelaza daleko na trawnik, aż stawał się dłuższy z każdą sekundą skąpanego we fioletach zachodu słońca.

Pomimo panującego chłodu Juliette pociła się lekko, spacerując w tłumie ludzi, którzy rozproszyli się po nienagannie utrzymanym ogrodzie. Jej pierwszym zadaniem na ten wieczór było ustalenie, gdzie znajdował się każdy z jej krewnych. Większość z nich udało jej się wypatrzeć bez trudu, spacerujących z innymi gośćmi i udzielających się towarzysko. Być może rzeczywiście trochę przesadziła, zabierając ze sobą tyle broni. Nóż przypięty w pochwie na plecach sprawiał, że sukienka stała się nieco za ciasna w talii i biały materiał na wysokości kolan podwijał się przy każdym kroku. Ale Juliette nie potrafiła się powstrzymać. Zabierając broń, mogła oszukiwać samą siebie, że gdyby stało się nieszczęście, byłaby w stanie podjąć działanie.

Starła się nie myśleć o tym, że są nieszczęścia, których nie da się odeprzeć nożem. Cudzoziemcy najwyraźniej niczym się nie przejmowali. Juliette podsłuchiwała więcej niż jeden żart z plotek o szaleństwie. Brytyjscy mężczyźni i francuskie kobiety trącali się kieliszkami i winszowali sobie inteligencji, dzięki której nie ulegli miejscowej hysterii. Zachowywali się, jakby to był ich wybór.

– Chodź, Juliette – odezwał się idący przed nią lord Cai. Poprawił rękawy.

Juliette posłusznie poszła za ojcem, ale nadal się rozglądała. W delikatnej marmurowej altanie kwartet grał elegancką muzykę, której dźwięki płynęły na trawnik, gdzie tańczyło kilku cudzoziemskich kupców z żonami. Było właściwie po równo Szkarłatnych gangsterów i cudzoziemców – kupców oraz urzędników – a niektórzy mieli nawet tyle śmiałości, aby wdawać się w rozmowy w zapadającym zmierzchu. Juliette zauważyła w jednej z grupek Tylera konwersującego z Francuzką. Kiedy zauważył kuzynkę, pomachał do niej z uśmiechem, a ona zacisnęła usta w wąską linię niezadowolenia.

W pobliżu sznur świateł owinięty wokół dachu altany rozpałił się z cichym sykiem. Złota aura zaczęła rozjaśniać ogród, odpierając ciemność, która zapanowałaby w momencie, kiedy słońce całkowicie schowa się w morzu.

– Juliette – ponaglił znowu lord Cai. Juliette zwolniła do ślimaczego tempa, nawet tego nie zauważając. Niechętnie przyspieszyła kroku. Zauważyła, że większość gości trzymała się w grupach z podobnymi sobie. Brytyjki, które przyjechały tutaj z pracującymi w dyplomacji mężami, żartowały między sobą, obracając pastelowe parasolki w osłoniętych koronkowymi rękawiczkami dłoniach. Francuscy oficerowie klepali się po plecach i zanosili śmiechem z powodu jakiegoś niezabawnego żartu opowiedzianego przez jednego z przełożonych. Ale w różnych częściach ogrodu stało trzech samotnych gości, którzy wydawali się nie na miejscu, chociaż z całej siły starali się wyglądać, jakby byli zajęci czymś konkretnym.

Juliette zatrzymała się znowu. Przechyliła głowę, żeby spojrzeć uważniej na jednego z nich, który starannie przyglądał się zawartości trzymanego talerza.

– *Bàba*, czy ten chłopak nie wygląda na Koreańczyka?

Lord Cai nawet nie spojrział w tamtą stronę. Położył dłoń na ramieniu córki i popchnął ją lekko w odpowiednim kierunku.

– Skoncentruj się, Juliette.

To polecenie nie było potrzebne. Juliette nie musiała się koncentrować, kiedy podeszli do konsula generalnego Francji, ponieważ gdy mężczyźni rozmawiali, ona stawała się po prostu elementem tła. Znaczyła niewiele więcej niż dekoracja. Nieuważnie słuchała głównej rozmowy, nie zapamiętała nawet nazwiska konsula. Jej uwaga skupiła się na dwóch mężczyznach, którzy stali za nim na baczność.

– Może pójdziemy potem coś przekąsić? – szepnął jeden z nich do drugiego po francusku. – Jedzenie tutaj jest okropne. Za bardzo starają się pochlebić gustom tego mdłego kraju za rowem.

– Czytasz mi w myślach – odparł drugi równie cicho. – Popatrz tylko na nich. Banda prymitywnych wieśniaków.

Juliette zeszywniała, ale wzmianka o rowie świadczyła jasno, że mężczyźni mówili o Brytyjczykach, a nie o Szkarłatnym Gangu.

– Popijają swoją herbatę i udają, że ją wynaleźli – ciągnął drugi mężczyzna. – Wolne żarty. Chińczycy parzyli herbatę, zanim oni doczekali się pierwszego króla.

Juliette parsknęła z rozbawienia – pozbawiona znaczenia małostkowość tej rozmowy kompletnie ją zaskoczyła – ale zaraz zakasłała, aby zamaskować ten dźwięk. Lord Cai nie musiał się niczym martwić, przyprowadzenie jej tutaj było niepotrzebnym środkiem nadmiernej ostrożności. Zaczęła znowu słuchać rozmowy, którą prowadził jej ojciec.

– Zachowują ostrożność, milordzie – mówił konsul generalny. Juliette domyśliła się, że mowa o francuskich przedsiębiorcach. – *Garde municipale* dba o bezpieczeństwo w Koncesji Francuskiej, ale gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, chciałbym mieć pewność, że mogę liczyć na wsparcie Szkarłatnego Gangu.

Francuzi potrzebowali sposobu na zachowanie wpływów w Szanghaju na wypadek, gdyby zwyczajni Chińczycy, nisko opłacani robotnicy, doszli do wniosku, że komunizm to najlepsze rozwiązanie, i wszczęli rewolucję. Uznali, że najlepiej będzie wykorzystać do tego broń i zasoby Szkarłatnego Gangu. Nie do końca rozumieli, że gdyby wybuchła rewolucja, w Szanghaju nie pozostanie nikt, z kim mogliby robić interesy.

Lord Cai nie powiedział oczywiście ani słowa na ten temat. Zgodził się bez oporów, pod warunkiem że Szkarłatny Gang nadal będzie mógł załatwiać swoje sprawy w Koncesji Francuskiej. Konsul generalny Francji spróbował włączyć do swojej angielszczyzny frazy amerykańskie:

– Ależ oczywiście, przyjacielu! To się rozumie samo przez się! – zawołał.

Lord Cai i konsul uścisnęli sobie ręce i wydawało się, że wszystko zostało ustalone.

Juliette pomyślała, że całe to spotkanie jest teatralne i absurdalne. Uważała za niedorzeczne, że jej ojciec, żeby prowadzić interesy na ziemi, na której żyli i umierali jego przodkowie, musi prosić o pozwolenie ludzi, którzy po prostu przycumowali tutaj swoje statki i uznali, że mają ochotę teraz rządzić.

Konsul generalny Francji, jakby mógł wyczuć wrogie myśli Juliette, w końcu zwrócił na nią uwagę.

– A jak się pani miewa, panno Juliette?

Juliette uśmiechnęła się szeroko.

– Nie powinien pan decydować w tej sprawie – odezwała się, zanim ojciec zdążył ją powstrzymać. Jej słowa ociekały taką słodyczą, że wydawały się wyrazem podziwu. – Jakkolwiek niedoskonalibyśmy byli, ile byśmy walczyli pomiędzy sobą, w tym kraju nie powinni rządzić ludzie tacy jak pan.

Uśmiech konsula generalnego zbladł, ale tylko odrobinę, ponieważ nie było do końca jasne, czy Juliette chce wbić mu szpilę, czy też wygłasza tylko niewinną uwagę. Jej słowa były ostre, ale jednocześnie patrzyła na niego przyjaźnie i składała dłonie, jakby rozmawiała o pogodzie.

– Życzę miłego wieczoru – wtrącił lord Cai, zanim któryś z Francuzów zdołał sformułować odpowiedź. Stanowczo odprowadził Juliette, trzymając ją pewnym chwytem za ramiona. – Juliette – syknął, kiedy tylko znaleźli się nieco dalej. – Nie sądziłem, że będę musiał cię tego uczyć, ale nie możesz mówić takich rzeczy do wpływowych ludzi. To może doprowadzić do twojej śmierci.

Juliette strząsnęła dłonie ojca z ramion.

– Na pewno nie – sprzeciwiła się. – Jest wpływowy, ale nie ma takiej władzy, żeby mnie zabić.

– Niech będzie – odparł stanowczo lord Cai. – Może nie móc cię zabić...

– W takim razie, dlaczego mam się liczyć ze słowami?

Jej ojciec westchnął. Zacerpnął powietrza i wypuścił je powoli, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ponieważ w ten sposób ranisz jego dumę, Juliette – oznajmił w końcu.

Juliette splotła ramiona.

– Mamy milczeć, kiedy dzieją się rzeczy niesprawiedliwe, tylko dlatego, że to zraniłoby jego uczucia?

Lord Cai potrząsnął głową. Ujął córkę za łokieć i odprowadził jeszcze dalej na bok, a potem obejrzał się bez pośpiechu przez ramię. Kiedy znaleźli się w pobliżu jednej z altanek, puścił Juliette i splótł dłonie za plecami.

– W obecnych czasach, Juliette – odezwał się cicho i ostrożnie – najbardziej niebezpieczni są wpływowi biali, którzy poczuli się urażeni.

Juliette wiedziała o tym znacznie lepiej niż jej ojciec i matka, którzy widzieli tylko, do czego zdolni są cudzoziemcy, którzy przyłączyli się do przyglądania się witrynie każdego lokalu, zanim weszła do środka, w poszukiwaniu tabliczek informujących, że ma tam wstęp wzbroniony. Nauczyła się ustępować z drogi, kiedy biała dama na wysokich obcasach i z perłami na szyi szła środkiem chodnika. Nauczyła się udawać pokorę i spuszczać wzrok, żeby mąż białej damy nie zauważył, że Juliette leciutko przewraca oczami i nie zaczął wrzeszczeć, dopytując się, co robi w tym kraju i z czym ma problem.

Nie musiała niczego robić, żeby kogoś urazić. To tych ludzi napędzało poczucie własnej ważności. Właśnie ono sprawiało, że ich żony przysuwały tylko delikatnie chusteczki do nosów i wachały je, całkowicie przekonane, że cała ta absurdalna tyrada jest uzasadniona. Uważali siebie za władców świata: na skradzionej ziemi w Ameryce, na skradzionej ziemi w Szanghaju.

Wszędzie, dokądkolwiek by się udali, towarzyszyło im poczucie ważności.

Juliette była tym naprawdę zmęczona.

– Każdemu może się zdarzyć, że jego duma zostanie zraniona – powiedziała z goryczą. – Skoro tu jest, to może tego raz w życiu doświadczyć. Nie zasłużył na te wpływy. Nie ma do nich prawa.

– Wiem – odparł po prostu lord Cai. – Całe Chiny o tym wiedzą. Ale tak teraz działa świat. Dopóki konsul ma wpływy, my go potrzebujemy. Jak długo on ma większość broni, będzie mieć wpływy.

– My przecież też mamy broń – burknęła Juliette. – W końcu przez ostatni wiek trzymaliśmy Szanghaj żelazną ręką dzięki naszej broni.

– Dawniej to wystarczało – odparł lord Cai. – Teraz już nie.

Francuzi ich potrzebowali, ale Szkarłatny Gang nie potrzebował Francuzów w takim samym stopniu. Ojciec Juliette miał na myśli to, że potrzebowali francuskich wpływów i musieli dbać o przychylność obcych. Gdyby Szkarłatny Gang wypowiedział Francuzom wojnę i zaanektował ich Koncesję jako część terytorium chińskiego, zostałby zniszczony w ciągu kilku godzin. Lojalność i hierarchia w gangu nic nie znaczą przeciwko okrętom wojennym i torpedom. Dowiodły tego wojny opiumowe.

Juliette wydała pomruk pełen odrazy, ale surowe spojrzenie ojca sprawiło, że westchnęła i postanowiła wrócić do ważniejszych tematów.

– Nieważne. Ci ludzie nie mówili niczego istotnego.

Lord Cai skinął głową.

– Doskonale się składa. To oznacza mniej kłopotów dla nas. Teraz możesz już włączyć się w zabawę.

– Dobrze – potaknęła Juliette. W praktyce zamierzała wziąć sobie coś do jedzenia i wyjść. Zobaczyła Paula Dextera, który minął bramę i rozglądał się w tłumie. – Schowam się... – Odkaslnęła. – Przepraszam, odpocznę trochę za tamtym drzewem.

Niestety, chociaż ruszyła przed siebie szybkim krokiem, okazała się nie dość szybka.

– Panno Cai, cóż za przemiła niespodzianka.

Juliette podeszła do stołu z przekąskami, odłożyła torebkę i stanowczym ruchem sięgnęła po tartinkę z jajkiem. Ugryzła mały kawałek, zanim stanęła twarzą w twarz z ludzkim odpowiednikiem czerstwego chleba.

– Jak się pani miewa? – zapytał Paul. Splótł dłonie za plecami, naciągając niebieskie rękawy szytego na miarę smokingu. On także nie nałożył maski. Spoglądał na nią swobodnie zielonymi oczami, w których odbijały się złote światła.

Juliette wzruszyła ramionami.

– W porządku.

– To doskonale, doskonale – ucieszył się Paul. Nie wiedziała, dlaczego z takim entuzjazmem potraktował jej chłodną odpowiedź. – Pozwolę sobie stwierdzić, że...

– Czego pan chce ode mnie? – przerwała mu Juliette. – Powiedziałam już, że nie zamierzamy robić z panem interesów.

Niezniechęcony Paul tylko się rozpromienił i ujął Juliette pod ramię, aby odprowadzić ją od stołu. Przez moment zaczęła się zastanawiać, czy go nie zastrzelić, ale ponieważ znajdowała się na przyjęciu wśród setek bogatych cudzoziemców, uznała, że to prawdopodobnie nie byłby najlepszy pomysł. Napięła mięśnie ramienia, jednak poszła z Paulem.

– Chcę tylko porozmawiać – wyjaśnił. – Złożyliśmy naszą propozycję innym partnerom. Proszę się nie martwić. Nie zamierzam więcej niepokoić Szkarłatnego Gangu.

Juliette uśmiechnęła się najbardziej uroczo, jak w tej chwili potrafiła, i mocno zacisnęła zęby.

– Skoro tak, to czemu zawraca pan sobie głowę moją osobą?

Paul uśmiechnął się równie uroczo i, jak się wydawało, szczerze.

– Być może zależy mi na uczuciu pięknej dziewczyny.

Obrzydlistwo. Mogłaby postawić oszczędności całego życia, że uważał ją za piękną tylko dlatego, że pasowała do zachodnich standardów. Jej kobieca uroda była tak samo ulotna jak koncept władzy. Gdyby się opaliła, przybrała trochę na wadze lub postarzała o kilka dekad, uliczni artyści nie rysowaliby jej twarzy na reklamach swoich kremów. Chińskie i zachodnie standardy były tak samo arbitralne i żalosne. Mimo to Juliette musiała panować nad swoim wyglądem i zmuszać się do przestrzegania tych standardów, jeśli chciała, żeby ludzie ją podziwiali. Gdyby nie jej uroda, miasto zwróciłoby się przeciwko niej. Stwierdzono by, że nie zasługuje na to, aby być tak wszechwładna, jak jest. Natomiast mężczyźni mogli być opaleni, grubi i starzy, jeśli tylko chcieli. Ich wygląd nie miał związku z tym, jak ich postrzegano.

Juliette wysunęła rękę z uścisku Paula i odwróciła się, żeby wrócić do poczęstunku.

– Dziękuję bardzo, ale moich uczuć nie zdobywa się tak prozaicznie.

To była najbardziej stanowcza odprawa, jaka wchodziła w grę. Juliette miała nadzieję, że została sama, więc sięgnęła po drinka. Jednakże Paul był uparty. Znowu usłyszała za plecami jego głos.

– Jak się miewa pani ojciec?

– Bardzo dobrze – odparła Juliette, z trudem powściągając irytację, aby nie była słyszalna w jej głosie. Ze względu na towarzyskie konwenanse zapytała lekko: – A pański?

Juliette była królową towarzystwa. Bez wątpienia miała dużą praktykę. Gdy tylko chciała, potrafiła zmienić leciutki, uprzejmy uśmiech w wyraz twarzy promienny jak słońce. Jednak nie przypuszczała, że mogłaby uzyskać od Paula jakiegokolwiek informacji, więc nawiązywanie z nim kontaktów towarzyskich wydawało się bezcelowe.

Być może Paul wiedział o tym, a być może był sprytniejszy, niż Juliette chciałaby przyznać. Ale zdołał jednak zauważyć irytację w jej postukujących o kieliszek palcach, niezadowolenie w pochyleniu jej głowy.

Dlatego postanowił być przydatny.

– Mój ojciec i ja zaczęliśmy pracować dla Larkspura – oznajmił. – Czy słyszała pani o nim?

Larkspur. Palce Juliette znieruchomiały w powietrzu. *Lā-gespu. Larkspur*. To właśnie próbował powiedzieć staruch w Chenghuangmiao. Pojedynczego wariata krzyczącego coś o tajemniczej osobie, która dała mu lekarstwo na szaleństwo, należało zignorować. Druga wzmianka o tym samym tajemniczym człowieku w ciągu kilku dni była zastanawiająca. Juliette spojrzała w końcu na stojącego przed nią brytyjskiego młodzieńca i tym razem nie oderwała od niego natychmiast wzroku.

– Coś tam słyszałam – odparła wymijająco. Przechyliła głowę. – Czym takim się pan zajmuje?

– Głównie pomagam w tym i owym.

Teraz Paul mówił wymijająco i doskonale o tym wiedział. Juliette przyglądała się jego leciutkiemu uśmieszkowi, ściągniętym brwiom, i czytała w nim jak w otwartej księdze. Liczył, że zwróci jej uwagę znajomością z Larkspurem, ale nie wolno mu było udzielać odpowiedzi. Mógł sugerować, że wie wiele rzeczy, ale nie mógł się niczym dzielić w charakterze plotek.

– Tym i owym? – powtórzyła Juliette. – To nie brzmi, jakby miał pan wiele do roboty.

– Och, myli się pani. – Paul wypiął dumnie pierś. – Larkspur opracował szczepionkę chroniącą przed szaleństwem. Kupcy zgłaszają się do niego tłumnie, a organizacja produkcji na taką skalę wymaga całej armii robotników.

– Musi pan w takim razie doskonale zarabiać. – Juliette spojrzała na złoty łańcuszek od zegarka widoczny w jednej z dziurek kamizelki.

– Larkspur ma pieniędzy jak lodu – przyznał Paul.

Czy ten Larkspur zarabia na panice wywołanej przez szaleństwo?, zastanawiała się Juliette. *A może naprawdę ma szczepionkę, która jest warta pieniędzy tych wszystkich kupców?*

Juliette mogłaby to powiedzieć na głos, ale Paul wydawał się zbyt zadowolony z siebie, aby udzielić jej prawdziwej odpowiedzi. Zapytała tylko wprost:

– Czy ten Larkspur ma jakieś nazwisko?

Paul wzruszył ramionami.

– Jeśli ma, ja go nie znam. Gdyby pani chciała, mógłbym umówić panią na spotkanie z nim.

Juliette, słysząc to, wyprostowała się i spojrzała na niego spod uczerzonymi rzęs. Czekwała, żeby się dowiedzieć, na czym polega haczyk.

– Chociaż muszę przyznać – dodał Paul przeprasząco – że nie stoję jeszcze szczególnie wysoko w hierarchii. Musiałaby pani trochę poczekać, dopóki nie awansuję...

Juliette z trudem powstrzymała się od przewrócenia oczami. Paul nadal coś paplał, ale ona przestała go słuchać. Upajał się tylko wyimaginowaną władzą. Nie potrafił być dla niej przydatny.

– *Excusez-moi, mademoiselle*.

Paul umilkł w pół słowa, słysząc głos za plecami Juliette, co dało jej kilka sekund cudownego odpoczynku od jego trajkotania. W myślach podziękowała francuskiemu intruzowi, ale zapomniała o podziękowaniach, kiedy tylko odwróciła się i zobaczyła zamaskowanego blondyna stojącego koło nich.

A niech to piekło pochłonie.

– *Voulez-vous danser?*

Juliette czuła, że żyłki na jej czole zaczynają niebezpiecznie pulsować w rytm złości, ale wykorzystwała tę okazję do ucieczki.

– *Bien sûr* – odparła krótko. – *À plus tard*, Paul.

Chwyciła Romę za rękaw i pociągnęła go za sobą, zaciskając palce tak mocno, że jej prawa dłoń zaczęła drętwieć. Czy myślał, że ona go nie rozpozna tylko dlatego, że założył blond perukę i maskę?

– Czy tobie życie obrzydło? – syknęła Juliette, przerzucając się na angielski, kiedy tylko byli przy ludziach. Zauważyła jednak, że znajdują się wśród brytyjskich urzędników i kupców, więc zniżyła się do użycia rosyjskiego. – Powinna cię zabić na miejscu. Cóż za bezczelność!

– Nie ośmieliłabyś się – odparł Roma szybko i ostro, także po rosyjsku. – Czy pozwoliłabyś, żeby ci wszyscy cudzoziemcy uznali Szkarłatny Gang za brutalnych barbarzyńców, tylko po to, żeby się mnie pozbyć? To za wysoka cena.

– Ja... – Juliette zacisnęła wargi, przełykając słowa, które pchały się jej na język. Zatrzymali się pośrodku przestrzeni do tańca, pomiędzy parami, których cały czas przybywało, ponieważ zaczęła się nowa melodia. Kwartet szybciej poruszał teraz smyczkami, muzyka była żywsza, a jej rytm kuszący. Roma miał rację. Juliette nie ośmieliłaby się tego zrobić, ale myśl o cudzoziemcach w ogóle nie przyszła jej do głowy. Nie ośmieliłaby się tego zrobić, ponieważ cokolwiek by nie mówiła, nadal nie potrafiła oddzielić nienawiści kotłującej się w jej wnętrzu od nagłego przyływu adrenaliny spowodowanego jego bliskością. Skoro jej ciało nie zamierzało zapomnieć, kim kiedyś był dla niej Roma, jak miała zmusić się do tego, by go zniszczyć?

– Grosik za twoje myśli.

Roma znowu przeszedł na angielski, a Juliette szybko podniosła wzrok. Ich oczy się spotkały. Po grzbietach jej dłoni przebiegło drżenie. Ich bezruch pomiędzy tyłoma szumiącymi sukniami powoli zaczął zwracać uwagę. Juliette zastanawiała się, jak doskonale Roma unikał zwracania na siebie uwagi wszędzie, gdziekolwiek się pojawił.

– Wątpię, żebyś miał chociaż grosz przy duszy – odparła w końcu. Niechętnie zrobiła krok do przodu i uniosła rękę. Roma zrobił to samo. Nie musieli się porozumiewać, aby poruszać się synchronicznie. Oboje zawsze potrafili przewidzieć, co drugie robi za chwilę.

– Zaiste, ale mam mnóstwo banknotów. Czy dostałbym za nie więcej myśli?

Muzyka zabrzmiała głośniej, zachęcając wszystkie pary wokół do poruszania się ze zdwojoną energią. Roma i Juliette krążyli wokół siebie, wyciągając ręce, ale nie dotykając się. Zachowywali odległość w tańcu, i unikali kontaktu, aby nie było widać, że są dla siebie kimś więcej niż na to wyglądało.

– Co ty tutaj robisz? – wycedziła Juliette. Nie miała siły podtrzymać trywialnej konwersacji. Jego bliskość sprawiała, że trudno jej było utrzymać oddech pod kontrolą, trudno jej było powściągnąć drżenie, które zagrażało jej wyciągniętej dłoni. – Zakładam, że nie ryzykujesz życia, żeby trochę potać się.

– Nie – odparł spokojnie Roma. – Przysłał mnie ojciec. – Umilkł na chwilę. Dopiero teraz mogło się wydawać, że ma trudności z dobraniem kolejnych słów. – Chciałby zaproponować współpracę Szkarłatnego Gangu i Białych Kwiatów.

Juliette omal nie roześmiała mu się w nos. Obawiała się rosnącej liczby zmarłych z powodu szaleństwa – owszem, bała się ogniska choroby we własnym domu, tym razem obejmującego tych, którzy byli z nią spokrewnieni, których dobrze знаła i którzy byli jej bliscy. Ale to się jeszcze nie wydarzyło i nie wydarzy się, jeśli Juliette będzie działać dostatecznie szybko – sama. Nieważne, o ile skuteczniej działałyby dwa współpracujące gangi, łącząc podzielone miasto w całość – nic nie skłaniało jej do przyjęcia propozycji Romy. On wydawał się mieć na ten temat podobne zdanie.

Bo słowa padające z jego ust to jedno, a wyraz jego twarzy mówił coś innego. Roma także nie był przekonany do współpracy. Nawet jeśli wspólne działania pozwoliłyby połączyć ich terytoria, i doprowadziły do czasowego zawieszenia broni w wojnie gangów, to nie wystarczało. To było zbyt mało, żeby zapomnieć o nienawiści i krwi, żeby wytłumić furie, którą Juliette pielęgnowała w swoim sercu przez cztery lata.

Poza tym dlaczego ktoś taki jak lord Montagow miałby proponować sojusz? Ten człowiek był najbardziej ze wszystkich przepełniony nienawiścią. Juliette mogła dojść tylko do jednego, najbardziej prawdopodobnego wniosku: wystawiał ich na próbę. Gdyby Szkarłatny Gang wyraził zgodę na propozycję, lord Montagow zorientowałby się, jak bardzo są zdesperowani. Białym Kwiatom nie chodziło tak naprawdę o współpracę. Chcieli tylko wiedzieć, jak bardzo ucierpiał Szkarłatny Gang, aby wykorzystać tę informację i uderzyć jeszcze mocniej.

– Nigdy – syknęła Juliette. – Biegnij do domu i powiedz swojemu ojcu, że może się udławić.

Okręciła się na pięcie, żeby przerwać ich udawany taniec, ale w tym momencie zabrzmiał walc, a Roma chwycił ją za rękę i przyciągnął z powrotem, aż jej druga dłoń spoczęła na jego ramieniu, a jego ręka objęła ją w talii. Zanim Juliette zdążyła coś na to poradzić, Roma ustawił ją w odpowiedniej pozycji, pierś przy piersi, i zaczęli tańczyć.

Miała wrażenie, że jej ruchami kieruje jakiś przymus. Przez moment pozwoliła sobie uwierzyć, że znowu ma piętnaście lat i wiruje na dachu, na którym lubili się ukrywać, do rytmu jazzowej melodii dobiegającej z klubu poniżej. Wspomnienia atakowały niczym krwiożercze bestie, gdy tylko wyczuły coś, czym mogłyby się pożywić.

Nienawidziła siebie za odruchowe oparcie się na jego ramieniu. I za to, że jej ciało pozwalało mu się prowadzić bez żadnego oporu. Dawniej byli nie do zatrzymania. Kiedy byli razem, nigdy się nie bali. Ani wtedy, kiedy chowali się na zapleczu hałaśliwego klubu i grali w karty, ani wtedy, kiedy postanowili zakraść się do każdego prywatnego ogrodu w Szanghaju. Roma trzymał pod pachą butelkę czegoś, co Juliette zdołała wykraść z barku z alkoholem, i oboje śmiali się jak para dzieciaków.

To wszystko było zbyt znajome. Ręka Romy na jej talii, jego dłoń podtrzymująca jej dłoń – w jego dłoniach było tyle gracji, ale Juliette wiedziała jak nikt inny, że są przesiąknięte krwią, która wżarła się w opuszki palców. Linie na jego dłoniach mogły przypominać święte teksty, ale w rzeczywistości mówiły tylko o grzechu.

– To niestosowne – oznajmiła.

– Nie dajesz mi wyboru – odparł Roma. Jego głos był lekko zduszony. – Potrzebuję twojej współpracy.

Muzyka zabrzmiała ostrzej i przyspieszyła, a Roma zakręcił Juliette, aż jej sukienka zafurkotała do rytmu. Juliette poczuła nagły przypływ stanowczości. Nie pozwoliła Romie dłużej prowadzić. Pomimo ich ustawienia, ruchów i kroków, kąta, który tworzyły ich dłonie – choć sam walc dyktował jej, że ma być podporządkowaną partnerką – Juliette zaczęła decydować, dokąd mają iść.

– Dlaczego w takim razie nie zatańczysz z moim ojcem? – zapytała i odetchnęła głęboko po następnym obrocie. – To on ma decydujący głos w gangu.

Roma także walczył. Zaciskał dłoń na jej dłoni, a jego palce wpijały się w jej talię, jakby starał się zostawić ich odciski na jej sukience. Gdyby słyszała tylko jego głos, nie domyśliłaby się, pod jaką znajduje się presją. Mówił spokojnie i swobodnie:

– Obawiam się, że twój ojciec strzeliłby mi w łeb.

– O, ale nie obawiasz się, że ja to zrobię? Najwyraźniej moja reputacja nie jest jeszcze dostatecznie ugruntowana.

– Juliette – powiedział Roma. – Ty masz władzę.

Muzyka nagle się urwała.

Oni także zamarli: patrząc sobie w oczy, patrząc sobie w serca. Pary wokół zaczęły się rozchodzić wśród śmiechów, partnerzy zmieniali się przed następną melodią, ale Roma i Juliette po prostu stali, a ich piersi unosiły się i opadały w ciężkim oddechu, jakby przed chwilą uczestniczyli w bójce, a nie tańczyli walca.

Cofnij się, powiedziała sobie Juliette.

Odczuwała teraz niemal fizyczny ból. Lata, które spędzili osobno, przemieniły ich w potwory o ludzkich twarzach – nie do poznania, gdyby ktoś chciał ich porównać ze starymi zdjęciami. A jednak, choć tak bardzo chciała zapomnieć, miała wrażenie, że wszystko wydarzyło się przed chwilą. Patrzyła na Romę i nadal pamiętała to okropne uczucie, kiedy rozległa się eksplozja: ucisk w gardle, a po chwili wybuch łez, aż musiała oprzeć się o ścianę domu i powstrzymać krzyk dłońmi w jedwabnej rękawiczce.

– Musisz się nad tym zastanowić – powiedział Roma cicho, jakby każdy głośniejszy dźwięk mógł rozbić otaczającą ich bańkę, roztrzaskać to dziwne uczucie, które uporczywie wyrывało się na powierzchnię. – Daję ci słowo, że to nie jest zasadzka. Trzeba zapobiec wybuchowi chaosu na ulicach. Za wszelką cenę.

Kiedys, dawno temu, na zapleczu biblioteki, kiedy na dworze szalała burza, Juliette zapytała:

– Czy wyobrażałeś sobie kiedyś, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś nosił inne nazwisko?

– Cały czas. A ty nie?

Juliette musiała się zastanowić.

– Tylko czasami. Wtedy myślę o tym wszystkim, co bym straciła. Czym bym była, gdybym nie należała do rodziny Cai?

Roma podparł się na łokciu.

– Mogłabyś należeć do rodziny Montagowów.

– Nie mów bzdur.

– Niech będzie. – Roma pochylił się na tyle blisko, że widziała ogniki w jego ciemnych tęczówkach, a w jego oczach dostrzegła odbicie własnej zarumienionej twarzy. – A może moglibyśmy wymazać oba nasze nazwiska i zapomnieć o tych idiotycznych rodzinach Cai i Montagow.

Teraz pragnęła wyszarpnąć to wspomnienie i splunąć nim jak śliną prosto w twarz Romy.

Dajesz słowo. Ale zawsze byłeś kłamcą.

Otworzyła usta, a słowa, którymi zamierzała odmówić, zatrzymały się na czubku jej języka. Kątem oka dostrzegła z boku błyskawiczny ruch i poblądła, zaciskając z całej siły zęby.

Roma zamarł, kiedy poczuł lufę pistoletu, który Tyler przystawił mu do głowy.

– Juliette – odezwał się Tyler. Luźne rękawy jego koszuli poruszały się na lekkim wietrze, ale dłonie były całkowicie nieruchome, bez najmniejszego drżenia trzymały rękojeść broni. – Odsuń się.

Juliette szybko przesunęła wzrokiem po otaczających ich cudzoziemcach, otwierających szeroko oczy ze zdumienia i wzdychających z powodu takiego skandalu.

Musiała rozładować sytuację, i to natychmiast.

– Co w ciebie wstąpiło? – zapytała gniewnie, udając oburzenie, i zrobiła krok do tyłu.

Tyler zmarszczył brwi.

– Co...

– Odłóż pistolet i przeproś tego miłego francuskiego młodzieńca – ciągnęła Juliette. Położyła dłonie na biodrach, jakby była zgryźliwą ciotką Tylera, a nie dziewczyną, której serce próbowało wyrwać się z klatki piersiowej.

Wściekłość malująca się na twarzy Tylera ustąpiła miejsca zaskoczeniu, ale zaraz powróciła. Zaczynał jej słuchać. To działało.

– Tyler! – zawołał z dystansu lord Cai. – Schowaj pistolet. Już.

– To jest Roma Montagow – warknął Tyler. Brytyjska para stojąca obok zachłysnęła się ze zdumienia. – Wiem o tym. Poznałem go po głosie.

– Nie kompromituj nas swoim zachowaniem – ostrzegła półgłosem Juliette.

Tyler w odpowiedzi mocniej przycisnął lufę do szyi Romy.

– Nie będę tolerować Montagowa paradującego po moim terytorium. Taka bezczelność...

W tym momencie z cienia wyłoniły się dwie postaci z pistoletami wycelowanymi w Tylera, co sprawiło, że umilkł w pół zdania. Benedikt Montagow i Marshall Seo nawet nie zwracali sobie głowy przebraniami. To z winy Szkarłatnego Gangu nie zostali rozpoznani. Ostatecznie Juliette wiedziała, że można się ich spodziewać. W końcu miała świadomość, że Roma wykradł jej zaproszenie, że członkowie Białych Kwiatów tak czy inaczej z pewnością dowiedzieli się o tym przyjęciu. Być może to była także jej własna wina. Może jakaś jej zdradziecka część chciała, żeby Roma się tutaj pojawił tylko po to, żeby mogła się z nim spotkać. Ta część – ta, która marzyła o lepszym świecie, kochała bez cienia ostrożności – powinna być już dawno umrzeć.

Podobnie jak potwory powinny być tylko częścią baśni. Podobnie jak to miasto, migotliwe, nowoczesne i pełne technologii, powinno być bezpieczne od szaleństwa.

– Przestańcie – powiedziała Juliette głosem niesłyszalnym nawet dla siebie samej. To mogło się zakończyć krwawą jatką. – Przestańcie...

W ciemności nocy rozległ się wrzask.

Natychmiast wybuchł gwar zaskoczonych rozmów, ale chwilę potem zaskoczenie przemieniło się w panikę, a panika w chaos. Tyler nie miał innego wyboru, jak tylko opuścić pistolet, kiedy stojąca metr od niego Brytyjka upadła na ziemię. Odskoczył do tyłu, na bezpieczną odległość, kiedy dłonie kobiety zacisnęły się na jej delikatnej, łabędziej szyi i rozerwały ją szarpnięciem.

Wszędzie wokół.

Jeden po drugim.

Upadali na ziemię: Szkarłatni, kupcy i cudzoziemcy. Ci, których nie dosięgła zaraza, próbowali uciekać. Niektórzy nawet wydostali się za bramę. Inni stali się spóźnionymi ofiarami szaleństwa, kiedy tylko znaleźli się na chodniku na zewnątrz ogrodu.

Juliette znowu nie mogła oddychać. Dlaczego zaraza szerzyła się z tak obłąkańczą szybkością?

– Nie! – krzyknęła i podbiegła do znajomej osoby leżącej na ziemi. Znalazła się obok pana Li, tuż zanim zdążył sięgnąć do swojego gardła, i przycisnęła jego nadgarstek kolanem z nadzieją, że zdoła go w ten sposób powstrzymać.

Szaleństwo było zbyt silne. Pan Li wyszarpnął spod niej rękę, a Juliette poleciała do tyłu, szorując łokciem o trawę.

– Przestań! Przestań! – krzyknęła i rzuciła się do niego. Tym razem jego dłonie dotknęły gardła, nim zdążyła schwycić go za ręce. Zanim zdążyła unieruchomić swojego ukochanego wuja i zmusić go, żeby nawet nie drgnął, ktoś odciągnął ją brutalnie i przydusił do ziemi.

Juliette sięgnęła odruchowo do noża ukrytego na plecach.

– Juliette, przestań – usłyszała wtedy. – Nie atakuję cię.

Jej dłoń zamarła, a krzyk uwiązał w gardle. Fontanna krwi wystrzeliła łukiem w ciemnościach nocy, karmazynowe kropelki spadły na jej kostki i nadgarstki, naznaczając skórę kropkami przypominającymi upiorną biżuterię. Pan Li znieruchomiał. Jego twarz zastygła w ostatnim wyrazie – przerażenia – tak różnym od życzliwości, jaka zwykle się na niej malowała.

– Mogłam go uratować – szepnęła.

– Nie mogłaś – odparł natychmiast Roma. – Tylko sama byś się przy tym zaraziła.

Juliette zachłysnęła się z zaskoczenia. Zacisnęła pięści, aby ukryć drżenie palców.

– Co masz na myśli?

– To owady, Juliette – wyjaśnił Roma. Przełknął z trudem ślinę, kiedy niedaleko wrzaski przybrały na sile. – Tak właśnie rozprzestrzenia się szaleństwo. Jak wszy wpełzające we włosy.

Przez krótką, niekontrolowaną chwilę Juliette otworzyła szerzej oczy. Siatka faktów w jej głowie wreszcie zaczęła się splatać, cienkie linie łączyły poszczególne punkty. Roześmiała się z goryczą, uniosła rękę i postukała się w głowę, wydobywając ze swoich włosów twardy, chrzęszczący odgłos, jakby stuknęła w karton. Jej naturalnie proste włosy wymagały prawie kilograma pomady, żeby dać się ułożyć w fale.

– Niechby tylko spróbowały.

Roma nic nie odpowiedział. Zacisnął wargi i popatrzył w głąb ogrodu. Ci, którzy przeżyli, chowali się w altanie, zrozpaczeni i niepewni. Ojciec Juliette stał z dala od innych, z dłońmi splecionymi za plecami, i tylko obserwował.

Nikt nie mógł niczego zrobić poza staniem w miejscu i czekaniem, aż umrą ostatnie ofiary.

– Jedno spotkanie.

Roma szybko popatrzył na nią, zaskoczony.

- Słucham?

- Jedno spotkanie – powtórzyła Juliette, jakby miał problemy ze słuchem. Otarła krew z twarzy. – To wszystko, co mogę ci obiecać.

ROZDZIAŁ 16

Juliette bez pośpiechu szykowała broń. Było w tej czynności coś uspokajającego, dotyk chłodnego gładkiego metalu dawał jej satysfakcję: jeden pistolet w bucie, jeden na udzie, jeden przy pasie.

Była pewna, że pozostali nie zechcą się zgodzić. Ale gdyby Juliette słuchała innych, przestałaby być sobą.

Po incydencie w ogrodzie w Koncesji Francuskiej, w posiadłości rodziny Cai zrobiło się głośno.

– Wystarczy, że ich wysłuchamy – powiedziała Juliette do rodziców. Oczy ją piekły z powodu późnej godziny. – Nigdy nie zaszkodzi kogoś wysłuchać...

Natychmiast rozległy się pomruki niezadowolenia krewnych rozlokowanych na kanapach: tych, którzy należeli do wewnętrznego kręgu Szkarłatnego Gangu, i tych, którzy kompletnie nie mieli pojęcia, co się naprawdę dzieje się. Zamiast iść spać, wszyscy słuchali propozycji, z którą Juliette zwróciła się do rodziców i wszyscy wybuchnęli oburzeniem, z odrazą przyjmując myśl, że Juliette mogłaby się chociaż zastanawiać nad pokojowym spotkaniem z Białymi Kwiatami...

– Cicho! – wrzasnęła Juliette. – Zamknijcie się!

Wszyscy, oprócz jej rodziców, zamarli z szeroko otwartymi oczami, zaskoczeni jak jenoty pochwycone w smugę światła. Juliette oddychała ciężko, na jej twarzy nadal widniała krew pana Li. Wyglądała jak koszmar na jawie.

Doskonale, pomyślała. Niech myślą, że jestem bezduszną. To lepiej, niż gdyby uznali mnie za słabą.

– Posłuchajcie – odezwała się, kiedy mogła znowu spokojnie oddychać. Jej wybuch sprawił, że w salonie zapadła całkowita cisza. – Wyobraźcie sobie, co teraz myślą o nas cudzoziemcy. Pomyślcie, o czym rozmawiają między sobą, patrząc, jak policja sprząta ciała. Potwierdziliśmy tylko, że jesteśmy dzikusami, że w tym kraju szaleństwo rozprzestrzenia się jak choroba, masowo pochłaniając kolejne ofiary.

– Może to i dobrze! – zawołał Tyler, siedzący u podstawy schodów. Opierał się wygodnie łokciem na stopniu za sobą i wyciągał nogi na wypolerowanej podłodze. – Dlaczego nie pozwolić, żeby to szaleństwo robiło swoje? Niech zabija cudzoziemców, aż spakują walizki i stąd uciekną.

– Ponieważ to nie działa w ten sposób – syknęła Juliette. – Czy wiesz, co by się faktycznie wydarzyło? Wysłuchaliby słodkich kłamstw swoich misjonarzy. Uznaliby, że muszą zostać naszymi wybawcami. Wytoczyliby na ulicę czołgi, potem ustanowili w Szanghaju swój rząd i zanim byś się obejrzał... – urwała. Przeszła z dialektu szanghajskiego na angielski z najlepszym brytyjskim akcentem, jaki potrafiła naśladować. – Dzięki Bogu, że utworzyliśmy tę kolonię. Inaczej ci Chińczycy mogliby się sami pozabijać.

Milczenie. Wielu krewnych nie zrozumiało ani słowa, kiedy mówiła po angielsku. To było bez znaczenia. Ci, których musiała przekonać – jej rodzice – rozumieli ją doskonale.

– Chcecie wiedzieć, co sędzę? – ciągnęła Juliette, wracając do bardziej naturalnego dla niej akcentu amerykańskiego. – Jeśli nasi gangsterzy nie przestaną umierać, stracimy kontrolę. Robotnicy w przędzalniach i fabrykach opium zaczną szemrać, całe miasto ogarnie chaos, a potem cudzoziemcy przejmą w nim władzę, o ile komuniści nie zdołają ich uprzedzić. Przynajmniej z Białymi Kwiatami gramy na równych zasadach. Zachowujemy równowagę, mamy połowę miasta, zamiast nie mieć nic.

– Mów wprost – odezwała się lady Cai. W jej angielskim również pobrzmiwał wyraźny akcent. – Chcesz powiedzieć, że lepiej zapomnieć o wojnie gangów z Białymi Kwiatami, niż ryzykować, że zaczną nami rządzić cudzoziemcy?

– Dlaczego nie mogą mówić po prostu w *běndì huà*? – wymamrotała rozgoryczona ciotka z pretensją, że nie może już podsłuchiwać rozmowy.

– Chodzi tylko o jedno spotkanie – odparła szybko Juliette, ignorując narzekania. – Musimy się zorientować, jakie mamy możliwości, jaką dysponujemy wiedzą, żebyśmy mogli raz na zawsze powstrzymać szaleństwo. Tylko po to, żeby biali ludzie trzymali łapy z dala od naszego kraju.

Wierzyła we własne argumenty całym sercem, ale przeżyła szok jak nigdy wcześniej, kiedy jej rodzice rzeczywiście się zgodzili. Teraz spojrzała w lustro na toaletce, wygładziła sukienkę i wsunęła niesforny kosmyk w ułożone fale, przyciskając go z całej siły, aby przykleił się na żel.

Jej dłonie drżały.

Nie przestały, kiedy schodziła po schodach na parter, kiedy jej obcasy stukały na podjeździe i kiedy wsiadła do samochodu, przesuając się na siedzeniu, żeby Rosalind i Kathleen mogły się zmieścić obok niej. Drżały nieustannie, kiedy oparła głowę o szybę i spoglądała na miasto, przez które jechali. Obserwowała ludzi – handlarzy sprzedających swoje towary, a także fryzjerów pracujących pod gołym niebem. Tu i ówdzie na chodniku leżały pasma obciętych gęstych czarnych włosów.

Przesycająca Szanghaj energia zniknęła. Zupełnie jakby ogromna ręka sięgnęła z nieba i wyrwała życie z każdego człowieka na ulicy – odebrała donośny głos handlarzom, siłę riksarzom, ożywienie dźwięczące zazwyczaj w głosach mężczyzn, którzy kręcili się pod sklepami tylko po to, żeby zaczepiać przechodniów.

Przynajmniej do momentu, kiedy zauważali elegancki samochód jadący ulicą. Wtedy ich pełne strachu oczy się zwięzały. Nie ośmielali się otwarcie buntować, ale patrzyli, a w ich spojrzeniach kryły się całe monologi.

Gangsterzy rządzili miastem. Jeśli miasto upadnie, będą temu winni gangsterzy. A potem zginą wszyscy – zabici przez polityczną rewolucję, niezależnie od szaleństwa i niezależnie od cudzoziemców.

Juliette oparła głowę na zagłówku i przygryzła od środka policzek tak mocno, że poczuła na języku falę metalicznego smaku. Jeśli nie zdoła opanować sytuacji, wszystko skończy się bardzo, bardzo źle.

– To okropne, prawda? – szepnęła Rosalind, pochylając się, żeby wyjrzeć przez okno.

– Już niedługo – obiecała jej Juliette. – Nie pozwolę na to.

Jej dłonie przestały drżeć.

Alisa Montagow znała na pamięć niemal każdą ulicę w Szanghaju. Wyobrażała sobie, że w jej głowie zamiast włókien i synaps nerwowych istnieje mapa miasta.

Kiedy Alisa nie znajdowała się tam, gdzie powinna się znajdować, zazwyczaj podsłuchiwała czyjąś rozmowę. Robiła tak we własnym domu albo gdziekolwiek na mieście – nie była szczególnie wybredna. Czasem udawało jej się pochwycić najbardziej interesujące skrawki otaczającego ją życia, strzępy i fragmenty, które układały się w kompletnie nieoczekiwany sposób, jeśli usłyszała dostatecznie dużo od dostatecznie wielu ludzi.

Ten dzień jak dotąd był rozczarowujący.

Alisa z westchnieniem wyczołgała się z przewodu wentylacyjnego, do którego się wcześniej wcisnęła, darując sobie resztę kłótni między panem Langiem a jego wiekową matką. Krążyły plotki, że sytuacja w Szkarłatnym Gangu jest niestabilna, a szwagier lorda Cai zagraża jego pozycji, ale okazało się, że to stek bzdur. Zagrożenie ze strony pana Langa polegało najwyżej na tym, że mógł zanudzić na śmierć swoją matkę, którą odwiedzał w jej malutkim mieszkaniu na mieście, żeby narzekać bez przerwy na sposób, w jaki gotowała kluski na parze.

– Ojej – powiedziała do siebie Alisa. Spojrzała w dół z dachu trzypiętrowego budynku, na którym się znalazła, i podrapała się w głowę. Godzinę temu zakradła się tutaj, włączając na dach straganu ulicznego sprzedawcy. Kosztowało ją to tylko jednego centa (za który kupiła bułeczkę z warzywami), a starszy pan pozwolił jej się wspiąć na chwiejną konstrukcję, z której dało się przeskoczyć na parapet okna mieszkania na piętrze.

Przez ten czas sprzedawca zdążył zwinąć interes i zabrać ze sobą swój wysoki wózek.

Alisa skrzywiła się i rozejrzała za jakimś występem, który pozwoliłby jej skrócić odległość pomiędzy piętrem a twardym brukiem, ale po tej stronie budynku niczego podobnego nie zauważyła. Musiała znaleźć inną drogę na dół, i to szybko. Słońce zniżyło się w pośpiechu, a Roma zagroził, że jeśli Alisa nie pojawi się na dzisiejszym spotkaniu, zabierze jej wszystkie buty. Ta groźba wstrząsnęła Alisą aż po łatwo marznące czubki palców u nóg.

– Oni zwrócą uwagę na każdy najdrobniejszy szczegół – wyjaśnił Roma. – Będą obserwować każdy ruch taty. Zauważą pozycję Dimitrija. Nie pozwól, żeby zauważyli także twoją nieobecność.

Dlatego Alisa ścisnęła palcami grzbiet nosa i zjechała po rynnie do zaułka na tyłach budynku. Leżały tu takie zwały śmieci, że z trudem oddychała nawet przez usta. Miała wrażenie, że smród wnika do jej wnętrza nawet przez język.

Narzekając pod nosem, przedzierała się przez zwały odpadków. Próbowała oszacować, na ile jest spóźniona. Słońce opadło nisko, prawie zniknęło, ukryte za budynkami w oddali. Była tak zaprzątnięta własnymi zmartwieniami, że omal nie zignorowała rżenia, które rozległo się tuż obok.

Alisa zamarła.

– Halo?! – zawołała, przerzucając się na pierwszy chiński dialekt, który wpadł jej na język. – Czy ktoś tu jest?

Słaby głos odpowiedział jej po rosyjsku:

– Tutaj.

Alisa cofnęła się, przeskakując przez worki ze śmieciami w poszukiwaniu osoby, która się do niej odezwała. Zobaczyła plamę czerwieni. Kiedy podeszła bliżej, wśród śmieci pod ścianą dostrzegła sylwetkę mężczyzny.

Leżał w kałuży własnej krwi, z gardłem rozerwanym na strzępy.

– O nie.

Nie potrzeba było błyskotliwego zazwyczaj umysłu Alisy, żeby się domyślić, że ten człowiek był ofiarą szaleństwa rozprzestrzeniającego się w Szanghaju. Słyszała, jak jej brat rozmawia o tym szeptem, jednak nie chciał jej powiedzieć niczego konkretnego i nigdy nie poruszał tego tematu w miejscach, w których mogłaby go podsłuchać. Być może robił tak specjalnie.

Alisa nie rozpoznawała tego mężczyzny, ale domyślała się, że należał do Białych Kwiatów, a sądząc po jego ubraniu, powinien pracować w pobliskim porcie. Zatrzymała się niepewnie. Brat ostrzegł ją, żeby trzymała się jak najdalej od każdego, kto wydawał się choć odrobinę dziwnie zachowywać.

Jednakże Alisa nigdy go nie słuchała. Przyklękła przy mężczyźnie.

– Ratunku! – krzyknęła. – Na pomoc!

U wylotu zaułka coś poruszyło się gwałtownie. Rozległo się poirytowane mamrotanie innych członków Białych Kwiatów, którzy przyszli tutaj, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie. Alisa przysunęła ucho do ust umierającego mężczyzny, ponieważ chciała usłyszeć, czy jeszcze oddycha, czy nadal żyje.

Zdażyła pochwycić tylko ostatnie długie westchnienie.

Umarł.

Alisa zakołysała się na piętach, oszołomiona.

Pozostali członkowie Białych Kwiatów zgromadzili się wokół niej, a ich irytacja zmieniła się w smutek, gdy tylko zobaczyli, dlaczego Alisa krzyczała. Większość zdjęła czapki i przycisnęła je do piersi. Nie wyglądali na zaskoczonych tym widokiem. Wydawali się zrezygnowani – to była jeszcze jedna śmierć, którą należało dodać do setek zgonów, do których dochodziło na ich oczach.

– Uciekaj stąd, malutka – powiedział łagodnie mężczyzna stojący najbliżej Alisy.

Alisa powoli podniosła się i zostawiła mężczyzn, żeby zajęli się zmarłym towarzyszem. Jak we śnie wyszła z powrotem na dużą ulicę i spojrzała w pomarańczowe niebo.

Spotkanie!

Rzuciła się biegiem, klnąc pod nosem i przeszukując pamięć w poszukiwaniu najkrótszej trasy. Znajdowała się już przy rzece Huangpu, ale adres, który zapamiętała, był o wiele dalej na południe, w przemysłowej dzielnicy Nanshi, gdzie terkotały przędzalnie, a budynki użytkowe zamieniano w fabryki.

Tam miały się spotkać zwaśnione gangi, z dala od wytyczonych granic swoich terytoriów, z dala od ustalonych raz na zawsze definicji, który obszar należał do Szkarłatnych, a który do Białych Kwiatów. W Nanshi znajdowały się tylko fabryki. Ich właściciele byli finansowani przez Szkarłatnych lub współpracowali z Białymi Kwiatami, zaś robotnicy o brudnych twarzach żyli pod rządami gangsterów, gotowi odwracać się tam, skąd wieje wiatr.

Niektórzy spośród robotników od dawna byli lojalni wobec któregoś z dwóch gangów, tak samo jak ci, którzy pracowali bliżej centrum miasta. Potem jednak zarobki na obrzeżach Szanghaju zaczęły spadać, a właściciele fabryk bogacili się coraz bardziej. Następnie przyszli komuniści i zaczęli szeptać robotnikom do ucha o rewolucji, a rewolucja była przecież możliwa tylko wtedy, gdy ścięto się głowy tym, którzy znajdowali się u władzy.

Alisa zatrzymała riksę i wskoczyła do środka. Rikszarz rzucił jej spojrzenie pełne zdziwienia i niepokoju, zapewne zastanawiając się, czy była dość duża, żeby samotnie poruszać się po mieście bez opieki kogoś dorosłego. A może uznał, że jest zbiegiem, jedną z rosyjskich tancerek kabaretowych, która chce uciec przed swoimi długami. Te dziewczyny były najtańszymi ozdobami ulic w całym Szanghaju: zbyt zachodnie z wyglądu, by uchodzić za Chinki, i zbyt swojskie, żeby kusić egzotyczną obcością.

– Proszę jechać, aż budynki zaczną wyglądać, jakby miały się zaraz zawalić – powiedziała Alisa do rikszarza.

Mężczyzna ruszył przed siebie.

Kiedy Alisa dotarła na miejsce, słońce schowało się już niemal całkiem za horyzontem – tylko jego skrawek wystawał nad wyłożonymi falami. Alisa zatrzymała się przed budynkiem, który opisał jej Roma. Zadrżała, gdy poczuła pierwszy przyływ nocnego chłodu. Przeniósła spojrzenie z zamkniętych drzwi opuszczonego magazynu na chińską dziewczynę, która stała dziesięć kroków dalej i patrzyła na rzekę. Tak daleko na południe Huangpu miała inny kolor. Wydawała się niemal zamglona. Może to z powodu dymu, który unosił się wokoło, częściowo z pobliskiego młyna zbożowego, a częściowo z przylegającego do niego młyna olejowego. Niedaleko znajdował się także francuski zakład wodociągowy. Bez wątplenia on także przyczyniał się do mętnej barwy wody. Alisa z wahaniem zrobiła krok do przodu, z nadzieją, że będzie mogła poprosić dziewczynę o potwierdzenie miejsca spotkania. Jej futrzana narzutka falowała na wietrze, a zachodzące słońce malowało ją pomarańczem.

– Jeszcze się nie zaczęło. Nie obawiaj się.

Alisa zamruła, słysząc język rosyjski, na krótką chwilę kompletnie zaskoczona. Wszystko nabrało sensu, kiedy dziewczyna odwróciła się, a Alisa ją rozpoznała.

– Juliette – powiedziała bez namysłu. Natychmiast przełknęła nerwowo ślinę, zastanawiając się, czy oberwie za to, że tak swobodnie użyła imienia dziewcziczki.

Ale Juliette koncentrowała się tylko na trzymanej zapalniczce. Bawiła się nią niedbale, obracając kółko, a potem gasząc płomyk, kiedy tylko się rozjaśnił.

– Alisa, tak?

To także było zaskoczenie. Wszyscy w Szanghaju znali Romę. Znali jego zimną krew i reputację ostrożnego, wyrachowanego następcy bossa Białych Kwiatów. Ale Alisa, która niewiele miała do czynienia ze sprawami gangu, nie była powszechnie rozpoznawalna.

– Skąd wiesz?

Juliette w końcu spojrzała na nią i uniosła brew, jakby chciała powiedzieć: „Dlaczego miałabym tego nie wiedzieć?”.

– Ty i Roma macie niemal takie same rysy twarzy – odparła. – Zgadywałam.

Alisa nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Uratował ją młodziutki gangster Białych Kwiatów, który otworzył drzwi i wyjrzał z wnętrza magazynu. Najpierw zauważył Alisę, a potem spojrzał ze złością na Juliette. Wzajemna wrogość nie była niczym nieoczekiwanym, nawet jeśli dzisiaj obie strony miały się zachowywać grzecznie. Sami organizatorzy tego spotkania wysłali pięciu swoich ludzi do szpitala, kiedy nieco zbyt gwałtownie przyjęli wiadomość przesłaną na terytorium Szkarłatnych.

– Proszę wejść, panno Montagow – powiedział chłopak. – Brat o panią pytał.

Alisa skinęła głową, ale zaraz spojrzała znowu z ciekawością na Juliette.

– Ty nie wchodzisz?

Juliette uśmiechnęła się. W tym uśmiechu było ukrywane rozbawienie, z rodzaju tych, których przyczyny wszyscy mogli się domyślać, ale nikt nie mógł wiedzieć na pewno.

– Za chwilę. Idź przodem.

Alisa weszła pospiesznie do środka.

Atmosferę panującą w magazynie należałoby określić jako lodowatą. Lord Cai i lord Montagow patrzyli na siebie z przeciwnych krańców pomieszczenia, usadzeni za dwoma stołami.

Nie zebrało się zbyt wiele osób – magazyn był stosunkowo mały – i ta skromna liczba obecnych sprawiała, że wydawał się wręcz przestronny. Alisa naliczyła mniej niż dwadzieścia osób po każdej stronie, co uznała za dobry znak. Gangsterzy podzielili się na niewielkie grupy i udawali, że są zajęci rozmową, ale w rzeczywistości obie strony bacznie się obserwowały, wypatrując jakichkolwiek oznak zasadzki. Na szczęście wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek zaczął działać bez rozkazu lorda Cai lub lorda Montagowa. Zgodnie z warunkami umowy w spotkaniu nie mogli uczestniczyć wyżsi rangą członkowie obu gangów; najbardziej wyłączeni ci najbliżsi, z wewnętrznego kręgu. Ci, którzy mieli władzę, byli trudniejsi do opanowania, podczas gdy szeregowi gońcy i wykonawcy poleceń robili to, co im powiedziano, i mogli wygodnie służyć za żywe tarcze, gdyby zrobiło się nieprzyjemnie.

Alisa zobaczyła w kącie Romę, stojącego spokojnie, z dala od Benedikta i Marshalla. Kiedy zauważył Alisę, pomachał do niej energicznie.

– W samą porę.

Roma podał jej kurtkę, którą trzymał w ręku. Przyniósł ją, ponieważ wiedział, że Alisa zawsze zapomina okrycia i nieuchronnie zaczyna w końcu trząść się z zimna.

– Przepraszam – powiedziała Alisa, wkładając kurtkę. – Czy wydarzyło się już coś interesującego?

Przesunęła wzrokiem po stole ustawionym po ich stronie magazynu. Ojciec siedział sztywno jak lodowy posąg. Obok niego rozpierał się Dimitrij, opierając stopę jednej nogi na kolanie drugiej.

Roma potrząsnął głową.

– Dlaczego się spóźniłaś?

Alisa przełknęła ślinę.

– Spotkałam na zewnątrz kogoś interesującego.

Jakby sama ta wzmianka wystarczyła za wezwanie, w tym momencie w drzwiach stanęła Juliette. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, ale ona po prostu patrzyła przed siebie, a jej oczy były pozbawione wszelkich emocji.

Usta Romy zacisnęły się w wąską kreskę.

– Nie powinienem musieć ci tego mówić – odezwał się cicho – ale trzymaj się z dala od niej. Juliette Cai jest niebezpieczna.

Alisa przewróciła oczami.

– Nie wierzysz chyba w te historie o jej amerykańskich kochankach, których zabiła gołymi rękami...

Roma uciszył ją ostrym spojrzeniem. Gniewny grymas na jego twarzy szybko zniknął, ponieważ jego uwagę przykuło coś innego, co sprawiło, że stężał na całym ciele.

Alisa spojrzała w tę samą stronę, niczego nie rozumiejąc. Na twarzy Juliette nie malowało się już cyniczne rozbawienie. Skinęła krótko głową Romie. Ponieważ Roma miał tak samo poważny wyraz twarzy, Alisa uznała, że zdecydowanie brakuje jej jakichś informacji.

– Aliso.

Szybko spojrzęła znowu na brata, który już odwrócił wzrok.

– Co takiego?

Roma zmarszczył brwi, sięgnął do niej i odsunął jej dłonie od głowy. Nie zauważyła nawet, że drapie się intensywnie, wrywając jasne niemal białe pasma włosów i owijając je wokół palców jak sznury koralu.

– Przepraszam – powiedziała Alisa i spłótła dłonie za plecami. Czuła na skórze gorące mrowienie. Być może było jej za gorąco w tej kurtce, chociaż gęsia skórka na obojczyku wydawała się wskazywać na coś innego. – Strasznie mi ciepło.

– Chciałabyś może, żebym cię powachlował? – mruknął Roma. Odsunął dla niej krzesło, a potem także usiadł. – Siedź spokojnie. Miejmy nadzieję, że to będzie owocne spotkanie.

Alisa skinęła głową, usiadła wyprostowana i starała się nie drapać.

Kiedy Juliette weszła do magazynu, skoncentrowała myśli na pistolecie, przymocowanym do uda, starając się w ten sposób oderwać uwagę od spoczywających na niej spojrzeń. Skinęła głową rodzicom, żeby zaznaczyć swoją obecność, a potem przesunęła wzrokiem po pozostałych zgromadzonych. Kilka sekund wystarczyło, aby zidentyfikowała każdą twarz, dopasowała do nazwiska i uporządkowała według stopnia zagrożenia.

Był tutaj Dimitrij Woronin, podobno agresywny i nieprzewidywalny, ale dzisiaj lord Montagow postawił na dyplomację – a przynajmniej tak twierdził – więc Dimitrij nie powinien sprawiać kłopotów. Był Marshall Seo, obracający w palcach coś, co wyglądało jak źdźbło trawy, a było chyba stalowym ostrzem. Obok niego siedział Benedikt Montagow, z neutralnym wyrazem twarzy, jak melancholijny kamienny posąg.

No i oczywiście był tutaj Roma.

Juliette dołączyła do siedzących za stołem Rosalind i Kathleen, odsuwając krzesło i zajmując miejsce. Z ogromną niechęcią stwierdziła, że żaden z członków Białych Kwiatów nie sprawiał wrażenia tak niespokojnego jak Tyler, który niemalże trząsnął się na swoim miejscu, starając się zachować milczenie.

– To dla ciebie – powiedziała Kathleen, kiedy zobaczyła Juliette.

Podsunęła bliżej kuzynki kwadratową karteczkę. Juliette uniosła jej róg i zobaczyła zanotowane pospiesznie numery i nazwy ulic. Kathleen wykonała zadanie. Spotkała się znowu ze swoim informatorem i zdobyła prywatny adres Zhang Gutaia.

– Znalazłaś coś w Bundzie? – zapytała Juliette, chowając kartkę.

– Bankierzy nie mają o niczym pojęcia – odparła Kathleen. – Tylko jedna starsza pani coś wiedziała i twierdziła, że widziała potwora w rzece.

Juliette zastanowiła się nad tym.

– Interesujące – powiedziała.

Rosalind odchrząknęła i pochyliła się do nich.

– O czym tak szepczecie?

– Och, to nic ważnego. – Juliette machnęła ręką.

Rosalind zmrużyła oczy. Wydawało się, że zaraz coś powie, oskarży Juliette, że ją lekceważy. Nie byłoby to bezpodstawne: Juliette naprawdę starała się nie ciągnąć tematu ponad niezbędną konieczność. Wolała zachować milczenie, dopóki znajdowały się w magazynie pełnym Białych Kwiatów. Rosalind zorientowała się jednak w sytuacji i zmieniła temat.

– Spójrz na Tylera. Za dwie sekundy dostanie ataku furii.

Juliette obejrzała się i skrzywiła z niesmakiem. Dygotał teraz jeszcze gwałtowniej.

– Może powinniśmy go poprosić, żeby wyszedł.

– Nie. – Kathleen potrząsnęła głową i podniosła się z miejsca. – Porozmawiam z nim. Żądanie, żeby wyszedł, tylko pogorszy sprawę.

Zanim Juliette albo Rosalind zdążyły zaprotestować, Kathleen wstała, podeszła do Tylera i usiadła koło niego. Juliette i Rosalind nie słyszały, o czym mówiła, ale widziały, że Tyler jej nie słucha, nawet kiedy Kathleen wzięła go za łokieć i stanowczo nim potrząsnęła.

– Ma za dobre serce – stwierdziła Rosalind.

– Daj jej spokój – odparła Juliette. – Zbyt wiele dobrych serc codziennie lodowacieje.

Rozmowy w magazynie ucichły. Spotkanie się rozpoczęło. Juliette kątem oka znowu pochwyciła wzrok Romy. Wolałaby, żeby przestał na nią patrzeć. Czuła się dziwnie, zarówno z powodów oczywistych, jak i takich, których nie potrafiła dokładnie określić. Sprowadzenie w jedno miejsce Szkarłatnego Gangu i Białych Kwiatów sprawiało jednocześnie wrażenie współpracy, ale także porażki.

Nie mieli jednak wyboru.

– Mam nadzieję, że wszyscy mieli dzisiaj udany dzień.

Po słowach lorda Montagowa natychmiast zapadła cisza. Odezwał się w dialekcie pekińskim, najbardziej rozpowszechnionej odmianie chińskiego, której uczyli się cudzoziemscy kupcy i przedsiębiorcy. Miał wyraźny akcent: starsi nie opanowali języka tak płynnie, jak następne pokolenie.

– Przejdę od razu do rzeczy – ciągnął. – W mieście szerzy się szaleństwo, które zabija zarówno członków Szkarłatnych, jak i Białe Kwiaty.

Lord Montagow wydawał się niezwykle uprzejmy. Gdyby Juliette go nie znała, uznałaby, że jest cierpliwy i pogodny.

– Jestem pewien, że w tej sytuacji wszyscy zgodzą się ze mną – mówił. – To się musi skończyć. Niezależnie od tego, czy ta choroba została wywołana przez człowieka, czy też jest zjawiskiem naturalnym, potrzebujemy odpowiedzi. Musimy ustalić, dlaczego w tak ogromnym stopniu dotyka naszych ludzi, a następnie położyć jej kres.

Odpowiedziała mu tylko cisza.

– Doprawdy? – odezwał się ironiczny głos. Nie był skierowany do lorda Montagowa, ale do milczącego Szkarłatnego Gangu. Marshall Seo wstał. – Całe miasto umiera, a wy nadal nie raczycie się odezwać?

– Uważam jedynie – oznajmił zimno lord Cai – że ten, kto zapowiada plan mający zatrzymać to szaleństwo, powinien najpierw przedstawić własne propozycje.

– Czy to nie pańska córka zaproponowała to spotkanie?

Tym razem odezwał się Dimitrij Woronin, który wzruszył ramionami ze zblazowaną obojętnością.

– Nasza córka pragnęła nawiązania dialogu – ucięła donośnym głosem lady Cai. – Nie była to obietnica ani gwarancja jakiegokolwiek wymiany informacji.

– Jak zwykle. – Dimitrij się skrzywił.

Ta uwaga nie spodobała się Szkarłatnemu Gangowi. Szeregowi członkowie, którzy otaczali lorda Cai, wierzili się na swoich miejscach, przesuając dłonie coraz bliżej do pistoletów ukrytych na biodrach. Lord Cai niecierpliwym machnięciem ręki nakazał spokój.

– Obecna sytuacja wygląda następująco – powiedział i położył dłonie płasko na zimnej powierzchni stołu. – Mamy pewne poszlaki i źródła, które możemy wykorzystać, jeśli zdecydujemy się zbadać temat szaleństwa.

Lord Montagow otworzył usta, ale ojciec Juliette jeszcze nie skończył.

– To oznacza – stwierdził z naciskiem – że wasza pomoc nie jest nam potrzebna. Czy wyraziłem się jasno? Jesteśmy tutaj, ponieważ mamy nadzieję poszerzyć naszą wiedzę i przyspieszyć nasze dochodzenie. To stanowisko Szkarłatnego Gangu. Czy Białe Kwiaty chcą podzielić się swoją wiedzą i swoimi pomysłami, aby realnie nawiązać z nami współpracę, czy też przybyły na to spotkanie tylko po to, żeby zawłaszczyć nasze osiągnięcia, tak jak to robią od dziesięcioleci?

Podczas tej wymiany zdań obecni przenosili wzrok z lewa na prawo, a spojrzenia krzyżowały się we wszystkich kierunkach. Zebrani naradzali się bez słów, ktoś zadawał oczywiste pytanie, a ktoś inny odpowiadał ledwie widocznym potrząśnięciem głową.

Juliette uświadomiła sobie, że być może Białe Kwiaty nie dzielą się informacjami o możliwych kierunkach badania tej sprawy, ponieważ niczego nie wiedzą. Jednakże przyznanie, że nie mają o niczym pojęcia, byłoby dla nich równie niebezpieczne, jak zdradzenie posiadanych informacji. Umniejszyłoby ich pozycję. Woleli, żeby Szkarłatny Gang odebrał ich zachowanie jako wrogość.

A część członków Szkarłatnego Gangu była skłonna w to uwierzyć.

Kiedy Marshall Seo skrzywił się, słysząc obraźliwe słowa lorda Cai, i wymamrotał pod nosem jakąś niesłyszalną ripostę, Tyler zerwał się z miejsca, niezdolny powstrzymać się choćby chwilę dłużej. W kilku krokach przeszedł na drugą stronę.

Wtedy Benedikt podniósł broń, a Tyler znieruchomiał.

Wszyscy jednocześnie wstrzymali oddech, niepewni, co należy za moment zrobić – czy nadszedł już czas na gwałtowną reakcję, czy samo wyjęcie broni było działaniem wymagającym odwetu. Juliette dotknęła swojego pistoletu, ale zajmowała ją przede wszystkim analiza takiego rozwoju zdarzeń i próba ich logicznego połączenia.

Tyler zagroził Marshallowi o dłoniach pokrytych odciskami, ale to poplamione farbą palce Benedikta zareagowały szybciej.

Juliette cofnęła dłoń od kabury na udzie. Już rozumiała. Benedikt wyciągnął pistolet, żeby Marshall nie zrobił tego jako pierwszy. Marshall by strzelił, ale Benedikt tego nie uczyni.

– Wydawało nam się, że to miało być pokojowe spotkanie – powiedział spokojnie Benedikt, próbując rozładować napiętą sytuację. Nie wiedział, z kim ma do czynienia. Tyler nie przyjmował logicznych argumentów, wybuchął bez żadnego powodu, a dopiero potem zastanawiał się, jak ma się wykręcić od poniesienia konsekwencji.

– Wolne żarty. – Tyler wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu. – Najpierw wyciągasz pistolet, a potem twierdzisz, że chcesz rozmawiać o pokoju. Pokój!

W jednej chwili w jego dłoni znalazł się rewolwer wycelowany w Benedikta. Juliette natychmiast zerwała się na nogi i rzuciła do Tylera tak szybko, że jej odepchnięte krzesło poleciało na ziemię, ale Tyler był szybszy.

– Nienawidzę tego słowa, tak samo jak nienawidzę każdego z rodziny Montagowów.

Pociągnął za spust. Odgłos wystrzału odbił się echem we wnętrzu magazynu, wywołując zduszone okrzyki po obu stronach.

Benedikt, cały i zdrowy, zamrugał tylko.

Juliette zatrzymała się w pół kroku, zadyszana, i z szeroko otwartymi oczami odwróciła się do Kathleen.

Dziewczyna puściła oko, otworzyła dłoń i pokazała sześć małych nabożów.

Nikomiu nie stała się krzywda, ale było już za późno. Krzesła odsuwały się ze zgrzytaniem, a gangsterzy zrywali się na nogi, celując z pistoletów. Uniesione lufy nawet nie drgnęły, nawet kiedy zewsząd rozlegały się krzyki.

– Jeśli tak ma wyglądać nasze spotkanie – oznajmił lord Montagow, zagłuszając hałas rzucanych oskarżeń i pełnych wściekłości przekleństw – Szkarłatny Gang i Białe Kwiaty w żaden sposób nie będą współpracowały...

Nie dokończył swojej deklaracji.

Z rogu magazynu dobiegł stłumiony odgłos. Dziwny dźwięk, jakby ktoś się dławił. Zaskoczeni gangsterzy spojrzeli w tamtą stronę, zastanawiając się, czy to jakiś podstęp.

Nie spodziewali się, że źródłem tego dźwięku jest Alisa Montagow, która zarzęziła raz jeszcze, upadła na kolana i sięgnęła do swojego gardła.

ROZDZIAŁ 17

Roma skoczył do swojej siostry i w ułamku sekundy oderwał jej dłonie od gardła. Zanim, opętana szaleństwem, zdążyła mu się wyrwać, przycisnął ją do ziemi, unieruchamiając jej ręce na plecach, a głowę na twardym betonie.

– Alisa, to ja. To ja! – zawołał zdławionym głosem. Alisa spróbowała szarpnąć się do przodu. Roma odchylił głowę i syknął: – Przestań natychmiast!

Powinien wiedzieć, że nie warto próbować jej przekonywać. Szaleństwo w niczym nie przypominało wybryków krnąbrnego dziecka. To nie była już po prostu jego siostra: coś pochłaniało ją od środka.

– Pomocy! – krzyknął Roma przez ramię. – Wezwijcie pomoc!

Otoczający go członkowie Białych Kwiatów – co do jednego – zawahali się. Po drugiej stronie magazynu Szkarłatny Gang zbierał się do wyjścia najszybciej, jak tylko mógł. To ostatecznie nie był ich problem. Kiedy Juliette na moment się zatrzymała, matka natychmiast pociągnęła dziewczynę za łokieć i warknęła coś do niej ostro, jakby prędkość była kluczowa, jeśli chciało się uciec przed zarazą.

Oni przynajmniej mieli prawo uciekać. Ale dlaczego członkowie Białych Kwiatów ociągali się z pomocą?

– Nie stójcie jak kołki!

Benedikt w końcu otrząsnął się z oszołomienia i podbiegł do Romy, podwijając rękawy. Ukląkł, żeby przycisnąć jedną z wierzgających nóg Alisy do podłogi. Marshall, blady jak ściana, dla samej zasady dołączył do nich, unieruchamiając drugą nogę. Pstryknął palcami na najbliższych stojących.

– Roma – odezwał się Benedikt. – Musimy ją zabrać do Lourensa.

– Nie ma mowy! – Roma odpowiedział tak gwałtownie, że wijąca się w szaleństwie Alisa niemal wyślizgnęła się z jego uścisku. Pospiesznie przytrzymał mocniej jej nadgarstki. – Nie zabierzemy Alisy do Lourensa, żeby na niej eksperymentował.

– Skąd wiesz, że to nie wyjdzie jej na dobre? – zapytał Benedikt. Mówił szybko, głosem zduszonym z wysiłku. – Te paskudztwa prawdopodobnie wyzerają jej właśnie mózg. Skoro nie próbowaliśmy ich usunąć, skąd wiemy, że to niemożliwe?

– Ben – skarcił go Marshall. Tym razem, w tak dziwnych okolicznościach, jego napięty głos brzmiał najspokojniej ze wszystkich. – Próbowaliśmy wyjąć martwego insekta z martwego człowieka i wyciągnęliśmy przy tym tonę jego mózgu. Absolutnie nie możemy tak ryzykować!

– A jaki mamy wybór? – zapytał gniewnie Benedikt.

Marshall wypuścił nogę Alisy, zostawiając jej przytrzymywanie Romie i Benediktowi, a potem przykucnął koło jej głowy.

– Zawsze jest jakieś wyjście.

Objął dłońmi szyję Alisy i ścisnął ją. Roma potrzebował każdej racjonalnie myślącej komórki swojego mózgu, żeby nie rzucić się na przyjaciela i nie odepchnąć go, podczas gdy Marshall liczył półgłosem. Roma wiedział doskonale, co Marshall robi, i wiedział, że jest to konieczne, ale potrzeba bronienia siostry paliła go jak ogień.

Alisa przestała walczyć. Marshall wypuścił ją szybko, cofnął dłonie, jakby się oparzył, a potem znowu dotknął jej szyi, żeby zbadać puls.

Skinął głową.

– Wszystko w porządku. Jest tylko nieprzytomna.

Z sercem bijącym jak młot Roma objął Alisę za szyję i podniósł ją, jakby nic nie ważyła; jakby była papierową lalką, a nie dziewczynką. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że w magazynie już prawie nikt nie został. Gdzie, do diabła, podział się jego ojciec?!

– Idziemy – warknął, odsuwając tę kwestię na później. – Musimy ją zabrać do najbliższego szpitala, zanim się obudzi.

– Przepuście mnie!

Roma uderzył pięściami w drzwi, szarpiąc nimi tak mocno, że podłoga pod nim zadrżała ze strachu. To nie miało znaczenia: zawiasy wytrzymały, a po drugiej stronie, za ciekłą szklaną szybą, lekarz potrząsnął głową, dając Romie znać, że ma wracać do poczekalni, gdzie czekała reszta Białych Kwiatów.

– Proszę pozwolić, żebyśmy się tym zajęli – powiedział lekarz, kiedy przynieśli do niego Alisę. Ten szpital był mniejszy niż większość budynków przy Bubbling Well Road, najwyżej rozmiaru domu, jaki brytyjski kupiec mógłby podarować swojej kochance. Był nędzny, ale stanowił najlepszą opcję. Nie dało się stwierdzić, ile Alisa wytrzyma, więc nie mogli ryzykować podróży z Nanshi do centrum miasta. Nawet jeśli ten szpital zbudowano, żeby zajmował się częstymi wypadkami, jakim ulegali robotnicy w pobliskich przedsiębiorstwach. Nawet jeśli Roma był przeświadczony, że zmęczeni lekarze tutaj są nie bardziej kompetentni niż przypadkowi uliczni handlarze.

– Utrzymujcie ją nieprzytomną – powiedział stanowczo, kiedy przekazywał im Alisę. – Będzie potrzebować tlenu, karmienia przez sondę...

– Musimy ją obudzić, żeby ustalić, co jej dolega – upierał się lekarz. – Wiemy, co robimy...

– To nie jest zwykła choroba! – krzyknął Roma. – To szaleństwo.

Lekarz skinął na pielęgniarki i machnięciem ręki kazał im wypchnąć Romę za drzwi.

– Nie ośmielcie się – zagroził Roma. Został zmuszony do cofnięcia się o krok, a potem jeszcze o dwa. – Nie... przestańcie. Nie ośmielcie się zamknąć przede mną drzwi...

Zamknęli przed nim drzwi.

Roma rąbnął pięścią w drzwi po raz ostatni, a potem okręcił się w miejscu, klnąc najgorszymi słowami. Poprawił włosy, potem poprawił swoje rękawy, poprawił wszystko, co miał w pobliżu, po to tylko, żeby zająć czymś ręce, żeby zapanować nad poceniem się i utrzymać wściekłość skoncentrowaną w ciasnym pierścieniu wokół niego. Na tym polegał problem z takimi miejscami: placówkami oddalonymi od centrum miasta i zarządzanymi przez nędznie zarabiających ludzi. Nie obawiali się gangsterów tak, jak powinni.

– Roma!

Roma zacisnął powieki. Odetchnął długo i boleśnie, a potem odwrócił się i spojrzał na swojego ojca.

– Co to ma znaczyć? – zapytał gwałtownie lord Montagow. Przybył z piątką swoich ludzi, którzy stłoczyli się w ciasnym przedsionku szpitalnym. Po chwili prawie zabrakło w nim powietrza, a brudnobiałe ściany stały się niemal lepkie od potu. – Jak to się mogło stać?

Roma przeniósł wzrok na sufit i policzył od dziesięciu do zera. Zauważył liczne pęknięcia w łuszczącej się farbie, zniszczenia czające się w każdym zakamarku. Ten szpital z zewnątrz wydawał się tak nowoczesny, tak różny od finansowanej przez Szkarłatnych placówki w Koncesji Francuskiej, do której zabrała go Juliette. Jednak obydwie szpitale rozpadały się, każdy na swój sposób.

– Dlaczego nic nie robisz? – zapytał lord Montagow. Wyciągnął rękę, żeby trzepnąć Romę w głowę.

To był gest, który sprawił, że Roma ostatecznie stracił nad sobą panowanie.

– Dlaczego potrzebowałeś tyle cholernego czasu, żeby tu przyjść?!

Lord Montagow zmrużył oczy.

– Licz się ze słowami...

– Alisa umiera, a ty sobie zostałeś, żeby popatrzeć, jak zareaguje Szkarłatny Gang? Co sobie właściwie myślisz?

Jeden z ludzi lorda Montagowa odepchnął Romę, kiedy ten za bardzo pochylił się do ojca. Być może to było coś w jego spojrzeniu albo w furii przesycającej każde jego słowo. Cokolwiek to było, musiało wyglądać naprawdę niebezpiecznie, ponieważ na skinienie lorda Montagowa jeden z Białych Kwiatów wyciągnął nóż i zagroził nim Romie, żeby go zmusić do cofnięcia się o krok.

Roma nie ruszył się z miejsca.

– Proszę bardzo – powiedział.

– Robisz z siebie durnia – syknął przywódca Białych Kwiatów. Lord Montagow uwielbiał pławić się we własnym blasku. Wypinał dumnie pierś, otoczony przez lojalnych ludzi, z kolei pieklił się, gdy spoglądano na niego ze złością. Gwałtowne zachowanie Romy przynosiło wstyd jego ojcu, co sprawiało, że Roma znajdował w tym perwersyjną przyjemność.

– Skoro jestem durniem, to się mnie pozbądź. – Roma rozłożył ręce. – Niech Dimitrij zamiast mnie zajmuje się szaleństwem. A może, jeszcze lepiej, żebyś ty się za to zabrał?

Lord Montagow nie zamierzał odpowiadać synowi. Gdyby byli sami, ojciec Romy wrzeszczałby i uderzał dłońmi o najbliższą płaską powierzchnię, żeby zrobić dodatkowy hałas – każdy hałas uważał za satysfakcjonujący, jeśli tylko udawało się sprawić, że Roma drgnął nerwowo.

Lordowi Montagowowi nie zależało na posłuszeństwie. Tylko na potwierdzeniu swojej władzy.

W tym momencie Roma był dostatecznie zuchwały, żeby sprawdzić jego blef.

– Domyślam się, że jesteś zbyt zajęty. Domyślam się, że Dimitrij ma ważniejsze zadania do wykonania, ważniejszych ludzi, których należy zbałamucić pięknymi słówkami. A może... – Roma ściszył głos, mówił teraz, jakby recytował wiersz. – A może przyczyną jest to, że ani ty, ani Dimitrij nie jesteście dość odważni, by zbliżyć się do szaleństwa. Bardziej obawiasz się o siebie niż o naszych ludzi.

– Roma...

Zza zamkniętych drzwi rozległ się przeraźliwy wrzask, a Roma natychmiast okręcił się na pięcie, nie dbając o to, że przez tak gwałtowny ruch może dostać nożem w plecy. Błyskawicznie sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął pistolet, wystrzelił raz, drugi, trzeci, aż szklana szyba w drzwiach rozprysnęła się całkowicie, a on mógł wsadzić do środka rękę i przekręcić klucz po drugiej stronie.

– Alisa! – ryknął, otwierając drzwi na oścież. – Alisa!!!

Wpadł na oddział ratunkowy i uniósł rękę, żeby osłonić oczy przed ostrym światłem, którego źródłem były lampy zwisające z zapadającego się sufitu. Nikt nie zaprotestował przeciwko jego obecności. Byli zbyt zajęci przytrzymywaniem skręcającego się ciała Alisy, unieruchomieniem jej na dostatecznie długo, żeby wbić w jej szyję igłę strzykawki. Alisa błyskawicznie zwiotczała, zakrwawione pasma cienkich, jasnych włosów opadły na jej oczy.

Lekarz, ten sam, który zamknął przed Romą drzwi i zapewniał, że jego siostra jest bezpieczna, odchrząknął. Roma popatrzył na niego, ledwie panując nad gniewem.

– Daliśmy jej zastrzyk, żeby wprowadzić ją w śpiączkę. – Lekarz zacisnął wargi i potarł energicznie czoło, jakby starał się rozwiać mgłę w swojej głowie. – Ja... my... – Odchrząknął i zaczął jeszcze raz. – Nie wiemy, co jej jest. Musi pozostać w śpiączce, dopóki nie znajdzie się lekarstwo.

ROZDZIAŁ 18

Roma szedł po schodach. Jego ciało przyniosło go tutaj, kierując się jakąś własną wolą. Machinalnie skinął na powitanie barmanowi i odsunął zasłonę w drzwiach prowadzących na zaplecze baru, ale myślami błędził daleko od tego miejsca. Oczyma duszy widział siebie stojącego przed drzwiami szpitalnego pokoju i obserwującego Alisę pogrążoną w wywołanym lekami śnie, z rękami i nogami przywiązanymi do łóżka dla jej bezpieczeństwa.

– Jestem niepokonany!

Ryk, który dobiegł z dołu spiralnych schodów, sprawił, że Roma powrócił do rzeczywistości. Zalała go fala wściekłości. Czując, jak gotuje się w nim krew, przeskoczył pięć ostatnich stopni i z ciężkim łoskotem wylądował na drewnianej podłodze.

Wpadł w głąb podziemnej kondygnacji zlokalizowanej poniżej baru. Wybudowanie tego miejsca kilka lat temu pochłonęło niemal wszystkie fundusze jego ojca – deski podłogowe były krzywe, a żarówki na niskim suficie mrugały i gasły wtedy, kiedy same chciały. Cuchnęło tu potem i moczem, zewsząd dochodziły krzyki tylu głosów, że można byłoby uznać tę salę za kryjówkę bandy chuliganów. Ale wystarczyło jedno spojrzenie – na ring na jej środku, na metaliczny błysk lin, które go otaczały – żeby wiedzieć, że ta podziemna arena walk okazała się jedną z najcenniejszych inwestycji lorda Montagowa. Nic dziwnego, że dosłownie po kilku tygodniach marże pobierane od obstawianych tutaj zakładów z nadwyżką wyrównały poniesione koszty.

– Nie macie lepszych rzeczy do roboty, niż przebywać w takim towarzystwie?

Roma usiadł przy jednym ze stolików dla widzów i przyjrzał się ceramicznym filiżankom stojącym przed Benediktem i Marshalllem.

– Też to powiedziałem – odparł Benedikt.

– To ostatni raz, obiecuję – zapewnił Marshall. – Po tej... Nie, celuj w nogi!

Cała uwaga Marshalla w jednej chwili skupiła się na walce. Tłum otaczający ring zaczął wiwatować, kiedy przegrany poleciał na ziemię, a zwycięzca uniósł pięść w powietrze.

– Fatalna forma – mruknął Marshall i znowu spojrzał na przyjaciół.

Niezadowolony Roma podniósł filiżankę stojącą przed Benediktem i ostrożnie powąchał zawartość. Kuzyn natychmiast odebrał mu naczynie.

– Nie pij tego – ostrzegł Benedikt.

– Wódka? – zapytał Roma, ponieważ potrafił zidentyfikować zapach, który go doleciał. – W filiżance? Serio?

– To nie był mój pomysł.

Marshall uśmiechnął się przebiegle.

– Tak, nie obwiniaj swojego uroczego kuzyna. To mój pomysł.

Stolik nagle się zatrzęsł, kiedy kolejny mężczyzna z impetem poleciał na deski ringu, a tłum urządził zwycięzcy hałaśliwą owację. Kobieta zapisywała wyniki kawałkiem kredy, a w przerwach pomiędzy walkami widzowie podbiegali do niej i wręczali jej gotówkę, obstawiając głośno, kto wygra.

Roma nie był zaskoczony, kiedy zobaczył, że na ring wchodzi Dimitrij Woronin. Dimitrij wydawał się typem, który będzie spędzać cały czas wolny w takim miejscu, czując się jak domu w tym brudzie i wśród tylu szumowin. Roma ze swojej strony starał się tego przybytku unikać. Przychodził tutaj, tylko jeśli sprawy nie mogły poczekać, tak jak właśnie teraz.

– Właśnie rozmawiałem z ojcem – powiedział Roma. Odwrócił głowę, żeby nie patrzeć, jak Dimitrij wymachuje pięściami i szczyrzy zęby przed tłumem.

– Szaleństwo przestało go obchodzić. Uważa, że to coś, co da się przeczekać. Uważa, że Alisa po prostu się obudzi i otrząśnie z tego, kiedy znudzą jej się próby rozszarpania sobie gardła.

To była tylko część prawdy. Lord Montagow nie zamierzał dłużej zajmować się tematem szaleństwa, ale to nie apatia nim kierowała. Roma trafił w czuły punkt i uderzył go tam, gdzie zabolą najbardziej. Ta bierność miała być karą. Skoro Roma nazwał własnego ojca tchórzem, lord Montagow zamierzał pokazać mu, jak bardzo umie być tchórzliwy, i pozwolić, aby Alisa zgasła.

– To skończony idiota. – Marshall zastanowił się nad własnymi słowami. – Nie obraż się.

– Nie zamierzam – mruknął Roma. To było zupełnie tak, jakby jego ojciec nie rozumiał, że nie da się być bossem gangu bez gangsterów. Lord Montagow pokładał w sobie zbyt dużą wiarę, w dużej mierze bezpodstawnie. Zapewne uważał, że gdyby spełnił się najczarniejszy scenariusz, mógłby zmierzyć się ze śmiercią i zażądać zwrotu swojej własności.

– Muszę coś zrobić. – Roma oparł głowę na rękach. – Ale poza wpompowaniem wszystkich naszych funduszy w laboratorium, żeby Lourens miał więcej środków i mógł opracować lekarstwo...

– Chwila – odezwał się Marshall. – Po co czekać, aż Lourens z niczego stworzy lekarstwo, skoro na ulicach krążą plotki, że ktoś już zrobił szczepionkę? Możemy wykraść tę szczepionkę, przeprowadzić własne badania...

– Nie mamy pojęcia, czy ta szczepionka jest prawdziwa – przerwał mu Benedikt. – Jeśli mówisz o Larkspurze, to on brzmi jak kompletny szarlatan.

Roma skinął głową, zgadzając się z nim. On także słyszał te plotki, ale były nonsensowne: ktoś po prostu znalazł sposób, żeby zarabiać na panice, która ogarnęła miasto. Skoro wykształceni lekarze ledwie rozumieli mechanizm powstawania szaleństwa, jak jakiś pojedynczy cudzoziemiec miałby wymyślić lekarstwo?

– Musimy znaleźć tę żywą ofiarę, której żąda od nas Lourens – zdecydował Roma. – Ale...

Z ringu dobiegł trzask łamanych kości, a zaraz potem kobieta zawołała następnego zawodnika, który chciałby się zmierzyć z „boskim Dimitrijem Woroninem”. Roma skrzywił się, żałując, że nie może się odciąć od całego tego hałasu.

Mężczyzna siedzący przy stoliku obok podniósł się podekscytowany i pobiegł w stronę ringu.

– Ale... – Roma próbował mówić dalej pomimo zgiełku. Patrzył za mężczyzną z gniewnym grymasem. – Nie możemy siedzieć beczynnie i czekać na lekarstwo, które Lourens może opracuje, a może nie. Naprawdę nie mam pojęcia, co jeszcze...

Tłum ryknął, ale tym razem nie z morderczej radości, lecz z wściekłości i rozczarowania. Roma odwrócił się szybko i zaklął, kiedy zobaczył, dlaczego walka została przerwana.

Dimitrij wycelował do następnego zawodnika z pistoletu.

Benedikt i Marshall podnieśli się, jednak Roma szybko wyciągnął rękę i kazał im siadać. Przeciwnik Dimitrija, jak się okazało po bliższym przyjrzeniu, nie był Rosjaninem. Roma nie zauważył tego wcześniej, ponieważ spojrzał na niego tylko pobieżnie, kiedy mężczyzna wchodził na ring, ale pomada na włosach zdradzała Amerykanina.

– Spokojnie, stary. – Amerykanin roześmiał się nerwowo. Jego akcent potwierdził podejrzenia Romy. – Myślałem, że to walka wręcz, a nie pojedynek na Dzikim Zachodzie.

Dimitrij skrzywił się, jakby nie rozumiał, o czym mówi mężczyzna.

– Szkarłatni kupcy, którzy się tu zakradną, muszą ponieść konsekwencje.

Przeciwnik spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

– Ja... ja nie należę do Szkarłatnego Gangu.

– Prowadzisz z nimi interesy. Widziałem cię na ich terytorium.

– Ale ja nie mam z nimi nic wspólnego – zaprotestował.

– W tym mieście jesteś z nami albo przeciwko nam.

Roma podniósł się z krzesła. Rzucił ostre spojrzenie dwójce swoich przyjaciół, ostrzegając ich, żeby nie próbowali iść za nim, a potem odwrócił się i ściągnął surowo brwi. Amerykanin nadal tłumaczył się, stojąc na ringu. Dimitrij podszedł do niego bliżej z pistoletem. Zanim Roma zdążył przepchnąć się przez tłum i przejść nad linami, Dimitrij stał już naprzeciwko Amerykanina i oddychał ciężko z wściekłości.

Dlaczego on jest taki nabuzowany?, zastanawiał się Roma z autentycznym zdziwieniem. Tego rodzaju uchybienie można było z łatwością puścić płazem. Ten mężczyzna naprawdę nie należał do Szkarłatnych. Skoro był tak głupi, żeby przyjść do klubu na terytorium Białych Kwiatów, to jego statek prawdopodobnie zawinął do portu w Szanghaju zaledwie kilka dni temu.

Roma wskoczył na ring i miękkim krokiem wślizgnął się pomiędzy Amerykanina a lufę pistoletu Dimitrija.

– Wystarczy.

– Odsuń się, Roma! – zagrzmiał Dimitrij. Przesunął z groźbą lufę, aż zimny metal przycisnął się do czoła Romy, zostawiając ślad. – Spływaj stąd. To ciebie nie dotyczy.

– Bo co? – zapytał chłodno Roma. – Zastrzelisz mnie?

Tutaj, w świetle reflektorów, w tłumie Białych Kwiatów, Roma był bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej. Miał przystawiony do głowy pistolet, ale nie musiał się bać. Dimitrij miał tylko jedno wyjście, a słysząc coraz bardziej niezadowolone okrzyki widzów, najwyraźniej zrozumiał, że Roma postawił go pod ścianą. Dla Dimitrija Roma mógł być tylko kręcącym się po domu irytującym dzieciakiem, któremu lord Montagow nie ufał. Dla otaczających ich ludzi Roma był następcą bossa Białych Kwiatów, pogromcą Szkarłatnych, zanurzonym po szyję w krwi przelanej w imię zemsty. Czy się to komuś podobało, czy też nie, Roma nosił nazwisko Montagow, a rodzina Montagowów miała władzę. Skoro Roma powiedział, że ten Amerykanin nie jest Szkarłatny, to nie był Szkarłatny.

Roma machnięciem kazał Amerykaninowi uciekać.

Kiedy jednak mężczyzna zeskoczył z ringu i pobiegł do wyjścia, Dimitrij wycelował i go zastrzelił.

– Nie! – krzyknął Roma.

W tłumie wybuchła kakofonia wiwatów i oburzonego buczenia, ludzie podzielili się na tych, którzy w duchu z niecierpliwością czekali, aż Dimitrij nasyci ich pragnienie przelewu krwi, i na tych, którzy obserwowali teraz z niepokojem sytuację i zastanawiali się, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Roma, skoro nie jest w stanie zmusić Dimitrija do posłuszeństwa.

Roma wściekał się przez cały dzień. Nie mógł zmusić lekarzy, żeby zastosowali się do jego żądań. Nie mógł przekonać własnego ojca, żeby postępował zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. Był następcą bossa Białych Kwiatów: dziedzicem podziemnego imperium składającego się z morderców, gangsterów i twardych kupców, którzy uciekli z szarpanego wojną kraju. Jeśli nie potrafił zasłużyć na ich szacunek, jeśli nie potrafił nimi rządzić i karmić się ich strachem, to do czego, u diabła, się nadawał?

Dimitrij wykonał posunięcie przeciwko niemu i nagle Roma zaczął słyszeć drwiny ludzi, którymi powinien dowodzić, patrzących na niego jak na dziecko, a nie ich przyszłego szefa. Gdyby to Dimitrij był w szpitalu, być może lekarze by go posłuchali. Gdyby to Dimitrij powiedział lordowi Montagowowi, że szaleństwo zagraża miastu z gwałtownością większą, niż kiedykolwiek wcześniej przypuszczali, lord Montagow by go wysłuchał.

Opanowanie wślizgiwało się Romie jak ziarenka piasku przesypujące się przez palce. Kiedy zacisnął pięści, pozostała zaledwie odrobina piasku. Jego dłonie były prawie puste.

Jeśli teraz straci szacunek otaczających go Białych Kwiatów, na zawsze straci również swoją pozycję. swoją pozycję. Jeśli nie udowodni, że właśnie on jest Romą Montagowem, następcą bossa Białych Kwiatów, nie będzie mógł ochronić tych, na których bezpieczeństwie mu najbardziej zależało.

Zawiódł już Alisę.

Nie mógł zawieść nikogo więcej.

– Nie będziemy tolerować Szkarłatnego Gangu! – Dimitrij wymachiwał ręką w górę i w dół, nonszalancko opuszczając i podnosząc pistolet, aby dodatkowo podburzyć widzów. – Zabijemy ich wszystkich!

Dawno temu Roma powiedział Juliette, że jej wściekłość przypomina zimny brylant. Była czymś, co Juliette mogła dać innym ludziom, aby załśniło na ich skórze bogactwem i pięknem, zanim, zbyt późno, uświadomiła sobie, że ten brylant potnie ich na kawałki. Podziwiał ją za to. W dużej mierze dlatego, że jego wściekłość była czymś kompletnie przeciwnym – nieokiełznaną falą ognia, która nie pozwalała na żadne subtelności.

Teraz właśnie przybyła.

Dwa szybkie kroki wystarczyły. Roma rzucił się na Dimitrija, wyrwał mu pistolet i cisnął broń w tłum.

– Nie walczyłeś uczciwie z tym Amerykaninem – powiedział i skinął na Dimitrija, zachęcając go, żeby się zbliżył. – Pozwolę ci się za to zrehabilitować.

Tłum wrzasnął z aprobatą. Dimitrij przez moment stał nieruchomo, starając się odgadnąć motywację Romy. Potem rzucił okiem na wiwatującą widownię, poruszył głową, żeby rozluźnić mięśnie, i zaszarżował.

Roma nie pozwolił, żeby ta walka zmieniła się w ohydne, zwierzęce zapasy, z jakich to miejsce było znane. Od momentu, kiedy uniósł rękę, żeby zablokować pierwsze uderzenie, poruszał się bez przerwy, a ciosy wymierzał precyzyjnie. Deski ringu trzęsły się od owacji, zgromadzeni w klubie wrzeszczeli tak głośno, że echo odbijało się od ścian.

Dla obserwatorów wszystko działo się tak błyskawicznie, że trudno było śledzić ruchy walczących.

Roma działał instynktownie. Przez całe lata sparował z Benediktem i w końcu mu się to do czegoś przydało. Roma potrafił przechodzić od ataku do obrony w ułamku sekundy; jego prawa ręka blokowała uderzenie przeciwnika, a lewa jednocześnie brała zamach, żeby uderzyć z całej siły w szczękę Dimitrija, który musiał się cofnąć z coraz większym szaleństwem w oczach.

Nie miało znaczenia, jak bardzo rozwścieczony jest Dimitrij, Roma był niezmordowany. Czuł się niemal tak, jakby zyskał nadprzyrodzone siły. Energia pulsowała w jego kończynach, czuł, że musi bezwzględnie wygrać w walce z faworytem, przypomnieć ludziom, kto jest prawdziwym Montagowem, a kto podróbką, kto naprawdę zasługuje na godność następcy bossa.

W końcu Dimitrij zdołał trafić Romę w policzek. Uderzenie zapiekło o wiele bardziej, niż powinno.

Roma syknął i odskoczył niezgrabnie o trzy kroki, żeby sprawdzić, co się stało. Dimitrij machnął rękami i poruszył barkami, a wtedy coś błysnęło pomiędzy jego wskazującym a środkowym palcem.

On trzyma w dłoni ostrze, uświadomił sobie mglście Roma. Przypląnęła kolejna myśl, jakby to było coś nowego: *Oszust*.

– Chcesz się już poddać?! – krzyknął Dimitrij i uderzył się pięścią w pierś. Roma nie mógł oderwać spojrzenia od lśniącego ostrza. Nie mógł teraz wycofać się z walki tak, żeby nie stracić twarzy. Ale jeśli będą kontynuować, wystarczy, że Dimitrij przeciągnie pięścią po jego szyi, żeby go zabić.

Roma poczuł, że ogarnia go panika. Jego ruchy stały się niezgrabne. Dimitrij wymierzył kopniaka, a Roma przyjął go. Kątem oka zobaczył zamachującą się pięść, a w pośpiechu, żeby zrobić unik, źle wymierzył odległość, stracił równowagę i się potknął. Dimitrij znowu uderzył. Ostrze błysnęło, na podbródku Romy pojawiło się skaleczenie.

Tłum buczał. Wyczuwał, że Roma traci energię. Wyczuwał, że najwyraźniej się poddał, zanim jeszcze walka się zakończyła.

Jesteś Montagowem czy jesteś tchórzem?

Roma spojrzął znowu przed siebie i zacisnął zęby, chociaż szczęka pulsowała mu bólem. Po co właściwie walczył tak cholernie fair? W jakim urojonym świecie żył, jeśli sądził, że Białym Kwiatom zależy na kimś, kto rządziłby nimi dzięki zasadom honoru, a nie poprzez pot, krew i przemoc?

Wyciągnął rękę i złapał garść czarnych, sięgających ramion włosów Dimitrija. Dimitrij się tego nie spodziewał. Nie spodziewał się także, że Roma walnie go kolanem prosto w nos, że wykręci mu ramię na plecy, a potem chwyci za kark i kopnie z całej siły od tyłu w kolana.

Dimitrij poleciał jak długi na deski. Tłum rzucił się do lin i zaczął potrząsać całym ringiem.

Roma miał nad nim całkowitą władzę. Dzięki ustawieniu rąk mógłby złamać Dimitrijowi kark, gdyby tylko chciał. Mógłby zrobić wszystko i przekonywać, że był to zwyczajny wypadek pod wpływem emocji.

– Zwycięża Roma Montagow! – oznajmiła kobieta przy tablicy wyników.

Roma pochylił się na tyle nisko, żeby Dimitrij dobrze usłyszał jego słowa pomimo ryczącego tłumu.

– Nie zapominaj, kim jestem.

Po tych słowach wstał i byle jak otarł przedramieniem krwawiące usta. Pochylił się, żeby przejść pomiędzy linami, i wylądował w środku tłumu. To miejsce było wybuchową mieszanką przemocy i rozgrzanych emocji. Roma nie mógł się doczekać, aż stąd wyjdzie.

– Ty tam – warknął. Mężczyzna z białą chusteczką w butonierce stanął na baczność. – Każ komuś wynieść stąd trupa Amerykanina.

Mężczyzna pobiegł wykonać polecenie. Roma wrócił do przyjaciół i opadł na swoje miejsce, mając wrażenie, że zwala się na niego ciężar tysiąca lat.

– Witaj, bohaterze – zażartował Marshall.

– Zamknij się – rzucił Roma. Odetchnął głęboko. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Oczami duszy nadal widział Amerykanina osuwającego się na ziemię.

Nieruchome ciało Alisy. Pozbawioną jakichkolwiek emocji twarz ojca.

– Wszystko w porządku? – zapytał z troską Benedikt.

– Tak, wszystko dobrze. – Roma popatrzył na niego ze złością. – Możemy wrócić do przerwanej dyskusji? Biorąc pod uwagę stan Alisy... – Twarz siostry cały czas stała mu przed oczami, wyostrowiona, coraz bardziej wymizerowana. – Potrzebuję odpowiedzi. Jeśli to szaleństwo jest efektem czyichś niegodziwych intencji, muszę odnaleźć tego człowieka.

– Wydawało mi się, że ojciec wysłał cię do komunistów?

Roma skinął głową.

– Tak, ale to był ślepy zaułek. Gdziekolwiek próbujemy iść, trafiamy w ślepe zaułki.

– Możemy poprosić Szkarłatny Gang, żeby podzielił się informacjami – zaproponował Marshall. – Tym razem weźmiemy więcej broni...

Benedikt zatkał dłonią usta Marshalla, uciszając go, zanim chłopak zdążył rozwinąć swój nonsensowny plan.

– Naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, co jeszcze moglibyśmy zrobić – przyznał Benedikt. – Myślę, że to spotkanie dowiodło jasno, że Białe Kwiaty nic nie wiedzą. Jesteśmy na straconej pozycji, o ile nie wykorzystamy wszystkich naszych możliwości i nie zajrzemy w każdy zakamarek Szanghaju.

– Ilu szpiegów mamy jeszcze w Szkarłatnym Gangu? – zapytał Roma. – Może oni mogliby się dowiedzieć, co się dzieje. Szkarłatny Gang praktycznie przyznał, że mają jakieś informacje, ale nie zamierzają się nimi dzielić...

– Wątpię, żeby zwracanie się do szpiegów coś dało – przerwał Benedikt. Nadal trzymał dłoń na ustach Marshalla, który najwyraźniej zaczął ją lizać od środka, próbując się uwolnić. Benedikt zachowywał się, jakby niczego nie zauważał. – Jeśli Szkarłatny Gang naprawdę coś wie, omawia to tylko w wewnętrznym kręgu. Dopuszczenie, żeby plotki dotarły do szeregowych gangsterów, to pewny sposób na wywołanie paniki.

Marshall w końcu zdołał się wywinąć spod dłoni Benedikta.

– Na litość boską, obaj jesteście tępi – odezwał się. – Kto ze Szkarłatnego Gangu pojawia się wszędzie tam, gdzie ty, a jednocześnie też wyraźnie traktuje znalezienie niezbędnych odpowiedzi jako sprawę osobistą? – Popatrzył prosto na Romę. – Musisz poprosić o pomoc Juliette.

Roma nagle uniósł palec, prosząc Benedikta i Marshalla o cierpliwość, żeby mógł to przemyśleć.

Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

– Podaj mi tamto wiadro.

Benedikt zamrugął.

– Co takiego?

– Wiadro.

Marshall wstał i przyniósł wiadro. Kiedy tylko podsunął je Romie pod nos, brutalny następca bossa Białych Kwiatów wsadził do niego głowę i wymiotował z powodu całej tej przemocy, która go otaczała.

Minutę później Roma podniósł się, opróżniwszy żołądek.

– Niech będzie – powiedział z goryczą. – Poproszę Juliette o pomoc.

ROZDZIAŁ 19

Martwię się. Chyba mi się nie dziwisz?

Lady Cai przesuwiała szczotką po włosach Juliette i marszczyła brwi za każdym razem, kiedy natrafiła na sklezione pasmo. Juliette była oczywiście dostatecznie duża, żeby sama się sobą zajmować, ale matka nalegała. Gdy Juliette była małą dziewczynką z włosami sięgającymi do pasa, matka co wieczór przychodziła do jej pokoju i szczotkowała je, żeby pozbyć się kołtunów, dopóki nie była zadowolona ze stanu głowy córki – co czasem obejmowało także myśli w tej głowie. Teraz, gdy Juliette wróciła na stałe, matka nalegała na kontynuowanie rytuału. Rodzice Juliette mieli wiele obowiązków, więc w ten sposób matka mogła nadal uczestniczyć w jakimś stopniu w jej życiu.

– Niezależnie od tego, co dzieje się w tym mieście, angażuje się w to zbyt wielu ludzi – ciągnęła lady Cai. – Zbyt wielu ludzi traktujących sprawę osobiście. Zbyt wielu ludzi mających zbyt wiele do stracenia. – Zmarszczka na jej czole stała się głębsza, zarówno z powodu słów padających z jej ust, jak i frustracji obecnym zadaniem. Juliette nosiła teraz włosy obcięte w boba, więc nie pozostało wiele do szczotkowania, ale trudno było usunąć z nich wszystkie resztki żelu, który nakładała codziennie, aby ułożyć pofalowaną fryzurę.

– *Māma*, będziesz miała jeszcze więcej powodów do zmartwień, jeśli szaleństwo rozprzestrzeni się na wszystkie zakątki miasta. – Juliette skrzywiła się, kiedy szczotka zaczepiła o grudkę żelu, której nie udało się wypłukać. – Nasze coraz bardziej topniejące szeregi to poważniejszy powód do niepokoju niż to, kogo mogłam urazić, wtrącając się w sprawy komunistów.

Topniejące szeregi Szkarłatnego Gangu. Topniejące szeregi Białych Kwiatów. Wojna gangów była niczym w porównaniu ze śmiertelnością wśród członków obu grup, a mimo to najwyraźniej tylko Juliette uważała, że to szaleństwo ma dostateczną siłę, żeby zmieść ich z powierzchni ziemi. Jej rodzice byli na to zbyt dumni. Zanadto przyzwyczaili się do sytuacji, które mogą kontrolować, a także do przeciwników, których mogą pokonać. Nie patrzyli na sprawy tak jak Juliette. Nie widzieli Alisy Montagow, próbującej rozerwać sobie gardło, za każdym razem, kiedy zamykali oczy – tak jak teraz Juliette.

Ta dziewczynka była jeszcze taka młoda. Dlaczego stała się przypadkową ofiarą?

– Cóż. – Lady Cai pociągnęła nosem. – To nieuniknione, że możesz kogoś urazić. Chodzi mi tylko o to, że w takim przypadku wolałabym wysłać z tobą naszych ludzi.

Juliette się najeżyła. Przynajmniej jej rodzice traktowali teraz szaleństwo poważnie. Nadal nie uważali, że mogą mieć wpływ na chorobę, przez którą ludzie rozsarpują sobie gardła – ale obchodziło ich to na tyle, że oficjalnie oddelegowali Juliette, aby się tym zajmowała. Zdjęli z niej wszystkie inne obowiązki, co oznaczało, że nie musiała już ścigać właścicieli lokali zalegających z czynszem. Juliette dostała jednoosobową misję – miała dotrzeć do prawdy.

– Proszę, nie przydzielaj mi obstawy – powiedziała i wzdrygnęła się. – Jestem od nich lepsza w walce, nawet przez sen.

Lady Cai spojrzała gniewnie w lustrze na córkę.

– Co takiego? – zapytała Juliette.

– Tu nie chodzi o walkę – oznajmiła stanowczo matka. – Chodzi o wizerunek. O to, żeby twoi ludzie pilnowali twojego bezpieczeństwa.

No nie. Juliette potrafiła wyczuć zbliżające się kazanie. Posiadała taką wrodzoną umiejętność, tak jak niektórzy ludzie potrafili wyczuć burzę z powodu łamania w kościach.

– Nie zapominaj, że twój ojciec od czasu objęcia władzy został jej raz czy dwa pozbawiony.

Juliette zamknęła oczy i westchnęła w duchu, zanim zmusiła się, żeby je znowu otworzyć. Minęły cztery lata, a jej matka nadal z największą lubością powtarzała tę historię, jakby kryła się w niej najważniejsza lekcja dla całej ludzkości.

– Kiedy ten odrażający Montagow pomścił śmierć swojego ojca, zabijając twojego dziadka – zaczęła lady Cai – twój ojciec powinien być zostać następnym przywódcą.

Lady Cai przeciągnęła szczotką po sklejonym pasemku. Juliette się skrzywiła.

– Był jednak wtedy młodszy, niż ty jesteś teraz, więc kupcy odsunęli go i uznali, że to jeden z nich będzie podejmował ostateczne decyzje.

Zlekceważyli go, uważając, że jest zbyt niedoświadczony, i powiedzieli, że jeśli chce rządzić tylko z racji swojego urodzenia, powinien założyć monarchię, a nie gang. Potem jednak, w roku...

– Tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim – przerwała jej Juliette i z teatralną przesadą podjęła historię – gdy na ulicach Szanghaju panowały chaos i zamęt, a zarówno Szkarłatnym Gangiem, jak i Białymi Kwiatami kierowali przypadkowi ludzie, podczas gdy prawowici młodzi następcy zostali zepchnięci na margines, w końcu zbuntowali się oni...

Juliette szybko zamilkła, ponieważ zauważyła, że matka spiorunowała ją ostrym spojrzeniem. Skrzyżowała ramiona i wymamrotała przeprosiny. Podziwiała swojego ojca za to, że potrafił wspiąć się z powrotem na szczyt, a nawet była skłonna chłodno przyznać, że lord Montagow – który także po śmierci swojego ojca został odsunięty od władzy – był wystarczająco inteligentny, by zrobić to samo. Tyle że w tamtym okresie, gdy oboma gangami kierowali ludzie, których nie obchodziły więzy krwi czy lojalność i dla których liczyły się tylko skuteczność oraz pieniądze, wojna gangów pochłaniała najmniej ofiar.

– Twój ojciec – przypomniała lady Cai, mocując się ze szczotką – odzyskał należną sobie pozycję, kiedy był starszy, ponieważ ludzie w niego wierzyli. Odwołał się do zwykłej większości, do tych, którzy teraz strzegą jego bezpieczeństwa i są gotowi oddać za niego życie. To kwestia dumy, Juliette. – Lady Cai pochyliła głowę i przytuliła policzek do policzka córki, aby wraz z nią spojrzeć w lustro. – Chciał, aby Szkarłatny Gang był ogromnym żywiołem. Chciał, aby przynależność do gangu była synonimem władzy. Szeregowi członkowie gangu nie pragnęli niczego więcej i wsparli go, obalając kupców, którzy nie mieli innego wyjścia, jak tylko uznać swoją podległość.

Juliette uniosła brew.

– Podsumowując – powiedziała – liczy się przewaga liczebna.

– Można tak powiedzieć. – Jej matka cmoknęła językiem. – Dlatego nie zacznij uważać, że talent wystarcza do utrzymania się na szczycie. Lojalność gra nieczysto, a przy tym jest kapryśna i wiecznie zmienna.

Z tymi słowami lady Cai odłożyła szczotkę, objęła córkę za ramiona i życzyła jej dobrej nocy. Związła, energiczna i rzeczowa – taka była jej matka. Wyszła z sypialni i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Juliette, aby zastanowiła się nad tym, co właśnie usłyszała.

Reszta świata nie zauważała tego, ale chociaż lord Cai był twarzą Szkarłatnego Gangu, lady Cai wykonywała taką samą jak on pracę na zapleczu, zapoznając się z każdym papierkiem, jaki trafiał do ich domu. To właśnie lady Cai przekonała męża, że ich córka będzie znacznie lepszą przywódczynią gangu niż jeden z ich męskich krewnych. Dlatego właśnie to Juliette nosiła koronę, zaś lord Cai oczekiwał, że gdy pewnego dnia Juliette obejmie władzę, cały gang skłoni przed nią głowy – z powodu lojalności wobec jego krwi.

Juliette pochyliła się do lustra i dotknęła jego powierzchni tak, jakby dotykała swojej twarzy.

Czy to lojalność dawała władzę? Czy też lojalność pojawiała się i odgrywała rolę w sprzyjających okolicznościach, a znikła, gdy sytuacja ulegała zmianie? Lordowi Cai i lordowi Montagowowi pomogło to, że byli mężczyznami. Juliette nie była naiwna. Każdy goniec, każdy wykonawca rozkazów, każdy szeregowy, ale niezachwianie lojalny gangster był mężczyzną. Większość członków Szkarłatnego Gangu obawiała się teraz Juliette i podziwiała ją, ale to jeszcze nie znaczyło, że miała nad nimi kontrolę. Jak by zareagowali, gdyby Juliette naprawdę spróbowała wykorzystać swoją władzę? Czy musiałaby pozbyć się błyszczących sukienek i zacząć nosić garnitury – żeby zdobyć posłuch?

W końcu odsunęła się od toaletki i ze znużeniem potarła oczy. Dzień był wyjątkowo męczący, ale ona czuła się bardziej niespokojna niż znużona. Kiedy położyła się na kołdrze na łóżku, koszula nocna kleiła się jej do skóry. Słyszała mocne uderzenia serca, a im dłużej leżała w ciemności, tym głośniejsze się stawały, aż w końcu od tego dźwięku zaczęło jej pulsować w uszach.

Chwila...

Juliette usiadła gwałtownie. Ktoś stukał rytmicznie w szklane drzwi jej balkonu na piętrze.

– Nie – powiedziała Juliette głośno i głucho.

Pukanie rozległo się znowu, niespieszne i natarczywe.

– Nie – powtórzyła.

Znowu pukanie.

– Ach!

Juliette zerwała się na nogi i podbiegła do źródła dźwięku, rozsuwając zasłony z większą energią, niż to było konieczne. Kiedy przestały blokować jej widok, zobaczyła znajomą osobę siedzącą nonszalancko na balustradzie balkonu, machając nogami i podświetloną od tyłu przez blask księżyca. Juliette z trudem przełknęła ślinę.

– Naprawdę? – zapytała przez szklane drzwi. – Wspiąłeś się na balkon mojego domu? Nie mogłeś po prostu rzucać kamyczkami?

Roma spojrział na ogród poniżej.

– Nie macie tam żadnych kamyczków.

Juliette znowu potarła oczy, tym razem z całej siły. Może jeśli będzie je trzeć dostatecznie mocno, okaże się, że to tylko przykry sen, a ona obudzi się spokojnie, sama w pokoju.

Cofnęła dłoń od oczu. Roma nadal tutaj był.

Naprawdę powinni popracować nad zabezpieczeniami.

– Romo Montagow, to niedopuszczalne – oznajmiła stanowczo Juliette. Jego obecność tu budziła zbyt wiele wspomnień i melancholii, była zbyt intensywna. – Uciekaj, zanim ktoś cię zastrzeli.

Chociaż twarz Romy kryła się w cieniu, Juliette doskonale widziała jego zmarszczone teatralnie brwi. Roma rozejrzał się po pustym ogrodzie.

– Kto miałby mnie zastrzelić?

– Ja cię zastrzelę – warknęła Juliette.

– Nie, nie zrobisz tego. Otwórz drzwi, *dorogaja*.

Juliette szarpnęła się do tyłu, oburzona nie poleceniem, ale pieszczotliwym słowem, którego użył Roma. Najwyraźniej on w tym samym momencie uświadomił sobie, co mu się wymknęło. Jego oczy otworzyły się odrobinę szerzej, ale nie zmieszał się ani nie próbował się wycofywać. Patrzył tylko na nią wyczekująco, jakby nie przywołał właśnie reliktu przeszłości, którą roztrzaskali na drobne odłamki.

– Drzwi pozostaną zamknięte – oznajmiła zimno Juliette. – Czego chcesz?

Roma zeskoczył z balustrady i z cichym stuknięciem wylądował na kafelkach balkonu. Kiedy zbliżył się do szklanych drzwi, Juliette zobaczyła głębokie skaleczenie na jego szczęce. Zastanawiała się, czy przyszedł tutaj prosto po walce. To niemal wystarczyło, żeby sięgnęła po broń i naprawdę zmusiła go do ucieczki, ale w tym momencie Roma powiedział cichym szeptem:

– Chcę uratować moją siostrę.

Coś wewnątrz Juliette pękło. Twarde spojrzenie jej oczu ledwo dostrzegalnie zmiękło.

– Co z Alisą? – zapytała.

– Związali ją w szpitalu jak jakąś pacjentkę domu wariatów – odparł Roma. Wpatrywał się we własne dłonie, które bezustannie obracał; dłoń, grzbiet, dłoń, grzbiet; jakby szukał czegoś, czego tam nie było. – Kiedy odzyskała przytomność, próbowała znowu rozerwać sobie gardło, więc wstrzyknęli jej coś, co utrzymuje ją w śpiączce. Zamierzają trzymać ją w tym stanie, dopóki nie znajdzie się jakiś sposób na wyleczenie tego szaleństwa.

Roma podniósł głowę. W jego oczach krył się obłęd, czysta desperacja.

– Potrzebuję twojej pomocy, Juliette. Żaden z tropów, jakimi próbowałem iść, do niczego nie doprowadził. Nie ma już niczego, na czym mógłbym się oprzeć, żadnego miejsca, w które mógłbym pójść, nikogo, z kim mógłbym się skontaktować. Ale ty... wiem, że ty coś wiesz.

Juliette nie odpowiedziała od razu. Stała bez ruchu i walczyła z otwierającą się w jej wnętrzu otchłanią. Uświadomiła sobie, że nie jest już pewna, czy to uczucie jest nadal nienawiścią... czy może strachem. Strachem, że jeśli szaleństwo będzie trwać, ona także znajdzie się na miejscu Romy i będzie musiała patrzeć, jak umiera ktoś, kogo kocha. Strachem, że nawet ten cień współczucia dla sytuacji Romy stanowił już przekroczenie dopuszczalnej granicy.

Problem z nienawiścią polega na tym, że nawet kiedy osłabną pierwotne emocje, pozostają odruchy. Zaciśnięte pięści, gorąco w żyłach, rozmywające się widzenie i przyspieszony puls. Juliette nie miała żadnej kontroli nad tym, co mogło zrodzić się z tych odruchów.

Na przykład tęsknota.

– Prosisz mnie o pomoc – powiedziała cicho – ale... Ile krwi jest na twoich rękach? Przez ten czas, kiedy mnie tutaj nie było, ilu moich ludzi prosiło cię o pomoc, o litość, tuż zanim ich zastrzeliłeś?

Oczy Romy w blasku księżyca były całkowicie czarne.

– Nie mam na to żadnej odpowiedzi – przyznał. – Wojna gangów to wojna gangów. Teraz dzieje się coś całkowicie nowego. Jeśli nie pomożemy sobie nawzajem, obie nasze grupy mogą nie przetrwać.

– To ja mam informacje – ostrzegła go Juliette, czując nieprzyjemne mrowienie na skórze. – Spróbuj się pohamować przed rzucaniem nadmiernych uogólnień na nasz temat.

– Ty masz informacje, ale ja mam drugą połowę miasta – odparował Roma. – Jeśli będziesz działać sama, to połowy Szanghaju nie będziesz mogła wykorzystać. Jeśli ja będę działać sam, nie będę miał wstępu na terytorium Szkarłatnych. Pomyśl tylko, Juliette. Skoro szaleństwo dotyka nas po równo, nie da się odgadnąć, na którym terytorium kryje się odpowiedź.

Juliette miała wrażenie, że w pokoju zrobiło się zimno od tych słów, gorzkich, lodowatych i prawdziwych. Starła się to zignorować. Zmusiła się, żeby roześmiać się ostro.

– Właśnie udowodniłeś, że brak zezwolenia nie powstrzymuje cię przed paradowaniem po moim terytorium.

– Juliette. – Roma przycisnęła dłoń do szyby. W jego proszącym wzroku kryła się całkowita bezradność. – Błagam. Chodzi o moją siostrę.

Boże...

Juliette musiała odwrócić wzrok. Nie mogła tego wytrzymać. Nie zasłużyła na ten ciężar przygniatający jej serce. Jakakolwiek bezradność okazywana przez Romę Montagowa była tylko popisem aktorskim, starannie skonstruowaną maską, która pozwalała mu grać na czas, dopóki nie znalazł okazji, żeby zaatakować. Wiedziała o tym.

Być może jednak Juliette nigdy nie zmądrzeje. Być może wspomnienia Romy staną się przyczyną jej klęski, o ile nie zdoła sięgnąć do wnętrza własnej piersi i wyrwać wszystkiego, co jeszcze pozostało w niej miękkie.

– Ze względu na Alisę – wypowiedziała z trudem, spoglądając znowu na niego. – I ze względu na wszystkie dziewczynki w tym mieście będące ofiarami gry, w którą nie chciały grać, pomogę ci, Romo. Ale ty musisz wziąć w tym udział. Ja pomogę tobie, a ty pomożesz mi znaleźć wyjaśnienie tego szaleństwa tak szybko, jak to będzie możliwe.

Roma odetchnął głęboko, z ulgą i wdzięcznością. Juliette obserwowała go uważnie i widziała napięcie uchodzące z jego ramion i przerażenie w jego oczach przemieniające się w nadzieję. Zastanawiała się, ile z tego, co widziała, było prawdą, a ile wyłącznie grą na pokaz ze względu na nią, żeby uznała, że podjęła właściwą decyzję.

– Umowa stoi.

To mogło ją zniszczyć. To mogło wszystko zniszczyć. Ale teraz liczyła się nie Juliette ani jej uczucia: liczyło się tylko znalezienie rozwiązania. Jeśli szansa na ocalenie ludzi gangu wymagała zaryzykowania jej reputacji w ich oczach, musiała się zdobyć na takie poświęcenie.

Kto inny mógłby to zrobić? Kto poza Juliette?

– Niech będzie – powiedziała cicho. Teraz już nie można było się wycofać. – Mam prywatny adres Zhang Gutaia. Zamierzam włamać się tam i przeszukać jego mieszkanie, ale... – wzruszyła ramionami z taką swobodą, że niemal sama w nią uwierzyła – możemy tam pójść razem, jeśli sobie życzysz.

– Tak – powiedział Roma. Gdyby jeszcze trochę energiczniej kiwał głową, chybaby mu odpadła. – Tak.

– W takim razie jutro – zdecydowała Juliette. Nagle z całą siłą wdarły się do jej głowy wspomnienia ich wspólnej przeszłości, które przez te cztery lata tak intensywnie starała się wyrzucić z pamięci. Nie miała innego wyjścia, jak tylko je przywołać, ignorując bolesne ściskanie w płucach. – Spotkamy się przy posągu.

Posąg – niewielka kamienna rzeźba przedstawiająca płaczącą kobietę – był zapomnianym reliktem, ukrytym w bezimiennym parku na terenie Osiedla Międzynarodowego. Cztery lata temu Roma i Juliette natrafili na niego przypadkiem i spędzili całe popołudnie, starając się odgadnąć jego wymowę i pochodzenie. Juliette upierała się, że musi to być Niobe, kobieta z mitologii greckiej, która tak płakała po śmierci swoich dzieci, że bogowie zamienili ją w kamień. Roma twierdził, że to może być La Llorona, Płaczka z południowoamerykańskich wierzeń, która lamentowała po zabitych przez siebie dzieciach. Nie doszli wtedy do żadnego wniosku.

Jeśli Roma był zaskoczony, że Juliette wspomniała o tym posągu, nie dał niczego po sobie poznać. Zapytał tylko:

– Kiedy?

– O wschodzie słońca.

Dopiero w tym momencie Roma zaczął sprawiać wrażenie lekko zdziwionego.

– O wschodzie słońca? Bardzo ambitnie.

– Im wcześniej, tym lepiej – stwierdziła Juliette. Skrzywiła się. – To zmniejsza szanse, że ktoś zobaczy nas razem. Nie muszę chyba mówić, że nikt nie może wiedzieć o naszej współpracy. Gdyby ktoś się dowiedział, oboje...

– ...bylibyśmy martwi – dokończył Roma. – Wiem. W takim razie do zobaczenia o wschodzie słońca.

Juliette patrzyła, jak Roma przerzuca nogi przez balustradę i zaczepia się na wyszukanej żelaznej konstrukcji, jakby był ozdabiającą ją rzeźbą. W blasku wiszącego nisko księżyca przypominał czarno-białe studium rozpacz.

Znieruchomiał na moment.

– Dobranoc, Juliette.

Zniknął, a jego wysmukły cień przesunął się szybko po ścianie domu i przemknął w głąb ogrodu. Jeden skok później znalazł się już za bramą, poza posiadłością Szkarłatnego Gangu i w drodze do własnego świata.

Juliette starannie zaciągnęła zasłony, poprawiając je tak, żeby nie prześlizgnął się żaden promień srebrnego światła. Dopiero potem pozwoliła sobie odetchnąć głęboko, gdy pozbyła się blasku księżyca ze swojego pokoju, a jego zmiennej twarzy ze swojego serca.

ROZDZIAŁ 20

O wschodzie słońca było na tyle wcześnie, że w porcie panowała cisza, a fale uderzały o unoszący się na nich pomost. Wiatr pachniał nadal czystością, nieskażony porannym smogiem z fabryk, pozbawiony zapachów, które unosiły się ze smażonych potraw i gęstych zup gotowanych na wystawionych na ulicę straganach.

Niestety nie było na tyle wcześnie, żeby uniknąć wiecu nacjonalistów.

Juliette zatrzymała się w pół kroku i zamarła w bezruchu na chodniku pod kołyszącym się zielonym drzewem.

– *Tāmā de* – zaklęła pod nosem. – Co za...

– Kuomintang – odpowiedział Roma, zanim zdążyła dokończyć pytanie.

Juliette rzuciła mu niezyczliwe spojrzenie, kiedy zatrzymał się koło niej. Czy uważał, że ona nie potrafi zauważyć małych słońc na ich czapkach? Ten symbol trudno było nazwać nierozpoznawalnym. Partia Kuomintang błyskawicznie zyskiwała popularność, podobnie jak powiązany z nią ruch nacjonalistyczny.

– Wiem. – Juliette przewróciła oczami. – Chciałam zapytać, co za pomysł im znowu przyszedł do głowy. To moje miasto. Nie musisz mnie pouczać.

Roma rzucił jej spojrzenie z ukosa.

– Czy na pewno?

W jego głosie nie było cienia złośliwości, ale te kilka słów wbiło się jak sztylet prosto w serce Juliette. *Czy na pewno?* Ile razy zadawała sobie to pytanie na Manhattanie? Ile razy wchodziła na dach swojego budynku i spoglądała na pejzaż Nowego Jorku, nie pozwalając sobie pokochać tego miasta, ponieważ oznaczałoby to, że musiałaby stracić inne miasto. A gdyby straciła Szanghaj, straciłaby wszystko.

– Co to niby ma znaczyć? – zapytała ostro.

Roma wydawał się niemal rozbawiony jej pytaniem. Machnął ręką, wskazując nieokreślonym gestem jej sukienkę i buty.

– Daj spokój, Juliette, spędziłem tutaj więcej czasu od ciebie. Ty w głębi serca jesteś amerykańską dziewczyną.

– No tak – mruknęła Juliette. Ostre klucie w jej piersi tylko się nasiliło. – Ja i moje amerykańskie ideały demokratyczne. Jak ja sobie radzę w tym klimacie?

Zanim Roma zdążył znaleźć odpowiedź, Juliette ruszyła przed siebie, skręcając z obranej przez nich trasy. Zamiast przejść obok wiecu, który odbywał się na środku szerokiej ulicy, weszła pospiesznie w najbliższą uliczkę, gdzie zatrzymała się tylko na moment, żeby poczekać, aż Roma ją dogoni.

Natychmiast zorientował się w zmienionej drodze. Już po chwili oboje lawirowali pomiędzy workami śmieci i przewróconymi straganami na kółkach, marszcząc nos na widok bezpańskich zwierząt i krzywiąc się na widok licznych kałuż krwi. Teraz, kiedy szli przez zaułki miasta, woleli milczeć i udawać, że tego drugiego wcale tutaj nie ma.

Nagle Roma okręcił się na pięcie, żeby spojrzeć za siebie, tak szybko, że Juliette natychmiast uznała, że zostali zaatakowani.

– Co się dzieje? – warknęła, także się odwracając. Wyciągnęła pistolet i gorączkowo szukała celu, czekając na coś, co na nią wyskoczy. – O co chodzi?

Roma nie sięgnął po broń. Przyglądał się tylko ulicy za nimi ze zmarszczonymi brwiami.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem – powiedział. Czekali. Ptak zanurkował w kubie na śmieci. Z zewnętrznej rury na ulicę lała się brudna woda.

– Niczego nie widzę – powiedziała cicho Juliette i schowała broń.

Roma zmarszczył brwi. Odczekał jeszcze sekundę, ale nic się nie poruszyło.

– Mój błąd. Przepraszam. – Poprawił mankiet koszuli. – Możemy iść dalej.

Juliette z wahaniem odwróciła się i ruszyła przed siebie. Byli już niedaleko od miejsca, którego adres dostała od Kathleen. Znała tę część miasta.

Jednakże gęsia skórka nie chciała ustąpić z jej ramion.

On ma po prostu paranoję, uspokajała się Juliette. Lęk, że ktoś zobaczy ich razem, sprawiał, że oboje mieli napięte nerwy. Juliette postawiła kołnierz płaszcz, żeby zasłonić sobie twarz. Roma nasunął kapelusz głęboko na czoło, co było dobrym pomysłem, bo wyglądał tak, że przypadkowy przechodzień mógłby na jego widok uciec w przeciwną stronę. W jasnym świetle dnia skaleczenia na jego twarzy kontrastowały mocno z bladą skórą. Sądząc po cieniach pod oczami, Juliette nie byłaby zdziwiona, gdyby się okazało, że Roma spędził ostatnią noc bezsennie, przewracając się z boku na bok i martwiąc się o Alisę.

Juliette potrząsnęła głową. Nie powinna zakładać niczego takiego. Równie dobrze Roma mógł spędzić noc, polując na Szkarłatnych i mordując ich.

– To jeden z tych budynków – powiedziała, kiedy znaleźli się na właściwej ulicy. Domy tutaj były zapuszczone i stłoczone tak ciasno, że pomiędzy nimi pozostawało zaledwie tyle miejsca, żeby mogło się przecisnąć dziecko. Ta część miasta znajdowała się niedaleko Koncesji Francuskiej, ale gdyby wytyczyć granicę między dzielnicami, od razu byłoby jasne, do której z nich należy ta ulica. Być może wznosiła się tu dawniej wspaniała brama, ozdobiona złotymi znakami i witająca nowo przybyłych, ale już dawno zniknęła, wchłonięta przez miasto.

– Jesteś pewna, że to właściwe miejsce? – zapytał Roma. – Praca w gazecie jest chyba dość dobrze płatna, żeby wyprowadzić się stąd dokądkolwiek.

– Ty akurat, Romo Montagow, powinienes wiedzieć, jak ważny jest wizerunek – odparła Juliette. *Taki sam jak wszyscy, jeden z ludu, pośród ludu.* Komuniści wiecznie powtarzali takie frazesy. Skoro zwykli robotnicy musieli cierpieć, to musiał także Zhang Gutai; w jaki inny sposób miałyby sobie zaskarbić ich respekt?

Juliette skierowała się do budynku, którego adres dostała. Nagle, dwa kroki od głównego wejścia, stanęła jak wryta. Wskazała coś Romie.

– Patrz.

Roma stłumił głośne westchnienie. Owady. Cała kolekcja pancrzyków leżała na widoku przy wejściu do budynku mieszkalnego. Jeśli to nie wskazywało na winę, to Juliette nie wiedziała, jakie jeszcze dowody miałyby być potrzebne.

Z sercem bijącym jak młotem pchnęła drzwi. Zardzewiały zamek puścił bez oporu.

Juliette gestem ponagliła Romę. Weszli po schodach, krzywiąc się z powodu ich ciasnoty. Schody wspinały się w górę budynku pod ścianą, a potem wychodziły prosto na ułożone równolegle korytarze, w których znajdowało się czworo drzwi, rozlokowanych niedaleko od siebie. Na północ, na południe,

na północ, na południe – wspinali się po schodach, mijali drzwi na piętrze i wchodzili po następnym ciągu schodów, powtarzając ten rytm, od którego zaczynało wirować w głowie. Roma był bardziej przyzwyczajony, Juliette mniej. Od lat nie mieszkała w centralnej części miasta, nie czuła, jak deski podłogi poruszają się pod jej stopami, jak gdyby cała konstrukcja się chwiała.

– Który numer mieszkania? – zapytał Roma. Pociągnął nosem, kiedy mijali okno na trzecim piętrze. Spojrzał na doniczkę stojącą na samej krawędzi parapetu. Wystarczyłoby ją leciutko popchnąć, a roztrzaskałaby się na chodniku na dole.

Juliette wskazała tylko palcem w górę. Szli coraz wyżej i wyżej, aż na najwyższe piętro, gdzie na końcu schodów czekały na nich pojedyncze drzwi.

Zatrzymali się. Wymienili spojrzenia.

– Nie ma go w domu – zapewniła Juliette, zanim Roma zdążył zapytać. Przyklęła na jedno kolano i wyciągnęła z fałd sukienki cienki jak igła sztylet. – Sprawdziłam kalendarz w jego gabinecie. Dzisiaj przez cały dzień ma spotkania z ważnymi ludźmi.

Kiedy tylko Juliette wsadziła sztylet w zamek i wysunęła odrobinę język, koncentrując się, usłyszała bardzo wyraźne szuranie kroków w mieszkaniu, zbliżających się do drzwi.

– Juliette! – syknął Roma i skoczył do niej.

Juliette poderwała się i schowała sztylet do rękawa. Wyciągnęła rękę, żeby zatrzymać Romę w pół kroku, i podniosła się w porę. W następnej chwili drzwi otworzyły się i starszy mężczyzna popatrzył na nich zamglonymi, przymrużonymi oczami. Z pewnością zbliżał się do sześćdziesiątki, wydawał się przemęczony i znużony, jakby od urodzenia nie miał okazji porządnie się wyspać.

– Dzień dobry – powiedział zaskoczony.

Juliette szybko analizowała ich położenie. Uda im się z tego wybrnąć. To nie była sytuacja beznadziejna.

– Dzień dobry. Jesteśmy z uniwersytetu – oznajmiła, przechodząc na inny dialekt, Wenzhou, tak szybko, że Roma niemal niedostrzegalnie drgnął, niezdolny ukryć zaskoczenia tak błyskawiczną zmianą. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy panu w ten piękny poranek.

Mężczyzna nachylił się do niej i skrzywił. Odpowiedział w dialekcie szanghajskim:

– Możesz mówić w *běndìhuà*, dziewczyno? Nic nie rozumiem.

Wenzhou było miastem położonym o jeden dzień podróży na południe od Szanghaju, ale jego dialekt był tak niezrozumiały dla osób z zewnątrz, że Juliette nigdy by go nie poznała, gdyby Niania jej nie nauczyła. Niania mówiła, że dialekt Wenzhou najbardziej przypominał nie pobliskie dialekty, takie jak szanghajski, ale szczebiot ptaków. W mieście, w którym przebywało mnóstwo nie tylko cudzoziemców, ale też Chińczyków ze wszystkich zakątków kraju, większość mieszkańców mówiła jednym językiem, ale nie w taki sam sposób. Dwaj chińscy kupcy mogli przez całą rozmowę posługiwać się każdym własnym dialektem. Nie musieli szukać kompromisu. Wystarczyło, że rozumieli się nawzajem.

Juliette nie oczekiwała jednak, że starszy mężczyzna ją zrozumie – miała zupełnie inny plan. Zanim zdążył przyjrzeć się jej z bliska i rozpoznać w niej dziedziczkę Szkarłatnego Gangu, zamierzała go przekonać, że jest beztroską imigrantką z innej części kraju.

– Przepraszam najmocniej. – Juliette osiągnęła swój cel, więc przeszła na dialekt szanghajski. – Mówiłam, że jesteśmy z Uniwersytetu Szanghajskiego i ogromnie nas cieszy, że możemy się z panem dzisiaj spotkać. Chcielibyśmy założyć pierwszy związek studencki i zależy nam na zasięgnięciu porady. Czy moglibyśmy porozmawiać z panem Zhangiem?

Stary mężczyzna wyprostował się i wytarł dłonie o wełniany sweter. Juliette spodziewała się, że ich odprawi, powie, żeby wrócili kiedy indziej, a oni zejść mu z oczu i uznają to podejście za nieudane. O ile nie wzbudzą podejrzeń, będą mogli wrócić tutaj później. O ile tylko ten mężczyzna nie będzie się przyglądać ich twarzom i uzna ich za zwykłych studentów, niewartych zapamiętywania.

Ku ich ogromnemu zdziwieniu mężczyzna odchrząknął, wyprostował się dumnie i oznajmił:

– Ja jestem pan Zhang.

Roma i Juliette wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Yy... Nie, nie jest pan.

Ramiona mężczyzny opadły. Westchnął ciężko i przestawał udawać dumę.

– Niech będzie. Jestem Qi Ren, osobisty asystent pana Zhanga. Możecie wejść.

Juliette zamrugała: najpierw zaskoczona ekscentrycznością tego mężczyzny, a potem zdumiona, że zaprosił ich do środka, zamiast odesłać z kwitkiem. Stała bez ruchu, dopóki Roma nie szturchnął jej, żeby zapytać, dlaczego nie wchodzi. Tymczasem pan Qi odwrócił się i poszurał nogami w twardych kapturach, znikając w głębi mieszkania.

To nie należało do pierwotnego planu, ale Juliette umiała się szybko dostosowywać.

– Chodź – mruknęła do Romy. Ruszyli pospiesznie za panem Qi.

– Jak się nazywacie? – zapytał pan Qi przez ramię.

Juliette nawet się nie zawahała.

– Ja jestem Zhu Liye, a to pan Montague. Cóż za prześliczne kanapy. – Usiadła, zanim została do tego zachęcona.

Pan Qi z westchnieniem zmarszczył czoło i jednym ruchem ręki odsunął na bok stos teczek na pobliskim stole, odwracając je tak, żeby ukryć swoje złożone z dwóch znaków imię i nazwisko oraz znak wodny „Labor Daily”.

– Czy to dłuższa sprawa?

– Jeśli będzie pan tak dobry – odparła promiennie Juliette.

Pan Qi westchnął.

– Zaparzę herbatę.

Kiedy tylko pan Qi zniknął w kuchni obok i zajął się gotowaniem wody, Roma odwrócił się do Juliette.

– Montague?! Poważnie? – syknął.

– Zamknij się – syknęła w odpowiedzi Juliette. – Nie mogłam niczego wymyślić, a nie chciałam wzbudzić jego podejrzeń, zastanawiając się zbyt długo.

– Mówisz płynnie po rosyjsku i nie mogłaś wymyślić niczego lepszego? – zapytał z oburzeniem Roma. – Jaki „Montague”? To brzmi, jakbym był

Włochem.

– Istnieją włoscy komuniści!

– Ale nie w Szanghaju!

Juliette nie musiała odpowiadać, ponieważ pan Qi zajrzał do pokoju, żeby zapytać, jakiej herbaty chcieliby się napić. Kiedy ponownie zniknął w głębi kuchni, usatysfakcjonowany ich grzeczną odpowiedzią, że zdają się na niego, Juliette pochyliła głowę.

– No dobrze, nadal możemy zrobić to, po co tutaj przyszliśmy. Musisz tylko odwrócić jego uwagę.

– Słucham? – zapytał ostro Roma. – Zamierzasz zostawić mnie tutaj, żebym go zabawił?

– Czy widzisz w tym jakiś problem?

– Owszem, widzę w tym problem. – Roma oparł się wygodniej na kanapie i położył dłonie na kolanach. – Skąd mam wiedzieć, że podzielisz się ze mną informacjami, które znajdziesz, jeśli nie będziesz miała z tego żadnej korzyści?

Miał całkowite prawo być wobec niej podejrzliwy, ale to nie oznaczało, że Juliette musiały się podobać jego insynuacje, że ona zamierza sabotować całą operację.

– Nie kłóć się ze mną – odparła. – Zwykle specjalizujemy się w zastraszaniu i broni palnej. Jeśli w ogóle nam się to uda, będziemy mogli mówić o dużym szczęściu.

– Szczerze mówiąc, to...

– Chcesz uratować Alisę czy nie?

Roma umilkł. Zacisnął pięści, a Juliette nie była pewna, czy to reakcja na wzmiankę o Alisie, czy też Roma walczy ze sobą, żeby jej nie udusić. Pan Qi powrócił jak na komendę, z dzbankiem herbaty i trzema okrągłymi filiżankami, którymi balansował niepewnie. Juliette, nie marnując ani chwili, zerwała się z miejsca i zapytała, czy może skorzystać z łazienki. Pan Qi machinalnie wskazał w głąb korytarza i zajął się rozstawianiem filiżanek na stole, więc Juliette wymaszerowała dumnie z pokoju, zostawiając Romę patrzącego za nią z furją. Mimo to zaczął z miejsca wymyślać historię o zakładanym na Uniwersytecie Szanghajskim związku komunistycznym, którego istnienia żadne z nich nie mogło potwierdzić. To był teraz jego problem. Juliette miała ważniejsze sprawy na głowie.

Nasłuchiwała uważnie, żeby mieć pewność, że Roma nadal rozwodzi się nad socjalistyczną solidarnością. Zatrzymała się na końcu zaniedbanego korytarza, gdzie znajdowało się czworo drzwi. Jedne, szeroko otwarte, prowadziły do łazienki, za dwojgiem uchylonych znajdowały się sypialnie, zaś czwarte były starannie zamknięte i nawet nie drgnęły, kiedy Juliette ostrożnie nacisnęła klamkę. Jeśli Zhang Gutai miał coś do ukrycia, znajdowało się to właśnie za tymi drzwiami.

Juliette przygotowała się i uderzyła otwartą dłonią w klamkę tak mocno, że prosty zamek ustąpił z cichym kliknięciem. Zamarła na sekundę, żeby sprawdzić, czy pan Qi nie przybiegnie. Ponieważ Roma nadal gadał bez przerwy, Juliette nacisnęła klamkę i wślizgnęła się do środka.

Rozejrzała się wokół.

Na jednej ze ścian wisiała rozpostarta czerwona flaga z żółtym sierpem i młotem. Pod nią stało ogromne biurko uginające się pod ciężarem teczek i książek, ale Juliette nie traciła czasu na ich przeglądanie. Przykłęka obok biurka i wyciągnęła najniższą szufladę z boku. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była jej własna twarz, a chociaż papier był marny i cienki, tusz drukarski rozmazany, a jej rysy zniekształcone i zafałszowane, to z całą pewnością ona widniała pod nagłówkiem żądającym: STAW OPÓR SZKARŁATNEMU GANGOWI.

– Interesujące – mruknęła Juliette – ale nie tego szukam.

Odsunęła plakaty i zaczęła grzebać głębiej. Znajdowała tylko kolejne stosy nieprzydatnych dla niej propagandowych ulotek, rozmazanych liter, które miały wzbudzać przerażenie.

W drugiej szufladzie natrafiła jednak na koperty, bez wyjątku zaadresowane grubymi pociągnięciami wiecznego pióra. Tak pisali ludzie przekonani o swojej władzy i bogactwie. Przejrzała je szybko i odrzuciła na bok zaproszenia wysłane przez polityków Kuomintangu oraz ledwie zawołowane groźby bankierów i przedsiębiorców. Odrzucała wszystko, co uznawała za stratę czasu. Jej uwagę przykuł dopiero mały biały kwadrat, koperta znacznie mniejsza od pozostałych. W odróżnieniu od innych, nie było na niej adresu zwrotnego.

Zamiast tego w rogu znajdował się mały fioletowy kwiatek, odcisnięty przygotowaną specjalnie pieczętką.

– Ostróżka, *larkspur* – szepnęła Juliette, rozpoznając ten kwiat. Pospieszenie sięgnęła do wnętrza koperty. Znalazła w niej zaledwie małą karteczkę zapisaną na maszynie i przyciętą, żeby się zmieściła.

„Niezwykle się cieszę, że mieliśmy okazję porozmawiać o interesach.

Proszę dać mi znać, gdyby zmienił Pan zdanie”.

Larkspur

Juliette przez chwilę wpatrywała się w liścik, a puls tętnił jej w uszach. Co to znaczyło? Co to za kawałki większej układanki, które znajdowała to tu, to tam, całkowicie oddzielnie, ale które z pewnością powinny się łączyć?

Wsunęła kopertę na miejsce i zamknęła szufladę. Wyglądziła sukienkę i zanim jej przedłużająca się nieobecność mogłaby stać się podejrzana, wyszła z gabinetu i z cichym szcęknięciem zamknęła za sobą drzwi.

Zaczerpnęła dwa głębokie oddechy. Jej serce zwolniło do zwykłego rytmu.

– ...w gruncie rzeczy nasze cele sięgają daleko poza samą rewolucję – mówił Roma, kiedy swobodnym krokiem weszła z powrotem do salonu. – Musimy opracować plany, wyeliminować oponentów.

– Wszystko to wymaga środków znacznie większych niż te, którymi obecnie dysponujemy – wtrąciła Juliette i zajęła miejsce na kanapie. Uśmiechnęła się szeroko. – O czym w tym momencie mówimy?

– Zhu Liye.

Juliette wyprostowała się i spojrzała na Romę przymrużonymi oczami. Musiała je mrużyć, ponieważ jego głowa odcinała się na tle słońca, a jasne promienie podświetlały go z nadmierną ostrością, gdy szli ulicą.

– Dalej masz pretensje o tamto nazwisko?

– Nie, ja... – Roma wydał odgłos, który mógłby być śmiechem, gdyby był pozbawiony wrogości. – Już rozumiem. Wymówiłaś „Juliette” po chińsku. Juliette. Zhu Liye.

Roma najwyraźniej zastanawiał się nad tym, od kiedy wyszli z mieszkania Zhang Gutaia. Juliette przekazała mu szybko, co znalazła w gabinecie, i nie obraziłaby się, gdyby resztę drogi przeszli w milczeniu. Aż do tego momentu Roma wydawał się także nie mieć nic przeciwko temu.

– Wspaniałe zdolności dedukcyjne – oznajmiła Juliette. Zeskoczyła z chodnika na jezdnię, żeby ominąć kałużę, a jej obcasy zastukały na bruku. Roma poszedł w jej ślady.

– W gruncie rzeczy... – Przechylił głowę na bok. Ten gest był niemalże ptasi, szybki, pełen zaciekawienia i pozbawiony ukrytych motywów. – Nie znam twojego chińskiego imienia.

Juliette zmrużyła oczy.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Pytam przez grzeczność.

– Nie musisz.

Znowu zapadło milczenie. Tym razem Roma nie kwapił się do jego przerywania. Tym razem tylko czekał. Wiedział, że Juliette tak naprawdę nie znosi ciszy. Nie cierpiała jej tak bardzo, że kiedy cisza skradała się za nią jak upiór, kiedy wślizgiwała się pomiędzy Juliette a osobę, która jej towarzyszyła, niezależnie od tego, czy był to wróg czy przyjaciel, dziewczyna była gotowa zacisnąć zęby i zrobić wszystko, żeby ją przerwać.

Roma milczał. Juliette uległa.

– Cai Junli – powiedziała beznamiętnie. – Jeśli trochę zmienisz wymowę, możesz zmienić „Junli” w „Juliette”.

Jej imię nie stanowiło tajemnicy, zostało po prostu zapomniane. Była po prostu Juliette, dziedziczką, która powróciła z Zachodu w sukience amerykańskiej dziewczyny i z imieniem amerykańskiej dziewczyny. Gdyby mieszkańcy Szanghaju sięgnęli w głąb swojej pamięci, znaleźliby chińskie imię Juliette upchnięte gdzieś pomiędzy wiekiem ich dziadka a adresem trzeciej ulubionej ciotki. Ale nigdy nie znalazłoby się na ich ustach odruchowo. Kiedy je wymawiano, brzmiało podobnie do wersji, której Juliette użyła wcześniej, spowolnionej i celowo zniekształconej, żeby brzmiała jak imię i nazwisko: *Zhūliyè*.

– Nigdy mi tego nie powiedziałaś – stwierdził Roma. Patrzył prosto przed siebie. – Wtedy.

– Nie powiedziałam ci o wielu rzeczach – odparła Juliette. Równie sumiennie jak on dodała: – Wtedy.

Cztery lata temu to miasto było inne. Wielu mężczyzn nadal nosiło długie włosy splecione w pojedynczy warkocz spadający na plecy i goliło przednią część głowy. Kobiety nosiły luźne stroje i spodnie o prostych nogawkach.

Dlatego Juliette chodziła wszędzie w kolorowych sukienkach. Patrzyła z pogardą na brzydkie ubrania innych dziewcząt, a kiedy matka ośmieliła się spróbować nakłonić ją do poddania się obowiązującej modzie, Juliette wyciągnęła wszystkie nijakie bluzki z szafy i podarła je na strzępy, które spuściła w świeżo wyremontowanej kanalizacji. Niszczyła każde qipao i wyrzucała każdy jedwabny szal, które lady Cai podsuwała jej w ramach kompromisu. Aby nikt jej nie rozpoznał, kiedy spotykała się z Romą, narzucała oczywiście na krzykliwe sukienki płaszcz, ale zawsze igrała z niebezpieczeństwem. Wolałaby niemalże zostać przyłapaną jako zdrajczyni, niż włożyć takie samo ubranie jak wszyscy dokoła. Wolałaby zostać wyrzutkiem, niż przyznać, że w jej żyłach płynie krew Wschodu.

Juliette lubiła myśleć, że od tamtej pory nieco się opamiętała. Kiedy po raz drugi wróciła do Nowego Jorku, dostrzegła mrok za fasadą zachodniej wspaniałości. Nie uważała już, że bycie dzieckiem złożonym z zachodnich elementów jest takie wspaniałe.

– Sama je wybrałam.

Roma był wyraźnie zaskoczony jej słowami. Nie spodziewał się, że usłyszy od niej coś więcej.

– Swoje imię? – upewnił się.

Juliette skinęła głową. Nie patrzyła na niego, nawet nie mrugnęła. Wyjaśniła:

– Dzieci w Nowym Jorku śmiały się ze mnie. Pytały, jak się nazywam, a kiedy im odpowiadałam, śmiały się ze mnie, powtarzając raz za razem te obce sylaby, jakby ich podśpiewywanie czyniło je zabawniejszymi.

Miała wtedy pięć lat. Rany zadane przez tamte drwiny dawno się zabiłiły, zarosły grubą skórą i twardymi odciskami, ale czasem nadal piekły, jak wszystkie stare obrażenia.

– Moje imię jest zbyt chińskie jak na gust Zachodu – ciągnęła Juliette z kwaśnym uśmiechem. Nie wiedziała, dlaczego na jej twarzy pojawiło się rozbawienie. Z pewnością nie uważała tego za zabawne. – Wiesz, jak to jest... A może nie wiesz. Tymczasowa decyzja w tymczasowym miejscu pobytu, która teraz zapuściła korzenie tak głęboko, że nie można jej usunąć.

Kiedy tylko te słowa jej się wyrwały, Juliette poczuła przyływ mdłości – namacalną, natychmiastową reakcję na świadomość, że powiedziała za dużo. Pustogłowa flapperka Juliette, która pomagała jej przetrwać na Zachodzie, zacisnęła na niej swoje palce tak mocno, że prawdziwa Juliette nie wiedziała, gdzie kończy się maska, a zaczyna ona sama – jeśli w ogóle coś z niej pozostało, jeśli od początku cokolwiek istniało. Jej kuzyni – Rosalind, Kathleen, Tyler – wybrali angielskie imiona na użytek tłumy cudzoziemców, którzy mieli władzę nad Szanghajem, ale chińskie imiona nadal stanowiły część ich tożsamości. Bliscy nadal ich używali przy różnych okazjach. Juliette była zawsze tylko Juliette.

Powietrze było lepkie. Szli dostatecznie długo, żeby wejść na teren Koncesji Francuskiej i wędrowali teraz wzdłuż rzędu identycznych domów ze ścianami w jaskrawych kolorach, otoczonych obszernymi plamami zieleni. Juliette podciągnęła kołnierz płaszcza i skrzywiła się, kiedy Roma otworzył i zamknął usta.

– Juliette...

Czy linia dzieląca wroga od przyjaciela była pozioma, czy pionowa? A może nie była linią, tylko ogromną równiną, przez którą trzeba było wędrować, lub wysoką, bardzo wysoką ścianą – na którą trzeba się wspiąć lub którą da się przewrócić jednym silnym kopniakiem?

– Skończyliśmy na dzisiaj, prawda? – zapytała Juliette. – Możesz zrobić z tą informacją, co zechcesz. Jestem pewna, że powiązanie Zhang Gutaia i Larkspura dostarczy ci obiecujących tropów.

Skręciła w lewo i przeszła na skróty przez ogród na sąsiednią ulicę. Trawa sięgała jej do kostek. Kiedy stawiała nogi, czuła, że ziemia ją pochłania, ugina się i mięknie pod jej krokami. Miała wrażenie, że jest zapraszana: pospiesz się, chodź tutaj.

Do chwili, kiedy Roma zacisnął dłoń na jej ramieniu i siłą ją zatrzymał.

– Musisz przestać to robić. – Juliette okręciła się i strzepnęła jego rękę.

– Jeszcze nie skończyliśmy – powiedział Roma.

– Wręcz przeciwnie.

Cień pobliskiego domu był głęboki. Roma i Juliette stali dokładnie na krawędzi tego cienia, na ostrej granicy pomiędzy światłem a półmrokiem.

Roma zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Nadal uważasz, że to intryga wymyślona przez komunistów? – zapytał nagle. Ściszył głos, jakby uświadomił sobie, że muszą ograniczyć zasięg swojej kłótni, skoro stoją na ulicy. W blasku porannego słońca łatwo było zapomnieć o smaku niebezpieczeństwa. Ale jeden fałszywy ruch – jedna nieodpowiednia osoba, która wyrzałaby przez okno w odpowiednim momencie – i oboje mieliby poważne kłopoty.

– Roma – odezwała się zimno Juliette. – Nasza współpraca już się zakończyła.

– Wcale nie – upierał się Roma. – To nie jest coś, nad czym możesz pracować sama. Mogę się domyślić, co planujesz, wystarczy spojrzeć na ciebie. Myślisz, że po prostu wślizgniesz się w kręgi komunistów, wykorzystując wpływy Szkarłatnych...

Juliette zrobiła krok w jego stronę. Nie wiedziała, czy to jasny blask słońca odbijający się od pobliskiego okna, czy też to ona była tak wściekła, że miała przed oczami białą poświatę.

– Ty – syknęła – nie masz o niczym pojęcia.

– Wiem dostatecznie dużo, żeby dostrzec prawidłowość związaną z Larkspurem. – Roma strzelił jej palcami przed twarzą. – Otrząśnij się, Juliette! Ignorujesz tę wskazówkę tylko dlatego, że chcesz wycofać się z naszej współpracy i zająć się rozpracowywaniem innych komunistów. Do niczego nie dojdiesz! To fałszywy trop, a ty o tym wiesz.

W jego słowach kryła się niemal fizyczna siła, liczne ciosy, które sprawiły, że poczuła niemal pieczenie skóry. Z trudem oddychała, nie była w stanie znaleźć siły, żeby się odezwać, żeby kontynuować tę kłótnię prowadzoną scenicznym szeptem. Tak bardzo go nienawidziła. Najbardziej za to, że miał rację. I za to, że wywołuje w niej taką reakcję. A ponad wszystko nienawidziła Romy za to, że musiała go nienawidzić. Gdyby było inaczej, nienawiść powróciłaby prosto do niej, a wtedy mogłaby nienawidzić tylko własnej słabej woli.

– Nie możesz tego robić – powiedziała Juliette. W jej głosie dźwięczał teraz raczej smutek niż gniew. – Nie masz prawa tego robić.

Gdyby się pochyliła, mogłaby policzyć pojedyncze pyłki, które osiadły na grzbiecie nosa Romy. Atmosfera tego miejsca była zbyt odurzająca, dziwna i idylliczna. Im dłużej pozostawali tutaj – otoczeni perłowo białymi ścianami, stojący wśród kołyszącej się trawy – tym bardziej Juliette była gotowa zrzucić całą skórę jak wąż. Dlaczego nie potrafiła stworzyć siebie na nowo – dlaczego zawsze wracała w to samo miejsce?

Roma zamrugał. On także się opanował, jego szept stał się cichszy.

– Czego nie mogę robić?

Widzieć mnie.

Juliette odwróciła się i objęła ramionami w talii.

– Co takiego proponujesz? – odpowiedziała pytaniem. – Dlaczego tak się uczepiłeś tego Larkspura?

– Zastanów się nad tym. – Roma mówił tak samo jak ona, spokojnie i półgłosem. – Krążą plotki, że Zhang Gutai wywołał szaleństwo. Krążą plotki, że Larkspur leczy szaleństwo. Jak to miałyby nie być powiązane? Jak to możliwe, żeby na ich spotkaniu nie doszło do jakiejś wymiany?

Juliette potrząsnęła głową.

– Powiązane czy nie, jeśli chcemy usunąć przyczynę, musimy szukać tego, kto wywołuje, a nie leczy...

– Nie twierdzą, że Larkspur zna wszystkie odpowiedzi – poprawił się pospiesznie Roma. – Twierdzą, że dzięki Larkspurowi dowiemy się więcej o Zhang Gutai. Twierdzą, że to inny sposób dotarcia do prawdy, jeśli nie uda się skłonić Zhang Gutaia do mówienia.

W tym jest sporo sensu, pomyślała Juliette. On... może mieć rację.

Mimo to stawiała opór. Matka powiedziała kiedyś, że Juliette omal nie przyszła na świat odwrotną stroną – nogami do przodu – ponieważ zawsze odmawiała sięgnięcia po najprostsze rozwiązanie.

– Dlaczego tak się uparłeś, żeby mnie przekonać? – zapytała. – Dlaczego nie pożegnasz się ze mną i sam nie skonfrontujesz się z tym Larkspurem?

Roma opuścił głowę. Jego palce drgnęły; być może opierał się, żeby nie wyciągnąć do niej ręki, ale Juliette zdławiła tę myśl, kiedy tylko się pojawiła. Czułość i tęsknota należały do przeszłości. Jeśli Roma jeszcze kiedyś przesunie lekko dłonią po jej kręgosłupie, zrobi to, aby policzyć kręgi i znaleźć najlepsze miejsce do wbicia noża.

– Posłuchaj, Juliette – powiedział niemal bezgłośnie. – Mamy dwie połowy jednego miasta. Jeśli będę działał sam, nie będę miał wstępu na terytorium Szkarłatnych. Nie chcę ryzykować, że nie dostanę lekarstwa dla mojej siostry tak szybko, jak to możliwe, tylko z powodu wojny gangów. Ta wojna odebrała nam dostatecznie dużo. Nie pozwolę, żeby zabrała także Alisę.

Znowu przeniósł na Juliette spojrzenie, w którym kryły się zarówno smutek, jak i wściekłość, wylewające się tak długo, aż zajęły całe miejsce pomiędzy nimi. Juliette była targana podobnymi emocjami: odczuwała zgrozę na myśl, że ma walczyć z tym szaleństwem w towarzystwie chłopaka, który rozerwał jej serce na strzępy, ale współczuła miastu na myśl o tym, co ono przeżywa.

Roma wyciągnął rękę. Z wahaniem.

– Tylko dopóki nie powstrzymamy szaleństwa, o nic więcej nie proszę. Oboje odłożymy noże, pistolety i groźby na tak długo, na ile będzie trzeba, aby ocalić nasze miasto od upadku. Czy piszesz się na to?

Nie powinna. Ale on użył właściwych słów. Dla Romy Alisa była wszystkim. Niezależnie od potworów czy magicznego lekarstwa szarlatana pragnął tylko, żeby się znowu obudziła. Juliette na pierwszym miejscu stawiała miasto. Musiała sprawić, że jej ludzie przestaną umierać. Mieli szczęście, że dwa tak różne cele łączyły się ze sobą.

Juliette wyciągnęła rękę i wsunęła ją w dłoń Romy, żeby nią potrząsnąć. Oboje drgnęli, jakby przeniknęła ich okropna, gorąca iskra, ponieważ oboje najwyraźniej uświadomili sobie, że po raz pierwszy od czterech lat dotknęli się bez cienia złej woli. Juliette miała wrażenie, że połknęła rozżarzony węgiel.

– Dopóki nie powstrzymamy szaleństwa – szepnęła.

Uścisnęli sobie dłonie dwukrotnie, a potem Roma odwrócił ich ręce tak, że jego dłoń znalazła się pod spodem, a dłoń Juliette na wierzchu. Jeśli nie mogli dostać niczego innego, zostawało im przynajmniej to – sekunda, kaprys, iluzja – dopóki Juliette nie oprzytomniała i nie cofnęła dłoni szarpnięciem, żeby opuścić ją u swojego boku, zaciśniętą w pięść.

– W takim razie spotkamy się jutro – zdecydował Roma. Jego głos był ochryply. – Zapolujemy na Larkspura.

ROZDZIAŁ 21

Z twarzą zastygłą w wyrazie wymuszonej obojętności Kathleen wślizgnęła się na poranne zebranie komunistów. Stawiając jedną stopę za drugą, wyminęła po prostu ludzi pilnujących drzwi.

To było coś, w czym była dobra: widzieć, ale nie być widzianą. Kathleen potrafiła znajdować równowagę pomiędzy pewnością siebie a nieśmiałością. Nauczyła się chwycić fragmenty cudzych osobowości, wyciągać z nich poszczególne cechy i łączyć we własny amalgamat. Przejęła od Juliette sposób unoszenia podbródka podczas mówienia, domagający się szacunku nawet w najgorszej sytuacji. Opanowała naśladowanie sposobu, w jaki opadały ramiona Rosalind, kiedy ojciec wdawał się w kolejną tyradę, a ona celowo stawała się tak mała, że przypominał sobie o jej skromności i przerywał, chociaż na jej wargach błękał się ledwie widoczny uśmiezek.

Czasem Kathleen z trudem sobie przypominała, że jest odrębną osobą, a nie tylko odłamkiem lustra odbijającego tysiące różnych osobowości pasujących najlepiej do danej sytuacji.

– Przepraszam – rzuciła obojętnie, wyciągając rękę, żeby przepchnąć się pomiędzy dwójką pogrążonych w ożywionej rozmowie komunistów. Cofnęli się z przejścia, nie poświęcając jej uwagi, dzięki czemu Kathleen przemieszczała się sprawnie w zatłoczonym wnętrzu. Nie wiedziała, dokąd idzie. Wiedziała tylko, że musi być w ruchu, dopóki zebranie się nie rozpocznie, bo inaczej zwróci uwagę swoją odrębnością.

Zebranie odbywało się w wielkiej sali z wysokim sufitem zakrzywiającym się pod stromym dachem. W innym kraju taki budynek mógłby być kościołem z witrażowymi oknami i grubymi belkami. Tutaj był wykorzystywany jako sala weselna dla cudzoziemców oraz miejsce, w którym bogaci urządzali swoje przyjęcia.

Ironią losu było to, że teraz wynajmowali ją komuniści.

– Wejść i wyjść – mruknęła do siebie Kathleen, powtarzając słowa, które tego ranka usłyszała od Juliette. Kiedy Juliette przyszła poprosić ją i Rosalind o pomoc, cała promieniowała gorączkową energią i miała już rękaw płaszcza naciągnięty na jedną rękę.

– Musi istnieć jakiś powód, prawda? – zapytała Juliette. – Komuniści nie szepotaliby o tym, że wszystko wymyślił jeden geniusz z partii, gdyby nie mieli jakichś dowodów. Jeśli Zhang Gutai jest niewinny, dowody powinny na to wskazywać i skierować nas na inny trop. Dlatego musimy je zdobyć.

Rosalind była potrzebna gdzie indziej, w kabarecie, na ważnym spotkaniu lorda Cai z cudzoziemcami. Należało ich olśnić i pokazać im Szanghaj w całym jego ekstrawaganckim, migotliwym przepychu. Sądząc po ściągniętej twarzy, Rosalind i tak nie paliła się do wizyty u komunistów. Kathleen natomiast nie miała nic przeciwko. Chociaż powinna nie znosić tutejszej atmosfery, sprawiało jej przyjemność, że może znajdować się w środku tego chaosu i aktywności, a także gotującego się, narastającego napięcia. Dzięki temu czuła, że jest częścią czegoś, nawet jeśli była tylko małą pchłą uczeponą futra ścigającego zdobycz geparda. Jeśli będzie rozumiała zawłości polityki, będzie rozumiała społeczeństwo. A jeśli będzie rozumiała społeczeństwo, znajdzie narzędzia umożliwiające jej przetrwanie; takie manipulowanie otoczeniem, dopóki nie będzie miała szansy żyć w spokoju.

Chociaż bezgranicznie kochała swoją siostrę, Kathleen nie chciałaby szukać sposobu na przetrwanie tam, gdzie Rosalind, pośród świateł i jazzu. Nie miała ochoty wkładać kostiumu i pudrować twarzy, aż stanie się biała jak kartka papieru, tak jak robiła to codziennie Rosalind z drwiącym uśmiechem na ustach. Ich kuzynka, Juliette, nie miała pojęcia, ile szczęścia zawdzięczała skórze, z jaką się urodziła, białym policzkom i nadgarstkom gładkim jak z porcelany. Genetyczna loteria wymagała dużo szczęścia: drobna zmiana w kodzie oznaczała konieczność dostosowywania się przez całe życie.

Aby przetrwać, Kathleen musiała wytyczyć własną ścieżkę. Nie było innego wyboru.

– Jestem pierwszoroczną studentką uniwersytetu – mamrotała Kathleen pod nosem, przygotowując odpowiedź na wypadek, gdyby ktoś zapytał, kim jest. – Jestem dziennikarką studenckiej gazety. Chciałabym się dowiedzieć więcej na temat wspaniałych możliwości otwierających się przed szanghajskimi robotnikami. Wychowywałam się w biednej rodzinie. Moja matka nie żyje. Mój ojciec jest dla mnie martwy... Uff!

Kathleen zamarła. Osoba, na którą wpadła, skłoniła lekko głowę w przeproszającym geście.

– Proszę o wybaczenie. Nie patrzyłem, gdzie idę. – Uśmiech Marshalla Seo był promienny i pełen animuszu, chociaż Kathleen wpatrywała się w niego bez mrugnięcia. Czy jej nie rozpoznał? Dlaczego tutaj był?

Pewnie w tym samym celu, co i ona.

– Nie ma za co – odparła szybko Kathleen i także skłoniła głowę. Odwróciła się, żeby się oddalić, ale Marshall, zanim zdążyła choćby mrugnąć, zrobił szybki krok w bok i zastąpił jej drogę. Z trudem uniknęła wpadnięcia nosem prosto w jego pierś.

– Tak się spieszysz? – zapytał Marshall. – Zebranie zacznie się dopiero za kilka minut.

Z całą pewnością ją rozpoznał.

– Chciałabym znaleźć miejsce – wyjaśniła Kathleen. Serce zaczęło tłuc się jej w piersi. – Ta sala ma okropną akustykę. Lepiej jest siedzieć jak najbliżej sceny.

Nie miało znaczenia, że żadne z nich nie nosiło w tym momencie kolorów swojego gangu i uczestniczyło w spotkaniu grupy, która pragnęła zlikwidować obie ich organizacje. Znajdowali się po przeciwnych stronach: starcie było nieuniknione.

– Ależ proszę zostać, skarbie! – nalegał Marshall. – Spójrz tam... – Położył rękę na jej łokciu. Dłoń Kathleen błyskawicznie przesunęła się do talii, palce zacisnęły się na pistolecie ukrytym pod żakietem.

Powietrze znieruchomiało.

– Nie rób tego – szepnął Marshall niemal ze smutkiem. – Nie jesteś taka głupia.

Starcie było nieuniknione: więc dlaczego jej stąd nie przepędził? Znajdowali się na terytorium Białych Kwiatów. Zastrzelenie go nie byłoby z jej strony rozsądną decyzją, ale on mógł zastrzelić ją: mógł ją zabić, a Szkarłatni o niczym by się nie dowiedzieli.

Kathleen powoli cofnęła rękę od broni.

– Nie wiesz nawet, co zamierzałam zrobić.

Marshall się uśmiechnął. Wyraz jego twarzy zmieniał się błyskawicznie – w jednej chwili poważny, w następnej rozbawiony.

– Doprawdy nie wiem?

Nie znalazła na to odpowiedzi. Nie wiedziała w ogóle, jak ma reagować w tej rozmowie: jak ma reagować na ten rodzaj flirtu, który wydawał się bardziej częścią osobowości niż celowym działaniem.

Jak ma reagować na prosty fakt, że nie celował w nią z pistoletu.

Podstęp. Członkowie Białych Kwiatów potrafili być cierpliwi.

Marshall nie ruszył się z miejsca. Jego spojrzenie przesunęło się po jej czole i nosie aż do wisiora na szyi, a chociaż Kathleen instynktownie chciała się zasłonić przed tą obserwacją, zamiast tego tak jak i on rozluźniła ramiona, niemal jakby rzucała mu wyzwanie, żeby coś jeszcze powiedział.

Nic nie powiedział. Uśmiechnął się, jakby ten pojedynek na spojrzenia był dla niego świetną zabawą.

– Cóż, miło nam się rozmawiało. – Kathleen cofnęła się o krok. – Teraz jednak chciałabym znaleźć sobie miejsce. Żegnam.

Pospiesznie odeszła i zajęła wolne krzesło, które zauważyła w pierwszych rzędach. W rzeczywistości nie chciała w ogóle siadać. Zamierzała porozmawiać z komunistami. Dlaczego tak trudno było jej się skoncentrować na zadaniu?

Rozejrzała się. Po prawej stronie pochrapywała starsza kobieta. Po lewej dwójka studentów – prawdziwych, w odróżnieniu od niej, jeśli sądzić po notesach – była skupiona na omawianiu dalszych planów..

Kathleen wyciągnęła szyję, bębniąc nerwowo palcami w oparcie krzesła. Oczami duszy przy każdym mrugnięciu widziała tykający zegar, jakby jej czas tutaj był policzony i miał się niedługo skończyć.

Jej wzrok zatrzymał się na trzech łysiejących mężczyznach siedzących dwa rzędy przed nią. Kiedy wyteżyła słuch i się skoncentrowała, zorientowała się, że rozmawiają w dialekcie szanghajskim. Rozwodzili się nad postęпами ekspedycji północnej, bębniłi palcami po udach i poruszali językami tak szybko, że ślina pryskała na wszystkie strony. Sposób ich gestykulacji podpowiadał Kathleen, że nie byli zwykłymi uczestnikami zebrania. Należeli do partii.

Wspaniale.

Kathleen zbliżyła się do nich, ciągnąc za sobą krzesło, żeby usiąść tuż koło nich.

– Czy mają panowie chwileczkę? – wtrąciła się, sprawiając, że ich rozmowa zamarła. – Jestem z uniwersytetu. – Wyjęła z kieszeni urządzenie nagrywające i wyciągnęła je przed siebie. W rzeczywistości było popsute, znalezione, co dziwne, w stosie zapasowej amunicji w zbrojowni w posiadłości rodziny Cai.

– Zawsze mamy czas dla naszej młodzieży – odparł jeden z mężczyzn. Wypiął pierś, żeby się przygotować.

Nagrywam twój głos, a nie robię ci zdjęcie, pomyślała Kathleen.

– Piszę artykuł o sekretarzu generalnym partii – powiedziała głośno. – Zhang Gutai. – Spojrzała szybko na scenę. Na podwyższeniu zgromadzili się ludzie, ale rozmawiali między sobą, przeglądając notatki. Miała kilka minut, zanim na sali zapadnie cisza. Nie mogła naprowadzać tych mężczyzn ostrożnymi pytaniami. Musiała wydostać potrzebne informacje tak szybko, jak to możliwe, i nakierować ich w odpowiednią stronę.

– Co z nim?

Kathleen odchrząknęła.

– Rewolucja potrzebuje przywódcy. Czy uważają panowie, że jego błyskotliwy umysł byłby w jego przypadku atutem?

Cisza. Przez moment Kathleen obawiała się, że zaczęła zbyt mocno, wdepnęła bosą stopą w gniazdo żmij i przestraszyła je tak, że pochowały się w swoich norach.

Potem mężczyźni zanieśli się śmiechem.

– Jego błyskotliwy umysł? – wykrztusił z trudem jeden z nich. – Proszę mnie nie rozśmieszać.

Kathleen zamrugała. Miała nadzieję, że jej pytania podsuną im myśl, iż ona wie więcej niż w rzeczywistości. To, że Zhang Gutai jest nadprzeciętnie inteligentny, wydawało się rzeczą oczywistą. Trudno o inne cechy osobowości pasujące do geniusza, który zaplanował epidemię. Jednakże jej strzał w ciemno przyniósł nieoczekiwane rezultaty.

– Uważają panowie, że pan Zhang nie jest błyskotliwy? – zapytała ze zdumieniem dźwięczącym w głosie.

– A co niby miałyby o tym świadczyć? – odparował jeden z mężczyzn, nadal z autentycznym rozbawieniem.

Na scenie mówca postukał w mikrofon. Ostry zgrzyt sprzężenia rozległ się w całej sali, odbijając się od małych wnęk pod sufitem.

– Wydaje się, że to prawdopodobne założenie.

– Wydaje się?

Kathleen poczuła, że jej szczęka zaczyna drgać. Nie uda jej się dłużej ciągnąć tej gry. Nie była wprawiona w sztuce mówienia nieprawdy.

– Słyszałam plotki, że to on stworzył szaleństwo krążące po Szanghaju.

Trzej mężczyźni zeszytnieli. Tymczasem pierwszy mówca na scenie zaczął witać zgromadzonych, dziękować im za przybycie i zachęcać tych z ostatnich rzędów, aby przesunęli się bliżej.

– O czym w ogóle jest ten artykuł? – Kathleen usłyszała szept mężczyzny, który siedział najdalej od niej. Odezwał się, poruszając tylko połową ust, cedząc słowa pomiędzy zębami a uchylonymi wargami.

Urządzenie nagrywające ciążyło w ręce Kathleen. Ostrożnie zacisnęła na nim dłoń i schowała je, ponieważ uznała, że spełniło już swoje zadanie.

– Studium władzy – odpowiedziała. – A także szaleństwa, które jej towarzyszy. Studium potężnego człowieka i tych, którzy się go boją. – Aby nie pozostał cień wątpliwości co do znaczenia jej słów, Kathleen wyszeptwała: – Zdemaskowanie szaleństwa.

W sali zabrzmiały brawa. Kathleen wydawało się, że słyszy w oddali przez krótką chwilę dźwięki syren tonące w hałasie, ale kiedy owacja ucichła, dobiegał ją tylko głos kolejnego mówcy – prawdziwego bolszewika, który przyjechał aż z Moskwy – wychwalającego zalety ruchu związkowego.

– Proszę nie popełnić błędu. – Mężczyzna siedzący najbliżej Kathleen spojrzał na nią przelotnie, a potem znowu przeniósł wzrok na scenę. Gdyby sam jej tego nie zdradził, nigdy nie uznałaby go za komunistę. Czym się różnił od innych ludzi na ulicy? W jakim momencie zwykła polityczna dbałość o własny interes przekształciła się w fanatyzm dostatecznie silny, by był gotów umrzeć za sprawę? – Jeśli chce pani poznać rolę Zhang Gutaia w tym szaleństwie, musi pani wiedzieć, że to nie jego siła wyniosła go tak wysoko.

– A co w takim razie? – zapytała Kathleen.

Żaden z mężczyzn nie spieszył z odpowiedzią. Być może przemówienie bolszewika było zbyt absorbujące. Być może po prostu się bali.

– Twierdzą, że jesteście orędownikami równości. – Kathleen postukała czubkiem buta w porzuconą na podłodze ulotkę. Wielkie, pogrubione litery rozmazywały się pod wpływem czyjejś rozlanej herbaty. – Proszę mi udowodnić, że to nie frazesy. Proszę mi pozwolić zdemaskować Zhang Gutaia jako

szubrawca i oszusta, którym jest w rzeczywistości. Nikt nie musi wiedzieć, skąd mam te informacje. Nie znam nawet waszych nazwisk. Są dla mnie panowie anonimowymi żołnierzami w służbie sprawiedliwości.

Minęła chwila. Tych mężczyzn koczyło, żeby jej powiedzieć. Widziała to w błysku w ich oczach, tej gorączkowej euforii na myśl o tym, że robią coś dla dobra świata. Bolszewik na scenie uklonił się. Sala wybuchnęła burzą braw.

Kathleen czekała.

– Chce pani napisać studium jego władzy? – Siedzący najbliżej mężczyzna pochylił się do niej. – Proszę posłuchać: Zhang Gutai nie ma żadnej władzy. Ma potwora, który wykonuje jego rozkazy.

Zimny podmuch wtargnął do sali. Brawa ucichły, a na widowni znowu zapadła cisza.

– Co takiego?

– Widzieliśmy to coś – oznajmił drugi mężczyzna stanowczo. – Widzieliśmy, jak wychodzi z jego mieszkania. On to wysyła w charakterze obłąskawionego demona, aby zabijało tych, którzy mu przeszkadzają.

– Cała partia wie – dodał trzeci. – Ale nikt nie protestuje przeciwko takiej plamie na naszym honorze, skoro sprawy przybierają dla nas pomyślny obrót. Kto by się ośmielił?

W wielobarwnym świetle wpadającym przez witrażowe okna cała widownia wydawała się przesuwac coraz bliżej sceny w oczekiwaniu na kolejnego mówcę, chociaż miejsce dla mówcy pozostawało puste. Kathleen była chyba jedyną osobą patrzącą w innym kierunku.

Ci ludzie uważają, że sam widok potwora sprowadza szaleństwo, uświadomiła sobie. Myślą, że potwór jest skrytobójcą działającym na rozkaz Zhang Gutaia i zabija tych, którzy na niego spojrzeli. Ale jak do tego pasowały owady? Dlaczego Juliette mówiła coś o przypominających wszy insektach, które roznosiły szaleństwo?

– To brzmi, jakby miał władzę – zauważyła.

– Władza to coś, co jest dane nielicznym. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Każdy może stać się panem potwora, jeśli będzie miał dostatecznie nikczemne serce.

W sali nieoczekiwanie wybuchł chaos, w przestronnym wnętrzu odbijały się echem zgrzyt i łoskot przewracanych krzesel. Kathleen nagle przypomniała sobie słyszane w oddali syreny, które zignorowała. To rzeczywiście były syreny, zapowiadające przybycie sił porządkowych, które w ogóle nie dbały o porządek, tylko o zachowanie stanu dotychczasowego. To było terytorium Białych Kwiatów. Gangsterzy płacili *garde municipale* bajońskie sumy za to, żeby pozostać przy władzy, co oznaczało naloty na zebrania komunistów i torpedowanie wszelkich wysiłków tej partii, zmierzających do rozpalenia płomienia rewolucji i zniesienia rządów gangsterów.

– Zatrzymać się i ręce do góry! – zagrzmiał jeden z policjantów.

Ruch tylko się nasilił, ludzie wysypywali się przez drzwi albo chowali pod stołami. Kathleen mgliście pomyślała, że powinna zrobić to samo, ale policjant już maszerował w jej stronę z wyrazem twarzy człowieka, który znalazł sobie ofiarę.

– *Venez avec moi* – rzucił. – *Ne bougez pas*³.

Kathleen rozejrzała się dookoła, nie spiesząc się nadmiernie z odpowiedzią. Wreszcie odezwała się, obrzucając wzrokiem mundurowego:

– *Non, monsieur, j'ai un rendezvous avec quelqu'un*⁴.

Policjant drgnął z zaskoczenia. Nie spodziewał się paryskiego akcentu. On sam nie był jednym z białych Francuzów, często spotykanych na terenie Koncesji. Podobnie jak wielu innych policjantów, był zaledwie produktem francuskich rządów, przywiezionym tutaj do pracy z Annamu lub innego z licznych krajów na południe od Chin, które nie zdołały powstrzymać cudzoziemców od przejścia formalnej władzy.

– *Maintenant, s'il vous plaît*⁵ – warknął, wyraźnie poirytowany bezczelnością Kathleen. Wokół komuniści byli przewracani na ziemię i aresztowani. Ci, którzy nie uciekną dość szybko, staną przed sądem i będą wciągnięci na listę nazwisk, o których należało pamiętać, gdyby partia zanadto się rozrosła, a jej szeregi wymagały przeredzenia.

– Ach, proszę dać jej spokój.

Kathleen odwróciła się, marszcząc brwi.

Marshall machnął na policjanta ręką ozdobioną sygnetem wyraźnie należącym do rodowej kolekcji Montagowów. Sygnet zalśnił w słońcu, a policjant natychmiast zapomniał o swojej irytacji. Odchrząknął i oddalił się, żeby dręczyć inną ofiarę.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała Kathleen. – Dlaczego zaoferowałeś pomoc, o którą nie zostałeś poproszony?

Marshall wzruszył ramionami. Wydawało się, że z powietrza w jego ręce zmaterializowało się lśniące, czerwone jabłko.

– Wystarczająco nas gnębią. Chciałem się przydać. – Ugryzł kęs jabłka.

Kathleen obciągnęła żakiet. Gdyby trochę mocniej zacisnęła w palcach tkaninę, pozostałyby na niej niemożliwe do usunięcia zagniecenia.

– Co to ma znaczyć? – zapytała zimno. – *Garde municipale* jest po waszej stronie. Was nie będą gnębić.

– Oczywiście, że to zrobią. – Marshall uśmiechnął się bez cienia rozbawienia. – Nie mogą się doczekać, aż będą mogli wypolerować swoje buty i wdeptać nas ostatecznie w ziemię. Ludzie tacy jak my umierają codziennie.

Kathleen nie ruszyła się z miejsca.

Marshall nie zwracał uwagi na jej skrzępowanie. Mówił dalej, gestykułując ręką z jabłkiem.

– Tak samo jak ci komuniści, z którymi rozmawiałaś, korzystają z każdej okazji, żeby pozbyć się swojego sekretarza generalnego.

Kathleen prychnęła z oburzeniem.

– Podśluchiwałaś moją rozmowę?

– A jeśli tak, to co?

Aresztowania zwolniły tempa. Do drzwi prowadziła prosta droga, a potem Kathleen będzie już wolna i ucieknie, tuląc do piersi świeżo zdobyte informacje.

Szkoda, że tymi samymi informacjami dysponowały teraz Białe Kwiaty.

– Pilnuj swojego nosa – warknęła Kathleen.

Zanim Marshall Seo zdołał wykraść jej coś jeszcze, wymaszerowała z budynku.

ROZDZIAŁ 22

Zmęczony poranek stał się południem, a przez brudne okna kabaretu wlewało się szare światło dnia. Juliette machnięciem ręki odpędziła podpływającą do niej smugę dymu papierosowego, skrzywiła się i stłumiła kaszel.

– Czy ten grzejnik się popsuł?! – krzyknęła donośnie. – Podkręćcie ogrzewanie! I przynieście więcej ginu!

– Wypiła już pani całą butelkę? – zapytała jedna z kelnerek. Ze ścierką w ręku czyściła sąsiedni stolik, ale zmarszczyła nos, kiedy spojrzała na butelkę przed Juliette.

Juliette podniosła pustą butelkę, przyjrzała się delikatnym zdobieniom, a potem odstawiła ją na ulotkę. Znalazła ten świstek cienkiego papieru na ulicy, zanim tutaj przyszła. Teraz jeden róg był już zupełnie wymiętoszony przez jej palce.

ZASZCZEP SIĘ – żądała ulotka wielkimi literami. Na samym dole w dwóch wierszach wydrukowano adres zlokalizowany na terenie Osiedla Międzynarodowego.

– Pohamuj się trochę, bo cię zwolnię – odparła Juliette, chociaż w tej groźbie nie brzmiało szczególne przekonanie. Pstryknęła palcami na przechodzącą pomoc kuchenną. – No już! Następna butelka!

Pomoc kuchenna pobiegła wykonać polecenie. W ciągu dnia w kabarecie było niewielu gości, a gangsterzy, którzy przychodzili tu o tej porze, nie mieli do roboty nic poza oglądaniem okrojonej wersji występu Rosalind. Dopiero wieczorem puszczały hamulce, a Rosalind wymachiwała nogami i tańczyła cza-czę z najwyższą ekstrawagancją. Paliły się wszystkie lampy, a w sali panował taki gwar, że jego energia wystarczyłaby do zasilenia żyrandoli lśniących złotem pod ciemnoczerwonym sufitem. Kiedy jednak słońce na zewnątrz stało wysoko, a przy stolikach panowały pustki, cały lokal zapadał w sen zimowy. Rosalind pracowała zazwyczaj dwie godziny w ciągu dnia i wyraźnie tego nie znosiła, jeśli sądzić po tym, jak lekceważąco traktowała te występy. Stojąc na estradzie, uniosła brwi, jakby chciała bez słów zapytać, dlaczego Juliette urządza scenę na widowni. Przez to spóźniła się z pierwszymi taktami kolejnej piosenki.

– Pijesz o pierwszej po południu? – zapytała, kiedy godzinę później skończyła wreszcie swój występ i przyszła do Juliette. Zdjęła już efektowną suknię, w której pojawiała się na scenie, i usiadła ciężko na krześle naprzeciwko, ubrana w ciemnozielone qipao stapiające się odcieniem z ciemną zielenią tapicerki. Tylko jej czarne oczy lśniły wyraźnie w nijakim oświetleniu. Wszystko inne wydawało się dziwnie szare.

– Cóż, przynajmniej próbuję.

Juliette zręcznie nalała alkohol i podała Rosalind napełnioną do połowy szklanekę.

Rosalind wypiła łyk. Skrzywiła się gwałtownie.

– To obrzydliwe. – Zakasłała i otarła usta. Rozejrzała się po pustych stolikach. – Znowu mamy się z kimś spotkać?

Rosalind miała na myśli kupca albo może zagranicznego dyplomatę lub handlowca; ważnego człowieka, z którym Juliette powinna nawiązać kontakty towarzyskie. Jednak od czasu niefortunnego spotkania z Walterem Dexterem ojciec nie zlecił jej więcej podobnych działań. Miała tylko jedno zadanie: dowiedzieć się, dlaczego mieszkańcy Szanghaju umierają.

– Za każdym razem, kiedy pukam do drzwi mojego ojca, żeby zapytać, czy są jacyś ważni ludzie, których powinnam oczarować, zbywa mnie ot, tak...

Juliette z teatralną przesadą zademonstrowała znużony wyraz twarzy ojca i machnęła ręką w bardzo wymowny sposób.

Rosalind stłumiła śmiech.

– Nie masz w takim razie niczego lepszego do roboty?

– Postanowiłam po prostu spędzić trochę czasu na podziwianiu twojego talentu – odparła Juliette. – Tak bardzo nudzi mnie towarzystwo zwykłych ludzi, którzy nie rozumieją różnicy między dropkickiem a flatkickiem...

Rosalind skrzywiła się.

– Ja też nie mam pojęcia, na czym polega różnica. Jestem prawie pewna, że właśnie wymyśliłaś te terminy.

Juliette wzruszyła ramionami i dopiła resztę ginu. W jej odpowiedzi kryło się ziarno prawdy. Musiała pokazać się w kabarecie na dostatecznie długo, żeby jej obecność została zauważona i żeby nikt nie nabrał podejrzeń, kiedy o zmierzchu wymknie się na spotkanie z Romą.

Wzdrygnęła się. „Wymknie się na spotkanie z Romą”. To za bardzo przypominało o przeszłości. O ranie, która została zadana tak dawno, ale ciągle pozostawała świeża, otwarta i bolesna.

– Wszystko w porządku?

Rosalind podskoczyła.

– Dlaczego miałyby nie być?

Jej makijaż był nałożony profesjonalnie, ale Juliette także co rano spędzała dużo czasu nad swoimi pudełkami i słoiczkami. Nie musiała się nadmiernie przyglądać, żeby zobaczyć, gdzie Rosalind nałożyła grubszą warstwę kremu i pudru. Potrafiła dostrzec granicę pomiędzy jej prawdziwą skórą a fałszywą warstwą ukrywającą cienie i podkrążone oczy.

– Martwię się, że nie śpisz dostatecznie dużo – powiedziała Juliette.

Po lewej stronie rozległ się głośny trzask. Sprzątająca stoły kelnerka przewróciła świecznik.

Rosalind potrząsnęła głową; mogła to być zarówno dezaprobata z powodu niezdarności kelnerki, jak i odpowiedź dla Juliette.

– Śpię dostatecznie dużo, ale niezbyt dobrze. Cały czas śnią mi się te owady. – Wzdrygnęła się i pochyliła do przodu. – Juliette, czuję się kompletnie bezsilna, siedząc beczynn timer, kiedy wokół mnie rozpada się miasto. Musi być coś, co mogłabym zrobić...

– Spokojnie – powiedziała łagodnie Juliette. – To nie twoje zadanie.

Rosalind położyła obie dłonie płasko na stole. Zacisnęła zęby.

– Chciałabym ci w czymś pomóc.

– Pomożesz mi, jeśli się wyśpisz. – Juliette spróbowała się uśmiechnąć. – Pomożesz nam wszystkim, tańcząc tak cudownie, jak tylko ty potrafisz, żebyśmy mogli zapomnieć chociaż na kilka minut o ludziach, którzy okradają sklepy i rozpalają ogień na ulicach.

Tak, żeby mogli zapomnieć, że szaleństwo uderza w każdym zakamarku miasta, że nie jest ono siłą, z którą mogliby walczyć policjanci, gangsterzy czy kolonialiści.

Rosalind przez długą chwilę nie odpowiadała. Potem, ku zaskoczeniu Juliette, zapytała:

– Czy tylko do tego się nadaję?

Juliette wyprostowała się szybko.

– Słucham?

– Można by pomyśleć, że wcale nie muszę należeć do Szkarłatnego Gangu – powiedziała z goryczą Rosalind. Jej głos był zmieniony niemal nie do poznania, chropowaty jak roztrzaskany odłamek szkła. – Jestem tylko tancerką.

– Rosalind. – Juliette także się pochylała i zmrużyła oczy. O co jej chodziło? – Jesteś tancerką, to prawda, ale należysz także do wewnętrznego kręgu Szkarłatnego Gangu, uczestniczysz w spotkaniach i masz dostęp do korespondencji, o której nawet twój rodzony ojciec nie ma prawa niczego wiedzieć. Jak możesz wątpić, czy należysz do gangu?

Jednak wzrok Rosalind pozostawał pusty. Gorycz ustąpiła miejsca rozpacz, a ta rozpacz przesiąkała ją, aż w końcu pozostawiła tylko poczucie porażki. Spotkanie z potworem miało na nią większy wpływ, niż przyznawała nawet sama przed sobą. Sprawilo, że noce zmieniły się w niekończącą się spiralę, aż zaczęła kwestionować wszystko, na czym opierało się jej życie. To było niebezpieczne dla Rosalind, której głowę wiecznie wypełniały ponure myśli.

– Czasem wydaje mi się niesprawiedliwe – odezwała się cicho Rosalind – że ty masz prawo być częścią tej rodziny i zawsze będziesz miała miejsce w Szkarłatnym Gangu, ale ja mogę być tancerką albo nikim.

Juliette zamruwała. Na coś takiego nie było odpowiedzi. Może poza tą:

– Ja... przykro mi. – Juliette wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni kuzynki. – Czy chcesz, żebym porozmawiała z ojcem...

Rosalind szybko potrząsnęła głową. Roześmiała się słabo.

– Nie przejmuj się mną – powiedziała. – Po prostu... sama nie wiem. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Powinam więcej spać. – Wstała i jeszcze raz ścisnęła dłoń Juliette, zanim ją wypuściła. – Muszę teraz wracać do domu, żeby odpocząć trochę, jeśli chcę być gotowa na wieczorny występ. Idziesz ze mną?

Juliette nie zamierzała iść, ale nie chciała także pozwolić Rosalind odejść teraz, gdy wydawało się, że konflikt – konflikt pomiędzy nimi – pozostał nierozwiązany. To było nieprzyjemne uczucie. Włoski na karku Juliette zjeżyły się, jakby właśnie pokłóciła się z kuzynką, ale nie umiała ustalić przyczyny napięcia pomiędzy nimi. Być może tylko jej się wydawało. Oczy Rosalind stały się teraz przytomniejsze, w jej postaci, zachowaniu pojawiło się więcej życia. Być może to był tylko pojedynczy moment wewnętrznego niepokoju.

– Idź pierwsza – odpowiedziała w końcu Juliette. – Ja mam jeszcze trochę czasu do zmarnowania.

Rosalind skinęła głową i znowu się uśmiechnęła. Wyszła przez drzwi, wpuszczając kolejny podmuch zimnego powietrza. Juliette zadrzała tak gwałtownie, że skuliła się, chowając twarz w kołnierzu i całkowicie tonąc w swoim futrze. Teraz nie było nawet występu, który zajmowałby jej uwagę. Nie miała do roboty nic poza obserwowaniem swoich Szkarłatnych.

– Jak długo zamierzasz wycierać ten stolik? – odezwała się głośno.

Kelnerka spojrzała na nią i westchnęła.

– *Xiàojiě*, te plamy są wyjątkowo uparte.

Juliette zerwała się z miejsca i podeszła do niej, stukając obcasami. Wyciągnęła rękę po ścierkę.

Kelnerka zamruwała.

– Panno Cai, nie wypada, żeby brudziła sobie pani ręce...

– Podaj mi ją.

Kelnerka podała jej ścierkę. Juliette zgmiotła ją w dłoni. Wystarczyły trzy szybkie, gwałtowne ruchy – jej dłoń uderzała o stół z takim impetem, że słychać było stuknięcie – aby blat stał się gładki, czysty i błyszczący.

Juliette oddała ścierkę.

– Wystarczy się przyłożyć. To nie takie trudne.

– Coś mi przyszło do głowy.

Benedikt podniósł głowę znad szkicownika i zmrużył oczy, starając się skoncentrować wzrok na twarzy Marshalla. Dzień był pochmurny, a mimo to przez grube chmury przeświecał oślepiający blask, który wlewał się do ich salonu. W rezultacie niebo wyglądało na rozpaczliwie ponure, ale nie dało się liczyć na pociechę w postaci porządnej ulewy.

– Zamieniam się w słuch.

Marshall rozsiadł się na długiej kanapie, bezpardonowo spychając na bok nogi Benedikta. Udawał, że nie usłyszał protestu przyjaciela, i nie ruszył się, chociaż usiadł prawie na jego bosych stopach.

– Nie wydaje ci się, że to trochę dziwne, że lord Montagow daje nam ostatnio tyle zadań związanych ze Szkarłatnymi? Skąd on bierze te informacje?

– Nic w tym dziwnego. – Benedikt z powrotem skoncentrował uwagę na ołówku poruszającym się po szorstkim papierze. – Mamy szpiegów w Szkarłatnym Gangu. Zawsze mieliśmy szpiegów w Szkarłatnym Gangu. Oni z pewnością także mają szpiegów w naszych szeregach.

– Owszem, mamy szpiegów, ale nie na takim poziomie – odparł Marshall. Zwykle przybierał ponury wyraz twarzy, kiedy próbował się na czymś skupić. Benedikt, szczerze mówiąc, uważał to za trochę zabawne. Nie pasowało do Marshalla. To było tak, jakby błazen ubrał się w dwurzędowy garnitur.

– To co? Myślisz, że udało nam się przeniknąć do ich wewnętrznego kręgu? – Benedikt potrząsnął głową. – Wiedzielibyśmy o tym. Możesz przestać się tak wiercić?

Marshall nie przestawał się wiercić. Wydawało się, że próbuje usadzić się jak najwygodniej, ale poduszki przesuwają się i spadały, przeszkadzając mu nieustannie. W końcu ulokował się, jak chciał, i oparł podbródek na pięści.

– Ostatnio informacje są wyjątkowo precyzyjne – powiedział z cieniem podziwu w głosie. – Znał datę balu maskowego, zanim dowiedział się o tym Roma. Dzisiaj rano wysłał mnie, żebym obserwował Kathleen Lang, i wiedział dokładnie, gdzie ona będzie. Jak twój wuj to robi?

Benedikt podniósł głowę znad rysunku, a potem znowu ją opuścił. Ołówek poruszał się, kreśląc szybki łuk. Zarys szczęki połączył się z krzywizną szyi. Rozmazany cień stał się dołeczkiem w policzku.

– Lord Montagow wysłał cię, żebyś obserwował Kathleen Lang? – zapytał.

Marshall oparł się wygodniej.

– Wiesz, nie mógł wysłać ciebie ani Romy na zebranie komunistów. Znasz język, ale nie wtapiasz się w tłum tak dobrze jak ja.

Benedikt przewrócił oczami.

– Tak, rozumiem. Ale dlaczego śledzimy teraz Kathleen Lang?

Marshall wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pewnie zależało mu na informacjach, które uda jej się zdobyć. – Zmrużył oczy i spojrzał na niebo za oknem. Zapadła na chwilę cisza, przerywana tylko szybkim szuraniem ołówka Benedikta, cieniującego szkic.

– Czy mamy dzisiaj nadal szukać żywej ofiary? – zapytał Marshall.

Benedikt uznał, że zapewne tak. Czas im się kończył. Życie Alisy zależało od nich, a jeśli pozostały jeszcze jakieś sposoby, które mogły sprawić, że znajdą lekarstwo, to czy nie powinni przynajmniej próbować ich szukać?

Z westchnieniem rzucił szkicownik na stół.

– Chyba musimy.

– Będziesz mógł wrócić do rysowania, kiedy poniesiemy porażkę i damy sobie spokój – obiecał Marshall. Wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do szkicownika.

– Nie mam aż tak dużego nosa.

O zachodzie słońca Juliette wymknęła się z kabaretu z opuszczoną głową i podbródkiem ukrytym w kołnierzu. Miało to na celu zarówno nierzucanie się w oczy, jak i ochronę przed ostrym wiatrem, którego porywy chłostały jej skórę przy każdym kroku. Nie wiedziała, czemu akurat ten dzień przyniósł tak zjadłe uderzenie wczesnej zimy.

– Bułeczki, świeże bułeczki po dwa centy! Tylko teraz, jeszcze gorące...

– Panienko, panienko, mam tu tanie ryby...

– Czytanie przyszłości! Wróżby z dłoni! *Xiǎojiě*, potrzebujesz teraz...

Juliette skręcała w prawo i w lewo, przemierzając targowisko pod gołym niebem i nie odrywając wzroku od swoich butów. Naciągnęła na głowę kaptur płaszcz, aż ukryła pod jego futrem włosy i większość twarzy. Nie chodziło o to, że rozpoznanie czymś jej groziło – miała przygotowane dziesięć tysięcy wymówek, gdzie i po co idzie, ale nie była w nastroju na kłamstwa. To miasto było jej starym przyjacielem. Nie musiała się rozglądać, żeby znaleźć drogę. Tędy i tamtędy, tędy i tamtędy, aż niedługo szła przez aleję Edwarda VII. W końcu podniosła głowę i wytrzymała zimno na policzkach, rozglądając się za Romą.

Cały ruch na tej ulicy kierował się w jedną stronę – do budynku nazywanego Great World. niesprawiedliwie określano go mianem hali targowej, co chętnie robiła Juliette. Był to raczej zadaszony kompleks rozrywkowy zawierający wszystko, co można byłoby wymyślić. Krzywe lustra, linoskoczkowie i lodziarnie – wszystko razem tworzyło kakofonię atrakcji, które mogły pochłonąć cały dzień z życia i wszystkie pieniądze z portfela. Główną atrakcją była opera chińska, chociaż Juliette za nią nie przepadała. Do jej ulubionych rozrywek należały pokazy iluzjonistów, ale że minęły lata, odkąd tu bywała, więc wszyscy starzy magicy prawdopodobnie przeszli na emeryturę lub zostali zastąpieni przez innych.

Juliette z westchnieniem przyjrzała się pięciu wysokim chińskim znakom umieszczonym na dachu Great World. Lśniły na tle zachodzącego słońca, podświetlone ledwie już widocznym ognistym pomarańczem.

Biało... złote... smocze... papierosy, przetłumaczyła z większym trudem, niż powinna. Na ułamek sekundy zapomniała, że powinna czytać od prawej do lewej, zamiast od lewej do prawej, do czego przywykła przez ostatnie lata.

– Skoncentruj się – mruknęła do siebie.

Jej roztargnienie zniknęło, kiedy zaczęła śledzić strumień twarzy wchodzących i wychodzących. Przyglądała się uważnie, przeczesując wzrokiem tłum ludzi, którzy w szybko zapadającym zmierzchu ulegali krzykliwym reklamom obiecującym natychmiastowe zaspokojenie wszelkich nałogów – aż jej wzrok zatrzymał się na sklepie z sukniami. Roma opierał się o słup ogłoszeniowy, trzymając ręce w kieszeniach. Miał podkrążone oczy.

Juliette podeszła do niego, a jej buty tym razem stąpały bezdźwięcznie po żwirowej alejce. Zamierzała skarcić go, że zatrzymał się tak daleko od budynku, utrudniając jej znalezienie go. Kiedy jednak podeszła bliżej, coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że w ogóle nie zaczęła tego tematu.

– Co się stało...

– Nie oglądaj się – powiedział Roma. – Jesteś śledzona.

– Wcale nie.

Zaprzeczyła szybko i bez cienia wahania, chociaż był to z jej strony raczej przejaw buntu niż faktyczna pewność. Instynkt nakazywał odwrócić się i udowodnić, że Roma się myli, ale logika poleciła się pohamować. Juliette znieruchomiała, napinając wszystkie ścięgna w szyi. Rzeczywiście, kiedy szła tutaj, była pogrążona w myślach i koncentrowała się na ukrywaniu swojej twarzy przed otaczającymi ją ludźmi, zamiast na rozglądaniu się za tym, co mogłaby dostrzec kątem oka. Czy rzeczywiście miała ogon?

– Biały mężczyzna zatrzymał się w tym samym momencie, co ty – powiedział Roma. – Wyciągnął z kieszeni gazetę i zaczął ją czytać na środku ulicy. Nie wiem, co o tym myślisz, ale mnie się to wydaje bardzo podejrzane.

Juliette, klnąc pod nosem, zaczęła grzebać w kieszeni.

– Może nie stanowi zagrożenia – upierała się. – Może to ktoś z twoich, mający na ciebie oko.

– To nie jest Rosjanin – odparł natychmiast Roma. – Ubranie i fryzura wskazują na Brytyjczyka, a u nas nie ma nikogo od nich.

Juliette w końcu znalazła to, czego szukała, i wyjęła puderniczkę. Otworzyła pudełeczko i przechyliła składane lusterko, żeby przyjrzeć się pogrążonej w półmroku ulicy za swoimi plecami.

– Widzę go – stwierdziła. – Żółta chusteczka w butonierce?

– Tak, to ten – potwierdził Roma.

Nie miała pojęcia, po czym Roma poznał, że śledzący ją mężczyzna jest Brytyjczykiem. Dla niej wyglądał jak każdy inny cudzoziemiec.

Juliette przyjrzała się uważniej odbiciu w lusterku. Przechyliła je pod odrobinę innym kątem, a potem jeszcze trochę...

– Roma – odezwała się trochę głośniej. – On ma pistolet.

– Każdy cudzoziemiec w tym mieście nosi broń...

– Celuje w nas – przerwała mu Juliette. – Właśnie wyciągnął go, zasłaniając się gazetą.

Zapadła pełna napięcia cisza, kiedy oboje rozpaczliwie zastanawiali się nad dostępnymi opcjami. Wokół nich Szanghaj poruszał się bezustannie, pełen życia i energii, niewzruszony niczym. Teraz jednak Roma i Juliette nie mogli wtopić się w ten tłum, ponieważ będą śledzeni aż do miejsca, w które się wybierali. Nie było niczego, za czym mogliby się schować i zniknąć, żadnej szansy, żeby wyciągnęli własną broń, zanim Brytyjczyk zauważy to i strzeli pierwszy.

– Rozepnij płaszcz i obejmij mnie – powiedział Roma.

Juliette omal nie zadławiła się nagłym wybuchem śmiechu. Czekala na puentę tego żartu, ale Roma mówił poważnie.

– Kpisz sobie chyba – odpowiedziała.

– Nie, nie kpię – odparł spokojnie Roma. – Zrób to, żebym mógł go zastrzelić.

Śledzący ich Brytyjczyk znajdował się w odległości ponad stu kroków. Pomiędzy nimi bezustannie szli całymi tuzinami przypadkowi przechodnie.

Jak Roma zamierzał zastrzelić go w takich warunkach, jednocześnie obejmując Juliette?

Pociągnęła pasek, żeby poluzować płaszcz, i uniosła ramiona. Drugą ręką zamknęła puderniczkę, więc nie widziała już mężczyzny, który ją śledził.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – wyszeptala. Oddychała z trudem. Jej serce waliło jak młotem.

Zarzuciła ramiona na szyję Romy.

Usłyszała, że wstrzymał oddech. Na króciutką chwilę, niemal niezauważalnie, gdyby nie znajdowała się tuż obok. Być może nie wziął pod uwagę faktu, że skoro Juliette ma go skutecznie zasłonić, musi stanąć tak blisko niego. Z całą pewnością nie spodziewał się, że jej podbródek machinalnie wpasuje się w swoje dobrze znane miejsce w zagłębieniu jego ramienia. Jak dawniej.

Oboje od tamtego czasu stali się wyżsi i wysunęli własne kolce. A jednak Juliette dopasowała się do niego z taką łatwością! O wiele za dużą, jak na jej gust.

– Przysuń się bliżej – polecił Roma.

Poczuła, że jego ramię się porusza, żeby wyciągnąć pistolet pod osłoną jej płaszcza, który wydymał się wokół nich na lekkim wietrze.

Juliette pamiętała, jak Roma przysięgał jej, że nigdy nie wyciągnie pistoletu. Nie był w takim samym stopniu jak ona oswojony z nowoczesną bronią. Przez te kilka miesięcy, które jako piętnastolatka spędziła w Szanghaju, Roma prowadził inne życie niż ona. Podczas gdy on działał z komfortową pewnością siebie następcy bossa Białych Kwiatów, Juliette walczyła o to, żeby dać się zauważyć, i chłonęła każde słowo swojego ojca w obawie, że jeśli zignoruje jakieś proste polecenie, zostanie uznana za niepotrzebną.

„Nie możemy sobie pozwolić na luksus, jakim jest współczucie, Juliette. Popatrz na to miasto. Popatrz na głód, który wije się pod warstwą przepychu”.

Ulubioną metodą nauki jej ojca było zabieranie Juliette na strych domu, żeby razem z nią wyjrzeć przez najwyższe okno i popatrzeć na miasto w oddali.

„Imperia upadały w ciągu zaledwie kilku godzin. To może podzielić ich los. Tutaj, w Szanghaju, ten, kto strzela pierwszy, ma największe szanse na przeżycie”.

Juliette przyswoiła sobie tę lekcję. Najwyraźniej przez lata jej nieobecności Roma doszedł do podobnych wniosków.

– Nie spudłuj – szepnęła.

– Nigdy nie pudłuję.

Huk wystrzału zagrzmiał wokół nich. Juliette natychmiast odwróciła się i zobaczyła, że Brytyjczyk osunął się na ziemię tam, gdzie stał, z intensywnie czerwoną plamą powiększającą się na piersi. W jej płaszczu pozostała dymiąca dziura, ale Juliette niemal nie zwróciła na to uwagi. Koncentrowała się na krzykach, które wybuchły, kiedy ludzie rozglądali się w poszukiwaniu źródła tego strzału.

Wprawdzie odgłosy strzałów były często słyszane w Szanghaju, ale nie w miejscu tak pełnym ludzi, nie w miejscu, które tłumnie odwiedzali cudzoziemcy, a potem chwalili się swoim znajomym z ojczystego kraju. Za strzały odpowiadali gangsterzy i konflikty o podział terytorium, rozgrywające się w godzinach, kiedy po ulicach spacerował tylko diabeł, a miasto oświetlał blask księżyca. Teraz była pora ciepłego zachodu słońca, czas udawania, że Szanghaj nie jest pęknięty na dwie części.

W całym tym chaosie pozostały jednak trzy absolutnie nieruchome punkty.

Juliette nie była śledzona przez jednego mężczyznę, tylko przez czterech.

Musieli natychmiast uciekać.

– Wejźmy do hali – powiedziała Juliette. Spojrzała na Romę i zmarszczyła brwi, ponieważ się ociągał. – No już. To pierwszy raz, kiedy muszę uciekać po popełnieniu zbrodni, którą rzeczywiście popełniłam.

Roma zamrugał. Jego oczy były szeroko otwarte i pełne niedowierzania. Wydawał się nieobecny duchem, kiedy zanurzyli się w tłumie i zaczęli przepychać pomiędzy plecami i łokciami, napierającymi na nich ze wszystkich stron, podczas gdy oni starali się jak najszybciej dotrzeć w bezpieczne miejsce.

– Zbrodni, którą popełniłaś? – powtórzył cicho. Juliette musiała wyteżać słuch, żeby pochwycić jego słowa. – To ja strzeliłem.

Skrzywiła się i odwróciła do niego.

– Czy naprawdę oczekujesz na pochwały... – urwała zdanie w pół słowa. Myślała, że Roma poprawia ją bo chce przypisać sobie zasługę za to przestępstwo, ale zobaczyła wyraz jego twarzy. Nie był oskarżycielski.

Roma nie chciał strzelić.

Juliette odwróciła się szybko i potrząsnęła głową, jakby zobaczyła coś, czego nie powinna była zobaczyć. Wydawało jej się, że Roma w końcu przywykł do posługiwania się pistoletem, a w następnej chwili została zaskoczona przez jego zdolności aktorskie. Ile z jego wizerunku było tylko na pokaz? Do tej pory Juliette nie brała pod uwagę, że podczas gdy Roma nasłuchiwał się plotek o jej okrucieństwie i sądził, że zmieniła się w inną osobę, ona sama mogła wpaść w podobną pułapkę. Uwierzyła w opowieść o lodowatej oziębłości, której źródłem byli członkowie Białych Kwiatów.

Juliette zmarszczyła brwi i pochyliła głowę, żeby zanurkować w wąskiej przestrzeni pomiędzy dwoma rozłożonymi parasolami. Kiedy je wyminęła, znowu spojrzała na Romę – na jego zaciśniętą szczękę i zawzięte spojrzenie.

W przypadku Romy Montagowa nigdy nie potrafiła poznać, co jest prawdą, a co nie. Wydawało jej się, że go zna, dopóki się nie okazało, że tak nie jest. Wydawało jej się, że spojrzała na niego trzeźwo po tym, jak ją zdradził, skreśliła go jako przebiegłego i żądnego krwi, ale najwyraźniej nadal się myliła.

Może nie istniała prawda. Może nie było niczego tak prostego jak jedna prawda.

– Pospiesz się – powiedziała i potrząsnęła głową, żeby pozbyć się uporczywych myśli.

Zdołali wejść do wnętrza Great World i przystanęli tuż przy drzwiach, żeby rozejrzeć się za ścigającymi ich mężczyznami. Juliette obejrzała się przez ramię i zauważyła dwóch z nich przepychających się przez tłum. Nie odrywali od niej wzroku. Poruszali się strategicznie, zawsze zasłonięci przypadkowym przechodniem, zawsze pochyleni. Roma pociągnął ją za ramię, żeby się ruszyła, ale Juliette, nadal rozglądając się za trzecim prześladowcą, sięgnęła do kostki u nogi.

– Gdzie on jest? – zapytała.

Roma rozejrzał się w tłumie i niemal natychmiast wskazał w bok na biegnącego mężczyznę, który prawdopodobnie szukał bocznego wejścia do Great World, żeby zacząć się na nich w środku.

Juliette wyciągnęła pistolet. Jeszcze kilka sekund, a mężczyzna zniknie im z pola widzenia.

To, że Roma nie był tak brutalnym następcą szefa gangu, jak uważało całe miasto, nie oznaczało, że reputacja Juliette była równie niezasłużona.

Biegnący mężczyzna zwałił się na ziemię, kiedy kula Juliette trafiła go w szyję. Zanim jej pistolet przestał dymić, Juliette okręciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem w głąb budynku.

Większość gości Great World nie usłyszała huku wystrzału albo uznała go za jeden z odgłosów będących częścią atmosfery tej hali. Juliette lawirowała w tłumie, kątem oka dostrzegając ścigające ją odbicia, kiedy mijala wystawę gabinetu krzywych luster.

– Jak zgubimy dwóch pozostałych? – zapytał Roma.

– Chodź za mną – odparła.

Przepchnęli się przez najgęstszy tłum i wyszli na zewnątrz, na otwarty dziedziniec w centrum Great World. Trwało właśnie przedstawienie operowe. Juliette rozglądała się za innym wejściem do wnętrza budynku, przesuwając pospiesznie spojrzeniem po zewnętrznych schodach, łączących zygzakami wyższe piętra. Znowu ruszyła przed siebie, przepchnęła się pomiędzy pięcioosobową rodziną, a potem wpadła na kobietę niosącą klatkę z ptakiem. Skrzywiła się, kiedy klatka upadła na ziemię, a ptak zaskrzeczał, śmiertelnie przerażony.

– Juliette! – zawołał z tyłu Roma. – Uważaj trochę.

– Pospiesz się – warknęła w odpowiedzi.

Ostrożność go spowalniała. Juliette dostrzegła jednego ze ścigających ich mężczyzn w odbiciu krzywych luster. Drugi zderzył się ze zmęczonym skrybą listów miłosnych, który kierował się właśnie do wyjścia.

– Dokąd idziemy? – wysapał Roma.

Juliette wskazała szerokie białe schody, które pojawiły się przed nimi.

– Na górę – powiedziała. – Szybko, szybciej... Nie, Roma, na ziemię!

Kiedy tylko weszli na schody, powyżej tłumy, znaleźli się na linii strzału. Kule rykoszetowały wokół nich, sprawiając, że Juliette wbiegała po trzy stopnie.

– Juliette, nie podoba mi się to! – krzyknął Roma. Jego kroki były cięższe, przeskakiwał po cztery stopnie, żeby dotrzymać jej kroku.

– Dla mnie to też nie jest świetna zabawa! – odkrzyknęła Juliette, wpadła na podest na piętrze i ponownie zniknęła we wnętrzu okrągłego budynku. – Pospiesz się!

To piętro zajmowali ludzie, a nie sale widowiskowe: alfonsi, aktorzy i balwierze oferowali chętnym swoje usługi.

– Tędy – rzuciła zadyszana Juliette. Przebiegła koło rzędu zdumionych czyścicieli uszu i popchnęła podwójne drzwi. Roma poszedł w jej ślady.

– Tutaj, tutaj.

Juliette chwyciła Romę za rękaw i szarpnęła gwałtownie, żeby jak najszybciej wciągnąć go za wieszaki pełne obszytych koronką szlafroków.

– Czy... czy my się ukrywamy? – zapytał szeptem Roma.

– Tylko na chwilę – odparła Juliette. – Przykucnij.

Oboje przykucnęli wśród ubrań, wstrzymując oddech. Sekundę później drzwi otworzyły się na oścież i do środka wpadli dwaj mężczyźni. Ich ciężkie oddechy były doskonale słyszalne w ciszy w garderobie.

– Sprawdź z tej strony – polecił jeden drugiemu. Z akcentem brytyjskim. – Ja poszukam tutaj. Nie mogą być daleko.

Juliette obserwowała, jak mężczyźni rozdzielają się, a potem przyglądała się ich butom aż do chwili, kiedy oddaliły się od siebie na stosowną odległość.

– Ten jest twój – szepnęła Juliette, wskazując zbliżającą się parę butów. – Zabij go.

Roma szybkim jak śmigłowiec ruchem chwycił ją za nadgarstek.

– Nie – syknął cicho. – Jest dwa na dwa. Możemy ich oszczędzić, nie ryzykując.

W pomieszczeniu rozległ się donośny, metaliczny brzęk. Jeden z mężczyzn potknął się o wieszak z ubraniami.

Juliette gwałtownie wyrwała rękę i skinęła głową tylko po to, żeby nie marnować więcej czasu na kłótnie. Przesunęła się do przodu. Podczas gdy mężczyzna, którego wskazała Romie, zatrzymał się niedaleko i zapewne się rozglądał, drugi szedł przed siebie, więc żeby go dogonić, musiała się podnieść i podbiec do przodu, pochylona za stojakami.

Nie wiedziała, co ją zdradziło. Być może jej pantofle skrzyknęły albo jej ręka musnęła wieszak, który szcęknął na metalowym drążku, ale mężczyzna nagle zatrzymał się, odwrócił szybko i strzelił pomiędzy wieszaki. Kula świsnęła Juliette koło ucha.

Obok rozległ się kolejny strzał. Juliette nie wiedziała, czy oddał go drugi z mężczyzn, czy Roma. Nie wiedziała, co się dzieje, poza tym, że wypadła spomiędzy wieszaków i wycelowała w mężczyznę. Musiała to zrobić w ułamku sekundy, zanim on zdążył złożyć się do kolejnego strzału.

Lufa jej pistoletu dymiła. Kula wbiła się w prawe ramię mężczyzny, który upuścił swoją broń na ziemię.

– Roma! – zawołała Juliette, nie odrywając wzroku od Brytyjczyka. – Masz go?

– Leży ogłuszony – odpowiedział. Podszedł bliżej i zatrzymał się o krok za Juliette, nadal celującą z pistoletu.

– Kto was wysłał? – zapytała ostatniego z mężczyzn.

– Nie wiem – odparł szybko Brytyjczyk. Przesunął spojrzenie z drzwi na lufę pistoletu, a potem znowu na drzwi. Dzieliło go od nich dwadzieścia kroków.

– Jak to nie wiesz? – zapytał ostro Roma.

– Kupcy rozpuścili wieści, że Larkspur jest gotów zapłacić każdemu, kto zabije Juliette Cai albo Romę Montagowa – zająknął się mężczyzna. – Postanowiliśmy spróbować. Proszę... odpuśćcie mi. To była za dobra okazja, żeby ją sobie darować, rozumiecie chyba? Wydawało nam się, że będzie trudno znaleźć was pojedynczo, a wtedy nagle pojawiliście się razem. Przecież i tak nam się nie udało...

Mężczyzna urwał. Jego rozszerzone oczy podpowiadały, że rozumiał, jaką informacją dysponuje. Wiedział. Wiedział, że Roma Montagow i Juliette Cai pracują razem. Widział, jak się obejmowali. To była informacja, którą mógł sprzedać Larkspurowi. To była informacja, która dawała mu władzę.

Mężczyzna rzucił się do drzwi. Roma krzyknął ostrzegawczo – nie dało się odgadnąć, czy kierował ten okrzyk do Brytyjczyka, czy do Juliette – i rzucił się za zbiegiem, wyciągając rękę, żeby chwycić go za kołnierz i wciągnąć w głąb przebieralni jak zbłąkanego psa.

Jednakże Juliette zdążyła już pociągnąć za spust. Mężczyzna osunął się na podłogę, z ciężką nieodwracalnością wyślizgując się z uchwytu Romy.

Roma popatrzył na ciało. Przez króciutką chwilę Juliette widziała szok w jego szeroko otwartych oczach, zanim zamrugał i stłumił to uczucie.

– Nie musiałś go zabijać.

Juliette zrobiła krok do przodu. Na bladym policzku Romy widniało trochę krwi, spływającej po łuku i podkreślającej zarys jego kości policzkowej w słabym świetle żarówek.

– On by nas zabił.

– Wiesz przecież... – Roma oderwał wzrok od ciała. – On został w to wciągnięty. Nie dokonał takiego wyboru jak my.

Dawno temu Roma i Juliette opracowali listę zasad, które – gdyby ich przestrzegać – uczyniłyby miasto znośniejszym do życia. Nie sprawiłyby, że Szanghaj złagodnieje, tylko że będzie jeszcze dla niego nadzieja. Gangsterzy powinni zabijać tylko gangsterów. Jedyne dozwolone celemi byli ci, którzy wybrali taki sam styl życia, co – jak później uświadomiła sobie Juliette – obejmowało także prostą siłę roboczą. Pokojówki, szoferów... Nianię.

Można walczyć nieczysto, ale należy walczyć odważnie. Nie należy walczyć z tymi, którzy nie rozumieją, na czym polega walka.

Niania wiedziała doskonale, co oznacza praca dla Szkarłatnego Gangu. Ścigający ich mężczyzna sięgnął po błyskotkę na ziemi z nadzieją, że to samorodek złota, ale poruszył gniazdo szerszeni. Zostawia go tutaj, w kałuży własnej krwi, i niebawem ktoś przyjdzie i go znajdzie. Nieszczęsny pracownik, który dokona tego odkrycia, powiadomi policję, a siły porządkowe pojawią się i spojrzą na tego mężczyznę tak, jak patrzy się na pole uschłej pszenicy. Z niezadowoleniem z powodu ogólnej straty, ale bez cienia osobistych emocji.

Zgodnie ze starymi zasadami mężczyźni, którzy ich ścigali, powinni zostać oszczędzeni. Jednak Juliette odrzuciła te zasady w tym samym momencie, kiedy straciła dawnego Romę. Kiedy wybuchł konflikt, myślała o sobie i o swoim bezpieczeństwie, a nie o bezpieczeństwie kogoś, kto celował do niej z broni.

Jednak umowa to umowa.

– Rozumiem – powiedziała krótko.

– Rozumiesz? – powtórzył Roma.

Juliette, prawie nie patrząc na niego, wyciągnęła z kieszeni płaszcz jedwabną chusteczkę.

– Rozumiem – powiedziała, jakby nie usłyszał jej za pierwszym razem, podając mu chusteczkę. – Powiedziałeś, że mamy ich oszczędzić, a ja zgodziłam się, ale postąpiłam wbrew twoim słowom. To moja wina. Skoro pracujemy razem, musimy słuchać siebie nawzajem.

Roma powoli uniósł chusteczkę do twarzy. Przesunął ją dwa centymetry od rozbryzgu krwi, przecierając tylko surową linię swojej szczęki. Juliette myślała, że jej nieprzekonująca próba przeprosin sprawi mu przyjemność, że Roma skinie przynajmniej głową z satysfakcją. Jednakże jego spojrzenie stało się tylko bardziej odległe.

– Dawniej byliśmy w tym naprawdę dobrzy.

Juliette poczuła nieprzyjemną pustkę w środku.

– W czym?

– W pracy razem. W słuchaniu. – Przestał wycierać swoją twarz. Jego ręka znieruchomiła w powietrzu, pozbawiona celu. – Działaliśmy razem, Juliette.

Juliette podeszła i wyrwała kawałek jedwabiu z dłoni Romy. Czuła się niemal urażona tym, jak marnie Roma radzi sobie z wytarciem zwykłej kropli krwi. Wystarczył jeden gwałtowny ruch jej ręki, aby biała chusteczka zabarwiła się głęboką czerwienią, a jego twarz stała się na powrót piękna.

– Nic z tego nie było prawdziwe – syknęła Juliette.

Było coś okropnego w tym zmniejszającym się dystansie pomiędzy nimi: jakby sprężyna zwijała się coraz ciaśniej i ciaśniej. Każdy gwałtowniejszy ruch mógł się zakończyć nieszczęściem.

– Oczywiście – powiedział głucho Roma. Jego oczy zalśniły, jak gdyby on także dopiero teraz sobie o tym przypomniał. – Wybacz mi to przeoczenie.

Minęła chwila pełnej napięcia ciszy – sprężyna powoli poluzowała się i wróciła do zwykłej pozycji. Juliette pierwsza odwróciła spojrzenie i przesunęła stopę, żeby nie dotknąć kałuży krwi rozszerzającej się na przegniłych deskach podłogi. To miasto było zbrukane krwią. Próba zmiany tego byłaby głupotą.

– Najwyraźniej, podczas gdy my szukamy Larkspura, Larkspur jest coraz bliżej nas – powiedziała, wskazując martwego mężczyznę.

– To oznacza, że wpadliśmy na jakiś trop – stwierdził ponuro Roma. – Jesteśmy też coraz bliżej ocalenia Alisy.

Juliette skinęła głową. Wydawało się, że Larkspur wie, iż nadchodzą. Jeśli jednak myślał, że kilku kupców wystarczy, żeby ich przestraszyć, czeka go bolesne rozczarowanie.

– Musimy dotrzeć do niego, zanim zrobi się naprawdę późno.

Juliette wyjęła ulotkę zachęcającą do szczepień, złożoną w taki sposób, aby widoczny był tylko adres na samym dole. Drugą ręką machinalnie otarła wilgoć ze swojej szyi, zastanawiając się, czy może także została ochlapana krwią i niczego nie zauważyła.

Roma skinął głową.

– Chodźmy.

ROZDZIAŁ 23

Kiedyś musiała tutaj panować całkowita cisza. Być może od czasu do czasu kopyta jakiegoś konia, mijającego jedną łąkę za drugą, wbijały się w miękką ziemię, aż w końcu ich ślady utworzyły ścieżkę.

Wystarczyło kilka krótkich lat, aby wydeptywane przez stulecia niezliczonymi stopami ścieżki zostały wybrukowane. Kamyki, które uważały się za nieśmiertelne, zostały zmiażdżone na proch; drzewa starsze od wielu krajów zostały zwalone i zniszczone.

Na ich miejscu wyrosła chciwość. Rozrosła się, łącząc wieś z wsią liniami kolejowymi, aż wszelkie granice zostały zatarte. Rozrosła się kablami, rurami i dzielnicami pełnymi kamienic spiętrzonych jedna na drugiej, bez żadnego planu.

Juliette uważała, że Osiedle Międzynarodowe jest najgorszym przykładem chciwości. Intruzi nie mogli wymazać ludzi, żyjących na obszarze, który postanowili sobie przywłaszczyć, ale mogli wymazać wszystko inne.

Gdzie się podziały latarnie?, zastanawiała się Juliette, zatrzymując się na chodniku i podnosząc głowę. *Czym jest Szanghaj bez swoich latarni?*

– Jesteśmy na miejscu. – Głos Romy wyrwał ją z zamyślenia. – Ten adres był na ulotkach.

Wskazał następny budynek za tym, w który wpatrywała się Juliette. Przez moment miała wrażenie, że oczy płatają jej figla. Noc była wyjątkowo ciemna, ale z okien padało dość słabego blasku lamp olejowych, by oświetlić ciżbę na zewnątrz. Kolejka zaczynała się przy drzwiach wejściowych i była tak długa, że trzykrotnie otaczała cały budynek.

Juliette ruszyła przed siebie.

– Juliette! – syknął Roma. – Juliette, zaczekaj...

„To nie ma znaczenia” – miała ochotę mu powiedzieć. Wiedziała, o czym myśli, przynajmniej w przybliżeniu: muszą być ostrożni. Nie mogą pozwolić, żeby ktoś zobaczył ich razem. Nasłani przez Larkspura mordercy deptali im po piętach, więc powinni uważać na to, komu się narażają. „To nie ma znaczenia” – miała ochotę wrzasnąć. Jeśli ich ludzie nie przestaną umierać, jeśli nie zdołają ocalić tego, co starali się chronić, nic na tym świecie nie miało już znaczenia.

Juliette przecisnęła się na początek kolejki. Kiedy starszy mężczyzna przy drzwiach próbował ją odepchnąć, rzuciła w niego najbardziej plugawymi przekleństwami, jakie знаła w dialekcie szanghajskim, a on się skulił, jakby ktoś wyssał z jego żył całą siłę witalną.

Juliette czuła za sobą obecność Romy, kiedy zatrzymała się przed potężnym mężczyzną, który pilnował drzwi. Roma ostrożnie i ostrzegawczo położył dłoń na jej łokciu. Ten mężczyzna był dwa razy większy od Juliette. Kiedy zmierzyła go uważnym spojrzeniem w świetle lampy olejowej, stwierdziła, że musiał być wynajętym ochroniarzem z jakiegoś kraju leżącego na południe od Chin, z miejsca, gdzie głód był paliwem, a rozpacz motorem napędowym.

Nacisk na jej łokciu stał się silniejszy. Juliette odsunęła rękę i rzuciła Romie ostrzegawcze spojrzenie, dając mu znak, żeby przestał.

Roma nigdy jeszcze nie obawiał się tak bardzo o jej bezpieczeństwo.

Przez lata jej nieobecności uczestniczył w wielu strzelaninach z członkami Szkarłatnego Gangu. Pomimo swojej nienawiści do organizowanych przez Białe Kwiaty nielegalnych walk brał udział w większej liczbie ulicznych bójek, niż byłby gotów przyznać, i zdobył całą kolekcję blizn, ponieważ jego pierwszą reakcją na widok noża był blok, a nie unik. Nawet jeśli nienawidził przemocy, przemoc zawsze go znajdowała, a on musiał się jej oddać lub zostać zmieciony.

Wtedy jednak zawsze miał wsparcie. Miał dodatkowe pary oczu obserwujące otoczenie pod każdym kątem.

W tym momencie byli tylko on i Juliette przeciwko tajemniczemu, zewnętrznemu zagrożeniu, które nie należało ani do Szkarłatnego Gangu, ani do Białych Kwiatów. Byli sami przeciwko sile, która chciała śmierci ich obojga, która chciała zmiażdżyć obecny układ sił w Szanghaju, pozostawiając tylko anarchię.

– Przepuść nas – zażądała Juliette.

– Tylko pracownicy Larkspura – odparł strażnik niskim, dudniącym głosem. – Albo czekać na swoją kolej.

Roma obejrzał się przez ramię. Oddychał płytko i szybko. Ledwo było ich widać pomiędzy rzędami ludzi, ale kilkoro mężczyzn i kobiet stało odrobinę inaczej niż inni. Nie zajmowali miejsca w kolejce, lecz tuż obok niej; utrzymywali porządek, nie zdradzając, że są pracownikami.

– Juliette – odezwał się ostrzegawczo Roma. Przeszedł na rosyjski, żeby nie zrozumiał go ktoś podsłuchujący. – W tym tłumie jest jeszcze co najmniej pięć osób pracujących za brudne pieniądze dla Larkspura. Mają broń. Zareagują, jeśli uznają, że stanowisz zagrożenie.

– Mają broń? – powtórzyła Juliette. Jej rosyjski brzmiał zawsze specyficznym. Nie można było tego zrzucić na akcent, miała zbyt dobrego nauczyciela. Sprawiała to raczej maniera, sposób wymawiania samogłosek unikalny dla Juliette. – Ja też.

Juliette zamachnęła się. Jej pięść zatoczyła łuk od żołądka na zewnątrz i trafiła ochroniarza w głowę tak, że zwałił się jak kamień na bok, co umożliwiło Juliette otwarcie kopniakiem drzwi i wciągnięcie do środka Romy, zanim ten w ogóle zorientował się, co się dzieje.

Użyła pistoletu, uświadomił sobie z opóźnieniem. Juliette nie nabrała nieoczekiwanej siły zapaśniczki – po prostu trzymała pistolet w zaciśniętej pięści i wykorzystała jego rękojeść, żeby uderzyć ochroniarza w skroń. Mężczyzna nie zauważył nawet, kiedy wyciągnęła broń. Jej zwinne dłonie całkowicie uszły jego uwadze, kiedy koncentrował się na jej twarzy – na zagryzionych wargach i zimnym uśmiechu.

Juliette witała niebezpieczeństwo z otwartymi ramionami. Najwyraźniej Roma nie był w stanie postąpić podobnie, nawet jeśli całemu jego światu groziło niebezpieczeństwo, nawet jeśli Alisa musiała leżeć ze związanymi rękami i nogami. Niemal obawiał się tego czegoś, co sprawiłoby, że się przełamie, i miał nadzieję, że nigdy tego nie napotka. Sam nie chciałby zobaczyć tego, co się wydarzy.

– Zarygluj je – poleciła Juliette.

Roma otrząsnął się z zamyślenia. Spojrzał na cienkie stalowe drzwi, zamknął je i zasunął zasuwę. Przyjrzał się ostrożnie samej Juliette, a potem ścianom pomieszczenia, w którym się znaleźli. Stali u podnóża schodów tak stromych, że Roma nie widział, co jest na górze.

– Mamy najwyżej pięć minut, zanim wyłamią te marne drzwi – ocenił. Z zewnątrz już było słychać odgłosy uderzeń.

– Pięć minut powinno nam w zupełności wystarczyć – odparła Juliette. Wskazała kciukiem drzwi. – Obawiam się tylko, że przez ten hałas możemy mieć ich mniej.

Wbiegła po dwa stopnie, a pistolet w jej ręce zniknął magicznie. Roma nie odrywał od niej wzroku, a mimo to nie był pewien, co się stało z bronią. Jej płaszcz miał jedną płytką kieszeń. Sukienka pod spodem miała prosty krój z mnóstwem naszytych paciorków. *Gdzie ona chowa tyle broni?*

Na przedostatnim stopniu Roma poczuł zapach kadzidełka. Nie był chyba całkowicie zaskoczony, kiedy znalazł się na górze i mógł się rozejrzeć. To miejsce kojarzyło mu się z baśniami, które lady Montagowa czytała mu, kiedy był mały, o arabskich nocach i dżinach na pustyni. Zasłony z kolorowego jedwabiu trzepotały, poruszane podmuchem wzniesionym przez Romę i Juliette, odsłaniały wyszczerbione parapety i zbliżały się niebezpiecznie do palących się na ziemi świec. Na podłogach i ścianach rozpościerały się pluszowe dywany, pulsujące ciepłem i wydzielające specyficzny zapach starości. Nie było tu ani jednego krzesła, tylko powódź poduszek zajętych przez ludzi znajdujących się we władzy Larkspura.

Na samym środku znajdował się niski stół rozdzielający kobietę ze strzykawką i mężczyznę z wyciągniętą ręką. Oni także siedzieli na poduszkach.

– *Mon Dieu!* – krzyknął mężczyzna przy stole. Pistolet znowu pojawił się w dłoni Juliette. Jego lufa celowała w kobietę za stołem.

– Czy ty jesteś Larkspurem? – zapytała Juliette po angielsku.

Roma przyjrzał się ponad dwudziestu obecnym w tym pomieszczeniu. Nie był do końca pewien, kto z nich pracuje dla Larkspura, a kto przyszedł tutaj po szczepionkę. Połowa ludzi wyprostowała się, zdradzając swój udział w całej intrydze, ale nie wydawało się, żeby zamierzali podejmować działanie. Ich łokcie drżały, szyje wciągali w ramiona. To byli ludzie tacy jak Paul Dexter, który raz czy dwa próbował skontaktować się z Białymi Kwiatami. Uważali, że są cenni i mają władzę, ale w gruncie rzeczy brakowało im odwagi. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, żeby powiedzieli komuś o tym, że Roma i Juliette ze sobą współpracują – obawialiby się, że nie mają na to dostatecznych dowodów.

Kobieta nie od razu odpowiedziała. Wyciągnęła igłę i otarła ją, po czym otworzyła niewielką skrzyneczkę za swoimi plecami. W blasku lampy po jednej stronie zaśniło pięć czerwonych fiolek. Po drugiej czekały cztery fiołki niebieskie.

Im dłużej kobieta odwlekała odpowiedź, tym bardziej prawdopodobne wydawało się, że jest Larkspurem, a używane przez wszystkich męskie zaimki były mylące.

Nagle kobieta podniosła głowę, żeby spojrzeć czarnymi jak węgiel, okolonymi gęstymi rzęsami oczami prosto w lufę pistoletu Juliette.

– Nie, nie jestem – powiedziała.

Miała niespotykany akcent, przypominający francuski, ale nieco różniący się od niego. Siedzący naprzeciwko niej Francuz zamarł. Być może myślał, że jeśli się nie poruszy, wzrok Juliette nie zarejestruje jego obecności.

– Co jest w tych zastrzykach? – zapytała Juliette.

Drugą ręką, w której nie trzymała broni, machnęła szybko w bok. Roma przez dłuższą chwilę nie rozumiał, co ona robi, aż nagle dotarło do niego, że wskazywała fiołki. Chciała, żeby zabrał jedną.

– Jeślibym ci to powiedziała – odparła kobieta – wypadlibyśmy z rynku.

Podczas gdy Roma zbliżał się pomału do fiolek, Juliette świerzbiły palce, żeby pociągnąć za spust. Dawno temu jeden z jej nauczycieli powiedział, że porywczosć to jej główna słabość. Nie pamiętała już, czego uczył. Literatury chińskiej? Francuskiego? Etykiety? Przedmiot nie miał znaczenia. Wybuchnęła wtedy oburzeniem z powodu tego komentarza, natychmiast dowodząc, że nauczyciel miał rację.

Teraz musiała głęboko odetchnąć. *Uśmiechnij się*, poleciła samej sobie. Przed spotkaniem dowolnego nieznanego w Nowym Jorku powtarzała tę samą rutynę: uśmiech, opuścić ramiona, przymrużyć oczy. Była pełna lekkości i energii, wcieleniem flapperki, ale musiała pracować dziesięć razy ciężiej na ten wizerunek z powodu koloru skóry, który miała.

– W takim razie inne pytanie – powiedziała Juliette. Wymusiła uśmiech na twarzy, jakby uważała tę sytuację za nieskończenie zabawną, jakby pistolet w jej dłoni nie celował między oczy kobiety. – Co takiego Larkspur wie o szaleństwie? Dlaczego ma lekarstwo, którego nie ma nikt inny?

Roma przykucnął, pozostawiając Juliette podtrzymywanie rozmowy. Zaciśnął dłoń na karku Francuza, żeby go zastraszyć, i po francusku polecił mu wstać i zniknąć im z oczu. Nachylił się przy tym nad mężczyznę, udając, że bawi go lęk, który w nim wywołuje. W rzeczywistości mógł się w ten sposób znaleźć bliżej stołu, aż w końcu jego ramię zawisło tuż nad pudełkiem z zastrzykami. Wystarczył jeden ruch palców, a niebieska fiołka zniknęła w jego rękawie.

Tymczasem kobieta, nieświadoma tego, co działo się dosłownie pod jej nosem, z doprowadzającym do furii spokojem wzruszyła ramionami. Jej wyniosła reakcja dołała oliwy do ognia, potęgując napięcie, które wypełniało całe pomieszczenie, jakby tylko jedna iskra dzieliła je od eksplozji.

– Musielibyście o to zapytać samego Larkspura – odparła kobieta. – Obawiam się jednak, że nikt nie wie, gdzie on się znajduje ani kim jest.

Juliette w tym momencie omal nie pociągnęła za spust. Nie chciała śmierci tej kobiety i nie bawiło jej zabijanie ludzi dla rozrywki. Jeśli jednak stawali na jej drodze, musieli zostać usunięci. Nie zależało jej na mordowaniu, ale na działaniu. Jej ludzie padali jak muchy z powodu jakiegoś szaleństwa, na które nie miała wpływu, jej miasto drżało z przerażenia na myśl o potworze, z którym nie mogła się zmierzyć, a ona miała kompletnie dość tego, że nie ma niczego, co mogłaby zrobić.

Wszystko byłoby lepsze od stania w bezruchu. Kiedy Juliette miała ochotę wybuchnąć z powodu tej frustracji, jedynym wyjściem było sprawienie, że wybuchnie coś innego.

Roma podniósł się i dotknął jej łokcia.

– Mam to – mruknął cicho po rosyjsku, a Juliette, z zębami zaciśniętymi tak mocno, że po jej szczęce rozchodziły się ukłucia bólu, opuściła pistolet. Odchrząknęła.

– Niech tak będzie. Zachowajcie swoje sekrety. Jest tu gdzieś jakieś okno, przez które moglibyśmy wyskoczyć?

– Czy możemy już wracać do domu?

Benedikt przewrócił oczami. Spacerowali po ulicach, wyężdżając słuch, ale poza tym byli raczej zrelaksowani. Ostatecznie tego właśnie się spodziewali. Ich poszukiwania do tej pory nie przynosiły efektów. Ci, którzy ulegali szaleństwu, albo opierali się do ostatniej sekundy, albo byli już martwi.

– To była strata czasu – narzekał Marshall. – Strata czasu, Ben! Straaaa...

Benedikt zaciśnął dłoń na twarzy Marshalla. Ten gest był tak znajomy, że nie musiał się oglądać, wystarczyło, że wyciągnął rękę, kiedy szli obok siebie i chwycił palcami to, czego dosięgnął.

Marshall znosił to przez trzy sekundy. Potem zaczął gwałtownie łaskotać Benedikta i zanosić się śmiechem, kiedy Benedikt krzyknął na niego, żeby przestał. Słowa Benedikta także były trudne do zrozumienia, ponieważ starał się nie śmiać i opanować ból żeber.

Chętnie śmiałby się dalej, napełniał noc rozbawieniem, nawet jeśli nie dawała mu niczego w zamian. Wtedy jednak coś usłyszał.

Dziwny, bardzo dziwny dźwięk.

– Mars – rzucił Benedikt zdławionym głosem. – Zaczekaj. Mówię serio.

– O, teraz jesteś serio...

– Mówię serio! Posłuchaj!

Marshall umilkł raptownie, ponieważ uświadomił sobie, że Benedikt nie żartuje. Jego dłoń powoli rozluźniła uścisk na nadgarstku przyjaciela. Odwrócił się w stronę, z której wiał wiatr, i nasłuchiwał.

To brzmiało, jakby ktoś się dławił.

– Doskonale. – Marshall podwinął rękawy. – Wreszcie. Wreszcie!

Pobiegł przed siebie, kuląc ramiona, jakby rzucał się w środek bitwy z tarczą w jednej ręce, a włócznią w drugiej. Taki był Marshall. Nawet jeśli niczego przy sobie nie miał, potrafił udawać, że czymś dysponuje.

Benedikt pobiegł za przyjacielem, wspinając się na palce, żeby zobaczyć coś ponad jego ramieniem i zlokalizować ofiarę. To właśnie on pierwszy zauważył tę sylwetkę – prymitywny kształt, zgięty wóół, przypominający bardziej zwierzę niż człowieka.

Znajdowali się w samym centrum terytorium Białych Kwiatów, w najdalej na wschód położonej części wschodniej połowy miasta. Benedikt spodziewał się, że umiera któryś z ich członków. Ale to nie jeden z Białych Kwiatów dławił się kaszlem w zaułku. Kobieta podniosła głowę, słysząc zbliżające się głosy Benedikta i Marshalla, odrzuciła do tyłu gruby czarny warkocz, który w blasku księżyca zaśnił srebrem. Benedikt zobaczył, w co jest ubrana – to był uniform armii nacjonalistycznej.

– Łap ją – polecił.

Kobieta cofnęła się o krok. Albo zrozumiała mówiącego po rosyjsku Benedikta, albo odczytała coś z desperackiego tonu jego głosu.

Nie uciekła daleko. Cofnęła się chwiejnie jeszcze o krok, a potem oparła plecami o ceglana ścianę, odcinając dalszą drogę ucieczki. Gdyby lepiej panowała nad swoim ciałem, mogłaby się odwrócić i pobiec do drugiego wylotu uliczki. Była jednak półprzytomna, oszołomiona przez owady, które opanowały jej nerwy i nakazywały jej rozerwać sobie gardło.

– Żartujesz sobie? – syknął Marshall. – To nacjonalistka. Dopadną nas za to...

Benedikt wyminął go i sięgnął po broń.

– Nie dowiedzą się.

Zazwyczaj to Marshall podejmował nieodpowiedzialne decyzje. Marshall zachowywał się rozsądnie tylko wtedy, kiedy starał się utrzymać Benedikta z dala od kłopotów.

– Ben!

Było już za późno. Benedikt tak mocno, jak tylko zdołał, uderzył rękocięciem rewolweru w głowę nacjonalistki, wysuwając ręce jak najdalej do przodu, żeby zachować bezpieczny dystans od własnej głowy. Kobieta upadła na ziemię, jej szyja wygięła się bezwładnie, a ręce poleciały na boki – na czubkach jej palców widać już było krew. Benedikt podniósł ją ze stęknięciem wysiłku, przytrzymując w pasie jak szmacianą lalkę.

Z jej czoła kapłała krew. Na szyi również miała krwawe pierścienie, ale na szczęście żaden z nich nie zbliżał się do głównych naczyń krwionośnych. Pozostanie przy życiu, dopóki nie dostarczą jej do laboratorium.

To jest człowiek, syknął głos w najgłębszej otchłani umysłu Benedikta. *Nie możesz porwać człowieka z ulicy, żeby na nim eksperymentować.*

Ona i tak niedługo umrze.

Czy ty masz decydować o tym, kiedy to nastąpi?

Inaczej umrze więcej ludzi.

Zabiłeś ich zbyt wielu, żeby twierdzić, że obchodzi cię ludzkie życie.

– Pomóż mi – powiedział Benedikt do Marshalla, zmagając się z bezwładnym ciałem kobiety.

Marshall się skrzywił.

– Już, już – mruknął i zbliżył się niechętnie. W jego dłoni zaśniło ostrze, długi warkocz kobiety wylądował z głuchym odgłosem na betonie.

– W ten sposób łatwiej ochronimy się przed zakażeniem – wyjaśnił Marshall. Chwycił kobietę za nogi, żeby pomóc ją nieść. – Ruszajmy się. Lourens pewnie już zamyka interes.

ROZDZIAŁ 24

Juliette zaciskała dłoń w pięść.

J *Otworzyć, zacisnąć, otworzyć, zacisnąć.* Dłonie dosłownie świerzbiły ją, żeby działać.

Najbardziej pragnęły dostać tę fiołkę, którą Roma schował w rękawie. Juliette nie poprosiła o nią, ponieważ Roma pomyślałaby, że mu nie ufa. Ale trzymanie rąk przy sobie stanowiło prawdziwą próbę wytrzymałości.

– To tuż za rogiem – zapewnił Roma, albo nie dostrzegając jej wewnętrznego niepokoju, albo też źle go interpretując. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Mówił do niej, jakby była spłoszonym królikiem, który zaraz rzuci się do ucieczki.

Juliette czuła się niespokojna, ale to, że znajdowała się na terytorium Białych Kwiatów, nie oznaczało, że zostanie zaraz zaatakowana, a im bardziej Roma starał się traktować ją życzliwie, tym bardziej kręciła nosem.

– W tym momencie to ty się bardziej denerwujesz niż ja – zauważyła.

– Wcale nie – odparował Roma. – Jestem po prostu ostrożnym człowiekiem.

– Nie przypominam sobie, żebyś oglądał się co chwilę przez ramię, kiedy wszedłeś do kabaretu Szkarłatnych.

Wręcz przeciwnie, pamiętała jego pewność siebie, która doprowadzała ją wtedy do furii.

Roma rzucił jej spojrzenie z ukosa i przymrużył ze znużeniem oczy. Potrzebował chwili, żeby znaleźć odpowiedź. W końcu mruknął po prostu:

– Czasy się zmieniają.

To była prawda. Poczynając od tego, że Roma i Juliette szli obok siebie, a mimo to jej ręka kołysała się spokojnie w rytm kroków, z dala od broni.

Kiedy skręcili za róg, Juliette natychmiast rozpoznała placówkę badawczą, o której opowiadał Roma.

Był to jedyny spośród szeregu budynków w odcieniu bardziej srebrzystym niż brązowym – pokrywały go metalowe płytki, które lśniły w blasku księżyca, podczas gdy inne ściany, otynkowane lub drewniane, pozostawały zupełnie matowe. Wyglądał pięknie i chętnie by mu się lepiej przyjrzała, ale Roma szybko podbiegł do drzwi.

– Czy wy to sfinansowaliście?

Przyjrzała się wyszukanemu zamkowi szyfrowemu, którym obracał. Jego wzrok koncentrował się na wirujących liczbach nad panelem, przesunął je gałką do setek, a potem wrócił do 51, 50, 49... Przez szybę w drzwiach po drugiej stronie widać było ciemność, ale dało się dostrzec zarys długiego korytarza i pojedyncze podświetlone drzwi w głębi.

– Nie ja osobiście – odparł Roma.

Juliette westchnęła ciężko.

– Czy Białe Kwiaty sfinansowały to miejsce, ty pedancie?

Zamek szcęknął. Roma otworzył drzwi i gestem zaprosił Juliette do środka.

– Zaiste.

Juliette skinęła głową. W tym drobnym gościu było trochę zaskoczenia, trochę podziwu i ledwie wyczuwalny ślad aprobaty. Szkarłatny Gang nigdy nie ufundowałby podobnej placówki. Zakładała, że Białe Kwiaty prawdopodobnie testują tutaj swoje produkty, żeby mieć pewność, że towar dostarczany przez handlarzy jest tym, czym być powinien, ale taka technologia otwierała przed nimi nieskończone możliwości badań i innowacji.

Chińczycy pozostawali wierni przeszłości. Wyżej od nauk ścisłych cenili klasyczne teksty i poezję, co było widoczne wszędzie: w ciemnych, ciasnych piwnicach, w których pracowali testerzy narkotyków, w tysiącach poematów, których Juliette musiała się nauczyć na pamięć, zanim jeszcze poznała podstawowe zasady działania doboru naturalnego.

Popatrzyła na regularnie rozmieszczone światła elektryczne, obecnie zgaszone. Nawet w ciemności mogła dostrzec ich lśniące rzędy na suficie – żarówki z pewnością były przecierane przez sprzątaczy co tydzień, jak w zegarku.

– Lourensie, wpuść mnie.

Korytarz nagle się rozjaśnił, ale nie z powodu żarówek. Otworzyły się jedyne drzwi, zza których sączyło się światło.

– *Zdrastwujtie, zdrastwujtie* – zagrzemiał Lourens, wychylając się z wnętrza, żeby ich powitać. Zająknął się na widok Juliette. – *Ei... nihào?*

Jego zmieszanie było niemalże urocze.

– Nie musi pan zmieniać języka – powiedziała Juliette po rosyjsku i podeszła bliżej do drzwi laboratorium. W myślach przeanalizowała możliwości związane z jego akcentem. – Ale jeśli pan chce, może pan mówić po niderlandzku.

– O, to nie będzie konieczne – odparł Lourens. Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się z rozbawienia. Wydawał się oczarowany. – Biedny Roma czułby się wtedy kompletnie wyobcowany.

Roma skrzywił się.

– Przepraszam bardzo, ja... – urwał. Odwrócił się do wyjścia i zaczął nasłuchiwać w napięciu. – Czy ktoś jeszcze ma przyjść?

Dokładnie w tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadły dwie osoby niosące bezwładne ciało: nieprzytomną kobietę w mundurze nacjonalistów. Benedikt Montagow zamrugał ze zdumieniem i zgrozą na widok Juliette stojącej kilka metrów od jego kuzyna. Marshall Seo tylko prychnął i machnął ręką, żeby odsunęli się na bok i pozwolili im wejść do laboratorium. Było już po godzinach pracy. Stoły laboratoryjne zostały posprzątane i opróżnione, umyte i wypolerowane, dzięki czemu można było położyć nacjonalistkę na eleganckiej, obszernej powierzchni. Jej ciało znieruchomiało na stole, ale włosy poruszały się, skóra jej głowy drgała w niektórych miejscach.

Juliette przycisnęła dłoń do ust. Jej oczy przesuwają się po kropelkach krwi na szyi kobiety, sierpowatych rankach zadanych przez ostre paznokcie. Ta kobieta była zakażona szaleństwem. Ale jeszcze żyła.

– Przepraszam, że tak wpadamy – odezwał się Marshall Seo. Wydawał się trochę za bardzo zadowolony z siebie, aby dało się uwierzyć w jego skrucę.

– Czy może przeszkadzamy?

Roma położył fiołkę na sąsiednim stole. Błękitny płyn załśnił w surowym białym świetle.

– Tylko w znalezieniu odpowiedzi na pytanie, czy Larkspur naprawdę stworzył szczepionkę, ale to może poczekać – powiedział. – Lourensie, chciałeś przeprowadzić eksperymenty na żywej ofierze szaleństwa, prawda?

– Z pewnością, ale... – Lourens wskazał Juliette. – Jest tu obecna dama.

– Dama jest bardzo zainteresowana pańskimi eksperymentami – powiedziała Juliette. Poza zaskoczeniem na widok nacjonalistki nie okazywała cienia jakiegokolwiek szoku. Mówiła tak, jakby chodziło o sprawę codzienną.

Lourens odetchnął głęboko. Otarł czoło powolnym ruchem, mimo że świat wokół niego przyspieszył w momencie pojawienia się umierającej nacjonalistki.

– Niech będzie. Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć lekarstwo.

Rozpoczął pracę.

Juliette z fascynacją obserwowała, jak naukowiec wyjmuje pudło i wyciąga z niego zawartość: sprzęt i urządzenia, które byłyby na miejscu w szpitalu, a nie w placówce zajmującej się testowaniem narkotyków. Lourens pobrał próbki krwi, tkanki, a nawet – zaciskając wargi w wąską linię – włosów wraz z cebulkami, które wsunął pod mikroskop i zaczął z niewiarygodną prędkością robić notatki. Juliette splótła ramiona i postukiwała stopą w ziemię, ignorując trójkę Białych Kwiatów, rozmawiających szeptem po drugiej stronie laboratorium. Gdyby ich słuchała, jej uszy by poczerwieniały. Nie miała pojęcia, jaki inny temat mógł do tego stopnia pochłonać Romę, że aż zaczął gestykulować gwałtownie i syczeć coś przyciszonym głosem do swoich przyjaciół.

– Nie mamy szczęścia.

Słowa Lourensa natychmiast zwróciły na niego uwagę pozostałych.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał Roma, odsuwając się od przyjaciół.

– Na tym właśnie polega problem – odparł Lourens. – Niczego. Nawet za pomocą najnowocześniejszych przyrządów nie widzę niczego, czego nie widzieliby już lekarze w całym Szanghaju. W funkcjach życiowych tej kobiety nie ma niczego, co świadczyłoby o jakiegokolwiek infekcji.

Juliette zmarszczyła brwi i bez słowa oparła się o stół za swoimi plecami.

– Czyli nie istnieje sposób na wyleczenie szaleństwa? – zapytał gwałtownie Marshall.

– To niemożliwe – odparł natychmiast Roma. Aby pozostać przy zdrowych zmysłach, musiał wierzyć w istnienie lekarstwa. Nie mógł sobie pozwolić na rozważenie choćby przez moment możliwości, że ich poszukiwania są skazane na klęskę, a Alisa nigdy się nie obudzi.

– Być może nie chodzi o to, że nie ma lekarstwa – dodał Benedikt spokojniejszym tonem. Wyraźnie akcentował słowa, tak jakby przeciwiczył swoją kwestię w głowie, zanim powiedział ją na głos. – Mówił pan, że to szaleństwo zostało przez kogoś stworzone. Jeśli istnieje lekarstwo, zostało przed nami ukryte. A zatem, przepis na nie zna tylko ten, kto odpowiada za powstanie szaleństwa.

Lourens ściągnął rękawiczki. Maszyny wokół szumiały na różne tony, wypełniając laboratorium dźwiękami niemal melodyjnymi.

– Jest zbyt wiele czynników – powiedział. – Zbyt wiele tajemnic, zbyt wiele informacji, którymi nie dysponujemy. Byłoby absurdem próbować...

– Nie spróbował pan jeszcze wszystkiego – odezwała się Juliette.

Oczy wszystkich obecnych – przynajmniej tych przytomnych – skierowały się na nią. Juliette uniosła podbródek.

– Pobrał pan jej krew, obejrzał jej skórę... To wszystko jest zbyt ludzkie, zbyt materialne. – Juliette podeszła do nieprzytomnej nacjonalistki i spojrzała z góry na tę cielesną istotę, naczynie życia, które zostało odmienione. – To szaleństwo nie jest naturalne. Dlaczego poszukujemy lekarstwa w naturalny sposób? Proszę rozciąć jej głowę. Wyciągnąć te insekty.

– Juliette – rzucił karcaćco Roma. – To...

Lourens bezceremonialnie wrzucił ramionami i sięgnął po skalpel.

– Proszę zaczekać – powiedział Benedikt. – Kiedy poprzednio...

Czubek ostrza zagłębił się w głowie kobiety. Lourens ostrożnie pociągnął pasmo jej włosów, żeby odsłonić skórę i umożliwić wydostanie owadów...

Ciałem nacjonalistki szarpnął gwałtowny spazm. Cały stół zakołysał się, a Juliette nie była pewna, czy rzeczywiście przesunął się na tyle, żeby wydać ten okropny zgrzytliwy dźwięk, czy też to jej nierówny oddech odbił się echem w laboratorium. W jednej chwili kobieta na stole leżała nieruchomo. W następnej skręcała się, przyciskając dłoń do piersi i prostując sztywno nogi. Nie otworzyła oczu. Można było poznać, że umarła, tylko po tym, że jej ręka opadła bezwładnie na bok i zsunęła ze stołu, kołysząc się jak ciężkie wahadło.

Jej włosy znowu się poruszyły. Tym razem owady nie szukały sobie miejsca – uciekały, część z nich zbiegała po jej szyi czarnymi szeregami i pospiesznie opuszczała jej ciało. Ta ewakuacja była tak masowa, że insekty przypominały strugi ciemnej cieczy.

Inne podfrunęły, skacząc bez ostrzeżenia na wszystko, co znajdowało się w pobliżu.

Dla dwóch insektów schronieniem okazała się broda Lourensa.

Juliette widziała, jak lądują, jakby w zwolnionym tempie, ale Roma poderwał się już do działania. Zanim zdążyła uświadomić sobie, jak straszną rzeczą są dwie czarne kropki znikające w kępach bieli, Roma miał już nóż w ręce. Zanim w ogóle pomyślała, żeby krzyknąć ostrzegawczo, Roma tym nożem ściął brodę Lourensa tak blisko przy skórze, jak tylko się odważył, i cisnął białe włosy na podłogę.

Czekali.

Maszyny zapadły w sen. Teraz w laboratorium było słychać tylko ciężkie oddechy.

Czekali.

Dwa owady wybiegły spomiędzy pasm włosów na ziemi. Roma rozdeptał je z całej siły, miażdżąc bezlitośnie. Kolejne setki owadów uciekły w noc, przeciskając się pod drzwiami laboratorium, zanim ktokolwiek zdążył je powstrzymać, ale mimo wszystko zabicie dwóch z tysięcy było lepsze niż niezabicie żadnego.

Lourens dotknął nagiego podbródka. Jego otoczone zmarszczkami oczy były otwarte wyjątkowo szeroko.

– No cóż – powiedział. – Dziękuję ci, Romo. Zajmijmy się w takim razie szczepionką, którą przynieśliście, dobrze?

ROZDZIAŁ 25

Czy mogę cię przestrzec, żebyś nie informowała nikogo o istnieniu tej placówki? – zapytał Roma.

Czekali teraz na parterze, na metalowych krzesłach ustawionych wzdłuż przeciwległej ściany. W jakimś momencie będą musieli pozbyć się trupa, który leżał przed nimi, ale na razie zostawili go w spokoju, z twarzą ściągniętą w niespokojnym grymasie śmierci, podczas gdy Lourens przelał szczepionkę do małych probówek. Do części z nich wkraplał różne związki chemiczne, a inne wkładał na maszyny, które dudniły na piętrze, i nucił półgłosem przy pracy.

– Tak jakby twoje nieprzekonujące ostrzeżenia mogły coś pomóc – odparła Juliette. – Powinieneś już to wiedzieć.

Roma osunął się niżej na krześle, kładąc głowę na jego oparciu.

– Czy powinienem był zawiązać ci oczy?

Juliette prychnęła. Wystukiwała butem szybki rytm, obracając go na obcasie w prawo i w lewo, jakby jej stopa była wycieraczką na samochodowej szybie. Jej oczy poruszały się w podobny sposób i przenosiły się z jednego elementu otoczenia na drugi.

– Nawet gdybym chciała bawić się w szpiega, te informacje byłyby bezużyteczne – powiedziała. Przyglądała się wyjątkowo ostremu srebrnemu przyrządowi wiszącemu nad nimi jak sople. Wysuwał się z maszyny znajdującej się w miejscu, gdzie sufit parteru łączył się z balustradą otaczającą piętro.

– Bezużyteczne? – powtórzył Roma z niedowierzaniem. Ostry ton jego głosu zwrócił uwagę dwójki przyjaciół, którzy do tej pory wpatrywali się w przestrzeń, siedząc na krzesłach pod prostopadłą ścianą.

– Zostałyby uznane za nieprzydatne – poprawiła się Juliette. Nie wiedziała, dlaczego podtrzymywała tę rozmowę. Ostatecznie nie była mu winna żadnych wyjaśnień, ale jednocześnie nie wydawało się, żeby te wyjaśnienia mogły jakkolwiek zaszkodzić. – Szkarłatny Gang nadal wierzy w tradycyjne środki ziołowe. Mamy może jedną czy dwie metalowe maszyny. Nic, co by przypominało to tutaj. – Machnięciem ręki wskazała wewnątrz.

Jej rodzice nie zainteresowaliby się tym, co tutaj znalazła, nawet gdyby im to przyniosła. Jeśli poświęciliby jej chociaż chwilę uwagi, zapytaliby tylko, dlaczego była w placówce badawczej Białych Kwiatów i nie pomyślała o tym, żeby ją podpalić.

Roma splótł ramiona.

– Interesujące.

Juliette zmrużyła oczy.

– A czy ty zamierzasz przekazać tę informację dalej?

– Dlaczego miałbym to robić? – Na wargach Romy pojawił się przebiegły uśmiech, który nie do końca starał się ukrywać. – My to już wiemy.

Juliette tupnęła z udawanym gniewem, ale Roma był szybszy. Cofnął stopę, więc Juliette poczuła tylko przeszywający ból w kostce.

Jej stopa zapulsowała, co sprawiło, że wyrwało jej się prychnięcie autentycznego rozbawienia. W ten sposób przyznawała, że przegrała w tej drobnej sprawie, że sięgnęła po stare sztuczki i zapomniała, że Roma zna je doskonale.

– Nie możesz tego robić... – powiedział Roma.

– ...bo inaczej ty będziesz musiał nadepnąć na moją nogę – dokończyła Juliette.

Ich uśmiechy zgasły. Jednocześnie przypomnieli sobie, jak Juliette śmiała się z przesądów Romy, jak on przytrzymał ją, kiedy nadepnęła mu na nogę, i delikatnie, nieskończenie delikatnie, także przydeptywał jej palce.

– Jeśli się nie zrewanżuję, na pewno się pokłócimy – wyjaśnił Roma za pierwszym razem ku zaskoczeniu Juliette. – Hej... przestań się śmiać!

On także się śmiał. Śmiał się, ponieważ pomysł, że kłótnia mogłaby ich poróżnić, wydawała się kompletnie absurdalna, kiedy musieli walczyć z całą potęgą obu swoich rodzin, aby być razem.

A teraz? Wystarczyło na nich popatrzeć. Dzieliła ich rzeka przelanej krwi.

Juliette odwróciła głowę. Milczeli, pozwalając, żeby szum maszyn nasilał się i słabł wedle własnego uznania. Od czasu do czasu Juliette słyszała jakiś dźwięk dobiegający z zewnątrz, a wtedy przechylała głowę, żeby lepiej go usłyszeć, i próbowała zgadnąć, czy to sowa, pies, czy potwór na ulicach Szanghaju.

W końcu nie była w stanie wytrzymać tej nudy. Wstała i zaczęła spacerować po laboratorium, podnosząc przypadkowe przedmioty, żeby je obejrzyć i odstawić na miejsce – ustawione rzędami zlewki, metalowe łyżeczki leżące stosami w rogach, starannie uporządkowane papiery na brzegu stołów...

Czyjaś dłoń zabrała jej te papiery sprzed nosa.

– To nie dla twoich wścibskich oczu, ślicznotko – powiedział Marshall.

Juliette zmarszczyła brwi.

– Nie jestem wścibska – odparowała. – A gdybym była, niczego byś nie zauważył.

– Doprawdy? – Marshall zebrał dokumenty i odsunął je dalej. Juliette to się nie spodobało. Ryzykowała głowę, żeby współpracować z Romą. Co na tym świecie mogłoby ją skłonić do podjęcia podwójnej zdrady?

– Marshall, siadaj na miejscu – zawołał Roma z drugiej strony sali. Benedikt Montagow nie podniósł nawet głowy znad szkieletownika, który wyjął z torby. Lourens natomiast rzucił im zaniepokojone spojrzenie z piętra. Jeśli sądzić po tym, na co patrzył, nie obawiał się bójki w laboratorium, ale raczej tego, że bezsensowna brutalność może sprawić, że potłuką się szklane zlewki.

– A może pokazałbym pani kilka moich wynalazków?! – zawołał donośnie Lourens. – To prawdopodobnie najbardziej innowacyjne rzeczy w całym Szanghaju.

Ani Juliette, ani Marshall nie zwrócili na niego uwagi. Juliette postąpiła krok bliżej. Marshall zrobił to samo.

– Czy ty coś insynuujesz? – zapytała Juliette.

– Nie tylko insynuuję. – Marshall chwycił ją za nadgarstek, przyciągnął bliżej, a potem sięgnął do szwu na jej rękawie i wyciągnął ukryte ostrze. – Oskarżam cię. Dlaczego masz przy sobie broń, panno Cai?

Juliette prychnęła z niedowierzaniem. Złapała Marshalla wolną ręką za drugi nadgarstek i wykręciła go.

– Byłoby raczej dziwne, gdybym nie miała przy sobie broni, ty... auć!

Uderzył ją.

Mówiąc uczciwie, był to raczej odruch – machnięcie łokciem jako reakcja na nacisk na jego rękę – ale Juliette cofnęła się chwiejnie, czując ból w podbródku, tam, gdzie kość uderzyła o kość.

Roma zerwał się ze swojego miejsca.

– Mars! – krzyknął, ale Juliette już odepchnęła od siebie Marshalla. Pulsowanie w jej szczęce otworzyło drogę gniewowi, a gniew nasilił ból, który rozprzestrzenił się na wargę. Tak właśnie działała wojna gangów – pomniejsze przewinienie i wymierzony bez namysłu odwet, gwałtowne dźgnięcia i pełne furii ciosy wymieniane, zanim mózg zdążył je zarejestrować – bez żadnego powodu, czysto instynktownie.

Marshall ponownie złapał Juliette za rękę, ale tym razem wykręcił ją z całej siły, tak że przycisnęła się do jej pleców. Walka mogła się w tym momencie zakończyć, jednak Marshall nadal trzymał jej nóż, a instynkt nakazywał Juliette bać się tego. Niezależnie od chwilowego zawieszenia broni nie miała powodów, żeby mu ufać. Miała dostateczne powody, żeby zaprzeć się stopą o najbliższy stół i wybić się w górę, tak by wykorzystać silny uchwyt Marshalla na jej rękę, odwrócić się przez ramię ponad nim i wylądować z donośnym tupnięciem na obu nogach. Ten manewr miał wystarczająco dużo siły, żeby Marshall stracił równowagę i poleciał na podłogę, kiedy gwałtownie wyrwała mu swoją rękę. Jęknął, gdy jego głowa uderzyła o linoleum.

Juliette błyskawicznie chwyciła upuszczony nóż. W tym momencie nie wiedziała, czy zamierza go zabić. Wiedziała tylko, że podczas walki nie ma czasu myśleć, a jedynie rozróżniać wrogów i przyjaciół. Może poruszać się, unieść nóż tym samym ruchem, którym podniosła go z podłogi, wysoko, aż załśni w świetle i ułamek chwili będzie go dzielić od zatoczenia łuku, który zakończy się głęboko w piersi Marshalla Seo.

Marshall zaczął się śmiać. Sam ten dźwięk wystarczył, żeby wyrwać Juliette z transu. Zamarła w połowie ruchu, jej palce przestały zaciskać się na rękojeści noża, napięte mięśnie ramion się rozluźniły.

Zanim Roma i Benedikt zdążyli podbiec na tyle blisko, żeby przerwać walkę, Juliette już wyciągnęła rękę do Marshalla i pomogła mu wstać.

– Kurczę. Jak długo to ćwoczyłaś? – zapytał Marshall, otrzepując pył z ramion. Wsparł stopę na krawędzi stołu, tak jak zrobiła to Juliette, i spróbował przenieść na nogę cały ciężar ciała. – Przez moment naprawdę złamałaś prawa grawitacji.

– Jesteś za wysoki, żeby ci się to udało, więc nie próbuj – odparła Juliette.

Roma i Benedikt zamrugali. Kompletnie zaniemówili. Ich spojrzenia były dostatecznie wymowne.

Marshall podniósł głowę i zwrócił się do Lourensa.

– Czy możemy teraz obejrzeć wynalazki?

Lourens otworzył i zamknął usta. Wrogość przepelniająca laboratorium ustąpiła całkowicie miejsca ciekawości, a naukowiec wyraźnie nie wiedział, jak należy to rozumieć. Bez słowa pozostawił swoje szumiące maszyny i szedł po schodach. Machnięciem ręki zaprosił ich pomiędzy regały na końcu sali. Uważnie przyglądał się Juliette i Marshallowi, którzy podbiegli do niego z entuzjazmem, podczas gdy Roma i Benedikt poszli w ich ślady wolniej, obserwując tych dwoje, jakby się obawiali, że rozejm jest tylko wstępem do dłuższej walki.

– Te drobiazgi nie powstały za pieniądze Białych Kwiatów i nie mają żadnego związku z waszymi gangsterskimi bzdurami, więc nie wypapłaj o tym ojcu, Romo – powiedział Lourens. Podniósł słoik pełen szarobłękitnej soli i otworzył go. – Powąchajcie.

Juliette pochyliła się.

– Ładny zapach.

Lourens uśmiechnął się do siebie. Wyglądał przy tym nieco komicznie z powodu łysej plamy na środku podbródka.

– Wywołuje atak serca u ptaków. Zwykle rozsypuję to po trochu na trawniku za budynkiem.

Sięgnął po proszek i przysunął Marshallowi, żeby ten mógł go obejrzeć. Marshall podał słoik Benediktowi, który podał go Romie, a ten oddał go Lourensowi. Ani Benedikt, ani Roma nie poświęcili słoikowi więcej niż sekundy uwagi.

– To powoduje szybkie i nagłe wybuchy w powietrzu, kiedy zostanie zmieszane z wodą – wyjaśnił Lourens, kiedy słoik znalazł się w jego dłoniach. – Zazwyczaj wrzucam to do rzeki Huangpu, kiedy spaceruję po nabrzeżu, a ptaki postanawiają dreptać koło mnie. Bardzo skutecznie je to odstrasza.

– Zaczynam dostrzegać pewną prawidłowość – zauważyła Juliette.

Lourens skrzywił się, aż jego starcze rysy się ściągnęły.

– Ptaki – wymamrotał. – Przeklęte małe diabły.

Juliette postarała się stłumić śmiech. Zaczęła odczytywać etykiety na półce. Jej niderlandzki pozwalał tylko na towarzyskie konwersacje, więc z trudem rozumiała, co znajdowało się w każdym słoiku. Kiedy jej wzrok przesunął się na mały słoiczek z tyłu, nie była pewna, co przykuło jej uwagę – napis DOODSKUS z boku, czy może niemal nieprzezroczysta biała ciecz w środku. Ta biel kojarzyła się z białkami oczu, nieprzenikniona i trwała.

– Co to jest? – zapytała Juliette, wskazując słoiczek.

– O, to jest nowość. – Lourens niemal wspiął się na palce, z podnieceniem sięgając po słoiczek. Potraktował go z wyjątkową ostrożnością, postawił starannie na dłoni i delikatnie odkręcił pokrywkę. Juliette poczuła zapach kojarzący jej się z ogrodem różanym. Słodki, aromatyczny i przypominający o dawnych dniach, kiedy biegała po ogrodzie, ubrudzona ziemią.

– Pozwala zatrzymać serce żywego organizmu – wyjaśnił Lourens z szacunkiem w głosie. – Wymaga jeszcze udoskonalenia, ale zażycie tej substancji powinno wprowadzić na trzy godziny w stan przypominający śmierć. Kiedy efekt minie... – Pstryknął palcami. Dźwięk rozległ się z opóźnieniem z powodu jego sztywnych, starzejących się stawów. – Organizm budzi się, jakby nigdy nie umarł.

W tym momencie w laboratorium rozległo się głośnie „ding!”, a Lourens oznajmił, że to maszyna skończyła pracę, odstawił słoiczek na miejsce i pobiegł na górę do swojego biurka. Roma i Benedikt ruszyli od razu za nim, wymieniając się hipotezami na temat tego, co uda się ustalić. Tymczasem Juliette sięgnęła do półki. Zanim Lourens zdążył się obejrzeć i coś zauważyć, jej dłoń zgarnęła słoiczek pełen nieprzeniknionej bieli i wsunęła go do rękawa. Była dostatecznie szybka, żeby uniknąć wzroku Lourensa, ale nie na tyle, aby ukryć to przed Marshalllem. Spojrzała mu prosto w oczy, jakby rzucała wyzwanie, żeby coś powiedział.

Marshall tylko wygiął lekko wargi i odwrócił się, by pójść za przyjaciółmi. Tym razem nie protestował, jak wtedy, kiedy Juliette chciała zajrzeć do raportów laboratoryjnych, przeciwnie, wydawał się raczej rozbawiony.

– Zobaczmy – mówił właśnie Lourens, gdy Juliette do nich dołączyła. Podniósł pokrywkę maszyny i wyjął wąski pasek papieru z czarnymi liniami biegnącymi od krawędzi do krawędzi. Mruknął pod nosem w sposób, którego Juliette nie potrafiła zinterpretować, przesunął się koło niej do drugiej

maszyny, spojrzął na ciemny ekran, a potem znowu na pasek papieru. Potem zagłębił się w stos książek na biurku. – No cóż – powiedział w końcu Lourens, skończywszy wertować książki, a zgromadzona wokół niego czwórka przez pięć minut wytrzymywała napięcie w milczeniu. Zatrzymał palec na dole poźółkłej strony i postukał dwa razy w listę formuł, tak jakby to miało coś znaczyć. – Na podstawie ograniczonych danych nie mogę jednoznacznie stwierdzić, czy to rzeczywiście jest prawdziwa szczepionka. Nie mam niczego, z czym mógłbym ją porównać. – Znowu przyjrzał się paskowi papieru. – Jednak ta mikstura z pewnością ma jakieś zastosowanie. Podstawowym składnikiem jest substancja z grupy opiatów, o ile wiem, sprzedawana tutaj na ulicach pod nazwą lernikrom.

Juliette poczuła, że robi jej się zimno. Poczła drżenie w kręgosłupie, prawda spadła na nią z nieba i przygniotła ciężarem jej ramiona.

– *Tāmā de* – zaklęła cicho. – Znam ten narkotyk.

– Cóż, oba nasze gangi zaczęły go rozprowadzać, chociaż w niewielkich ilościach.

Roma także rozpoznał tę nazwę.

– Nie o to chodzi – powiedziała ze znużeniem Juliette. – Lernikrom. To narkotyk, którego hurtową ilość Walter Dexter próbował sprzedać Szkarłatnemu Gangowi. – Zamknęła oczy i otworzyła je znowu. – To on jest dostawcą Larkspura.

ROZDZIAŁ 26

Następnego wieczoru Juliette była pogrążona w rozmyślaniach.

Za każdym razem, kiedy zbywała Waltera Dextera, mogła zamiast tego gromadzić informacje. Teraz wydałoby się podejrzane, gdyby próbowała zaskarbić sobie na nowo jego przychylność. Być może dlatego przestrzega się ludzi przed paleniem mostów, nawet jeśli prowadzą one nie tam, dokąd powinny.

Juliette gniewnie dźgnęła jedzenie pałeczkami. Podejrzane czy nie, musiała odnowić kontakt z Walterem Dexterem tak, żeby nie wzbudzić jego nieufności. Po namyśle doszła do wniosku, że najlepiej będzie zrobić to przez jego syna, Paula.

Miała ochotę udusić się za samą myśl o tym.

Może wcale nie muszę go znajdować?, zastanawiała się bez przekonania. *Może szukam nie tam, gdzie trzeba. Kto powiedział, że on w ogóle coś wie?*

Musiała jednak spróbować. W tym dziwnym śledztwie istniały tylko poszlaki. To, że Walter Dexter był dostawcą, nie oznaczało, że wie coś więcej o tożsamości i miejscu pobytu Larkspura. To, że Larkspur produkował szczepionkę, nie oznaczało, że będzie umiał doprowadzić ich do lekarstwa na to przeklęte szaleństwo.

Równie dobrze jednak Larkspur mógł coś wiedzieć, podobnie jak Walter Dexter.

Niech to szlag.

– Gdzie dzisiaj jesteś?

Ostre pytanie Rosalind sprawiło, że Juliette podniosła głowę i zatrzymała się na moment w pół ruchu z pałeczkami uniesionymi w powietrzu.

– Tu jestem – odpowiedziała i zmarszczyła brwi, gdy Rosalind skrzywiła się z niedowierzaniem.

– Doprawdy? – Rosalind wskazała skinieniem głowy na stół. – To dlaczego zignorowałaś pana Pinga, kiedy zapytał, co myślisz o strajkach robotniczych?

Juliette natychmiast przeniosła uwagę na pana Pinga, członka wewnętrznego kręgu współpracowników jej ojca. Dawniej przy każdej okazji wypytywał, czego się ostatnio nauczyła. O ile pamiętała, jego ulubioną dziedziną była astrologia: zawsze miał coś do powiedzenia na temat pozycji zachodniego zodiaku, na co Juliette, nawet w wieku piętnastu lat, zawsze odcinała się, że przeznaczenie działa poprzez naukę i statystykę. Teraz siedział obrażony po drugiej stronie stołu, wyraźnie dotknięty. Przez twarz Juliette przebiegł grymas.

– To był ciężki dzień.

– Zgadza się – mruknęła Kathleen siedząca obok Rosalind i potarła grzbiet nosa.

W ich prywatnej sali panował podobny gwar, jak w głównej sali restauracji. Lord Cai siedział koło Juliette, ale takie obiady nie dostarczały mu okazji do rozmów z córką. Zawsze był za bardzo zajęty innymi konwersacjami, żeby odezwać się do Juliette choćby jednym słowem. Matka siedziała przy drugim stole, aby podtrzymywać przy nim rozmowę. To nie był moment na osobiste pogawędki, tylko wyjątkowa okazja dla członków wewnętrznego kręgu Szkarłatnego Gangu, żeby rywalizować pomiędzy sobą, przechwalać się i pić na umór, starając się zyskać uznanie pozostałych.

Zazwyczaj jednym z najgłośniejszych gości był Tyler. Od kilku dni zajmował się jednak ściąganiem czynszów. Podczas gdy Juliette poszukiwała przyczyny szaleństwa i lekarstwa na nie, Tyler wypełniał jej funkcję dziedziczki gangu i rozkoszował się każdą chwilą. Juliette sztywniała za każdym razem, słysząc w domu jego donośny głos, kiedy zwoływał swoich przybocznych, żeby wyjść na miasto – a działo się to często. Zupełnie jakby z każdą minutą przybywało nowych dłużników. Tyler tak długo wymachiwał bronią i zastraszał sklepikarzy i lokatorów kamienic, aż udawało mu się wydusić z nich odpowiednią kwotę, a Szkarłatni odzyskiwali należne im pieniądze. Hipokryzją ze strony Juliette byłoby pogardzanie Tylerem za to, że realizował to, co teoretycznie należało do jej obowiązków, ale mimo wszystko myśl o robieniu tego w aktualnych okolicznościach sprawiała, że czuła się nieswojo. Ludzie nie odmawiali płacenia dlatego, że postanowili się zbuntować. Po prostu nie zarabiali wystarczająco dużo, ponieważ ich klienci masowo umierali.

Juliette westchnęła, bawiąc się pałeczkami. Szklany stół obracał się przed nimi, bez chwili przerwy proponując pieczone kaczkę, ciastka ryżowe i smażony makaron. Juliette machinalnie sięgała po jedzenie, kładła je na talerzu i wsuwała do ust, w ogóle nie czując smaku. Prawdziwa szkoda – wystarczyło jedno spojrzenie na soczystą zieleń warzyw, lśnienie rybich łusek, błyszczący tłuszcz skapujący z mięsa, aby ślinka zaczęła napływać do ust.

Juliette znowu zatopiła się w myślach. Nagle uświadomiła sobie, że zamiast ceramicznej czarki z herbatą unosi do ust popielniczkę, więc zmusiła się, żeby wrócić do rzeczywistości, i pochwyciła ostatnie sylaby płynące z ust Rosalind. To nie wystarczyło, żeby zrozumieć, o czym mówiła kuzynka, ale pełne oczekiwania spojrzenie pozwalało się domyślić, że właśnie zadała pytanie wymagające odpowiedzi bardziej precyzyjnej niż uśmiech i nieokreślony pomruk.

– Przepraszam, co mówiłaś? – zapytała Juliette. – O coś pytałaś, prawda? Przepraszam, wiem, że jestem okropna...

Nie zdołała się dowiedzieć, o co chodziło Rosalind. Właśnie w tym momencie jej ojciec odchrząknął, a przy obu stołach natychmiast zapadła cisza. Lord Cai podniósł się, splatając ręce za wyprostowanymi jak struna plecami.

– Mam nadzieję, że wszyscy dobrze się bawią – odezwał się. – Jest pewna sprawa, którą muszę dzisiaj poruszyć.

Juliette poczuła, jak coś ściska ją od środka, jakieś niepokojące przecucie. Czekwała w napięciu.

– Dzisiaj otrzymałem niezбитy dowód na to, że mamy w Szkarłatnym Ganggu szpiega.

W sali panowała absolutna cisza. Nie chodziło jednak wyłącznie o brak jakichkolwiek dźwięków. Ta cisza była niemal namacalna, jak ciężki, niewidzialny koc, który spoczął na ramionach zebranych. Nawet kelnerzy zamarli: chłopak, który właśnie nalewał herbatę, zatrzymał się w pół ruchu.

Juliette zamrugała szybko i wymieniła spojrzenia z Rosalind. To, że w Szkarłatnym Ganggu kręcili się szpiegi, było jasne. Jak miałyby ich nie być? Szkarłatni z pewnością również mieli swoich ludzi wśród szeregowych członków Białych Kwiatów. Nie wydawało się szczególnie zaskakujące, że Białe Kwiaty mogły podkupić ich gońców, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak częste były ich spięcia ze Szkarłatnym Gangiem.

Lord Cai mówił dalej:

– Szpieg jest w tej sali.

Przez krótką, straszliwą sekundę Juliette przestraszyła się, że ojciec mówi o niej. Czy dowiedział się o jej współpracy z Białymi Kwiatami – z Romą Montagowem – i źle ją zrozumiał?

To niemożliwe, pomyślała i zacisnęła pięści pod stołem. Nie zdradziła żadnych informacji. Żeby wywołać taką reakcję u ojca, z pewnością musiało stać się coś, co zaszkodziło ich interesom.

Nie myliła się.

– Dzisiaj trzech ważnych potencjalnych klientów wycofało się z planowanej współpracy z nami. – W jego głosie pozornie dało się wyczuć znużenie, zupełnie jakby był już zmęczony negocjacjami z nerwowymi klientami, ale Juliette umiała go rozgryźć. Przyjrzała mu się uważnie, a następnie popatrzyła na napięte ramiona matki siedzącej po drugiej stronie sali. Oboje byli wściekli. Zostali zdradzeni. – Znali nasze ceny, zanim je zaproponowaliśmy – ciągnął lord Cai. – W związku z tym poszli do Białych Kwiatów.

Bez wątplenia dlatego, że otrzymali od nich korzystniejszą propozycję. Jaki szpieg mógłby znać tak starannie chronione informacje, jeśli nie należałby do wewnętrznego kręgu? To nie była robota posłańca, który znał tylko z grubsza lokalizację przekazywania towaru. To było samo serce interesów Szkarłatnych i tu właśnie pojawił się przeciek.

– Znam przeszłość was wszystkich – mówił lord Cai. – Wiem, że urodziliście się i wychowaliście w Szanghaju. W waszych żyłach płynie krew naszych przodków, która łączy nas od tysięcy lat. Jeśli znajduje się tutaj zdrajca, nie kierują nim wyższe nakazy lojalności ani też nic podobnego. Skusiła go obietnica pieniędzy, chwały lub fałszywej miłości, a może tylko dreszcz ryzyka związanego z zabawą w szpiega. Mogę go jednak zapewnić... – Lord Cai usiadł na swoim miejscu i sięgnął po czajnik. Napełnił swoją czarękę. Ręka nie drgnęła mu, kiedy herbata sięgnęła do samego brzegu, a potem przelała się na czerwony obrus, plamiąc go ciemniejszym odcieniem, przywodzącym na myśl krew. Juliette obawiała się, że jeszcze chwila, a gorąca herbata spłynie po obrusie i oparzy jej nogi. – Kiedy poznam twoją tożsamość, konsekwencje, jakie poniesiesz z mojej ręki, będą o wiele gorsze od tego, co mogą zrobić Białe Kwiaty, gdy dowiedzą się, że nie chcesz dłużej być zdrajcą.

Juliette z ulgą zobaczyła, że lord Cai w końcu odstawił czajnik, zanim herbata zbliżyła się do krawędzi stołu. Ojciec się uśmiechał, ale jego oczy, okolone kurzymi łapkami, pozostawały zimne jak oczy kata. Lord Cai nie potrzebował w tym momencie słów, aby przekazać to, o co mu chodziło. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz.

Nie było wątpliwości, po którym z rodziców Juliette odziedziczyła swój przerażający uśmiech.

– No dobrze... – odezwał się lord Cai, ponieważ nikt nadal się nie poruszał. – Wracajmy do jedzenia.

Wpływowi mężczyźni i ich żony, które szeptały im do uszu, powoli znowu sięgnęli po pałeczki. Juliette nie była w stanie usiedzieć spokojnie. Nachyliła się do ojca i szepnęła, że musi iść do łazienki. Kiedy lord Cai skinął głową, wstała i skierowała się do drzwi.

Oparła się o chłodną ścianę przed prywatną salą Szkarłatnego Gangu i pozwoliła sobie na sekundę odpoczynku, żeby złapać oddech. Po lewej stronie zobaczyła innych gości restauracji. W głównej sali panował ogłuszający gwar: wszyscy przekrzykiwali się, by móc się nawzajem usłyszeć. Po prawej stronie oddzielne drzwi prowadziły do kuchni i toalet. Juliette westchnęła i weszła do łazienki.

– Uspokój się – powiedziała do siebie i przyłożyła czoło do dużej stalowej umywalki. Wygięła szyję, oddychając głęboko.

Co powiedziałyby jej ojciec, gdyby się dowiedział, że Juliette współpracuje z Romą Montagowem? Czy zdołałby spojrzeć na to tak samo, jak ona, i uznałby, że zrezygnowanie na moment z osobistej dumy może pomóc wszystkim, jeśli w ten sposób uda się powstrzymać szaleństwo? Czy może skoncentrowałby się tylko na istocie zdrady, na tym, że Juliette miała niezliczone okazje, aby zastrzelić Romę Montagowa w odwecie za krew, jaką przelał, ale jednak tego nie zrobiła?

Juliette podniosła się i stanęła przed zniekształcającym obraz lustrem z polerowanego brązu. Widziała w nim obcą osobę.

Może to wszystko ją przerosło. Może właściwym działaniem byłoby zerwanie przymierza z Romą Montagowem i zwrócenie się do własnych ludzi? Może powinna znaleźć jakiś sposób, by choćby przemocą dostać w swoje ręce Waltera Dextera i zmusić go do mówienia...

Niespodziewany wrzask przeszył jej uszy. Juliette drgnęła i uświadomiła sobie, że krzyk dobiega z głównej sali restauracji.

Wybiegła z łazienki. W ciągu kilku sekund zbliżyła się do źródła dźwięku i zdyszana rozejrzała się za ofiarami. Zobaczyła tylko jednego mężczyznę leżącego na ziemi. Jej spojrzenie padło na niego w momencie, kiedy sięgnął dłońmi do swojej szyi.

Nikt się nie ruszył, żeby mu pomóc. Nawet wtedy, gdy rozerwał sobie gardło, rozrzucając obok siebie kawałki skóry, a potem znieruchomiał w agonii, goście restauracji zajmowali się swoimi sprawami. Tylko jedna starsza pani na końcu sali wezwała kelnera, żeby posprzątał. Inni niemal nie drgnęli, udając, że niczego nie zauważyli, jakby ignorowanie śmierci mogło obrazić ją na tyle, że sama odejdzie.

Cywilie wypruwali sobie gardła, a mieszkańcy Szanghaju stali się tak znieczuleni, że spokojnie kontynuowali jedzenie obiadu, jak gdyby to był po prostu kolejny zwyczajny wtorek. Juliette pomyślała, że dla nich zapewne właśnie tak jest. Jeśli to się nie zmieni, taki widok będzie coraz częstszy, aż do chwili, kiedy całe miasto upadnie. Było tylko kwestią czasu, kiedy opustoszeją najmniejsze lokale w Szanghaju dlatego, że ich klienci ulegną szaleństwu albo goście zaczną unikać miejsc, w których groziłoby im zarażenie. Przedsiębiorstwa chronione przez Szkarłatnych zużyją wszystkie oszczędności i niezależnie od gróźb Tylera nie będą mogły spłacić czynszu. Potem upadną także duże restauracje, takie jak ta. Na co drugich drzwiach na terytorium Szkarłatnych pojawiały się czerwone róże. Ostrzeżenie za ostrzeżeniem, ale co były warte ostrzeżenia w obliczu szaleństwa?

– Stój – warknęła Juliette, kiedy kelner przykucnął przy martwym mężczyźnie. – Nie dotykaj go. – Ton jej głosu wystraszył kelnera na tyle, że cofnął się pospiesznie. – Przykryj ciało obrusem i zadzwoń po lekarza.

Nie było już nic pewnego. Potrzebowała pomocy Romy, żeby naprawić to miasto. Musiała przestać siedzieć beczynnym i szukać wymówek.

Pora wkraść się z powrotem w łaski Paula Dextera.

O tej porze trudno było dostrzec w oddali miejsce, gdzie rzeka Huangpu stykała się z przeciwległym brzegiem. Kiedy Benedikt siedział nad wodą i patrzył w noc, mógł z łatwością zapomnieć o wirującej mieszance czerwieni, złota, dymu i śmiechu w mieście za jego plecami. Mógł z łatwością uwierzyć, że nie ma niczego więcej poza bezkształtnym pejzażem odległego brzegu, na którym lśniły tylko pojedyncze iskierki światła.

– Wiedziałem, że cię tutaj znajdę.

Benedikt odwrócił się na dźwięk tego głosu i podciągnął nogi na deski promenady. Spojrzał na Marshalla. Zmrużył oczy, oślepiiony światłem dochodzącym z miasta.

– Właściwie nigdzie indziej nie chodzę.

Marshall wsunął dłonie w kieszenie.

Miał na sobie elegancki zachodni garnitur, co zdarzało się rzadko, ale nie było niespotykane, jeśli lord Montagow wysyłał go gdzieś ze zleceniem.

– Wiesz, jak długa jest rzeka Huangpu? Bywasz kapryśny, Ben. Chyba nigdy nie znalazłem cię dwa razy w tym samym miejscu.

Rzeka pod nimi zakołysała się jakby w odpowiedzi; jakby wiedziała, że rozmawiają o niej.

– Coś się działo? – zapytał Benedikt.

– A co miałyby się dziać? – odparł pytaniem Marshall i podszedł, żeby usiąść.

– Zawsze coś się dzieje.

Marshall wydał wargi. Zastanowił się przez moment.

– Nie, nic się nie działo – odpowiedział w końcu. – Kiedy wychodziłem, Roma pisał odpowiedź na wiadomość Juliette. Siedział nad tym trzecią godzinę. Myślę, że coś sobie nadweręży.

Roma niczego nie robił z umiarem. Jeśli odwiedzał w szpitalu Alisę, spędzał przy jej łóżku prawie pół dnia, a jego obowiązki mogły iść do wszystkich diabłów. Lord Montagow pozwalał mu na taką beczynność, ponieważ wiedział, że Roma wykona w końcu swoje zadania, poświęcając im pełną uwagę, kiedy tylko wyjdzie ze szpitala.

– Lepiej, żeby coś sobie nadwerężył, niż żeby rozerwał sobie gardło – mruknął Benedikt. Milczał przez chwilę. – Nie ufam jej.

– Juliette?

Benedikt skinął głową.

– To jasne, że jej nie ufasz – stwierdził Marshall. – Nie powinieneś. To nie znaczy, że nie jest przydatna. To nie znaczy, że musisz jej nie lubić. –

Wskazał ulicę za plecami. – Możemy już wracać do domu?

Benedikt westchnął, ale podniósł się i otrzepał dłonie.

– Sam byś trafił do domu, Mars.

– Pewnie, ale nie byłoby aż tak przyjemnie.

Benedikt nie potrafił zrozumieć tego, że Marshall tak bardzo potrzebuje otaczać się ludźmi. Zupełnie jakby miał alergię na samotność: raz dosłownie dostał wysypki, gdy siedział w swoim pokoju i postanowił, że nie wyjdzie, dopóki na jego rachunku będzie debet. Benedikt stanowił jego przeciwieństwo. Ludzie sprawiali, że czuł się lepki. W towarzystwie zastanawiał się nad doborem słów dwa razy staranniej i denerwował się, kiedy nie mógł znaleźć odpowiednich.

– Jak sądzę, nie jesteś w nastroju, żeby zajrzeć po drodze do kasyna? – zapytał Marshall i ruszył przed siebie z szerokim uśmiechem. – Słyszałem, że mają tam...

Marshall zatrzymał się nagle w pół słowa i błyskawicznie wyciągnął rękę, żeby szarpnąć Benedikta do tyłu. Benedikt potrzebował kilku sekund, by zorientować się, dlaczego stanęli. Potrzebował jeszcze kilku, żeby w pełni zrozumieć, co właśnie widzi.

Cień. Rozciągał się przed nimi na chodniku. Stali pośrodku alejki. Za daleko, żeby sięgnąć wzrokiem za wysokie budynki i stwierdzić, w jaki sposób powstał. Latarnia rzucała tutaj jednak jasny i wyraźny blask. Po chwili nie mieli wątpliwości: ich oczom ukazał się zarys rogów, kończyny poruszające się ciężko i z wysiłkiem oraz rozmiary niepasujące do niczego naturalnego.

Czudowiszczce. Potwór kryjący się w zakamarkach miasta. Ten sam, którego widział cały Szanghaj.

– Dobry Boże – mruknął Benedikt.

Cień zbliżał się do nich.

– Schowaj się!

– Jak mam się schować?! – syknął Marshall. – Oczekujesz, że magicznie się zmniejszę?

Rzeczywiście, uliczka była zbyt wąska, by znaleźć w niej skuteczną kryjówkę. Na porzuconych drewnianych skrzynkach dostrzegli wielki kawał niebieskiego brezentu. Benedikt nie miał czasu na wydawanie poleceń. Chwycił brezent i brutalnie popchnął Marshalla na ziemię, uciszając go, kiedy jęknął. Sam także się skulił, tak żeby obaj mogli usiąść z podwiniętymi nogami koło skrzynek, ukryci pod cienką płachtą.

Coś ciężkiego szło uliczką. Wydawało się, że porusza się z trudem, jakby jego stopy nie były dostatecznie posłuszne, a płuca dostatecznie silne, aby zaczerpnąć oddechu, który wydostawał się z nich po chwili z rzęzącym świstem.

Nagle ciszę nocy przerwał donośny plusk. Kropelki wody wzbity się i opadły z powrotem na powierzchnię rzeki, jakby zaczęło padać z niewielkiego skrawka nieba.

– Co to było? – syknął Marshall. – Wskoczyło do wody?

Benedikt chwycił róg brezentu i ostrożnie wysunął spod niego głowę. Marshall złapał go za ramiona i zrobił to samo. Obaj wyglądali z kryjówki i wpatrywali się w ciemność, starając się przyjrzeć rzecze pluszczącej nieopodal.

W wodzie dostrzegli jakiś ruch. W blasku księżyca zaśniło coś, co musiało być kręgosłupem, rzędem wyrostków, które wyginały się, zmieniały kształt i...

Benedikt zaklął i popchnął Marshalla na ziemię.

– Schowaj się, natychmiast!

Rzeka gwałtownie się poruszyła. Nie, to nie rzeka. Sam potwór. Miniaturowe kropki wyskakiwały w powietrze, ledwie widoczne, dopóki nie wylądowały na promenadzie i nie ruszyły przed siebie w blasku księżyca jak ruchomy dywan rozciągający się w głąb uliczki.

Marshall poprawił płachtę, a Benedikt przycisnął stopami jej krawędź, przydeptując brezent z całej siły, żeby nie przepuścić żadnego owada. Usłyszeli szelest. Odgłos tysięcy maleńkich nóżek muskających gruby żwir i znikających w otchłani miasta.

Cisza.

Minęła ciągnąca się w nieskończoność minuta.

Cisza tylko się pogłębiła.

– Wydaje mi się, że już przeszły – szepnął Benedikt. – Mars?

Marshall wydał odgłos, jakby się dławiał.

– Marshall!

Benedikt skoczył gwałtownie. Chwycił dłońmi głowę Marshalla i ścisnął ją mocno, domagając się jego uwagi, potwierdzenia przytomności umysłu. Przytrzymał jego ręce, żeby w razie czego powstrzymać go od rozerwania sobie gardła.

Marshall prychnął. W następnej chwili wyrwał mu się rozbawiony śmiech.

– Ben, ja żartowałem.

Benedikt tylko na niego patrzył.

– *Mudak* – syknął ze złością. Cofnął dłonie, z trudem powstrzymując chęć uderzenia Marshalla. – Co ci przyszło do głowy?! Kto by żartował z czegoś takiego?!

Marshall wydawał się teraz zaskoczony, jakby nie rozumiał, czemu stał się obiektem takiej furii.

– Przecież nas nie oblażył – powiedział powoli. – Dlaczego miałbyś dać się nabrać?

– A dlaczego nie?! – wybuchnął Benedikt. – Nie żartuje się z takich rzeczy, Marshall! Nie chcę cię stracić!

Marshall zamrugał. Zaintrygowany przekrzywił głową tak, jak podczas sparingu, gdy starał się odgadnąć następny ruch Benedikta. W prawdziwej walce Benedikt zawsze był lepszy w przewidywaniu leniwych zwodów Marshalla, wiedział, o czym myśli, i robił coś przeciwnego.

Jednak teraz, kiedy siedzieli tuż koło siebie, nie spodziewał się, że Marshall wyciągnie rękę i dotknie jego policzka: muśnie go leciutko opuszką palca, jakby chciał sprawdzić, czy Benedikt naprawdę tutaj jest.

Benedikt szarpnął się do tyłu. Ściągnął z nich płachtę i jednym ruchem poderwał się na nogi.

– Muszę powiedzieć Romie o tym, co właśnie widzieliśmy – warknął. – Zobaczmy się w domu.

Odszedł pospiesznie, zanim Marshall zdążył się podnieść.

Roma wysłał w końcu listowną odpowiedź. Dokładnie pięć godzin po tym, jak zaczął ją pisać. Kiedy przeczytał wiadomość po raz dziesiąty, właściwie nie był już nawet pewien, czy prawidłowo zapisał własne imię.

– Czy powinienem dodać *otczestwo*? – mruknął do siebie, przewracając kartkę w książce, z której nie rozumiał ani słowa. – Czy to byłoby dziwne?

Wszystko było dziwne. Cztery lata temu wysłał do Juliette tyle listów miłosnych, że kiedy usiadł nad tym – potwierdzającym, że powinni zebrać jak najwięcej informacji o Walterze Dexterze przed jutrzejszym spotkaniem w Great World – jego pierwszym impulsem, kiedy już zaczął pisać: „Droga Juliette”, było porównanie jej włosów do skrzydła kruk.

Westchnął, położył sobie książkę na piersi i zamknął oczy. Leżał już na łóżku, więc równie dobrze mógł się zdrzemnąć, dopóki nie przyjdzie odpowiednia pora, żeby zacząć myszkować po fabrykach Białych Kwiatów. Ktoś tam musiał mieć jakieś informacje o tym, czym zajmuje się teraz Walter Dexter.

Kiedy jednak zaczął zapadać w sen, rozległo się gwałtowne walenie do drzwi jego pokoju.

Roma jęknął.

– O co chodzi?

Drzwi otworzyły się. Do środka wpadł Benedikt.

– Masz teraz chwilę?

– Przerwywasz moje fascynujące spotkanie z Eugeniuszem Onieginem, ale nic nie szkodzi. – Roma podniósł książkę i przełożył ją na koc obok siebie. – On i tak jest nonsensownie pretensjonalny.

– Potwór. Owady. To jedno i to samo.

Roma usiadł gwałtownie.

– Możesz powtórzyć? – zapytał ostro.

Benedikt usiadł przy biurku kuzyna, rozładowując nerwowość szybkim bębnieniem palców o blat. Roma podniósł się z łóżka i zaczął krążyć po pokoju. Napięcie stało się nie do wytrzymania.

– Owady biorą się z potwora – powiedział pospiesznie Benedikt. – Widzieliśmy go. Widzieliśmy, jak wskoczył do wody, a potem... – Gestem rąk pokazał wybuch. – Te wszystkie nonsensowne relacje nabierają sensu. Ci, którzy twierdzą, że ujrzenie potwora powoduje szaleństwo, mają rację, ale z innego powodu, niż przypuszczają. Potwór wypuszcza z siebie owady. A one wywołują szaleństwo.

Roma poczuł, że brakuje mu tchu. Nie z przerażenia, ale dlatego, że wreszcie zaczynał rozumieć. Jakby otrzymał szkatułę pełną informacji podzielonych na małe kawałeczki i groziło mu, że ktoś mu je zabierze, jeśli nie poukłada ich w całość dostatecznie szybko.

– To nieoceniona informacja – powiedział Roma, zmuszając się do spokoju. – Jeśli wierzyć Lourensonowi, który twierdzi, że te owady poruszają się synchronicznie, jeśli założyć, że wszystkie są kontrolowane przez jeden umysł, zaś tym umysłem jest w rzeczywistości potwór... – Roma zatrzymał się. Nogi się pod nim ugięły. Potwór był prawdziwy. Realny. Nie chodziło o to, że Roma nie wierzył we wcześniejsze relacje osób, które widziały monstrum, ale przyjmował je tak, jak przyjmował obecność cudzoziemców w koncesjach: coś niepokojącego, ale nie najpoważniejsze zagrożenie. Spotkania z potworem leżały na marginesie jego uwagi, ustępując miejsca szaleństwu. Teraz jednak... – Jeśli zabijemy potwora, zabijemy co do jednego te dziwaczne owady w Szanghaju. Jeśli zabijemy potwora, powstrzymamy szaleństwo.

Wtedy insekty, które wwierciły się w głowę Alisy, zginą. A ona nie będzie już dłużej we władzy szaleństwa. Będzie mogła się obudzić. To było równie dobre jak lekarstwo.

Benedikt zacisnął wargi.

– Mówisz, jakby to było takie proste. Nie widziałeś go.

Roma zatrzymał się w pół kroku.

– Co w takim razie ty widziałeś?

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Benedikt zastanawiał się nad odpowiedzią. Kilka razy zastukał kłykciami w blat biurka, a po chwili powtórzył to jeszcze raz. W końcu ledwie dostrzegalnie potrząsnął głową.

– Słyszałeś te historie – powiedział krótko. – Nie odbiegają daleko od prawdy. Nie zastanawiałbym się na razie nad jego wyglądem. Zanim w ogóle zaczniemy myśleć, jak go zabić, trzeba wymyślić, jak go znowu znaleźć.

Roma znowu zaczął krążyć po pokoju.

– Marshall twierdzi, że komuniści widzieli potwora wyłażącego z mieszkania Zhang Gutaia.

Gdyby Roma poświęcał kuzynowi dostateczną uwagę, zobaczyłby, że wyraz jego twarzy nagle się zmienił: nie był to grymas irytacji czy szyderstwa, ale raczej przebłysk bólu. Na szczęście wszyscy członkowie rodziny Montagowów w mgnieniu oka potrafili zacząć udawać obojętność. Kiedy Roma na niego spojrzął, Benedikt wyglądał już całkowicie spokojnie, jakby czekał, co dalej powie kuzyn.

– Chciałbym, żebyście razem z Marshalllem obserwowali mieszkanie Zhang Gutaia – zdecydował Roma. Plan układał się w jego głowie na bieżąco. Kolejne elementy tej układanki wskakiwały na swoje miejsca. – Wypatrujcie jakiegokolwiek śladu *czudowiszcza*. Upewnijcie się, że Zhang Gutai jest winny. Jeśli na własne oczy zobaczycie potwora, będziemy mieli dowód, że to Zhang Gutai go kontroluje, żeby rozsiewać szaleństwo w Szanghaju. Wtedy dowiemy się, jak znaleźć potwora, żeby go zabić. Wystarczy znaleźć Zhang Gutaia.

Tym razem Benedikt skrzywił się w widoczny sposób.

– Chcesz, żebym po prostu... obserwował? To nudne zajęcie.

– Gdyby nie było nudne, obawiałbym się o twoje bezpieczeństwo. Im nudniejsze, tym lepiej na tym wyjdiesz.

Benedikt potrząsnął głową.

– Zanudziłeś nas już dostatecznie poszukiwaniami żywej ofiary szaleństwa i patrz, ile nam to dało – przypomniał. – Dlaczego ty i Juliette nie możecie się tym zająć? Prowadźcie już śledztwo w tej sprawie. Wiesz, ja też mam własne życie.

Roma przymrużył oczy. Benedikt splótł ramiona. Roma zastanawiał się, czy w tym poleceniu jest coś, co stanowiło zbyt wielką trudność.

Dlaczego Benedikt stawia taki opór? To dla niego kolejna okazja, żeby powyglupiać się razem z Marshalllem, co i tak robi praktycznie codziennie.

– Nie będę marnował naszej współpracy z Juliette na śledzenie Zhang Gutaia – odparł Roma, urażony tą propozycją.

– Myślałem, że zajmujemy się potworem, a nie Larkspurem.

– Wiem o tym – odparował Roma. Zjeżył się, niezdolny opanować ostrego tonu, który pojawił się w jego głosie. Stawką było życie Alisy, więc nie zamierzał marnować energii na kłótnie na tak głupie tematy. – Ale nie możemy być pewni, że Zhang Gutai rzeczywiście jest powiązany z potworem, dopóki znajdziemy na to twarde dowody. Do tego czasu potrzebujemy alternatywnego planu poszukiwania odpowiedzi dotyczących potwora i szaleństwa. Musimy rozpracować tego tajemniczego Larkspura i ustalić, dlaczego on wie tyle, ile wie, a potem wykorzystać to przeciwko potworowi.

Benedikt postanowił jednak obstawać przy swoim.

– Nie możecie zacząć śledzić Zhang Gutaia po tym, jak znajdziecie Larkspura? To jasne, że jest z nim jakoś powiązany, skoro znaleźliście ich korespondencję.

– Benedikcie – powiedział stanowczo Roma. – To był tylko list wysłany przez Larkspura. – Potrząsnął głową. Nie mógł się skoncentrować. – Posłuchaj, ty i Marshall musicie się tym zająć, ponieważ nie wiemy, kiedy znów potwór się pojawi.

– Nie możesz rozkazać komuś z szeregowych członków, żeby miał na niego oko?

– Benedikcie...

– W gruncie rzeczy wystarczy do tego jedna osoba...

– Jesteś Białym Kwiatem czy nie? – przerwał mu Roma. Jego głos nagle stał się lodowaty.

To sprawiło, że Benedikt umilkł. Zaciśnął usta, a dopiero po chwili odpowiedział:

– Oczywiście, że jestem.

– W takim razie przestań kwestionować moje rozkazy. – Roma splótł ręce za plecami. – Czy to wszystko?

Benedikt wstał. Skłonił się teatralnie, wykrzywiając wargi w kwaśnym grymasie.

– Tak jest, kuzynie – powiedział. – Pozostawię cię teraz, żebyś mógł się zająć swoimi obowiązkami następcy bossa. Pamiętaj, żeby się przy tym nie przemęczyć. – Jego szybkemu wyjściu z pokoju towarzyszył silny podmuch wiatru. Drzwi trzasnęły tak głośno, że chyba cały dom zadrżał.

„Obowiązki następcy bossa”. Dobry żart. Benedikt doskonale wiedział, że Roma może być albo następcą bossa, albo duchem. Benedikt był jedną z nielicznych osób, które rozumiały, że Roma nie walczy tak zaciekle o swoją pozycję dlatego, że zależy mu na władzy, ale dlatego, że tylko w ten sposób może zapewnić sobie minimum bezpieczeństwa. Gdyby niebiosa otworzyły się i podarowały Romie małą posiadłość na obrzeżach kraju, gdzie mógłby przeprowadzić się razem z bliskimi i spędzić resztę życia w całkowitym zapomnieniu, natychmiast by się na to zdecydował.

Roma zbył złośliwą uwagą Benedikta. Kuzyn mógł narzekać do woli ale myślał zbyt logicznie, żeby zlekceważyć zleczone mu zadanie. Wykona je, narzekając przy tym, ile wlezie, a potem zamknie się, kiedy sytuacja zrobi się naprawdę poważna. Poza tym Benedikt nigdy nie obrażał się na długo. Najwyraźniej coś wprawiło go w tak fatalny nastrój, ale gdy on w końcu minie, Benedikt szybko zapomni, dlaczego w ogóle urządził tę scenę.

Roma westchnął i opadł z powrotem na łóżko.

Od początku wiedział, że droga na szczyt jest usłana cierniami.

Jednak w tym mieście, w tych okolicznościach było to mniejszym złem.

Późnym wieczorem w mieszkaniu Kathleen rozległo się pukanie do drzwi, które brutalnie oderwało ją od lektury. Siedziała już pod kołdrą i przez moment zastanawiała się, czy nie udać, że śpi, tylko po to, żeby nie musieć wstawać, wkładać naszyjnika i otwierać drzwi. Jednakże te otworzyły się same.

– Dziękuję, że zaczekałaś na odpowiedź – powiedziała Kathleen karcająco, obserwując wchodzącą Rosalind.

– Przecież wiem, że nie zamierzałaś mi otworzyć.

Kathleen skrzywiła się i zamknęła czasopismo. Najmodniejsze w tym sezonie modele butów muszą trochę poczekać.

– Mogłam już spać.

Rosalind rozejrzała się. Wskazała na mały żyrandol i trzy złote lampy w różnych kątach pokoju.

– Śpisz przy zapalonym świetle?

– Pff. A może i śpię.

Rosalind przewróciła oczami i usiadła w nogach łóżka. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w przestrzeń. W końcu podwinęła nogi i oparła głowę na kolanach.

Kathleen zmarszczyła brwi.

– *Ça va?*

– *Ça va* – westchnęła Rosalind. – Lord Cai nastraszył mnie dzisiaj.

– Mnie też.

To, co lord Cai powiedział o szpiegu w wewnętrznym kręgu Szkarłatnych, było niezwykle poważnym oskarżeniem. Ten krąg nie był aż tak wielki.

– Mamy i tak dostatecznie dużo problemów. Tyle ludzi umiera – ciągnęła Kathleen. – To jeszcze bardziej nas podzieli.

Rosalind wydała z siebie cichy pomruk. Kathleen nie była pewna, czy to oznaczało, że się z nią zgadza, czy po prostu chciała odchrząknąć. Minęło jeszcze kilka sekund. W końcu zapytała:

– Nie myślisz chyba, że chodzi o Juliette?

Kathleen otworzyła szerzej oczy.

– Nie! – wykrzyknęła. – Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy?

Rosalind zacisnęła wargi.

– Myślę tylko na głos. Słyszałaś te same plotki co ja.

– Juliette nigdy by tego nie zrobiła.

Atmosfera zgęstniała. Kathleen nie spodziewała się tego, tej pełnej wahaniami ciszy w momencie, kiedy oczekiwała potwierdzenia.

– Nie możesz bezustannie być tak ufna.

– Nie jestem aż tak ufna – warknęła Kathleen, najeżając się.

– Doprawdy? – odparowała Rosalind. Również podniosła głos. – To dlaczego tak szybko zaczynasz się bronić? Wysunęłam tylko pewne przypuszczenie, a ty zachowujesz się, jakbym chciała odgryźć ci głowę...

– Słowa mogą być bardzo niebezpieczne – ucięła Kathleen. – Wiesz o tym. Wiesz, jakie szkody może spowodować kilka bezmyślnych zdań...

– Kogo obchodzą słowa! Tu chodzi o Juliette!

Kathleen, zaszokowana, aż podskoczyła w swoim kokonie z kołdry. Dzwoniło jej w uszach, jakby wybuch Rosalind był prawdziwą eksplozją, a nie tylko krzykiem. Chociaż obie były blisko z Juliette, Rosalind miała z nią inną relację niż Kathleen. Rosalind i Juliette były do siebie zbyt podobne. Obie pragnęły grać główną rolę, mieć prawo podejmowania ostatecznych decyzji. Kiedy się ścierały, tylko jedna z nich mogła wygrać.

Ale... to nie było starcie. To była po prostu...

– Boże, tak mi przykro – powiedziała nagle Rosalind cichszym głosem. – Nie chciałam... Przepraszam. Juliette jest mi bliska, wiesz o tym. Po prostu... Boję się, rozumiesz? My nie jesteśmy tak bezpieczne jak ona. Lord Cai nie cofnie się przed niczym, żeby znaleźć tego zdrajcę, a wiesz, że przede wszystkim zacznie podejrzewać osoby z zewnątrz, takie jak my.

Kathleen zeszywniała.

– Trudno nas nazwać osobami z zewnątrz.

– Ale nie nosimy nazwiska Cai i tylko to się liczy.

Kathleen nie miała najmniejszej ochoty tego przyznawać, ale jej siostra miała rację. Nie miało większego znaczenia, że były bliżej spokrewnione z najważniejszymi członkami rodziny Cai niż inni kuzyni drugiego, trzeciego i czwartego stopnia. Dopóki nosiły inne nazwisko, rodzina zawsze będzie wątpić, czy Rosalind i Kathleen naprawdę do niej należą. Były spokrewnione z lady Cai, czyli ze stroną, która weszła do tego domu, a nie bezpośrednio z tą, która wychowywała się w nim od pokoleń.

– Czyli będziemy musiały uważać – mruknęła Kathleen. – Pilnować się, żeby nie znaleźli żadnych powodów do podejrzeń.

Ludzie tacy jak Tyler nie musieli się o nic martwić. Nawet jeśli ich pokrewieństwo było równie bliskie jak ich, on nosił jednak nazwisko Cai. Cokolwiek zrobił, cokolwiek osiągnął – wszystko traktowano jako wspaniałe dokonanie ku chwale rodziny, ku chwale pokoleń przodków, którzy zbudowali ją od podstaw. Natomiast to, czym zajmowały się Kathleen i Rosalind, było przypisywane rodzinie Lang, mimo że Kathleen niemal nie znała tej części rodziny, jeśli nie liczyć babki, którą odwiedzała raz do roku.

– To prawda – szepnęła Rosalind. Westchnęła i potarła czoło. – No dobrze, powinnam już iść. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. – Zeskoczyła z łóżka. – Idź już spać. *Bonne nuit*.

– Dobranoc – odpowiedziała Kathleen.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, położyła się z powrotem i sięgnęła po czasopismo, ale nie mogła się skupić na butach.

„Słyszałaś te same plotki co ja”.

– Chwila – powiedziała głośno Kathleen. – Jakie znowu plotki?

ROZDZIAŁ 27

Juliette była o włos od wybuchu.

Dzięki pogodnemu niebu i morskiej bryzie powietrze tego popołudnia było przyjemnie rześkie. Szła chodnikiem w półcieniu kołyszących się zielonych drzew, otoczona przez plusk wody w fontannach i świergot ptaków – odgłosy Osiedla Międzynarodowego, które pozostawało jeszcze odrobinę oszołomione po ostatniej szalonej nocy i dopiero budziło się w złocistym słońcu pieszczącym jego ulice.

Juliette powinna być spokojna i odprężona. Niestety spacerowała z Paulem Dexterem, od którego nie uzyskała żadnych przydatnych informacji, mimo długich godzin spędzonych w jego towarzystwie.

– Mam dla pani niespodziankę. – Paul dosłownie tryskał entuzjazmem. – Niezwykle ucieszył mnie pani list. Czas spędzony z panią to dla mnie najwspanialsze chwile.

Przynajmniej jedno z nas jest zadowolone.

Wydawało się niemalże, że Paul przejrzał jej grę. Za każdym razem, kiedy wspominała o jego ojcu, Paul przekierowywał rozmowę na to, jak zapracowany jest Walter Dexter. Za każdym razem, kiedy nawiązała do jego pracy u Larkspura, Paul zaczynał się rozwodzić nad klimatem Szanghaju i nad tym, jak trudno jest znaleźć porządną pracę w tym mieście. Juliette zastanawiała się przez moment, czy Paul mógł wiedzieć, że wtargnęła do miejsca szczepień, i teraz podejrzewał ją o działanie na szkodę Larkspura. Doszła jednak do wniosku, że to mało prawdopodobne, by takie informacje dotarły do tak mało znaczącej osoby jak Paul Dexter. Rozważała również, czy otrzymał od Larkspura podobne instrukcje, jak tamci handlowcy – żeby zabić ją za pieniądze – ale nie umiała sobie wyobrazić, jak zamierzałby to w takim przypadku rozegrać. Najbardziej prawdopodobne wydawało jej się, że nie zdradzał się z posiadanymi informacjami po prostu dlatego, żeby dłużej cieszyć się jej towarzystwem.

– Niespodziankę? – powtórzyła nieobecna duchem. – Ależ nie trzeba było.

Na pewno podejrzewał, że o coś jej chodzi. Już samo to dawało mu przewagę: prawo, żeby ciągnąć ze sobą Juliette wszędzie, dokąd miał ochotę. Nie mógł jednak wiedzieć, o co dokładnie jej chodzi, a Juliette nie zamierzała się z tym zdradzać. Paul z całą pewnością nie domyślał się, że znała rolę jego ojca jako dostawcy Larkspura i że interesowały ją wszelkie okruczności wiadomości, jakie Dexterowie mogli mieć na temat jego tożsamości.

Ktoś, kto dostarczał Larkspurowi narkotyk bezpośrednio potrzebny do wyrobu szczepionki, musiał mieć adres, pod który się zgłaszał. Nie mogło być inaczej. Jak Walter Dexter miałby przekazywać towar? Pozostawiając paczki z narkotykami w wyznaczonych dziurach w ścianie?

– Och, to drobiazg. – Paul nagle obrócił się na pięcie. Zamiast iść obok Juliette, szedł teraz dwa kroki przed nią, z wyciągniętą ręką, tyłem, żeby cały czas na nią patrzeć. Zmusiła się, żeby wziąć go za rękę. – Będzie pani zachwycona. Jest w moim domu.

Juliette się ożywiła. Zaproszenie ze strony Paula Dextera, żeby obejrzeć coś w jego domu, było w najwyższym stopniu niestosowne, ale stanowiło niepowtarzalną okazję do przeszpiegów. Niechby tylko spróbował czegoś, co nie przystało dżentelmenowi. Spotkałby się z zaskakująco stanowczą reakcją.

– To niezwykle ekscytujące – oznajmiła Juliette.

Paul wyczuł jej poprawę nastroju i cały się rozpromienił. Był bardzo szczęśliwy, kiedy tak szli przed siebie, nie przerwał także ani na moment swojej paplaniny, rozwodząc się nad tym, co myśli na temat miasta, jego życia nocnego, kasyn...

– Czy słyszała pani o strajkach?

Obcas Juliette utknął w szczelinie chodnika. Paul szybko wyciągnął rękę i chwycił ją za łokieć, żeby nie upadła, ale Juliette nawet mu nie podziękowała. Spojrzała tylko w jego życzliwą twarz i zamrugała. Wymknął jej się krótki śmiech pełen niedowierzania.

– A co takiego wie pan o strajkach? – zapytała.

– Bardzo dużo, panno Cai – odparł Paul bardzo pewny siebie. – Są teraz dwa rodzaje komunistów: ci, którzy umierają, ponieważ są za biedni, by zasługiwać na lekarstwo Larkspura, i ci, którzy są tym na tyle rozgniewani, że pragną się zbuntować.

„Zbyt biedni, by zasługiwać”... Co za brednie...

– Strajki wybuchają w fabrykach finansowanych przez Szkarłatnych – powiedziała Juliette. Jej głos był odrobinę zduszony, więc odkaszlnęła i spróbowała zabrzmieć swobodniej, żeby Paul nie uznał jej zachowania za agresywne. – Poradzimy sobie. Mamy wszystko pod kontrolą.

– Nie wątpię – zgodził się Paul, ale dobrze wiedziała, że tylko z grzeczności, co samo w sobie stanowiło obelgę. – O, jesteśmy na miejscu.

Paul zatrzymał się przed wysoką bramą i nacisnął dzwonek, żeby wezwać kogoś do jej otwarcia. Juliette zajrzała przez pręty. Dom był tak daleko w głębi ogrodu, że widziała tylko niekończące się fale zielonych trawników.

– Czy pański ojciec jest w domu? – zapytała.

– Nie, jest na spotkaniu – odparł Paul. – Ostatecznie jakoś musimy płacić czynsz.

Brama otworzyła się z głośnym szczęknięciem. Paul podał Juliette ramię.

– Rzeczywiście – mruknęła Juliette.

Jakoś musieli płacić czynsz. Ile musiał zarabiać kupiec, żeby sobie na to pozwolić, i jak tak szybko mógł zdobyć takie pieniądze? Inne domy przy tej ulicy zajmowali bankierzy, oficerowie i zamożni dyplomaci. Walter Dexter, kiedy pojawił się w Szanghaju, był dostatecznie zdesperowany, żeby błagać Szkarłatny Gang o spotkanie. Wślizgnął się do kabaretu w garniturze z niewielkim rozdarciem na rękawie. Z całą pewnością nie od początku miał ten dom. Z całą pewnością nie przyjechał do tego miasta, dysponując takimi pieniędzmi.

A jednak wszystko, co widziała, temu przeczyło.

Mijali posągi z lśniącego marmuru przedstawiające boginie i nimfy z melancholijnymi twarzami. Frontowe drzwi, które Paul otworzył przed Juliette, były inkrustowane złotem. Takie same zdobienia miały drzwi w holu, prowadzące do dalszych pomieszczeń, a także szerokie schody, stanowiące centralny punkt wnętrza.

– Przepiękny dom – powiedziała cicho Juliette.

Mówiła szczerze.

Weszła do okrągłego salonu. Jej obcasy stuknęły głośno na drewnianej podłodze, przyciągając uwagę służących składających obrusy. Na widok Paula zebrali swoje rzeczy i wyszli pośpiesznie, wymieniając spojrzenia. Żaden z nich nie zamknął niewielkich drzwi po drugiej stronie salonu, prowadzących do tylnej części ogrodu. Pozostały otwarte na oścież. Do pomieszczenia wdzierał się silny wiatr, wydymając białe ażurowe firanki, co Juliette przywodziło na myśl dziewczęta tańczące w kabarecie.

Paul podszedł szybko do drzwi, żeby je zamknąć. Firanki zafalowały smutno i znieruchomiały. Paul jeszcze przez moment stał w tym samym miejscu, patrząc na ogród oczami lśniącymi od blasku wpadającego z zewnątrz. Juliette podeszła do niego i odetchnęła głęboko. Gdyby tylko odrobinę się postarała, mogłaby zapomnieć o tym, jak wyglądają ulice Szanghaju. Mogłaby być w dowolnym innym miejscu. Gdzieś na angielskiej prowincji lub może w Ameryce Południowej. Powietrze pachniało dostatecznie słodko. Widoki były dostatecznie miłe dla oka.

– Pięknie, nieprawdaż? – zapytał cicho Paul. – *Wrześniowe słońce straciło nieco ze swego ciepła, ale nic ze swego blasku...*⁶

– Jesteśmy daleko od Gór Skalistych, panie Dexter – odparła Juliette, rozpoznając cytaty.

Paul drgnął, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia. Zaraz jednak uśmiechnął się szeroko.

– Niezwykłe. Doprawdy niezwykle. Jak na Chinkę posługuje się pani wyjątkowo doskonałym angielskim. Nie ma w nim nawet cienia akcentu.

Juliette położyła dłoń na drzwiach. Kiedy ją przycisnęła, poczuła chłód sączący się z delikatnego szkła i przenikający ją do kości.

– Mówię z akcentem amerykańskim – zauważyła głucho.

Paul machnął tylko ręką.

– Wie pani, co mam na myśli.

Doprawdy?, miała ochotę powiedzieć. Czy byłabym kimś gorszym, gdybym brzmiała tak jak moja matka, mój ojciec i wszyscy inni w tym mieście, którzy – w odróżnieniu od ciebie – byli zmuszeni nauczyć się więcej niż jednego języka?

Nic nie powiedziała. Paul skorzystał z okazji, aby chwycić ją pod ramię i poprowadzić w głąb domu, zapowiadając z ekscytacją swoją niespodziankę. Szli długimi korytarzami, mijając surrealistyczne obrazy na perłowobiałych ścianach. Juliette wychylała się na wszystkie strony i próbowała zajrzeć do pokoi, ale przechodzili obok nich zbyt szybko, by mogła dobrze się przyjrzeć.

Okazało się, że Juliette nie musiała martwić się znalezieniem gabinetu, w którym Walter Dexter prowadził swoje interesy. Paul poprowadził ją prosto do niego. Wszli do dużego biura, będącego chyba największym pomieszczeniem w domu, z wypolerowaną podłogą i wysokimi regałami pełnymi książek. Tutaj panował inny klimat – powietrze było cięższe, bardziej wilgotne z powodu zamkniętych okien i grubych zasłon. Wzrok Juliette zatrzymał się najpierw na ogromnym biurku zavalonym stosami teczek i piętrzącymi się papierami.

– Hobson! – zawołał Paul. – Hobson!

Za nimi pojawił się kamerdyner: Chińczyk w zachodnim uniformie. Z całą pewnością nie nazywał się naprawdę Hobson. Juliette nie byłaby zaskoczona, gdyby Paul przydzielił mu to nazwisko, ponieważ nie chciało mu się wymawiać prawdziwego, chińskiego.

– Sir?

Paul wskazał przestrzeń przed biurkiem, gdzie na owalnym szarym dywanie stały cztery sztalugi przykryte grubą tkaniną.

– Czy zechcesz czynić honory?

Hobson skłonił się. Wszedł do gabinetu wyprostowany jak struna, wyciągając przed siebie dłonie w białych rękawiczkach. Kiedy pociągnął za materiał, jego biel zlała się z kolorem rękawiczek.

Juliette popatrzyła na cztery płótna.

– Och... Doprawdy...

– Podobają się pani?

Każdy obraz przedstawiał... ją. Dwa z nich były portretami, zaś dwa pozostałe ukazywały pejzaż ogrodu, tak jakby uczestniczyła w najbardziej samotnym garden party na świecie. Juliette nie wiedziała, co jest bardziej przerażające: to, że Paul myślał, że ucieszy ją taki podarunek, czy też to, że wydał ciężko zarobione brudne pieniądze od Larkspura, na coś takiego. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Mój nos nie jest tak kształtny – oznajmiła w końcu.

Paul drgnął ledwie dostrzegalnie.

– Słucham?

– Mój nos. – Juliette wysunęła łokieć z jego uścisku i odwróciła się do okien, żeby mógł zobaczyć jej profil. – Jak widać, jest raczej spłaszczony. Wiem, że od przodu wygląda pięknie, ale mój profil pozostawia sporo do życzenia. Zbyt mi pan pochlebia.

Hobson zaczął składać zasłony, które przykrywały obrazy. Ten odgłos był zbyt donośny w ciszy, która zapadła w pokoju. Kąciki ust Paula opadały powoli w wyrazie zniechęcenia: nareszcie, po raz pierwszy tego dnia, zaczął zwracać uwagę na nastawienie Juliette. To nie była pożądana reakcja. Miała zdobyć jego zaufanie, a nie zmiażdżyć je, niezależnie od tego, jak odrażająco się zachowywał. Szybko odwróciła się znowu do Paula i uśmiechnęła promiennie.

– Ale jest mi naprawdę niezwykle przyjemnie. To doprawdy cudownie z pana strony. Jak mogłabym się odwdzińczyć za tak wspaniały prezent?

Paul zaakceptował tę szansę powrotu do poprzedniej atmosfery. Zadowolony przechylił głowę.

– Och, cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił. – Hobson, spakuj obrazy i poślij po kogoś, żeby zawiózł je do domu panny Cai.

Juliette nie mogła się doczekać, aż wrzuci te obrazy na strych i nigdy więcej ich nie zobaczy. A może właściwie powinna spalić te szkaradztwa? Jeśli Rosalind je zobaczy, będzie się naśmiewać do końca życia.

– Czy możemy kontynuować nasz spacer?

Juliette drgnęła. Jeśli teraz wyjdą z gabinetu Waltera Dextera, to jak znów znajdzie okazję, żeby zakraść się tutaj niezauważenie? Dom był pełen służby i wątpiła, by ktokolwiek zawahał się przed doniesieniem na nią, gdyby kręciła się tam, gdzie nie powinna.

Hobson odchrząknął, ponieważ chciał przejść obok Juliette, niosąc jeden z obrazów. Juliette, nadal rozważając możliwe opcje, cofnęła się machinalnie o krok, żeby zejść mu z drogi, i oparła się plecami o chłodną drewnianą kolumnę. W tej części posiadłości Dexterów było wyjątkowo gorąco.

Nienaturalnie gorąco.

Kiedy Hobson wyszedł z pokoju, Juliette doznała olśnienia.

– Tyle emocji – powiedziała nagle i położyła dłoń na czole. – Ja...

Udała, że omdlewa. Paul podbiegł, by ją podtrzymać. Zdążył ją złapać, zanim upadła na podłogę, ale skuliła się, podwijając kolana.

– Panno Cai, czy może...
– To tylko to gorąco. Uderzyło mi do głowy – oznajmiła Juliette, oddychając z trudem, ale zbywając jego troskę machnięciem ręki. – Czy ma pan może maść tygrysią? Na pewno nie, wy, Brytyjczycy, nie macie pojęcia o naszych lekach. Jestem pewna, że ktoś z pańskiej służby będzie wiedzieć, o co chodzi. Czy zechciałby mi ją pan przynieść?
– Oczywiście, oczywiście – zająknął się szybko Paul.
Zaniepokojony, puścił ją i wybiegł z pokoju.
Juliette momentalnie poderwała się na nogi.
– Grzebanie w cudzych biurkach zaczyna mi wchodzić w krew – mruknęła do siebie.
Nie miała wiele czasu, więc zaczęła pospiesznie grzebać w dokumentach, rozglądając się za jakąkolwiek wzmianką na temat Larkspura. Znalazła tuziny biletów, listów z informacjami kontaktowymi, ale żadnych faktur wystawionych dla Larkspura ani nawet niczego związanego z Lernikromem. Z całą pewnością nadal starał się sprzedawać ten narkotyk, więc gdzie podziały się dowody?
Nie było czasu dłużej tego roztrząsać. Usłyszała kroki na korytarzu.
Zaklęła półgłosem, wyrównała stosy dokumentów i wróciła na miejsce, w którym osunęła się na ziemię. Przybrała poprzednią pozycję i podparła się na łokciach. Nie spojrzała w górę, kiedy pojawił się przed nią Paul: udawała, że jest oszołomiona i nie może podnieść głowy wyżej niż na kilka centymetrów.
– Przepraszam za zwłokę – wysapał Paul. – Zagadnąłem Hobsona o tę tajemniczą maść, ale nie wykazał cienia zrozumienia dla mojego pośpiechu. Oznajmił, że włożył mi ją do teczki w zeszłym tygodniu, gdy uskarżałem się na ból głowy. Musiałem ją znaleźć.
W pokoju rozległo się podwójne kliknięcie. Spod półprzymkniętych powiek Juliette dojrzała, że Paul przegrzebuje nieporządnie poskładaną zawartość teczki. Wsunął palce w jedną z kieszonek i mruknął coś pod nosem, kiedy palce uwięzły mu w ciasnej przegródce. Juliette zauważyła w środku dokumenty biznesowe, faktury zapisane tak drobną czcionką, iż było prawdziwym cudem, że dostrzegła na nich DO WIAD.: LARKSPUR.
Z trudem powstrzymała się od okrzyku zaskoczenia. Być może Paul uznał to za westchnienie wdzięczności, ponieważ otworzył słoiczek i ostrożnie dotknął balsamu, nabierając go na palec tyle, ile trzeba, by natrzeć jej skronie.
Przynajmniej wiedział, jak należy aplikować tę maść. Jego palce były wyjątkowo zimne.
– Dziękuję – powiedziała Juliette. Zmusiła się, żeby przesunąć wzrok, ponieważ Paul mógłby zauważyć, co takiego przykuło jej uwagę. – Czuję się znacznie lepiej. Czy mogłabym nadużyć pana gościnności i poprosić o szklanek wody? Z pewnością bardzo by mi to pomogło.
Paul pokiwał energicznie głową i znowu wybiegł z gabinetu, tym razem pozostawiając otwartą teczkę.
Juliette pochwyliła dokument.

Faktura nr 10092A
23 września 1926 r.
Do wiad.: Larkspur
Lernikrom, 10 paczek

Niżej podpisany zaświadcza niniejszym, iż dopilnuje dostarczenia pozostałych transzy produktu docelowemu odbiorcy.



Dostawca: Archibald Welch

– Archibald Welch – mruknęła Juliette.
Nigdy wcześniej nie słyszała tego nazwiska, ale faktura, którą trzymała w dłoniach, zaświadczała jasno, że ten mężczyzna miał kontakt z Larkspurem, będąc pośrednikiem pomiędzy nim a Walterem Dexterem.
Pospiesznie przekartkowała pozostałe faktury: różniły się datami i liczbą paczek, ale na wszystkich widniał ten sam podpis. To nie oznaczało, że dysponowała bezpośrednim adresem Larkspura, ale znajdowała się o krok bliżej.
Juliette odłożyła faktury równo na miejsce. Paul wrócił z wodą.
– Jak się pani czuje? – zapytał. Podał jej szklanek i patrzył, jak pije. – Czy nadal dręczą panią zawroty głowy?
Juliette uśmiechnęła się.
– Och – powiedziała skromnie. – Nic mnie już nie dręczy.
– Późno wróciłaś.
Juliette rzuciła żakiet na łóżko, a potem sama także się na nie rzuciła, aż zakołysało się pod jej ciężarem. Kathleen, wygodnie usadowiona w nogach łóżka, omal nie straciła równowagi. Posłała kuzynce karcące spojrzenie, ale gniewny wzrok Kathleen nigdy nie był przekonujący.
– Za pół godziny znowu wychodzę – jęknęła Juliette i zasłoniła oczy przedramieniem. Po chwili pospiesznie odsunęła rękę i skrzywiła się, bo rozmasowała tusz do rzęs. – Gdzie Rosalind?
Kathleen oparła podbródek na dłoni.
– Znowu była potrzebna w klubie.
Juliette zmarszczyła brwi.
– Kolejni cudzoziemcy?

– Francuzi zaczynają być niespokojni przez to szaleństwo – odparła Kathleen. – A ponieważ nie mogą niczego na nie poradzić, udają, że są użyteczni, prosząc nas o niekończące się spotkania w celu omówienia dalszych działań.

– Nie ma żadnych dalszych działań – stwierdziła kwaśno Juliette. – Przynajmniej nie dla nich. Chyba że zechcą zmobilizować wojsko przeciwko jednemu potworowi kryjącemu się w mrokach Szanghaju.

Kathleen tylko westchnęła w odpowiedzi. Przewróciła stronę magazynu mody.

– Tak przy okazji, twój ojciec był tutaj. Szukał cię.

– Tak? – zapytała Juliette. – Czego *Bàba* chciał ode mnie?

– Powiedział, że sprawdza tylko, czy wszyscy są obecni – skrzywiła się Kathleen. – Jest wyprowadzony z równowagi z powodu tego szpiega Białych Kwiatów. Najwyraźniej zastanawia się nad wyrzuceniem z domu części dalszych krewnych.

– Doskonale – mruknęła Juliette.

Kathleen przewróciła oczami i wyciągnęła rękę. Juliette splotła swoje palce z palcami kuzynki i natychmiast poczuła ulgę, jakby ktoś zdjął z jej ramion ogromny ciężar. Napięcie w jej ciele zaczęło ustępować.

– Nadal rozpracowujesz komunistów? – zapytała Kathleen.

– Nie, teraz czekamy... – Juliette urwała, a jej puls przyspieszył. Szybko się poprawiła: – Czekam na dodatkowe potwierdzenie, zanim kogoś oskarżę. Kathleen skinęła głową.

– Słusznie. – Drugą ręką przewróciła kartkę w magazynie. Kiedy przewróciła jeszcze trzy, a Juliette nie powiedziała nic więcej, patrząc tylko w sufit, Kathleen zmarszczyła nos i zapytała wyraźnie zmartwiona: – Co się z tobą dzieje?

– Próbuję poukładać w głowie swój harmonogram – wyjaśniła cierpko Juliette. Zabrała rękę i przewróciła się na drugi bok, żeby spojrzeć na nieduży zegar tykający na toalecie. – Potrzebna mi przysługa.

Kathleen zamknęła magazyn.

– Słucham.

– Potrzebuję wszystkich informacji, jakie da się uzyskać na temat mężczyzny, który nazywa się Archibald Welch. Muszę wiedzieć, gdzie go znaleźć.

– Jakiś powód? – zapytała Kathleen. Natychmiast podniosła się z łóżka i sięgnęła po płaszcz.

– Może znać tożsamość Larkspura.

Kathleen poprawiła kołnierz i spod niego włosy.

– Przyślę wiadomość, gdy tylko się czegoś dowiem. Potrzebujesz tego przed spotkaniem?

– Owszem, tak byłoby najlepiej.

Kathleen żartobliwie zasalutowała. Szybkim krokiem, skoncentrowana na nowym zadaniu, podeszła do drzwi. Juliette zawołała za nią:

– Zaczekaj!

Kathleen się zatrzymała.

Minęła chwila. Juliette usiadła na łóżku i podciągnęła kolana do piersi.

– Dziękuję – powiedziała nieoczekiwanie drżącym głosem. – Za to, że przy mnie jesteś. Nawet jeśli czegoś nie apróbujesz.

Nawet jeśli moje ręce ociekają krwią.

Kathleen wydawała się niemal rozbawiona. Powoli zawróciła i przykucnęła z gracją przed swoją kuzynką.

– Mam przeczucie, że twoim zdaniem troszeczkę za często cię osądzam.

Juliette wzruszyła ramionami.

– A nie jest tak? – zapytała szczerze.

– Daj spokój, Juliette. – Kathleen usiadła obok. – Pamiętasz przyjaciółkę Rosalind? Tę irytującą?

Juliette nie była pewna, do czego zmierza ta rozmowa, ale zastanowiła się nad nielicznymi przyjaciółkami, jakie miała dawniej Rosalind.

Niczego nie pamiętała.

– Czy to było, zanim wyjechałyśmy na Zachód, czy po tym, jak tutaj wróciłam po raz pierwszy?

– Kiedy wróciłaś po raz pierwszy. Rosalind pracowała już wtedy w kabarecie.

Wyraz twarzy Juliette podpowiedział Kathleen, że kuzynka niczego nie pamięta.

– Miała imię od kamienia szlachetnego – podsunęła Kathleen. – Nie pamiętam już dokładnie, ale... Ruby? Sapphire? Emerald?

Nagle wszystko wskoczyło na miejsce. Juliette wyrwał się stłumiony śmiech. Kathleen zawtórowała jej, chociaż próbowała zacisnąć wargi, ponieważ to wspomnienie zdecydowanie nie należało do zabawnych.

– Amethyst – powiedziała Juliette. – Nazywała się Amethyst.

Amethyst była od nich starsza o co najmniej pięć lat, a Rosalind dosłownie wielbiła ziemię, po której stapała. Była długonogą gwiazdą estrady, szkolącą Rosalind na następną olśniewającą kometę.

Amethyst doprowadzała przy tym Kathleen do szaleństwa. Cały czas powtarzała jej, że powinna kupić kremy wybielające cerę, poprawić krój nowego qipao, coraz bardziej zbliżając się do obraźliwych insynuacji...

Aż w końcu Kathleen nie wytrzymała.

– Juliette! – Juliette pamiętała głos kuzynki wołający ją z zaplecza kabaretu. – Juliette!

– Co się dzieje? – mruknęła wtedy Juliette i wstała od stolika. Musiała wślizgnąć się do garderoby Rosalind, a chociaż samej Rosalind nie było w środku, Kathleen spacerowała nerwowo po całym pomieszczeniu, pilnując bezwładnej sylwetki na podłodze.

– Ona chyba nie żyje! – jęknęła. – Próbowała mnie przytrzymać, więc ją odepchnęłam, a ona uderzyła się w głowę i...

Juliette machnięciem ręki uciszyła kuzynkę. Przyklękła na podłodze, żeby przyłożyć palce do szyi Amethyst. Ze skroni dziewczyny sączyła się strużka krwi, ale jej puls był miarowy.

– Co ona tu w ogóle robiła? – zapytała Juliette. – Weszła za tobą?

Kathleen skinęła głową.

– Okropnie mnie tym zezłościła. Ja się tylko broniłam! Naprawdę nie chciałam...

– Och, daj spokój, nic jej nie jest. – Juliette wstała. – Bardziej martwi mnie to, jak głośno mnie tutaj zawołałaś...

W tym momencie otworzyły się drzwi garderoby Rosalind. Do środka wpadły dwie tancerki, a za nimi Rosalind. Tancerki natychmiast podbiegły do leżącej na podłodze Amethyst, z okrzykami niepokoju.

– Co się stało? – zapytała ze zgrozą Rosalind.

Tancerki szybko spojrzały na Kathleen. Kathleen na Juliette. Kiedy wymieniły spojrzenia, Juliette wszystko zrozumiała. Tylko jedna z nich była bezpieczna. Druga niestety nie.

– Amethyst powinna wreszcie nauczyć się lepiej pilnować własnego nosa – oznajmiła chłodno Juliette. – Następnym razem oberwie ode mnie mocniej. Jedna z tancerek zamrugła.

– Jak to?

– Czy mam coś powtórzyć? – zapytała Juliette. – Zabierzcie mi ją z oczu. Nie chcę jej więcej widzieć w tym klubie. Nie chcę jej już więcej widzieć w życiu.

Rosalind otworzyła usta ze zdumienia.

– Juliette...

Nie miało znaczenia, jak żarliwie Rosalind wstawiała się za Amethyst. Wystarczyło machnięcie ręki Juliette, a Amethyst, nadal nieprzytomna, została zabrana na zewnątrz.

– Rosalind do tej pory uważa, że zaatakowałam Amethyst bez żadnego powodu – powiedziała Juliette. – Nie miałyśmy serca jej powiedzieć, jak okropna była jej przyjaciółka, nawet po tym, gdy przysłała list, że nie wróci już do tańca.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał dość odwagi, by wrócić do miejsca zatrudnienia, z którego wyrzuciła go dziedziczka Szkarłatnych.

– Och, cicho. Zastraszałam wielu ludzi w tym mieście. Nie każdy uciekł potem z płaczem do domu.

Kathleen przewróciła oczami, ale spoglądała na nią z czułością. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na ramieniu Juliette.

– Posłuchaj mnie, *biàomèi* – powiedziała cicho. – Ty i Rosalind jesteście całą moją rodziną. Tylko wy się dla mnie liczycie. Więc proszę, przestań mi dziękować co chwilę, jak jakaś przeklęta cudzoziemka, tylko dlatego, że ci pomagam. Nigdy nie będę potępiać tego, co robisz. Nie potrafiłabym. Zawsze będę po twojej stronie, bez względu na wszystko. – Kathleen spojrzała na zegarek i podniosła się z uśmiechem. – Czy to jasne?

Juliette tylko skinęła głową.

Kathleen opuściła wreszcie pokój, aby dotrzeć do miejsca, do którego się wybierała, przed zachodem słońca. W sypialni zapadła cisza, przerywana jedynie tykaniem przesuwających się wskazówek zegara i pełnymi wdzięczności westchnięciami Juliette.

– Dziękuję ci – powiedziała Juliette.

ROZDZIAŁ 28

Roma wybrał miejsce na tyłach sali estradowej, przy długim stole, do którego co chwilę podchodzili goście Great World. Pili drinka, odstawiali szklankę, a potem zostawali z powrotem wchłonięci przez widownię oglądającą występ. Ich ruchy były szybkie i gwałtowne, bez wątpienia przez narkotyki krążące w ich żyłach.

W porównaniu z nimi Roma wydawał się pogrążony w stuporze, ponieważ powoli sączył zawartość szklanki i czekał. Kapelusz miał naciągnięty na czoło, żeby nikt z obecnych nie mógł mu się zbyt dokładnie przyjrzeć. Gdyby go rozpoznano, zaczęłyby krążyć plotki o tym, że Roma Montagow chodzi oglądać girlsy z burleski, które w sukienkach z rozcięciami po pachy wymachiwały nogami na scenie, a jedne niebiosy wiedziały, jak na wiadomość o tym zareagowałby jego ojciec. Lord Montagow, już kiedy Roma był całkiem mały, przestrzegał go przed Great World i podobnymi miejscami – tętniącymi życiem, gdzie dzięki chińskiej pomysłowości różne formy rozrywki zostały połączone w mieszankę, która zatruwała umysł szybciej niż opium. Tutaj goście tracili swoje zarobki i wymieniali jedzenie na zapomnienie. Nawet jeśli Great World było miejscem pogardzanym, stanowiło jednocześnie wyznacznik sukcesu. Dzielne zarobki tych, którzy pracowali w fabrykach w Nanshi, nie wystarczyłyby nawet na bilet wstępu.

Roma westchnął i odstawił szklankę. Miał zasłoniętą twarz, więc w tej masie pijaków i wrzeszczących widzów mogła go znaleźć tylko osoba, która dokładnie wiedziałaby, kogo szuka.

– Witaj, nieznajomy.

Juliette zajęła miejsce po skosie i odgarnęła z twarzy zabłąkane pasmo włosów, wsuwając je z powrotem w ułożone fale. Jej nie przeszkadzało, że może zostać rozpoznana tutaj, w Great World. Nie chciała tylko, żeby ktoś zobaczył ją z następcą bossa Białych Kwiatów.

Roma nie odrywał wzroku od sceny, na której właśnie zawieszono linę. Zastanawiał się, ile kości połamało się w tym budynku.

– Napijesz się? – zaproponował i przesunął w jej stronę niemal pełną szklankę.

– Dodałeś trucizny?

Roma spojrzął na nią ze zgrozą.

– Nie!

– Zmarnowana szansa, Montagow. – Juliette podniosła szklankę do czerwonych warg i wypła łyk. – Przestań na mnie patrzeć.

Roma odwrócił wzrok.

– Dowiedziałaś się czegoś? – zapytał.

– Jeszcze nie, ale... – Spojrzała na zegarek. Roma nie był pewien, skąd go wyciągnęła, biorąc pod uwagę, że w jej sukience nie dostrzegła żadnych kieszeni. – Mogę mieć coś za kilka minut. Mów pierwszy.

Roma czuł się zbyt wyczerpany, żeby się kłócić. Gdyby wszyscy gangsterzy w tym mieście byli stale tak zmęczeni jak on, wojna gangów wygasłaby w ciągu godziny.

– Wciąż to samo – oznajmił. – Potwór. Szaleństwo. Jeśli znajdziemy potwora, powstrzymamy szaleństwo.

Powiedział jej wszystko, co udało im się zaobserwować i wydedukować.

– To w zasadzie wystarczy jako potwierdzenie! – zawołała Juliette. Uświadomiła sobie, że podniosła głos, więc rozejrzała się pospiesznie i syknęła: – Musimy działać...

– Widziano potwora, jak opuszczał mieszkanie – przypomniał Roma. – Nikt nie widział, by Zhang Gutai osobiście wydawał mu rozkazy.

– Jeśli potwora widziano w miejscu zamieszkania Zhang Gutaia, to znaczy, że Zhang Gutai musi nim kierować. – Juliette nie zamierzała przyjmować żadnych sprzeciwów. Stuknęła palcem w stół. – Zastanów się nad tym, Roma. Zastanów się nad wszystkim, co wiemy. Szaleństwo narasta falami, a w trakcie każdej fali najpierw umiera duża grupa, zanim owady nie rozprzestrzenia się po mieście. Gangsterzy w porcie. Białe Kwiaty na statku. Francuzi na przyjęciu. Biznesmeni w rejonie Bundu.

Roma nie mógł temu zaprzeczyć.

– Wydaje się, że pierwszymi ofiarami padają zawsze gangsterzy albo biznesmeni.

– A komu zależałoby na zabiciu dokładnie tych dwóch grup? – zapytała Juliette. – Kto w taki sposób likwidowałby kapitalistów? Jeśli Zhang Gutai jest za to odpowiedzialny, jeśli zna odpowiedzi, które pozwoliłyby to wszystko powstrzymać, to niepotrzebnie marnujemy czas, sprawdzając inne tropy...

– To wszystko na nic, jeśli on nic nam nie powie.

– Zmusimy go, żeby powiedział – zapewniła Juliette. – Przyłożymy mu cholerny nóż do gardła. Będziemy go torturować, aż odpowie. Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich możliwości...

– On jest komunistą! – Romie coraz trudniej było nie odwracać się do Juliette podczas tej rozmowy. W tej potrzebie kryło się coś instynktownego, tak jak wszystkie zwierzęta kierowały się w stronę źródła głośnego dźwięku. – Był szkolony w dochowywaniu tajemnic i zabieraniu ich ze sobą do grobu. Myślisz, że boi się śmierci?

Co dawało zastraszenie, jeśli nie można było spełnić gróźb? Jeśli chcieli, żeby oddał im potwora, jeśli chcieli poznać sposób na powstrzymanie chaosu wywołanego szaleństwem, to zabicie Zhang Gutaia nie dałoby nic poza zniszczeniem wszystkich szans na ocalenie miasta. Jak mieli przekonująco zagrozić, że go zabiją, jeśli naprawdę nie mogli tego zrobić?

– Skoro on jest jedyną osobą mogącą doprowadzić nas do potwora, nie zamierzam ryzykować utraty takich informacji – ciągnął Roma. – Może uznać, że woli się zabić, niż coś powiedzieć. Nie będę w taki sposób narażał życia Alisy.

Juliette zacisnęła wargi. Roma widział, że jest niezadowolona. Zaprotestowałaby, ale w tym momencie zbliżył się do niej ktoś ze Szkarłatnych, żeby szepnąć jej coś do ucha.

Roma zeszywniał, odwrócił wzrok i nasunął kapelusz głębiej na oczy. W hałasie panującym w wielkiej sali nie dało się usłyszeć, co takiego mówił gangster. Publiczność wiwatowała, kieliszki stukały, miniaturowe fajerwerki wybuchały na scenie. Kątem oka Roma obserwował Szkarłatnego, który podał Juliette dużą beżową teczkę i mniejszy liścik. Skinęła, a gdy się oddalił, przeczytała wiadomość. Z wyraźnym zadowoleniem sięgnęła do teczki

i wyciągnęła z niej papiery. Jeśli Roma prawidłowo odczytywał napis z boku, informował on: POLICJA MUNICIPALNA SZANGHAJU – TECZKA ZATRZYMANEGO – ARCHIBALD WELCH.

– Nadal mamy inne opcje – powiedział Roma, gdy uznał, że mogą bezpiecznie kontynuować rozmowę. – Larkspur może nam powiedzieć dokładnie to, co chcemy wiedzieć. Może mieć lekarstwo, którego potrzebujemy. Jeśli nie, wtedy możemy poddać Zhang Gutaia torturom, żeby dowiedzieć się, jak powstrzymać potwora. Zgoda?

Juliette westchnęła.

– Niech będzie. W takim razie pora, żebym ja się podzieliła zdobytymi informacjami. – Przesunęła teczkę po stole. Teczka prześlizgnęła się szybko po gładkim blacie, a Roma musiał przycisnąć ją dłonią, żeby się zatrzymała.

– Archibald Welch – przeczytał na głos, potwierdzając to, co zobaczył wcześniej. Z czarno-białego zdjęcia policyjnego spoglądał na niego ponury mężczyzna, który wpatrywał się obojętnie w przestrzeń. Jego twarz od brwi do kącika ust szpeciła ogromna blizna. – Kto to taki?

Juliette podniosła się, dając mu znak, że powinni już iść.

– Jedyne kurier, który zna adres Larkspura. Jeśli jego akta policyjne nie kłamią, co czwartek odwiedza najbardziej niebezpieczne miejsce w Szanghaju. Roma uniósł brew.

– Dzisiaj jest czwartek.

– Właśnie.

Pomimo swoich protestów Benedikt już trzecią godzinę siedział na dachu i obserwował znajdujące się naprzeciwko mieszkanie Zhang Gutaia.

Robiło się zimno. Po drodze przypadkiem wdepnął w kałużę, więc tkwił teraz w niewygodnym półprzysiadzie, ponieważ musiał odpocząć, ale nie chciał, żeby wilgotna plama na spodniach się powiększyła.

Marshall zrywał boki z powodu tego, jak absurdalnie wyglądał Benedikt. Benedikt myślał, że przyjaciel nigdy nie przestanie. Ale jednak śmiech okazywał się lepszy od ciszy. Rozbawienie Marshalla nieszczęściem Benedikta było znakiem, że mogą zapomnieć o tym dziwnym momencie w zaułku.

– Hej – odezwał się ostrzegawczo Marshall, wrywając Benedikta z zamyślenia. – Ktoś wchodzi.

Benedikt podszedł na krawędź dachu, żeby dołączyć do Marshalla. Przymrużył oczy.

– Kolejny cudzoziemiec – stwierdził i odchylił się do tyłu z westchnieniem.

Z wybranego miejsca mieli doskonały widok na rozsuwane drzwi dzielące salon Zhang Gutaia od maleńkiego balkonu. Sam balkon był zaledwie tak duży, żeby pomieścić dwie doniczki z kwiatami, ale szklane drzwi były dostatecznie szerokie, żeby Marshall i Benedikt mieli doskonały widok na wchodzących i wychodzących cudzoziemców. Sprawa ta wyglądała bardzo tajemniczo. Zhang Gutaia nie było w domu, a mimo to cudzoziemcy zjawiali się pod jego drzwiami i byli zapraszani do salonu przez mężczyznę w zaawansowanym, niemal starczym wieku: Qi Rena, asystenta Zhang Gutaia, jeśli wierzyć informacjom przekazanych przez Romę. Pili przez kilka minut herbatę, a potem szybko wychodzili. Kamienice w tej części miasta stawiano na tyle blisko siebie, że o ile wiatr nie świszczał zbyt głośno, Benedikt mógł wyteńczyć słuch i pochwycić fragmenty rozmów prowadzonych w salonie.

Angielski Qi Rena nie był najlepszy. Co dwa słowa przeskakiwał na chiński i zaczynał mamrotać, że bołą go plecy. Cudzoziemcy – Amerykanie i Brytyjczycy – próbowali rozmawiać o polityce lub sprawach wewnętrznych Szanghaju, ale ponieważ nie udawało im się porozumieć, trudno było się dziwić, że tak szybko wychodzili.

Dlaczego Zhang Gutai polecił swojemu asystentowi przyjmować takich ludzi? Wydawało się, że wszyscy oni chcą czegoś od partii komunistycznej, zaś Qi Ren brzmiał tak, jakby w ogóle go nie obchodziło, o co może im chodzić. Nie robił notatek ani niczego podobnego, co mógłby przekazać przełożonemu.

Cudzoziemiec, który wszedł wcześniej, wstał właśnie i szykował się do wyjścia, ponieważ Qi Ren zaczął przysypiać w połowie zdania. Biały mężczyzna przewrócił oczami, podszedł do drzwi i zniknął obserwatorom z oczu, zapewne kierując się do krętej klatki schodowej.

– Słyszałeś to? – zapytał Marshall.

Benedikt spojrział na niego. Nie odzywał się przez chwilę.

– Co takiego? – odpowiedział w końcu pytaniem.

– Szczerze mówiąc, Ben, siedzisz tutaj ponury jak grób, a ja w zasadzie sam prowadzę obserwację. – Marshall udawał, że mówi to karcąco. Ruchem podbródka wskazał budynek naprzeciwko. – Ten przedstawił się jako wyznaczony przedstawiciel Koncesji Francuskiej. Popierany przez Szkarłatnych. To terytorium Białych Kwiatów. Załatwimy go?

To nie było poważne pytanie: nie mieli czasu, żeby wszczynać burdy na ulicach. Słowa Marshalla sprawiły jednak, że Benedikt zaczął rozumieć, czego dokładnie byli świadkami przez całe popołudnie.

– Zaczekaj tutaj – powiedział.

– Zaraz, naprawdę chcesz go załatwić?! – zawołał za nim Marshall, otwierając szeroko oczy. – Ben!

– Po prostu zaczekaj! – rzucił Benedikt przez ramię.

Biegł jak najszybciej, w obawie, że zgubi mówiącego po angielsku Francuza. Na szczęście, kiedy wypadł za róg i znalazł się naprzeciwko wejścia do kamienicy, w której mieszkał Zhang Gutai, mężczyzna właśnie wychodził, zajęty zapinaniem guzików kamizelki.

Benedikt chwycił go i zaciągnął w najbliższy zaułek.

– Hej!

– Cicho bądź – warknął Benedikt. – Co robisz na ziemi Białych Kwiatów?

– A niech mnie... – syknął mężczyzna. – Zabieraj ode mnie łapska.

Benedikt zastanowił się przelotnie, czy wchodzący i wychodzący z mieszkania ludzie mogli mieć coś wspólnego z potworem. A jeśli oni wszyscy byli strażnikami monstrum i przekazywali Qi Renowi zaszyfrowane raporty? Niestety, jedno spojrzenie na Francuza wystarczyło, żeby wykluczyć tę ewentualność. Taki bezczelny typ nie potrafiłby uczestniczyć w złożonej intrydze.

Benedikt wyciągnął nóż zza pasa i wycelował w mężczyznę.

– Zadałem ci pytanie.

– Moje interesy z Zhang Gutaiem to nie twoja sprawa – odparł ostro Francuz.

Nie był tak przestraszony, jak powinien. Coś się zmieniło w mieście.

– Znajdujesz się na terytorium Białych Kwiatów. Zhang Gutai ci tu nie pomoże.

Przeciwnik roześmiał się hałaśliwie. Zupełnie jakby nie zauważał noża wycelowanego w jego pierś. Wyprasowany garnitur był dla niego równie skuteczną ochroną jak zbroja.

– Moglibyśmy zająć całe miasto, gdybyśmy tylko zechcieli – syknął. – Moglibyśmy zmusić ten kraj do podpisania kolejnego traktatu i przekazania nam całej tej ziemi. Nie robimy tego tylko dlatego, że...

– Halo! – Na drugim końcu uliczki policjant zagwizdał. – Co się tutaj dzieje?

Benedikt schował nóż. Ruchem podbródka wskazał Francuzowi kierunek.

– Znikaj.

Francuz odchrząknął gniewnie i odmaszerował. Policjant, zadowolony, że incydent nie wymaga jego interwencji, także się oddalił. Benedikt został sam w zaułku, gotując się w środku z wściekłości. Jeszcze kilka miesięcy temu coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Urzędnicy z koncesji, kupcy i cudzoziemcy zrobili się tak bezczelni dopiero teraz, ponieważ gangi osłabły. Szaleństwo zabierało tuzinami ich ludzi, zrywało łańcuchy dostaw i tworzyło dziury w ich strukturach.

Wszyscy oni byli jak sępy – Brytyjczycy, Francuzi i inni nowo przybyli. Krążyli nad miastem w oczekiwaniu na padlinę, którą będą mogli pożerać, aż się nasycą. Rosjanie przybyli do tego kraju i wtopili się w niego, starając się nauczyć tutejszego sposobu myślenia i ulepszyć go. Cudzoziemcy przyplłynęli tutaj i z szerokim uśmiechem przyjęli tutejszą przestępczość. Patrzyli na wykruszające się powoli kawałki układanki i wiedzieli, że wystarczy poczekać, aż szaleństwo zbierze dostatecznie wielkie żniwo, aż napięcie polityczne pomiędzy frakcjami rozerwie to miasto na tyle, żeby dało się je zaatakować. Nie musieli nawet brudzić sobie rąk. Wystarczyło, że zauważą właściwą chwilę.

Benedikt potrząsnął głową i wyszedł z zaułka.

– Dowiedziałeś się czegoś interesującego? – zapytał Marshall.

Benedikt potrząsnął głową. Otrzeptał wilgotne spodnie i znowu przykucnął.

– Widziałeś coś?

– No cóż – zaczął Marshall. – Żadnego potwora. Ale nudząc się śmiertelnie pod twoją nieobecność, coś zauważyłem...

Benedikt wyteńczył wzrok, ale nie dostrzegł niczego zaskakującego.

– O co chodzi?

Marshall cmoknął z dezaprobatą i delikatnie obrócił głowę Benedikta, żeby zmienić kierunek, w jakim patrzył.

– Tam, w lewym dolnym rogu balkonu.

Benedikt syknął.

– Widzisz?

– Tak.

Na wąskim gzymsie widać było szereg bardzo wyraźnych śladów pazurów.

ROZDZIAŁ 29

Ze wszystkich możliwych knajp – stwierdził Roma, przekrzywiając głowę, żeby spojrzeć na popsuty neon na dachu – to ma być miejsce, które lubi odwiedzać nasz człowiek?

Słońce zaszło pół godziny wcześniej, a zasnuła czerwona poświata niebo stało się czarne jak atrament. Rzadka mgła zaczęła osiadać, chociaż Juliette nie była pewna, kiedy to się zaczęło. Po prostu, patrząc na bladoniebieskie litery M NTUA, uświadomiła sobie, że z nieba spadają maleńkie krople wody, a kiedy dotknęła twarzy, poczuła na palcach śliską wilgoć.

– Szczerze mówiąc, spodziewałam się czegoś bardziej rozpustnego – stwierdziła Juliette.

– Ja spodziewałem się jakiejś strzelaniny – przyznał Roma.

Mantua znajdowała się dokładnie na granicy terytorium Szkarłatnego Gangu i Białych Kwiatów. Zakazany owoc, połączenie burdelu z barem, którego goście już na wstępie byli pijani dreszczykiem emocji. Jeden z najniebezpieczniejszych punktów w Szanghaju, który jednocześnie okazał się dla Romy i Juliette paradoksalnie najbezpieczniejszym miejscem, gdzie bez konsekwencji mogli zostać zobaczeni razem. Nigdy nie było wiadomo, czy coś się tu wydarzy: w dowolnym momencie hałaśliwi mężczyźni mogli wstać i zacząć się nawzajem zabijać; kobiety mogły wyciągnąć pistolety i zacząć strzelać; barmani mogli rozbić szklanki i rozpocząć wojnę. Ten przyływ adrenaliny, atmosfera oczekiwania były tym, na co liczyli i czekali goście Mantui. Kto uwierzyłby plotkom biorącym początek z takiego miejsca?

– O ile wiem, w zeszłym tygodniu doszło tu do co najmniej siedmiu bijatyk – stwierdził Roma rzeczowym tonem. Nadal stali na zewnątrz. Nie spieszyło im się, żeby wejść. – Policja municypalna robi nalot na ten lokal niemal co drugi tydzień. Po co Brytyjczyk miałby tutaj tak często przychodzić?

– A po co ktokolwiek tutaj przychodzi? – odparła Juliette. – Widocznie lubi takie emocje.

Juliette z wielkim trudem otworzyła stare, skrzypiące drzwi i weszła do środka. Zaczekała, aż jej oczy przywykną do ciemności ponurego wnętrza. Trudno było to dostrzec, ale niektóre fragmenty pomieszczenia były oświetlone strumieniami tak ostrego światła neonów, że mogłyby niemal uszkodzić siatkówkę oka. Gdyby tylko trochę pogłębić półmrok, Juliette byłaby pewna, że weszła do nielegalnej speluny w Nowym Jorku.

Roma zamknął za sobą drzwi i machnął przed sobą dłonią, żeby rozproszyć gęstą chmurę dymu, która go otoczyła.

– Widzisz go?

Juliette rozejrzała się wśród mrocznych cieni i jasnych plam neonowego światła. Na parkiecie trzech Amerykanów próbowało uczyć prostytutkę charlestona. Przy barze kłębił się tłum. Pijani goście beztrudno rozrzucali pieniądze w różnych walutach po mokrej od trunków podłodze. Kiedy tylko ktoś odchodził od baru, by w objęciach nieznajomej wspiąć się po wąskich schodach, bez wątpienia po to, by dalej grzeszyć, natychmiast ktoś inny zajmował jego miejsce.

Archibald Welch siedział na końcu po lewej stronie, w oddaleniu od pozostałych. Podczas gdy inni dosłownie wisieli nad tapicerowanymi siedzeniami z czerwonego pluszu, Archibald siedział wygodnie. Był bardzo postawnym mężczyzną o rudych włosach i szyi szerszej niż głowa. Blizna przecinająca jego twarz lśniła w niebieskim świetle. Zdjęcie w aktach policyjnych nie oddawało jego gabarytów.

– Hm – stwierdził Roma, kiedy zobaczył ich cel. – Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli szansę go zastraszyć.

Juliette wzruszyła ramionami.

– Tak czy siak możemy spróbować.

Stanowczo przepchnęli się przez tłum i zajęli miejsca na stołkach po obu stronach Archibalda. Nawet nie drgnął. Zignorował ich obecność, chociaż nie ulegało wątpliwości, że przyszli tutaj do niego.

Juliette spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Jak sądzę, mamy przyjemność z panem Archibaldem Welchem? – zapytała słodko. – Czy przyjaciele mówią do pana Archie?

Archibald dopił drinka.

– Nie.

– Doprawdy? – podtrzymała konwersację Juliette. – W takim razie może Baldi?

Roma przewrócił oczami.

– Dobrze, wystarczy tego – uciął. – Wiemy, że robi pan interesy z Larkspurem, panie Welch, i jestem przekonany, że pan również wie, kim my jesteśmy. Dlatego, jeśli nie chce pan, żeby zarówno Szkarłatny Gang, jak i Białe Kwiaty zaczęły deptać panu po piętach, radzę, żeby zaczął pan mówić. Teraz.

Roma zdecydował się na brutalność dla kontrastu ze słodyczą Juliette, ale żadna taktyka nie zadziałała. Archibald w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że przyjął do wiadomości, czy choćby usłyszał groźbę Romy. Po prostu pił dalej.

– Proszę, przecież nawet nie zależy nam na informacjach o panu. – Juliette pozwoliła, żeby w jej głosie pojawiła się błagalna nuta. – Chcemy tylko wiedzieć, gdzie znaleźć Larkspura.

Archibald milczał. W tle ryczała muzyka jazzowa, a wokół kręciły się prostytutki poszukujące kolejnych klientów. Jedna spróbowała nawet do nich podejść, ściskając w delikatnej dłoni wachlarz, ale zawróciła niemal natychmiast, wyczuwając napięcie panujące w tym zakamarku baru.

Juliette bawiła się koralikami na swojej sukience. Już miała ponowić swoją prośbę, kiedy ku jej zaskoczeniu Archibald odstawił szklankę.

– Powiem wam – powiedział.

Jego głos brzmiał jak guma szorująca o żwir. Jak statek uderzający o skaliste wybrzeże, które miało pochłonąć całą jego załogę.

Roma zamrugał.

– Naprawdę?

Juliette podejrzewała, że Roma nie zamierzał mówić tego na głos. Jego reakcja sprawiła, że twarz Archibalda wykrzywił uśmiech. Oczy mężczyzny zniknęły pod ciężkimi powiekami, jak pochłonięte przez ciemne wiry.

To był najbardziej przerażający widok, jaki Juliette widziała w życiu.

– Pewnie – stwierdził Archibald. Skinął na barmana, który natychmiast przerwał to, co robił, żeby zająć się jego zamówieniem. Archibald uniósł trzy palce. – Ale zabawmy się trochę. Jedna odpowiedź za każdą kolejkę, jaką wypijecie.

Roma i Juliette wymienili zdumione spojrzenia. Co to miało znaczyć? Aż tak mu zależało, żeby znaleźć kompana do picia?

– Niech będzie – burknął Roma. Zmierzył spojrzeniem alkohol, który przed nim postawiono. Nie zdołał ukryć obrzydzenia, jakie wywołał w nim ten widok.

Archibald z uśmiechem uniósł szklanekę.

– *Gānbēi*.

– Zdrowie – mruknęła Juliette i stuknęła kieliszkiem o kieliszki Archibalda i Romy.

Alkohol spłynął szybko do jej gardła, rozpalając w nim ogień. Skrzywiła się bardziej z powodu smaku niż piekącego żaru. To było coś wyjątkowo taniego, przeciwko czemu jej język natychmiast się zbuntował.

– Boże, co to jest? – Juliette zakasłała i odstawiła pusty kieliszek.

Roma zrobił to samo, usiłując mimo wszystko zapanować nad wyrazem twarzy.

– Tequila – wyjaśnił Archibald. Skinął na barmana. – Następne pytanie?

– Hej! – zaprotestowała Juliette. – To się nie liczy.

– Jedna kolejka za jedno pytanie, panno Cai. Żadnych wyjątków.

Trzy kieliszki znów stanęły przed nimi. Tym razem było jeszcze gorzej. Juliette miała wrażenie, że pije benzynę, jakiej używają Szkarłatni.

– Zaczniemy od czegoś prostego – powiedział Roma, zanim Juliette zdążyła zmarnować kolejne pytanie. – Kim jest Larkspur?

Archibald wzruszył ramionami, udając skruchę.

– Nie znam jego nazwiska i nie widziałem jego twarzy.

Mieli wrażenie, że kłamię. Jednocześnie jednak Juliette nie przypuszczała, żeby ten człowiek miał jakiegokolwiek powody, by chronić Larkspura. Nie musiał przecież zaczynać tej rozmowy, jeśli nie zamierzał niczego powiedzieć.

Juliette oparła się pokusie zmiżdżenia kieliszka w palcach.

– Ale miał pan z nim do czynienia? To prawdziwy człowiek działający pod prawdziwym adresem?

Archibald mruknął z namysłem.

– Wydaje mi się, że to są aż dwa pytania.

Sześć kieliszków. Juliette wypita swoje bez większego problemu, gotowa na tę rundę. Roma musiał stłumić kaszel.

– Oczywiście, że jest prawdziwy – odparł Archibald. – Kto was na mnie nasłał? Walter Dexter?

Przez czystą złośliwość powinna go zmusić do wypicia kolejki w zamian za odpowiedź na to pytanie, ale najprawdopodobniej i tak nic by to nie dało. Alkohol chyba w ogóle na niego nie działał.

– Tak jakby.

Archibald skinął głową, usatysfakcjonowany odpowiedzią.

– Dostarczam przesyłki bezpośrednio do Larkspura. Czy to waszym zdaniem znaczy, że mam z nim do czynienia? – Obrócił kieliszek do góry nogami, żeby wylać ostatnie krople. – Zabieram je z magazynu Dextera i zanoszę zawsze na najwyższe piętro herbaciarni Long Fa w Chenghuangmiao. Tam właśnie Larkspur produkuje szczepionki.

Juliette ze świstem wypuściła oddech. To było to. Mieli adres, którego szukali. Mogli porozmawiać bezpośrednio z Larkspurem.

Oby to coś dało, bo nie miała pojęcia, co jeszcze mogliby zrobić, żeby ocalić miasto.

– To wszystko na dzisiaj? – zapytał Archibald. W jego głosie kryła się drwina. Nie spodziewał się, że to wystarczy. Patrzył na Juliette, jakby czytał jej w myślach, jakby widział trybiki obracające się szybko pod jej czaszką.

– Tak. – Roma podwinął już rękawy, szykując się do wyjścia.

Juliette potrząsnęła jednak głową.

– Nie. – Tym razem to ona skinęła na barmana. Roma wybałuszył oczy. Próbował przekazać jej coś bezgłośnie, z wyraźnym przerażeniem, ale go zignorowała. – Mam jeszcze pytania.

– Juliette! – syknął Roma.

Pojawiły się kieliszki. Archibald roześmiał się gardłowym i ciężkim śmiechem, który pochodził z żołądka i cuchnął bagiennym oparem. Z rozbawieniem uderzył dłonią o blat.

– Proszę wypić, panie Montagow.

Roma spojrzął z wściekłością na kieliszek i wypił zawartość.

– Czy ta szczepionka jest prawdziwa? – zapytała Juliette, kiedy żar w jej gardle osłabł trochę. – Na pewno pan wie, skoro jest pan kurierem. Na pewno widział pan więcej niż przypadkowy kupiec.

To sprawiło, że Archibald się zastanowił. Przeplukał usta alkoholem i myślał przez dłuższą chwilę. Być może rozważał, czy powinien zachować milczenie w tej sprawie. Ale obietnica była obietnicą, a Juliette i Roma już zapłacili za tę informację.

– Szczepionka jest prawdziwa... i nie jest – odparł Archibald, ostrożnie dobierając słowa. – Jeden z jej rodzajów Larkspur wytwarza w swoim laboratorium z dostarczanych przeze mnie opiatów. Drugi rodzaj to po prostu zabarwiona sól fizjologiczna.

Roma zamrugał.

– Jak to?

Jeśli szaleństwo nie zostanie powstrzymane, w pewnym momencie opanuje wszystkie zakątki Szanghaju. Dzięki dwóm rodzajom szczepionki, z których tylko jeden był skuteczny, Larkspur mógł wybierać, kto zyska odporność, a kto nie.

Juliette miała wrażenie, że ta informacja uderzyła ją fizycznym ciężarem w sam środek piersi.

– Czyli Larkspur wybiera, kto ma żyć, a kto umrze – oznajmiła poruszona.

Archibald wzruszył ramionami, ani nie potwierdzając jej słów, ani im nie przecząc.

– Ale jak to? – dopytywała Juliette. – Skąd on w ogóle ma prawdziwą szczepionkę?

Archibald machnął na barmana. Juliette wypła następną kieliszek i z furią odstawiała go na blat. Roma tym razem był najwolniejszy. Krzywiąc się okropnie, otarł usta.

– Zaczynasz przeceniać moją wiedzę, panienko – odparł Archibald. – Ale coś wam powiem. Kiedy zaniósłem pierwszą dostawę, obserwowałem, jak Larkspur korzysta przy pracy z małej, oprawionej w skórę książeczki. Co chwila do niej zaglądał, jakby nie znał się na składnikach, które mu podrzuciłem. – Ironiczny błysk w oku Archibalda lekko przygasł. – Chcecie wiedzieć coś o prawdziwej szczepionce? Larkspur korzystał przy pracy z książeczki oprawionej w grubą skórę, jaką można znaleźć tylko w Brytanii. Rozumiecie, co to znaczy?

Roma i Juliette wymienili spojrzenia.

– Że jest Brytyjczykiem? – zapytała Juliette.

– Że preferuje tradycyjnie wytwarzane notesy? – dodał Roma.

Archibald popatrzył na nich oboje, jakby brakowało im piątej klepki.

– Powiedzcie mi, gdyby kupiec z Brytanii postanowił popłynąć do Szanghaju na wieść o wybuchu szaleństwa, to gdzie byłby teraz?

Juliette zmarszczyła brwi.

– To zależy, jak szybki byłby statek...

– Nawet najszybszy statek nie wyjaśnia tak krótkiego czasu pomiędzy wybuchem szaleństwa a plotkami o szczepionce Larkspura – przerwał jej Archibald. – A mimo to jego książka pochodzi z Brytanii. Co oznacza, że znał przepis na szczepionkę, zanim pojawiło się szaleństwo.

Archibald drgnął nerwowo. Przez jedną przerażającą chwilę Juliette pomyślała gorączkowo, że został postrzelony, ale on tylko pochylił się do przodu i znowu dał znak barmanowi.

– Sądzę, że ta odpowiedź zasługuje na jeszcze kilka kieliszków. Była dobra, nie uważacie?

Juliette czuła, że kręci jej się w głowie. Nie była pewna, czy to z powodu informacji, czy alkoholu.

– Ta książeczka – powiedziała do Romy. – Muszę ją zdobyć...

– O, nie zwracałbym sobie tym głowy – wtrącił Archibald. – Nigdy więcej jej nie widziałem. Widziałem natomiast wypalone ślady na podłodze. Spalił ją. Czy naprawdę myślicie, że kiedy już opanował i zapamiętał procedurę, zamierzał ryzykować, że ktoś mu ją wykradnie?

Dobre pytanie. Juliette zacisnęła wargi, ale Archibald uśmiechnął się tylko szeroko i podsunął jej dwa kieliszki. Juliette wypła jeden bez namysłu. Ostatecznie to było pożegnanie. Mieli to, po co tutaj przyszli.

– Juliette Cai. – Archibald podał jej drugi kieliszek. – Picie z panią to prawdziwa przyjemność. Pan Montagow musi jeszcze nad tym popracować.

– Bezcelność – mruknął Roma.

Powoli, żeby mieć pewność, że dłoń jej nie zadrży, Juliette wzięła drugi kieliszek i uniosła go w górę. Roma zrobił to samo i zaraz potem ostatnia porcja trucizny spłynęła do ich żołądków, wywołując chaos. Archibald, nie tracąc więcej czasu, wstał, kiedy tylko wypła swoją kolejkę, i przyjacielskim gestem położył ciężkie dłonie na lewym ramieniu Juliette i na prawym ramieniu Romy.

– Cała przyjemność po mojej stronie, dzieci. Ale zegar wybił już jedenastą, a moje źródła mówią mi, że czas na mnie.

Oddalił się szybkim krokiem, zniknął w pulsującym tłumie i rozpląnął w migotaniu neonów. Prawdziwy katalizator chaosu. Juliette ledwie go znała, a mimo to podziwiała go.

Zacisnęła na moment oczy i potrząsnęła głową, żeby trochę oprzytomnieć. Nic jej nie będzie. Poradzi sobie z tym.

– Roma? – zagadnęła.

Roma przechylił się na bok i przewrócił na podłogę.

– Roma!

Juliette poderwała się z miejsca i przyklękła przy nim. Była na tyle zamroczona, że widziała podwójnie, ale nie na tyle, żeby się zataczać. Uderzyła go lekko w policzek.

– Zostaw mnie tutaj – jęknął w odpowiedzi.

– Jakim cudem jesteś w takim stanie? – zapytała Juliette z niedowierzaniem. – Myślałam, że jesteś Rosjaninem.

– Jestem Rosjaninem, nie alkoholikiem – wymamrotał Roma. Zacisnął powieki, a potem otworzył szeroko oczy i zamrugał, wpatrując się z oszołomieniem w sufit. – Dlaczego leżę na podłodze?

– Wychodzimy – poleciała Juliette.

Pociągnęła go za ramię, próbując podnieść. Roma dźwignął się z jękiem. Udało mu się usiąść. Juliette znowu go pociągnęła i w końcu stanął, chociaż nadal chwiejnie.

– Wychodzimy? – powtórzył Roma.

Nagle wnętrze wypełniły dźwięki syren i przenikliwy jazgot zagłuszający ryczący jazz. Rozległy się wrzaski, a w następnej chwili ludzie rzucili się biegiem we wszystkich kierunkach, powodując takie zamieszanie, że Juliette nie była już pewna, gdzie jest wyjście. Na zewnątrz ktoś przez megafon domagał się, żeby wszyscy klienci Mantui wyszli z rękami uniesionymi do góry. Niektórzy goście odbezpieczali pistolety.

– Nie, jednak nie – poprawiła się Juliette. – Chyba że chcemy zostać zastrzeleni przez policję municypalną. Na górę. Chodź ze mną.

Złapała Romę za rękaw i pociągnęła do wąskich schodów, które zauważyła wcześniej w rogu sali. Podczas gdy goście Mantui pospiesznie przepychali się i potykali w drodze do wyjścia, ubrane na kolorowo dziewczęta kierowały się do schodów i zniknęły na górze.

– Ostrożnie – ostrzegła Juliette, gdy Roma potknął się na pierwszym stopniu.

Kiedy znaleźli się na górze, oboje byli zadyszani i starali się stać prosto, mimo że świat wokół nich wirował. Korytarz na piętrze wydawał się tak wąski, że Juliette nie mogłaby swobodnie rozłożyć rąk na boki. Podłoga została wyłożona nieprawdopodobnie puchatym pluszowym dywanem, w który obcasy jej butów zapadały się do połowy. Nie było tutaj neonów, które na parterze rzucały poświatę na ściany. Jedyne oświetlenie stanowiły nieliczne żarówki na suficie, pozwalające zobaczyć zaledwie, dokąd się szło, i rzucające długie, tańczące cienie na oblażoną tapetę.

Juliette otworzyła pierwsze drzwi. Usłyszeli dwa głośne okrzyki zaskoczenia, gdy do miniaturowego pokoiku wpadło światło. Juliette przymrużyła oczy i zobaczyła mężczyznę z opuszczonymi spodniami.

– Wynocha stąd – poleciała.

– To mój pokój! – zaprotestowała kobieta na łóżku.

Pod ich stopami rozległ się łoskot, a potem odgłos strażaków.

– Przepraszam, powinnam była inaczej to ująć – powiedziała Juliette. Coraz trudniej było jej zachować powagę. Byle drobiazg sprawiał, że musiała tłumić wybuch śmiechu. – Wynocha. Stąd.

Mężczyzna rozpoznał ją pierwszy. Zapewne należał do członków Szkarłatnego Gangu, sądząc po prędkości, z jaką podciągnął spodnie i wypadł z pokoju, pozdrawiając Juliette skinieniem głowy. Kobieta poruszała się zdecydowanie wolniej, niechętnie podniosła się z ogromnego łóżka. Nad nim znajdowało się pojedyncze okno, ale za małe, żeby zdołał się przez nie precyzyjnie przycisnąć choćby kot, nie wspominając o człowieku.

– Ruszaj się szybciej – warknęła Juliette. Słyszała dudniące kroki na schodach.

Kobieta przycisnęła się obok niej i wyszła, rzucając jej gniewne spojrzenie. Juliette wciągnęła Romę do pustego pokoju i zatrzasnęła za nimi drzwi.

– Chyba się jej nie spodobałaś – zauważył Roma.

– Nie dbam o to, komu się podobam – odparła Juliette. – Włóż pod kołdrę.

Roma wzdrygnął się gwałtownie. Na piętrze zaczęły się rozlegać krzyki.

– Muszę? Wiesz, co ludzie tutaj robią...

– No już! – syknęła Juliette. Sięgnęła w zakamarki sukienki i wymacała saszetkę z pieniędzmi, z której wyciągnęła stosowną kwotę. To zadanie okazało się trudne, ponieważ w tym momencie nie była w stanie rozpoznawać cyfr.

– Dobrze, dobrze – powiedział Roma. Kiedy tylko zwałił się na łóżko i naciągnął na siebie kołdrę, rozległo się ogłuszające walenie do drzwi.

Juliette była na to przygotowana.

Uchyliła drzwi tak, żeby policjant nie mógł wepchnąć się do pokoju, ale miał okazję dobrze przyjrzeć się jej twarzy i amerykańskiej sukience.

Zazwyczaj to wystarczało, żeby dodać dwa do dwóch, więc czekała; musiała wstrzymać się na tę milisekundę potrzebną, żeby dobrze zorientował się w sytuacji.

Tak też się stało.

– Ten pokój jest pusty – powiedziała, jakby hipnotyzowała policjanta. Był Chińczykiem, a nie Brytyjczykiem, co dla Juliette okazało się szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ było bardziej prawdopodobne, że będzie się bał Szkarłatnego Gangu. Juliette przekazała mu pieniądze, a policjant skłonił głowę, ukazując herb Osiedla Międzynarodowego na ciemnoniebieskiej czapce z daszkiem.

– Naturalnie – powiedział.

Wziął pieniądze i oddalił się, oznaczając pokój jako przeszukany. Juliette zamknęła drzwi i oparła się o nie, czując, jak mocno bije jej serce.

– Już jest bezpiecznie? – zapytał Roma głosem stłumionym przez kołdrę.

Juliette westchnęła, podeszła do niego i zerwała z niego przykrycie. Roma zamrugał z zaskoczenia. Miał szeroko otwarte oczy, a włosy sterczały mu na wszystkie strony.

Juliette roześmiała się.

Rozbawienie zaperliło się ciepłem w jej brzuchu i rozprzestrzeniło po jej piersi, aż opadła na łóżko, obejmując się ramionami. Nie wiedziała, co ją tak rozśmieszyło. Nie wiedział tego także Roma. Usiadł na łóżku.

– To... twoja... wina... – zdołała wykrztusić Juliette, podnosząc się.

– Moja wina? – powtórzył Roma z niedowierzaniem.

– Tak – odparła zduszonym głosem Juliette. – Gdybyś miał mocniejszą głowę, moglibyśmy wyjść wtedy, kiedy zrobił to Archibald Welch.

– Daj spokój – stwierdził Roma. – Gdybym ja się nie przewrócił, ty byś to zrobiła.

– Nieprawda.

– Tak? – zapytał wyzywająco Roma.

Szturchnął ją mocno ramieniem, aż Juliette znów poleciała do tyłu na łóżko. W głowie jej wirowało.

– Ty...

Zaatakowała go oburącz, chociaż sama nie wiedziała, co zamierza mu zrobić. Może udusić albo wydlubać oczy, a może wyciągnąć pistolet z jego kieszeni. Jednak Roma, nawet pijany, był szybszy. Chwycił ją za nadgarstki i popchnął, aż znowu leżała na plecach, a on, zadowolony z siebie, pochylał się nad nią.

– Coś mówiłaś? – zapytał Roma.

Nie ruszył się, chociaż postawił już na swoim. Przytrzymał jej nadgarstki nad głową, jego ciało pochylało się nad jej ciałem, jego oczy były dziwne, ciemne i pełne żaru.

Coś się zmieniło w wyrazie twarzy Romy. Juliette odetchnęła płytko i gwałtownie. To mogło pozostać niezauważone, gdyby Roma nie znajdował się tak blisko. Zauważył.

Zawsze zauważał.

– Dlaczego się skuliłaś? – zapytał. Zniżył głos do porozumiewawczego, bezlitosnego szeptu. – Boisz się mnie?

Płomienna furia wypełniła zlodowaciałe żyły Juliette. Tak bezczelne pytanie otrzeźwiło wszystkie jej stępione przez alkohol zmysły, wrywając ją z otumanienia.

– Nigdy się ciebie nie bałam!

Jedno zręczne pchnięcie wystarczyło, żeby zamienili się miejscami. Pełna goryczy, nienawiści i poczucia krzywdy Juliette zahaczyła nogami o jego nogi i skręciła biodra, tak że po chwili to Roma leżał na plecach, a ona pochylała się nad nim, klęcząc. Spróbowała unieruchomić jego ręce, tak jak on zrobił z nią, ale bez przekonania, ponieważ zakręciło jej się w głowie. Roma tylko popatrzył na nią z irytacją i odparł atak.

Usiadł szybko, wrywając się z jej uchwytu, ale nie zrobił niczego więcej. Pozostali na swoich miejscach – zbyt blisko, zbyt intymnie. Siedziała mu okrakiem na kolanach. Dzieliły ich dosłownie centymetry.

Położył dłoń na kostce jej nogi. Juliette musnęła jego szyję.

– Być może nie boisz się mnie... – powiedział Roma ledwie słyszalnym głosem. – Ale... – Jego dłoń przesunęła się wyżej, po łydce, kolanie, udzie. Dłoń Juliette wcisnęła się głębiej, aż ścisnęła ciało pod gładkim kołnierzykiem jego białej koszuli – ...zawsze bałaś się słabości.

Juliette błyskawicznie podniosła wzrok. Ich spojrzenia spotkały się, mętne, pijane, czujne i wyzywające jednocześnie, w pewien sposób zdradzające więcej niż zwykle i bardziej przenikliwe niż kiedykolwiek.

– Czy to jest słabość? – zapytała.

Nie wiedziała, które z nich oddycha ciężiej: ona czy Roma. Dzieliło ich jedno westchnienie, nawzajem prowokowali się do pierwszego gestu, do poddania się temu. Żadne z nich nie chciało przyznać, że tego pragnie. Żadne z nich nie chciało przyznać, że to już się wydarzyło, że to po prostu powtórka z przeszłości.

Ulegli jednocześnie.

Pocałunek Romy był dokładnie taki, jak go zapamiętała. Wypełniał ją taką adrenaliną i energią, jakby za chwilę miała eksplodować. Sprawiał, że czuła się zbyt ulotna dla własnego ciała, jakby mogła wyrwać się z własnej skóry.

To, co pili z Archibaldem, było paskudne w smaku, ale pozostałości na języku Romy wydawały się całkiem słodkie. Jego zęby musnęły jej dolną wargę, a Juliette wygięła się, przesuwając dłońmi po jego ramionach, po twardych mięśniach pod jego koszulą i po jego płonącej żarem nagiej skórze.

Krew szumiała ogłuszająco w jej uszach. Juliette poczuła, że wargi Romy przesuwają się z jej ust na szczękę i obojczyk, rozpalając przy każdym dotknięciu. Nie była w stanie myśleć ani mówić – w głowie jej wirowało i świat wokół niej wirował, a ona pragnęła tylko, żeby wszystko nadal wirowało bez końca. Chciała skrócić z obranego kursu. Chciała na zawsze wyrwać się spod kontroli.

Cztery lata temu byli niewinni, młodzi i dobrzy. Ich miłość była czymś słodkim, wymagającym troski i prostszym niż życie jako takie. Teraz zachowywali się jak potwory, przywarli do siebie z całą mocą. Oboje pachnieli tym samym odurzającym zapachem, co burdel, w którym się ukrywali; byli pijani czymś więcej niż tylko tanią tequilą. Każdym ich ruchem kierowały głód i pożądanie. Juliette szarpnęła za guziki jego koszuli. Dotknęła blizn po starych ranach na plecach Romy.

– Zawrzyjmy rozejm – mruknęła tuż przy jego wargach. Powinni przestać. Nie mogła jednak. – Zadręczasz mnie.

– Nie toczy my ze sobą wojny – odparł cicho Roma. – Dlaczego mielibyśmy potrzebować rozejmu?

Juliette potrząsnęła głową. Zamknęła oczy i pozwoliła, żeby ciepło jego dotyku rozeszło się po całym jej ciele.

– Nie?

A jednak.

Ta myśl była dla Juliette jak kubeł lodowatej wody, przenikającej ją zimnem aż do kości. Wtuliła twarz w zagłębienie na szyi Romy, zmuszając się, żeby się nie rozkleić, nie zacząć płakać. Roma wyczuł tę zmianę, zanim jeszcze Juliette ją sobie uświadomiła, i otoczył ją ramionami.

– Co robisz, Romo Montagow? – wyszeptała ochryple Juliette. – Co ty ze mną robisz?

Czy nie wystarczyło mu, że raz zabawił się jej uczuciami? Już raz złamał jej serce, rozdarł ją na kawałki i porzucił.

Roma nie odpowiedział. Juliette nie potrafiła odgadnąć jego myśli, nawet wtedy, gdy podniosła głowę i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

Nagle szarpnęła się do tyłu i wstała pospiesznie. Dopiero wtedy Roma zareagował. Wyciągnął rękę, by chwycić ją za nadgarstek.

– Juliette – wyszeptał.

– Co takiego? – syknęła. – Co takiego, Roma? Powiedz, co niby mogłoby być teraz między nami, skoro cztery lata temu boleśnie jasno dałeś mi do zrozumienia, wobec kogo jesteś lojalny? Czy powinnam przytrzymać cię na muszce, dopóki nie przyznasz, że znowu bawisz się moimi uczuciami...

– Nie robię tego.

Juliette sięgnęła w fałdy sukienki i wyciągnęła pistolet. Odbezpieczyła go i przysunęła lufę do miękkiego zagłębienia na jego szyi, którego jeszcze przed chwilą dotykały jej usta. Roma uniósł podbródek tak, że pistolet wsunął się głębiej, aż lufa przywarła do jego skóry jak pocałunek.

– Nie potrafię zrozumieć – szepnęła Juliette. – Zniszczyłeś mnie, a teraz mnie całujesz. Dałeś mi powód, żebym cię nienawidziła, a teraz dajesz mi powód, żebym cię pragnęła. Co jest kłamstwem, a co prawdą? To podstęp czy naprawdę coś do mnie czujesz?

Jego puls uderzał tak szybko i mocno, że Juliette czuła to z daleka, stojąc nad nim i trzymając dłoń przy jego szyi. Blask księżycy wpadł łukiem przez okienko i oświetlił ciało Romy. Jego nagie ramiona nawet nie drgnęły, by powstrzymać Juliette, która groziła mu śmiercią.

Mogła pociągnąć za spust. Mogła oszczędzić sobie tej agonii nadziei.

– Nigdy nie ma czegoś tak prostego jak jedna prawda – odparł ochryple Roma. – Nigdy.

– To nie jest odpowiedź.

– To wszystko, co mogę ci powiedzieć. – Podniósł dłoń i powoli zacisnął palce na lufie. – I tylko tyle byłabyś w stanie usłyszeć. Mówisz do mnie, jakbym był tym samym człowiekiem, który zdradził cię cztery lata temu, ale ja nim nie jestem. Ty także nie jesteś tą samą Juliette, którą wtedy kochałem.

To Juliette trzymała pistolet, ale poczuła się, jakby to ona została postrzelona. W Mantui panowała teraz cisza, nalot się zakończył. Policja opuściła lokal. Na dole poruszał się tylko blask neonu na dachu budynku, falujący na powierzchni płytkich kałuż.

– Dlaczego? – wykrztusiła. To było pytanie, które powinna zadać cztery lata temu. Pytanie, które ciążyło jej przez te wszystkie lata. – Dlaczego zorganizowałeś ten atak na moich ludzi?

Powieki Romy zadrżały i zamknęły się. Zupełnie jakby czekał na kulę z pistoletu.

– Ponieważ nie miałem wyboru – wyszeptał.

Juliette odsunęła pistolet. Wybiegła, zanim Roma zdążył powiedzieć coś więcej.

ROZDZIAŁ 30

Juliette zanurzyła dłonie w żyznej ziemi. Dociskała i ugniatała grudy ściółki.

Od świtu pracowała przy rabatach w ogrodzie. Miała nadzieję, że na świeżym powietrzu, wśród przyrody, uda jej się pokonać pulsujący ból głowy.

Jeśli sędzić po grymasie na jej twarzy, najwyraźniej jednak to nie zadziałało. W dzieciństwie, gdy była w złym humorze i starała się rozładować agresję bez sięgania po pistolet, zawsze pracowała w ogrodzie, całymi garściami zbierając z ziemi opadłe płatki kwiatów. Wśród Szkarłatnych krążyły o tym legendy: jeśli odezwiesz się do Juliette, kiedy trzyma w ręku roślinę, musisz być przygotowany na najgorsze konsekwencje.

Nikt nie zajmował się ogrodem, odkąd Ali wykrwawiła się w nim na śmierć.

Juliette odetchnęła głęboko. Wsadziła małego fioletowego hiacynta prosto do wykopanej dziury. Zanim kwiat zdążył się przekrzywić, Juliette zasypała dziurę ziemią.

Żałowała, że siebie samej nie może wypełnić w podobny sposób. Chciałaby wypełnić pustkę w swoim sercu garściami żyznej ziemi, żeby coś dobrego mogło zapuścić korzenie i rozkwitnąć. Może wtedy pozbyłaby się z głowy głosu Romy, pochłaniającego wszystkie jej myśli.

Na kolanach miała mnóstwo drobnych, zabliznionych skaleczeń. Jakieś pół kilometra od Mantui przewróciła się i klęczała tak dłuższą chwilę, z dłońmi opartymi na żwirze, w sukience przesiąkniętej błotem i deszczem. Rany piekły ją przez całą drogę do domu, ale potrzebowała tego bólu. Chłód ziemi, poranne słońce rzucające smugę złotego światła na jej twarz, krucha ostrość kamyczków i gałązek kłujących jej skórę – wszystko to przypominało jej, że nie oderwała się całkowicie od świata i nie unosiła się swobodnie w chmurach.

„To wszystko, co mogę ci powiedzieć”.

Nic z tego nie miało sensu. Jeśli Roma Montagow nie czuł do niej nienawiści przez te wszystkie lata, to dlaczego kłamał? Jeśli naprawdę jej nienawdził, to dlaczego mówił teraz takie rzeczy – dlaczego udawał z takim bólem w głosie – że jego zdrada zraniła go tak samo głęboko, jak ją?

„Ponieważ nie miałem wyboru”.

Juliette nieoczekiwanie wrzasnęła i uderzyła pięściami o ziemię. Dwie pracujące w pobliżu służące podskoczyły i uciekły, ale Juliette nie zwróciła na nie uwagi. Na litość boską, przecież zrobiła to już cztery lata temu. Dawno temu nakreśliła w swojej głowie dwie kolumny: czyny Romy i słowa Romy. Kompletnie nie potrafiła połączyć ich ze sobą, nie potrafiła pojąć dlaczego – dlaczego?! – on miałby ją zdradzić, skoro mówił, że ją kocha. Teraz znowu nie umiała zrozumieć, dlaczego wyciągał do niej ręce, do obiektu nienawiści, którą – wedle własnych słów – wciąż odczuwał. Nie umiała zrozumieć smutku w jego oczach, kiedy mówił, że widzi nową, zimną Juliette i ten widok jest dla niego nie do zniesienia.

„Nigdy nie ma czegoś tak prostego jak jedna prawda. Nigdy”.

Juliette chwyciła leżący obok szpadel, czując wściekłość narastającą w niej w pełnym furii crescendo. Sadzenie kwiatów było zabawą dla dzieci. Wstała chwiejnie i uniosła łopatę nad głowę, żeby uderzyć jej kantem w rabaty, które od kilku godzin dopieszczała. Raz za razem blacha zagłębiała się w zieleni, aż wszystkie kwiaty zostały poszarpane, a ich płatki leżały jak śmieci na czarnej ziemi. Ktoś wołał ją z daleka po imieniu, ale samo to wezwanie rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. Odwróciła się i wybrała nowy cel: smukłe drzewo, dwa razy wyższe od niej.

Juliette podeszła do pnia. Podniosła szpadel i zaczęła uderzać, uderzać, uderzać...

– Juliette!

Zatrzymała się w pół ruchu. Gdy się odwróciła, zobaczyła delikatną i zadbaną dłoń Rosalind, z całej siły zaciskającą się na trzonku narzędzia, aby powstrzymać je przed pozostawieniem kolejnej szczyrby na drzewie.

– Co się z tobą dzieje?! – syknęła Rosalind. – Dlaczego zachowujesz się, jakbyś straciła rozum?

– Zostaw mnie w spokoju! – odparła ostro Juliette.

Wyrwała szpadel z dłoni kuzynki i weszła do domu, pozostawiając za sobą w holu ślady ziemi. Nie obchodził jej bałagan, który zrobiła, idąc do sypialni. Wybrała najbardziej nijaki, za duży płaszcz i naciągnęła go tak, żeby ukryć swoją sukienkę i twarz, wszystko, co zdradzało jej status. Z przyzwyczajenia nasunęła kaptur tak, żeby zasłonić również włosy, choć nie było to konieczne: nie ułożyła ich tego dnia w charakterystyczne fale. Miękkie czarne kosmyki opadały swobodnie na jej szyję. Juliette dotknęła pasma włosów nad uchem i pociągnęła za nie, jakby chciała sprawdzić, czy są prawdziwe.

Wymaszerowała z domu, patrząc prosto przed siebie, i tylko raz rozejrzała się wokoło. Czy nadal była śledzona? Nie obchodziło jej to. Nie w momencie, kiedy jej serce biło mocno i domagało się walki. Nie w momencie, kiedy nie była w stanie rozluźnić pięści zaciskających się w desperackiej próbie ukrycia drżenia palców.

Juliette zawsze szczyliła się tym, że zna swoje priorytety. Wiedziała, jak rozpoznać to, co ważne, tak jak podróżnicy wiedzieli, jak rozpoznać Gwiazdę Polarną. Jej miasto, jej gang, jej rodzina. Jej rodzina, jej gang, jej miasto.

Ale czy podróżnik zdołałby znaleźć Gwiazdę Polarną, kiedy cały świat stanął na głowie?

Krok za krokiem Juliette szła przed siebie. Minęła Bund, lawirując wśród samochodów, które wpychały się na miejsca parkingowe i wyjeżdżały z nich, żeby włączyć się płynnie w ruch na równo utwardzonych ulicach.

Zastanawiała się, czy nie powinna może przestać maszerować do przodu i skręcić zamiast tego w bok, na pomosty nad rzeką. Mogłaby po prostu iść przed siebie i wpaść prosto do wody, stać się kolejną zagubioną skrzynią z towarem, kolejnym znakiem minusa w inwentarzach, kolejną pozycją w statystykach utraconych przychodów.

Juliette minęła Osiedle Międzynarodowe i w końcu znalazła się na terytorium Białych Kwiatów.

Naciągnęła głębiej kaptur. Nie musiała tego robić – było jej znacznie łatwiej wtopić się w tłum na ulicach, którymi władała rodzina Montagowów, niż Romie przekraść się na jej terytorium. Bez wstażki w barwach Szkarłatnych owiniętej wokół nadgarstka lub wpiętej we włosy, bez czegokolwiek, co zwykle ją wyróżniało, z punktu widzenia patrolujących teren Białych Kwiatów była po prostu kolejną Chinką mieszkającą gdzieś w pobliżu.

– Hej!

Juliette skrzywiła się i pochyliła głowę, zanim osoba, którą niechcący potrafiła, zdążyła przyjrzeć się jej twarzy.

– Przepraszam! – zawołała w odpowiedzi. Wydawało jej się, że dostrzegła blond czuprynę i parę wpatrujących się w nią z ciekawością oczu.

– Zdarzyło się coś przedziwnego – oznajmił Benedikt.

Usiadł na wolnym miejscu, odwinął szalik i odłożył go na mały stolik w rogu. Marshall skinął głową i machnął ręką, dając znać, żeby mówił dalej, ale Roma zachowywał się, jakby w ogóle nie usłyszał swojego kuzyna. Wpatrywał się pustym wzrokiem w przeciwległą ścianę restauracji i – ku zaniepokojeniu Benedikta – wyglądał, jakby nie spał od wielu dni. Od kiedy Alisa została zakażona szaleństwem, znużenie na twarzy Romy pogłębiało się stopniowo, ale teraz w wyrazie jego twarzy było coś jeszcze. Tak jakby nie tylko jego ciało zbliżało się do kresu wytrzymałości, lecz także jego umysł przekroczył granicę, za którą nie miał już szans samoistnie powrócić do równowagi, i tkwił teraz w stuporze, czekając na coś, co przywróci mu trzeźwość myślenia.

Benedikt zastanawiał się, czy jego kuzyn w ogóle wrócił tej nocy do domu, biorąc pod uwagę, że miał na sobie tę samą pomiętą białą koszulę co poprzedniego dnia. Zastanawiał się, czy powinien zapytać, co się dzieje, czy lepiej udawać, że wszystko w porządku, i traktować kuzyna tak jak zwykle.

Obawiał się odpowiedzi, jaką mógłby usłyszeć w pierwszym wariacie, więc wybrał ten drugi.

– Wydaje mi się, że właśnie widziałem Juliette Cai.

Roma podskoczył raptownie i uderzył kolanami w blat stołu z takim impetem, że talerzyk Marshallaomal nie spadł na podłogę.

– Ej, uważaj! – skarcił go Marshall i osłonił dłonią swój kawałek miodownika. – To, że jeszcze nie przynieśli ci jedzenia, nie znaczy, że możesz marnować cudze.

Roma go zignorował.

– Jak to? – zapytał ponagląco. – Jesteś pewien, że to była ona?

– Uspokój się – odpowiedział Benedikt. – Była zajęta swoimi sprawami...

Roma już poderwał się z krzesła. Zanim Benedikt w ogóle zdążył się zorientować, co się dzieje, Roma zniknął za drzwiami restauracji.

– Co tu się... wydarzyło? – zapytał oszołomiony Benedikt.

Marshall wrzucił ramionami. Wsadził do ust widelczyk pełen ciasta.

– Chcesz kawałek?

Tymczasem Juliette zapuściła się daleko w głąb terytorium Białych Kwiatów, kierując się tylko wspomnieniami, cofając się i wracając po własnych śladach trasą, którą – jak jej się wydawało – pamiętała. Wreszcie ulice zaczęły przypominać te, których obraz miała w głowie. W końcu znalazła pewien bardzo dobrze znany jej zaułek i skręciła w niego, pochylając głowę, żeby przejść pod praniem suszącym się na nisko rozwieszonych sznurkach. Zmarszczyła nos z powodu zapachu wilgoci w powietrzu.

– Obrzydliwość – wymamrotała, ocierając kropelki wody, które spadły jej na kark. Kiedy się zatrzymała, żeby je strzepnąć, zobaczyła wysokiego, potężnego mężczyznę wchodzącego w uliczkę od drugiej strony.

Wszystkie mięśnie w jej ramionach napięły się. Juliette pospieszenie zmusiła się, żeby ruszyć dalej przed siebie niewzbudzającym podejrzeń krokiem. Gdyby teraz odwróciła się i uciekła, natychmiast potwierdziłaby przypuszczenia przeciwnika i zdradziła się jako intruz na terytorium wroga.

Na szczęście Dimitrij Woronin najwyraźniej nie rozpoznał jej, kiedy się mijali. Mamrotał coś pod nosem i poprawiał mankiety koszuli.

Zniknął na drugim końcu uliczki. Juliette odetchnęła z ulgą. Przyjrzała się kamienicom wokół, dopasowując wspomnienia do zmienionej rzeczywistości. Kiedyś już tutaj była, ale minęło tyle czasu, że ściany miały inne kolory, zaś kafelki spłowiały...

– Czyś ty oszalała?

Juliette drgnęła z zaskoczenia: ledwie zdążyła zarejestrować głos Romy, a on już chwycił ją w pasie i odciągnął na bok, w zaułek obok jednej z kamienic. Juliette walczyła, żeby stanąć z powrotem na nogach, i ledwie powstrzymała się, żeby nie przydepnąć przy tym z całej siły stóp Romy.

– Umiem chodzić, dziękuję – syknęła.

– Jakoś nigdzie ci się nie spieszyło, gdy tak stałaś pod moim domem! Było cię widać z każdego okna. – odpowiedział Roma. – Oni cię zabiją, Juliette. Uważasz, że sobie żartujemy?

– A jak myślisz? – odparowała Juliette. – Wszyscy moi martwi krewni mieliby na ten temat coś do powiedzenia.

Oboje umilkli.

– Co tu robisz? – zapytał cicho Roma.

Koncentrował spojrzenie w punkcie nad jej ramieniem, unikając bezpośredniego kontaktu wzrokowego. Juliette patrzyła jednak wprost na niego. Nie potrafiła oderwać od niego oczu. Miała wrażenie, że zaraz eksploduje od wszystkiego, co chciała powiedzieć, co chciała usłyszeć, czego chciała się pozbyć. Wszystko, absolutnie wszystko było w niej napięte: płuca, skóra, szczeka. Wydawało jej się, że jest zbyt duża, żeby zmieścić się we własnym ciele, jakby za chwilę miała rozpaść się na kawałki i stać się elementem natury rozrastającej się w szczelinach betonu.

– Jestem tutaj – zdołała powiedzieć – ponieważ mam już serdecznie dość uciekania i pozostawiania w nieświadomości. Chcę znać prawdę.

– Mówiłem ci...

– Nie możesz tego zrobić! – Juliette podniosła głos. Nie chciała krzyzczeć, ale to właśnie robiła. Cztery lata milczenia wyrwały się z niej jednocześnie. – Czy nie zasługuję na to, żeby wiedzieć?! Czy nie zasługuję na to, żeby poznać choćby okrucieństwo tego, co kłębiło się w twojej przeklętej głowie, kiedy postanowiłeś powiedzieć swojemu ojcu, jak dokładnie ma zastawić pułapkę na moich...

Juliette urwała w pół zdania i uniosła brwi tak wysoko, że zniknęły pod grzywką. W jej serce został wycelowany nóż. Roma przystawił nóż do jej serca, długą i wyprostowaną ręką.

Mijały sekundy. Juliette czekała.

Roma tylko potrząsnął głową. Nagle pomyślała, że on jest taki jak dawniej. Jak chłopak, który pocałował ją po raz pierwszy na dachu klubu jazzowego. Jak chłopak, który nie lubił przemocy, który przysięgał, że pewnego dnia będzie rządził swoją połową miasta uczciwie i sprawiedliwie.

– Nawet się nie przestraszyłaś – szepnął Roma załamującym się głosem. – Wiesz dlaczego? Ponieważ wiedziałaś, że nie mogę pchnąć tego noża.

Wiedziałaś to od zawsze i nawet jeśli zwątpiłaś w to po powrocie, bardzo szybko odkryłaś prawdę. Tak było?

Czubek ostrza nawet przez sukienkę był lodowato zimny, niemal kojący w porównaniu z żarem emanującym z jej ciała.

– Skoro wiesz, że się nie boję, to dlaczego wyjąłeś nóż? – zapytała Juliette.

– Gdyż właśnie dlatego... – Roma zacisnął powieki. Łzy. Łzy spływały mu po twarzy. – Dlatego moja zdrada była taka okropna. Ponieważ wierzyłaś, że nie mogę cię skrzywdzić, a ja to zrobiłem.

Cofnął się, odsuwając od niej ostrze. Bez ostrzeżenia odwrócił się i zamachnął się nożem, który zagłębił się niemal aż po rękojeść w ścianie naprzeciwko. Juliette obserwowała to w odrętwieniu, jakby była jakimś widmem patrzącym na wszystko z góry. Chyba się tego spodziewała. Roma miał rację. Nie potrafiła się bać, kiedy jej życie spoczywało w jego rękach. Ostatecznie to ona postanowiła przyjść na terytorium Białych Kwiatów, aby złożyć swoje życie w ich dłonie.

– Dlaczego więc? – zapytała. Słowa brzmiały szorstko. – Dlaczego to zrobiłeś?

– To był kompromis. – Roma gwałtownie potarł twarz. Spojrzał szybko na wylot uliczki w poszukiwaniu zagrożenia. Sprawdził, czy nikt ich nie obserwuje ani nie zamierza im przeszkodzić. – Mój ojciec chciał, żebym cię zabił, a ja odmówiłem.

Juliette pamiętała biały kwiat na ścieżce przed jej domem, bilet zapisany pismem lorda Montagowa. Ociekał drwiną.

– Dlaczego?

Rozległ się ostry śmiech. Roma potrząsnął głową.

– Musisz pytać? Kochałem cię.

Juliette przygryzła język. Znowu pojawiło się to słowo. Kochać. „Kochałem”. Mówił tak, jakby wszystko to, co było między nimi, pozostawało prawdziwe, dopóki sprawy nie stanęły na ostrzu noża, a Juliette nie potrafiła tego pojąć. Z trudem przyjmowała to do wiadomości, ponieważ spędziła tyle czasu na przekonywaniu samej siebie, że jej dawne życie było kłamstwem, popisem wytrawnego aktorstwa Romy, mającym przybliżyć go do ostatecznego celu.

Musiała się o tym przekonać. Jak miałyby znieść myśl, że kochał ją, a mimo to ją zniszczył? Jak miałyby zmierzyć się z prawdą, że ona także go kochała, tak głęboko, że resztki tego uczucia nadal w niej pozostały. A jeśli to nie był mistrzowski plan zaciśnięcia szponów na jej umyśle... to uczucie przenikające teraz czubeczki jej palców można było przypisać tylko słabości jej własnego serca.

W ustach poczuła metaliczny posmaku. Skrzywiła się z bólu i rozluźniła zaciśnięte zęby, ale nadal milczała, czując pulsowanie skaleczonej skóry pod językiem.

– Uwierzysz w to, w co zechcesz uwierzyć – ciągnął Roma, który zauważył wyraz jej twarzy. – Ale chciałaś prawdy, więc oto i ona. Mój ojciec dowiedział się o wszystkim, Juliette. Jakiś szpieg doniósł mu, że jesteśmy kochankami, a żeby usunąć tę plamę z nazwiska Montagow, dał mi ten nóż – Roma wskazał nóż w ścianie – żebym wbił go w twoje serce.

Juliette pamiętała, jak bardzo Roma bał się swojego ojca, czynów, do jakich byli zdolni członkowie Białych Kwiatów. Pamiętała, jak Roma bezustannie rozważał, co takiego zmieni, kiedy Białe Kwiaty będą musiały słuchać jego rozkazów. Pamiętała też, z jaką czułością słuchała o jego ambicjach, pamiętała isierkę nadziei rozpalającą się w jej piersi za każdym razem, gdy Roma mówił, że przyszłość należy do nich, że to miasto pewnego dnia będzie ich i zostanie zjednoczone na tak długo, jak długo oni będą mieli siebie nawzajem.

Juliette wpatrywała się w nóż w ścianie.

– Ale nie zrobiłeś tego – szepnęła.

– Nie zrobiłem – powtórzył Roma. – Powiedziałem mu, że prędzej odbiorę sobie życie, a on zagroził, że sam mi to zrobi. Od moich narodzin ojciec czekał, aż popełnię błąd, i w końcu go popełniłem. Powiedział, że może zorganizować zamach na ciebie...

– Nie mógł tego zrobić – przerwała Juliette. – Nie miał takich możliwości...

– Nie wiesz tego na pewno! – Głos Romy załamał się, rozpadł na kawałki. Roma znowu się odwrócił i mówił dalej, patrząc w wylot uliczki. – Ja także tego nie wiedziałem. Mój ojciec... Może się wydawać inaczej, ponieważ rzadko to wykorzystuje, ale on naprawdę ma oczy wszędzie. Gdyby, tak jak zapowiedział, postanowił cię zabić, jeśli zamierzał zaaranżować to tak, żeby wyglądało, jakbyśmy zabili się nawzajem pośrodku Szanghaju, i podsyć wojnę gangów jak nigdy wcześniej, mógł to zrobić. Nie miałem co do tego wątpliwości.

– Mogliśmy z nim walczyć. – Juliette nie wiedziała, po co zawraca sobie głowę szukaniem rozwiązań dla sytuacji, która miała miejsce dawno temu. To było działanie instynktowne, próbowała za wszelką cenę chronić się przed myślą, że Roma, być może, podjął wtedy właściwą decyzję. – Lord Montagow jest tylko człowiekiem. Może zostać trafiony kulą w głowę.

Roma zadławił się śmiechem, w którym nie było jednak nawet odrobiny rozbawienia.

– Miałem piętnaście lat, Juliette. Nie potrafiłem obronić się nawet wtedy, kiedy Dimitrij klepał mnie z całej siły po plecach. Myślisz, że umiałbym strzelić w głowę swojemu ojcu?

Ja bym umiała, chciała powiedzieć Juliette. Nie wiedziała jednak, czy to nie jest myślenie życzeniowe, czy naprawdę byłaby do tego zdolna, zanim złość przemieniła jej skórę z płomienia w twardą skałę. Wtedy wierzyła w to samo, co Roma. Wierzyła, że to podzielone miasto da się zszyć w jedną całość. Wierzyła w to, gdy siedzieli pod aksamitnym nocnym niebem i patrzyli w przymglone światła w oddali, gdy Roma mówił, że sprzeciwi się absolutnie wszystkiemu, łącznie z wolą gwiazd, aby zmienić ich los w tym mieście.

– *Astra inclinat* – szeptał na wietrze, boleśnie szczerzy nawet wtedy, gdy cytował łacinę – *sed non obligant*.

„Gwiazdy nas kierują, ale nie przymuszają”.

Juliette oddychała płytko. Czuła, że coś w niej zaczyna się rozplątywać.

– Co się stało? – wykrztusiła w końcu. – Co sprawiło, że zmienił zdanie?

Roma zaczął podwijać rękawy. Starał się zająć czymś dłonie, wykorzystać jakoś tę niespokojną energię, ponieważ nie potrafił stać jak Juliette, jak żołnierz przemieniony w kamień.

– Mój ojciec chciał twojej śmierci, ponieważ czuł się znieważony. Chciał mojej śmierci, ponieważ ośmieliłem się zbuntować. – Długa chwila ciszy. – Dlatego poszedłem do niego i przedstawiłem lepszy plan. Taki, który zada większe straty Szkarłatnym. Taki, który potwierdzi, że moje miejsce jest u jego boku. – Roma w końcu popatrzył znowu na Juliette, spojrzał jej prosto w oczy. – To miało cię zboleć bardziej niż śmierć, ale przynajmniej pozostałaś żywa.

– Ty... – Juliette uniosła rękę, chociaż nie wiedziała, co zamierza zrobić. W końcu wskazała Romę palcem, jakby karciała go w jakiejś błahej sprawie. – Ty...

Ty nie miałaś prawa dokonać tego wyboru.

Ale nie potrafiła wypowiedzieć tego na głos.

Roma wyciągnął rękę i zamknął dłoń na jej dłoni, żeby zwinąć ją w pięść. Jego dłonie były spokojne. Dłonie Juliette drżały, pełne żalu.

– Nie potrafię powiedzieć, że jest mi przykro, jeśli oczekujesz przeprosin – wyszeptał Roma. – I... chyba mogę przeprosić, że nie jest mi bardziej przykro. Ale gdy miałem wybór pomiędzy życiem twoim a twoich ludzi... – Wypuścił jej dłoń. – Wybrałem ciebie. Czy jesteś tym usatysfakcjonowana?

Juliette mocno zacisnęła powieki. Nie obchodziło jej już, że to jest niebezpieczne, że rozsypuje się na kawałki w sercu terytorium Białych Kwiatów. Przycisnęła pięść do czoła, czując ostrość pierścionków wbijających jej się w skórę.

– Rozumiem, ale nigdy nie będę usatysfakcjonowana – westchnęła.

On mnie wybrał. Uważała, że jest bezduszny, że popełnił najgorszą możliwą zdradę, podczas gdy ona ofiarowała mu miłość.

Tymczasem prawda wyglądała, że przekreślił wszystko to, w co wierzył. Splamił swoje ręce życiem tuzinów niewinnych ludzi, wbił ostre jak brzytwa ostrza we własne serce tylko po to, żeby Juliette była cała i zdrowa, daleko od pogroźek jego ojca. Nie wykorzystał informacji zdobytych w czasie spędzonym z nią jako narzędzia władzy. Wykorzystał je jako narzędzie słabości.

Juliette omal nie roześmiała się na głos, oszołomiona niedowierzaniem. Tak właśnie to miasto postępowało z kochankami. Rzucalo oskarżenia śliskie jak warstwa krwi, mieszało i stapiało je ze wszystkim, aż wszędzie pozostawały plamy. Dlatego właśnie on nie chciał jej o tym powiedzieć. Wiedział, że ona dojdzie do tego wniosku – do tej świadomości, że w pewnym sensie krew Niani znajdowała się teraz także na jej rękach. Gdyby Roma nie kochał jej z całego serca, to jej życie pochłonęłaby wojna gangów. Prosta, czysta wymiana.

Otworzyła oczy i spojrzała w niebo.

Szare, ponure niebo pierwszego dnia października. Tutaj, w dole, w cieniach zimnej uliczki, mogła ukryć się w mroku, mogła wyciągnąć rękę i otrzeć łzę drżącą na policzku Romy, mając pewność, że nie ma żadnych świadków. Oparła się tej pokusie. Gdzieś tam, w górze, ponad niskimi chmurami i ostrym wiatrem, Gwiazda Polarna jaśniała na szczycie świata, nie zwracając uwagi na nic i nikogo.

Jej miasto, jej gang, jej rodzina. Jej rodzina, jej gang, jej miasto.

– Doskonale.

Roma zamrugnął.

– Słucham?

Juliette opuściła dłonie i wygładziła sukienkę po bokach. Spróbowała się uśmiechnąć, ale była pewna, że wyglądała, jakby coś ją zabolalo.

– Doskonale – powtórzyła. – Naprawdę nie mamy tyle czasu, żeby marnować go na osobiste dramaty, czyż nie? Zagadka się wyjaśniła.

Podeszła do noża i wyciągnęła go ze ściany. Wyglądał prześlicznie. Na rękojeści miał wyrytą lilię, a ostrze było lśniące, ostre i złociste.

Los tego miasta spoczywał na ich barkach. Nie mogli załamać się teraz, niezależnie od tego, jak bardzo Juliette pragnęła położyć się w trawie i pozostać bez ruchu przez najbliższe tysiąclecie. I niezależnie od tego, jaki ból jej to sprawiało, spojrzała przez ramię dokładnie w tym momencie, gdy Roma ponownie nałożył swoją maskę, a na jego twarzy zamiast smutku odmalował się tylko chłód.

Wybrałeś mnie cztery lata temu. Czy ponownie byś mnie wybrał? Czy wybrałbyś tę wersję mnie – te ostre krawędzie i dłonie o wiele bardziej splamione krwią niż twoje?

Jej miasto, jej gang, jej rodzina. Najrozsądniej byłoby teraz odejść, oddalić się od wszystkiego, co odwracało jej uwagę od rzeczy naprawdę ważnych. Ale nie potrafiła. Miała... nadzieję. Nadzieja była niebezpieczna. Nadzieja była najbardziej złowrogą ze wszystkich istniejących rzeczy, czymś, co rozkwitało w puszczy Pandory pomiędzy nieszczęściem, chorobami a smutkiem. Co mogłoby przetrwać wśród takich niebezpieczeństw, gdyby samo nie było równie groźne?

– Musimy złapać tego potwora – oznajmiła Juliette stanowczo, chociaż naprawdę powinna być mądrzejsza. – Chenghuangmiao to terytorium Białych Kwiatów. Chodźmy.

Obawiała się, że Roma odmówi. Że odejdzie, mimo że ona nie umiała tego zrobić. W Chenghuangmiao codziennie przebywało tylu ludzi – Chińczyków i nie tylko – że nie dałoby się upilnować tego miejsca przed Szkarłatnym Gangiem. Nie potrzebowała w tym momencie pomocy Romy, aby znaleźć Larkspura. Nie musieli nadal współpracować. On o tym wiedział.

Spojrzenie Romy było całkowicie puste. Stał sztywno, z plecami wyprostowanymi jak struna.

– Chodźmy – powiedział.

ROZDZIAŁ 31

Tyler Cai jako pierwszy otrzymywał informacje o wszelkich niepokojach w mieście. Szczycił się tym, że zawsze trzyma rękę na pulsie, zwraca uwagę na wszelkie szmery niezadowolenia płynące z ognisk problemów, ma na oku tych, których należało pilnować. Przeciężni cywile byli chwiejni i niezdecydowani. Nie można było im zaufać, że postanowią przeżyć swoje życie w sposób rozsądny. Wymagali nadzoru, łagodnej i życzliwej dłoni kierującej ich poczynaniami i pociągającej za sznurki ich przeznaczenia zgodnie z potrzebą. Inaczej te sznurki zaczynały się plątać, a ludzie dławili się na śmierć własną głupotą.

– Panie Cai. Jest naprawdę źle. – Tę wiadomość przyniósł goniec imieniem Andong, którego Tyler specjalnie wziął pod swoje skrzydła i jasno przekazał mu podczas szkolenia, że ma przychodzić najpierw do niego, nie do kogokolwiek innego.

Tyler wyprostował się za biurkiem i odłożył wieczne pióro.

– Co się stało?

– W fabryce w Nanshi wybuchł strajk – oznajmił zadyszany Andong. Przybiegł w pośpiechu, omal nie zderzając się z drzwiami. – Ofiary. Tym razem są ofiary śmiertelne.

– Ofiary śmiertelne? – powtórzył Tyler i zmarszczył brwi. – To tylko robotnicy, którzy robią trochę zamieszania. Jakim cudem są tam ofiary? Czy jednocześnie zaatakowało ich szaleństwo?

– Nie, to przez komunistów – padła zmęczona odpowiedź. – Do fabryki przedostali się ludzie ze związków robotniczych, którzy udzielali pozostałym robotnikom instrukcji i przeszmyglowali broń. Nie żyje jeden z brygadystów. Znaleziono go z tasakiem w głowie.

Tyler jeszcze mocniej zmarszczył czoło. Przypomniawszy sobie wieści na ulicach, pomyślał o partiach politycznych, które Szkarłatny Gang starał się utrzymać pod kontrolą. Być może popełnili błąd, sprzymierzając się z nacjonalistami. Być może to właśnie komuniści wymagali staranniejszego nadzoru.

– O co im chodziło tym razem? – prychnął drwiąco. – Jak śmiało buntować się przeciwko tym, którzy zapewniają im bezpieczeństwo?

– Oni nie patrzą na to w ten sposób – odpowiedział Andong. – Robotnicy, którzy nie umierają z powodu szaleństwa, umierają z głodu. Ustawiają się w kilometrowych kolejkach po tę głupią szczepionkę i zamiast obwiniać tego przeklętego Larkspura za to, że zdiera z nich majątek, wielbią go za ochronę, jaką dają jego magiczne fiołki, i obwiniają fabryki Szkarłatnych, że nie płacą im dość, aby wystarczyło zarówno na szczepionkę, jak i na jedzenie.

Tyler potrząsnął głową.

– To idiotyzm – syknął.

– A jednak komuniści w tej sytuacji czują się jak ryby w wodzie.

To była prawda. W pełni wykorzystywali chaos, aby zwrócić mieszkańców Szanghaju przeciwko rządzącym i zniszczyć struktury władzy stworzone przez zwaśnione gangi. Ale to nie było nic poważnego. Szkarłatny Gang nadal stał na szczycie. Jeśli nie zdołają w końcu przywołać komunistów do porządku, tamci po prostu ich zniszczą.

– To nie jest pojedynczy incydent – ostrzegł Andong, ponieważ Tyler milczał. – To może być początek powstania. Komuniści planują coś na dzisiaj. W fabrykach w całym Nanshi słychać szmery niezadowolenia. Przed zachodem słońca na pewno zginie ktoś jeszcze.

Ściąć głowy bogaczom i zniszczyć ich. Robotnicy byli na tyle głodni, że mogli wybić gangsterów i wykorzystać wrzaski, aby wypełnić nimi wychudłe ciała.

– Wyślij ostrzeżenie do wszystkich fabryk pod kontrolą Szkarłatnych – polecił Tyler. – Natychmiast.

Posłaniec skinął głową. Zaczął się wycofywać, ale nagle zatrzymał się.

– Jest... jeszcze coś.

– Coś więcej? – zapytał Tyler. Splótł ręce za głową i odchylił się w fotelu.

– Nie widziałem tego na własne oczy, ale... – Andong zrobił krok w głąb pokoju i opuścił głowę. Zniżył głos, jakby kwestie związane ze śmiercią i rewolucją można było omawiać normalnym tonem, lecz zwykła plotka wymagała stosownego szacunku. – Cansun twierdzi, że widział pannę Juliette na terytorium Białych Kwiatów. Twierdzi, że widział ją... – urwał Andong.

– Wykrztuś to wreszcie – warknął Tyler.

– Widział ją z Romą Montagowem.

Tyler powoli opuścił ręce.

– Tak?

– Tylko przelotnie – ciągnął Andong. – Ale wydało mu się to podejrzane. Pomyślał, że może będzie pan chciał o tym wiedzieć.

– Zaiste, chcę o tym wiedzieć. – Tyler wstał. – Dziękuję, Andong. Jeśli mi wybaczysz, muszę teraz poszukać mojej drogiej kuzynki.

Pomiędzy Romą a Juliette zapanował szczególny rozejm. Zachowywali się niemal tak, jakby nie byli już wrogami, ale mimo to towarzyszył im większy chłód niż przed wizytą w Mantui. Oboje byli bardziej oficjalni, wycofani. Juliette spojrzała ukradkiem na Romę, gdy przepychali się przez tłum w Chenghuangmiao, i zwróciła uwagę na to, że zaciskał palce, trzymał łokcie blisko ciała.

Nie dostrzegła, że do tej pory zachowywali się w swoim towarzystwie swobodnie, dopóki ta swoboda nie zniknęła.

– Dobrze to pamiętam, prawda? – zapytała na głos, żeby jakoś przerwać męczące napięcie. – Archibald Welch mówił o herbaciarni Long Fa?

Juliette zatrzymała się, żeby spojrzeć na mijane sklepy. Podczas tych kilku sekund trzy zajęte robieniem zakupów osoby wpadły na nią, jedna za drugą. Skrzywiła się i omal nie syknęła na nich ze złością, ale się powstrzymała. Bycie niewidzialną było z pewnością lepsze od bycia rozpoznawaną. Nie musiało jej się to jednak podobać, nawet jeśli ten okropny płaszcz i jeszcze okropniejsza fryzura oddawały jej ogromną przysługę, umożliwiając wtopienie się w spieszący się tłum.

– Nie mam pojęcia, czemu pytasz mnie o potwierdzenie – odparł Roma. – Leżałem wtedy na podłodze.

– Nie ma nic złego w przetarciu od czasu do czasu podłogi. To dowodzi pokory.

Roma nie roześmiał się. Juliette nie oczekiwała tego. Bez słowa dała znak, że mogą iść dalej, zanim ktoś z przypadkowych przechodniów ich rozpozna.

– Chodźmy, zamiataczu podłóg.

Juliette ruszyła przed siebie pewnym krokiem. Minęli sprzedawców kremów i teatrzyki kukiełkowe, a potem przeszli wzdłuż całego rzędu sklepów z *xìolóngbāo* pachnących apetycznie mięsem. Lawirowali pomiędzy hałaśliwymi artystami ulicznymi i pochylali głowy, żeby przejść pod arkadą prowadzącą na plac będący centrum życia tej dzielnicy. Roma nagle zatrzymał się i przymrużył oczy.

– Juliette – powiedział. – To tam.

Skinęła głową i machnięciem ręki poleciała mu się pospieszyć. Herbaciarnia Long Fa znajdowała się w pobliżu stawów, po lewej stronie od zygzakującego mostu Jiuqu. Był to czteropiętrowy budynek z ekstrawaganckim dachem, którego pozłacane krawędzie wyginały się w górę. Z pewnością stał tu już wtedy, gdy Chinami zaczęli rządzić cesarze z Zakazanego Miasta.

Roma i Juliette weszli do herbaciarni, podnosząc nogi nad wyższym niż zazwyczaj progiem.

– Na górę? – zapytał Roma, rozglądając się po parterze, pustym, jeśli nie liczyć jednego stołka w rogu.

– Na najwyższe piętro – przypomniała Juliette.

Weszli po schodach. Piętro za piętrem mijali klientów i kelnerów, kipiące ożywienie, wykrzykiwane zamówienia, rzucane banknoty. Kiedy jednak Juliette wspięła się po ostatnich schodach i znalazła się na najwyższym piętrze, z Romą depczącym jej po piętach, zobaczyła tylko pojedyncze, wysokie drewniane drzwi odgradzające ich od tego, co znajdowało się po drugiej stronie.

– Czy to tutaj?

– Na pewno – odpowiedział Roma.

Z wahaniem wyciągnął rękę i zapukał.

– Wejść.

Brytyjski akcent. Niski, dudniący głos, jakby jego właściciel miał katar.

Wymienili spojrzenia. Roma wzruszył ramionami.

– Co nam szkodzi – powiedział niemal bezgłośnie.

Juliette uchyliła drzwi i natychmiast zmarszczyła brwi na widok tego, co się przed nią pojawiło. Niewielkie pomieszczenie o długości najwyżej dziesięciu kroków. Na samym środku stało biurko, którego połowę zasłaniała ogromna biała tkanina zwieszająca się z sufitu. W świetle wpadającym przez okno Juliette widziała zarys sylwetki za zasłoną. Ktoś siedział ze stopami na biurku i rękami splecionymi za głową.

– Witam w moim biurze, panno Cai i panie Montagow – odezwał się Larkspur. Mówił tak, jakby coś utkwiło mu w gardle. Juliette zastanawiała się, czy to jego prawdziwy głos, czy tylko udaje. A jeśli udaje... to dlaczego? – Nie mogę powiedzieć, żebym się państwa spodziewał i zazwyczaj wymagam wcześniejszego umówienia się na spotkanie, ale proszę wejść. Proszę bardzo.

Juliette powoli zbliżyła się do biurka. Kiedy przyjrzała się uważniej ścianie za plecami Larkspura, uświadomiła sobie, że to nie jest ściana, tylko tymczasowe przepierzenie. To pomieszczenie było z pewnością tak samo duże, jak na niższych piętrach. Za prowizoryczną ścianką z pewnością znajdowało się laboratorium, o którym mówił Archibald Welch.

Larkspur uważa, że jest wyjątkowo sprytny, pomyślała Juliette, przyglądając się miejscu, w którym przepierzenie stykało się z sufitem. *Powinien się nauczyć lepiej malować ściany.*

– Proszę usiąść – zagrzmiał głębokim głosem Larkspur.

Za zasłoną pojawił się zarys jego ręki, którą wskazywał krzesła przed sobą. Jednakże ten zarys rozdzielił się w momencie, kiedy ręka zbliżyła się do zasłony.

Juliette przymrużyła oczy. Rozejrzała się za drugim źródłem załamane światła za zasłoną, które mogło wywołać taki efekt, i znalazła odpowiedź na ścianie, gdzie wisiało lustro skierowane pod kątem na sufit, a nie na patrzącego. Udawało element dekoracji, ale wystarczyło spojrzeć w górę, tam gdzie celowało, i zobaczyć drugie lustro, aby odgadnąć prawdę.

Oni nie widzieli Larkspura, ale on z pewnością widział ich.

– Nie zajmujemy panu wiele czasu – zapewnił Roma, siadając.

Juliette poszła za jego przykładem, chociaż przysiadła tylko na brzegu krzesła, gotowa do błyskawicznej ucieczki.

– Chodzi nam o pańską szczepionkę – powiedziała sztywno. Nie miała czasu na zabawy. – Jak ją pan produkuje?

Larkspur się roześmiał.

– Panno Cai, zdaje sobie pani sprawę, jak zabójcze dla moich interesów byłoby, gdybym to pani powiedział? To tak, jakbym ja poprosił o listę waszych klientów.

Juliette uderzyła dłońmi o blat biurka.

– Tu chodzi o ludzkie życie.

– Doprawdy? – odparował Larkspur. – Co zrobiłaby pani z receptą na moją szczepionkę? Opracowała profilaktyczne lekarstwo? Prowadzę sprzedaż na podstawie popytu, a nie placówkę naukową.

Roma chwycił Juliette za łokieć. Chciał dać jej w ten sposób do zrozumienia, żeby się uspokoiła i nie wyprowadzała Larkspura z równowagi, zanim nie zdobędą tego, po co przyszli. Jednak jego dotyk zaskoczył ją. Drgnęła zaszokowana i zamiast się uspokoić, zdenerwowała się jeszcze bardziej.

– Co łączy pana z Zhang Gutaiem? – zapytał tym razem Roma. – Z pewnością słyszał pan plotki o tym, że to on odpowiada za wywołanie szaleństwa. Nie muszę podkreślać, jak podejrzane wydaje się to, że pan uchodzi za uzdrowiciela.

Larkspur tylko się roześmiał.

– Proszę... – powiedział Roma przez zaciśnięte zęby. – O nic pana nie oskarżamy. Staramy się tylko dopasować wszystkie nazwiska i znaleźć sposób na zakończenie tego chaosu...

– Zaszliście w tym waszym małym śledztwie tak daleko i jeszcze nie poskładaliście razem faktów?

Zaledwie sekundy dzieliły Juliette od zerwania zasłony i zaatakowania Larkspura. Katowałaby go tak długo, aż jego tajemnicze odpowiedzi nabiorą jakiegoś sensu.

– Co pan ma na myśli?

– A jak pani sądzi, panno Cai?

Juliette poderwała się z miejsca tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się na podłogę.

– Dosyć tego!

Zręcznym ruchem szarpnęła zasłonę z taką siłą, że materiał rozerwał się w miejscu, gdzie był przymocowany do sufitu.

Larkspur także zerwał się z fotela, ale Juliette nie zobaczyła jego twarzy. Nie mogła. Nosił maskę: jedną z tych tanich masek z chińskiej opery, jakie handlarze na targu sprzedawali ciekawskim dzieciom, ozdobioną ogromnymi, wybałuszonymi oczami i czerwono-białymi spiralami podkreślającymi nos i usta. Zasłaniała całą twarz. Juliette była całkowicie pewna, że w tym momencie Larkspur czuł się bardzo z siebie zadowolony.

Celował do niej z pistoletu.

– Nie jest pani pierwszą osobą, która tego próbuje, panno Cai – odezwał się niemal ze współczuciem. – Ostatnią, która mi tak groziła, zabiłem.

Broń Juliette była ukryta w zakamarkach jej sukienki. Zanim zdąży po nią sięgnąć, Larkspur będzie miał mnóstwo czasu, żeby strzelić.

Mimo to zablęfowała.

– Jak pan myśli, które z nas strzela szybciej? – prychnęła drwiąco.

– Myślę, że zanim sięgnie pani po pistolet, będzie już pani miała dziurę w głowie.

Juliette spojrzała na Romę. Zaciskał zęby tak mocno, że nie była pewna, czy ich sobie nie uszkodził.

– To tylko jedno pytanie – powiedział cicho Roma. Zadał je ponownie: – Co łączy pana z Zhang Gutaiem?

Larkspur się zastanowił. Przechylił głowę na bok i mruknął coś pod nosem, a potem wolną ręką przywołał Romę i Juliette bliżej. Nie ruszyli się z miejsca, więc to on przysunął się do biurka i oparł o nie, jakby zamierzał zdradzić ogromny sekret.

– Chcecie wiedzieć, co łączy mnie z Zhang Gutaiem? – wyszeptał gardłowym głosem. – Zhang Gutai przemienia sam siebie w potwora. Robię szczepionkę na podstawie informacji, które od niego uzyskuje.

– Dlaczego? – zapytała Juliette, kiedy zbiegali po schodach. – Dlaczego nam to powiedział? Dlaczego Zhang Gutai miałby dać mu przepis na szczepionkę?

Świat poruszał się zbyt szybko. Puls Juliette dudnił z oszałamiającą prędkością. Oddychała także zbyt szybko, nawet kiedy znaleźli się na parterze i zatrzymali, żeby trochę ochłoniąć i pozbierać myśli. Uświadomili sobie, że mają już wszystkie kawałki układanki potrzebne, aby powstrzymać to przekłete szaleństwo, które rozrywało Szanghaj na kawałki.

Czy na pewno?

– To nie ma żadnego sensu – warknęła Juliette. – Przecież on musi wiedzieć, że chcemy zabić potwora. Musi wiedzieć, że teraz dopadniemy Zhang Gutaia. Dlaczego miałby go wydawać? Bez potwora nie będzie szaleństwa. Bez szaleństwa on nie będzie zarabiał.

– Ja także tego nie rozumiem, Juliette – odparł Roma. – Nie potrafisz znaleźć odpowiedzi... Ale...

– Precz z gangsterami!

Okrzyk przykuł uwagę Romy i wywołał zgrozę Juliette, zaskakując ich oboje tak bardzo, że chwycili się za ręce. Dobiegł z mostu Jiuqu, gdzie jakiś obłąkany starzec nie przestawał krzyczeć, dopóki najbliższy Szkarłatny gangster nie zagroził, że go pobije. Ta scena nie spotkała się jednak, jak zwykle, z obojętnością przechodniów. Widok interweniującego gangstera i jego groźby sprawiły, że ludzie zaczęli szeptać między sobą, wymieniając się plotkami i spekulacjami. Juliette dobiegały strzępy wypowiedzi: mówiono o strajkujących robotnikach i buntach w fabrykach.

Juliette szybko puściła dłoń Romy i cofnęła się o krok. Roma nie ruszył się z miejsca.

– Dlaczego on wygaduje takie rzeczy? – mruknęła Juliette, nie odrywając wzroku od mostu. – Dlaczego ten starzec czuł się tak bezkarny, żeby życzyć gangsterom śmierci?

– Jeśli wierzyć doniesieniom, które czytałem rano, to może być wynik zamieszania wywołanego przez komunistów – odparł Roma. – W Nanshi ktoś dostarczył broń strajkującym.

– Nanshi... – powtórzyła Juliette. Ta nazwa z czymś jej się kojarzyła. – To tam...

Roma skinął głową.

– Tam jest Alisa, leży w szpitalu znajdującym się tuż obok fabryk – dokończył. – Niewykluczone, że kończy nam się czas. Jeśli zacznie się rewolucja, robotnicy zaatakują również szpital.

Jeśli robotnicy zbuntują się i posłuchają podszeptów zachęcających ich do siania chaosu, będą chcieli odegrać się na każdym gangsterze, każdym kapitaliście, każdym wyższym rangą brygadziście i właścicielu fabryki, jakiego spotkają, niezależnie od tego, czy mają do czynienia z dorosłym, dzieckiem, osobą przytomną czy nie. Nawet jeśli była to mała Alisa Montagow.

– Zabijemy go dzisiaj – zdecydowała Juliette.

Zabić potwora, powstrzymać szaleństwo. Wybudzić Alisę i uratować ją przed chaosem narastającym wokół.

– Powinien być jeszcze w swoim gabinecie – powiedział Roma. – Jak to zrobić?

Juliette spojrzała na zegarek. Przygryzła wargi, zastanawiając się intensywnie. Nie miała czasu, żeby naradzić się z rodzicami. Wątpiła zresztą, by zaakceptowali jej pomysł. Będą chcieli przemyśleć wszystko na spokojnie, przygotować plany. Nie mogła oficjalnie poprosić o wsparcie Szkarłatnych. Musiała to zrobić na własną rękę.

– Zbierz swoich najbliższych sojuszników i weź broń. Spotkamy się za godzinę pod redakcją „Labor Daily”.

Roma skinął głową. Przyjrzał się jej twarzy, przesuwając spojrzeniem po jej czole, oczach i ustach, jakby czekał, żeby powiedziała coś jeszcze. Ponieważ milczała, wyraźnie zdziwiona, na co on jeszcze czeka, Roma nie wyjaśnił, o co mu chodziło. Skinął tylko jeszcze raz głową.

– Do zobaczenia – powiedział.

Tyler wycofał się z miejsca, w którym się ukrywał, przyciśnięty plecami do ściany herbaciarni Long Fa. Zniknął dostatecznie szybko, żeby nie zdążył go zauważyć Roma Montagow, który rozpląnął się w tłumie wypełniającym Chenghuangmiao.

Tyler po raz ostatni zaciągnął się papierosem, zgasił palcami żarzący się koniec, a potem rzucił niedopałek na ziemię, nie przejmując się nowymi oparzeniami.

Widział ich. Nie słyszał ich rozmowy, ale widział ich razem, trzymających się za ręce.

– *Tāmā de*, Juliette – mruknął. – Zdrajczynie.

ROZDZIAŁ 32

Wiadomość dla pani, panno Lang.

WKathleen przetoczyła się z jednego końca schludnie pościelonego łóżka Juliette na drugi. Była koszmarem sennym pokojówek. W domu nie brakowało foteli, na których mogłaby się wygodnie rozsiąść, ale kiedy tylko Juliette opuszczała swój pokój, Kathleen przychodziła tam i zajmowała łóżko.

Trzeba przyznać, że było to absurdalnie wygodne łóżko.

– Dla mnie? – zapytała Kathleen, machnięciem ręki zapraszając posłańca do środka. To niespotykane. Mało kto miał do niej jakieś sprawy.

– Wiadomość jest zaadresowana do pań Lang Selin i Lang Shalin, ale nie udało mi się znaleźć panny Rosalind – wyjaśnił posłaniec, niepewnie sylabizując ich imiona. Kiedy pokazał jej złożony list, Kathleen zobaczyła, że jej chińskie imię, Lang Selin, zostało zapisane w zachodniej transliteracji zamiast znakami chińskimi.

To musiała być Juliette. Nikt inny nie byłby tak tajemniczy.

Kathleen uniosła brew i wyciągnęła rękę po wiadomość.

– Dziękuję.

Posłaniec wyszedł. Kathleen rozłożyła kartkę.

„Potrzebuję Waszej pomocy. Sekretarz generalny Partii Komunistycznej jest potworem. Spotkamy się pod jego miejscem pracy. Weźcie pistolety i tłumiki. Nie mówcie nikomu”.

– O *merde*.

Juliette zamierzała zabić sekretarza generalnego Partii Komunistycznej.

Kathleen upuściła kartkę i poderwała się z łóżka, żeby pobiec do znajdującej się obok zbrojowni. Przechowywali broń w niewielkim pokoju, obok stojącego zegara i rozpadających się kanap, w rzędzie szafek, które przypadkowemu obserwatorowi wydałyby się zupełnie niepozorne. Szybko otworzyła szuflady, nabiła dwa pistolety i nakręciła tłumiki na lufy. Sprawdziła amunicję, docisnęła każdy obluzowany element, a potem wepchnęła broń do kieszeni.

Zatrzymała się. Wytężyła słuch, ponieważ z drugiej strony ściany, z pokoju Juliette, dobiegał jakiś odgłos.

To były kroki. Kto mógł tam wejść?

Zdenerwowana podniosła się cicho i stąpając tak lekko, jak tylko mogła, wyszła ze zbrojowni i podeszła do sypialni Juliette. Wstrzymując oddech, zajrzała do środka, gdzie zobaczyła znajomą sylwetkę. Uspokoiła się. To tylko Rosalind, która trzymała w dłoni wiadomość od Juliette.

– Co to ma znaczyć, do diabła? – zapytała gwałtownie Rosalind.

Kathleen natychmiast znowu stężała.

– Ja... wydaje mi się, że to raczej oczywiste.

– Nie mówisz poważnie. – Rosalind spojrzała na kieszenie Kathleen. Dostrzegła zarys broni. – Nie zamierzasz chyba tam iść?

Kathleen zamrugała.

– Dlaczego nie?

Ta chwila mogła zostać zapamiętana na zawsze jako pierwszy raz, gdy Kathleen spojrzała na Rosalind – tak naprawdę się jej przyjrzała – i uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, o czym myśli jej siostra. Kiedy Rosalind eksplodowała, Kathleen poczuła się tak, jakby odłamki pocisku trafiły ją prosto w żołądek.

– To absurd! – wrzasnęła Rosalind. – Nie mamy prawa zabijać sekretarzy generalnych, bo tak nam się podoba! Juliette nie może cię w to wciągnąć, bo ma takie widzimisię!

– Przestań, Rosalind – poprosiła Kathleen i podbiegła do drzwi, żeby je zamknąć. – Ona mnie w nic nie wciąga.

– W takim razie o co chodzi w tej wiadomości? To ma być tylko propozycja?

– To ważne. To kwestia powstrzymania szaleństwa.

Rosalind zacisnęła wargi w cienką kreskę. Zniżyła głos. Był lodowaty. Zamiast złości zabrzmiały w nim tony oskarżycielskie.

– No proszę, a myślałam, że to ty jesteś pacyfistką w naszej rodzinie.

„Pacyfistka”. Kathleenomal nie roześmiała się w głos. Ze wszystkich słów, jakie ją określały, pacyfistka była najdalsza od prawdy. Wystarczyło, że nie przepadała za rozlewem krwi, i nagle zaczęła uchodzić za prawdziwą świętą. Bez namysłu nacisnęłaby guzik, który pozbawiłby życia wszystkich ludzi w tym mieście, gdyby dzięki temu mogła liczyć na trochę ciszy i spokoju.

– Myliłaś się – powiedziała spokojnie Kathleen. – Wszyscy się mylą w tej sprawie.

Rosalind splotła ramiona. Gdyby jeszcze mocniej zacisnęła list w pięści, mogłaby niemal zrobić dziurę w zapisanych w nim słowach.

– Jak rozumiem, Juliette to jedyna osoba, której nie uważasz za bezdennie głupią.

Kathleenomal nie otworzyła ust ze zdumienia.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? – zapytała.

Być może weszła niechcący do maszyny, która cofnęła je do czasu, kiedy były obraźliwymi kilkulatkami.

Rosalind nie zamierzała jednak zastanawiać się nad własnym zachowaniem. Gorycz wypłynęła na powierzchnię i teraz nic już nie mogło jej powstrzymać.

– Popatrz, jak lekko Juliette podchodzi do tego całego szaleństwa – syknęła wściekła. – Popatrz, jak je traktuje, jakby było wyłącznie kolejnym zadaniem, dzięki któremu znowu będzie mogła zrobić wrażenie na rodzicach...

– Przestań. – Kathleen zacisnęła palce na brzegu bluzki. – Przez większość czasu nie było cię przy niej.

– Widziałam potwora!
– To nie jest wina Juliette. To nie jest jej wina, że musi traktować to jak swoją pracę, ponieważ...
– Nic nie rozumiesz – syknęła Rosalind i podbiegła do Kathleen. Zatrzymała się tuż przed siostrą i ścisnęła jej ramiona. – Juliette nie będzie musiała zmierzyć się z konsekwencjami niezależnie od tego, co zrobi. My tak. To na nas spadnie każdy przeklęty fragment tego walącego się miasta...
– Rosalind – powiedziała Kathleen błagalnie. – Jesteś teraz bardzo, bardzo zdenerwowana. – Wyciągnęła ręce przed siebie. W ten sposób mogła zarówno zachować dystans od Rosalind, jak i uspokoić ją, jakby była dzikim zwierzęciem. – Rozumiem cię, naprawdę, ale wszystkie jesteśmy po tej samej stronie.

– Ona nosi nazwisko Cai! – wykrzyknęła Rosalind. – Jak możemy być po tej samej stronie, skoro oni nigdy nie upadną? Są niezniszczalni. W odróżnieniu od nas!

Kathleen nie była w stanie dłużej tego słuchać. Czas uciekał. Broń w jej kieszeniach z każdą sekundą stawała się coraz cięższa. Bez słowa odczepiła palce Rosalind zaciśnięte na jej ramionach i odwróciła się do drzwi.

– Celio, proszę – powiedziała nagle Rosalind.

Kathleen zamarła. Obróciła się na pięcie.

– Przestań – syknęła. – W tym domu ściany mają uszy. Nie narażaj mnie na niebezpieczeństwo tylko po to, żeby udowodnić, że masz rację.

Rosalind odwróciła spojrzenie i odetchnęła głęboko. Wydawało się, że wzięła się w garść.

– Ja się tylko o ciebie martwię – szepnęła.

To nie jest moment, żeby się o mnie martwić!, miała ochotę warknąć Kathleen. Co w tym było takiego trudnego do zrozumienia? Potrząsnęła głową. Z największym trudem zmusiła się, żeby odezwać się łagodniej:

– To proste, Rosalind. Pomożesz nam czy nie?

Kiedy Rosalind znowu na nią spojrzała, Kathleen zobaczyła w jej oczach tylko apatię.

– Nie pomogę.

– Rozumiem – powiedziała Kathleen. – Ale proszę, nie zatrzymuj mnie.

W każdym zakamarku tego miasta kryły się potwory. Prędzej trafi ją szlag, niż pozwoli własnej siostrze powstrzymać się przed wykończeniem choćby jednego z nich.

Kathleen wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ 33

Juliette stała za rogiem budynku „Labor Daily”, ukryta w jego cieniu pod biegnącymi na zewnątrz rurami. Znalazła mały skrawek trawy w miejscu, gdzie ściana zakrzywiła się trochę, w pobliżu zardzewiałych tylnych drzwi. W tym zakamarku wyrosło pnącze, wypuszczając na ścianę pędy, które zwisały teraz nad głową Juliette. Z odległości mogła wyglądać jak posąg, gdy patrzyła przed siebie zmęczonymi i pustymi oczami. Nie mogła mrugać zbyt często. Gdyby to zrobiła, mogłaby upaść w tym miejscu na ziemię jak bliźniaczka marmurowego posągu Niobe stojącego na Osiedlu Międzynarodowym, a wtedy nigdy by już nie wstała.

– Juliette... O Boże!

Juliette stała w tym miejscu także dlatego, że znalazła zwłoki. Ofiarę szaleństwa, starszą kobietę z gardłem w strzępach. Nie ruszała się, ponieważ nie wiedziała, co dalej. Powinna zostawić ciało czy coś zrobić? Czy zabicie dzisiaj Zhang Gutaia wystarczało jako to „coś”, za co mogła być odpowiedzialna.

Juliette odwróciła się i na widok kuzynki wypuściła wstrzymywany oddech. Kathleen ze zgrozą zasłoniła usta i pochyliła głowę, żeby przejść pod pnączami.

– Zanim zapytasz: znalazłam ją w takim stanie – wyjaśniła Juliette. – Przyniosłaś tłumik?

– Jest tutaj – odparła Kathleen. Podała Juliette jeden z pistoletów, które miała w kieszeni, nie odrywając wzroku od martwej kobiety opierającej się o ścianę.

– Gdzie Rosalind? – zapytała Juliette. Stanęła na palcach, żeby spojrzeć Kathleen przez ramię, jakby Rosalind po prostu szła trochę wolniej.

– Nie przyjdzie – powiedziała Kathleen. Zmusiła się, żeby przestać patrzeć na trupa. – Była potrzebna w kabarecie. Wydawałoby się zbyt podejrzane, gdyby nie poszła.

Juliette skinęła głową. Wolałaby mieć tutaj jeszcze jedną zaufaną parę oczu i rąk, ale trudno.

– Czy teraz powiesz mi, co się dzieje? – zapytała ponaglająco Kathleen.

– Jest dokładnie tak, jak napisałam – stwierdziła Juliette. – Szaleństwo zakończy się dzisiaj.

– Ale... – Kathleen podrapała się po przedramieniu, zostawiając na skórze wyraźne ślady. – Juliette, nie chcesz chyba powiedzieć, że we dwie mamy zaatakować miejsce, które jest w gruncie rzeczy bastionem komunistów. To niby tylko redakcja, ale jestem pewna, że część pracowników ma broń.

Juliette się skrzywiła.

– Jeśli o to chodzi... – Zobaczyła trzy osoby zbliżające się chodnikiem. Uniosła dłoń, żeby zwrócić uwagę Romy. – Nie panikuj. Potem wszystko wyjaśnię.

Kathleen okręciła się na pięcie. Tak jak zawsze, gdy ktoś mówi, że nie należy panikować, pierwszym odruchem jest panika. Odskoczyła o kilka kroków, kiedy Marshall Seo pomachał do niej z uśmiechem. Benedikt Montagow chwycił przyjaciela za rękę i pociągnął w dół.

Członkowie Białych Kwiatów przeszli pod pnączami, a Roma rzucił coś szybko w kierunku Juliette – coś miękkiego i kwadratowego, zgniecionego w kulkę, żeby mogło polecieć w powietrzu i trafić w jej dłoń. To była duża chusteczka. Ten nieoczekiwany pocisk ułatwił Juliette życie, ponieważ mogła udać, że jej stłumiony okrzyk zaskoczenia ma związek z tym, że musi go chwycić, a nie z tym, że Roma podszedł blisko i omal nie dotknął jej ramienia.

– Żeby zasłonić twarz – wyjaśnił i pokazał, że ma drugą, podobną, w tym samym celu. – Skoro wykonujemy egzekucję... o?

Benedikt i Marshall błyskawicznie zeszywnieli, rozglądając się za zagrożeniem. Ale żadnego zagrożenia nie było, w każdym razie nie tutaj. Roma po prostu zauważył martwą kobietę.

– Skąd ona się tu wzięła? – mruknął Benedikt.

– Na pewno tutaj pracowała. – Marshall wskazał kciukiem jasne ściany budynku redakcji. – Powinniśmy uważać. Możliwe, że zbliża się kolejna fala.

Roma wydał pomruk pełen obrzydzenia, ale nic więcej nie powiedział.

Być może był to przejaw lekkiego sadyzmu ze strony Juliette spotkać się z nimi tutaj, o metr od ciała. Ale powinni to zobaczyć, zanim wejdą do środka. Powinni pamiętać, co dokładnie jest stawką.

Jedno życie winnego człowieka za niezliczone istnienia niewinnych. Jedno życie winnego człowieka, aby ocalić miasto.

Być może to był wybór, jakiego należało dokonać cztery lata temu. Gdyby tylko Juliette miała wtedy duszę bardziej splamioną winą. Wtedy jej śmierć byłaby warta swojej ceny.

Przestań, skarciła samą siebie. Puls dudnił jej w uszach. Trochę obawiała się, że inni mogą go usłyszeć. Zastanawiała się, czy za każdym razem, kiedy otwiera usta, ten odgłos przenika jej pierś i gardło, żeby wyrwać się na zewnątrz.

Musi zapanować nad nerwami. Miewała do czynienia z przeciwnikami znacznie groźniejszymi niż głośnie bicie serca.

Teraz albo nigdy.

Juliette odchrząknęła.

– Plan jest taki... – zaczęła. – Potrzebujemy kogoś, żeby pilnował budynku z tyłu. Gabinet Zhang Gutaia ma okno, przez które może chcieć wyskoczyć.

Roma skinął głową Benediktowi i Marshallowi, którzy bez słowa przeszli na drugą stronę budynku.

– Kathleen... Chciałabym, żebyś jakoś opróżniła parter. Narobiła dość zamieszania, żeby nikt nie przeszkadzał nam w wejściu na piętro i do gabinetu Zhang Gutaia.

Kathleen wyciągnęła pistolet i wzięła go oburącz. Powoli odetchnęła. Skinęła głową.

– Poczekajcie na mój sygnał – powiedziała. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Juliette. – Pochyliła głowę, żeby zanurkować pod pnączami.

Ja też mam taką nadzieję.

– A jeśli chodzi o nas... – Juliette odwróciła się do Romy. Zasłoniła chustką dolną część twarzy. – Gotowy?

– Gotowy.

W budynku redakcji zagrzmiał huk wystrzału. Zaraz po nim rozległy się trzy kolejne. Brzęk tłuczonego szkła. Krzyki zaskoczenia.

– Idziemy.

Podbiegli do drzwi frontowych, wtapiając się w zamieszanie. Nie zobaczyli nigdzie Kathleen, co oznaczało, że potrafiła się szybko stamtąd ewakuować. Zostawiła za sobą ogólne zdumienie, ale nie panikę – ludzie byli tak zajęci naradzaniem się, co należy zrobić, że nie zauważyli Romy i Juliette, którzy wbiegli po schodach. To miało być proste zabójstwo, a nie bezpośrednia konfrontacja. Im szybciej wejdą i wyjdą, tym lepiej.

Niestety na piętrze także byli ludzie: dwóch mężczyzn stało pod drzwiami gabinetu Zhang Gutaia. Być może polecono im, by go pilnowali. Być może Zhang Gutai spodziewał się tego wszystkiego.

– Nie – syknął Roma, zanim Juliette zdążyła się ruszyć. – Nie możemy ich zabić.

– W jakiej sprawie państwo przychodzą? – zawołał obojętnie jeden z mężczyzn.

– Stoją nam na drodze – syknęła Juliette w odpowiedzi.

Mężczyźni przy drzwiach się zaniepokoiłi. Nawet gdyby chustki na twarzach Romy i Juliette nie wydały im się dostatecznie podejrzane, z pewnością nie dało się zignorować pistoletów w ich dłoniach. Mężczyźni ruszyli w ich stronę.

– Noga. – Roma poszedł na kompromis.

– Brzuch.

– Juliette!

– Zgoda!

Juliette wycelowała i przestrzeliła uda obu mężczyzn. Bezlitośnie. Kiedy z wrzaskiem upadli na ziemię, podbiegła do przodu i uderzyła dłonią drzwi gabinetu tak mocno, że walnęły w ścianę, zostawiając na niej ślad.

– Uważaj!

Roma gwałtownie szarpnął ją w bok, mamrocząc pod nosem modlitwę. Rozpędzona kula wbiła się we framugę w miejscu, gdzie przed chwilą była głowa Juliette.

Zhang Gutai stał za biurkiem i znowu wycelował z pistoletu. Trzymał go niepewnie. Na jego twarzy perlił się pot, oczy miał wielkie z przerażenia. W końcu go dopadli.

– Co ja wam zrobiłem? – zapytał Zhang Gutai. Rozpoznał ich. To jasne. Potrzeba było czegoś więcej niż marnej chusteczki, żeby zamaskować Juliette Cai. – O co wam teraz chodzi?

– Chodzi nam o pańskie szaleństwo – odparła donośnie Juliette.

– Nie mam pojęcia, o czym mowa! – krzyknął Zhang Gutai. – Nie mam nic wspólnego z...

Juliette strzeliła. Zhang Gutai spojrzał w dół, na plamę czerwieni rozlewającą się na białej koszuli.

– Nie... – wyszeptał. Pistolet wysunął mu się ze słabnącej dłoni. Zamiast spróbować go podnieść, opuścił rękę na biurko i zacisnął palce na oprawionej w ramkę fotografii starej kobiety. Swojej matki. – Nie... nic na mnie nie macie.

– Larkspur powiedział nam wszystko – oznajmił Roma przez zacisnięte zęby. Nie odrywał wzroku od fotografii w dłoni Zhang Gutaia. – Przykro nam, że tak musi być. Ale musi.

– Larkspur? – wyrzucił Zhang Gutai. Osunął się na podłogę. Zachwiał się, uchodzące życie sprawiało, że z trudem utrzymywał się w pozycji siedzącej.

– Ten... szarlatan? Co on... ma... do powiedzenia...

Juliette strzeliła jeszcze raz, a komunista runął bezwładnie na podłogę. Krew przesiąknęła fotografię, pokrywając spokojną twarz jego matki warstwą lśniącej czerwieni.

Juliette powoli podeszła bliżej i szturchnęła go czubkiem buta w ramię. Przewrócił się na plecy. Jego spojrzenie stało się już całkiem puste. Juliette odwróciła się i schowała pistolet do kieszeni. Miała wrażenie, że ta chwila wymaga powagi, być może atmosfery szacunku, ale w gabinecie czuć było tylko odór krwi. Chciała wydostać się stamtąd jak najszybciej.

Mogła uchodzić za bezduszną morderczynię, jeśli tylko postępowała słusznie. Nic więcej jej nie obchodziło.

– Ktoś idzie – ostrzegł Roma. Przysunął się do drzwi, nasłuchując pospiesznych kroków wbiegających po schodach. – Wyjdź przez okno.

Juliette zrobiła to, co jej polecił. Wysunęła nogę przez otwarte okno i krzyknęła ostrzegawczo do stojących w dole Benedikta i Marshalla. Zaskoczył ich widok jej szyi zbryzganej kropelkami krwi. Jeszcze bardziej zaskoczyło ich, kiedy zawołała:

– Łap mnie, Marshallu Seo.

Zaraz potem runęła w dół, dając Marshallowi ułamek sekundy na rozłożenie ramion. Wylądowała na nim zgrabnie i natychmiast się podniosła.

– Dziękuję.

W budynku zawył alarm. Na pierwszy ostry dźwięk syreny Roma pospiesznie zwiesił się z okna, zaczepiając palcami o parapet. Kiedy się puścił, wylądował miękko na trawie.

– Zrobiliście to? – zapytał natychmiast Benedikt. – Potwór nie żyje?

Roma miał właśnie skinąć głową, kiedy zza rogu wypadła Kathleen. Oddychała ciężko i szybko.

– Dlaczego go nie zabiliście?! – zapytała gwałtownie. – Widziałam, że weszliście na piętro!

Juliette zamrugnęła. W bladym blasku słońca jej dłonie nadal były splamione dowodami jej zbrodni.

– Jak to? – zapytała. – Zabiłam go.

Kathleen zrobiła krok do tyłu. Zaklęła cicho.

– W takim razie nie udało się – powiedziała bezgłośnie. – Szaleństwo. Słyszycie to?

Krótki, ostry krzyk. Chór przenikliwych wrzasków. Strzały, jeden za drugim.

– Nie – westchnęła Juliette. – To niemożliwe!

Rzuciła się biegiem przed siebie. Ktoś zawołał za nią, ktoś inny chciał chwycić ją za łokieć, ale Juliette wyrwała się i obiegła budynek, żeby wrócić na miejsce zbrodni. Nie musiała otwierać drzwi redakcji ani nawet się do nich zbliżać. Przez szklaną szybę biegnącą przez całą ich wysokość zobaczyła w środku trzech pracowników rozrywających sobie gardła i upadających na podłogę w upiornej synchronizacji.

– Nie – wymamrotała ze zgrozą. – Nie, nie, nie... – Kopnęła najbliższą ścianę. Jej but zostawił brudny ślad na nieskazitelnej bieli.

To nic nie dało.

– Juliette, uspokój się! – Kathleen chwyciła ją za nadgarstek i pociągnęła znowu za róg budynku, tuż zanim drzwi się otworzyły, żeby ci, których nie dopadła jeszcze zaraza, mogli rzucić się do ucieczki. Kuzynka chciała ją stąd zabrać, ale Juliette nie mogła się dalej ruszyć. Kątem oka widziała, jak trzej

członkowie Białych Kwiatów obserwują ją, patrzą, jak zareaguje, a mimo to nie potrafiła zebrać dostatecznych sił. Kolana się pod nią ugięły. Bez stawiania oporu poddała się zmęczeniu i opadła na miękką trawę, wbijając palce w ziemię i zaciskając je, aż chłodna gleba dostała się pod paznokcie.

– Hej!

Gwizdki policyjne. Ktoś musiał ich wezwać, gdy usłyszał strzały. Może ktoś z pracowników w środku zadzwonił na najbliższy posterunek, błagając o pomoc. Kiedy jednak umundurowani stróże prawa pojawili się w polu widzenia, bardziej zainteresowała ich piątka gangsterów na uboczu i właśnie do nich skierowali swoje kroki.

W dzień taki jak ten, kiedy w całym mieście wykluwała się rewolucja, policjanci nie mogli się doczekać, żeby kogoś aresztować.

– Uciekajcie – mruknął półgłosem Roma do Benedikta i Marshalla. – Możecie kluczyć w uliczkach, dopóki ich nie zgubicie. Spotkamy się na dachu Jadeitowego Smoka.

Jadeitowy Smok, restauracja znajdująca się niecałe dwie przecznice dalej, była najwyższym budynkiem w okolicy, zawsze wypełnionym gośćmi. Zamieszanie i chaos panujące w tak wielkim lokalu sprawiały, że gangsterzy mogli swobodnie przemykać się po wysokich klatkach schodowych i wspinać na dach, żeby wykorzystać go jako punkt obserwacyjny. Benedikt i Marshall pobiegli na zachód.

– Juliette, chodź już – ponagliła Kathleen, ale Juliette nie ruszyła się z miejsca.

– Ty też, Kathleen – powiedziała. – Zrób to samo, co oni.

– A co z tobą...

– Ciebie mogą aresztować, a mnie nie. Nie ośmieliliby się.

Kathleen przygryzła od środka policzek i spojrzała podejrzliwie na Juliette, a potem na Romę, który stał ze splecionymi ramionami.

– Uważaj na siebie – szepnęła i zanim trzech policjantów zdążyło się zbliżyć, uciekła, błyskawicznie znikając z pola widzenia.

– W imieniu...

– Won – przerwał im Roma po rosyjsku. Policjanci nie zrozumieli go, ale nie musieli. Wystarczyło, że usłyszeli rosyjski i przyjrzeni się jego ubraniu, żeby uświadomić sobie, że mają do czynienia z następcą bossa Białych Kwiatów. Zacisnęli zęby i wymienili poirytowane spojrzenia. Wycofali się bez słowa i pobiegli w stronę, w którą oddalili się Benedikt i Marshall. Mieli nadzieję, że może kogoś uda im się w końcu złapać.

– Juliette – odezwał się Roma, kiedy policjanci zniknęli. – Musisz wstać.

Nie potrafiła. Nie mogła. Przeszła już etap złości i furii, wpadła w odrętwienie. Tak długo podsycala ogień płonący w jej piersi. Teraz płomienie zgasły, a ona odkryła, że nie pozostało w niej nic poza pustą, wypaloną przestrzenią w miejscu, gdzie powinno znajdować się jej serce.

– Po co? – zapytała. – Larkspur nas oszukał. Oszukał nas, żebyśmy wykonali za niego brudną robotę.

Roma westchnął i przykucnął koło niej.

– Juliette...

– Zhang Gutai wcale nie był winny, a ja dokonałam na nim egzekucji – ciągnęła Juliette, nie zwracając uwagi na Romę. – Co osiągnęliśmy? Tylko kolejny rozlew krwi...

– Nie możesz... – powiedział Roma. – Nie możesz się teraz załamywać, *dorogaja*.

Juliette gwałtownie podniosła głowę. Głos uwiązł jej w gardle, aż cały jej przełyk wypełnił się kwaśnym posmakiem. Co on niby próbował zrobić? Była już na dnies. Równie dobrze mógł ją kopnąć kilka razy, żeby upewnić się, że nie żyje.

– Zastrzeliłam go – poinformowała Romę, jakby tego nie zauważył – z zimną krwią. On mi nie zagrażał. On błagał o darowanie życia.

– Podjęliśmy to ryzyko z wyrachowaniem, żeby ocalić miliony. Strzelałaś dla Alisy. Żeby wykorzystać najmniejszą szansę na ocalenie niewinnego życia. Weź się w garść. Natychmiast.

Juliette odetchnęła głęboko. Odetchnęła jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Ile razy jeszcze mogła to zrobić? Ile fałszywych potworów zostanie zamordowanych z niezasłużoną brutalnością, zanim uda im się znaleźć prawdziwego? Czym różniła się od tych morderców, którzy kryli się w zaułkach miasta – tych, których starała się powstrzymać?

Nie uświadamiała sobie, że płacze, dopóki łzy nie spadły na grzbiet jej dłoni. Nie uświadamiała sobie, że kropelki łez zaczęły toczyć się po jej twarzy szybciej niż gwałtowne uderzenia serca, dopóki Roma nie rozluźnił zeszywniałych ramion, a twarde spojrzenie jego oczu nie zmiękło z troski.

Wyciągnął do niej rękę.

– Przestań – wykrztusiła Juliette. Oddychała z trudem, ale uniosła dłoń, żeby odtrącić jego palce. – Nie... potrzebuję twojej litości.

Roma powoli opadł na ziemię, aż ukląkł koło niej.

– Nie lituję się nad tobą – powiedział. – Dokonałaś właściwego wyboru, Juliette.

– Polowaliśmy na potwora, żeby powstrzymać go przed niszczeniem miasta. – Juliette wysunęła przed siebie zakrwawione ręce. – Ale to... to jest potworność.

Roma znowu wyciągnął do niej dłonie. Tym razem Juliette go nie powstrzymała. Przesunął kciukami po jej policzkach, żeby otrzeć łzy, a ona oparła mu głowę na piersi. Jego ramiona otoczyły ją. Były jednocześnie znajome i obce. Dopasowane.

– Potwór – powiedział z twarzą wtuloną w jej włosy – nie odczuwałby żalu.

– Czy ty żałowałaś? – zapytała Juliette ledwie słyszalnym głosem. Nie musiała wyjaśniać, o co jej chodziło. Oboje widzieli to oczami duszy: eksplozję, zniszczenia, krew, utracone istnienia i płomienną czerwień.

– Żałowałem – odparł równie cicho Roma. – Żałowałem przez całe miesiące, przez całe lata, pod bramami cmentarza. Ale nie żałuję, że cię wybrałem. Nieważne, za jak okrutną się uważasz, całe serce oddałaś swoim ludziom. Właśnie dlatego go zastrzeliłaś. Właśnie dlatego zaryzykowałaś. Nie dlatego, że jesteś bezlitosna. Dlatego, że masz nadzieję.

Juliette podniosła głowę. Gdyby Roma odwrócił się choćby odrobinę, ich nosy by się dotknęły.

– Żałuję, że zostałem zmuszony do dokonania takiego wyboru – mówił dalej Roma. Jego słowa były ciche, wypowiedane szeptem, podczas gdy na ulicach ryczały syreny, w budynku obok nich panował chaos, a policjanci obstawili wszystkie skrzyżowania, wykrzykując rozkazy. Mimo to Juliette słyszała go doskonale. – Nienawidzę wojny gangów za to, że zmusiła mnie do takiego działania, ale nie mogę... Zrobiłem to, co musiałem zrobić, a ty możesz mnie z tego powodu uważać za potwora. Wojna zabiera, rani i zabija, a ja mimo to nie potrafiłem przestać cię kochać nawet wtedy, gdy byłem pewien, że cię nienawidziłem.

Kochać. Kochałem.

Nienawidziłem. Kocham.

Juliette odsunęła się, ale tylko po to, żeby spojrzeć Romie prosto w oczy. Jej puls był coraz szybszy. Roma nawet nie drgnął. Patrzył jej w oczy spokojnie, niewzruszenie.

W tym momencie Juliette potrafiła myśleć tylko: *Proszę, proszę, proszę.*

Proszę, nie zniszcz mnie po raz kolejny.

– Dlatego nie możesz mnie więcej oszukać – ciągnął Roma. – Jesteś tą samą nieustraszoną dziewczyną, za której ocalenie oddałbym własne życie. Dokonałem wyboru i uwierzyłem w ciebie, a teraz ty musisz dokonać swojego wyboru. Będiesz walczyć dalej czy się załamiesz?

Spędziła całe życie, robiąc jedno i drugie. Nie potrafiła już odróżnić chwil, kiedy walczyła, od chwil, kiedy ledwie się trzymała, chwiejnie idąc krok za krokiem przed siebie. Może nie było między nimi różnicy.

– Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie – odparła.

Roma przygotował się. Wiedział. Wiedział, o co go zapyta.

– Czy nadal mnie kochasz?

Roma zamknął oczy. Minęła długa chwila. Wydawało się, że Juliette przejęzyczyła się, stanęła nad głęboką szczeliną i źle wyliczyła odległość, a teraz spadała w nieskończenie głęboką otchłań...

– Czy nie słuchałaś tego, co mówiłem? – powiedział Roma łamiącym się głosem. Jego warga zadrżała. – Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

Juliette myślała, że zamiast serca ma pustą dziurę, ale teraz wypełniało ją złoto. Najwyraźniej zresztą jej serce mimo wszystko było zdolne do działania, ponieważ w tym momencie trzepotało, trzepotało...

– Romo Montagow – powiedziała gwałtownie.

Roma wydawał się zaskoczony jej tonem. Otworzył szerzej oczy, w których pojawił się niemal niepokój.

– Słucham?

– Teraz cię pocałuję.

Na kawałeczku trawnika obok bastionu komunistów, wśród tłumy policji ze wszystkich osiedli, pod krzyżującymi się drutami telefonicznymi i zachlapanymi krwią oknami Juliette wyciągnęła ręce do Romy. Ujęła jego twarz i przechyliła ją, żeby dosięgnąć jego warg i pocałować z intensywnością wszystkich straconych lat. Roma odpowiedział jej, obejmując ją w talii i przytrzymując, jakby była czymś cennym, sylfidą pochwyconą na wietrze.

– Wybacz mi – powiedział bezgłośnie, kiedy się rozdzielili. – Wybacz mi, Juliette.

Była zmęczona nienawiścią, krwią i zemstą. Pragnęła tylko jego.

Juliette oplótła go ramionami i przycisnęła podbródek do jego ramienia, przytulając go tak mocno, jak tylko się odważyła. To było jak powitanie po latach, jak powrót do domu. Gdzieś w głębi szeptała w niej myśl: *Znowu się w to pakujemy... nareszcie.*

– Wybaczam ci – powiedziała cicho. – A kiedy już będzie po wszystkim, kiedy potwór zginie, a miasto znowu będzie należało do nas, porozmawiamy na spokojnie.

Roma zdołał się roześmiać. Złożył pocałunek na jej szyi.

– Dobrze. Nie mam nic przeciwko.

– A teraz... – Juliette wypuściła go i wyciągnęła rękę. – Musimy chyba znaleźć potwora.

ROZDZIAŁ 34

Zaczęło kropić. Ludzie na ulicach rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia i pospiesznie składali swoje stragany z *bāozi*. Złościł się na dzieci, każąc im się pospieszyć, ukryć pod dachem, zanim rozpada się na dobre... i zanim z południa odbije się echem ryk wielu gardeł.

Plotki rozeszły się błyskawicznie. Dzisiaj komuniści zamierzali wywołać bunt w Nanshi. Początkowo powstanie miało odbywać się etapami, jedna fabryka za drugą, idąc w swoje ślady w precyzyjnym efekcie domino. Teraz, gdy dowiedzieli się o zabójstwie sekretarza generalnego, zaczęli się spieszyć. Obawiali się, że mordercy mogą przyjść także po innych członków partii. Krzyczeli, przepelnieni żądzą zemsty, i przysięgali, że wszyscy robotnicy powstaną jednocześnie, zanim którekolwiek ognisko buntu zostanie zdeptane.

Deszcz padał bez pośpiechu. Ukryta na dachu piątka młodych gangsterów należała do nielicznych ludzi, którzy zachowali spokój i nie przejmowali się ołowianym niebem. Siedzieli na betonowych płytach, rozproszeni – dwójka koło siebie, całkowicie skoncentrowana, dwójka bardzo blisko siebie i jedna osoba patrząca na miasto, wystawiająca twarz na wiatr i pozwalająca, by krople wody wsiąkały w jej włosy.

Wszyscy byli jednakowo przygnębieni. Próba ocalenia życia bliskiej im jasnowłosej dziewczynki leżącej w szpitalu mogła przynieść wręcz odwrotny skutek. Jeśli dzisiaj naprawdę wybuchnie chaos, śmierć nadciągnie jego śladem.

Mogli się tylko modlić i modlić, aby plotki okazały się plotkami. Mogli tylko wierzyć, że rozchodzące się po mieście szept są przeinaczane szybciej, niż rozprzestrzenia się choroba, i mieć nadzieję, że ten jeden raz się nie mylą.

Poculi silne uderzenie wiatru. Niedaleko zaskrzeczał ptak.

– Może powinniśmy uciec? W jakimś momencie szaleństwo rozprzestrzeni się na całe miasto.

– Dokąd mielibyśmy pojechać?

– Podobno Amerykę zaczęto nazywać „krajem snów”.

Pod niskimi chmurami rozległo się pogardliwe prychnięcie. Ten dźwięk kontrastował z niepokojem sunącym przez arterie miasta. Tylko on oddawał charakter kraju, o którym była mowa, jednocześnie pełen wdzięku i nieprzyjemny, lekceważący i pełen przekonania. „Kraina snów”. Gdzie mężczyźni i kobiety w białych kapturach krążyli po ulicach, aby mordować ciemnoskórych rodaków. Gdzie oficjalne prawa zabraniały Chińczykom postawienia nogi na ich ziemi. Gdzie dzieci emigrantów były oddzielane od swoich matek na Ellis Island i nigdy więcej ich nie widziały.

Nawet kraina snów potrzebowała czasem przebudzenia. A chociaż pod wszechobecną zgnilizną mogło kryć się piękno, chociaż był to kraj ogromny, otwarty i obfitujący w dostatki, pozwalający się ukryć tym, którzy chcieli pozostać w ukryciu, i zabłysnąć tym, którzy chcieli zostać zapamiętani, mimo wszystko to było gdzie indziej.

– Tutaj jest nasze miejsce, Romo. Tutaj zawsze będzie nasze miejsce.

Głos drżał mimo pewności wypowiedzianych słów. Oszukiwali samych siebie. Potomkowie, którzy uważali się za królowe i królów, zasiadających na złotym tronie i spoglądających z góry na migotliwe, bogate imperium.

W rzeczywistości wcale nimi nie byli. Byli przestępcami – przestępcami stojącymi na czele imperium złożonego ze złodziei, handlarzy narkotyków i sutenerów, szykującymi się do przejęcia władzy nad czymś popsutym, okropnym, godnym pożałowania, co zawsze patrzyło na nich ze smutkiem.

Szanghaj wiedział. Wiedział od samego początku.

To przeklęte miejsce lada moment miało rozpaść się na kawałki.

– Marnujemy czas, chowając się tutaj – powiedział Marshall. Niecierpliwiał się, wiercił się i bezustannie szurał butami po liniach na betonie.

– A co mamy robić? – zapytała Juliette, odchylając głowę do tyłu. Powstrzymała się przed oparciem się o Romę, choćby dlatego, że Kathleen z pewnością przeraziłby ten widok. – Jeśli Larkspur ma jakiś związek z szaleństwem, od naszej wizyty z całą pewnością zdążył zmienić miejsce pobytu i zatrzeć wszelkie ślady swojej obecności. Natomiast jeśli nie ma związku z szaleństwem i okłamał nas w sprawie wina Zhang Gutaia tylko po to, żebyśmy go zabili, to koniec. – Juliette rozłożyła ręce. – Ślepy zaułek.

– To niemożliwe – wymamrotała półgłosem Kathleen. – Jak to jest, że w tak wielkim mieście nikt o niczym nie wie?

– Nie chodzi o to, kto może coś wiedzieć – powiedział Benedikt. – Chodzi o czas, który nam został. Nie możemy odłączyć Alisy od urządzeń w szpitalu bez zagrożenia dla jej życia. Nie możemy także zostawić jej tam, skoro w fabrykach tuż obok ma wybuchnąć rewolucja.

– Może się nie zacząć jeszcze przez całe tygodnie – powiedział Marshall. – Na wiece nadal nie przychodzi aż tak wielu ludzi. Ich siły nie są jeszcze dostatecznie potężne.

Roma potrząsnął głową tak, że poruszyło się całe jego ciało.

– Ich siły mogą nie być aż tak potężne, ale wszyscy inni są osłabieni – powiedział. – To szaleństwo zabrało bardzo wielu, zarówno ciałem, jak i umysłem. Ci, którzy pozostali żywi, nie pozostali lojalni.

– To kwestia czasu – potwierdziła Kathleen.

Benedikt westchnął ze złością.

– To wszystko nie ma nawet odrobiny sensu.

Marshall mruknął coś do niego, a Benedikt odpowiedział poirytowanym syknięciem. Ponieważ rozmowa rozdzieliła się, a Kathleen sprawiała wrażenie pogrążonej w myślach, Juliette odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Romę i cmoknęła cicho, by zwrócić jego uwagę.

– Wymyślimy jakiś sposób – powiedziała, kiedy popatrzył w dół. – Jeszcze nic nie jest przesądzone.

– Jeszcze nie – odparł przyciszonym głosem. – Ale oni ją zabiją. Poderzną jej gardło we śnie. Umrze tak samo jak moja matka.

Juliette zamrugała. Wyprostowała się i odwróciła do niego.

– Twoja matka zmarła z powodu choroby.

Kropla deszczu spadła na policzek Romy. Otarł ją takim samym ruchem, jakim mógłby otrzeć łzę. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, we wzroku Romy nie było cienia zaskoczenia, zdziwienia tym, że Juliette wierzy w coś takiego. Był tylko łagodny, przejmujący... smutek.

– Nie stało się tak? – naciskała Juliette. Z jakiegoś powodu zaczęła się pocić. – Jaki związek może mieć choroba z poderżnięciem gardła?

Roma potrząsnął głową. Powiedział miękko, niemal pieszczotliwie:

– To był atak Szkarłatnych, *dorogaja*.

Juliette nagle zapomniała, jak się oddycha. Przed oczami pojawiły jej się ohydne fioletowe kropki. W głowie zawirowało. Potrzebowała całej siły woli, aby nie poruszyć się, nie okazać niczego na zewnątrz.

– Wojna gangów to wojna gangów. Nie zastanawiaj się nad tym. Nie roztrząsaj tego. To nie twoja wina.

– Myślałam, że była chora – wykrztusiła Juliette. – Powiedziano mi, że była chora.

Lady Montagowa zmarła dwa tygodnie po wyjeździe Juliette z Szanghaju. Dwa tygodnie po ataku na posiadłość Szkarłatnych, w którym zginęli wszyscy służący.

O Boże, o Boże, o Boże, o Boże...

– To wersja oficjalna, żeby Białe Kwiaty nie straciły twarzy – wyjaśnił Roma. – Znaleziono ją z czerwoną różą wciśniętą w dłoń.

– Chwila!

Nagły okrzyk Benedikta sprawił, że Juliette szarpnęła się gwałtownie, wyrwana z odrętwienia, a Roma dziwnie na nią spojrział. Położył jej uspokajająco rękę na plecach – przypomnieli sobie na nowo, bez żadnej ceremonii, wszystkie gesty z przeszłości.

Juliette ledwie zwróciła na to uwagę. W głowie kłębiły jej się gorączkowe myśli.

Musisz mu powiedzieć. Musi o tym wiedzieć.

Nigdy mi nie wybacz.

Juliette szybko potrząsnęła głową, żeby oprzytomnieć. To była sprawa, którą należało zająć się później. Nic nikomu nie przyjdzie z rozmyślenia o tym teraz.

– Co takiego powiedział wam Larkspur? – zapytał gwałtownie Benedikt. – Powtórzcie mi to słowo w słowo.

– Benedikcie, mówiliśmy już wcześniej...

– Jeszcze raz – rzucił ostro. – Było w tym coś bardzo znajomego.

Roma i Juliette wymienili zdziwione spojrzenia.

– Powiedział: „Zhang Gutai przemienia sam siebie w potwora. Robię szczepionkę na podstawie informacji, które od niego uzyskuję” – powtórzył Roma. Dłoń Benedikta uniosła się błyskawicznie i ścisnęła ramię Marshalla.

– A przedtem?

– To właściwie bez znaczenia. – Juliette zmarszczyła nos.

– Jeśli już to mówiliście, powtórzcie teraz.

– Zapytał: „Chcicie wiedzieć, co mnie łączy z Zhang Gutaiem?” – powiedział Roma. – O co chodzi?

Zmarszczka na czole Benedikta jeszcze się pogłębiła. Kathleen podeszła ostrożnie bliżej, jakby już nie wystarczało, że cała ich piątka stoi rozproszona na niewielkim dachu, musieli się ścieśnić, utworzyć krąg, aby nie umknęły im strzępki informacji, którymi się wymieniali.

– Kiedy obserwowaliśmy mieszkanie Zhang Gutaia – zaczął powoli Benedikt – widzieliśmy jednego cudzoziemca za drugim, którzy przychodzili spotkać się z jego asystentem. Próbowali rozmawiać o polityce, ale wychodzili po kilku minutach.

Gruba kropla deszczu spłynęła po jego czole.

– Chodzi o tego Francuza, za którym pobiegłeś? – zapytał Marshall.

Benedikt skinął głową.

– Próbowalem go zastraszyć, żeby powiedział mi, po co tam przyszedł – wyjaśnił. – Ale on tylko powtarzał, że jego interesy z Zhang Gutaiem to nie moja sprawa. Wtedy nie wydało mi się to szczególnie dziwne, ale... – Benedikt zmarszczył brwi. – Dlaczego mówił o swoich interesach z Zhang Gutaiem, skoro spotkał się z jego asystentem?

Fakty zaczęły układać się w głowie Juliette jeden za drugim.

Być może Larkspur także się pomylił.

– Asystent Zhang Gutaia – powiedziała Juliette. – Nie sądzę, żeby był także jego asystentem w redakcji „Labor Daily”, prawda?

– Owszem, jest nim – odparła stanowczo Kathleen. – Nazywa się Qi Ren. Jest protokolantem na spotkaniach komunistów. Robi także notatki służbowe dla Zhang Gutaia.

Puste biurko z wiadomością dla Zhang Gutaia. Rysunki przedstawiające potwora. Drżące drzwi, jakby ktoś właśnie opuścił swoje miejsce, czując napierającą przemianę, i uciekł na zewnątrz, żeby nikt go nie zobaczył...

Juliette przypomniała sobie, że Qi Ren próbował udawać Zhang Gutaia, kiedy ona i Roma zapukali do jego mieszkania. Pamiętała, jak naturalnie to powiedział, jakby był do tego przyzwyczajony: jakby do jego zadań należało spotykanie się z ludźmi, na których Zhang Gutai nie zamierzał tracić czasu. Jakby był przyzwyczajony do podszywania się pod swojego przełożonego, działania w jego imieniu i rozmawiania z niemającymi o niczym pojęcia cudzoziemcami, którzy domagali się spotkań.

– Może Larkspur nie kłamał – powiedziała cicho Juliette. – Może wydawało mu się, że kiedy zdemaskował przed nami Zhang Gutaia jako potwora, mówił prawdę.

Co oznaczało, że od samego początku to nie Zhang Gutai był potworem z Szanghaju.

Był nim Qi Ren.

Bez żadnego ostrzeżenia budynek pod ich stopami zakołysał się gwałtownie. Wszyscy zerwali się na równe nogi, gotowi do odparcia ataku. Nikt się nie pojawił, ale na ulicach rozległy się krzyki, a gdy wraz z deszczem dotarła do nich fala ciepła, uświadomili sobie, że stało się coś bardzo złego.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na dachu mieli widok na dwie lub trzy przecznice w każdą stronę. Na zachodzie, przed posterunkiem policji szalał pożar. Wywołała go eksplozja – to była to uderzenie, które poczuli. Wstrząsnęło zaniedbanymi kamienicami wokół, wzbijając w powietrze warstwę drobnego pyłu i brudu, która po chwili opadła na chodnik.

W tym kurzu robotnicy wlewali się do wnętrza posterunku jak kolonia mrówek. Na prawym ramieniu wszyscy mieli zawiązane czerwone chustki. Jaskrawe jak flary.

To nie były schludne mundury cudzoziemskiej armii. To były łachmany prostych ludzi, którzy postanowili się zbuntować.

– To się zaczyna tutaj – wymamrotała z niedowierzaniem Juliette. – Protesty zaczynają się w samym mieście.

Ktokolwiek to wymyślił, musiał być geniuszem. W mieście panował zbyt wielki chaos, by dało się łatwo stłumić zamieszki. Niepokoje w mieście mogły poderwać do działania ludzi na jego obrzeżach, zachęcić ich, aby powstali z wielką gwałtownością i zaczęli siał zniszczenie.

Zaczyna się.

– Szpital! – Roma aż się zachłysnął. – Benedikt. Marshall. Biegnijcie do szpitala! Chrońcie Alisę!

Trzeba było ją chronić, dopóki nie uda się zabić potwora.

– Wracaj do domu, Kathleen – poleciła Juliette. – Zwołaj wszystkich gości. Niech ostrzegą właścicieli fabryk i każą im natychmiast uciekać.

Na pewno zostali już uprzedzeni, że mogą spodziewać się powstania. Ostrzeżono ich przed masowymi wiecami i wrzaskami, że trzeba zakończyć rządy gangsterów. Nikt jednak nie spodziewał się, że wszystko potoczy się tak szybko. Nikt nie spodziewał się takiego nasilenia niepokojów. Za ten błąd w szacunkach zapłacą własnymi głowami.

Kathleen, Benedikt i Marshall, nie tracąc ani chwili, pobiegli na dół. Roma i Juliette pozostali na dachu o jeden moment dłużej, otoczeni przez ogień i harmider.

– Jeszcze raz – zapowiedziała Juliette. – Tym razem zrobimy to, co trzeba.

ROZDZIAŁ 35

Roma i Juliette biegli po schodach do mieszkania Zhang Gutaia, gdzie powinien znajdować się Qi Ren. W pewnym momencie Juliette zauważyła na swoich palcach jeszcze świeżą krew. Pochodziła ze śladów dłoni na poręczy schodów, której Juliette przytrzymała się, kiedy bez odpoczynku pokonywali jedno piętro za drugim.

W końcu znaleźli się na najwyższym poziomie. Stali przed drzwiami Zhang Gutaia.

– Jak to zrobimy?

– Właśnie tak.

Roma kopniakiem wyważył drzwi.

W mieszkaniu Zhang Gutaia panował kompletny chaos. Kiedy Roma i Juliette weszli ostrożnie do środka, wdepnęli prosto w wodę. Juliette westchnęła nerwowo, a Roma zaklął. Drewniana podłoga była zupełnie zalana. Woda sięgała im do kostek i z każdą chwilą było jej coraz więcej. Gdyby nie wysoki próg, wylałaby się przez otwarte drzwi z mieszkania i spłynęła klatką schodową w dół.

Juliette czuła, że coś jest nie tak. Przykucnęła i zanurzyła rękę w wodzie, zmarszczyła brwi, czując chłód przenikający jej palce. Woda wirowała, tańczyła, pluskała. Kojarzyła się z Huangpu, która zawsze wydawała się poruszać w najróżniejszych kierunkach, niosąc na swoich falach wszystko, co wpadło w jej nurt, zabierając tych, którzy zmarli na jej brzegach. Gangsterów załatwiających porachunki w porcie. Rosjan na pokładzie statku.

Pierwsze ofiary każdej fali szaleństwa..., pomyślała nagle Juliette. *Czy nie były zawsze znajdowane nad rzeką Huangpu?*

– Juliette! – zawołał przyciszonym głosem Roma, żeby zwrócić jej uwagę. – To wygląda, jakby toczyła się tutaj walka.

Juliette podniosła się i strzepnęła wodę z dłoni. W głębi mieszkania znaleźli rozsypane wszędzie papiery – cienkie ulotki propagandowe i grubsze karty z ksiąg rachunkowych – liczby, litery i znaki zatarte w jedno przez wodę.

Juliette przeszła dalej i zajrzała do kuchni, gdzie zobaczyła przewracane garnki i patelnie, nie tylko unoszące się w przepelnionym wodą zlewie, ale też leżące na stole i powgniatane, jakby ktoś wziął rondel i metodycznie nim uderzał.

– Gdzie on jest? – zapytała szeptem Juliette.

Stan mieszkania tylko pogłębił jej konsternację. Dlaczego starszy człowiek, asystent komunistycznego działacza, miałby przemienić się w potwora? Dlaczego zalał podłogę i uszkodził wszystkie sprzęty kuchenne?

– Nie ma go tutaj – powiedział Roma. Wpatrywał się w coś za jej plecami. – Ale jest tu ktoś inny.

Juliette spojrzała w stronę, którą wskazywał, i zobaczyła bezwładną sylwetkę w kącie salonu. Ona i Roma siedzieli w tym pokoju, kiedy Qi Ren poczęstował ich herbatą. Teraz krzesła zostały przewracane, a rozbite na kawałki radio leżało na dywanie, niedaleko młodego, nieprzytomnego mężczyzny. Jego nogi były rozłożone w kształt litery V i zanurzone częściowo w wodzie, plecami opierał się o ścianę, a głowę miał pochyloną do przodu tak, że widać było tylko jej czubek. Juliette rozpoznała posklejane krwią ciemnoblonde włosy i otworzyła szeroko oczy.

– O Boże, to Paul Dexter.

– Paul Dexter? – powtórzył Roma. – Co on tutaj robi?

– Też chciałabym to wiedzieć – mruknęła Juliette.

Podbiegła do Paula, przyklękła w płytkiej wodzie i potrząsnęła nim energicznie. Na czole miał głębokie zadrapanie, a na szyi ślady przypominające cztery pazury. Czerwone krechy na bladej skórze.

Juliette potrząsnęła nim mocniej.

– Paul! Paul, obudź się!

Powieki Paula powoli drgnęły. Kiedy Juliette po raz trzeci zawołała go po imieniu, otworzył w końcu oczy i spojrzał na nią. Zmarszczył brwi.

– Panna Cai? – powiedział ochryple. – Co pani tutaj robi?

– Niech pan mi to powie pierwszy – odparła sucho Juliette.

Paul zakaszlał rżącym głosem, jakby w jego gardle nie pozostała ani odrobina wilgoci.

– Przysłał mnie Larkspur – powiedział powoli. Rozejrzał się i pomacał rękami wokół siebie. Z wyraźną ulgą znalazł teczkę, która unosiła się na wodzie.

– Co robisz na podłodze? – zapytał Roma.

Paul zeszywniał nagle, jakby to pytanie sprawiło, że wspomnienia zaczęły do niego wracać. Skrzywił się i wstrzymał oddech, żeby usiąść wygodniej i wyprostować na tyle, by móc położyć sobie teczkę na kolanach.

– Potwór... – Paul odetchnął głęboko. – Zaatakował mnie.

– Zaatakował tutaj? – zapytała gwałtownie Juliette. Wstała i okręciła się na pięcie, rozchlapując wodę, aby rozejrzeć się po salonie. – Gdzie jest teraz?

– Ja... nie wiem – odpowiedział Paul. Spojrzał w dół, ponieważ otworzył teczkę, żeby sprawdzić jej zawartość. Przełożył sobie coś do kieszeni. – Niech to, on nadal może tu być. Czy może pani pomóc mi wstać, panno Cai?

Juliette spojrzała na niego przez ramię, zaabsorbowana podnoszącym się poziomem wody i poczuciem, że coś naprawdę jest nie tak, i wyciągnęła rękę. Ugryzła się w język, żeby powstrzymać arogancki docinek na temat bezużyteczności Paula Dextera.

To była jej wina, że go zlekceważyła. Kiedy zacisnął dłoń na jej ręce i pozwolił, żeby pomogła mu się podnieść na nogi, drugą ręką wyciągnął z kieszeni strzykawkę. Ramię Juliette napięło się, żeby go podciągnąć w górę... i w tym momencie Paul wbił igłę w jej odsłonięte żyły.

Juliette zachłysnęła się, igła zaślniła. Zanim zdążyła cofnąć rękę, Paul wcisnął tłok strzykawki i opróżnił fiolkę błękitu prosto w jej żyły.

Juliette poniewczasie szarpnęła się do tyłu, ściskając mocno miejsce wkłucia.. Roma zdążył ją złapać, zanim przewróciła się w wodę z powodu szoku.

– Zrobił ci krzywdę? – zapytał natychmiast Roma.

– Nie – odparła Juliette. Powoli odsunęła dłoń przyciśniętą do skóry i dostrzegła ledwie zauważalną kropelkę czerwieni. – On mnie zaszczepił.

Paul wyprostował się teraz na pełną wysokość, upuścił zużytą strzykawkę i przestał zachowywać pozory.

– Chcę ci tylko pomóc, Juliette – powiedział. – Nie chcę, żebyś umarła. Kocham cię.

Juliette roześmiała się krótko.

– Nie, tak naprawdę wcale nie – oznajmiła z rozbawieniem. – Nie na tym polega miłość.

Twarz Paula gwałtownie spochmurniała. Wskazał oskarżycielsko Romę, który nadal obejmował Juliette ramieniem.

– A to jest miłość? Miłość splamiona krwią wszystkich twoich martwych towarzyszy?

Oddech uwiązał Juliette w gardle. Nie chodziło o oskarżenie rzucone przez Paula, ledwie słyszała jego słowa. Chodziło o jego niski, gardłowy głos.

Przypomniała sobie nagle, gdzie już wcześniej go słyszała.

– Chcesz porozmawiać o moich martwych towarzyszach? – syknęła. – Więc porozmawiajmy, Larkspurze.

Roma odetchnął gwałtownie. Paul tylko się uśmiechnął. Nie próbował zaprzeczać. Przechylił głowę z drwiąco anielskim wyrazem twarzy.

– Chciałem ci o tym powiedzieć, Juliette – oznajmił. – Przyznaję, że kiedy wyobrażałem sobie moment tego wyznania, spodziewałem się, że będziesz bardziej pod wrażeniem.

– Pod wrażeniem? – powtórzyła Juliette. Może trzy decybele dzieliły jej głos od skrzeku. – Pod wrażeniem czego?

– Tego, że całe miasto tańczy jak kukielka na moich sznurkach? – Paul sięgnął do kieszeni, a dłoń Juliette przesunęła się odrobinę bliżej pistoletu, ale on wyciągnął tylko kolejną niebieską fiolkę i uniósł ją do światła. Rozszczepiło się w iskierki barwy lapis-lazuli, które zatańczyły na beżowych ścianach. – To, że znalazłem rozwiązanie problemów mojego ojca? Powiedz mi, Juliette, które dziecko nie chciałoby, żeby jego rodzice byli tak szczęśliwi, jak to możliwe?

Juliette uniosła pistolet. Na twarzy Romy odmalował się powściągany lęk, a chociaż Juliette wiedziała doskonale, jak ryzykowne jest dalsze prowokowanie Paula, zanim dowiedzą się, jakiego jeszcze asa ma w rękawie, kłębiło się w niej zbyt wiele gniewu, żeby mogła zapanować nad sobą tak, jak robił to Paul.

– Wszyscy ci gangsterzy i kupcy, którzy zginęli nad rzeką... – powiedziała. – Myślałam, że to robota komunistów. Myślałam, że to oni chcą wyeliminować zagrażających im kapitalistów. – Roześmiała się z goryczą. – A to byłeś ty. Ty chciałeś otworzyć sobie rynek, żeby twoja firma mogła prosperować. Pozbywałeś się zagrożenia, żeby nikt nie kwestionował działalności Larkspura.

Paul uśmiechnął się promiennie, aż zaśniły jego białe zęby.

– To genialny plan, nieprawdaż? I pomyśleć, że wszystko zaczęło się, gdy w Anglii znalazłem maleńkiego owada.

– Ty głupcze – syknęła Juliette. – Jak śmiałeś...

– Na początku chciałem oddać temu miastu przysługę – przerwał jej Paul. Jego oczy pociemniały. Był urażony złością Juliette, nigdy wcześniej nie widział jej poirytowanej. – Nie czytałaś gazet? Nie słyszałaś plotek? Wszyscy mówili o tym, że kapitalistyczne przedsiębiorstwa będą zagrożone, jeśli Szanghaj dostanie się pod wpływ realnych sił politycznych, a komuniści sprawiali wrażenie najpoważniejszych kandydatów do przejęcia władzy. Chciałem tylko pomóc. Zamierzałem pozabijać komunistów. Z pewnością nie będziesz tego potępiać.

Juliette potępiała to z całego serca. Ale to nie był odpowiedni moment, by wyrażać takie uczucia na głos.

– Chciałeś jako pierwszego zarazić Zhang Gutaia – domyśliła się. Szybkim spojrzeniem objęła salon, przewrócone krzesła. Nagle coś dostrzegła. Pod jej nogami zamiast jednej zużytej strzykawki leżały dwie. Skąd się wzięła ta druga? Co ważniejsze, na kim została użyta? – Nie zorientowałeś się, że rozmawiasz z jego asystentem.

– Ale to nie miało znaczenia, prawda? – Paul zrobił krok do przodu. Roma i Juliette odsunęli się. – Myślałem, że pierwszy owad będzie po prostu przeskakiwać z jednego żywiciela na następnego i pozabija komunistów pojedynczo. Nie wyobrażasz sobie, jak byłem zaskoczony, kiedy staruszek przemienił się w potwora! Nie wyobrażasz sobie, jak byłem zaskoczony, kiedy stał się matką roju i wypuścił z siebie tysiące zreplikowanych owadów zdolnych postawić na głowie gospodarkę tego miasta!

Wściekłość sprawiała, że ręka Juliette zaczęła drżeć. Roma położył dłoń na jej łokciu, ale to nie przekonało jej do opuszczenia broni.

– Woda – wyszeptała Juliette. To było na wpół pytanie, a na wpół odpowiedź, którą już знаła. Poruszyła stopą, burząc podnoszącą się wokół nich wodę, która sięgała już do połowy łydki. Paul zamierzał pozabijać komunistów, ale jego plan uległ zmianie, kiedy okazało się, że potwór pojawia się zawsze nad rzeką Huangpu. Rzeka była bijącym sercem miasta, zaraza, która brała z niej początek, sprawiała, że szaleństwo dosięgało gangsterów działających w dokach i handlowców uczęszczających na spotkania w interesach.

Oni nie byli nawet głównymi celami. Tak się po prostu składało, że gangsterzy i handlowcy spędzali najwięcej czasu nad rzeką Huangpu, gdzie udawał się potwór, aby wypuścić swoje owady.

Z każdą falą szaleństwa interesy prowadzone przez Waltera Dextera rozkwitały. Larkspur wkroczył nagle ze szczepionką, która pozwalała zarobić więcej, niż przeciętny kupiec mógłby sobie wymarzyć w najśmielszych snach. Szczepionką, na którą prostych robotników i tak nie było stać. Szczepionką, na którą było stać kupców, ale oni dostawali sól fizjologiczną, dającą im fałszywą pewność, a potem śmierć. Padali jak muchy, aby opróżnić rynek i zostawić więcej miejsca dla Waltera Dextera.

– Woda – powtórzył jak echo Paul. – Co za szczęście, że to miasto leży nad morzem.

Juliette nie była w stanie dłużej tego wytrzymać. Odbezpieczyła pistolet.

– Brzydę się tobą.

Paul zrobił jeszcze krok do przodu.

– Mój ojciec poświęcił wszystko, aby zrobić fortunę w tym kraju.

– Och, czyli twój ojciec zasmakował odrobiny ubóstwa – parsknęła drwiąco Juliette. – Czy to było tego warte? Czy jego sukces jako przedsiębiorcy był wart życia wszystkich moich ludzi?

Paul westchnął i zaczął wyłamywać sobie palce, jakby nagle dopadło go poczucie winy.

– Jeśli naprawdę tego chcesz – powiedział, jakby ofiarowywał jej wspaniałomyślny gest z dobroci serca – mogę wytwarzać masowo szczepionkę dla Szkarłatnego Gangu i...

– Nie rozumiesz – przerwała mu Juliette. – Nie chcę twojej szczepionki. Chcę, żeby szaleństwo ustało. Chcę, żeby potwór zginął.

Paul znieruchomiał, a jego uniesione z nadzieją brwi wróciły na swoje miejsce. Stał się tym, kim był od początku. Maski opadła.

– Czy narzekałabyś, gdyby szaleństwo zabijało tylko Białe Kwiaty? – zapytał zimno.

Juliette odparła tak gwałtownie, że z jej ust przysnęły kropelki śliny.

– Tak.

– To z jego powodu, prawda? – Paul ruchem głowy wskazał Romę. Ten jeden gest krył w sobie tysiąc nienawistnych ukłuc. – Cóż, przykro mi z tego powodu, Juliette, ale nie możesz zabić Qi Rena. Nie pozwolę na to.

– Nie powstrzymasz mnie – zapowiedziała Juliette. – Lepsi od ciebie próbowali i nie zdołali tego zrobić. Gdzie on jest?

Paul uśmiechnął się. W tym uśmiechu kryło się skazanie całego miasta na potępienie, przesyconie każdego jego zakamarka goryczą. Natomiast Juliette – Juliette poczuła, że przerażenie paraliżuje jej ruchy, gęsia skórka pokrywa każdy centymetr jej ciała. Przeszedł ją dreszcz.

Woda w mieszkaniu pluskała cicho. Ktoś wyszedł z sypialni.

Roma i Juliette odwrócili się błyskawicznie. W pokoju rozległ się drżący wdech. A po chwili pełen znużenia wydech.

Potwór wyszedł na światło dzienne, drżąc z wysiłku. Qi Ren był gdzieś tam w środku, Juliette mogła to poznać po opadających w geście zmęczenia ramionach potwora i jego wiecznie przymrużonych oczach, jakby wada wzroku starszego mężczyzny przeniosła się także na tę postać. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Oczy potwora były całkowicie nieprzezroczyste i lśniące srebrem, śluzowate i mające podobną fakturę jak wodorosty. Od stóp do głów był zbudowany z żyłastych, niebieskozielonych mięśni, z łuskami na piersi i kręgami przyssawek wzdłuż rąk.

Z wiotkich, szarych warg potwora wydobył się żaloszny syk, a potem dźwięk, który mógł być tylko oznaką bólu. Przycisnął płetwiastą kończynę do brzucha i pochylił się, walcząc o oddech. Trójkątne kolce zjeżone na jego kręgosłupie zadrżały gwałtownie. Kilka sekund później wszystkie zniknęły, kryjąc się we wnętrzu potwora i pozostawiając otwory w kształcie rombów.

Juliette poczuła, że Roma chwyta ją za rękę. Szarpnął mocno, żeby spróbować odciągnąć ją do tyłu.

– Nie – powiedziała ledwie słyszalnie Juliette. – Nie, on wypuszcza owady tylko w rzece. Ani razu nie wypuścił ich w innym miejscu.

Prawda?

Paul się roześmiał. Usłyszał wahanie w jej głosie.

– Widzisz, Juliette... – Paul poprawił mankiety koszuli. – To było naprawdę irytujące, że Qi Ren przemieniał się z powrotem natychmiast po wypuszczeniu owadów. Dlatego trochę się pobawiłem. Zrobiłem pewne... poprawki, że tak powiem.

Druga strzykawka.

Z kręgosłupa potwora spadł owad. Potem kolejny. Wylażyły powoli jak cieknąca kropelkami woda, spływająca powoli po suchym asfalcie.

– Uciekaj! – zawołał Paul. Otworzył na oścież przesuwane drzwi na małe balkon, wpuszczając falę wiatru i falę dźwięku. Potwór, nie tracąc ani chwili, rzucił się w stronę tych drzwi i wypadł na balkon z taką gwałtownością, że zerwał płat tynku i roztrzaskał wszystkie doniczki z kwiatami.

Kiedy zatrzymał się na krawędzi balkonu, szykując się do skoku, owady zaczęły się z niego wylewać.

– Nie! – wrzasnęła Juliette i ruszyła do przodu.

Było już za późno. Potwór zeskoczył z balkonu i wylądował z łoskotem na ulicy w dole, a owady sypały się z niego i sypały, zeskakiwały na ziemię i rozbiegały we wszystkich kierunkach. Skala zakażeń będzie kolosalna. Jeśli potwór przebiegnie przez miasto, pomiędzy stłoczonymi ludźmi – jeśli trafi w środek zamieszek o tej porze dnia, liczba ofiar będzie niewyobrażalna.

Juliette strzeliła: raz, potem jeszcze raz i jeszcze raz, z nadzieją, że zdoła zabić monstrum albo przynajmniej je spowolnić, ale kule odbijały się od jego grzbietu, jakby celowała do stalowej tarczy. Potwór ruszył przed siebie, poczłapał ciężko ulicą, z każdym krokiem przyspieszając.

– To nie ma sensu, Juliette.

Juliette wrzasnęła, odwróciła się do wnętrza mieszkania i znowu strzeliła. Furia sprawiła, że jej ręka zadrżała, Paul zdążył się zachwiać i odskoczyć na bok. Kula zaledwie drasnęła go w ramię, ale on skrzywił się i cofnął pod ścianę. Przycisnął palce do rany.

– Jak mamy go powstrzymać? – zapytał gwałtownie Roma. Dwoma krokami pokonał długość pokoju, chwycił Paula za kołnierz i potrząsnął nim. – Jak mamy to powstrzymać?!

– Nie możecie – wychrypiał Paul z szerokim, niemal błogim uśmiechem. – Nie zdołacie powstrzymać potwora. I nie zdołacie powstrzymać mnie. – Błyskawicznie złapał Romę za rękę i wykręcił ją, aż Roma musiał go wypuścić, tłumiąc jęk. Paul pochylił się, a chociaż Juliette znowu wycelowała i spróbowała strzelić, był szybszy.

Trzy kule wbiły się w ścianę, tworząc prostą linię. Paul Dexter porwał z wody swoją teczkę, przycisnął ją do piersi i uciekł z mieszkania.

– Szlag, szlag – wymamrotał Roma. – Zaraz go dopadnę.

– Nie! – Juliette stanęła w drzwiach balkonu, żeby rozejrzeć się po okolicy. Jej oddech przyspieszył, gdy uświadomiła sobie, co się dzieje. – Potwór kieruje się na wschód. Myślę, że chce wrócić do rzeki Huangpu.

Jeśli potwór biegł do rzeki, musiał po drodze przeciąć całą Koncesję Francuską. Juliette z trudem była w stanie przełykać z powodu guli w gardle. W nosie i oczach czuła pieczenie. Potwór musi przebiec koło wszystkich otwartych sklepów, koło wszystkich dzieci jedzących bułeczki z czerwoną fasolą na schodach przed tymi sklepami. Musi przemierzyć centrum miasta, gdzie uczniowie i studenci wyszli z sal lekcyjnych, aby protestować, a starsi ludzie udali się na codzienny popołudniowy spacer.

Juliette chwyciła zasłonę i zerwała ją z karnisza.

– Biegnij tam, Roma – poleciła. – Dotrzyj do rzeki, zanim jemu się to uda. Przegoń stamtąd ludzi.

– A ty?

Juliette skręcała zasłonę, aż zrobiła z niej mocną linę, aż gruby sznur mógł utrzymać jej ciężar. Ogniska zamieszek przemieszczały się, rozprzestrzeniały w różnych dzielnicach, niezależnie od tego, który kraj władał chodnikami pod stopami protestujących. Nie będą wiedzieli o nadejściu potwora, dopóki owady nie wpełzną w głąb ich czaszek.

– Muszę ostrzec wszystkich na jego drodze, żeby uciekali do domów – powiedziała cicho Juliette. Wyszła na balkon, zgniatając pod butami potłuczone odłamki doniczek. Obejrzała się przez ramię. – Spotkamy się w Bundzie.

Roma skinął głową. Wydawało się, że chciał powiedzieć coś jeszcze, ale czas był teraz kluczowy, więc spojrzał tylko na Juliette w sposób, który skojarzył jej się z czułym uściskiem. Potem odwrócił się i wybiegł z mieszkania.

Juliette zacisnęła zęby.

– No dobrze – powiedziała. – Zaczynamy.

Jej spojrzenie padło na rurę biegnącą po zewnętrznej elewacji, tuż koło krawędzi balkonu. Podciągnęła się na balustradę i dla równowagi oparła o ścianę. Co kilka sekund patrzyła w dół, na ulicę, żeby śledzić ruchy potwora zmierzającego na wschód. Jeszcze parę chwil, a zniknie jej z oczu. Musiała się pospieszyć.

– Proszę, nie zerwij się – błagała, wciskając jeden koniec zasłony pomiędzy rurę a ścianę. – Proszę, proszę, proszę... – Wyciągnęła zasłonę z drugiej strony i skrzyżowała oba końce wokół rury, jakby wiązała na niej krawat.

Zeskoczyła z balkonu. Zjazd w dół był szybki i nieprzyjemny, kiedy wylądowała na ulicy, siła tarcia prawie rozdarła zasłonę na dwie części, ale to nie miało znaczenia. Juliette rzuciła się do biegu, podnosząc pistolet do góry.

– Do domów, do domów! – wrzasnęła. Wystrzeliła w niebo, zaskakując tych, którzy nie byli dostatecznie blisko, żeby usłyszeć jej ostrzeżenie. Kiedy zaczęła ścigać potwora, zobaczyła chaos, jaki za sobą pozostawił. Owady wspinały się na uliczne stragany, a przechodnie chwytały się za gardła. Inni, którzy nie zostali zarażeni, stali bez ruchu, jakby nie potrafili uwierzyć w to, co właśnie minęło ich w biały dzień. – Uciekajcie! – krzyknęła Juliette. – Ruszać się!

Ci, którzy na moment zastygli, otrząsnęli się z odrętwienia i pobiegli do domów.

Juliette cały czas krzyczała, nie zatrzymywała się, chociaż z wysiłku płuca paliły ją żywym ogniem. Parła bez wytchnienia przed siebie, ale jakkolwiek szybko by biegła, nie mogła dogonić potwora.

Z niewyobrażalną zgrozą zobaczyła, że monstrum wkracza do chińskiej części miasta. Patrzyła, jak pędzi przez zebrane tam tłumy, jak mija grupy protestujących tak szybko, że nikt się nie zorientował, co się dzieje, dopóki pierwsi zarażeni nie zaczęli upadać na ziemię. Dopiero wtedy protestujący przestali potrząsać w górze pięściami. Dopiero wtedy rozejrzeli się, zobaczyli kątem oka zbliżającą się i wymachującą rozpaczliwie ramionami Juliette i, o ile nie było jeszcze za późno, rozproszyli się w końcu, aby szukać schronienia.

To miasto było większe od całego świata. Nie miało znaczenia, jak głośno krzyczała Juliette, ludzie na ulicach nie dostrzegali paniki, dopóki owady nie zaczęły na nich wpełzać i wciskać się w ich głowy. Nieważne, ile by krzyczała, tłumy maszerujące pod czerwonymi flagami nie zwracały na nią uwagi, dopóki potwór nie przebiegł koło nich, a ich ręce nie uniosły się do gardeł. Wtedy ludzie upadali, jeden za drugim. Walczyli o prawo do życia, ale miasto nie dawało im prawa do przetrwania.

Było ich tak wielu. Tak wielkie tłumy na ulicach.

– Proszę! – krzyknęła Juliette. Przecięła kolejną ulicę i omal nie poślizgnęła się na torach tramwajowych. – Wracajcie do domów! To nie jest właściwy moment!

Protestujący nie zwracali na nią uwagi. Bogaci gangsterzy zawsze mówili im, że to nie jest właściwy moment. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? Dlaczego mieliby posłuchać?

Juliette właściwie im się nie dziwiła, ale to oznaczało dla nich śmierć. To oznaczało, że na chodnikach będą piętrzyły się ciała, jedno na drugim, a całe miasto spłynie czerwienią.

Potwór zniknął już w głębi kolejnej ulicy. Gdyby tylko protestujący spojrzeli, gdyby tylko zrobili kilka kroków, zobaczyliby obraz zniszczenia, jakie za sobą pozostawiał. Dostrzegliby drgające jeszcze ciała i spanikowanych ludzi uciekających i depreczających po tych, którzy już upadli.

Juliette zacisnęła pięści, pewnie chwytając pistolet. Stłumiła doprowadzające ją do furii łzy, które pchały jej się do oczu, i odchrząknęła, aby oczyścić gardło. Raz jeszcze strzeliła w niebo i pobiegła dalej za potworem.

Wydawało się, że przegrała tę walkę.

Jednak mimo wszystko musiała spróbować.

Roma porwał samochód.

Szczerze mówiąc, nie miał innego wyjścia, ale nie było to trudne. Kiedy następca bossa Białych Kwiatów podchodzi do ciebie z wyciągniętym pistoletem i żąda, żebyś wysiadł z samochodu, to nie ma znaczenia, jak ważne stanowisko piastujesz w Muncypalnej Radzie Administracyjnej. Wsiadasz tak szybko, jak możesz.

– Szybciej – rzucił do szofera. – Mówię poważnie, jedź tak szybko, jak możesz...

– Chce pan, żebym rozjeżdżał ludzi? – zapytał szofer. – O to chodzi?

Roma wyciągnął rękę, nacisnął klakson i nie puścił go. Mijane grupki demonstrantów rozpraszały się, żeby uniknąć potrącenia.

– Jedź!

Przedarli się przez Koncesję, jadąc najkrótszą trasą. Trudno było ocenić, ile czasu minęło, jak szybko się poruszali w porównaniu do biegnącego monstrum. Roma nie wiedział, czy Juliette udaje się dotrzymać kroku potworowi.

Ale chaos już wybuchł.

Za oknami samochodu tłoczyły się grupy gniewnych robotników z czerwonymi szmatami zawiązanymi na ramionach albo zwyczajnych mieszkańców, którzy próbowali kupić coś do jedzenia, zanim całe miasto opanują komuniści. A jednak, gdziekolwiek Roma by spojrzął, ludzie poruszali się szybkim krokiem, podbiegali do bliskich i nakazywali im pośpiech, zaganiali dzieci w zakamarki ulicy i oglądali się przez ramię, wyczuwając w powietrzu ostry, metaliczny posmak. Ten posmak ostrzegał przed zbliżającym się nieszczęściem.

– Tam, w tamtą stronę – poleciał Roma. – Na obrzeże Bundu. Skręć na ten podjazd.

Samochód zatrzymał się przed zagranicznym bankiem, a Roma wysiadł z niego pospiesznie i rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu potwora. Jeszcze tutaj nie dotarł. Podobnie jak protestujący.

To dobrze.

Roma wycelował pistolet w niebo. Wystrzelił trzy kule, jedną za drugą.

– Ewakuować się! – krzyknął, kiedy robotnicy na nabrzeżu spojrzeli w jego stronę, kiedy rybacy pociągnęli za liny, kiedy marynarze dłubiący sobie w zębach na dziobach statków popatrzyli na niego z góry. – Ewakuować się natychmiast, jeśli wam życie miłe. Uciekajcie na północ.

– Hej tam, dość tych wrzasków! – Członek Białych Kwiatów wychylił się przez reling statku. – Co niby ma być...

Roma wycelował, chociaż żołądek mu się skręcał. Strzelił, a kiedy kula utkwiała w ramieniu gangstera, mężczyzna mógł tylko wypluć wykałaczkę i otworzyć usta ze zdumienia. Roma nigdy nie chybiał.

– Mówię poważnie – oznajmił lodowato. – Idź do szpitala. Reszta niech się ruszy, albo zaraz też będziecie musieli się zgłosić do najbliższego szpitala. Pospiesznie wykonywali jego polecenie. Żałował, że nie mogą się ruszać szybciej. Żałował, że musiał użyć przemocy, żeby go posłuchali.

Wrzask odbił się echem od ścian zabudowań Bundu.

Roma okręcił się na pięcie i natychmiast uniosł pistolet.

– Do budynków! – ryknął. Damy spacerujące po Bundzie, cudzoziemki pod parasolkami, popatrzyły na niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, ale się nie zawahały. Ten wrzask sygnalizował prawdziwe niebezpieczeństwo, a zachowanie Romy potwierdzało, że coś się zaraz wydarzy. Tłum rzucił się w głąb miasta, dalej od wody, a Roma rozglądał się rozpaczliwie, wypatrując ze swojego miejsca potwora na licznych ulicach łączących się z Bundem.

– Ruszać się! Ruszać się!

Juliette. Wszędzie rozpoznaby jej głos. Dobiegał z najdalszej ulicy.

Roma rzucił się biegiem, wypadł na jezdnię i nakazał samochodom zawrócić. Nie miało znaczenia, czy trąbiły na niego i jak niewiele brakowało, żeby został potrącony. Machnął pistoletem i najbliżsi kierowcy natychmiast spróbowali się wycofać, aż silniki ich samochodów załomotały głośno. Zrobił się korek, ponieważ pojazdy z tyłu próbowały mimo wszystko podjechać bliżej.

Zadowolony z osiągniętego efektu Roma zajął się następnym zadaniem. Pomiedzy wodą a najbliższą przecznicą był tylko jeden odcinek drogi – jeden odcinek ulicy i jeden długi pomost, zależnie od tego, dokąd zamierzał pobiec potwór. Zależnie od tego, czy chciał wskoczyć do płytkiej wody między zacumowanymi kutrami rybaków, czy przebiec po pomoście, żeby znaleźć się od razu na głębinie.

Roma podszedł do pomostu i zatrzymał się przy wejściu na niego. W głębi ulicy, na torach tramwajowych, zobaczył coś poruszającego się tak szybko, że jego kształt się rozmywał, sypiącego z każdym krokiem kropelkami czerni.

Potwór.

– Dobrze – mruknął. Podniósł pistolet. Wycelował. Nawet jeśli kule nie wbiły się w grzbiet, od przodu potwór miał skórę miękką jak człowiek. –

Wystarczy tego dobrego.

Roma pociągnął za spust.

Pistolet drgnął w jego dłoni... ale nic z tego nie wyniknęło.

Nie miał już kul.

– Niech to szlag!

Odrzucił rewolwer na bok i sięgnął do kieszeni po zapasowy. Kątem oka dostrzegł szybki ruch. Zanim jeszcze zdążył wyciągnąć broń, odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć Paula Dextera z uniesionym pistoletem.

Roma, kierowany instynktem, uchylił się i w ostatnim momencie uniknął kuli, która trafiłaby go w głowę. Przycisnął dłonie do ziemi i rozejrzał się.

– Poddaj się – syknął Paul. W jednej dłoni trzymał broń, a w drugiej teczkę.

Roma nie zamierzał go słuchać. Chwytał najbliższy obiekt – drewnianą skrzynkę – i cisnął nim, celując w twarz Paula. Paul z okrzykiem zaskoczenia upuścił teczkę i mało brakowało, a wypuściłby także pistolet. Zanim odzyskał równowagę, Roma zdążył już wyjąć zapasowy rewolwer.

Palec Romy dotknął spustu. Był gotowy zastrzelić Paula w tym momencie, gdyby nie to, że ziemia nagle zadrżała. Gdyby nie to, że wokół niego wezbrała fala zabójczo niebezpiecznych kropek, zbliżających się w nieprzeliczonych ilościach.

– Nie – wyszeptał Roma.

Potwór się pojawił.

– Z drogi, z drogi!

Juliette, dysząc ciężko, odepchnęła kobietę, w ostatniej chwili ratując ją przed strumieniem owadów, które wpełzły na stragan. Cała grupa ludzi niecałe trzy kroki dalej upadła jednocześnie na ziemię. Kobieta jęknęła cicho, otwierając szeroko oczy.

– Zostań tutaj – warknęła Juliette. – Nie ruszaj się, obserwuj ziemię i uciekaj, jeśli zobaczysz owady, jasne?

Kobieta skinęła nerwowo głową. Juliette pobiegła dalej, znowu rozglądając się za potworem. Byli już niemal nad rzeką Huangpu, co oznaczało koniec szlaku usianego zniszczeniem, krwią i śmiercią – a przynajmniej taką nadzieję miała Juliette. Bund znajdował się już niedaleko, zaczynał się przecznicę dalej.

– Nie... – Juliette zobaczyła dwie sylwetki tuż nad wodą, zmagające się w walce. Nie odrywała wzroku od potwora i sypiących się z niego owadów, które kierowały się w stronę każdej ofiary, jaką zdołały znaleźć.

– Roma! – wrzasnęła Juliette. – Roma, uciekaj!

Roma okręcił się na pięcie z szeroko otwartymi oczami. Bez namysłu odskoczył od potwora, który wpadł na pomost, co pozwoliło mu uniknąć kłębowiska owadów, które spadły na ziemię i przebiegły po butach Paula, a potem się rozproszyły. Paul nie musiał ruszać się z miejsca. On był odporny.

Juliette przypuszczała, że dlatego właśnie nie sprawiał wrażenia przejętego, kiedy potwór skoczył do wody.

Głośny, bardzo głośny plusk odbił się echem od ścian Bundu.

Nie powinna była prosić Romy, żeby jako pierwszy dotarł nad rzekę. Powinna była zamienić się z nim rolami.

– Roma, uciekaj! – krzyknęła, biegnąc tak szybko, jak potrafiła. – On zaraz...

Eksplozja. W momencie, kiedy Juliette postawiła w końcu stopę na pomoście, w wodzie nastąpił wybuch. Czarne kropki wystrzeliły na trzy metry w górę, a potem spadły na doki portowe. Owady rozbiegały się na wszystkie strony, wyszukiwały każdą szczelinę, w którą mogły się wcisnąć, każdą powierzchnię, do której mogły przylgnąć. Nie było czasu się schować. Spadły jak deszcz na Paula, na Juliette i na Romę.

Juliette nigdy w życiu nie czuła takiego obrzydzenia. Setki owadzich nówek dotykały jej, wciskały się pod jej ubranie i smakowały pory jej skóry, poszukując odpowiedniego miejsca. Skóra nigdy tak bardzo jej nie swędziała. Juliette nigdy jeszcze nie czuła odrazy tak wielkiej, że miała ochotę wymiotować od samego tego dotyku.

Jednak nawet te owady, które na nią spadły, ześlizgnęły się z niej w ciągu kilku sekund. Owady spadające jak ulewa spływały po rękach, które Juliette i Paul unieśli w górę, ponieważ w ich krwi płynęła błękitna szczepionka, odpierając atak.

Ostatnia fala eksplozji dotarła do lądu. Powietrze pojaśniało. Owady rozbiegły się na wszystkie strony.

Juliette opuściła ręce i zachłysnęła się z przerażenia.

– Roma! – krzyknęła.

ROZDZIAŁ 36

Roma uniósł ręce do gardła.

ROZDZIAŁ 37

Szaleństwo nie osiągało tak szybko zwykłych ofiar, u których zakażenie zapoczątkował pojedynczy owad. Ten jeden z upływem czasu przemieniał się w dziesięć, a dziesięć w sto, aż namnożyły się na tyle, aby przejąć kontrolę nad swoją ofiarą. Ale na Romę opadły wszystkie jednocześnie i wszystkie jednocześnie kierowały jego nerwami, zmuszając go, żeby rozlał własną krew.

Juliette gwałtownie strzepnęła z rąk kilka upartych owadów i poprawiła chwyt na rękojeści pistoletu. Istniał tylko jeden sposób, żeby go ocalić, tylko jedna metoda, żeby powstrzymać to wszystko. Podbiegła na koniec pomostu i rozejrzała się za potworem. Nie potrafiła myśleć o niczym poza znalezieniem tego przeklętego monstrum i...

Powinna zwracać większą uwagę na niebezpieczeństwo za swoimi plecami.

Uderzyła głową o deski pomostu.

– Naprawdę nie mogę ci na to pozwolić, Juliette – westchnął Paul. – Dlaczego po prostu...

Zanim Juliette zdążyła się zorientować, co się dzieje, i choćby pomyśleć o tym, żeby wstać i znowu wycelować, Paul kopnął ją z całej siły w brzuch. Juliette spadła z pomostu i z całym impetem uderzyła o mniejszą platformę unoszącą się na wodzie. Zadudniło jej w płucach.

Z najwyższym wysiłkiem spróbowała unieść broń i opanować wirowanie w głowie, ale w tym momencie Paul zeskoczył, wylądował koło niej i kopniakiem wytrącił jej z ręki pistolet. Poleciał na bok, żałośnie nieprzydatny.

– Przykro mi, Juliette.

Chwycił ją za włosy i wepchnął jej głowę pod wodę.

Juliette omal się nie zachłysnęła, ale pamiętała, że otwarcie ust oznaczałoby, że wpadnie do nich brudna rzeczna woda, więc z całej siły zaciskała wargi. Starła się wykręcić z uścisku Paula i zmuszała się, żeby trzymać oczy otwarte, mimo że w wodzie ohydną czernią wirowały płynące owady. Uchwyt Paula był znacznie silniejszy, niż wskazywałaby na to jego szczupła budowa. Jego palce zaciskały się na jej głowie jak stalowe szpony.

– Tak będzie najlepiej. – Juliette ledwie go słyszała, choć klęczał tuż koło niej. Do uszu wlewała jej się woda pełna bezlitosnych owadów. – Nie chcę cię skrzywdzić, ale nie zostawiasz mi wyboru. Próbowałem cię ocalić, Juliette. Naprawdę próbowałem.

Juliette szarpała się i kopała coraz mocniej i mocniej, ale bezskutecznie. Powinna była zastrzelić Paula, kiedy miała okazję. Nie tylko próbował ją teraz zabić, ale na dodatek robił to powoli, tak żeby umarła ze świadomością, że Romę można byłoby jeszcze ocalić. Żeby umarła ze świadomością, że zawiodła. Roma był silny, ale nie mógł panować nad sobą bez końca.

Być może już uległ szaleństwu i zagłębił palce w swojej szyi. Być może leżał już martwy.

Jej walka okazała się bezcelowa. Niebieska fiolka Paula ocaliła ją przed śmiercią od szaleństwa. Teraz Paul zdecydował, że mimo wszystko należy się jej pozbyć.

Niebieska fiolka, przypomniała sobie nagle Juliette. Paul miał jeszcze jedną w kieszeni płaszcza. A skoro miał tam niebieską fiolkę, to jakie istniały szanse, że miał tam także strzykawkę?

Juliette wyciągnęła rękę i wymacała na oślep brzeg płaszcza Paula. Było niemalże komiczne, z jaką łatwością to znalazła – jej dłoń bez najmniejszego trudu wślizgnęła się do szerokiej kieszeni.

Rozpaczliwie, wykorzystując ostatnie odrobiny powietrza w płucach, Juliette wyciągnęła strzykawkę i wbiła igłę w nadgarstek Paula.

Paul z rykiem wściekłości rozluźnił uścisk, ponieważ mięśnie jego dłoni napięły się z bólu. Juliette błyskawicznym ruchem usiadła, pochwyciła haust powietrza, ale niemal natychmiast się opanowała. Na ułamek sekundy spojrzała na pomost i krzyknęła na widok Romy walczącego z własnymi rękami, które coraz bardziej zaciskały się na jego szyi. Podniosła się na kolana i rzuciła na Paula, zanim zdążył poprawić chwyt na pistolecie, objęła go w pasie i wciągnęła wraz ze sobą do wody.

Upadek w rzekę był szokująco zimny, ale Juliette odzyskała kontrolę nad walką. To ona unosiła się wyżej, gdy wraz z Paulem zanurzali się coraz głębiej. Cały czas obejmowała go w talii jednym ramieniem, a drugim przytrzymywała jego nadgarstek. Kiedy bąbelki powietrza wokół nich zniknęły, a Paul otworzył oczy, zobaczył Juliette unoszącą się nad nim jak boginka zemsty. Wyrwała mu z ręki pistolet.

Jego usta uformowały się w bezgłośny dźwięk „nie”. Na jego twarzy malowało się czyste przerażenie. „Juliette”.

Kopnęła go w pierś, odpychając dalej od siebie. Chwyciła oburącz pistolet, wycelowała w jego głowę i z odległości kilku centymetrów pociągnęła za spust.

Woda stłumiła w większości dźwięk, ale nie zatrzymała krwi.

Paul Dexter powitał śmierć z otwartymi oczami. Wydawało się, jakby było ich troje – trzecie stanowiła rana od kuli. Woda momentalnie zabarwiła się czerwienią. Juliette popłynęła w górę, wynurzyła się na powierzchnię i zakasłała, rozglądając się gwałtownie za następnym celem.

Natychmiast zauważyła potwora, który powrócił już na pomost.

Jednakże już prawie nie był potworem. Przemienił się ponownie, chociaż nie do końca. Pojawiła się jego ludzka twarz, ale dolna połowa ciała pozostała dziwaczna, obca i zielona.

Stary, zbolący człowiek klęczał na pomoście i wyglądał, jakby już się poddał.

Juliette podciągnęła się na pływającą platformę. Trzymając pistolet, wspięła się z powrotem na pomost.

– Qi Ren – zawołała.

Potwór z Szanghaju odwrócił się do niej. Na znużonej twarzy starego człowieka malowało się przerażenie, ale inne niż to, które sparaliżowało Paula w jego ostatnich chwilach. Był przerażony samym sobą: wszystkim tym, do czego został zmuszony, i tym, czego chciał się pozbyć. Skinął głową do Juliette. Podniosła pistolet. Dłonie jej drżały.

– Przepraszam – powiedziała.

Jeszcze raz pociągnęła za spust.

Kula trafiła go w serce. Towarzyszył temu huk tak głośny, jakby kończył się świat.

Ale Qi Ren westchnął tylko cicho. Ostrożnie uniósł dłoń do piersi, jakby kula była ofiarowanym z całego serca komplementem. Strużki czerwieni popłynęły po jego palcach na pomost.

Juliette zrobiła krok bliżej. Qi Ren znieruchomiał, ale nie upadł. Coś działo się w jego wnętrzu. Coś się poruszało.

Na jego lewym nadgarstku pojawiło się obrzmienie. Juliette patrzyła, jak przemieszczało się wzdłuż żyły w przedramieniu starego mężczyzny aż do żyłastego wgłębienia pomiędzy ramieniem i szyją. Nagle jego jabłko Adama stało się wielkości prawdziwego jabłka, napinając cienką, pokrytą żyłkami skórę.

Gardło Qi Rena pękło tak, jakby zostało rozcięte nożem. Płaty skóry, odrzucone na boki, wystrzeliły czarnoczerwoną krwią. Qi Ren natychmiast się przewrócił, a z jego gardła wyleciał owad wielkości pięści Juliette, który odczepił się od żywiących go żył i ścięgien.

Juliette z wrzaskiem zaczęła strzelać – raz, dwa, trzy razy. Jej spanikowany umysł pracował gorączkowo, najbardziej pierwotny instynkt sprawiał, że drżała jak liść. Dwie kule spudłowały, jedna musnęła owada i sprawiła, że spadł prosto na pomost. Okrągły i płaski, spróbował jeszcze biec przed siebie po deskach, szukając czegoś – czegokolwiek – czego mógłby się ucześcić. Tuziny nóżek tak cienkich, że przypominały maleńkie włoski, poruszały się w poszukiwaniu nowego ciała. Potem owad znieruchomiał, a kiedy w końcu przestał drgać, znieruchomiały także inne owady w wodzie.

Juliette niemal czuła, jak coś się zmienia. Miała wrażenie, że znad miasta zniknęła zasłona śmierci.

– To koniec – szepnęła Juliette. – To naprawdę koniec.

Powoli się odwróciła. Spojrzała na drugi koniec pomostu w poszukiwaniu oznak życia.

– Roma?

Bała się, że on się nie odezwie, że odpowie jej tylko cisza. Bała się, że w ogóle go nie znajdzie, że dawno już zabrała go woda, która zabarwiła to miasto czerwienią.

Po chwili znalazła go jednak, skulonego i opartego o samochód na środku szerokiej, tak bardzo szerokiej ulicy. Powoli odsunął dłonie od gardła. Po szyi spływała mu krew.

Juliette podbiegła do niego, po drodze rzuciwszy pistolet. Ledwie była w stanie oddychać. Nawet wtedy, kiedy jej dłonie spoczęły na jego ramionach i ścisnęły na tyle mocno, żeby mogła się upewnić, że on jest prawdziwy, że to, co widzi, jest rzeczywistością, a nie halucynacją zrodzoną w jej obłąkanym umyśle.

– Nic mi nie jest – zapewnił Roma drżącym głosem.

Bardzo niewiele brakowało. Na szyi miał dziesięć ran, na tyle głębokich, że spływały czerwienią.

Ale jednak żył.

Juliette przyciągnęła go gwałtownie do siebie i zamknęła w uścisku.

– Potwór nie żyje – szepnęła.

Dlaczego więc czuła się tak pusta? Dlaczego miała wrażenia, że ich rola jeszcze się nie zakończyła?

– Czy Paul coś ci zrobił? – zapytał Roma. Odsunął się, żeby się jej przyjrzeć w poszukiwaniu ran.

Juliette potrząsnęła głową, a Roma odetchnął z ulgą. Spojrzał w wodę, gdzie w zielono-szarych falach unosiło się ciało Paula.

– Wydawało mu się, że cię kocha.

– To nie była miłość – wyszeptwała Juliette.

Roma pocałował ją w skroń i zamknął oczy, czując na nich wilgoć pozostałą na jej włosach.

– Chodźmy – powiedział. – Chodźmy obudzić Alisę.

ROZDZIAŁ 38

Jeden za drugim owady opuszczały Alisę Montagow.

Skręcały się i skrzypiały, trąc małąkami pancerkami o siebie nawzajem, kiedy matka roju wykrwawiała się na śmierć. Kiedy serce, które napędzało je wszystkie, przestało bić, one także były zmuszone poddać się śmierci, odzepić się od tkanek, do których przylgnęły, i wypuścić nerwy, które sobie wybrały. W ostatnich chwilach życia zaczęły się wydostawać na zewnątrz. Wcześniej jedynym ich celem było zagrzebanie się jak najgłębiej, ale teraz rozpaczliwie próbowały wygrzebać się jak najszybciej, szamotały się w splątanych jasnych włosach, aż w końcu, martwe, spadały na białą szpitalną pościel.

Alisa odetchnęła głęboko i obudziła się. Natychmiast usiadła wyprostowana i zaczerpnęła świeżego powietrza. Kasłała i kasłała, aż rurka, która utrzymywała ją przy życiu, wysunęła się z jej gardła. Podniosła się na tyle, żeby strącić tuziny insektów pozostałych na poduszce, poskręcanych i nieżywych. Nie ośmieliła się podnieść bardziej. Wciągnęła gwałtownie powietrze i zatrzymała je tym razem w płucach, niemal robiąc zęza, żeby spojrzeć na lufę pistoletu wycelowaną w jej czoło.

– Wszystko w porządku, Aliso – wychrypiął ktoś w kącie pokoju.

Alisa spojrzała w stronę źródła głosu. To, co zobaczyła, spotęgowało tylko jej panikę, zamiast ją uspokoić: Benedikt, jej kuzyn, stał z podniesionymi rękami. Były w niego wycelowane dwa pistolety. Marshall Seo, w podobnej pozycji, znajdował się przy drzwiach.

– Witamy z powrotem w świecie żywych, Aliso Montagow – powiedział Tyler Cai. Przycisnął twardą lufę do jej skóry. – Przykro mi, że tak to musi wyglądać.

Na ulicach nadal panował chaos, gdy Roma i Juliette przedzierali się przez miasto. Wszędzie leżały ciała tych, którzy znaleźli się na trasie zniszczeń wywołanych przez potwora. Niektórzy demonstranci nadal wykrzykiwali swoje postulaty, mimo że ich towarzysze leżeli martwi w rynsztokach. Juliette straciła rachubę, ile razy omal nie zderzyła się z kimś z protestujących, ile razy omal nie została trafiona pochodniami, którymi wymachiwali, albo drzewcami transparentów powiewających na wietrze.

Lecz kiedy dotarli na obrzeża Nanshi, przywitał ich spokój.

– Czyżbyśmy pomylili drogę? – szepnęła Juliette.

– Nie – powiedział Roma. – To tutaj.

Wysokie budynki fabryk pochylały się, milczące i niewzruszone. Na ulicach nie było widać rikszarzy ani sprzedawców, ani nawet dzieci szalejących w zabawie.

Brak zwykłej, codziennej krzątaniny był do przewidzenia, ale mimo wszystko spodziewali się tutaj pandemonium, a nie ciszy.

– Czy zamieszki jeszcze się tutaj nie rozpoczęły?

– Myślę, że jeśli nie, to tylko lepiej dla nas – odparła z wahaniem Juliette. – Gdzie jest szpital?

Roma wskazał kierunek. Pobiegli w tamtą stronę. Każdy krok sprawiał Juliette niewyobrażalny ból. Kiedy wbiegała na schody szpitala, łydki jej drżały, a zęby zaczęły szczerkać. Niepokój pulsujący w jej kończynach nie miał innego ujęcia.

– Halo?! – zawołał Roma, otwierając podwójne drzwi. W holu recepcji nie było nikogo. Ani pielęgniarek, ani lekarzy.

– Posłuchaj, Roma – szepnęła Juliette. Znieruchomieli w pomalowanym obłazującą farbą przejściu do wąskiego korytarza. Skrzypnięcie buta. Cichy szmer głosu.

Pełen złości krzyk.

– Puszczajcie mnie...

– To Marshall – rzucił Roma. Zerwał się do biegu. – Marshall!

– Czekaj, Roma! – zawołała Juliette. – Roma!

Pobiegła za nim, zaciskając dłonie na pistolecie, układając palce na spuście. Kiedy jednak dotarła na miejsce, z wyciągniętą i wycelowaną bronią, było za późno, aby zyskać przewagę. Roma wpadł już do pokoju, prosto w zasadzkę. Musiał teraz podnieść ręce nad głowę, ponieważ trzech Szkarłatnych celowało do niego z pistoletów.

– Proszę, proszę... – Tyler zacmokał językiem. Alisa jęknęła. – Wszystkie grube ryby pojawiły się jednocześnie.

– Tyler – syknęła Juliette.

Tyler potrząsnął głową, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. Każdy jego ruch był spowolniony przez powstrzymywaną starannie furję: z wyjątkiem jego ręki, pewnej jak zawsze, kiedy celował w Alisę.

– Powiedz mi, *tángjiě*, w kogo teraz celujesz?

Juliette nie wiedziała. Uniosła pistolet dla zasady, żeby zrobić cokolwiek, gdyby sprawy potoczyły się niewłaściwym torem, ale przecież już się potoczyły, dawno, dawno temu. Powoli, drżącymi rękami, opuściła broń.

Szkarłatni w pokoju patrzyli na nią z pogardą. Rozumiała to. Tyler dowiedział się o jej sojuszu z Białymi Kwiatami i przyszedł, aby dokonać zemsty. Zwrócił Szkarłatnych przeciwko niej, odmalował ją jako zdrażczynię. Spoglądali na przemian na nią i na Romę, a Juliette w tym momencie z bolesną jasnością uświadomiła sobie swój błąd. To była jej wina, że starała się wierzyć. Że miała nadzieję.

Miłość taka jak ich nie mogła przetrwać w mieście podzielonym nienawiścią.

To zakończy się śmiercią ich wszystkich.

Chyba że Juliette zdoła ich ocalić.

Oddychaj.

Nie była tylko dziedziczką, która powróciła z Zachodu, karykaturą, która miała stać się celem plotek, miała zostać zdemaskowana jako osoba łatwo ulegająca wpływom i manipulacjom, kierująca się kapryśnymi porywami serca.

Uśmiechnij się.

Ona także potrafiła być potworem.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Juliette. Jej głos był spokojny, niemalże znudzony.

– Postanowiłem naprawić twoje błędne decyzje. Zdradziłaś nas, Juliette. Sprawiałaś, że straciliśmy całe lata przewagi w wojnie gangów. – Tyler potrząsnął głową. – Zajmę się tym. Nie musisz się martwić.

Jego palce mocniej zacisnęły się na spuście.

– Stój – warknęła Juliette. – Jesteś kompletnym idiotą. Myślisz, że cię zdradziłam? Myślisz, że oddasz nam przysługę, zabijając całą rodzinę Montagowów? To podstęp, Tylerze. Jedyne, do czego doprowadzi ich śmierć, to zemsta, jaka czeka naszą rodzinę.

Tyler roześmiał się ostro.

– Nie myśl, że się z tego wyłgasz...

– Mówię prawdę.

– Ależ ty zawsze byłaś kłamczuchą.

W tym momencie w pokoju rozległ się huk wystrzału, wrywając stłumiony okrzyk z gardła Juliette. Ale to nie był pistolet Tylera. To był pistolet, który Marshall zdołał nagle wyrwać najbliższemu Szkarłatnemu i zwrócić przeciwko właścicielowi. Szkarłatny osunął się na podłogę, a Marshall skoczył przed siebie. Chciał ocalić Alisę, miał nadzieję, że jednym pospiesznym strzałem usunie z drogi Tylera.

Tyler błyskawicznie uniósł pistolet i strzelił pierwszy. Marshall poleciał na ziemię. Przycisnął dłonią zębra, na których pojawiła się plama czerwieni.

– Mars! – wrzasnął Benedikt.

– Nawet nie próbuj – syknął natychmiast Szkarłatny. Z całej siły przycisnął lufę pistoletu do skroni Benedikta. To sprawiło, że Benedikt znieruchomiał, nie mógł zrobić nawet kroku w stronę Marshalla, ponieważ także zostałby zastrzelony. Szkarłatni szukali byle pretekstu, żeby strzelać. Juliette była tego pewna.

– Wszyscy jesteście szaleni – odezwał się Marshall z podłogi. Skrzywił się. Krew zaczęła mu przeciekać przez palce, plamić je i kapać, kropla za kroplą, na podłogę. – Wszyscy jesteście przekłęci. Montagowowie i Cai. Zaraza nienawiści przeżera oba wasze przekłęte domy.

Tyler znowu uniósł pistolet.

– Przestań – zażądała Juliette. – Stój...

Kolejny strzał. Tym razem to Roma. Wyślizgnął się jednemu z gangsterów i zdołał strzelić raz, zanim zdążyli go znowu pochwycić. Jego kula musnęła tylko ramię Tylera, ale Tyler cofnął się o krok i syknął z bólu.

– STAC!

Wszyscy w pokoju znieruchomieli.

Pistolety, pistolety, jeszcze więcej wycelowanych pistoletów. Tak już miało być zawsze.

– Nie słyszycie tego? – syknęła Juliette. Przysunęła dłoń do ucha, domagając się od mężczyzn, żeby słuchali. Synchroniczny ryk wielu gardeł. Synchroniczny tupot butów, skandowane hasła, odgłosy dobiegające z oddali, ale zbliżające się coraz szybciej.

– Kiedy tutaj przyjdą, zabiją nas wszystkich – warknęła Juliette. – Białe Kwiaty i Szkarłatny Gang, dla nich to bez znaczenia. Mają broń maszynową i maczety, a co my mamy? Pieniądze?

Odwrociła się. Szkarłatny gangster postrzelony przez Marshalla leżał martwy na ziemi. Kula utkwiała w jego szyi. Jego szkliste oczy wpatrywały się w sufit. Nie wiedziała nawet, jak się nazywał.

Także pierś Marshalla była przesiąknięta czerwienią. Tyler nie pozwoli Białym Kwiatom wyjść stąd na tyle szybko, by dało się ocalić Marshalla. Nie miał w sobie tyle wspaniałomyślności. Musiał zobaczyć przynajmniej jedną ofiarę, aby zaspokoić swoją żądzę krwi. Jedna ofiara musiała zostać złożona, aby Białe Kwiaty mogły uciec. Aby Alisa mogła przeżyć.

Juliette, z zaciśniętym gardłem, wsadziła rękę do kieszeni. Chciałaby mieć w rękawie asa, który pozwoliłby uratować tę sytuację, ale nic takiego nie miała. Była tylko wojna gangów.

– Musimy uciekać, zanim będzie za późno.

– Czy ty nie masz za grosz honoru? – syknął Tyler.

– Honoru? – powtórzyła ostro Juliette. Jej głos brzmiał okropnie w grobowej ciszy szpitalnego pokoju. – Kogo obchodzi honor, jeśli za moment będziemy martwi? A tak się stanie, jeżeli pozostaniemy tutaj choć chwilę dłużej.

– Nie zamierzam wyjść stąd pierwszy, Juliette – oznajmił zimno Tyler. – Nie życzę sobie, żeby ktoś wpakował mi kulę w plecy...

– W takim razie oni wyjdą pierwsi – zaproponowała Juliette i wyprostowała się. – Prawo talionu, Tylerze. Oko za oko. Tak działa wojna gangów. – Wskazała palcem Marshalla. Zmusiła rękę, by nie dygotała. – Zapomnij o tym obłąkanym planie zemsty. Zabijemy tylko jego w zamian za Szkarłatnego, którego straciliśmy. Pozostali odejdą wolno.

– Nie! – krzyknęli jednocześnie Roma i Benedikt.

Juliette czuła w żołądku lodowaty chłód, gdy popatrzyła Romie prosto w oczy.

– Nie jesteś w tym momencie na takiej pozycji, żeby się targować.

– To się nie uda, Juliette – powiedział stanowczo Roma. – Jeśli Tyler chce uczciwej walki, to walczmy uczciwie. Nie kłam, żeby pozwolić nam się wycofać.

Czy do niego nie docierało, że ona właśnie ratowała mu życie? Czy nie rozumiał, że za oknem szalała zbrojna rewolucja, a tłum był gotów zabić każdego, kogo uznałby za przedstawiciela elity? Czy pojmował, że zerwanie wszystkich więzi pomiędzy nimi to jedyny sposób, aby wszyscy mogli ujść z życiem? Że gdyby Tyler choćby tylko podejrzewał Juliette o bycie kochanką Romy Montagowa, to Roma byłby już obiema nogami w grobie?

On to rozumie, szepnął cichy głos w jej głowie. *Chce zostać dla ciebie. Nie chce cię porzucić. Nie po raz drugi. Woli umrzeć.*

Juliette uznała, że najwyraźniej to jej kolej, aby go porzucić. Kochanka i kłamca, kłamczyni i kochanek. Zamieniali się rolami, jakby to była gra.

– Mówię prawdę – powtórzyła Juliette. Każde słowo było jak ostrze, które cięło jej język, raniło ją dwa razy dotkliwiej, niż ona raniła teraz świat. – Obudź się. Cały ten flirt między nami służył wyłącznie pozyskiwaniu informacji.

– Juliette, nie mów takich...

– Mybergh Road – przerwała mu Juliette.

Roma znieruchomiał. Po prostu... znieruchomiał. Znał ten adres. Tam mieścił się dom będący kryjówką jego matki. Ten, o którym nikt nie wiedział.

„Wojna gangów to wojna gangów. Nie zastanawiaj się nad tym. Nie roztrząsaj tego. To nie twoja wina”.

Och, ależ to była jej wina. Jej wina.

Lady Montagowa umarła dwa tygodnie po wyjeździe Juliette z Szanghaju. Dwa tygodnie po ataku na posiadłość Szkarłatnych, w którym zginęli wszyscy służący.

Po tym ataku Juliette straciła panowanie nad sobą i wyładowała się na dwójce Szkarłatnych, którzy eskortowali ją na statek do Nowego Jorku. Jej rodzice byli zbyt zajęci, żeby ją odprowadzić. Szkarłatni uważali, że to zadanie poniżej ich godności. Jeden z nich warknął na nią wściekle, żeby się zamknęła, ponieważ jest tylko dzieckiem, które nic nie wie o tym mieście i które nie jest tutaj do niczego potrzebne.

Tamtego dnia Juliette tupnęła nogą w ataku dziecięcej złości i żeby dowieść swojej wartości, wyznała dwóm gangsterom Szkarłatnych Kwiatów wszystko, co wiedziała o Białych Kwiatkach, w jednej długiej tyradzie. Łącznie z lokalizacją kryjówki lady Montagowej. Zdobyła ten adres przypadkowo, pewnego leniwego popołudnia, kiedy zakradła się na terytorium Białych Kwiatów, żeby zaskoczyć Romę, i podsłuchiwała jego rozmowę z ojcem.

Szkarłatni nie pytali, skąd ma takie informacje. Zbyli ją tylko. Myślała, że nie potraktowali jej poważnie. Kiedy weszła na pokład statku, ogarnęły ją mdłości, ale powtarzała sobie, że to Roma zdradził ją pierwszy. Szkarłatny Gang mógł zrobić z jej informacjami, co tylko chciał, a Roma na to zasługiwał.

Nigdy się nie spodziewała, że odszukają jego matkę.

– Wiedziałam – oznajmiła Juliette. – Wiedziałam od początku. Śmierć twojej matki to moja zasługa.

Leżąca w łóżku Alisa zaczęła się trząść. Patrzyła na Juliette ogromnymi oczami.

– Nie... – Roma z trudem wydusił to słowo. – Nie zrobiłaś tego.

Na zewnątrz odgłosy robotniczego protestu rozbrzmiewały niebezpiecznie blisko. Po drugiej stronie budynku szpitala rozległy się metaliczne uderzenia, gwałtowne i histeryczne.

Roma miał trudności z oddychaniem. Nagle przestał widzieć wyraźnie, przed oczami miał tylko plamy kolorów, luźne zarysy kształtów, ledwie dostrzegalne lśnienie tej, która otworzyła usta, aby syknąć:

– Wychowano mnie w nienawiści, Romo. Nigdy nie mogłam zostać twoją kochanką, co najwyżej twoją zabójczynią.

Juliette Cai podeszła do Marshalla i stanęła nad nim. Bezceremonialnie przyklęła, odsunęła jego dłoń od rany i spojrzała na niego, jakby był zaledwie śmieciem ciśniętym pod jej stopy.

– Oko za oko – powiedziała Juliette.

Mocno spoliczkowała Marshalla, który poleciał do tyłu i uderzył w twardą, zimną podłogę. Skulił ręce wokół głowy i osłonił twarz dłonią, jakby próbował się ochronić. Krew. Pod nim było tyle krwi.

Juliette wzięła pistolet w obie ręce. Poruszyła nim na boki, aby poprawić chwyt.

– Życie za życie.

Strzał.

– Nie! – wrzasnął ogłuszająco Benedikt.

Głowa Marshalla poleciała do tyłu. Znieruchomiał.

Znieruchomiał.

Roma nie był w stanie oddychać.

– Marshall, wstawaj – zawołał Benedikt. – Wstawaj!

Juliette machnęła obojętnie ręką na Szkarłatnych przytrzymujących Benedikta.

– Puśćcie go – powiedziała. – Niech sam się przekona.

Szkarłatni posłuchali jej. Opuścili broń na tyle, że Benedikt mógł się ruszyć, chociaż nie na tyle, żeby nie móc strzelić, gdyby ich nagle zaatakował. Juliette znowu stanęła na szczycie. Znowu znajdowała się w hierarchii ponad Tylerem i miała tam pozostać tak długo, jak długo będzie tak okrutna.

Benedikt podszedł do Marshalla. Z przeraźliwie pustym spojrzeniem położył dłoń na jego szyi i przytrzymał w oczekiwaniu.

Roma miał już zawsze słyszeć w głowie ten koszmarny krzyk, który wyrwał się jego kuzynowi.

– Obudź się – zażądał ochryple Benedikt. Potrząsnął ramionami Marshalla. Marshall nie reagował. Pozostał tylko trup, bezwładny jak marionetka. – Obudź się!

Nie miał się już obudzić.

Juliette nie zareagowała na rozgrywającą się przed nią scenę. Popatrzyła na ciało i pogrążonego w żałobie mężczyznę, jakby nic dla niej nie znaczyli. Roma pomyślał, że zapewne nie znaczyli.

– Idź już – powiedziała do niego Juliette. Wycelowała pistolet w Alisę. – Idźcie, zanim was wszystkich pozabijamy.

Roma nie miał wyboru. Podszedł chwiejnie do Alisy i wyciągnął do niej rękę.

Białe Kwiaty się wycofały.

Juliette patrzyła, jak odchodzą. Wypaliła w pamięci ten obraz, napawała się ulgą, która wezbrała w jej żyłach i smakowała słodko na języku. Zmusiła się, żeby zapamiętać tę chwilę. To właśnie dało się osiągnąć potwornością. Być może Paul Dexter nie do końca się mylił. Może terror i kłamstwa miały w sobie pewien urok.

Szpitalne wnętrza wybuchły kakofonią dźwięków, które odbijały się echem w długich korytarzach. Robotnicy nawoływali się, żeby się rozdzielić i obrabować to miejsce, dokonać jak największych zniszczeń.

– Ja się nim zajmę – powiedziała Juliette, ruchem głowy wskazując ciało, przy którym klęczała. – Idź już, Tylerze. Zabierz naszych ludzi tylnym wyjściem.

Przez długą chwilę wydawało się, że Tyler jej nie posłucha. W końcu, kiedy w całym szpitalu zadźwięczały przeciągłe uderzenia metalu o metal, skinął głową i machnął na swoich ludzi, żeby wyszli razem z nim.

Pozostała tylko Juliette, z dłonią na stygnącym ciele.

Pozostała tylko Juliette z ciężarem swoich grzechów.

EPILOG

S trajk robotników zakończył się porażką – powiedziała pokojówka. – Ale tego należało się spodziewać.

Juliette zacisnęła zęby i włożyła zabrane z kuchni jedzenie do dużego kosza. Niebo pociemniało, a ona dawno już zmyła z siebie krew, która tego dnia splamiła jej ręce. Kiedy wróciła do domu, jej krewni i bliscy nie wiedzieli nawet, gdzie była; nie wiedzieli, że mało brakowało, a znalazłaby się w samym sercu zamieszek, które zdziesiątkowały Nanshi.

Rozruchy stłumiono niedługo po tym, jak Juliette oddaliła się stamtąd. Kiedy tylko na miejscu pojawiły się zastępy policji wspierane przez liczne siły gangsterów, walka przestała być wyrównana. Jutro rano robotnicy wrócą do pracy w fabrykach. Ci, którzy zabili swoich brygadystów, pójdą do więzienia.

To wszystko.

Juliette miała przecucie, że komuniści nie zniechęcą się tak łatwo. To był dopiero początek rewolucji.

– Właśnie – odezwała się ostrożnie pokojówka. – Rodzice pytają, czy będzie pani na obiedzie. Chcą się także zobaczyć z panią Kathleen i panią Rosalind.

Juliette potrząsnęła głową.

– Mam jeszcze coś do załatwienia. Wrócę za jakąś godzinę. Czy możesz powtórzyć to rodzicom?

Pokojówka skinęła głową.

– A pani kuzynki?

– Wysłałam Kathleen z pewnym zadaniem. Poproś, żeby jej także wybaczyli nieobecność.

Być może Juliette powiedziała to tonem, który zdradzał jej zmieszanie, albo może same słowa wystarczyły, by wzbudzić ciekawość pokojówki.

Przechyliła głowę, słysząc tylko jedno imię.

– A co z panią Rosalind? – zapytała.

Juliette potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

– Kathleen nie chciała, żeby Rosalind z nią poszła, więc Rosalind jest w swoim pokoju. Możesz sama ją zapytać.

– Oczywiście. – Pokojówka skłoniła głowę i pobięła wykonać polecenie.

Juliette z westchnieniem zamknęła kosz i także wyszła.

Kathleen marszczyła nos i rozglądała się po Bundzie. Ostrzeżono ją, że zobaczy ciała, owady unoszące się w wodzie i dziury po kulach w najdziwniejszych miejscach, ale czym innym było widzieć to na własne oczy. Co za koszmarny widok.

Obróciła się powoli wokół własnej osi i skrzywiła się, gdy martwe owady na chodniku zachręściły pod podeszwami jej pantofli.

– Powiedziała, że to powinno być gdzieś w pobliżu trupa! – zawołała i machnęła ręką, żeby pokierować w odpowiednią stronę grupę Szkarłatnych, których Juliette przydzieliła jej do pomocy. – Szukajcie dalej.

Na czym polegało ich zadanie? Juliette zażyczyła sobie owada wielkości pięści, który jej zdaniem powinien nadal leżeć na pomoście nad rzeką Huangpu. Dla dobra nauki, jak powiedziała Juliette. Kathleen zastanawiała się, czy jej kuzynka chciała po prostu mieć przed sobą namacalny dowód, coś, co potwierdziłoby, że szaleństwo się zakończyło, Juliette zrobiła wszystko, co konieczne, i zwycięstwo okazało się warte swojej ceny.

– Czy mamy, no... zabrać najpierw trupa?

Kathleen się skrzywiła. Popatrzyła z góry na pomost, na skulonego Qi Rena, który w pełni odzyskał ludzką postać i był martwy.

– Zostawcie go na razie w spokoju – powiedziała cicho. – Zaczynajcie szukać.

Mężczyźni skinęli głowami. Kathleen pomagała im, przechadzając się po pomoście i strącając butem pomniejsze owady do wody. Insekty unosiły się na powierzchni. Ich małe truchła szepiały się ze sobą i dryfowały grupami jak plamy zastygłego tłuszczu na wystudzonej zupie.

– Panno Kathleen! – zawołał jeden z mężczyzn. – Czy to na pewno ten pomost?

Ogromny owad nie powinien być trudny do zauważenia. Ale nie było po nim nawet śladu.

– Powiedziała, że to ten, na którym leży ciało – odparła Kathleen. – Nie widzę żadnych ciał na innych pomostach.

– Może panna Juliette się pomyliła? – podsunął inny Szkarłatny.

– Jak mogłaby z czymś pomylić ogromnego owada? – mruknęła do siebie skonsternowana Kathleen. Kontynuowanie poszukiwań nie miało sensu, skoro nic tutaj nie było. Może owad został strącony tak dokładnie, że nie pozostało z niego nic poza pyłem, niewidocznym dla ich oczu.

Kathleen westchnęła.

– Nieważne – powiedziała i wskazała ciało. – Zabierzcie go?

Mężczyźni podbiegli, żeby się tym zająć. Zostawiona sama sobie Kathleen po raz ostatni przyjrzała się całej scenie, szczególną uwagę zwróciwszy na plamy krwi na początku pomostu. Mało brakowało, by to przeoczyła, ale pod przewróconą drewnianą skrzynką zobaczyła teczkę leżącą na niedużym stosiku martwych insektów.

– Popatrzmy na to – mruknęła Kathleen i wyciągnęła teczkę. Bez namysłu otworzyła ją, ale musiała źle nacisnąć zamek, ponieważ pokrywa odskoczyła gwałtownie, a zawartość teczki wysypała się na pomost. Znajdujące się w niej rzeczy z głośnym łupnięciem spadły na deski, wywołując okrzyki niepokoju pobliskich Szkarłatnych.

– Nic się nie stało! – zawołała szybko Kathleen. Przykucnęła i zaczęła zbierać ten bałagan. – Jestem okropnie niezdarna.

Zgarniała papiery na stos i przytrzymała je, by nie porwał ich wiatr. Zanim jednak zdążyła wsadzić je z powrotem do teczki, jej uwagę przykuł leżący na samym wierzchu list opieczętowany jako KOPIA, co oznaczało, że było to poświadczenie czegoś, co wysłał Paul. Adres odbiorcy w górnym rogu wskazywał, że wiadomość była przeznaczona dla kogoś w Koncesji Francuskiej.

Kathleen przeczytała krótką wiadomość.

Ogarnięta zgrozą i przerażeniem, znowu upuściła wszystko, co trzymała w ręku.

Z koszem przewieszonym przez ramię, Juliette zastukała do drzwi kryjówki Szkarłatnych i obejrzała się za siebie. Była pewna, że nikt jej nie śledził – sprawdzała to dosłownie co trzy kroki po drodze tutaj – ale mimo wszystko odwróciła się na wszelki wypadek.

Z wnętrza mieszkania dobiegło ją szuranie. Dźwięk był głośny i doskonale słyszalny z powodu małych rozmiarów kawalerki i niskiego sufitu.

– Pospiesz się! – zawołała Juliette i znowu uderzyła w drzwi. – Nie mam całego dnia.

Drzwi się otworzyły. Marshall Seo uniósł brew.

– Doprawdy?

– Jestem zajęta osobą – oznajmiła stanowczo Juliette. Gestem kazała mu cofnąć się o krok, żeby mogła wejść i starannie zamknąć za sobą drzwi.

Rzadko używano tej kryjówki, ponieważ znajdowała się w najbiedniejszej części miasta. Tak rzadko, że nie miała bieżącej wody ani żadnych wygod poza łóżkiem. Miała natomiast solidną zasuwę w drzwiach oraz okno, przez które w razie czego można było bezpiecznie wyskoczyć. Była miejscem, którego nikt nie będzie szukał.

– Przyniosłaś mi wodę? – zapytał Marshall. – Cholernie chce mi się pić, Juliette...

Juliette wyciągnęła z kosza kanister i postawiła energicznie na stole, aż zadźwięczał nieprzyjemnie, jakby rzucał Marshallowi wyzwanie. Marshall uśmiechnął się.

– Przyniosłam także jedzenie – powiedziała Juliette. – Ponieważ nie chcę, abyś umarł z głodu.

Marshall zajrzał do koszyka i przejrzał nieduże pakunki.

– Tylko pomarańcze? Wolę jabłka.

Juliette westchnęła.

– Jak na nieboszczyka, jesteś okropnie irytujący – mruknęła.

– Skoro o tym mowa... – Marshall przeszedł kilka kroków i usiadł na rozchwianym krześle pod ścianą. Splótł ramiona i ledwie widocznie skrzywił się z bólu. Rana była jeszcze bardzo świeża. – Kiedy mogę zmartwychwstać?

To była dla Juliette niebezpieczna gra. Wymagała wyczucia czasu i zaufania – Marshallowi i temu, że będzie wiedział, co ona próbuje z nim zrobić, a także Lourensowi i temu, że wykradzione serum naprawdę działało tak, jak powiedział. Wymagała iluzjonistycznej sztuczki, kiedy Juliette odsunęła rękę Marshalla od rany postrzałowej i wcisnęła mu w dłoń wyciągnięty z kieszeni słoiczek ze zdjętą pokrywką. Wymagała uderzenia Marshalla tak, żeby mógł się przewrócić z rękami zasłaniającymi twarz i wypić niepostrzeżenie zawartość. Wymagała wyciągnięcia z pistoletu kuli, tak żeby wystrzał stał się tylko dźwiękiem i nie sprawił, że w ciele Marshalla ugrzęźnie drugi pocisk.

Potem to już była tylko kwestia szczęścia. Tego, że Juliette wpadła do głównego biura szpitala i znalazła jedyną lekarkę, która jeszcze się nie ewakuowała i przeglądała teczki pacjentów, nie przejmując się robotnikami na korytarzach. Tego, że Juliette przekonała ją do operowania Marshalla mimo braku pulsu, że zdołała zanieść jego ciało do sali operacyjnej, zanim zauważyli ją demonstranci w korytarzu obok, że zdołała zabarykadować te drzwi, dopóki robotnicy nie znudzili się i nie opuścili tego skrzydła szpitala. Kula wystrzelona przez Tylera wyszła łatwo – wbiła się płytko pod skórę na żebrach Marshalla – a lekarka zaszyła ranę. Juliette obiecała jej pieniądze w zamian za milczenie, ale lekarka tylko się skrzywiła, ponieważ nie miała nawet pojęcia, z kim ma do czynienia.

– Daj mi trochę czasu – powiedziała cicho Juliette. – Nie pokazuj się, dopóki nie wymyślę jakiegoś sposobu na Tylera. Dopóki on nie uwierzy bez zastrzeżeń w to, że próbowałam tylko oszukać Romę.

Marshall zmrużył na to oczy.

– Na ile było to oszukiwanie?

Juliette odwróciła wzrok.

– Czy to naprawdę odpowiedni moment, żeby bronić swojego towarzysza niedoli?

– Jestem nieboszczykiem, skarbie. Co ci szkodzi odpowiedzieć na moje pytanie?

Mogło to zaszkodzić jedynie jej godności.

– Nic nie było oszukiwaniem, Marshallu Seo – powiedziała Juliette. Szybko otarła oczy. – Nie musiałam cię ratować. Mogłam strzelić ci prosto w głowę.

– Ale jednak mnie ocaliłaś – powiedział Marshall Seo. – Ponieważ go kochasz.

Juliette wyrwał się sfrustrowany pomruk.

– Nie mów tak o tym. Nie tak głośno.

Marshall wykonał ręką gest, jakby chciał zapytać, kto ich słyszy. Nikt. Nikt ich nie słyszał. Nikt nie mógł usłyszeć tego wyznania Juliette poza żywym trupem, który nie mógł tego nikomu powtórzyć.

– Kochasz go na tyle, żeby dla jego dobra sprawić, że cię znienawidzi.

– Powinien mnie nienawidzić – odparła ze znużeniem Juliette. – Zabiłam jego matkę.

– Osobiście? – zapytał Marshall, chociaż znał odpowiedź.

– Nie. – Juliette opuściła wzrok. Na nadgarstku miała zadrapanie. Nie wiedziała, skąd się wzięło. – Ale w złości podałam Szkarłatnym jej adres. Równie dobrze to ja mogłam trzymać nóż.

Marshall patrzył przed siebie i milczał przez dłuższą chwilę. Jego spojrzenie wyrażało współczucie, ale Juliette uświadomiła sobie, że właściwie jej to nie przeszkadza. Współczucie Marshalla Seo nie było tak bolesne. Było odrobinę ciepłe, odrobinę życzliwe.

– Zanim znowu mnie zostawisz – odezwał się w końcu Marshall – w takim pośpiechu jak poprzednio, kiedy jeszcze krwawiłem przez bandaż, mam jedną prośbę.

Może tylko jej się wydawało, ale jego głos stał się odrobinę cichszy. Juliette zmarszczyła brwi.

– Mów.

Marshall Seo odwrócił spojrzenie.

– Benedikt.

– Nie możesz – odparła natychmiast Juliette, ponieważ bez dalszych wyjaśnień wiedziała, o co chce prosić. Czyli jej się nie wydawało. – Nawet jedna osoba więcej, znająca tę tajemnicę, sprawia, że wszystko staje się sto razy bardziej ryzykowne.

Juliette wyobraziła sobie, że Tyler dowiaduje się, iż Marshall żyje. Wyobraziła sobie, jak porusza każdy kamień, aby go znaleźć, znęca się nad każdym, kto mógłby znać jego kryjówkę. Nie przypuszczała, żeby Benedikt szczególnie ją lubił, jednak nie chciała, aby Tyler go skrzywdził.

– Być może będę się musiał ukrywać miesiącami – powiedział Marshall, obejmując się ramionami. – On przez cały ten czas będzie myślał, że nie żyję. Serce Juliette się zacisnęło.

– Przykro mi – szepnęła. – Ale oddaj mi tę przysługę i pozwól, żeby Benedikt Montagow właśnie tak myślał. To konieczne. Deski podłogi jęknęły. Ściany i sufit zaskrzypiały. Juliette wydawało się, że wstrzymuje oddech przez całą wieczność, aż w końcu Marshall skinął głową i zacisnął wargi.

– To nie potrwa długo – zapewniła go Juliette i podsunęła do przodu kosz. – Obiecuję.

Marshall znowu skinął głową, tym razem żeby pokazać, że docenia jej obietnicę. Kiedy go zostawiła i z cichym szcęknięciem zamknęła za sobą drzwi, Marshall długo jeszcze wpatrywał się melancholijnie w okno, wyglądając przez szczeliny w deskach, którymi było nierówno zabite.

Juliette wróciła na ulicę, znalazła się w samym środku krzątania, zamieszania i głośnej anarchii. Niebo było już ciemne, a dzień wyjątkowo ciężki, ale życie w centrum miasta wróciło do zwykłego rytmu, handlarze sprzedawali swój towar, a straganiarze wykrzykiwali oferowane ceny, zupełnie jakby kilka godzin temu potwór nie wyciął wśród nich upiornego szlaku.

Wrócili także gangsterzy. Kryli się w każdym zaułku, nie odrywając spojrzeń od przechodzącej koło nich Juliette.

– Panno Cai! Panno Cai!

Juliette zmarszczyła brwi, zatrzymała się i odwróciła. Zobaczyła biegnącego do niej gońca. Wydawał jej się jakby znajomy, ale dopiero kiedy wręczył jej list zaadresowany ręką Kathleen, rozpoznała w nim jednego z ludzi, których wysłała do Bundu.

– Czy znaleźliście to, o co prosiłam? – zapytała Juliette.

– Nie było tam żadnego wielkiego owada – oznajmił goniec. – Ale panna Kathleen powiedziała, żebym dostarczył to pani jak najszybciej.

Juliette skrzywiła się, wzięła wiadomość i otworzyła ją. Nie był to list Kathleen, ale kopia listu wysłanego przez Paula Dextera i zaadresowanego do kogoś, kogo Juliette nie знаła, mieszkającego w Koncesji Francuskiej.

Juliette przeczytała pojedynczą linię tekstu, mrużąc oczy, aby odszyfrować chwiejne, pająkowane pismo, niezwykle pasujące do Paula Dextera.

Prawie pożałowała, że to zrobiła.

„W przypadku mojej śmierci wypuść je wszystkie”.

Zimny pot w jednej chwili oblał całe jej ciało. Od czubków palców do kręgosłupa wszystkie jej kości przeniknęło najgłębsze przerażenie, sprawiając, że czuła się jak odrętwiała.

– Co to jest? – zapytała Juliette. – Co to, do cholery, jest?

Oszłomiony posłaniec zamrugał.

– Panna Kathleen powiedziała tylko, żebym to przekazał.

Juliette oddała mu list. Posłaniec nie zareagował dostatecznie szybko i nie pochwycił w porę kartki, która sfrunęła na ziemię i opadła na żwir jak lądujący miękko motyl. W następnej chwili została zgnieciona pod butem, gdy Juliette zrobiła krok naprzód, z najwyższym trudem zaczerpnęła oddechu i zaczęła się rozpaczliwie rozglądać, próbując się zastanowić, pomyśleć...

– Nie – szepnęła ochryple. – Nie mógł tego zrobić...

Dzwony na ulicach zaczęły bić siedem razy na godzinę siódmą.

W oddali, gdzieś w mieście, eksplodował chór wrzasków.

Ciąg dalszy nastąpi...

PODZIĘKOWANIA

Kiedy byłam nastolatką, prawie nigdy nie czytałam podziękowań, chyba że szukałam w nich nazwiska sławnej osoby. Wiem, że wiele z Was też tak robi. Dlatego, zanim zacznę, chcę tylko oznajmić, że *To Nie Są Takie Podziękowania Jak Wszystkie*, co oznacza, że to są dokładnie takie same podziękowania jak wszystkie, tylko bardziej irytujące, więc jeśli macie zamiar zamknąć teraz tę książkę, powinniście je chyba przeczytać.

Dziękuję Laurze Crockett, że wierzyła w tę książkę i we mnie. Mam nadzieję, że wiesz, że po każdej wymianie e-maili, nawet w najdrobniejszych sprawach, zawsze przez kilka minut wpatrywałam się z uśmiechem w przestrzeń, ponieważ byłam Ci wdzięczna. Zobaczyłaś mój zwariowany koncept, w myśl którego Romeo i Julia mieli polować na potwora w rządzonej przez gangsterów Szanghaju lat dwudziestych dwudziestego wieku, wyciągnęłaś go ze stosu śmieci i zachwalałaś z takim żarem, że czułam się pewniej na każdym kroku tej drogi. Jestem niesamowicie szczęśliwą osobą, mogąc liczyć na kogoś takiego jak Ty. Dziękuję też Uwe Stenderowi za stworzenie magicznego miejsca, jakim jest agencja Triada US, a także Brentowi Tylerowi i reszcie zespołu agencji za wspaniałą pracę.

Dziękuję Tricii Lin za redakcyjny geniusz, który pozostawił mnie pod głębokim wrażeniem. Od naszej pierwszej rozmowy telefonicznej wiedziałam, że doskonale rozumiesz, jaka powinna być moja książka, a Twoja wizja i wskazówki przemieniły ją z uroczego pączka w rozkwitły krzew róży. Nie wiem, jak wyrazić Ci moją wdzięczność. Dziękuję także Sarah McCabe za przyjęcie mnie z takim ciepłem i entuzjazmem. Dziękuję Marze Anastas i wszystkim pracownikom wydawnictwa Simon Pulse za ich pasję i niestrudzoną pracę. Na moją wdzięczność zasłużyli: Chriscynethia Floyd, Sarah Creech, Katherine Devendorf, Elizabeth Mims, Sara Berko, Lauren Hoffman, Caitlin Sweeny, Alissa Nigro, Anna Jarzab, Emily Ritter, Annika Voss, Savannah Breckenridge, Christina Pecorale i reszta zespołu sprzedaży Simon & Schuster, Michele Leo i jej zespół edukacyjno-biblioteczny, Nicole Russo, Cassie Malmo, Jenny Lu i IanReilly. Dziękuję Billelis za ilustrację na okładkę tak cudowną, że aż usiadłam, kiedy ją zobaczyłam. Największe podziękowania otrzymują Deborah Oliveira i Tessera Editorial za dogłębną lekturę i uwagi.

Māma i *Bàba* – dziękuję Wam, że wspieraliście mnie bezwarunkowo. Na każdym etapie mojego życia zawsze popychaliście mnie, abym była najlepsza, jak to możliwe, i dawaliście mi wszystko to, co najlepsze. To Wasze opowieści przy obiedzie, przypadkowe historie podczas długich podróży samochodem i sam sposób, w jaki mnie wychowywaliście, zaszczepiły we mnie tak głęboką miłość do miasta nad morzem. Cieszę się, że zostałam posklejana z Waszych genów. Poza tym przyznaję, żałuję, że dziesięć lat temu zarzuciłam lekcje chińskiego. Dziękuję, że nie wytykaliście mi tego aż tak bardzo, i dziękuję, że tłumaczyliście przysyłane przeze mnie dokumenty historyczne, sprawdzaliście rzeczy, których nie dałoby się znaleźć na anglojęzycznych stronach internetowych, i pilnowaliście, żeby mój pinyin nie odbiegał zbyt daleko od rzeczywistości. Dziękuję także współdzielącym moje geny Eugene'owi i Orianie, którzy musieli zmagać się z moimi dziwnymi pytaniami na rodzinnej grupie na WeChat.

Dziękuję Hawie Lee, mojej najlepszej przyjaciółce. Od czasów, kiedy jako irytujące siódmoklasistki śpiewaliśmy na końcu klasy piosenki Seleny Gomez, aż do teraz pozostajesz moją największą fanką, a ja będę Cię uwielbiać do końca świata. Przczytałaś pierwszą wersję tej książki i powiedziałaś, że moje słowa odtwarzają się w Twojej głowie jak film. Zrobiłaś mi tym wtedy ogromną przyjemność i nadal ciepło mi na sercu, kiedy o tym myślę. Dziękuję Aniket Chawli, także mojej najlepszej przyjaciółce. W chwili, kiedy piszę te słowa, w końcu czytasz tę książkę po tym, jak wyrzuciłaś jej wcześniejsze wersje do spamu, ale wybaczam Ci to, ponieważ jesteś dobrą duszą, która w jedenastej klasie próbowała mnie nauczyć matematyki – i także będę Cię uwielbiać do końca świata. Dziękuję Sherry Zhang, zwanej przeze mnie czule Sherry Berry, za najmądrzejsze porady w momencie, kiedy byłam najbardziej spanikowana. Miałaś dosłownie świętą cierpliwość, kiedy krążyłam bez ustanku po naszym malutkim pokoju w hotelu Wellington i próbowałam zaplanować całą dalszą karierę zawodową. Ja także będę Ci zawsze kibicować. Dziękuję Emily Ting za bycie promykiem słońca i ekscytowanie się moją twórczością od samego początku (czyli od lekcji przyrody w dziewiątej klasie), nawet kiedy zachowywałam się tak pretensjonalnie.

Dziękuję panu Randalowi za to, że był tak wspaniałym nauczycielem angielskiego i z taką pasją przekazywał nam wiedzę na temat Shakespeare'a. Moją miłość do języka zawdzięczam wyłącznie tym lekcjom w dwunastej i trzynastej klasie poświęconym analizowaniu metafor, symboliki i obrazów. Mam nadzieję, że wszyscy Pana uczniowie będą świadomi tego, jakie mieli szczęście, trafiając na takiego nauczyciela. Dziękuję także pani Black i pani Parkinson za wspieranie mojego malutkiego klubu NaNoWriMo i za niebywałą biegłość w języku angielskim.

Dziękuję pani profesor Chi-ming Yang za to, że zgodziła się nadzorować mój projekt naukowy równolegle z pisaniem tej książki, wysłuchiwała moich niekończących się tyrad na temat literatury Young Adult i pomogła mi uporządkować to wszystko w spójnej rozprawie. Dziękuję także pani profesor Josephine Park za pomoc, jaką mi okazała, kiedy na mojej studenckiej drodze pojawiły się przeszkody, i za wsparcie przy ich pokonywaniu.

Dziękuję João Campos za przeczytanie nieuporządkowanych wczesnych wersji tej książki z takim entuzjazmem, a także za uwagi i wspaniałe propozycje, dzięki którym postacie stały się o tyle lepsze. A także za to, że doskonale rozdaje uściski. Dziękuję Ryanowi Foo za to, że zawsze miał na temat tej książki jak najlepsze zdanie i dostarczał mi wiele radości. Dziękuję, że obiecałeś zostać moim adwokatem, gdybym kiedyś popełniła morderstwo. Trzymam Cię za słowo. Dziękuję Andrew Noh za parzenie dla mnie metaforycznej herbaty i zabawianie mnie, kiedy umierałam nad kolejnymi redakcjami tej książki, a także za sprawdzanie mojego francuskiego. Dziękuję Kushalowi Modi – również za sprawdzanie francuskiego, żeby nie brzmiał jak u piątoklasisty, i za dotrzymanie mi towarzystwa, ile razy zamykałam się w pokoju, żeby pisać. No i oczywiście dziękuję Jackie Sussman za wysłuchiwanie wszystkich moich pomysłów na fabułę i tolerowanie ponaklejanych na ścianach naszego pokoju karteczek z siecią powiązań między postaciami, a także za niepodskakiwanie z przerażenia, kiedy wydawałam głośny okrzyk, ponieważ coś mi się udało. Dziękuję Rebecce Jiang i Ennie Gantuldze za to, że są wspaniałymi przyjaciółkami i wspaniałymi współlokatorkami, a także za to, że w naszym mieszkaniu zawsze rozbrzmiewał śmiech. Dziękuję Anastasii Shabalov za cudowne uwagi do wczesnych wersji tej książki, długie rozmowy o branży wydawniczej, a także za sprawdzanie mojego rosyjskiego, aby dopilnować, żeby nikt nie wyzywał nikogo od małych szczurków.

Dziękuję moim najdawniejszym czytelnikom, czyli przyjaciółom, których zdobyłam przez internet. Rachel Kellis, będącej jedną z moich najulubieńszych osób na świecie. Nasze rozmowy na czacie oscylowały pomiędzy tak zabawnymi, że dusiłam się ze śmiechu, po poważne uwagi do naszej twórczości i sprawdzenie nawzajem swoich e-maili pod kątem tonu i stosownej liczby wykrzykników. Doceniam to i Ciebie jak mało kogo. Daisy Hsu – byłaś moją pierwszą internetową przyjaciółką, co było niesamowite, ponieważ okazało się, że mamy wspólnych przyjaciół w świecie rzeczywistym. To dzięki Twoim

genialnym sugestiom przestałam się w tej książce ograniczać i postawiłam na dramatyzm. Tori Bovalino – jesteś królową mrocznych opowieści i ulubioną osobą, z którą można narzekać na kiepskie książki. Wspólne wylewanie goryczy sprawiało mi ogromną przyjemność i mogłam zawsze liczyć, że będziesz tak samo jak ja osłupiała z powodu pewnych... dziwnych decyzji podejmowanych w internecie. Eunice Kim – jesteś najmilszą osobą na świecie i czarodziejką, która pomogła mi podsumowywać wiele rzeczy. Wiesz, że jestem fanką Twojej kolekcji GIF-ów. Przepraszam, że zrobiłam krzywdę Twoim bułeczkom cynamonowym... Ale czy na pewno? Mirandzie Sun – jesteś tak samo jak ja obrażoną na świat przedstawicielką pokolenia Z. Nie wiem, jak udaje nam się mieć tyle opinii na temat wszystkiego, ale przysięgłabym, że nasze bieżące komentarze to odpowiednik co najmniej dziesięciu powieści. Mam nadzieję, że uda nam się zapełnić tymi komentarzami jeszcze milion powieści. Tashie Bhuiyan, z którą doskonale mi się piszczy. Nie wierzę, że zaprzyjaźniłyśmy się, ponieważ zobaczyłam kogoś, kto wyglądał jak Gansey, i zaczęłam Ci przysyłać relację na bieżąco, ale to chyba bardzo charakterystyczne dla nas. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdybym nie mogła Ci wysyłać wszystkich tych „co tu się niby odważyło?!“ zrzutów ekranu. Alinie Khawaja – jestem pod wrażeniem potęgi i rozmiarów Twojej kolekcji memów. Strona poświęcona memom z tej książki istnieje tylko dzięki Twojej sile woli. A kiedy skończy się siła woli, zostanie jeszcze siła pragnienia. Molly Chang – jednoosobowej drużynie dopingującej, która zawsze zachęcała mnie, abym dawała dojsć do głosu swojej wewnętrznej Juliette (mam nadzieję, że chodziło o to, że powinnam być bardziej stanowcza, a nie wdawać się w bójki). Grace Li – która mówiła tak miłe rzeczy o tej książce i inspirowała mnie tym, ile cudownego bólu sprawiały jej słowa. Zoulfie Katouh – która jest królową najzabawniejszych obrazków z komentarzem, jakie widziałam, królową rzeczy, które doprowadzają do płaczu, i generalnie królową wszystkiego. Meryn Lobb – mogłabyś mnie spoliczkować fizycznie (i metaforycznie swoimi komentarzami), a ja bym Ci za to podziękowała.

Dziękuję wspaniałym ludziom z branży wydawniczej, którzy byli dla mnie życzliwi bez żadnego powodu. Dziękuję Tashy Suri za odpowiadanie na nieprzeliczone pytania w moich e-mailach. Dziękuję Morgan Al-Moor za przeczytanie tej książki i stworzenie dla mnie najbardziej niesamowitej estetyki, jaką w życiu widziałam. Dziękuję Faridah Àbíké-Íyímídé za bycie wspaniałym człowiekiem, a także za stworzenie programu mentorskiego Avengers of Colour, który dał mi tyle radości. Dziękuję wszystkim z grupy Roaring Twenties Debut, będącej najwspanialszą społecznością. Za nasze zdrowie i za to, że przetrwaliśmy jedno z najtrudniejszych lat do debiutu.

Dziękuję blogerom i blogerom, którzy nie mogli się doczekać tej książki już wtedy, kiedy publicznie dostępny był tylko jej jednozdaniowy opis. Dziękuję ludziom, których uwielbiam na Twitterze i którzy przysyłają mi emotki z podekscytowanymi oczami. Dziękuję tym, którzy zrobili więcej, niż musieli, żebym czuła się mile widziana. Dziękuję Wam: CW i wszystkim przyjaciółom z The Quiet Pond, Shealea, Danielle Cueco, Lily ze Sprinkles of Dreams, Noémie z Tempest of Books, Karina z AfirePages, Tiffany z Read by Tiffany, Lauro z Green Tea and Paperbacks, Kate z Your Tita Kate, Fadwo z Word Wonders i wielu innym osobom, o których na pewno zapomniałam. A ponieważ mogę, dziękuję Halsey za płytę *Hopeless Fountain Kingdom*, którą odtwarzałam na okrągło podczas pisania tej książki.

Dziękuję moim najdawniejszym z najdawniejszych czytelników, którzy przeczytali tę książkę (a także, technicznie rzecz biorąc, jej kontynuację), kiedy była jeszcze jednym wielkim brudnopisem publikowanym w odcinkach online. Teraz prawie nie dałoby się jej poznać, gdyby nie imiona postaci, ale Wasze komentarze były kluczowe dla uczynienia z niej tego, czym jest teraz. Kelly Ge – byłaś pierwszą osobą, której powiedziałam o pomysłach na tę książkę i zachęciłaś mnie do działania. Paige Kubenka – Twoje regularnie dodawane komentarze sprawiały, że pisałam dalej i były dla mnie niezwykle ważne. Gabrielle, Kamilia, Clairene, Hala, Aubry, Ejay, Tanvi – nie znam Waszych nazwisk i nie wiem, czy wiecie, że historia, którą czytałyście, została opublikowana, ale jeśli gdzieś tam jesteście, a ta książką trafiła w Wasze ręce, dziękuję Wam. Przez wszystkie te lata pisałam dzięki świadomości, że ktoś gdzieś ceni moje słowa. Kiedy dorastałam, niezależnie od tego, jak niepewny początkowo był mój warsztat, nigdy nie zwątpiłam w wartość moich opowieści, ponieważ miałam czytelników, którzy mówili mi o tym, co im się podobało. Jak długo mam czytelników, nie przestanę być pisarką. Bez czytelników nie będzie żadnej pisarki.

Dlatego dziękuję Wam, drodzy Czytelnicy. Dziękuję, że sięgnęliście po tę książkę.

OD AUTORKI

Szanghaj w latach dwudziestych dwudziestego wieku był barwnym, pełnym podziałów miejscem, a chociaż duża część treści *Gwałtownych pasji* to fikcja, starałam się wiernie oddać atmosferę tamtej epoki. To były czasy politycznego zamętu i walk pomiędzy partią nacjonalistyczną a komunistyczną, zaś całe miasto żyło na wulkanie, który w każdej chwili mógł wybuchnąć. Nie toczyła się wtedy wojna gangów, ale Szanghaj naprawdę był podzielony pomiędzy cudzoziemców, którzy zdobyli nad nim kontrolę dzięki nierównym warunkom traktatu, który Chiny musiały podpisać po przegranych wojnach opiumowych. Francuzi zajmowali Koncesję Francuską; Brytyjczycy, Japończycy i Amerykanie zbudowali Osiedle Międzynarodowe, zaś wszystkie przykłady nierówności przytaczane przez Juliette pochodzą bezpośrednio z książek historycznych. Cudzoziemcy założyli parki i zakazali Chińczykom wstępu do nich. Pompowali w miasto środki finansowe, a chociaż Chiny nigdy formalnie nie zostały ogłoszone kolonią, to właśnie działo się w Szanghaju – był kolonizowany, dzielnica po dzielnicę.

W takim klimacie rozkwitało bezprawie i tak – w Szanghaju naprawdę rządili gangsterzy. Ponieważ każde terytorium zagraniczne podlegało prawom kraju, do którego należało, w różnych częściach Szanghaju obowiązywały różne prawa. Jeśli dodać do tego przepisy o eksterytorialności obywateli pochodzenia innego niż chińskie – co oznaczało, że obywatele będący cudzoziemcami nie mogli podlegać prawom chińskim, tylko prawom swojego terytorium – stawało się jasne, że nie da się zarządzać Szanghajem jak pojedynczym miastem. Szkarłatny Gang nie istniał, ale jego pierwowzorem był całkowicie prawdziwy Zielony Gang (青帮, *QīngBāng*), który zdaniem wielu maczał palce w każdym przestępstwie, do którego dochodziło w tym mieście. Byli nieoficjalną siłą zwierzchnią, zaś jego bossowie – ludzie o statusie zbliżonym do lorda Cai – pracowali jako detektywi w policji Koncesji Francuskiej. Białe Kwiaty także nie istniały, ale w tamtej dekadzie rosyjska mniejszość w Szanghaju rozrosła się na tyle, że obejmowała ogromne rzesze prostych ludzi. Szanghaj był wolnym portem, więc ci, którzy uciekali przed rosyjską wojną domową, mogli z łatwością dostać się do tego miasta bez konieczności ubiegania się o wizę lub zezwolenie na pracę. Byli traktowani okropnie przez zachodnich Europejczyków i pracowali w zawodach najgorzej opłacanych, takich jak śmieciarze i tancerki kabaretowe. W mojej wizji to jest właśnie powód, dla którego siły Szkarłatnego Gangu i Białych Kwiatów były wyrównane i zmagaly się o przejęcie kontroli nad tym, co pozostawało z miasta, które inni cudzoziemcy pożerali łapczywie ogromnymi kęsami.

Jest całkowicie oczywiste, że bohaterowie *Gwałtownych pasji* są wytworem mojej wyobraźni. Prawdziwi nacjonaści współpracowali często z gangsterami, to prawda, ale wszystkie nazwiska i charaktery są fikcyjne. Istniał ktoś taki jak sekretarz generalny Partii Komunistycznej, ale Zhang Gutai to postać wymyślona. Trzeba jednak przyznać, że po późniejszej wojnie domowej pozostały ogromne luki w dokumentach dotyczących tego, kto naprawdę sprawował urząd sekretarza generalnego i pełnił inne funkcje, więc kto wie, co się wtedy działo? Nawet prawdziwa historia nie zawsze jest rzeczą pewną – wspomnienia się zacierają, dowody giną, dokumenty są celowo niszczone.

Pewne jest natomiast, że żaden potwór nie rozsiewał po Szanghaju choroby powodującej rozrywanie gardeł. Były natomiast głód, obcinanie pensji i nieludzkie warunki pracy, co w rzeczywistości wystarczało do wybuchu setek strajków, w których tylko w roku 1926 brały udział tysiące robotników. Gdybym trzymała się wydarzeń historycznych i umieściła w książce wszystkie zamieszki, zamiast tylko jednych na samym końcu, podobne sceny rozgrywałyby się w każdym rozdziale. W świecie *Gwałtownych pasji* to ludzie umierający masowo z powodu szaleństwa podsycili gniew swoich towarzyszy, który stał się zarzewiem rewolucji. W rzeczywistości nawet bez szalejącego potwora sytuacja była na tyle zła, że związki zawodowe powstawały przeciwko cudzoziemcom i gangsterom, starając się poprawić warunki życia robotników. Jeśli chodzi o to, jak się to wszystko dalej potoczyło, pozostawię dalszą część wyjaśnień na koniec drugiego tomu...

¹ (fr.) ale nie dobrowolnie!

² (fr.) Pocałuj mnie w dupę.

³ (fr.) Idziesz ze mną – rzucił. – Nie ruszaj się.

⁴ (fr.) Nie, proszę pana. Jestem umówiona na randkę.

⁵ (fr.) Natychmiast, proszę.

⁶ Zane Grey *The Mysterious Rider* (przyp. tłum.).